Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

HISZPANIA.

Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego.

HISZPANIA

LISTY Z PODRÓŻY

Adolfa Pawińskiego.

I. S. JAWORNICKI
W WARSZAWIE.

WARSZAWA.
NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ".

884-4

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Декабря 1898-го года.

10405/1

Panom

Don Juanowi Vilanova y Pierra

prof. uniw. w Madrycie.

Don Antoniemu Machado y Nuñez

prof. uniw. w Sewilli.

serdeczne przesyłając pozdrowienia,

przypisuje swą pracę

Autor.

Panom

Don Juanowi Vilanova y Piera

prof. uniw. w Madrycie.

Don Antoniemu Machado y Nuñez

prof. uniw. w Sewilli.

serdecznie przesyłając pozdrowienia.

przyjaciele swą pracę

Autor.

I.

U PROGU HISZPANII.

Pożegnanie Warszawy. — Marzenia podróżnika. — Biarritz. — Piękność morza. — Kąpielowi goście. — Wieczór nad brzegiem morza.

Był zimny wieczór sierpniowy. Gwiazdy błyszczały iskrzącym się blaskiem złota, który jaskrawszym niż zwykle się wydawał na ciemno-błękitnem tle nieba. Już w powietrzu czuć było jesień, po tak krótkotrwałem lecie. Lekki powiew wiatru przejmował do głębi i dotkliwszym się zapewne stawał dla tego, który miał niebawem przed północą porzucić na długie tygodnie kraj rodzinny, pożegnać rodzinne strony, domowe swoje bogi, sioła nasze, nasze pola i nasze mniej łagodne niebo. Do duszy tłoczyły się tłumnie przeróżne uczucia. Po głowie snuły się dziwne myśli. Dreszcz przebiegał po ciele. Tylko zapał, nadzieja spełnienia dawno powziętego zamiaru, ogrzewały serce, które biło pod ostudzoną ciała powłoką. Już nic nie jest mnie w stanie wstrzymać, ani zdradziecka obawa, która jak gość nieproszony wdziera

się do duszy, ani żartobliwe uwagi przyjaciół, znajomych, którzy w ostatniej chwili jeszcze życzliwie dłoń wyciągnęli: „Szczęść Boże!“ mówiąc, kiedy niebawem za chwilę już ku zachodowi unieść nas miały wartkie parowozy, mknąc jak wicher po stepie.

— Nie obawiasz się — mówił jeden ze znajomych, owych bandoleros españoles, którzy podróż nawet w wagonie kolei żelaznej niebezpieczną czynią.

— Ani trzęsienia ziemi w Lizbonie! — dodał drugi, jakby chcąc silniej zachwiać postanowienie, którego nic już zmienić, nic już odwołać nie było w stanie.

— Jacta alea esto! — odrzekłem w chwili, kiedy już przedostatni dzwonek dał znak zbliżającego się rozstania i słów pożegnalnych.

— A Dios — mówiłem do garstki znajomych, dziękując im serdecznie za dowód miłej pamięci, za dowód serca.

I raz jeszcze dodałem: muchas gracias (wym. muczas grasias) (stokrotne dzięki), quedense Ustedes con Dios (zostańcie z Bogiem), i żegnałem ich słowy hiszpańskiemi, w odpowiedzi na wszystkie uwagi poprzednie, jako znak, że niebawem dźwiękami mowy Cervantes'a na klasycznej ziemi Pyrenejskiego półwyspu rozprawiać będziemy.

Jeszcze słychać głosy dolatujące, które się przedzierają przez fale drżącego powietrza, ale powoli szum i świst zagłuszył wszystko. Wychylam głowę z okna. Chcę rzucić ostatnie pożegnalne spojrzenie na gród syreni, na szczyty wież Ś-to Krzyzkiego ko-

ścioła, ale już nic nie widać wśród rozlanego morza lazuru, już oko nie rozeznaje przedmiotów ginących w szarej, ponurej, a nareszcie ciemnej dali.

Kiedy więc wzrok nie może się już nakarmić widokiem tych niknących z horyzontu domostw, niech pierś przynajmniej odetchnie w całej pełni powietrzem rodzinnem, niech nas owieje fala rodzinnego wiatru i napełni na długie tygodnie wonią swych polnych kwiatów i ożywczym zapachem swych jodłowych borów. Zimno dokuczliwe kazało niebawem oderwać wzrok od równych powierzchni podwarszawskich pól i błoni i zamknąć się w ciasnych granicach wagonu, a w szerokich, okiem nieprzejrzanych przestworach i głębiach samotnych rozmyślań.

Póki umysł jeszcze niestrudzony, przeglądał sprawy tylko co ubiegłe, i te co przyjść i nastać miały, przesuwała się obawa po jasnem niebie duszy, jak widmo nocne. Niepodobna było odpędzić tych natrętnych myśli, które jak duchy o północnej godzinie, mąciły spokój i przerywały ciszę.

O navis! referent in mare te novi
Fluctus. O quid agis!...

Ustawicznie przychodziła mi na myśl ta prześliczna oda Horacego do okrętu, który miał Wirgiliusza powieźć na brzeg Grecyi. Co robisz niebaczny! tak śpiewa poeta rzymski, zwracając swe misternie rzeźbione słowa do łodzi gibkiej, co miała

z Wirgilim wypłynąć na wzburzone fale morskie. Nonne vides! czyli nie widzisz, jak tam w dali łódź pozbawiona wiosła, stała się igraszką szalejącego wichru? Nie słyszysz-li, jak maszt jęczy, jak liny okrętu syczą i świszczą? Fortiter ocupa portum—trzymaj się spokojnej przystani.

I już na pół senny, na pół jeszcze w trzeźwych pogrążony rozmyślaniach, kołysałem się zwolna, jak się kołysze lekko łódź rybacka na pogodnem przezroczu wodnego żywiołu, pocieszając się myślą, jak owi żeglarze: co mówili: Tamci potonęli, bo pływać nie umieli.

I w chwili, kiedy już sen roztaczał swe szerokie skrzydła i ogarniał niemi cały świat świadomej myśli człowieka, jeszczem słyszał po raz ostatni z tej samej ody Horacego:

Non tibi sunt integra lintea..

Okręcie! masz żagle poszarpane! I mimo to puszczasz się? I słyszałem te słowa już mniej wyraźnie, jak się słyszy w górach echo pasterskiej piosnki, które powoli kona w przestworze niezmierzonej doliny.

Dopiero gdy zaszło zupełnie słońce jasnej świadomości, i gdy o północy po całodziennych trudach sen głęboki skleił znużone powieki, wzeszły wtedy rumiane zorze urojeń przecudnych. I marzyłem o Hiszpanii, jak marzy dziewica o swem szczęściu, a młodzian o swej świetnej przyszłości. Co było pięknem istotnie, wydało mi się stokroć piękniejszem,

niebo Hiszpanii więcej lazurowe niż niebieskie strefy Neapolu, śnieżne góry Sierra-Nevada bielsze niż szczyty Jungfrau lub Mont-Blanc, palmy szersze i zieleńsze roztaczały ramiona niż w Egipcie lub Arabii. Emilio Castelar, który w tak tęczowych barwach umie malować urocze strony swojej kochanej Hiszpanii, nie umiałby jej widzieć w powabniejszych szatach niż senna moja wyobraźnia, która, błądząc po południowych stronach Sewilli, Grenady, Korduby, zdawała się pożyczać skrzydeł do lotu od synów pustyni, od ognistych Arabów. Widziałem na jawie rozkoszne błonia i bogate pola hesperyjskich ogrodów, czułem rozkoszną woń pomarańcz, zmieszaną ze słodkim zapachem kwiatu akacyi; granaty rumieniły się na słońcu, cytryny złociły się w gęstwinie ciemno-zielonego liścia. Zdaleka dochodził mnie odgłos melancholijnej serenady. I przeszłość Hiszpanii stanęła przede mną w całej swej wielkości. Widziałem jej Cydów, jej Alfonsów, jej Ferdynandów. Widziałem tych synów, którzy tak gorąco swój kraj ukochali, dla których ziemia rodzinna była piękną jak eden ziemski. Przesuwali się po głowie jak w latarni czarnoksięzkiej owi rycerze, co na skalistych polach Kastylii tyle lat przez tyle wieków bronili chrześcijaństwo od najazdu Arabów. Widziałem mędrców arabskich, ślęczących nad księgami, wspaniałe Maurów meczety, czarowne zamki maurytańskich królów, obronne wieże ich twierdz murowanych. Stanęli przede mną w całym swym majestacie Karole, Filipy, — a ktoby wyliczył tych wszystkich wielkich władców i bojowników? Spra-

cowana już fantazya nasuwała jeszcze obrazy boskiego Murilla, trzeźwego Velazqueza, surowego Zurbarana, wesołego Cervantesa i tylu innych ludzi i mężów różnych epok, wielkiej sławy, głośnego imienia.

Wśród tych różnorodnych urojeń, tych snów wspaniałych, upłynęło kilka godzin. Kiedy nad ranem ukazały się pierwsze blaski wschodzącego pogodnie słońca, rozbiegły się wszystkie mary, jak mgły pierzchają przed wstającą gwiazd królową. Ale marzenia wydały się rzeczywistością, widzeniem jakby na jawie. To, co senna nasunęła fantazya, płynęło z głębi przekonania: było przeczuciem i wiarą zarazem w to, że niebawem, jak mówi poeta:

Rzeczywistość się pomału
W świat zamieni ideału,
W świat ze srebra i kryształu.

Więc też nic już od postanowienia odwieźć nie mogło; owszem budziła się coraz większa w sercu tęsknota, upragnienie, aby jak najprędzej stanąć u celu podróży. A podróż daleka, jak dalekie w życiu człowieka chwile pogody, dni szczęścia. Nie przeglądajmy tych kartek długiej podróży, na których pobieżną ręką skreślić się dały tylko jednostajne, ubogie we wrażenia chwile. Rzuciliśmy jeszcze po raz ostatni okiem na pasmo Beskidu, co nam się zdala ukazywał w swych poważnych górskich ścianach, których wierzchnie krawędzie płyną długą, spokojną, gdzieniegdzie zaklęsłą linią. Nie

bawem zamiast Karpat, Tatrów i Beskidu ujrzymy niebotyczne Alpy, majestatyczne Pyrenee, ponure Sierra-Morena i białośnieżne Sierra-Nevada.

Ale nim staniemy przynajmniej u progu pierwszej mety, do której zdążamy, zatrzymajmy się na chwilę u stóp Pyreneów. Wkrótce mamy po kilku dniach uciążliwej podróży przedrzeć się przez łańcuch gór Iberyjskiego półwyspu, niebawem mamy przekroczyć Rubikon, niewielką Bidasoę, która południowo-zachodnią Francyę od Hiszpanii oddziela. Dajmy na chwilę spoczynek ciału, pokrzepmy umysł. Trzeba myśl strudzoną odświeżyć, aby tam za temi sinemi Pyreneami mogła dźwignąć ciężar nowych wrażeń, nieznanych widoków. Trzeba oko przygotować zwolna, aby nagle blask spodziewanych piękności nie olśnił źrenicy.

Stańmy więc na dzień jeden, na dwa lub trzy dni w przedsionku do innego świata, bo istotnie za Pyreneami to świat zupełnie odmienny. Powiadają powszechnie, uczeni nawet ziemioznawcy powtarzają w swych wielkich księgach, że Afryka już się od Pyrenejów zaczyna. A więc na brzegu Afryki europejskiej małe wytchnienie.

Zatrzymujemy się w Biarritz, zkąd już oko dosięga Pyreneów, wprawdzie nie tych wielkich i wysokich, które się w środku górskiego łańcucha olbrzymią wznoszą masą, ale tej mniejszej a niższej gałęzi, która ku zatoce Biskajskiej wyciąga swe obnażone ramiona. Sielska cisza małej mieściny, powiew świeżego wiatru, nieskończony szum wielkiego oceanu zbawiennie wpływa na duchowy na-

strój. Z odmłodnioną siłą, z wypoczętą wyobraźnią, puścimy się dalej i śmiało po drodze naszego przeznaczenia.

Była godzina pierwsza w południe, kiedy się pociąg drogi żelaznej z Bordeaux idący zatrzymał na stacyi Biarritz, jeszcze o dobre pół mili drogi odległej od samej mieściny, od miejsca kąpielowego, od brzegu morza. Smutny widok przedstawia cała okolica. Jest coś w całem tem otoczeniu ponurego, gnębiącego. Wprawdzie nad drogą ciągnące się zielone drzewa, rozłożyste kasztany i bujne akacye urozmaicają nieco jednostajność i dziwne ubóstwo, jakiem świecą piaszczyste pola. Gdzieniegdzie ukaże się murowany domek wśród wieńca drzew ogrodowych, ale podobnież jak i otaczająca natura, nie uśmiecha się wesoło, nie tchnie lekkością. Jedziesz ku miastu i doznajesz tego ciężaru na duszy, jak spada na podróżnika, gdy do bezludnej a piaszczystej dostaje się okolicy. Kiedy spojrzysz tam na prawo, na ten niewielki lasek nadmorskich sosen, to zdaje ci się, żeś wjechał w owe dawne puszcze mazowieckie.

Tu bliżej nieco przemknie ci się przed oczyma tamarysku drzewo, jedno za drugiem o tych delikatnych, powiewnych gałązkach, jak krzew naszego jałowca. Ponura zieloność, wysmukła postawa tych drzew, przypomina nieco cyprysy. Dlatego też jest coś w tym widoku, co ci cmentarz przypomina. Gdyby tak dalej miały się ponure rozwijać przed nami krajobrazy, możnaby do rozpaczliwej dojść myśli, stanąć w połowie drogi, i zawróciwszy, po-

szukać gdzieś w samych Pyreneach weselszej doliny, aby dać na czas jakiś ciału wypoczynek, a myśli krótkie wytchnienie. Ale cierpliwości! Z głębokiej zadumy budzi cię nagle na szczycie nadbrzeżnej wyniosłości świeża fala powietrza, płynąca od Atlantyku. Otucha wstępuje do serca. Pierś się podnosi. Nadzieja się ożywia. Rzekłbyś, że się czujesz orzeźwiony, jak Arab w pustyni, kiedy się do krynicy kryształowej wody zbliża. Aż tu nagle ukazuje się błękitne morze, które tam gdzieś daleko na nieboskłonie w szarą barwę zlewa się z brzegami horyzontu.

Jedna smuga za drugą modrego żywiołu, a jedna piękniejsza od drugiej. I odrazu na ten wspaniały widok roześmiała się dusza. I wśród samotnej podróży nie mogłem się wstrzymać od wykrzyku:

„O morze, sine morze, któż nad cię piękniejszy!“

Wszak to dawny, a serdeczny nasz przyjaciel. Już lat kilka jakeśmy się z nim rozstali. Z wylaną tęsknotą, z jaką się wita swych przyjaciół młodości, rzucałem okiem na szare, błękitne, to tam znów dalej zielonawe wód przestworza. I wzroku oderwać nie mogłem, wpatrując się chciwie w oblicze, jak matka patrzy w twarz swego syna, który po wielu latach wraca pod strzechę rodzinną. Ma-li morze ten sam błękit swej źrenicy, jak miało dawniej? szumią-li jego fale jak poprzednio? kołyszą się-li jego wody, jak się bujają od pierwszych dni stworzenia? Ale mknący naprzód pojazd niezbyt długo

pozwolił cieszyć się widokiem tego dawnego przyjaciela. Zapadła zasłona, krajobraz się zmienił, zgasł nagle promień słońca, który rozświecił ponure tło dotychczasowych widoków. Już jesteśmy na drodze wiodącej wprost do mieściny. Ciasne uliczki, wśród wysokich domów, zamykają horyzont. I oto znów po błysku słońca zaczyna się szara rzeczywistość, tak jak w życiu codziennem po jednej niedzieli świątecznej sześć dni pracy powszedniej następuje, sześć dni krwawych mozołów, kłopotliwych zabiegów, które niejednemu skrzydła podetną, wysuszą serce i obojętnym go uczynią na to, co jest w naturze pięknem i wielkiem.

Zaczęły się więc owe godziny mniej jasne, mniej wesołe, poświęcone prozie życia. Było to w dniu 10 września, a Biarritz już się roił niezliczonym tłumem gości. Już się tu snuła cudzoziemska ludność w nieobliczonych szeregach jak na odpuście, a coraz nowe przybywały kompanie. Z umieszczeniem się kłopot niemały. Nigdzie swobodnego kątka, gdzieby na noc można głowę skłonić. Przerzućmy jednak pobieżnie tę kartkę z dziejów podróży. Odwróćmy raczej wzrok od niej zupełnie. Rzekło się tu tylko przygodnie o tej okoliczności, aby nie opuścić charakterystycznej cechy Biarritzu, że było w nim gwarno jak w mrowisku, a ciasno jak w kościele.

O samym Biarritzu nie mam co pisać. Miasteczko jest tylko dodatkiem do tego morza, nad którego piaszczystym brzegiem się rozsiadło. Jest ono jak przedimek w języku francuskim.

Mieści się przed wyrazem, który się bez tego dodatku obejść nie może. Ale nie jest też niczem innem. Samem słowem, duszą, istotą jest morze i wszystko, co się dzieje nad morzem, w morzu i około morza.

Licha mieścina, mógłbym z poetą jakimś powtórzyć, tam się kończy, gdzie zaczyna.

Jeszcze niedawne czasy, a była to wioska biedna, zamieszkana przez rybaków, rzucona samotnie nad brzeg morza, niby sierota uboga, prowadząca nędzny żywot zdala od świata i ludzi. Dopiero za cesarstwa ostatniego wzmógł się Biarritz, gdy tam przeniesiono jesienną Napoleona III rezydencyę. Jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej powstały wille, pałace i murowane domy. Zaczął się zjeżdżać co rok świat dyplomatyczny, piękności Paryża, grandowie hiszpańscy, i stał się Biarritz modnem bardzo miejscem jesiennego pobytu. Nie zabrakło przepychu zewnętrznego, stanęły hotele zbytkownie urządzone, wyrosły wille na wyniosłościach nadbrzeżnych. Ale dziwna i niepojęta rzecz, jak nad tem przecudnem i niewymownie pięknem morzem, tak mało spotkasz architektonicznego smaku. Wdzięku prawie żadnego w tych ciężkich, a poważnych pałacach. Oto tam ku północy nad brzegiem morskim, w znacznej od miasta odległości, nieopodal latarni morskiej stoi samotnie, jak skała na morzu, gmach murowany o ceglastej barwie swych ścian wysokich, pokratkowanych białemi framugami licznych okien. Ową willę, którąbyś raczej nazwał gmachem wię-

ziennym, otacza rozległy ogród, który dziś tchnie ponurym wyrazem i pewnie dawniej nie nadawały mu więcej życia poważne sosny nadmorskie, rosnące tu, jedna obok drugiej, jak w zwyczajnych borach.

Jak dawna cesarska rezydencya nie zaleca się smakiem, tak i prywatnych właścicieli domy, zbudowane nad brzegiem morza, ciągnące się w prostej linii rzędem, jak żołnierze, pozbawione są wdzięku, stylu, nadobności. Cała ich zaleta dla mieszkańców na tem polega, że obliczem swem domy są zwrócone ku morzu. Trzy piętra, niekiedy cztery, sterczą jedno po nad drugiem. Zieloności obok bardzo mało. Pustkowie niemal w około. Miałażby ta powaga odpowiadać surowemu wejrzeniu morza, jego wielkości? Miałżeby wdzięk, wesoły uśmiech, młodzieńcza lekkość, być nieodpowiedniemi wobec majestatu wodnego żywiołu? Zdaje się raczej, że wszystko jakby umyślnie składa się na to, aby mieszkańca nie przykuwać do miejsca, do okna, do pięknego w ogródku kobierca, ale zniewolić go pójść tam, kędy chorzy szukają ulgi, a zdrowi rozrywki. Tam nad brzegiem morza jest też właściwie cały Biarritz, nie miasto oczywiście, ale wszystko co stanowi życie, ozdobę, bogactwo i źródło istnienia mieściny.

I my tu spocznijmy na chwilę, bo i nas z konieczności pchnęło nad brzeg morski duszne i skwarne powietrze ciasnego w hotelu pokoiku i widok z okna, kończący się na szczycie sąsiedniej w dziedzińcu brudnej oficyny. Jest godzina 4 po południu,

chwila zwiększającego się przypływu morza. Nad brzegiem morza szumno, gwarno. Roi się jak w ulu. W tej porze kąpiel najprzyjemniejsza; tak przynajmniej z licznego nimf wodnych zebrania sądzić należy. Trzebaby skreślić ten piękny rodzajowy obrazek, jaki tworzy zebrane nad morzem towarzystwo, ale czyż pióro podoła takiemu zadaniu? Czy jest w stanie słowo tylko martwe, blade, oddać we właściwej barwie to życie, co wre i kipi, jak nieco dalej około skały wysuniętej naprzód, kipi woda w otchłani morskiej? Trzebaby pędzla Kostrzewskiego, aby obrazek uczynić nietylko wiernem, ale zajmującem zarazem odbiciem rzeczywistości. Nie śmiałbym tu współzawodniczyć z wytrawnym naszym artystą, z jego talentem do plastycznej charakterystyki, do sarkazmu, który w sobie zawiera dużo głębszej krytyki, trafnego w duszę patrzenia. Malarz dałby tło szerokie rozbujałego lekko morza, posyłającego ku brzegu zielonawe swe fale. Na pierwszym planie obrazu trzebaby umieścić te nieprzeliczone, różnobarwne tłumy, które to płyną ku morzu prawdziwie wielką falą, to co chwila z falą morską odpływają. Wszystkich osób nie dałoby się razem pomieścić, ale trzebaby tylko wybrać co wydatniejsze. Co za bogactwo typów! jakież malownicze wokoło żywioły! A przedewszystkiem ani pojąć możesz, zwyczajny śmiertelniku, coś niedawno przybył z miasta lądowego, od zajęć poważnych, jaki ci się tu widok przedstawia. Czasy niemal zupełnie mitologiczne: bogiń nie mało, Parysów również dużo. A wszystko razem, obok, wśród

tej jednej fali morskiej, co właśnie nadpływa, albo na tym piaszczystym brzegu, tuż obok szumiącego żywiołu. O Parysach nie mówmy: oni właściwie tylko dodatek do charakterystyki obrazu stanowią. Ale oto nimfy wodne, najady, rusałki, co chwila inna, a każda niemal w odmiennym stroju, spieszy do mokrego królestwa Neptuna. Bo i tu panuje moda, i tu znajduje ona szerokie do zastosowania pole. Przesunęło się kilka czarnych postaci, jak nocne widma. W długich płaszczach ceratowych, z czarnym na głowie zawojem, wydały się niby żałobnicy te postaci o bladych twarzach, z cierpiącym wyrazem na obliczu, na którem już lekko-śniadawe ślady pozostawiło palące słońce. To znów inny białośnieżny, powiewny płaszcz się przemknął, tuląc pod swą fałdzistą powierzchnią jakąś postać niewieścią, prawdziwie białogłowską, bo i głowę jej wieńczy białośnieżny turban.

— Czy widzi pan—mówiła do mnie, mniej jeszcze oswojonego z tym widokiem, pani Sz., której zawdzięczam przyjemną w rodzinnym języku rozmowę — czy widzi pan tam obok na lewo owę rusałkę, która zwraca na siebie powszechną uwagę? Spieszy się właśnie zanurzyć w fali morskiej swe piękne ciało.

I oto zbliża się ku morskiemu brzegowi postać rusałki czy nimfy, która codzień podobno zmienia swe barwy, jak niegdyś bogaci rycerze średniowieczni. Dziś biało i ponsowo, oto jej kolory. Ubranie do figury, krótkie i obcisłe. Biało-śnieżna szyja odsłoniona. Nóżka bez żadnego obuwia czy sandałów,

jak za pierwotnych czasów, nieśmiało dotyka grubo ziarnistej, piaszczystej ziemi. Podobno ma być zdrowo delikatną stóp powłokę pobudzać i drażnić tem zetknięciem się z ostremi kamykami. Dlatego też zapewne tak są zdrowi ci wszyscy, co miesiące całe bez obuwia chodzą i z tego powodu nigdy do morskich kąpieli jeździć nie potrzebują. Snuły się całym szeregiem, to do wody, to już z objęć bałwanów morskich, szeregi długie z czerwoną główką, jak makówki, z białem nakryciem, albo bez czapeczki te śmielsze natury, które promieniom słońca palącego pozwalały suszyć przemokłe, czarne włosów sploty. Artysta malarz umiałby niewątpliwie dobrać właściwe typy, umiałby je w piękną ująć grupę. Pióro temu nie podoła.

Nad brzegiem morza, niby amfiteatralnie ciągną się niezliczone rzędy białych, prostych krzeseł, na których spędzają swój drogi czas wszelkiego rodzaju widzowie, chorzy i zdrowi, płci obojej. Jest i trzeci rodzaj—rodzaj nijaki, bogato reprezentowany. Dziatwa kąpie się w morzu piasku. Ów mędrzec Pański stanął nam na myśli, na widok tych maluczkich, które podobnież jak gdyby chciały drobną swą dłonią przelać morze do dołka niewielkiego. Panie i panowie wśród pstrej mieszaniny. Jedni patrzą w morze, inni na to, co się obok dzieje. Jedni myślą o niczem, inni nie myślą wcale. Są tacy, co tylko oddychają świeżem powietrzem. Są tacy, co mówią i mówią wiele z sąsiadem lub sąsiadką. Są tacy, co witają i żegnają tych pielgrzymów wodnych, i dłużej niż przepisy hygieny pozwalają, zatrzy-

mują na brzegu morskim, szczególniej tę lub owę pielgrzymkę. Ale co mówią i jakie wymieniają słowa, któż to odgadnie? Tego i malarz pejzażysta nie przedstawi. Tu trzebaby już poety, któryby podsłuchał, albo sam wysnuł wątek tych rozmów, i odsłonił co się w duszy dzieje i co prawdziwy mogłoby nadać wyraz całej tej rojnej ludności, a przeto obraz uczynić więcej zajmującym niż barwny wizerunek piórem skreślony lub pędzlem choćby najwprawniejszym.

Nie podsłuchaliśmy żadnej takiej rozmowy, aniśmy zresztą słuchać chcieli. Wiatr, od morza ciągnący, niósł na swych powiewnych skrzydłach szum nieustanny, przeciągły, który głuszył wszelki głos tych nikłych, niby cienie, bogiń nadmorskich. Szumiało morze muzyką poważną i kołysało zwolna swe fale taktem ciężkiego wahadła. Głębokie tony płynęły powoli z niezmierzonego odmętu morskiego, i ku zadumie skłaniało wszystko. Nieobjęty ogrom morza przed nami. Zielono-szmaragdową smugą ciągnie się jedno pole wód, a za niem sine rozwijają się szlaki; to znów pod czarniejszą powłoką kryją się przestworza Oceanu, i tam na zrębie widnokręgu zaledwie jakąś ciemniejszą nitką rysują się na tle stropu niebieskiego. Oko z lubością puszcza się w tę dal nieskończoną, i myśl mknie podobnie, jakby po tych promieniach w niezbadaną, w nieprzejrzaną wieczność, nieskończoność. I możnaby snuć tu ten srebrny wątek rozmyślań bez przerwy, gdyby nie budzący się od czasu do czasu gwar ludzki, który nad szumem fali morskich zapa-

nuje. Ani się spostrzeżesz, jak się przed tobą ukaże niby widmo, w białym stroju kucharza, pasztetnik sprzedający ciastka. Siedzisz zadumany, a oto wpada ci w ucho niemile krzykliwy głos hiszpańskiego tandeciarza, który trzyma w ręku kilka łokci sukiennej materyi, i aż do znudzenia zachwala piękność towaru i wdzięk sukni, którą wykroić może artysta-krawiec.

— No lo necesito (nie potrzebuję tego)—rzekłem stanowczo natrętnemu Hiszpanowi, pokazując mu moje ubranie, sięgające od stóp aż do podbródka.—Zwróć się raczej do tych pań, które tu właśnie przechodzą, i które sin duda lo mas necesitan que yo (niewątpliwie więcej niż ja potrzebują).

Odprawa nie pozostała bez skutku, ale sceptyczny co do pań przekupień nie skorzystał z naszej rady. Snadź wiedział, że ta lub inna z najad, choćby za darmo najbogatsze rozdawano tkaniny, nie pokryłaby niemi swej szyjki Ledy.

Ledwie pozbyliśmy się jednego natręta, aliści staje przed nami próżniak dziewczyna, która na sznurku małpkę wodzi i wynędzniałe stworzenie zmusza do wysokich skoków. To znów się Hiszpan w narodowym stroju ukazuje, cały lśni czarnym aksamitem, zdobi go pas czerwony i czerwona czapeczka, i ofiaruje nożyki i noże, kordelasy wyrobu jakoby toledańskiego. Chyba na domiar znudzenia gości sprzedaje swój ostry towar, jak gdyby przeczuwał, że po tych wszystkich natrętnych propozycyach, mógłby jaki Anglik zrozpaczony natych-

miast zrobić z tych kordelasów użytek i samobójczym ruchem uwolnić się od naprzykrzonych przekupniów.

Nie wśród gwarnego tłumu, ani wśród tej pstrej mieszaniny postaci, ubiorów, języków, może i powinna dusza, spragniona głębszych a milszych wrażeń, szukać upragnionego wytchnienia. Potrzeba raczej ku temu większej ciszy i niczem niezamąconego spokoju. Wieczorem, kiedy się wszystko do snu ułoży, znajdzie się pożądana chwila. Właśnie słońce powoli się opuszcza i tonąć się zdaje w głębinach morza. Złota ognista kula niknie z widnokręgu, żadnej po sobie nie zostawiając chmurki.

— To pięknie zachodzące słońce zapowiada nam przecudny wieczór. Jeszcze pan nie widział prawdziwie uroczych miejsc naszego nadmorskiego pobytu—tak mnie pocieszali państwo S., z któremi traf szczęśliwy tu nad brzegiem morskim spotkać się pozwolił. Pani Romana S. przybyła tu z mężem, aby nad brzegiem szumiącego morza zdać sobie sprawę z tysiąca artystycznych wrażeń, zebranych wśród długiej po Szwajcaryi i Włoszech podróży.

Powiększył nasze grono, gościnny dla nas podczas pobytu w Biarritzu, rodak nasz pan Os. z Warszawy i udaliśmy się o wieczornej godzinie podziwiać razem piękności nadmorskiej krainy. Tak zwany Port vieux stanowił cel naszej niedalekiej wycieczki. Była tam niegdyś przystań, dziś zanie-

dbana zupełnie. Skaliste wyniosłości, zapuszczające się w morze niby długie ramiona, sprzyjały niegdyś urządzeniu portu. Na jednej z tych skał wysuniętych naprzód w głąb zatoki, zajęliśmy stanowisko obserwacyjne. Podobne do sfinksów olbrzymich wznoszą swe milczące szczyty, te skały wapienne żółtawego koloru, jak piasek egipskiej pustyni. Jedne sterczą samotnie, jakby w głębokiej pogrążone zadumie. Inne w przeróżnych kształtach łączą się z sobą, fantastyczne tworząc urwiska. Tam, niby paszczęka morskiego zwierza, otwierają swe wnętrza dwie zaklęsłe głęboko warstwy skaliste; to dalej, niby warowne wieże zburzonego zamczyska, wznoszą się słupy ogromnych głazów.

Przed nami właśnie toną w ciemnej mgle wieczornej pasma gór pyrenejskich; tylko kantabryjskich szczytów łańcuch ostrą linią odcina się od szarego tła nieba.

Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie, —

rzekłem słowami Krasińskiego, przerywając poważne milczenie, do którego nastrajał szum morza i uroczy obraz światła srebrzystego, rozlewającego się niewielką smugą na wody, co nas od brzegów Hiszpanii oddzielały. Jeszcze księżyc, co się piął zwolna ku górze, niewielki niby sierp złoty, albo minaretu ozdoba, słabo oświecał wielkie powietrza obszary. Całe krainy w zmroku tonęły i gęste cienie spoczywały na morzu, przypominając ponury koloryt nie-

których pejzażów Ruysdaela lub van de Velde. Po za nami, kiedyś wzrok ku północy zwrócił, widziałeś jasną, prześliczną gwiazdę, która co chwila migała błyszczącem purpurowem, to znów złocistem światłem. Nie była to jednak ani Wenus złotooka, ani Niedźwiedzica północna, bo właśnie prawie wszystkie gwiazdy jeszcze drzemać się zdawały. To latarnia morska taką gwiazdą przewodnią przyświecała, prowadząc ku przystani błądzących po morzu żeglarzy. I w życiu człowieka takim jasnym ogniem palą się wielkie cele i zadania, ku którym zmierzamy wśród fal i wichrów morskich, wśród przeszkód i zawodów.

— Nieskończoność i wielkość! — odezwał się po chwili głębokiej kontemplacyi głos jeden z naszego grona.— Jakże czuje się człowiek maluczkim wobec majestatu tego oceanu bez brzegów niemal, a głębokiego jak miłość bezdenna, miłość nauki i sztuki, jak poświęcenie dla kraju i bliźnich!

— Rozkosz niewysłowiona — dodał głos drugi — poić się tą harmonią szumu morskiego.

— Gdyby to u nas nieopodal Warszawy natura tyle była rozlała bogactwa, aby się niem cieszyć, wznosić i niem budować! Gdyby nam niebo nie było odmówiło widoku tej wielkości!..

I nim dosłyszeć było można szeregu wielu innych gorących życzeń, nim je wypowiedzieć było można, fala morska, uderzając w ściany skały na-

szej, przerywała wątek myśli i słów. Już ci się zdaje, że oko spocznie spokojnie na tym kołyszącym się zwolna przestworze wodnym — aż oto biegnie z daleka olbrzymia fala, piętrzy się, pieni i z wściekłością dzikiego zwierza rzuca się na te skaliste sfinksy, które milczą i jakby z ironią spoglądają na bezsilne gniewy wzburzonego żywiołu.

— Choć nam niebo odmówiło cudnego widoku morza — rzekł znów głos, nawiązując przecięte pasmo rozmowy—mamy jednak u siebie nasze łany nieprzejrzane, nasze równiny wspaniałe, uśmiechnięte zielonem błoniem lub złotą pszenicą, albo nasze szumiące jak morze bory; tam nieco dalej...

— Zresztą przypominając słowa jednego z naszych klasycznych poetów:

Nie winuj przyrodzenia skargami zuchwale,
Żeś mniej łagodne niebo otrzymał w podziale,
Że kiedy kwiaty barwią Erydanu brzegi,
Twą Wisłę lód krępuje, pola bielą śniegi;
Nie skrzywdziła cię losu równoważna władza:
Co ci niebo odjęło, to ziemia nagradza.

I nastąpiła bardzo prędka zgoda między uczestnikami spokojnej rozprawy, która jak ta fala morska wracała, z dalekich płynąc okolic ustawicznie do brzegu, wracała do tych łąk naszych, do tych pól i do tego mniej przezroczystego lazuru rodzinnego nieba.

Księżyc wzbijał się zwolna wyżej, oświecając coraz inaczej swem bladem światłem niewyraźne kontury Pyreneów i przestworze morskie, w którem się to jaśniej, to ciemniej odbijały przeciągające po niebie chmury. Morze chwilami przybierało postać spokojniejszą, mniej gwałtowną i szumiało jakby półtonem. Mogłoby ci się zdawać, że to szept wieczornej modlitwy, którą w pokorze, po całodziennej pracy, odmawia burzliwy żywioł.

Wracamy do miasta. Słowa zachwytu przerywają od czasu do czasu milczenie ogólne. Stają mi w pamięci przecudne obrazy naszego poety w owym ustępie: „Czy pamiętasz nad Alp szczytem?"

Twarz miesiąca nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę, w jasność, w błękit, dal...

II.

BURGOS.

Droga z Biarritzu do Burgosu. — Pyrence. — Pierwsza stacya w Hiszpanii Irun. — Przeszłość Kastylii Starej. — Katedra w Burgosie i inne pomniki dziejowe.

Nie mogę wzroku oderwać od modrych fal morskich. Za chwilę już mi zniknie na długo, na bardzo długo, błękit wodnego żywiołu. Te nurty biskajskiej zatoki, po raz ostatni kołyszą się przedemną. A jakiż tu przecudny widok, nierównie szerszy, nierównie rozleglejszy aniżeli w Biarritzu! Tam brzeg się załamywał, skały biegły w mórze, jak swawolna dziatwa, kiedy ściga uchodzącą w głąb oceanu falę wodną, a tu za Biarritzem, gdy się ku Pyreneom zbliżamy, bez granic się już roztacza nieskończona przestrzeń morskiego przezrocza. Kolej przesuwa się nad samym brzegiem niemal, ale tak blizko, że mógłbyś się o swą całość, o swe życie obawiać, gdyby burza gwałtowna zahuczała na oceanie i gdyby Neptun trójzębnem berłem poruszył niepowstrzymane odmęty swojego mokrego króle-

stwa. Wtedy ten błękit niepokalany zamieniłby się na spienioną, płową, a nawet czarną wód powłokę, a ta niewinna igraszka bałwanów morskich z nadbrzeżnemi głazami, na straszny wylew, któremuby się i wały i mosty i domy i drzewa oprzeć nie mogły.

Ale bądźmy spokojni! Nie tak prędko wystąpi ocean ze swych niewysokich brzegów, nie tak prędko zachwieje się równowaga sił, które w karbach trzymają ten wielki morski żywioł. Więc spokojnie, z odwróconą twarzą ku prawej stronie pieśćmy się jeszcze, choć już niedługo tą wielkością, tym majestatem. Tak pięknie załamują się na powierzchni fal złote promienie południowego słońca, że ani jednej nie dojrzysz smugi na morzu, którąby tę jednostajną przerwała barwę. Nad brzegami bezludnie, na oceanie pusto jak na stepie. Gdzieś zdala jakiś czarny maszt się ukazuje, tam dalej inny, a wszystko spokojnie, poważnie, świątecznie, jakby w dzień uroczysty. Tam okrętów kilka o białych płóciennych skrzydłach, to tak jak śnieżne łabędzie zwolna i niepostrzeżenie posuwają się naprzód. Gdyby można czarodziejską siłą zakląć tę chwilę, zatrzymać ją, zamienić na wieczną i z Faustem powiedzieć:

Werd ich zum Augenblicke sagen,
Vorweile doch! Du bist so schoen...

Ale niepowstrzymanym pędem mknie naprzód, jak wichru w pustyni siłą pchany, szereg na-

szych wagonów. Zamyka się zwolna widok, zacieśnia, wreszcie niknie z przed oczu i snuć się zaczynają jakieś bezbarwne, powszednie obrazy pól piaszczystych, karłowatych drzew i ubogiej roślinności.

Więc trzebaby wzrok odwrócić w inną, przeciwległą stronę. Trzebaby spojrzeć na tę siną Pyreneów ścianę, na te wzgórza, na których się wznoszą jakieś zbrojne zamczyska. Kiedy niekiedy przesunie się przed oczyma okrągławy pagórek, chwilami ukaże się inny, ale całości uchwycić, objąć niepodobna z ciasnego okienka zwróconego w odwrotnym kierunku. W wagonie miejsca zajęte wszystkie, trzeba pozostać na tem niewygodnem stanowisku przykutego do jednej ściany wędrowca.

— Pani jedzie do Hiszpanii?—odzywa się głos naszej sąsiadki, która przerywa ogólne w wagonie milczenie, i uwagę naszą, co szukała właśnie przedmiotu zajęcia, przykuwa do wszczynającej się rozmowy.

— Tak jest pani—brzmi odpowiedź w języku francuzkim, w którym również zapytanie uczynionem było.—Chcę dojechać do stacyi granicznej Irun, przebyć Bidasoę i powiedzieć sobie, żem była w Hiszpanii.

— Pani zna Hiszpanią?

— Sama jestem Hiszpanką rodowitą. Hiszpania moim krajem ojczystym. W tej poblizkiej wsi bawią w kąpielach morskich, gdzie taniej i spokoj-

niej niż w Biarritzu, ale wkrótce wrócę w górskie strony. W Irunie się jednak zatrzymywać, w biednej wioszczynie, czy może jeszcze gorzej, na samej stacyi, nie radzę. Trzeba pojechać trochę dalej, do San-Sebastianu. O tam, to prawdziwa Hiszpania! Tam...

— Tam właśnie my zdążamy, odzywają się dwa nowe głosy niewieście.—Chciałybyśmy widzieć walkę byków. Będąc w Biarritzu, tak blizko Hiszpanii, trzeba korzystać ze sposobności, żeby mieć o tym kraju pojęcie.

Spojrzałem w tej chwili na dwie jak siostry do siebie podobne panie, które szukać postanowiły wrażeń tak silnych w San-Sebastianie.

— Niepohamowana ciekawość — dodał niebawem głos, jakby męża jednej z pań zmierzających na krwawe widowiska—wody nie pomogły, kąpiele skutku nie sprawiły, ałe na igrzysko jechać trzeba! Nerwy rozstrojone jeszcze się rozstroją więcej. Cóż jednak robić? — dokończył mąż potulny.

— Właśnie klin klinem — rzekła Hiszpanka, stając po stronie przedstawicielek swej płci.—Co za piękne miasto San-Sebastian! Tam panie poznają, co jest Hiszpania. Jaka tam czekolada wyborna, to rozkosz prawdziwa! Tu we Francyi, to jakaś polewka, to nie nasza czekolada. A w cyrku, nie wiem jak tam teraz wypadnie, ale niedawno co zawspaniałe były *toros* (byki), jeden piękniejszy od drugiego, a jakie namiętne, dzikie!

Jeden toros czarny, o rogach niby jelenich, położył trupem piętnaście koni, nim sam padł pod ciosem *espady*. Drugi...

Ale nim Hiszpanka zdołała rozpocząć opowiadanie o dalszych zwycięstwach i zaletach byków, wpada w rozmowę jeszcze jeden głos niewieści.

— Pani zna dobrze San-Sebastian? Gdzieby można najtaniej kupić wachlarz? W Biarritzu są takie drogie rzeczy. Wolę do Hiszpanii pojechać, to zawsze o kilka franków taniej dostać można. A materye na suknie?

— Radzę jednak ostrożnie przewozić — rzekła Hiszpanka — bo tu na granicy rewizya celna bardzo ścisła.

— Pani snadź mnie bierze za kontrabandzistkę — rzekła urażliwie Francuzka: wszak ja tylko po jeden wachlarz jadę.

Nie wiemy, jakby się była skończyła ta rozmowa, która tak ostry przybrała odrazu charakter między Hiszpanką, co tak swój kraj zachwalała z powodu dobrej czekolady i pięknych byków, a ową Francuzką, co dla tańszego kupna wachlarza, jechała do San-Sebastianu o cztery godziny drogi koleją z Biaritzu—bo oto właśnie staje pociąg na granicznej stacyi w Irunie.

Ledwieśmy wysiedli, już się sprawdziły słowa Hiszpanki co do granicznej straży i jej wielkiej ścisłości. Anim się zdołał obejrzeć na wszystko, co mnie otaczało, aliści już nas pędzą

przez jakieś ciasne kojce, niby gęsi, do owej rewizyi celnej.

Dokładność i pilność w spełnianiu obowiązków poruczonych przez naczelną władzę celną, przynosi zaszczyt administracyi hiszpańskiej. To zawzięte polowanie po kufrach i tłomoczkach, ten duch niewiary, sceptycyzmu, kiedy daremnie zapewniasz urzędnika, że w tych kilku książkach podróżnych nie masz żadnej karlistowskiej proklamacyi, dobrze usposabia dla Hiszpanii. Mówisz sobie w duchu: „Oto ścisłość, rygor, skrupulatność; to tu pewnie wszędzie tak dobrze funkcyonują wszystkie koła machiny rządowej. Tymczasem tam ktoś źle powiadomiony mówił nam w Warszawie o jakichś *bandoleros* w Hiszpanii. Toć oczywista potwarz!“

Na stacyi pogranicznej było tedy gwarno. Dzień był niedzielny. Ludu prostego co niemiara. Najpocieszniej to przy tem wzajemnem porozumiewaniu się Francuzów i Hiszpanów. Każdy swoim tylko mówi językiem, a jeden drugiego nie rozumie. Ztąd oczywiście wzajemne gniewy i narzekania. Francuzi się oburzają, że służba kolejowa w Hiszpanii nie rozumie ani jednego słowa z mowy sąsiedniego wielkiego kraju, czy wielkiej Rzeczypospolitej. Hiszpanie się dziwią, że Francuzi tak uczeni, nie rozumieją mowy pobratymczej, którą niekiedy za swój dyalekt uważają. Anglicy ci najpraktyczniej się urządzają: milczą poważnie, nie unoszą się aż do pewnych granic i palcami lub ręką wyrażają najsubtelniejsze odcienia swych myśli.

A po dwugodzinnem na stacyi czekaniu, gdy do wagonów wsiadać trzeba było, ponawiały się te same sceny wzajemnych nieporozumień. Cudzoziemcy mieli oczywiście racyę, ale Hiszpanie, nie rozumiejąc dowodów, uznać ich słuszności nie mogli. Gdzie zbliżysz się do pustego jakiegoś wagonu, w nadziei, że tu wygodniej spędzisz 18 godzin drogi ciężkiej do Madrytu, spotkasz wywieszony napis *occupado* lub *reservado*. Więc przypuszczasz, że albo dwór ze świtą całą jedzie, albo grandy hiszpańskie o prawdziwej krwi błękitnej zajmą wkrótce te niezliczone szeregi wagonów. Tymczasem już niemal ostatnia zbliża się chwila odejścia pociągu, a tu nie widać ani dworzan, ani szlachty wysokiej, ani konduktora.

Więc towarzysze nasi podróżni. z nad Sekwany, prawie chórem wydawali z siebie jęki, jakby w ciżbie jarmarcznej, kiedy w wagonie pierwszej klasy dziesięć osób znaleźć musiało dla siebie pomieszczenie. I żałosne potem słyszałeś tony i rozpaczliwe narzekanie i gniewliwe słowa, miotane ogniście jak Jowisza pioruny, bez skutku wszakże żadnego. Ruszyliśmy z miejsca.

Nam się szczęśliwie dostał w udziale skromny kącik przy oknie. Gwarna rozmowa burzliwego towarzystwa trwa dalej. Sypią się skargi ustawiczne, które milkną jednak powoli wobec ciężkiej, a nieodmiennej rzeczywistości i zaczynają się w żałosnym tonie głośne rozpamiętywania nad tem, jak to przejdzie noc dwunastogodzinna w takich zwartych kolumnach, ramię przy ramieniu. Nie słuchajmy atoli

tych monotonnych jeremiad, ani wesołych dowcipów, które jak słońce po deszczu, zaczęły się iskrzyć na ustach swobodnych Francuzów, rzućmy okiem na kraj, który nam się w takiej bujnej przedstawia szacie.

W poprzek przez kantabryjskie wzgórza przerzyna się droga żelazna. Krajobraz wesoły, zielone laski na pochyłości gór nadają życia okolicy, w której i wioski często i gęsto się ukazują i miasto się w wąwozie lub dolinie roztacza. Biskajskie przebywamy kraje i ludne, i zamożne, i bardzo bogobojne. Stanęliśmy na chwilę w San-Sebastianie. Widzę tam cyrk do walki byków, ale nie widzę tych pań co z Biaritzu jechały po silniejsze wrażenia i po tańsze wachlarze. Te panie w Irunie zostały, czekając na inny pociąg miejscowy, który do pośrednich, mniejszych zabiera stacyj.

Żałować trzeba było braku tak dobrze poinformowanej co do kraju swego Hiszpanki, owej wielbicielki czekolady wybornej i dzikich byków. Możebym się więcej dowiedział o kraju, okolicy. Gdyby zresztą Hiszpan jaki wsiadł do wagonu, powiedziałby, jak się to miasto, tamta wieś nazywa. Ale jakżeby się tu pomieścił w liczbie dziesięciu? Chybaby zawisł w powietrzu nad nami, niby miecz Damoklesa.

Nawet wielkiej mappy rozłożyć dla braku miejsca nie można. Widzę z okna, że przebywamy górzystą okolicę, tunel za tunelem, coraz wolniej posuwa się naprzód nasz pociąg, coraz wyżej pniemy się na góry. Za miastem Tolosą coraz smutniejszy

widok przedstawia kralna. Bujna roślinność ustąpiła miejsca karłowatym krzewom. Nagie, obnażone, poszarpane szczyty górskie odsłoniły swe posępne czoła. Ich ściany chylące się ku dolinom również ponure. Jak piersi rozdarte, poranione, tak ci się wydają te pochyłości skaliste, na których potoki, zapewnie wiosenne, takie głębokie zostawiły bruzdy. W dolinie nad rzeką ukaże się czasem kilka zaledwie domków, ale i te tak grobowo, tak cmentarnie wyglądają. Nie bieleją zdala ich ściany, nie uśmiechają się ich ogrody. W domach widać okien otwory, ale nigdzie ani jednej szyby. Czyżby tu duch pustkowia zamieszkał i wicher spustoszenia powiał? Bo i ludzkiej twarzy nie dojrzysz. Drzew coraz mniej, a kwiatu żadnego. Tylko ciemne mchy ścielą się na szarej skał powłoce, albo wrzos różowawy pokrywa nieurodzajne górzystych pól przestrzenie. Mosty na arkadach, jakby dawne rzymskie, z wielkiego kamienia ciosowego przebiegają od brzegu do brzegu pochyłości skalistej. Czasem krótkie, czasem dłuższe, ale liczne bardzo. Te zdumiewające ślady pracy ludzkiej odejmują okolicy charakter stepu czy pustkowia. „Tu byli ludzie, mówisz sobie w duchu, tu pracowali, tu żyli wreszcie.“

Prędko wieczór mglisty na znacznej wyniosłości gór pozazdrościł nam i tej jedynej w tem zamknięciu więziennem rozrywki. Pociesza mnie jednak nadzieja, że koło godziny 9-ej staniemy w Burgosie, gdzie opuszczę ku pociesze Francuzów ciasny wagon i zatrzymam się w tem mieście, jako

w pierwszem wśród naszej na półwyspie iberyjskim wędrówki.

Nadzieja była zwodnicza. Kiedym na kwadrans przed 9-tą zapytał na przystanku konduktora, któregom po raz pierwszy w ciągu drogi naszej ujrzał, czy już wprost do Burgos przybywamy, według rozkładu jazdy, powziąłem wiadomość, że z powodu trzygodzinnego spóźnienia zaledwie tam o północy staniemy.

— Racz pan powtórzyć — rzekł do nas znajomy towarzysz podróży — coś pan tam w tym niezrozumiałym dla nas języku z konduktorem rozprawiał. Może spisek, przekupstwo, może osobny przedział?

— Nie, panowie, spóźniony pociąg o trzy godziny. Wysiadam jednak w Burgosie, dokąd przybędziemy około północy.

Rozpacz łączyła się z radością.

— Trzy godziny drogi więcej niż przepis każe, ale co za piękne dla naszej wygody widoki! Jeden ubędzie, zostanie nas dziewięciu, mówili jakby chór zgodny towarzysze podróży.

I wszczął się spór, jak podzielić między pozostałych jedno opróżnione miejsce. Spór toczył się długo, aż później we dwie godziny skończył się jak wszystkie. Siła rozstrzygnęła. Kiedym w Burgosie bowiem nareszcie wysiadał, już konduktor miał na miejsce moje gotowego kandydata. Czy się nowy przybysz przedostał przez ścieśnione szeregi waleczników, którzy na ten widok powstali

wszyscy z miejsca, by bronić wyłomu w twierdzy, nie dopuścić przepełnienia, nie wiem, bom pożegnawszy towarzyszów niedoli, wyszedł spiesznie przed dworzec kolei, pytać, azali z powodu spóźnienia tak znacznego znajdzie się gdzieś jaki rydwan, na którymby można tryumfalnie wjechać do miasta?

I tu nowy zawód. Już pustki zupełne, ale oto omnibus. Czy może Fonda La Rafaela?

— Si señor, oddam rzeczy konduktorowi — rzecze jakiś usłużny chłopczyna, wyrywając mi z ręku podróżny tłómoczek.

Spojrzałem na omnibus. W omnibusie ciemno. A dalej przed omnibusem konie, ale ponury zmrok nocny ognistych rumaków rozpoznać nam nie pozwala. Przyglądam się bliżej, bo mnie ten kształt głowy razi. Toć muły, nie konie! A któżby ich nie poznał po tych uszach długich, które jakoś obwisły ku ziemi, bo zwierzęta się zdrzemnęły snadź na dobre, czekając daremnie na gości spóźnionych, i konduktor gdzieś się ukrył w cieniach nocy. Woźnicy nawet niemasz na koźle.

La Rafaela brzmiało mi harmonijnie w uszach i nazwa ta obudziła w duszy cały szereg uśpionych wrażeń klasycznej Italii. Ale prędko wspomnienia artystyczne pierzchały trwożliwie, kiedym na te uśpione, a mniej estetyczne muły spoglądał.

Wreszcie, zbudzony przez chłopczynę, wyjrzał z omnibusu konduktor. Ukazał głowę, po-

krytą czerwonym turbanem. Była to karlistowska czapeczka, okrągła, spuszczona na czoło bez daszka, jak się później bliżej przyjrzałem.

— Buenas noches, señor — rzekł wreszcie, ukazując się w całej postawie zdrowego dwudziestoletniego chłopaka, w krótkim spencerku: Już tu trzy godziny na pana czekamy.

— Vamos presto — mówiłem do niego — ya es tarde y estoy muy cansado *)

— Si señor, luego — odrzekł nasz konduktor omnibusowy, który przy blasku lampy naftowej w korytarzu dworca ukazał się teraz w całej świetności swojego ubogiego, mocno przetartego ubrania.

To znaczy: zaraz, wkrótce.

Pobiegł po rzeczy, po tłomok podróżny, jam cierpliwie czekał, zazdroszcząc tym koniom o długich uszach słodkiego snu, w jakim ciągle pogrążone być się zdawały.

Wreszcie nadchodzi konduktor.

Otwiera drzwi ciemnego jak bezdenna przepaść omnibusu i wrzuca głośne słowa:

— Hidalgo, levantese Usted!

Szlachcicu, podnieś się!

Byłem zrazu pewien, że tam jakiś Kastylijczyk z rycerskiego stanu zdrzemnął się, czekając także jako przybysz na innych jeszcze gości. „Hidalgo

*) Jedźmy prędzej, już późno, a czuję wielkie znużenie.

ingenioso," rzekłem sobie w duchu. Wszakżeż to tak się nazywał Cervantesa rycerz błędny „Don Quijote." O, rozumiem teraz! Więc dobrze, poznam pierwszy raz szlachcica hiszpańskiego. Ciekawość mnie przeto zdjęła, zbliżyłem się do ciemnego powozu, kiedy konduktor powtórzył tę samą odezwę do rycerza spoczywającego w omnibusie:

— Hidalgo!

A gdy Hidalgo żadnej nie dawał odpowiedzi, konduktor w czerwonej czapeczce sięgnął ręką w głąb omnibusu i jakby trząsł gruszki, machał nią w prawo i w lewo.

— Hidalgo, siadaj na kozieł! — wołał po raz trzeci — gość przyjechał: Vamos.

— Hombre! (człowieku), daje się głos słyszeć z wnętrza omnibusu głos ochrypły zaspanego szlachcica: Hombre, nie przeszkadzaj, bo mi się spać chce.

I znów: Hidalgo! hidalgo! — i znów z całą flegmą i powagą kastylijską słyszę: — Daj się jeszcze zdrzemnąć chwilkę.

Nareszcie ukazuje się po dłuższych naleganiach zaspany woźnica, ów Hidalgo, któregośmy wzięli za kastylijskiego rycerza.

Z powagą, godną rzymskiego patrycyusza, dumnie, jak prawdziwy Kastylijczyk, porzucał Hidalgo swoje wygodne stanowisko, przechodząc na wyższe, z którego miał poruszyć już niemal skamieniałe konie, raczej muły i nas tym sposobem nareszcie zbliżyć do celu półgodzinnych westchnień.

Siadł za nami do omnibusu konduktor w czerwonej czapeczce, zapalił cigaretto i w poczuciu zupełnej równości, w poczuciu tak tu wszędzie powszechnem w całej Kastylii, rozpoczął z nami rozmowę o zimnem powietrzu, o spóźnionym pociągu i o swoim śnie trzygodzinnym, i o owym Hidalgo ingenioso, który towarzysząc konduktorowi, także wyciągnął na wygodnej ławie swoje ciało, trzy dobre łokcie długości mające.

Don Quijote stał nam ciągle na myśli. Jedna chwila przyczyniła się do zrozumienia Cervantesa więcej, niż najdłuższe przedmowy wydawców do tej powieści, lub najuczeńsze komentarze.

Nareszcie przybijamy do brzegu z naszą arką. Na piętrze w korytarzu siedzi gospodarz La Rafaela przy stole; otoczony gronem usługujących dziewcząt, które znaczeniem bielizny były zajęte.

— Buenas noches tenga Usted — rzekłem uprzejmie pierwszy do gospodarza. Czy jest dla mnie mieszkanie?

Gospodarz uchylił czarnej czapeczki, z pod której ukazała się łysa głowa poważnego właściciela fondy (hotelu).

Zdaje się, że odpowiedział po cichu: Buenas noches, i z całą powagą, jak na kurulnem krześle, siedział po dawnemu, nie ruszając się z miejsca.

— Hay un cuarto para mi? — powtórzyłem z pewnym naciskiem pierwsze pytanie.

— Si señor — odrzekł spokojnie gospodarz, i po dość długiej konferencyi z otaczającem go gronem, rzckł wreszcie lakonicznie: — Ochenta y uno.

Więc pod Nr. 81. Oto powaga kastylijska. Pod numerem powyższym było schludnie, porządnie. Do niewiasty, odchodzącej po wskazaniu mi pokoju, zwróciłem się z zapytaniem:

— A są też zapałki?

— No señor, tu nikt ich nie używa.

— Jabym jednak o nie prosił.

— Niema tu takiego zwyczaju..

I to także była kastylijska powaga, kastylijska duma.

Na długie rozmyślania nie starczyło czasu, ale prędko umiałem sobie zdać sprawę z wrażeń ostatniej godziny. Gdzieindziej w Niemczech zabiegły gospodarz, właściciel hotelu, wybiegnie na twe spotkanie z całą służbą, witają cię jak dzieci ojca swego, jak słudzy pana. Ukłony bez końca, uprzejmość, choć może sztuczna, ale i ta udana nie jest zbyteczną. Tu zaś powaga z dumą. „Chyba to co innego, pomyślałem sobie, kiedy się już oczy kleiły. To zapewnie nieradność, niedbałość, jakieś ociężenie ducha.“

* * *

O wczesnym ranku chciałem wybiedz na miasto, stanąć przed katedrą, pozostać w niej i znów zawrócić, zacząć pielgrzymkę od katedry i na niej

skończyć. Toć dla niej się tu umyślnie zatrzymałem, by podziwiać jedno z najpiękniejszych arcydzieł gotyckiego budownictwa.

Tymczasem niebo pokryło się sinemi chmurami, przejmujące zimno przenika do pokoju, a wiatr północno-wschodni jeszcze uciążliwszym ten chłód czyni. Wreszcie spłynął z nieba prawdziwy deszcz jesienny, nie ulewny, ale taki ślamazarny. Wyjrzałem przez okno na miasto.

Wszystko jakby obumarłe. Z za domów widzę sterczące wyniosłości, które Burgos amfiteatralnie obsiadły, pierścieniem wysokim zamykając jego horyzont. Te wzgórza tchną także dziwną powagą, tak jak gospodarz La Rafaela. Obnażone zupełnie, jak gdyby ciało ze skóry obdarte, czerwonawo-gliniastą barwą drażnią oko. Ani jednego drzewka na nich, ani jednej niwy zielonej, ani jednego zielonawego łanu. Więc zdało nam się, że ta natura pozbawiona wdzięku, uśmiechu, ten grunt jakby kamienisty, pozostają zupełnie w ścisłej zgodzie z charakterem, z usposobieniem ludzi, co te strony zamieszkują.

Już dawno takiego dnia nie pamiętam, już dawno nie pomnę takiego ołowianego nieba, takich chmur brudnych i takiej nagiej ziemi. Jesienne niebo petersburskie razem z tamtą okoliczną pustynią wydało mi się lazurem i ogrodem umajonym kwiatami w porównaniu z tą kastylijską pogodą i tą straszną naturą.

I już u progu wędrówki rozczarowanie straszne. Hiszpanio! czy to taki jest twój błękit, wiel-

biony w pieśniach, chwalony w podaniach, czy to takie tylko bogactwo natury, tej natury wielkiej, co i te wielkie w twoich dziejach wydała charaktery? O, ten wicher zimny, dżdżysty, byłby wkrótce rozwiał ułudne o złotopromiennej Hiszpanii marzenia, o jej pomarańczowych gajach, o mirtach, granatach i poetycznych palmach... gdyby nie chwila rozwagi, zastanowienia.

Na tę słotę wyjść niepodobna. Trzeba pozostać, przeczekać, może się wypogodzi. A tymczasem trzeba sobie przypomnieć, czem jest Burgos i gdzie leży.

Burgos jest w dziejach Hiszpanii, tak jakby w naszej przeszłości Kraków, Sandomierz, Poznań lub inny gród warowny. Był zrazu siedliskiem udzielnego hrabiego, który miał zbrojne zamczysko, tak jak wielu innych w całej tej górskiej okolicy siedziało w zameczkach. Te warowne twierdze zwały się castella z rzymska, castilia w mowie ludowej. Na długiej linii między Ebrem a rzeką Duero, w górnym biegu tych rzek ciągnęło się pasmo takich zameczków. Były to obronne miejsca przeciwko Arabom, Saracenom, co jak wiadomo już w VIII wieku, w zwycięzkim pochodzie zalawszy Hiszpanię przekroczyli Pyrenee. W tych zamkach zgromadziły się zastępy chrześcijańskich rycerzy, którzy w imię krzyża przeciwko muzułmanom walczyli. Ten kraj więc pograniczny, to przedmurze, usiane szeregiem zameczków, zaczęto Kastylią nazywać. W Polsce warowne grody z okolicznym powiatem nazywały się podobnież nie Kastylią, ale kasztelanią. W Bur-

kiego mocarza. W murach tego miasta nie jeden pamiętny zaszedł wypadek. Domy tego miasta spoglądały i na również sławnego Fernand Gonzalesa. Tu nieraz na tych szerokich placach przed kościołami gromadziło się rycerstwo chrześcijańskie, a w tych świątyniach brało z sobą błogosławieństwo na krwawy bój z muzułmańskiemi zastępami.

Te wspomnienia dziejowe, tak słabo tu piórem oddane, przesuwały się w pamięci naszej, gdyśmy od wczesnego ranka już spoglądali na puste ulice Burgosu, czekając pogodniejszej chwili, aby podążyć przedewszystkiem do katedry. Ale niebo wystawiało cierpliwość naszą na ciężką próbę. Nie widać ani jednego promienia złotego słońca, i gdybyśmy wytrwale czekać chcieli, nim pogoda zabłyśnie, możeby nie tak prędko można było wydostać się z chwilowego zamknięcia.

Bo Burgos leży wysoko. Jeśli nas pamięć nie myli, to wznosi się nad morzem na półtora tysiąca stóp i stanowi jakby rozległą tarczę, ku której zmierzają od północy i północo-wschodu wichry, rozbijając tu swe powietrzne fale. Ztąd też przenikliwe zimno i ta wczesna w połowie września jesień.

— U nas śnieg niekiedy i w czerwcu pada — mówił nam gospodarz z kastylijską powagą, kiedym zniecierpliwiony pogodą zeszedł na dół zapytać się miejscowych augurów, coby o tym deszczu mniemali. Przetrze się niebawem — ciągnął dalej właściciel La Rafaela — przejdź się pan tymczasem do katedry, która ztąd niedaleko

Czułem się więcej zbliżonym do sąsiada, od chwili, gdym powziął od niego wiadomość, że jest korespondentem. Rozmowa toczyła się dalej.

— Dam naprzykład — mówił korespondent francuzki — dam w liście moim opis katedry. Cóż to za świat różny i odmienny od naszego. Ani jednego krzesła, żeby usiąść, odpocząć. Kobiety klęczą na podłodze kamiennej. Wszystko to opiszę. Opiszę, jak tu kobiety w kościele chłodzą się wachlarzami. Każda macha wachlarzem, jak śmiga od wiatraku. A dzisiaj takie zimno było! Bo pan nie wie, wachlarz w Hiszpanii to trzecia ręka dla kobiety, trzecie oko, drugi język, trzecie ucho. Wczoraj widziałem oficera, jak się na ulicy chłodził wachlarzem, mimo deszczu i zimna. To wszystko uwydatnię... I tę czekoladę opiszę, którą mi tu rano podali, gęstą jak ciasto, z tym kawałkiem białego chróstu (auzucarillos), z którym nie wiedziałem co zrobić...

— Czy nic więcej pana w katedrze nie uderzyło? A sama katedra. Nie da pan jej opisu, rozkładu, charakterystyki — składowych części?...

— O! to są za nudne rzeczy. Zresztą w książce każdy, kto chce, przeczytać może. To archeologia... Ale zwyczaje, obyczaje, to życie. Tego nie wyczyta w uczonej książce, to trzeba widzieć, żeby opisać, uwydatnić.

Powoli węzeł bliższej znajomości zaczął się rozwiązywać, kiedy nam sąsiad nasz coraz więcej podobnych przytaczał szczegółów, które miały złożyć się na barwny pejzaż jego korespondencyi. Wreszcie umilkła rozmowa, kiedyśmy się sami głębiej zastanawiać zaczęli, czy istotnie nasz towarzysz po piórze nie miał słuszności, że opisy kościołów, obrazów, grobowców znajdą się w książce, a czytelnik przenosi nad takie obrazy, sceny z życia, z podróży, ciekawe wypadki, niespodziane zdarzenia... To zajmuje więcej, niż owe ckliwe zachwyty nad pięknością natury, nad arcydziełami sztuki, pomnikami przeszłości.

Więc jeśli i polski czytelnik tego samego jest zdania, zaniechamy już dalszej po Burgosie wędrówki. Niech nam tylko wolno będzie tu wspomnieć, żeśmy jeszcze kilka w raptularzu zapisali kartek o pięknym gotyku San Gil, o również pięknym klasztorze San Pedro de Cardena, który o milę drogi odległy jest od miasta. Tam, Cyd walecznik ów chrześcijański, kiedy rycerzy zgromadził do boju za krzyż święty, szedł po błogosławieństwo dla sztandaru, pod którym walczył. Ciekawość nas zdjęła zobaczyć także kości tego rycerza dzielnego i sławionego, które się w gmachu ratusza w szklanym sarkofagu razem z kośćmi jego żony mieszczą. Mamy i o tem obszerniejszą w raptularzu notatkę, ale...

Dość już długo, dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal,
Czas uderzyć w strunę drugą...

— „Żegnaj nareszcie, stare Burgosl“ — rzeknie zniecierpliwiony czytelnik.

Więc *adios*...

Niech jednak spojrzę jeszcze na katedrę.

Pulcra es et decora...

III.

SIMANCAS.

Niebezpieczeństwa podróży. — Wjazd do Simanki. — Widok wioski. — Niewygody pobytu. — Archiwum państwa. — Bogactwa historyczne. — Wyjazdz Simanki.

— Simancas? — zapyta w duchu uważny czytelnik, kiwnąwszy głową, ruszywszy ramionami.

— Oczywista pomyłka! Nie spostrzegł się nasz wędrowiec. Chce nam o Salamance pisać!

Któż nie zna Salamanki? Kto o jej mędrcach nie słyszał, o sławnym uniwersytecie, o tej wszechnicy, co była swego czasu dla Hiszpanii taką jasną latarnią? Któż nie czytał, a przynajmniej nie pamięta licznych w literaturze wzmianek o komedyi Espronceda: „El estudiante de Salamanca?"

Pozwól jednak, uważny czytelniku, zapewnić cię w sposób najuroczystszy, że tu niemasz żadnego błędu. Nie Salamanka, ale najwyraźniej Simancas. Litera docet, litera nocet. Niewielka różnica na pozór, a jednak różnica!

Istotnie Salamanka ztąd niedaleko. Gdyby tu była w pobliżu góra tej wysokości, z której Mojżesz dojrzał Ziemię Obiecaną, toby tu można zobaczyć i uczoną Salamankę w odległości nie więcej niż piętnastu mil na południe. Więc Simancas! Wioska niewielka, biedna, samotna jak wygnaniec wśród pustyni, ale bogata w nieprzebrane skarby nauki, w pamiątki minionej przeszłości. Największe archiwum państwa, wielkiej niegdyś Hiszpanii, tu się znajduje.

Chcesz wiedzieć, czytelniku, jakie nas tu zagnały losy? Powtórzę więc z Eneaszem, owym starym rozbitkiem ze starej Troi:

Ac si tantus amor casus cognoscere nostros, incipiam... *)

W dniu 28 czy 29 września b. r., znaleziono w poblizkiem mieście Valladolidzie, odległem o dwie mile od Simanki, w nurtach szarawej rzeki Pisuergi ciało nieznanego człowieka, którego nikt z miejscowych mieszkańców rozpoznać nie był w stanie. Na bieliźnie tylko odszukać się dały początkowe litery imienia i nazwiska L. L., ale i te znaki żadnego nie rzuciły światła na ciemną i zagadkową sprawę. Jak zawsze, tak i w tym wypadku, w najrozmaitszy sposób tłómaczono sobie przyczynę śmierci jakiegoś, o ile jeszcze poznać można było, młodego człowieka: zemsta, grabież, morderstwo,

*) Skoro tak wielka chęć poznania naszych losów, tedy zacznę (mą opowieść).

zawiedziona miłość i t. d. Niebawem, bo już dnia następnego, zaczęły się pilne poszukiwania ze strony konsula francuzkiego, zamieszkałego w Valladolidzie. Właśnie otrzymał on list z Bordeaux, list pełny trwogi i niepokoju, z zapytaniem jak najpilniejszem, aby dał znać, czy nie wie, co się dzieje z Ludwikiem Lande'm, który przez kilka tygodni bawił w Simance w archiwum, który już miał w tych dniach wrócić do domu, tymczasem żadnej o sobie nie daje wieści.

Dwie początkowe litery na bieliźnie trupa, wyciągniętego z rzeki Pisuergi, zdawały się rzucać pożądane światło na sprawę, o której również już była wieść doszła do uszu konsula francuzkiego.

Więc oto pierwsze poszlaki. Spiesznie dano znać o tem do Bordeaux, tymczasem aż do sprawdzenia tożsamości osoby, zwłoki nieszczęsnej ofiary zatrzymano w należytem zachowaniu. Przybył wkrótce do Valladolidu brat ciężko stroskany i ku strasznemu swemu przerażeniu, poznał po znakach ledwie już dostrzegalnych, swego brata rodzonego Ludwika Lande'a, profesora szkoły politechnicznej w Paryżu, współpracownika „Revue des deux Mondes."

Pierwszy „Times" podał wiadomość o morderstwie, powtórzyły ją za nim gazety francuzkie. Miejscowe hiszpańskie nic się nie odzywały w tej sprawie.

Wobec tego uporczywego milczenia urzędowych i prywatnych dzienników, cały ten wypadek w od-

daleniu przybierał rozmiary i barwy strasznej, oburzającej zbrodni.

W ambasadzie jednej i drugiej dano mi o tem wiadomość, tymczasowo powziętą tylko z gazet.

— Nie jedź — mówił do nas znajomy i życzliwy, posłyszawszy o zamiarze udania się w tamte strony — zbliża się pora jesiennych i nocnych wycieczek rozbójników wiejskich.

— Zostań — mówił drugi — znajdziesz dużo ciekawych papierów, o które się dziś nikt nie troszczy, jak o całą tam przeszłość minioną, a stracisz życie. I cóż ci ztąd przyjdzie?

— Można jechać — twierdził inny, dobrze ze stosunkami miejscowemi obeznany — ale trzeba się uzbroić od stóp do głowy. Do Madrytu nawet — ciągnął mój znajomy, nigdy się nie udaję bez rewolweru. Nie radziłbym bez broni palnej puszczać się w drogę, zwłaszcza w drogę tak odległą a oczywiście niebezpieczną.

Nie usłuchałem zdania ani tych, co namawiali aby się wstrzymać, ani tych, co chcieli, bym się na zbrojnego zamienił rycerza.

Więc dalej w świat do Simanki, śmiało i odważnie, nawet bez broni, bez kostura pielgrzymiego!

W Eskurialu, puszczając się w drogę, żegnałem rodaka dr. H., którego na kilka dni przedtem szczęśliwy traf spotkać mi pozwolił.

— Jeśli nie wrócę z Simanki — mówiłem — daj o tem przynajmniej znać do Warszawy, że już

z tego świata nie będę mógł przysyłać korespondencyi i listów.

W wagonie, do którego wsiadłem, powitało mnie głuche milczenie. Znalazłem się samotny jak w pustyni. Grozę tej samotności powiększał ponury zmrok, który niebawem nieprzejrzystą zasłoną pokrył ziemię i niebo. Na niebie ciemne, jesienne chmury, posępne jak Eskurialu katakumby, jak głuche tego klasztoru gościńce. Już nawet szczytów Guadaramy, również ponurych jak duch Filipa, który wzniósł te gmachy, rozpoznać nie mogę. Wszystko noc powlekła czarnym kirem. Samotność w wagonie, nawet jej nie przerwie głos konduktora: — Señor, billete! — Więc może we śnie głębokim utopić obawy wszelkie, troski i niepokój, który się powoli budzić zaczął, pod wpływem choćby tej oto ciemnej nocy, tego pustkowia. Ale sen, ten upragniony dusz strapionych przyjaciel, nie przyjdzie wtedy, kiedy go tak niecierpliwie wyglądasz.

Gdybym był teraz — pomyślałem sobie — na jednym z odczytów postnych w Warszawie, gdyby się wagon zamienił na salę ratuszową, a na katedrę wstąpił jeden lub drugi z prelegentów, o! co za rozkosz słuchać i powoli, powoli, słodko marząc o niczem, zasnąć.

Niestety! daremnie wołam z Syrokomlą, jeśli się nie mylę:

Morfeuszku, sklej mi oczy,
Niechaj jaki sen uroczy
Zobaczę.

Zamiast snów uroczych — świadomość trzeźwa, a wyobraźnia pobudzona wydobywa z archiwum pamięci jedno zdarzenie za drugiem, które się niedawno dość głęboko w niej zapisało. W jednem z pism hiszpańskich czytaliśmy właśnie wstępny artykuł o „bandoleros“ pod miastem Toledo, niedaleko Madrytu, gdzie się rozbójnicy ukazali w znacznej liczbie. Stoczyła straż ziemska z nimi bitwę, czterech z bandoleros padło trupem, inni umknęli w góry niedostępne.

I znów inny artykuł nasunęła pamięć, usłużniejsza w takich chwilach niż kiedykolwiek indziej. Niedaleko Gibraltaru potworzyły się, według tutejszych dzienników, liczne oddziały rzezimieszków, którzy drogę niebezpieczną czynili. Zmuszona była władza wystąpić zbrojnie, i... na chwilę znów spokój przywrócony został.

Zamiast więc poważnych myśli o Filipie, Eskurialu, o tej strasznej niegdyś potędze hiszpańskiej monarchii, roiły się po głowie w ciągu kilku godzin płonne, rzekłbym kobiece obawy, powstałe w fantazyi podnieconej niewygodą drogi i niewywczasem.

Już po północy stanęliśmy w Valladoidzie. Rozjaśniła się noc ciemna, księżyc słabem światłem na skraju nieba, chyląc się ku końcom swej drogi, oświecał kilka ponurych postaci, które się przed nami przesunęły. Na dworcu pusto. Jakiś usłużny Kastylijczyk, niby błędny rycerz, nieco obdarty, a straszny jak kryminalista, ofiaruje swe usługi, by odnieść nasz tłomoczek.

Spojrzałem — do miasta daleko a pusto, jakieś drzewa, alee.

— Wróć się, hombre (człowieku, bardzo powszechny sposób przemawiania do nieznanej osoby), rzekłem: wszak tu jest jakiś omnibus.

W omnibusie — jedna jedyna osoba.

— Digame Usted — rzekłem do nieznajomego — onde esta la mejor fonda en esta ciudad? (powiedz pan, gdzie jest najlepszy hotel w tem mieście?)

— Usted es extranjero? (wym. estranchero). Yo tambien (Ja także). Ale choć jestem cudzoziemcem również — mówił uprzejmy Francuz w swoim języku, w którym snadź był wymowniejszy niż w kastylijskim — jednak często tu przyjeżdżam do Valladolidu. Byłem tu w mieście przez dni kilka. Teraz właśnie wracam z dwudniowej wycieczki. Mogę dać wszelkie objaśnienia, jakich pan zażąda. Hotel Fonda del Siglo, dokąd pojedziemy, nie jest szczególny, ale względnie najlepszy w całym Valladolidzie.

I zanim Francuz zaspokoił pierwszą naszą ciekawość, dokąd się zwrócić, i zanim leniwe, o kontemplacyjnem usposobieniu muły ruszyły z miejsca, już cały szereg innych posypał się z mej strony zapytań, a przedewszystkiem, jak się miała rzecz z owym Francuzem, zabitym, czy zamordowanym niedawno?

— Prawda, panie, najrzetelniejsza — mówił nam Francuz — prawda; zabili go, zamordowali

o godzinie 5-ej przed wieczorem na ulicy i na drzewie powiesili.

— Czy złupili także?

— Nie, znaleziono owszem pieniądze i zegarek przy nieboszczyku. Bo tu, panie — ciągnął dalej dla uspokojenia mego uprzejmy Francuz — tu nie zabijają dla korzyści, łupu. Niedawno w tej okolicy czterech ludzi padło ofiarą zabójczej ręki. Ale to zemsta, to bójka, enfin que sais-je? nawyknienie.

— Jakto? nawyknienie? — zapytałem — między dumnymi Kastylijczykami? I tu właśnie światło dzienne ujrzał, w tem mieście Valladolidzie, ów ponury i groźny Filip II? Więcby przypuszczać było można, że w tym grodzie powietrze usposabia do czarnych myśli i czarnych czynów? Wszak tu także Alonso Cano, ów znamienity artysta malarz, snycerz, zabił swą żonę!

— Pan jesteś artystą? — zagadnął Francuz, zresztą już nie pytany, raczej sam zapytując. — Przybywasz pan tu w celu studyów artystycznych? O! tu podobno bardzo wiele malowideł i pięknych. Nigdy ich nie widziałem. Nic mnie takie rzeczy nie obchodzą. Ja tu zwykle w tej porze przyjeżdżam dla kupna wina — *mosto*. Właśnie teraz winobranie. Mamy wielkie piwnice w Bordeaux. Czy mogę panu służyć? Oto nasza firma.

Na szczęście stanęliśmy przed Fondą i już nie miałem czasu odebrać wielkiej karty, którą mi chciał ofiarować usłużny i duchem przemysłowym ożywiony Francuz.

— Jutro się jeszcze zobaczymy — dodał spiesznie, żegnając się z nami.

Rozmowa o winie, poszukiwanie w hotelu jakiegoś kątka odwróciły uwagę naszą na chwilę od strasznego przedmiotu krwawych zbrodni, który jak zmora nocna cisnął, tłoczył myśl i wyobraźnię zbytecznie pobudzoną.

Ale znów, jak kamień Syzyfa stoczył się całym ciężarem niepokój, kiedym się ujrzał w ciasnej, ciemnej alkowie, pozbawionej wszelkiego światła, okna nawet... Wszystko zajęte, lepszego pomieszczenia niemasz. Gdzie tu innej szukać siedziby o tak późnej porze?

Więc na myśl różne przychodziły uwagi, a przedewszystkiem żal się budził w sercu, że się nie wzięło z sobą kilku rewolwerów...

* * *

Nazajutrz pogodne niebo, widok ludnego i ruchliwego miasta rozproszyły prędko wszelkie obawy, jak owo słońce poranne, co spędza w górach gęste mgły jesienne. Jeden jednak zawsze pozostawał punkt czarny na rozjaśnionym horyzoncie. Mieszkańcy Valladolidu, zapytywani przez nas o szczegóły dokonanej zbrodni, zbywali nas półsłówkami. Nie radzi o niej mówili. Przed cudzoziemcem chcieli niejako ukryć samo zdarzenie, niby ze wstydu, że się między nimi podobne dzieją sprawy.

W południowej porze, wygodną drogą, traktem szerokim, prowadzącym do Salamanki i Segowii, w wygodnym powozie zmierzaliśmy ku Simance.

Dwie mile odległości przebyliśmy prędko i właśnie w porze, kiedy ruch mógł być najwięcej ożywiony. Jeszcze przed godziną trzecią zamierzyliśmy stanąć w miejscu naszego obecnego pobytu, aby zaraz rozmówić się z dyrektorem archiwum, od niego zasięgnąć wiadomości bliższych o tem, jak się urządzić, gdzie zamieszkać i jak rozpocząć poszukiwania naukowe.

Była zaledwie godzina druga w południe. Wjechaliśmy w labirynt ciasnych uliczek, wysypanych grubym żwirem kamiennym, dość sporej wioski, ale tak zacieśnionych, że domek stał obok domku, jedna lepianka obok drugiej, jak niegdy domki w warownych grodach średniowiecznych. Do środka wioski już powóz dotrzeć nie mógł. Wyległa na uliczkę ciekawa gawiedź wiejska, ukazały się w małych otworach okien, niby więzień ponurych, czarne głowy również ciekawych niewiast. Poruszyło się wszystko w okolicznych domach, cokolwiek żyło, cokolwiek głos wydawało. Odezwał się nawet, rycząc przeraźliwie, jakiś osieł, snadź schorowany, kiedy w tej porze pozostał we wsi i nie poszedł z towarzyszami pracować ciężko w winnicy.

Ciekawość białogłów kastylijskich ułatwiła nam jednak zebranie pierwszych najważniejszych wiado-

mości, bez dalszego błądzenia po labiryncie ciasnych uliczek wiejskich.

— Archiwum już dawno zamknięte — rzekła jedna stara kobieta, wychyliwszy całą niemal głowę z małego bez szyby okienka. Archiwum otwarte tylko do godziny pierwszej, później już tam nikt nie chodzi.

Więc oto pierwszy zawód, pierwsze rozczarowanie.

— Ale czy na pewno? — dodałem z niedowierzaniem.

— Si, señor — potwierdziła staruszka, mówiąc pięknym, poprawnym kastylijskim językiem — Ya (zamiast książkowego yo) lo se bien: el archivo estando serrado a la una en verano y en invierno.

— A gdzież tu, powiedzcie, kochani, jest jaka *fonda* albo *posada* (oberża).

I nim odpowiedź na to pytanie nastąpiła, jużem się ujrzał otoczonym całą gromadą wyrostków i starszych kobiet wiejskich, które chętnie chciały nam pomódz w zakłopotaniu naszem. Wszystkie jednogłośnie twierdziły, że w żadnej posadzie mieszkać nie można. Tylko gdzie prywatnie chyba przyjmie do siebie jaki aldeano (wieśniak). I tu właśnie na tym punkcie rozbiła się jak o skałę dotychczasowa zgoda w zdaniach miejskich kumoszek. Każda innego radziła gospodarza, to don Sebastiana, to don Miguela, to don Pabla. Większość głosów była za don Pedrem. Tej większości poddałem się chętnie.

Ale don Pedro mieszka na samym skraju wioski, tam dalej ku rzece, gdzie się wzgórze stromo spuszcza ku nizinie. Tam, jak ludzka pamięć sięga, nigdy żadnym wózkiem, choćby dwukołowym, nikt nie podjechał.

Z tłomoczkiem tedy w ręku i z przewodnikiem, rozstawszy się z woźnicą, rozpoczęliśmy naszą podróż po uliczkach stromych, usianych głazami, jak na owej drodze, gdzie to według podania, dyabeł wywrócił wóz pełny kamieni. Z dołu na kamienie — z kamienia w dół... i tak bez końca prawie, aż nareszcie stanęliśmy przed lepianką.

Don Pedro był w polu u roboty, bo jako biedny wyrobnik najmował się codzień do winnicy. Ale została w domu starowina żona, która nam gościnnie otworzyła podwoje piętrowego domku. Na dole sprzęty różne, drwalnia, obórka, a na piętrze po kręconych schodach wschodzi się do schludnego pokoiku i maleńkiej alkowy. Usłużna gospodyni chce ustąpić swego mieszkania na cały czas naszego pobytu.

— Tu panu nieźle będzie — mówiła, pocieszając strapionego przybysza.—Jeden Irlandczyk, który pracował w archiwum, ośm miesięcy tu u nas przemieszkał.

— Niech to będzie tymczasowe — rzekłem sobie w duchu — pójdę do dyrektora archiwum. On mnie objaśni.

Biegnę więc spiesznie, tam na trzecim zakręcie uliczki porządny dom murowany, gdzie w oknach widzę szyby. Lecz i tu znów zawód.

— El jefe del archivo — (wym. chefe del arcziwo, dyrektor archiwum) wyszedł na spacer—tak mnie w domu objaśnili.

— Ale wróci zaraz, niezadługo? — dodałem, pytając niecierpliwie.

— O, nie, panie, za trzy, cztery godziny, zaledwie około 6-ej wieczorem będzie w domu.

— Jakto? takie dalekie się tu robią wycieczki piesze.

— Nie, panie, ale señor el jefe jest w winnicy, bo się odbywa winobranie teraz.

Co za piękny i zazdrości godny zawód archiwisty w Simancel jak się zajęcie w biurze harmonijnie łączy z rozrywką poobiednią już od godziny 1-ej z południa! Rano wśród pyłu i pleśni papierów, a później w winnicy, żeby sobie przygotować i zgromadzić własne, prywatne archiwum, złożone z omszałych i pleśnią pokrytych butelek. Beatus ille...

Wróciłem do domu. Usiadłszy na tłomoczku, jak niegdyś Maryusz na ruinach Kartaginy, nie rozpamiętywałem jak bohater rzymski — czasów minionych, alem przeciwnie rozglądał się chciwie w tem, co mnie otaczało. Oto alkowa maleńka, z okienkiem na uliczkę, ale zamiast szyby drewniana deseczka, rodzaj drzwiczek. W dzień letni widno, ale w porę zimową?... Szyba jest tu zbytkiem, szkło drogie.

Wieśniak kastylijski chętnie unika tej przejrzystej a kruchej i łamliwej zasłony. To też kiedy zdaleka widzisz chaty wiejskie, zdaje ci się, że przez te otwory, wewnątrz zamykane drzwiczkami, wieje duch pustkowia, że tam już ludzie wymarli — i tylko sowy i puszczyki się gnieżdżą.

Pokoik nizki, o ceglanej posadzce i biało malowanych ścianach, ma dwoje drzwi niezbyt szerokich, które na balkonik prowadzą. Jest stolik biały do pisania, są stołki, na ścianach obrazy święte i świeckie. Dziwna rzecz, jak tych Maurów ślady spotykają się powszechnie; oto obraz, który przedstawia pałac królów maurytańskich w Granadzie, salę ambasadorów, znaną z przecudnych architektonicznych kształtów. Światła wprawdzie nie wiele, ale ostatecznie pogodzić się można z tem, co przedstawia dla przybysza ze skromnemi wymaganiami lepianka kastylijskiego wieśniaka.

Tak, lepianka, bo drzewa budulcowego tu niemasz, albo sprowadzone jest bardzo drogie. Kamieni, skał, piaskowca dużo. I gliny nie brak. Więc stawia się zrąb kamienny, oblepia się gliną ściany zewnętrzne i wewnętrzne, i drugie pięterko już się z samej gliny wznosi. Z po za gliny niemal nie widać głazów, a glina ma kolor zupełnie jak te gniazdka, które jaskółki u nas pod szczytem domków lepią. Domek zaś jeden tuli się do drugiego, jak dwaj staruszkowie, co wzajem szukają oparcia

o swoje ramiona. I kiedy spojrzysz zdaleka na całą wioskę, wjeżdżając od strony miasta, to mniemasz istotnie, że widzisz na tej obnażonej skale albo nieskończone mnóstwo gniazd jaskółczych, albo też jakiś labirynt fantastycznie zbudowany z niewypalonej, surowej gliny.

Wyjdźmy na nasz balkonik i rzućmy okiem na okolicę, która się do stóp naszych ściele, i po której nieraz jeszcze tęsknem wodzić będziemy spojrzeniem. Widok rozległy i szeroki. Cała wioska za nami lub obok nas. Twarzą zwracamy się ku owej stronie, gdzie rano słońce wstaje, wskazując nam zarazem, w której okolicy nieba szukać mamy rodzinnego kraju. Daleko, na samym krańcu horyzontu, tam, gdzie strop niebieski lazurową ścianą chyli się ku ziemi, sterczą jakieś szare smugi, długie i ostre krawędzie mniej lub więcej wyniosłych wzgórzy. A później bliżej ku nam, ale na przestrzeni niezmiernie dalekiej, ciągnie się jednostajna szarej ziemi powierzchnia, niby popiołem przysypana, niby wielką płytą kamienną pokryta. Ani wioski, któraby z po za zieleni ogrodów wyglądała, ani jakiejś *quinta* (folwarczek) odosobnionej, któraby oazą była w pustyni, ani lasku, coby swą gęstą ścianą zatrzymał wzrok błądzący w nieskończonej przestrzeni, tylko step niemal bezduszny, jak ta ziemia ogołocona, obdarta jak żebrak, łysa jak głowa niemowlęcia. Później przyjrzałem się lepiej tym smugom nagiej gleby. Część gruntów, po żniwie, które się tu odbyło w lipcu, leży odłogiem. Inna część, staranniej uprawiona, teraz dopiero zasiana

została z powodu jeszcze niedawno tu panującej spiekoty, któraby ziarno wcześnie rzucone wysuszyła. Więc się te niwy zazielenią zaledwie za kilka tygodni. Pozostałe smugi szare, to właśnie skaliste wzgórza, albo kamienista ziemia, jak w rzymskiej Kampanii albo w Palestynie.

Ale oto, kiedy wzrok już ku sobie zwracasz, dostrzegasz jakąś wązką, zieloną a długą wstęgę. To właśnie na gruntach gminnych porosły lasek sosen nadmorskich (pinus maritima), które roztaczają swe konary niby parasol zielony u szczytu gibkiego pnia drzewnego. Lasek ten zasiany z urzędu, pilnie strzeżony, dochował się na szczęście. Ale to wyjątek. Wieśniak kastylijski nie lubi drzewa, jak się już poprzednio o tem wzmiankę uczyniło, nienawidzi drzewa, tak jak u nas po większej części chłopek polski.

Niedaleko domku, z którego balkonu spoglądamy, toczy Pisuerga swe zielone wody, a płynie po pańsku, wygodnie, szeroko, aż się na dwie rozszczepiła odnogi. Tam dalej o pół mili ztąd, łączy swoje nurty z wodami innej rzeki, i jak dziewica wychodząca za mąż traci swe nazwisko, tak i Pisuerga zrzeka się tu na zawsze swej nazwy na rzecz wartkiego Duera, który po długim i długim biegu tonie w Atlantyku, napatrzywszy się dowoli tych cudnych winnic w północnej Portugalii, gdzie rośnie gorące wino, Porto zwane.

Gdybyśmy się chcieli spuścić ku rzece, trzebaby nam było iść po tem kamienistem łożysku, w którem podczas deszczu spływa ze wsi potok.

Ale to droga niezmiernie przykra. Tylko ją osieł lub muł objuczony zręcznie przebywa, choć i to wprawne zwierzę, jak właśnie widzę, potyka się co czas niejaki. Pójdę o kilka kroków, i oto przykuje mą uwagę do siebie jakiś mur odosobniony, jak ząb sterczący samotnie, kiedy widzisz zbyt wesoły uśmiech na ustach starej kobiety. Nie dojdę do rzeki i patrzę oto na te szare, to czarne kamienie, piętrzące się jeden na drugim. Ani dojrzeć, jak są pospajane, a jednak jakaż w nich siła! Czas i ludzie pracowali nad rozwaleniem tego muru, a jednak wciąż sterczy i sterczeć będzie pewnie długie jeszcze wieki. Któżby tu Rzymian pracy nie poznał, tych mistrzów, co mimo kamienistą glebę umieli dzisiejszą Kastylię zamienić w kwitnącą krainę?

Tuż przed nami i gdzie tylko rzucę okiem, ani listka zielonego, ani trawki zielonej, choćby na tym starym murze rzymskim. Przebiegnijmy wieś całą—ani jednej zielonej gałązki. Choćby łopian, oset, pokrzywa i inne z tego motłochu roślinnego osobniki, czy całokształty, mówiąc językiem filozoficznym Trętowskiego! Czemże tu simankińskie dziewoje stroją w niedziele i święta swoje czarne warkocze?

Może liściem z latorośli winnej, która tu dość obficie rośnie na pochyłych ścianach wzgórz, choć późno dojrzewa z powodu znacznego nad poziom morza wyniesienia całej tej okolicy? Tak, chyba z winnic.

Ale winnica... przypomina nam pana dyrektora archiwum, który już może wrócił ze swej wycieczki. Toć to w tem odosobnieniu, pomyślałem sobie, usprawiedliwiając długi jego spacer, wśród tego wygnania, jedyna może rozrywka dla człowieka, co tu żywot swój prowadzić jest zniewolony. Więc spiesznie idźmy do jego domu.

Stało się według przewidywania...

— J'ai l'honneur...—rzekłem do wchodzącego na moje powitanie dyrektora.

— No hablo frances, señor — przerwał mi prędko gospodarz przemówienie wstępne, którem zagaić pragnąłem rzecz o przejrzeniu archiwum i skorzystaniu z jego zbiorów.

Może i słusznie. Zmuszony byłem porozumiewać się odtąd z naczelną władzą tylko w języku kastylijskim. Zapewne Cervantes byłby się nieraz skrzywił na kaleczoną przezemnie jego piękną mowę, aleć... ostatecznie...

Hiszpan ma zaiste prawo żądać, aby cudzoziemiec używał języka tego kraju, w którym się znajduje. Każdy oczywiście mówi najlepiej swoim macierzystym, w którym myśli, w którym, że tak powiem, czuje, śni i marzy. Szanuję tę miłość dla rodzinnego słowa...

Więc się przydała znajomość, już wprzód nabyta, tej mowy, której tu wszyscy używają. Z francuzkim językiem jedynie tylko — niedaleko się tu dojdzie, choć to, jak wiadomo, mowy pobratymcze tak blizkie. Niechęć ku francuzczyźnie dość po-

wszechna. Źródłem jej zarozumiałość, duma narodowa, a w części antypatye polityczne, wspomnienia dawniejsze, miłość swojskości.

— A więc do widzenia, jutro rano w archiwum — rzekłem po dłuższej rozmowie do mego gospodarza przy pożegnaniu.

— Si señor, a los ocho en punto (o ósmej ściśle) — odpowiedział zapytany.

Żeby długiego wieczoru jesiennego, który się tu już przed szóstą zaczyna, nie spędzić na czczych rozmyślaniach o krwawem usposobieniu okolicznych mieszkańców, na zbytecznych obawach, żeby dać duszy pożywny pokarm, bierzemy z sobą do domu trzy ostatnie zeszyty hiszpańskiego dwutygodnika „Revista contemporanea," gdzie się mieści artykuł obszerny pana Franciszka Diaza Sancheza, właśnie naszego gospodarza a dyrektora archiwum.

Jest to pierwszy w literaturze naukowej hiszpańskiej wykaz papierów i dokumentów, znajdujących się w archiwum w Simancasie. Praca jeszcze nieskończona, pod względem zaznajomienia czytelnika z bogatemi skarbami tych zbiorów wielce niedostateczna. Jest to spis ogólny, wykaz tytułów i numerów, pod jakiemi się mieszczą działy archiwum. Ale i to już stanowi ważną wskazówkę. Jest początek, pierwszy kamień pod budowę.

Poprzedza całą pracę wstęp historyczny bardzo ciekawy, rzucający światło na dzieje wioski, archiwum kościoła i zamku, gdzie się księgi i papie-

ry mieszczą. Znaleźliśmy tu wiele objaśnień, których poprzednio daremnieśmy szukali. Już na pierwszy rzut oka wydała nam się ta osada starą. Tu przeszłość wieje z tego zamczyska o warownych basztach, i z tych murów, co je otaczają, z tych strzelnic, co na cię, przechodniu, tak groźnie — niby oczy głębokie spoglądają.

Wśród tej ciszy wieczornej, bo już o godzinie 7-ej, jak mi mówił, życząc *buenas noches* mój gospodarz don Pedro Gomez, co z winnicy wrócił, już o godzinie 7-ej już wszystko śpi we wsi, wśród tej głębokiej ciszy, której szczekanie psa, ani ryk osła nie przerywa, jakże przyjemnie będzie, przeglądając karty „Revisty," zapuścić się w daleką przeszłość hiszpańskiej, czyli raczej kastylijskiej wioski.

Gdyby tak ogień na kominku zapłonął... a ktoś nas w czytaniu wyręczył, jakżeby miło było słuchać głosu jakiegoś Herodota miejscowego, coby nam zaczął opowiadać dzieje i tego grodu, i tej ziemi, i tego królestwa, i tej starej Kastylii, co się stała kolebką Hiszpanii, co Maurów zwalczyła i wielkość ludu hiszpańskiego wypiastowała! O jakaż to niewymowna rozkosz słuchać tej „starej opowieści" z ust światłego gawędziarza, który jak Odysseusz, i sam dużo widział na świecie i w głośnych wypadkach sam brał udział.

Ale i kominków tu niemasz i drzewa brak, a przedewszystkiem brak Herodota, coby nam zaczął gwarzyć o tem, jak to było tu za czasów Rzymian, a później Gotów, Maurów, jak tu pano-

wali królowie Kastylii, jak tu Karole i Filipy w licznym poczcie dworzan dni i tygodnie spędzali.

Więc gdy niemasz nikogo, coby tę pożądaną spełnił dla nas przysługę, sami o słabych siłach wziąć się do tego musimy. Bo Simancas ma swoje długie i świetne dzieje, ale opowiadać ich tak szeroko nie będziemy, nie czując dość wprawy, aby umieć przykuć uwagę czytelnika do spraw tak odległych i dziejów pleśnią starego mchu pokrytych. Więc w myśl tego, co Cyceron powiada: litera brevis sit, w krótkości przedstawimy to, o czem szeroko p. Sanchez pisze.

Na tem wzgórzu skalistem, które stromo spuszcza swe ściany ku rzece Pisuerdze, które panuje nad daleką ku wschodowi i północy okolicą, opierając się od strony zachodniej o pasmo jeszcze wyższych wyniosłości, osiadła Simanka i zapewne już Rzymianom swój początek zawdzięcza. Bo Rzymianie, którzy tu sześć z górą wieków panowali, zdumiewające wszędzie pozostawili ślady swej cywilizacyi. Oni to dziką krainę, mało zaludnioną, która się jeszcze znajdowała na pierwszym stopniu uspołecznienia ludzkiego, zamienili na jedną z najbogatszych i najlepiej uprawnych pod każdym względem prowincyj. Oni zapewne to miejsce wybrali i wznieśli warowne baszty dla obrony tej oto drogi szerokiej, którą poprowadzili, i tego mostu, co dziś jeszcze tuż przy samej wsi łączy dwa brzegi Pisuergi. Niemasz wyraźnej wzmianki o ich tu pobycie, o ich osadzie. Domyślają się tylko badacze,

że rzymska osada „Septimancas" wznosiła się na miejscu, gdzie dziś w takiem wielkiem skupieniu gnieżdżą się mieszkańcy wsi „Simancas." Dość jednak spojrzeć na ten most z ciosowego kamienia, wspierający się na trzynastu arkadach, na ten most poprawiany i odnawiany w ciągu wieków, żeby powiedzieć odrazu, że te słupy kamienne zapuściły tu w wodę zaiste nie Gotów drużyny: to Rzymian praca, to ich budownictwo. A teraz pójdźmy do wsi samej. Tam na zachodnim krańcu także pozostały jeszcze mury i główna brama, co wejścia zapewne strzegła. To także olbrzymia praca, której się jęli ludzie nie w wiekach średnich, ale również Rzymianie, bezwątpienia. Brama i mur przyległy zbudowane z kamienia ciosowego. W ciągu wielu wieków wyłamywano ztąd kamień za kamieniem, a jednak pozostała jeszcze grubość muru wynosi od dwóch do trzech łokci.

W średnich wiekach, kiedy tu Gotów osiadły drużyny, dawna osada rzymska zapewne rozsypała się w gruzy i powoli znów się dźwigać zaczęła, kiedy po niwach późniejszej tej Kastylii rozlały się hordy Saracenów. Oczywiście, ani czasu nie było, ani sił po temu, żeby Rzymian naśladować. Trochę się tam przygarnęło te w nieładzie będące mury, trochę się dostawiło, i tak znów powstała niby warownia—osada, pierwotnie należąca do małego królestwa Leonu. W pobliżu Simanki, przez którą snadź główny trakt, dawny rzymski, prowadził, nieraz ukazywały się liczne Maurów zastępy. W niedalekiej ztąd odległości, jak niesie podanie trochę

niepewne, zapisane w kronice, stoczyły tu wojska pod znakiem krzyża walczące z Maurami stanowczą bitwę, w której podobno Saraceni dziesiątki tysięcy swoich bojowników stracili.

Najpierwsza jednak o samej wiosce wiadomość, oparta na pergaminie dziś jeszcze tu dochowanym, sięga zaledwie połowy XV-go wieku, kiedy tutejsi mieszkańcy za waleczną obronę wśród najścia nieprzyjacielskiego otrzymali znaczne wolności.

Ale jeśli wioska sama nie ma zbyt groźnej przeszłości, to oto ten zamek warowny, w którym się obecnie mieści archiwum, odegrał w dziejach Kastylii ważną rolę. Był zrazu zamkiem feudalnym admirałów Kastylii, a w końcu XV-go wieku drogą sprzedaży przeszedł na własność obojga królów katolickich (Izabelli i Ferdynanda). Znacznie rozszerzony wtedy, przybrał wkrótce dzisiejsze rozmiary, w jakich się przedstawia. Wysoki mur z kamienia ciosowego opasuje dokoła zamczysko. Głęboka przedziela fosa, przez którą w dwóch miejscach rzucono trwałe kamienne mosty. Zapewne poprzednio były to mosty zwodzone. I znów drugi pierścień muru, w którym liczne strzelnice, otacza zamczysko, co czterema basztami okrągłemi strzela w niebo, stercząc nad całą rozległą budową. Ciemno szary kamień ciosowy nadaje budowie pozór ponurego więzienia.

Bo też w tych wieżach i ciemnych basztach nieraz słyszeć się dawniej dawały jęki więźniów, co tu swój żywot ziemski kończyli. Tu w jednej

z wieżyc rozstał się z tym światem słynny biskup z Zamory, Antonio de Acuña, dowódca Comuneros, co to się zrokoszowali przeciwko Karolowi V-mu. Dziś jeszcze wieża jego nazwę nosi. I wielu innych ludzi głośnych przestało żyć tu w podziemiach.

Już Ferdynand i Izabella przebywali niekiedy w zamku, ale częściej bawił w nim Karol V. Najświetniejsze czasy nastały za Filipa II dla Simanki. Z sąsiedniego Valladolidu, który był stolicą ówczesnej Hiszpanii, przed powstaniem jeszcze Madrytu, przyjeżdżał do zamku Filip, jako książę, a później jako emperador (1556—1598), z całą świtą licznych dworzan. Tu się uczty odbywały, turnieje, tu nieraz zagraniczne przyjmowano poselstwa w komnatach rozległego zamku.

W Valladolidzie była stolica, ognisko życia, punkt środkowy zarządu zjednoczonych królestw i wielkiej onej monarchii, w której słońce nigdy nie zachodziło. Simanka zaś—przyległem miejscem spokojniejszego ustronia. Tu więc Filip II już w roku 1546, jako rządca Hiszpanii za życia ojca, położył pierwszy kamień węgielny pod obecny zbiór najważniejszych dokumentów, nietylko Hiszpanii, ale i znacznej części ucywilizowanego świata. Tu powstały więc związki archiwum, które się rozszerzać zaczęło, w miarę tego, jak ognisko życia z Simanki i Valladolidu powoli się przenosiło, to do Eskurialu, to do Madrytu wreszcie. W początkach XVII wieku Madryt zaćmił zupełnie dawne grody Starej Kastylii. Valladolid zamienił się na pustkowie, opu-

stoszała i Simanka, ale archiwum wznosić się zaczęło. Gromadzono akta, dokumenta, przywileje, zabierano je z klasztorów, miast i różnych korporacyj, odsyłano zaś z Eskurialu wszystko, co po załatwieniu spraw bieżących pozostawało.

Następcy Filipa II poszli jego śladami, i już w XVII wieku archiwum w Simance mieściło w sobie najważniejsze zbiory aktów, dokumentów, które spraw publicznych, spraw państwa dotykały. Filip III, Filip IV i Karol II przyczynili się do podtrzymania dzieła, stworzonego zabiegami ich głośnego dziada.

Za dynastyi burbońskiej, aż po dzień dzisiejszy już archiwum w Simance nie powiększało się tak prędko, jak poprzednio. Stworzono bowiem znów inne ognisko, inny skład papierów, bliżej stolicy, bliżej Madrytu, w Alcali de Henares.

Łatwo więc teraz czytelnik razem z nami pojmie, dlaczego w takiej nędznej wioszczynie kilka dni spędzić nam wypadnie, aby u tego źródła zaczerpnąć nieco wiedzy i o dalszych niż Hiszpania krainach.

O wczesnym ranku, o umówionej godzinie jużeśmy zakołatali do bramy warownego zamczyska, do którego trzeba było przedostawać się po ciasnych i krętych drożynach wioski. Skrzypnęły wrzeciądze, otwarły się podwoje i oto kamienna ścieżka prowadzi nas do pierwszej wielkiej narożnej baszty, a z niej w poprzek przez jeden bok gmachu do krużganku, który otwiera widok na niewielki kwa-

dratowy dziedziniec, *patio* zwykle nazywany. Głuche echo spokojnego kroku rozległo się po kamiennych przestworzach. Strzelnice, baszty rzucały nieco światła na ponure tło ciosowego kamienia. Potrzeba było tylko usłyszeć brzęk kajdan żelaznych, aby uledz złudzeniu, że się tu wchodzi do strasznego więzienia. Ale groza ta przemija szybko. Przyśpieszmy kroku. W krużganku już światło wprost z nieba bije i spływa obficie, oblewając wesołą barwą gromadkę kilkunastu drzewek, zielonych akacyj, które tu znalazły schronienie przed mściwą ręką kastylijskiego wieśniaka. I tak się odrazu obraz zmienia wobec tej rzadkiej bardzo roślinności. Wprawdzie już tu i owdzie między te zielone wieńce powiewnych listków zajrzała zazdrosna jesień, znacząc miejscami żółtą barwą czas swego panowania, ale zawsze jeszcze uśmiecha się do ciebie, przechodniu, to jedno, to drugie drzewko— i mimowoli się zatrzymujesz, żeby oku dać spocząć na chwilę.

Na prawo w krużganku widać drzwi wielkie niedawno ozdobione w malowane festony, herby, znaki i arabeski. Nad drzwiami napis: Archivo general de Reino. Tamtędy jednak nie wejdziemy do archiwum, bo oto już z przeciwległej strony słychać głos odźwiernego, który nas wzywa na piętro. Spoglądamy na ściany, obok której schody w górę prowadzą. Tam także napis wielkiemi literami: Creó este archivo el emperador Carlos V i t. d., ale to błąd wyraźny, nowszych czasów wymysł. Nie Karol, ale Filip II archiwum tu założył. On istotnie,

jak słusznie głosi w dalszym ciągu napis, polecił swemu budowniczemu, Janowi Herrerze, temu samemu co Eskurial stawiał, odpowiednio przygotować i przebudować sale dla pomieszczenia archiwum.

Na pierwszem piętrze długa jak korytarz sala ciągnie się nad krużgankiem. Przez wielkie okna światło do niego wpada z dziedzińca, z wirydarzyka, jak się niegdyś u nas mówiło, z patio tutejszego. W tej sali czterech pracuje urzędników, i my tu także wkrótce zasiądziemy do pracy. Więcej podobno było tu dawniej urzędników, dziś poprzestano na tak szczupłej liczbie. Nieco głębiej na prawo mieści się sala dyrektora i jego pracownia, obficie z kilku stron oblana światłem.

Przebiegnijmy sale, żeby mieć ogólne o archiwum pojęcie. Czasu nam jednak nie starczy i siłby zabrakło. To labirynt istny.

Jedna sala za drugą, a każda niemal jednakowa. Tak się snują pokoje szeregiem, załamując się w czworobok. Trzebaby dokoła obiedz zamczysko — i pierwsze piętro, i drugie piętro. Dość więc, jeśli powiemy, że ogółem całe archiwum pięćdziesiąt sześć sal zajmuje. Ilość zwojów i ksiąg oddzielnych 80 tysięcy wynosi, a gdyby policzyć oddzielne papiery i dokumenta, toby to jakie kilkanaście milionów uczyniło.

Sale mają swe oddzielne liczby i nazwy, stosownie do zawartych w nich papierów. Secretaria di estado zawiera polityczną korrespondencyę, dy-

plomatyczne akta, relacye posłów i t. p. Zaczynają się od końca XV-go wieku i ciągną się przez trzy niemal stulecia, obejmując sprawy najrozmaitszych mocarstw, bliższych i dalszych, z któremi pozostawała w związku, zrazu połączona Kastylia i Aragonia, a potem Hiszpania. Więc na oddzielnych półkach mieszczą się: Francya, Rzym, Neapol, Medyolan, Wenecya, Niemcy, Anglia... a ktoby zdołał to wszystko wyliczyć! W tym samym dziale, z epoki jednak późniejszej, są sprawy odnoszące się do Polski, Rosyi, Prus i t. d.

Łatwo sobie wyobrazić, co za ogrom korespondencyi, raportów, sprawozdań, listów i instrukcyj poselskich się utworzył z czasów choćby tylko jednego Filipa II, kiedy Hiszpania panowała na starym lądzie Europy i w nowej części świata jako pierwszorzędne mocarstwo. Wszak to w owem państwie Filipa, według wyrażenia Szyllera, nigdy słońce nie zachodziło. W ręku tego mocarza spoczywały losy świata. Z Rzymem szczególniej bogata korespondencya, ale to setki i setki tomów najrozmaitszej osnowy.

A co za nieprzebrane skarby do dziejów Niderlandów i walki ich o niepodległość! Co za stosy papierów niezmiernej wagi do dziejów Niemiec za Karola V-go!

Do innych sal zaglądać niema potrzeby. Tam w nich kryją się również niezgłębione studnie wiadomości do wewnętrznych dziejów wielkiej monarchii Filipów: więc sprawy wojskowe i morskie (secretaria de guerza y marina), księgi trybuna-

łów królewskich (gracia y justicia) i wiele, wiele innych.

Są także szeregi autografów, najpiękniej dochowanych. Jest w rzędzie ciekawych rzeczy testament Izabelli kastylijskiej, Karola V, Filipa II i t. d.

Bylibyśmy może dłużej zabawili u tego obfitego źródła wiedzy historycznej, a tem samem zasypali czytelnika mnóstwem innych jeszcze ciekawych szczegółów, gdyby nie jedna okoliczność, drobna wprawdzie na pozór, w istocie jednak nie bez znaczenia będąca.

Niewygody życia w Simance, wreszcie głód, wycieńczenie sił, widoki zjednania sobie, mimo i wbrew woli, sławy doktora Tannera! O! Tanner zaiste nie byłby tu był na żadne wystawiony pokusy.

Więc, gdy człowiek nie samym duchem żyje... przejdźmy teraz z hymnu do prostej powieści.

Gdy mnie gospodyni moja, a żona don Pedra, przez dwa czy trzy dni żywiła rosołem z sadła, kaszą na oliwie, spleśniałemi figami i owym grochem narodowym, *garbanzos* zwanym, i czekoladą gęstą jak ciasto — rzekłem nareszcie zniecierpliwiony:

— Zacna kobieto, jeśli chcesz uratować mi życie, bo widzisz, że nie umiem ocenić dostatecznie tych kastylijskich potraw i niemal do ust ich nie biorę, a przynajmniej bardzo mało, pozwól mi sa-

memu rozporządzić się co do pożywienia rano, w południe i wieczorem, pozwól wreszcie pójść do kuchenki i samemu coś przygotować. Archiwum już o godzinie 1-ej zamykają, czasu więc dosyć, żeby i śniadanie sporządzić i obiad sobie przyprawić.

I jak inkwizytor zacząłem badać zakłopotaną nieco niewiastę, która chcąc dogodzić swemu gościowi, dokładała wszelkich starań, ale daremnie, aby strawa była smaczną.

— Czyż to we wsi niema — zapytałem, co zresztą i sam czytelnik byłby w tem samem położeniu uczynił — czyż tu niema masła, jaj, owoców, kury, gęsi, kuropatwy, zajęcy? Przecież to nie przednówek. Na wsi, o tej porze — toć niby ziemia obiecana — mlekiem i miodem płynąca...

A jednak tych wszystkich rzeczy nie znajdziesz tu, na tej klasycznej ziemi starej Kastylii, pod rozkosznem niebem Hiszpanii.

— Tego, o co pan pyta — potulnie odrzekła badana przezemnie gospodyni — tego u nas niema, nietylko tu, ale i w całej parafii.

— Jakto? żeby we wsi nie było krowy i kury żadnej?—powtórzyłem z niedowierzaniem część mego pytania.

— Nie, panie, krowy ani jednej. Czasem się mleka od oślic dostanie. Właśnie chodziłam do mojej sąsiadki Kataliny, chcąc kupić trochę mleka

koziego do czekolady dla pana. Katalina ma dwie kozy i te dość sporo mleka dają, ale odstawia właśnie swojego roczniaka od piersi i karmi dziecinę. Nie chciała ani kropli odstąpić.

Spojrzałem przez okno na szare smugi nagich pól, jak gdyby szukając pociechy tam wyżej na błękitnem sklepieniu nieba; spojrzałem na kamienisty grunt, na skałę, co się słała do stóp tej wioski. Gdym nawet karłowatego drzewka nie ujrzał, co rośnie zwykle na starych murach i zwaliskach rzymskich, zrozumiałem, że tu nietylko krowa, ale i koza nie uskubnie trawki dla siebie, nie ogryzie miękkiej kory drzewnej.

Pastwisk polnych niemasz, łąk żadnych, lasów również, a ziarno drogie.

Więc mleka, sera, masła i żadnego produktu, który od krowy pochodzić lub z krową jakikolwiek związek mieć może, nie znajdzie się za żadne pieniądze.

W sąsiedniem mieście Valladolidzie masło jest również rzadkością. W Madrycie należy ono tembardziej do przedmiotów wielkiego zbytku i dochodzi do bajecznej ceny. W Lizbonie świeże masło tylko na stołach magnackich się ukazuje. Czytałem w jednej z gazet hiszpańskich ogłoszenie o maśle sprowadzonem z Kopenhagi. Najwięcej jednak masła dostarcza tu Norwegia, jak mnie objaśniły osoby w tym względzie dobrze powiadomione. Przychodzi masło do Hiszpanii także z Holandyi. W północnych prowincyach w Austryi, w Biskai, gdzie więcej pastwisk górskich i grunt żyzniejszy,

więcej rozwinięte jest gospodarstwo nabiałowe, ale nie czyni ono zadość potrzebom tak wielkiej skalistej pustyni, jaką jest Stara i Nowa Kastylia, tudzież prowincya Mancha, mniemana rodzina sławnego Don Kichota.

W większych miastach Hiszpanii wogóle masło ukazuje się na stole tak słone i gorzkawe, że cudzoziemcy tylko na skosztowaniu poprzestają.

— A czyżby i kur nie było we wsi? — ciągnąłem dalej, jak sędzia śledczy.

— Niemasz także żadnego ptactwa domowego: ziarno drogie.

Istotnie na tej skale, wśród tych kamieni, cóżby tam wygrzebało dwunogie stworzenie, choćby najinteligentniejsze? — dodałem sobie w duchu, objaśniając krótką odpowiedź mej gospodyni.

Kuropatw tu niemasz, na polach pustki straszne.

— Jeżeli się pan zatrzyma do niedzieli — rzekła ku pocieszeniu mnie żona don Pedra — to może królika dostanę. Szwagier mojej znajomej kumoszki, don Pablo, który mieszka tam wyżej we wsi, ma fuzyę i chodzi w niedzielę zwykle na polowanie; królików teraz poddostatkiem w polu, to możeby się od niego co dostało.

Dla królika jednak nie chciałem czekać po niedzieli, tem więcej, że w sobotę będzie tu

święto dworskie, archiwum zamknięte... a sił niewiele.

Zresztą na czem usmażyć królika? Na oliwie chyba. Ale i oliwa okropna. Sprowadzają ją zwykle z Andaluzyi, gdzie również nieszczególna bywa — źle oczyszczona. O Prowancyi zaś nikt tu we wsi nigdy nie słyszał. Łatwo to zrozumieć.

Więc oczywiście, gdzie niemasz tych prostych rzeczy jak mleko, jaja, masło, cóż tam wymyśleć można, żeby jaką taką stworzyć potrawę?

Jest chleb we wsi, biały istotnie, ciężki, źle wypieczony, sprzedaje się na wagę, jest drogi. Funt polski kosztuje mniej więcej do 20-tu groszy.

Ale wina przynajmniej nie brak. Wina poddostatkiem i winnic niemało. Czegóż więcej potrzeba? Wszak najpiękniejsze ody wyśpiewał na swej lirze Horacy, krzepiąc siły kroplami złotego napoju.

Tu jednak w Simance, zdaje mi się, byłby rzymski piewca zupełnie pić przestał, i gdyby tylko wino było jedynem jego natchnienia źródłem, nie byłyby się nigdy wylały jego pieśni kryształowe kastalskiej krynicy rzymskiej poezyi.

Ponieważ drzewa niemasz, więc też i beczek brak do wina. W karczmie jak i w domach prywatnych włościan wino przechowują w kozich sa-

kwach, czyli szczelnie zaszytych workach. Zowią je tu pellejos (wym. peliechos). Ztąd wino otrzymuje smak surowego rzemienia, i pije je oczywiście bez wstrętu ten, co od młodości nigdy lepszego nie zaznał. Zresztą ten tani napój zastępuje tu wodę, równie dość rzadką, i włościanin kastylijski wielkiej nie przywiązuje wagi do wina. Jako napoju rozgrzewającego używa aguardiente, czyli gorzałki.

Wieśniak żywi się kaszą, grochem, kartoflami, chlebem i wieprzowiną co czas niejaki, o ile na to stan zamożności pozwala. Chów trzody chlewnej jest szczególniej rozpowszechniony w dalszych częściach Kastylii. Ztamtąd idą zapasy świeżego lub solonego mięsa wieprzowego do miast i osad wiejskich tej części tutejszej prowincyi, gdzie leży Simancas, Valladolid, Burgos i inne dawne grody.

Czyż więc podobna było dłużej tu gościć i ciężko pracować o tym kawałku niewypieczonego chleba, o tem winie z rzemiennym smakiem, o tej polewce z sadła? „Jam satis terris..."— rzekłem sobie w duchu z Horacym, powtarzając początek jego pięknej ody, nie pomnę z której księgi.

Dość tego — wrócę do miasta, do Valladolidu, tam się pokrzepię.

— Rozumiesz, niewiasto — powiedziałem stanowczo do gospodyni mojej — że muszę wracać. Ciężkie tu życie.

— Ale w niedzielę króliki będą. Ten pan z Irlandyi, który u nas mieszkał, często je jadał, bardzo je chwalił.

— Poszukajcie mi koni, wozu, bryczki, abym mógł jechać do miasta. Dziś w południowej porze muszę opuścić Simancas.

Przyszedł właśnie don Pedro z winnicy i objaśnił mnie bardzo prędko, że tu we wsi ani wozu, ani koła, ani dyszla, ani nic z tego, co kręci, nikt nie posiada.

Tylko konno na ośle, na mule. Ale i tych zwierząt nie dostanie się za żadne pieniądze. Teraz winobranie, to więcej niż żniwa. I człowiek potrzebny, i bydlę niezbędne. Czy widzi pan te szeregi długie osłów objuczonych, co wracają teraz w południe do domów? To właśnie w tych koszach winogrona dźwigają. En esta epoca de vendimia, niesłychanie trudno. Zresztą wieczorem rozmówię się we wsi, może się kto zgodzi wynająć parę osłów: na jednym pojedzie chłopak z tłomokiem, na drugim pan się puści.

Trzeba było czekać do dnia następnego.

— Więc kiedy pan jeszcze zostaje — rzekł dyrektor archiwum, który w południowej porze przybył do naszej lepianki na pożegnanie — może z pięknej skorzystamy pogody, aby pójść nieco w pole i odetchnąć świeżem powietrzem.

Co prawda, nie nęciły mnie ani puste niwy polne, ani czułem potrzeby nadzwyczajnego ruchu

po kilku dniach ścisłej dyety, ale mamże gardzić towarzystwem uprzejmego jefe del archivo, od którego nie jednej jeszcze będzie można zasięgnąć wiadomości i nią się podzielić.

Czas prędko upłynął, kiedyśmy, spuściwszy się ku rzece, po równej drodze polnej zmierzali ku winnicom, oddani rozmowie o rzeczach, które nas wspólnie, mnie zaś najwięcej obchodziły.

Anim się spostrzegł, kiedyśmy stanęli wśród ogrodów winnych już w znacznej ode wsi odległości. Jeszcze gdzieniegdzie wisiały na krzewach ciężkie a dojrzewające grona winnego owocu, odsłonione niemal zupełnie, bo już liście po części pożółkły, w części powiędły.

— Rok był dobry — rzekł na moje zapytanie dyrektor — wina jest podostatkiem, siostra moja z tej oto winnicy i z innych, bo ja własnej nie mam, zebrała kilka tysięcy arob (dawna waga hiszpańska). Włościanie również dobry sprzęt mieli. Wynagrodzi to im stratę, jaką ponieśli w zbożu. Grunta liche, zboże nie dopisało latoś.

— Ale *en el pais de Usted*, (w kraju rodzinnym pana) — ciągnął dalej dyrektor — to tam podobno wielki pszenicy dostatek. Ile też Warszawa ma ludności? — zapytał mnie wreszcie wzamian za moje ustawiczne pytanie.

— Mniej więcej około czterech kroć — odparłem.

— A port wygodny?

— Bardzo wygodny, tylko daleko trochę od miasta. Bo Warszawa, widzi pan, nad samem morzem nie leży, ale trochę głębiej. Więc ono zboże, o którem pan mówi, trzeba spławiać aż do Gdańska, to niedogodnie, bo daleko.

Jużeśmy dalej spraw geografii dotyczących nie poruszali.

— Wróćmy ku wsi — rzekł mój towarzysz — słońce pali jak wśród skwarnego lata.

Była godzina czwarta.

Więc zawróciliśmy, a słońce nielitościwie jak ogień patrzyło. Znużenie dało się we znaki, ucichła rozmowa.

Myśl się wymknęła, by pobujać po rodzinnych niwach, po tych rozległych polach, co się teraz u was zielenią drobną trawką zbóż ozimych. Westchnienie uleciało do tych siół naszych i naszych grodów.

Zmierzaliśmy ku Simance od strony południowo-zachodniej. Pierwszy raz odsłania się nam obraz wsi w całej swej rozległości. Spoglądamy ku górze, a tam właśnie na tej wyżynie ukazuje się gromadka trzystu domków przytulonych do siebie, jak się tuli wśród silnego mrozu uboga rzesza miejska. Szara powierzchnia nagich pól zlewa się niemal w jedną barwę z tą glinianą powłoką sielskiego labiryntu. Jakiż to smutny przedstawia widok ta wielka jednostajność, ta monotonia szarej barwy!

Rzekłbyś, że to z łona ziemi nagle wyskoczyła jakaś lepianka, której słońce jeszcze nie zdołało brunatnego nadać koloru. Z gęstwiny domków nie widać ani jednego drzewka. Zaledwie znać niewielkie kominki, sterczące nad dachami. Tylko tam na lewo, na krańcu wsi „wznosi swe płowe szczyty zamek murowany," a opodal strzela niebotyczną wieżą kościół parafialny, z fasadą szeroką jak pierś olbrzyma. Kościół niestary, z ciosowego kamienia, sięga XVI-go wieku, ale wielki, obszerny, a wieża jego, jedna wprawdzie, lecz dumna, panuje nad czterema basztami sąsiedniego zamku.

Kościół wewnątrz skromny, posiada jednak kilka przedmiotów artystycznych, wyszłych z pod dłuta mistrzów hiszpańskich, Alonsa Berruguete'go i innych.

— A znał też pan — zapytałem wreszcie pod koniec naszej wycieczki — zabitego w Valladolidzie Lande'a?

— Owszem — odparł dyrektor — wszakże on tu u nas przez cztery tygodnie pracował bardzo pilnie. Gromadził materyały do dziejów *invincible* (owej armady za Filipa II). Skończył swe poszukiwania i udał się do Valladolidu, żeby wrócić do Francyi. Był to bardzo światły człowiek. Jeszcze młody, nie miał więcej nad 35 lat. Zdaje się, że w jakimś obłędzie chorobliwym odebrał sobie życie, topiąc się w nurtach Pisuergi. W czasie jego

tu pobytu pewne zboczenia umysłowe dostrzegać się dawały.

Odpowiedź bynajmniej nas nie uspokoiła, choć w duchu pomyślałem sobie żartobliwie: to chyba pod wpływem niewygód życia nastąpiło takie zniechęcenie do dalszej na tym świecie pielgrzymki. Zresztą nie znamy rezultatów śledztwa. *)

Cokolwiekbądź, spieszny powrót do Valladolidu był rzeczą postanowioną. Następnego jednak dnia o rannej porze podróż była niemożliwa. Niebo zaciągnęło się chmurami, wiatr od strony Afryki zapowiadał deszcz obfity. Otwarły się niebawem upusty niebieskie.

Dopiero w południe zajaśniało słońce i około godziny drugiej puściliśmy się w drogę.

Dwa osły dobrego wzrostu stanęły przed drzwiami naszej lepianki. Jednego dosiadł przewodnik nasz i woźnica niejako, wziąwszy przed siebie po-

---

*) Czytelnikom polskim zapewne znany jest artykuł nieboszczyka Lande'a, umieszczony po jego śmierci w „Revue des deux Mondes," gdzie autor kreśli w ponurych barwach stan wewnętrzny Hiszpanii, jej rozstrój administracyjny, jej nieład w sądownictwie, niedbałość w zarządzie finansów.

Przypisek redakcyi świadczy, że autor zamierzał po powrocie z Simanki zmienić i przerobić swoje studyum. Z tego przypisku jednak widać, że we Francyi powszechnie przypisują śmierć Lande'a morderstwu umyślnemu.

dróżny tłomok, drugiego oczywiście nie osiodłanego mnie podano.

Dopiero jednak za wsią po przebyciu spadzistej drogi, można było skorzystać ze skalistego grzbietu uczonego zwierza.

Wolnym, miarowym krokiem, po starym trakcie na lewym brzegu Pisuergi (nie zaś po bitej drodze z prawej strony, którędyśmy do Simanki w powozie przybyli), zmierzaliśmy ku stolicy dzisiejszej Kastylii, ku miastu wielkich królów hiszpańskich.

Południowe słońce, które po obfitym deszczu jeszcze więcej niż poprzedniego dnia dokuczało, zniewoliło nas zasłonić się od zbyt ostrych a gorących promieni. Roztoczyliśmy więc naszą podróżną *sombrillę* i z parasolem w ręku na owym ośle odbywaliśmy podróż.

Risum teneatis amici...

I zdawało mi się istotnie, że widzę na ustach przechodniów szyderski uśmiech, choć wiem, że nikt z nich nigdy nie czytał owej powieści o ingenioso hidalgo Don Quijote.

A błędny rycerz ciągle mi się przypominał, jak grzech śmiertelny.

Mój towarzysz na ośle mógł śmiało za Sanczo Pansę uchodzić. Bawił nas wesołą rozmową bez przerwy. Nawet w swej opowieści nie ustawał wtedy, gdy niepostrzeżenie a zręcznie wyciągał z kieszeni papierki i tytuń, kręcił papierosa i zapalał *fosforos*, czyli stearynowe zapałki. Swój

żywot niezbyt długi, bo lat 25 liczący, opowiedział nam dokładnie, oraz przygody swoje na wyspie Kubie, gdzie służył w pułku żandarmskim.

— Pan zna generała Martineza Campos'a?

— Znam — odpowiedziałem krótko — el pacificador de Cuba?

— Otóż pod nim dwa lata służyłem.

— Ale to palenie tych cigarritos — dodałem, zwracając rozmowę ku mniej wojowniczym rzeczom — *es una mala costumbre*, (zły obyczaj).

— Może i zły zwyczaj — odparł mój Sanczo — ale taki obyczaj. O! na wyspie Kubie to po dwadzieścia pięć *puros* dziennie paliłem. Tu poprzestać trzeba na tytuniu.

I mówiąc to i zgadzając się, że to zły obyczaj, już nowy zwitek wydobywał i z niesłychaną zręcznością kręcił papierosa.

Cóż to za namiętność palenia tych papierosów w całej Hiszpanii! Wieśniak pali ustawicznie, a polski chłopek, co ćmi „papirusa“ Laferma, wydałby się tu niewiniątkiem. W Madrycie widziałem w kruchcie ludzi nabożnych, palących tak zawzięcie jak w kordegardzie. W Valladolidzie spostrzegłem w jednym z kościołów organistę, który zaciągał się jak huzar. Było to w porze poobiedniej. W korytarzach teatrów zawsze przeciągają po nad głową gościa chmury dymu. Nieraz już w loży, przed wyjściem, zapala się papierosa. Przy stołach wielkich restauracyj,

gdzie wspólne bywają obiady, łatwo można Hiszpanów odróżnić od cudzoziemców. Hiszpanie już po drugiem lub trzeciem daniu wydobywają swe cigarritos, zapalają je na kilka sekund i znów gaszą, żeby znów je zapalić po następnej potrawie.

— Mala costumbre — powtórzyłem raz jeszcze słowa mego daremnego apostolstwa.

Sanczo Pansa znów zapalał nowe cigarritos, a miał fosforos kosztowne i zbytkowne. Piękne eleganckie pudełko — drewnianych zapałek tu niema — wyciągał świeczkę za świeczką i rzucał o ziemię całą niemal, tyle tylko, że zapalił od niej papierosa.

— Ale przynajmniej — dodałem ku złagodzeniu mych ostrych uwag moralnych — trzeźwe we wsi prowadzicie życie? Nie upijacie się winem?

— Jak na to niema, to oczywiście nie — dodał filozoficznie mój towarzysz na ośle. — Claro?

— Ale w niedzielę to się tam zdarzy i winem i wódką.

Podobno jednak Hiszpanie są bardzo trzeźwi.

— A w kraju pańskim — pytał podstępnie Sanczo Pansa, biorąc mnie istotnie to za Inglesa, to za Francesa — czy chłopek, czy wieśniak nie pije?

„Rozmaicie bywa," pomyślałem.

I urwałem rozmowę, zwróciwszy się wspomnieniem ku stronom, o które właśnie potrącił mój towarzysz podróży.

Tu słońce taką gorącą lawę jeszcze z nieba zlewa na Starą Kastylię, tu jeszcze w całej sile, w podmiejskich ogrodach zieleni się orzech i nad Pisuergą wierzby srebrzyste nachylają ku wodzie swe bogate z liści wieńce, a tam u nas już pewnie mróz jesienny zwarzył astry, ogołocił drzewa i wicher pędzi po drodze szeleszczący liść jeden za drugim. Tam już rozwiały burze srebrną nić pajęczą, tam już niebo ołowianą pokryło się barwą, niebawem zielone pola znikną pod grubą powłoką śniegu, i zima, ta straszna zima zacznie swe długie panowanie, a tu tymczasem jeszcze się długo uśmiechać będzie niebo pogodą cudownego pięknego lazuru, i miły wietrzyk wieczorny chłodzić będzie czoło, zroszone potem kastylijskiego wieśniaka.

Wśród rozmowy z Sanczo Pansą, wśród rozmyślań dwugodzinna droga upłynęła dość szybko i nie miałem czasu utrwalić w pamięci przelotnych wrażeń kilku nad drogą położonych folwarczków, winnic, później fabryk pod samem miastem. Ale oto już Valladolid niepostrzeżenie się ukazał z po za gęstwiny zielonych alei, które go zewsząd niemal otaczają. Leży w dolinie na płaszczyźnie, nic więc zdaleka nie było widać, i ogromu miasta, i jego licznych świątyń, wznoszących dumnie ku niebu różnokształtne wieże.

Wjeżdżamy przeto tryumfalnie do miasta i przez główną ulicę zmierzamy wolnym, majestatycznym krokiem ku gospodzie. Ale wjazd tryumfalny odbył się bardzo skromnie. Nikt nie wyszedł na nasze spotkanie. Zamiast huku dział i dźwięku spiżowych dzwonów, odezwał się tylko przeraźliwy głos osła, który snadź biegły w geografii, poznał miasto, gdzie miał ze swego kościstego grzbietu zrzucić ciężar utuczonego na papierach archiwalnych wędrowca.

IV.

VALLADOLID.

Przeszłość miasta.—Uniwersytet i wykłady w nim.—Kościoły.—Muzeum sztuk pięknych.—Teatr.—Wrażenia podróży.

W Valladolid młoda Izabella kastylska oddała swą rękę również młodemu Ferdynandowi arragońskiemu; tu się odbyły zaślubiny koronowanych przedstawicieli dwóch sąsiednich królestw; ta piękna w dziejach Hiszpanii chwila zapowiadała jej wielką przyszłość, kiedy pod sztandarem Kastylii połączyły się i inne drobniejsze księztwa; po zdobyciu Granady niemal cały półwysep przyznał nad sobą zwierzchnictwo obojga królów katolickich, reyes católicos, jak zwykle w historyi Hiszpanii nazywają Ferdynanda i Izabellę.

Zjednoczona Kastylia z Aragonią położyły pod murami Granady koniec panowaniu Maurów, a Hiszpania stanęła niebawem w stronach południowo-zachodnich Europy na szczeblu naczelnej potęgi; tylko jeszcze na pół nie zawisły żywot pędziły drobne księztwa Nawary i inne, aż później wielkie

odkrycia, wielkie zwycięztwa Kastylii i jej światło naukowe, jej język i literatura rzuciły cień na te nieznaczne, w górach ukryte przestrzenie o niezawisłych niby rządach istniejące.

Valladolid był przez jakiś czas stołecznym grodem, a lubo sąsiednie Burgos częściej w swych murach widywało królów kastylskich, jednak tutejsze miasto zabłysnęło później nierównie większym blaskiem, kiedy w niem świetną rezydencyę obierali ci wielcy monarchowie, jak Karol V i Filip II. Wiek XVI właśnie był złotem słońcem wielkości Valladolidu, a jeden wiek starczył za trzy czy cztery poprzednie, które dostały się miastu Burgos w udziale.

Tu w licznym poczcie bogato strojnych dworzan, ukazywał się Karol V w pierwszych latach swoich rządów. Tu światło dzienne ujrzał ów wielki Filip.

W tym to grodzie przyjmował monarcha Hiszpanii, monarcha dwóch światów, liczne poselstwa całej Europy.

Tu na publicznym placu, tym wielkim plaza grande, odbywały się rycerskie gonitwy, krwawe turnieje i liczne maszkary, mówiąc językiem Bielskiego.

Ma Valladolid mnóstwo kościołów, nieraz po dwa, trzy przy jednym placu, na jednej uliczce:

ani ich zliczyć podobna. A każdy inny, to gotyk, to romantyk, to klasyk, to z czasów odrodzenia lub barokko. Mnóstwo klasztorów zwiniętych, mnóstwo świątyń zamienionych na szpitale lub koszary.

Są zbiory sztuki, są muzea, biblioteki i nieskończony labirynt wązkich, ciemnych alei i uliczek o pochylonych od starości domach, o arkadach podpierających wysunięte naprzód balkony. A taki to las nieprzebyty tych drożynek, co się krzyżują, to ciągną dalej, to zawracają w półkole, że anim się spostrzegł, kiedy wybiegłszy na miasto, zamiast dojść do katedry, znów wróciłem na miejsce, zkąd swą pielgrzymkę rozpocząłem.

Zrazu z lekceważeniem spoglądałem na ten stary, opuszczony gród Filipów, około 50 tysięcy ludności mający. Wjeżdżając po równinie do miasta, na niezbyt wysokim ośle, nie miałem możności ogarnienia ogromu. Dopiero gdym po długiej godzinie ustawicznego błąkania się spostrzegł wielkie rozmiary miasta, począłem mieć szacunek dla Valladolidu nietylko jako stolicy w XVI-ym wieku królów hiszpańskich, ale też jako głównej dziś siedziby administracyi wojskowej, cywilnej, sądowej całej rozległej prowincyi, wreszcie duchownej i duchowej.

Więc przy pomocy życzliwych przechodniów zacząłem szukać katedry — katedry niezbyt starożytnej, ale podobno wielkiej, wspaniałej, co miała przypominać kościół świętego Piotra w Rzy-

mie. Takie z Przewodnika mego miałem wiadomości.

Jeden radził wśród zbiegu sześciu uliczek iść ciągle prosto, wziąć się na lewo, odwrócić się na prawo, cofnąć się w tył; inny znów twierdził, że lepiej iść odrazu w prawo, a później na lewo. Dzięki więc tym wskazówkom, stanąłem właśnie ku memu zdziwieniu, zamiast przed katedrą, u wielkiej bramy uniwersytetu.

Bo Valladolid ma wszechnicę starożytną, a dziś pod względem naukowym, doboru wykładających i liczby studentów zajmuje po Madrycie i Sewilii pierwsze miejsce; więc zamiast od świątyń, architektury, zacznijmy od nauki i języka. Wstąpmy do uniwersytetu. Piękny fronton gmachu w stylu włoskiego renesansu tak pociąga ku sobie! Gmach niewielki, o jednem piętrze, lekki, jakby uśmiechnięty. Przypomniał mi z kształtu wewnętrznego, z architektury Willanów. Ale więcej jeszcze nad te stiuki, nad te rzeźbione allegoryczne i historyczne figury, które na frontonie wznoszą się stopniowo w harmonijnym układzie, pociąga za sobą ta rojna młodzież, która jak pszczoły do ula dąży do świątyni wiedzy.

Takie już stare nasze nawyknienie, ten, ku młodzieży niepohamowany pociąg, czy się ją widzi u źródła nauki w Berlinie, Salamance, w Warszawie, czy w Valladolidzie. Młode bo młode, jakoś wcześnie się tu otwierają podwoje do poważnej pracy nad sobą, dla siebie i dla przyszłości. Może to zresztą tylko przypadek, może gdzieindziej o innej

porze dostrzeżesz jakiegoś studenta omszałego, jak się mówiło w Dorpacie „bemoostes Haus.“ Ale choć młode, czy właśnie dlatego że młode, jakże to kroczy naprzód śmiało, dumnie, o postawie wyniosłej, buńczucznie, jakby Pol powiedział! Bo też jest być z czego dumnym, kiedy się ma lat siedmnaście, czy mało co więcej za sobą, a przed sobą światy nieskończone, nieskończone o tyle, że się o ich granicy ostatecznej nie myśli. Kiedy czoło świeci gładkością marmuru, oczy błyszczą blaskiem dwóch wielkich iskier, a na twarzy róże kwitną, kiedy myśl orła lotem wzbija się w wyżyny niedoścignionych tajemnic, a serce, a pierś się wzdyma pod napływem tych wielkich ideałów, tych skarbów, którychby nigdy tracić nie należało, bo mówiąc z Krasińskim:

Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku...
Lecz idea nie przeminie...

Więc idą naprzód tak dumnie te postacie młodzieży, bo mają przyszłość przed sobą. Ogrzewa ich pewnie nieostygły zapał do nauki, i miłość do tego, co w życiu jest największem — do poświęceń dla innych.

Z pod kapelusików niewielkich wyglądają wszędzie czarne, krucze włosy. Żeby choć jednego ujrzeć o blond kędziorach, coby nam synów północnej Germanii przypomniał! Ani jednego. Rysy twarzy wydatne, a twarz ożywiona. Ubiór nowo-

czesny przemaga stanowczo, tylko gdzieniegdzie dostrzeżesz młodzieńca, co jak młody syn rzymskiego senatora włożył na siebie togę dojrzałości, odział się więc w płaszczyk hiszpański, krótszy od togi, ale również fałdzisty, jak ów strój mieszkańców niegdy w nadtybrzańskim grodzie. Fantastycznie zarzucony na prawe ramię koniec czarnego płaszcza, podszytego ponsową materyą, odbijając jaskrawo od czarnych włosów, sprawia prawdziwie artystyczne wrażenie, szczególniej przy zgrabnym, lekkim a posuwistym kroku.

Popatrzywszy chwilę na te długie szeregi przesuwającej się przed nami akademickiej młodzieży, łączymy się z tym pochodem, i niby fala morska wypływamy na dziedziniec czyli *patio*, okolony w czworobok załamującym się gmachem uniwersytetu. Pod kolumnami krużganek otworzysty, szeroki, a widny, bo cały lazur nieba na niego spada, przyjmuje do siebie tę rojną a gwarną rzeszę, która się rozbija na drobne gromadki. Jedni w prawo, inni w lewo, tamci na kamienne ławki, jakby stateczniejsi, czy też zmęczeni po długiej podróży, może na czczo, może tylko o kawałku chleba. Witanie wesołe, głośna rozmowa przerywa ciszę milczenia, w jakiem pogrążone były poważne mury alma mater kastylskiej.

I roją się tłumy, i gwarno, i hałaśliwie nawet, bo nikt nie postępuje dalej, wszystko w krużganku. Falą morską, jak przypływ i odpływ, toczą się to w jedną, to w drugą stronę te szeregi młodzieży.

Chcę uniknąć zgiełku, przejść przez *patio*, gładkim ciosowym kamieniem wyłożone, aby ztamtąd wygodniej i dokładniej przyjrzeć się raz jeszcze temu mrowisku skrzętnej a pilnej młodzi hiszpańskiej.

Przechodzę przez środek, rzucam okiem to w prawo, to w lewo. Tam na kamiennej ławce krużganku, twarzą zwrócony ku patio, od tłumu oderwany, jakby biedny sierota siedzi młodzian o twarzy wybladłej, o łzawem spojrzeniu, w kusem, przyszczupłem nieco ubraniu, w obuwiu mocno zakurzonem. Może on właśnie z dalekiej wsi, jak niegdy Antystenes, o wczesnym ranku wyszedł z domu, żeby tu czerpać u źródła wiedzy w ciągu dnia całego, a pod wieczór wrócić do lepianki i pokrzepić strudzone ciało kawałkiem niedopieczonego chleba.

Uwagi i spostrzeżenia nasze niby lotem błyskawicy przesunęły się przez głowę. Coś szepnęło do serca, coś pociągało do młodzieńca. I zaledwiem kilka uszedł kroków, zawracam do samotnika, który szczególniejsze ku sobie budził zaufanie.

— Hagame el favor, señor — rzekłem — de decirme, si se permette entrar en una classe para escuchar... *)

---

*) Powiedz pan łaskawie, czy można wejść do audytoryum, żeby posłuchać...

— Si señor — odpowiedział zapytany, nie podnosząc się z miejsca — si Usted quiera *), zaprowadzę pana, jak się czas zbliży, jak profesorowie zaczną wchodzić.

I nie chcąc przerywać spoczynku młodzieńcowi, który mu snadź bardzo był potrzebny, usiadłem obok na kamiennej ławce i w dłuższą puściłem się rozmowę, tem więcej, że biedny student tak chętnie dawał mi odpowiedzi na nieustanne moje pytania.

Była godzina 10-ta zrana. Lekcye miały się zacząć o tej porze, ale upłynął i kwadrans, i drugi, nim się ukazali na krużganku *los catedraticos*, jak tu zwykle nazywają profesorów uniwersyteckich. Czasu nie brakło, aby się obeznać ze stroną zewnętrzną. Dowiedziałem się, że nikomu nie jest wzbronione odwiedzanie lekcyj uniwersyteckich, owszem wykładający zawsze w pochlebny dla siebie sposób tłomaczy odwiedziny obcych gości, przychodniów. Na krużganku rojno, gwarno, bo choć audytorya otwarte, nikt jednak przed wejściem profesora miejsca nie zajmuje. *El catedratico* pierwszy wchodzi. Trzeba nam więc czekać jeszcze chwilę, razem z innymi zajmiemy miejsca. Nie zabraknie ich, tak nas zapewniał nasz towarzysz z ławki kamiennej.

— Pan na prawnym wydziale? — zapytałem po dłuższej rozmowie bladego studenta, przypuszczając,

*) jeśli pan chce,

że biedny chłopczyna może marzy o wielkiej karyerze adwokata, mówcy, prawnika, co później opływać będzie w bogactwa, wynajmując swe usługi na żądanie stron powaśnionych.

— Nie, panie — odrzekł skromnie i słabym głosem młodzian — chodzę na wydział de ciencias y letras.

— Więc jakie pan masz widoki? czem pan zostanie w przyszłości — literatem czy profesorem?

— Nie wiem, jak tam wypadnie. Jeśli mi sił starczy, to dojdę aż do wyższych stopni naukowych i zostanę nauczycielem. Mnie tam nie pociąga notaryat, ani katedra, chciałbym uczyć innych, sam się czegoś nauczywszy. U nas w Hiszpanii taki brak nauczycieli, coby rozumieli swe powołanie, coby chcieli się przejąć swem posłannictwem świętem, coby chcieli pracować dla kraju, dla dobra przyszłych pokoleń. Teraz wszystko w takiem zaniedbaniu...

Już nie było czasu słuchać dalej słów biednego studenta, które płynęły z czystego serca, tak otwarcie, jak woda z krynicy w piaszczystem polu.

Właśnie ukazali się catedraticos.

— Dokąd pan idzie?—zapytałem studenta.

— Na wykład filozofii.

— A ta druga gromadka dokąd zmierza?

— To prawnicy, pierwszy kurs. Tam prawo rzymskie, czy coś podobnego wykładają.

— Żegnam pana — rzekłem do mego towarzysza — dziękuję stokrotnie, może się jeszcze zobaczymy po lekcyi.

Żal mi się potem zrobiło, żem opuścił studenta, żem z nim na filozofię nie poszedł, żem się więcej szczegółów nie dowiedział o jego przeszłości, o jego położeniu. Ale tak mnie pociągnął wyraz: prawo, tak mi na myśli stanęły odrazu owe morderstwa w Valladolidzie i około miasta, żem niebacznie może przeniósł prawo nad filozofię, chcąc się dowiedzieć, jak się tu wszczepia w umysły młodzieży zasady lekceważonego tak często w Hiszpanii porządku społecznego.

— Co to będzie za wykład w tej godzinie? — zapytałem jednego z młodzieńców, czekających u drzwi audytoryum.

— Prolegomena del derecho — brzmiała odpowiedź.

Ukazuje się el catedratico. Wchodzimy tłumnie do obszernego audytoryum wprost z krużganku. U ściany głównej wznoszą się jedna nad drugą trzy katedry. Najniższa jest na równym poziomie z salą. Najwyższa zaś jest jakby ambona, z której profesor ogarnia okiem całe zgromadzenie i nad niem panuje wzrokiem i głosem. Właśnie zajął teraz to miejsce, bo liczba słuchaczy znaczna. Z górą siedmdziesięciu rozsiadło się po ławkach u trzech pozostałych ścian, jakby amfiteatralnie. Część ławek była na znacznem podniesieniu, środkową zaś część sali zajmowały również ławki wązkie, ale na poziomie.

Niecierpliwie wyczekiwałem chwili, kiedy rozlegnie się głos z katedry i z ust profesora popłynie strumień wymowy w najpiękniejszem, bo kastylskiem wymawianiu hiszpańskiego języka. Valladolid słynie, jak wiadomo, jako miejsce, gdzie Cerwantes pisał swą wiekopomną powieść, z najczystszej mowy. Tu wzoru szukać trzeba. Tymczasem, ku niemałemu zdziwieniu naszemu, zaczęła się tak zwana repetycya poprzedniej lekcyi. Młody studencik, niby uczeń, jakby o żółtym dziobku, na żądanie profesora powtarzał tak prędko treść odczytu ostatniego, że sprawiał wrażenie papugi, albo raczej młynka wietrznego. Czy to z urzędu się wybiera takiego ucznia do pytlowania? Zrozumieliśmy tyle tylko wśrod tej hałaśliwej kaskady słów i zdań, że szło o różnicę między naukami filozoficznemi a prawnemi, między etyką a prawem, moralnością a porządkiem społecznym.

Po skończonej repetycyi, która co najmniej kwadrans czasu trwała, dopiero właściwy zaczął się wykład del catedratico, wykład ustny, bez odczytywania notatek, swobodny i nie pozbawiony zalet jasności. Ale uderzała taka okoliczność: po wyłożeniu jednego ustępu lub jednej myśli, profesor zwracał się znów do tego samego studencika, który niby chór w greckiej tragedyi przedstawiał całe Ateny, cały naród, całe audytoryum.

— Me comprende Usted? — pytał el catedratico.

— Si, seńor—brzmiała stereotypowa odpowiedź słuchacza.

— Bueno.

I rzekłszy: bueno — profesor znów dalej ciągnął swój wykład na sposób sokratesowy. Tłumaczył w sposób przystępny, snadź dla bardzo młodych głów, różnice między człowiekiem a rzeczą, oraz prawił o stosunku, jaki się ztąd wyrodzić może. Wykładał, co jest prawo, władza człowieka nad daną rzeczą.

I znów:—Me comprende Usted?

— Si, seńor.

Ani razu nie mogliśmy się doczekać odpowiedzi przeczącej ze strony słuchacza.

Czy wykład profesora jest taki jasny zawsze, czy tylko rola studenta głównie polega na potakiwaniu i zachęcaniu katedratyka? tego niepodobna było sobie wyjaśnić z jednej tylko słyszanej lekcyi.

Że ten sokratesowy sposób wykładu nieco starą Salamankę przypomina, nie ulega wątpliwości.

Jedni słuchacze pilnie chwytali słowa profesora, nikt jednak nie zapisywał. Kilku tylko notowało sobie treściwie główne punkta wykładu. Zresztą prawie wszyscy, siedząc amfiteatralnie, bez stolików przed sobą, już z góry widocznie przygotowani byli na przyjemne słuchanie. Gładkie słowa dźwięcznej kastylskiej mowy, które spływały z wysokości katedry, tak słodko pieściły ucho wszystkich, a szcze-

gólniej naszego sąsiada z prawej strony, że już w drugiej połowie lekcyi uczuliśmy ciężar młodego ramienia z pochyloną ku nam lekką główką studenta, co się zdrzemnął na dobre i całą piersią swobodnie oddychał, jak gdyby wciągał w siebie czar rojeń młodzieńczych.

O! to będzie z czasem znakomity notaryusz — pomyślałem sobie — apostoł — takiej teoryi na przykład:

Tyle szczęścia, co człek prześni...

On ze swojem lekceważeniem nauki, ze swoją butą, pójdzie w świat dalej i pchać się będzie naprzód z macedońską zuchwałością, a ów student de ciencias y letras, ów młodzian o bladej twarzy, nie będzie miał o czem skończyć swych studyów i zostanie dependentem w biurze... może owego notaryusza.

Drzwi skrzypnęły za nami i ozwał się sługa uniwersytecki, donośnym głosem wołając *la hora*, na znak, że się już godzina na wykład przeznaczona skończyła.

Wyszedł profesor naprzód, cisnęła się do drzwi młódź akademicka, której pilno było do papierosa. Upłynęło więc kilka minut, nimeśmy się nareszcie wydostali na krużganek.

Zwróciłem się natychmiast do owego audytoryum, gdzie na filozofię poszedł mój towarzysz z kamiennej ławki, mój znajomy, bo już go niemal za swego przyjaciela uważałem. W sali były pustki, już się i tu młodzież spiesznie wyroiła. Poszedłem

krużgankiem w około raz i drugi. Siadłem na owej ławie kamiennej. Mój blady młodzian zginął. Wybiegłem przed gmach uniwersytetu, gdzie w gromadkach młodzież skupiona wesoło gwarzyła, paląc cigarritos, ale i tu, w tem kole dymiących, daremnie szukałem znajomego.

Jużem go też nie ujrzał. Bo on zaiste czasu nie tracił, pewnie poszedł szukać samotności, żeby przejrzeć notatki filozoficzne, i tym sposobem zapełnić sobie pożytecznie półgodzinną między lekcyami przerwę.

* * *

Zwróćmy się na lewo, w tę ciasną uliczkę. Oto właśnie katedra, której po dwakroć daremnie szukałem.

Jam ją sobie inaczej wyobrażał. Tu na prawo, tu na lewo całe szeregi wielkich szarych głazów, nad któremi pracuje dłuto i ręka skrzętnego kamieniarza. Robotników uwija się mnóstwo. Z jednej strony i z drugiej ten sam widok wielkiego nieładu. A nazewnątrz katedra dziwnie się przedstawia. Tu jakieś słupy niedokończone sterczą, niby świeże, niby dawniejsze. Tu znów inne samotnie się wznoszą. Toć w najlepsze tu idzie praca dopiero około budowy, a jednak to przecie kościół katedralny. Wejdźmy bocznemi drzwiami, frontowe zamknięte. Trzysta lat temu kładł tu zapewne Filip II osobiście kamień węgielny pod nową budowę

świątyni na miejsce starej kolegjaty. Stołeczny Valladolid, rodzinny gród monarchy wielkiego państwa, musiał mieć nareszcie świątynię, coby godnie tej potędze świeckiej odpowiadała. Słynny budowniczy Herrera, ten sam co w Eskurialu klasztor i zamek wzniósł, otrzymał od króla rozkaz zbudowania wspaniałej katedry. Miała tu stanąć katedra, coby o lepsze walczyła ze świętym Piotrem w Rzymie. Rysunek przygotowano, król plan zatwierdził i zaczęła się pod okiem Herrery budowa. Ale śmierć tymczasem zaskoczyła atchitekta i odtąd gmach się tylko zwolna wznosił. Wnętrze wykończono zupełnie, ale wież, a miało ich być cztery, nie zaczęto nawet. Raczej jedną zbudowano, ale ta runęła zupełnie przed kilkunastu czy kilkudziesięciu laty.

Cokolwiekbądź, od pierwszej chwili, gdy wchodzisz do kościoła, spostrzegasz, że to ogromna, wspaniała świątynia. Już wiek XVI-ty gotyków nie tworzył tak świetnych jak dawniejsze. Wrócono do stylu klasycznego, i w tym właśnie poważnym, majestatycznym porządku przedstawia ci się wnętrze katedry. Z kamienia piaskowego zbudowane zostały i boczne ściany naw, i kolumny, na których się wznosi środkowa część świątyni. Kamień zaś ma barwę ponurą, ciemnawą, wpadającą jakby nieco w kolor niewypalonej gliny. Powierzchnia kamienia, każdego prawie bez wyjątku, wyszczerbiona, wyżłobiona, niby naciosana. Te wielkie głazy niepolerowane sprawiają wrażenie ciemnych płyt dębowych, poszarpanych heblem niezręcznego stolarza.

Całe wnętrze, mimo dość obfite światło z okien górnego piętra, przedstawia obraz ponury, posępny. Szerokie ciężkie filary, między niemi półkuliste, poważne łuki tchną groźnym majestatem. Spokój w tych liniach, szeroka powierzchnia niemal czworobocznych filarów, barwa kamienna, wszystko to przyczynia się do wywołania uczucia podziwu, ale i pewnego niepokoju. Tu żadnej ornamentyki, żadnej gry tęczowych barw, tylko jedna wielka, jednostajna perspektywa na szarem tle obrazu przejmuje nas grozą, a ta powaga wielka ciężarem swym umysł przygniata. To świątynia, co ukorzyć ci się każe przed Stwórcą i uznać własną swą maluczkość.

Jakżeż to odmiennie w gotyckiej świątyni! Pną się łuki ku górze, sięgają ku stropom żebra, filary lekko strzelają ku niebu, jakieś światło jaśniejsze, różnobarwne oblewa ten bogato rzeźbiony ołtarz i czujesz, że się usta składają do modlitwy, którą poniosą ku niebu te linie nieskończone, co wzrok twój prowadzą tam wyżej i coraz wyżej. Umieść w takiej świątyni sykstyńską Madonnę Rafaela! Jakże ta słodycz boskiej dziewicy harmonizować będzie z błogim spokojem, rozlanym na tych ścianach o strzelistych łukach! Zdaje ci się, że słyszysz głos z nieba idący: „Zbliżcie się ku mnie, ludzie czystego serca.“

Tu zaś w tej katedrze chyba korzyć się, rozpamiętywać grzechy i sposobić się do życia zakonnego.

W środkowej nawie, wprost wielkiego ołtarza, ale przy drzwiach wchodowych, chór urządzony zasłania zupełnie daleką perspektywę, widok rozległy harmonijnych kształtów, który zwykle oko rozwesela i duszę podnosi. W chórze tym, również jak i przy wielkim ołtarzu, mieszczą się dwa rzędy stall rzeźbionych po mistrzowsku: są to arcydzieła snycerstwa, pochodzące z dawnych klasztorów i dawniejszej kollegiaty gotyckiej. Część zaś wykonana w XVI-ym wieku, według rysunku samego Herrery.

Z zewnętrznej strony katedra żadnego nie sprawia efektu, wśród tych różnych przystawek, rusztowań i drabin. Tylko front roztacza powabniej swe piękności stylu doryckiego, zwłaszcza w tych częściach, które obrębiają architektonikę głównego wejścia. Ale i tu także brak wież podniosłych, brak zgoła wszelkiej wieży nadaje i nazewnątrz świątyni wyraz zbyt wielkiej, klasycznej powagi. Właśnie roboty kamieniarskie prowadzą się dla dokonania z czasem tego, o czem przed trzystu laty Filip II marzył. Wtedy ozdobi się Valladolid nowym przybytkiem, i do bogactw jego architektonicznych klasyczna przybędzie okazałość.

Gdyby to był Wielki Piątek, moglibyśmy zwyczajem pobożnych Warszawian puścić się w długą pielgrzymkę, zwiedziwszy już katedrę, której pierwsze z godności, lubo nie z wieku, należało się tu miejsce. Ale w dzień powszedni tak zwiedzać kościół za kościołem, wyda się czytelnikowi za uciążli-

wem, zwłaszcza jeśli się dowie, że Valladolid posiada co najmniej dwanaście czy piętnaście kościołów otwartych. Nie mówi się tu o tych, co zamienione na koszary, szpitale, lub co pustkami dziś stoją. Więc byłaby zbyt długa pielgrzymka.

Gdyby tak według porządków architektonicznych ugrupować sobie wszystkie domy Boże? Ale i to niewieleby mogło pobudzić naukowo-artystyczną działalność.

A gdyby tak do najstarożytniejszych zajrzeć kościołów?

Oto przed nami *Antigua*, niezmiernie charakterystyczna budowa. Wewnątrz gotycki porządek, nazewnątrz mieszany. Ale właśnie ta strona powierzchowna najwięcej uderza w oczy przechodnia. Gdyby nie chłopczyna, który na zapytanie nasze: como se llama esta iglesia?—odpowiedział: la Antigua — byłbym sam ją tak nazwał. Bo co to za widok dziwny! Od strony zachodniej i południowej kościół zupełnie zasłoniony jakiemiś staremi domkami. Wązkie to, nieforemne, pnie się jak bluszcz ku górze. A okienka małe, tu i owdzie rozrzucone. U dołu kramiki, sklepy, jak gdyby u Dominikanów na ulicy Freta. A znów dalej od strony południowej tulą się domki do ściany kościoła, jak gdyby przyrosły, a kościół wznosi się nad niemi, ale dopiero na wysokości drugiego piętra. Uliczka przechodzi i dwa razy załamuje się obok kościoła, a wązka tak, że tam się człowiek ledwie przesu-

nie... Stary to kościół, jak gdyby mchem porosły. Wiek XI dobrze pamięta. Różne też losy przebył. Nie dokończono gotyku i w późniejszym czasie wzniesiono olbrzymią romańskiego stylu wieżę, z okienkami o okrągłych łukach, zakończoną tępo, niby ścięty ostrosłup, pokrytą spadzistym ceglanym daszkiem. Coś w tym rodzaju jak Panny Maryi na Nowem Mieście w Warszawie.

I Magdaleny kościół także gotyk i gotyk szlachetny, prosty. Ale końcaby nie było tej opowieści, a tu niepodobna o innym jeszcze przemilczeć gotyku. Toć perła prawdziwa! Możnaby bez ubliżenia katedrze położyć na pierwszem miejscu podominikański klasztor San-Pablo. Jego dziejów ciekawych nie dotykam. Nie będę mówił o tych sejmach, które się tu odbyły wśród murów kościelnych, o tych synodach, na które ściągało niezliczone mnóstwo duchowieństwa hiszpańskiego. Stańmy raczej przed portalem, przed fasadą. Oka oderwać nie mogę. Napatrzyłem się dość i znów wracam, i nazajutrz o wolnej chwili biegnę ponownie. Kardynał Lerma fundował ten klasztor, jego herb tam u szczytu o tem świadczy. Portal w stylu gotyckim, tym nowszym XVI-go wieku, kwiecistym. Cały fronton to las nieprzejrzany najsubtelniejszej rzeźby kamiennej. Na słupkach mieszczą się postacie Świętych, Apostołów, nad niemi wznosi się inny szereg i znów inny, i jeszcze inny, aż do samego szczytu. Jest to cała hierarchia, a wszystko tak ustawione, że wśród rozmaitości postawy, kształtów i figur, panuje dziwnie przejrzysta, pogodna harmonia.

Wiją się wieńce, spływają sploty, zaginają się łuki, w środku róża prześwieca, owa róża, co do wnętrza kościoła słoneczne sprowadza światło.

Odstępuję na kilkanaście kroków i widzę, że cała fasada zamienia się jakby w najsubtelniejszą rzeźbę na drzewie. Rzekłbyś istotnie, że to delikatna ręka kobiety wyrzeźbiła nożykiem na miękkiem drzewie te listki, te zwoje, zwierzątka, ptaki. A gdy staniesz bliżej i przyglądać się zaczniesz tym fałdzistym sukniom, tym przejrzystym girlandom, to powiesz chyba, że to koronki flamandzkie wykute z kamienia. Tak, nie co innego, tylko koronka kamienna, cały ten portal, cała ta fasada.

I w podziw nieskończony wprawia nas ta cierpliwa praca artystów rzeźbiarzy, którzy nad nią może najlepszą część życia swojego stracili. Piękne to dla oka, miłe jak trawnik, usiany tysiącem najbarwniejszych kwiatów. Wzrok się lubuje, dusza się uśmiecha, bo to tak misterne, a takie bujne, jak świat roślinny południowego nieba.

A uczucie religijne, to wielkie, to święte!

Powiem otwarcie, że pozostaje ono w spokoju na widok tego artyzmu, tego zbytku i nadmiaru w subtelnej ornamentyce. Chyba się ono pośrednio poruszy pod wpływem harmonii i piękna artystycznego w ogóle.

Takiem samem bogactwem, ale snycerskiej na drzewie roboty pierwszych mistrzów hiszpańskich, odznaczało się niegdyś i wnętrze ko-

ścioła. Dziś poszarpane, rozproszone służy ku ozdobie w części katedry, w części muzeum sztuk pięknych, do którego niebawem podążymy.

Po za kościołem, w dalszej niejako linii, w przyległej uliczce wznosi się dawne kolegium dominikańskie de San Gregorio, którego fasada pod względem bujnej, kwiecistej ornamentyki gotyckiej, jeszcze jednym stopniem wyżej sięga. Tu już oko nie jest w stanie objąć szczegółu za szczegółem, bo się gubi zupełnie w lesie wieńców, liści, herbów, wykończonych ze staraniem filigranowej roboty. I tu także przed tą fasadą nie szukaj nastroju religijnego, nie szukaj wrażenia wielkości, co podnosi, buduje i myśl uskrzydla. Jest to zbytnia pretensyonalność, jakby na sukni strojnej kobiety, która wdzięk młodości sztuką zastąpić pragnie. Nierównie majestatyczniej wygląda dziedziniec wewnętrzny, czyli patio. Zdobi go dokoła idący krużganek, do którego z po za gęstwiny drzew wpada światło przez szerokie przestrzenie między arkadami o maurytańskich słupach. Jest tu powaga, jakaś cisza klasztorna, zaniedbanie zamczyska, barwy ponure, omszałe ściany; jednem słowem coś, co cię do głębszej pobudza zadumy. Słyszysz jakby echo przeszłości. Chciałbyś rzeczywistość porzucić, usiąść pod tym kamiennym stropem i rozglądać w pamięci dzieje lat dawno ubiegłych.

Zawróćmy do miasta, bo San Pablo już prawie na samym krańcu leży. Staję jeszcze raz przed fasadą i rzucam pożegnalne spojrzenie

na świątynię i jej kwiecisty gotyk, na jej misterną fasadę.

Dla archeologa, co się dziejami sztuki zajmuje otwiera się tu szerokie pole. To skarby jeszcze prawie nietknięte na każdym kroku. Kto wyliczy, kto spamięta niemal w każdym kościele, czy w wielkim ołtarzu, czy w jakiej kaplicy szeregi religijnych płócien mistrzów hiszpańskich niepośledniego pędzla, jak Cardenas (portug.), Hernandez, Juan de Juni, Goya wreszcie i in.

Idźmy raczej do muzeum, gdzie się mieszczą galerye obrazów, zbiory rzeźby na drzewie dawnych głośnych artystów. Tam skarby razem zgromadzone dadzą nam sposobność ogarnięcia okiem wszystkiego, co pod tym względem zasługuje na uwagę w Valladolidzie i całej sąsiedniej kastylskiej prowincyi.

Puszczamy się znów przez kręte ścieżki i wązkie, ponure uliczki miasta na drugi niemal jego kraniec, do wielkiego gmachu muzeum miejskiego. Przebywamy długie przestrzenie pod arkadami domów, gdzie się mieszczą nieprzejrzane szeregi sklepów, wydostawszy się na Plaza Mayor przez oryginalną uliczkę. Nosi ona nazwę calle de Caballo Troyano, uliczki Konia Trojańskiego, z tej zapewne przyczyny, że przez ciasną przestrzeń między domami, stykającemi się niemal z sobą, pewnieby nie przeprowadził owego zbrojnego Argiwów rumaka. Był więc swojego czasu i dowcip, i humor w Valladolidzie. I nie dziw, wszak tu Cerwantes pisał swego „Don Quijota.“ I moglibyśmy pójść na ulicz-

kę calle del Rostro pod Nr. 14, żeby zobaczyć ten skromny domeczek, gdzie światło dzienne ujrzał jeden z najdowcipniejszych utworów literatury europejskiej. Ale nam czasu zabraknie. Prowadzić czytelnika nie podobna wszędzie. Oglądałem np. dom o czterech balkonikach, dom prosty a zaniedbany w odległej uliczce, dom, gdzie Kolumb żywota dokonał, lecz i o tem już szerzej wspominać nie widzę potrzeby.

Muzeum przedstawia się okazale, światła dużo, powietrza niemało, przestrzeń znaczną zajmuje ogródek, wreszcie szeroka od strony bocznej ulica. Renesans XVI-go wieku. Dawne kolegium naukowe, założone przez kardynała Mendoza, colegio mayor de Santa Cruz. Sześć takich było w całem państwie, zkąd się rozchodziły promienie światła naukowego. Tu się sposobiono do wyższych studyów uniwersyteckich.

Dziś się tu mieści szkoła sztuk pięknych, jako w przybytku poświęconym głównie zbiorom sztuki prowincyonalnej. Dość wyjść na korytarz pierwszy i drugi, żeby odrazu sobie objaśnić dzieje powstania tej galeryi. Ściany krużganków pokrywają malowane płótna treści religijnej bez żadnej wartości artystycznej. Obraz za obrazem, Święci, Apostołowie, Męczennicy, sceny z Pisma św., większych i mniejszych rozmiarów. Pędzel znać wszędzie klasztorny, benedyktyński. Bo też całe muzeum powstało z obrazów, zabranych po zwinięciu klasztorów. Więc łatwo zrozumieć, ile to zgromadzono płócien z cel klasztornych, refektarzy, z kościołów

zamkniętych. Nieraz jeden klasztor mógł już muzeum stanowić, przynajmniej pod względem liczby egzemplarzy. Wszak w samym Valladolidzie było ich kilkanaście. A na prowincyi w całej Kastylli można było pewnie kilkadziesiąt naliczyć zgromadzeń zakonnych.

Kilka, może nawet kilkanaście sal zajmuje dziś ta galerya obrazów. Przebiegnijmy wszystkie. Dziwna mieszanina. Średniej i nizkiej wartości obrazy przeważają. Dość spojrzeć okiem raz na te malowidła bez rysunku, bez myśli, bez wyrazu. Ale z tem wszystkiem nie należy lekceważyć tego zbioru, który jakkolwiekbądź, jako prowincyonalny, należy do najwydatniejszych w Hiszpanii.

Są tu piękne płótna mistrzów szkoły zagranicznej, są też i szkół krajowych. Spotkamy tu utwory pędzla Bartłomieja Cardenas'a, tchnące głębokim, wysokim religijnym nastrojem. Jest kilka obrazów Wincentego Carduccego, dwa czy trzy przedstawiające św. Franciszka i św. Dominika (Bassano). Ale przedewszystkiem z obcych trzeba zwrócić uwagę na najpiękniejszą perłę—trzy obrazy Rubensa. Mieszczą się one w wielkiej sali podłużnej, dobrze oświeconej, gdzie złożone są najcenniejsze skarby sztuki pięknej. Znane są te obrazy pod nazwą Fuensaldańas, stanowiły bowiem dawniej własność klasztoru Panien, znajdującego się we wsi tej nazwy opodal Valladolidu. Zebrane przez Napoleona w 1808 r., znów wróciły do Hiszpanii ku ozdo-

bie tutejszego muzeum. Jeden głównie z obrazów uderza uwagę przechodnia znacznym rozmiarem, ugrupowaniem osób, barwnością kolorytu. To Panna Przenajświętsza na tronie, otoczona gronem aniołów. Dwa pozostałe są znacznie mniejsze, wyobrażające: jeden świętego Antoniego, drugi świętego Franciszka.

Ze szkół miejscowych można pochwalić płótno surowego, ascetycznego Zurbarana, ascetycznego również, choć mniej podniosłego Ribery. Jest wreszcie jeden jeszcze obraz, który przypisują największemu mistrzowi, Murillowi.

W tej samej sali panuje snycerstwo, ale prawdziwie królewskie. Bo wiek XVI ty widział w Hiszpanii piękny tej sztuki rozkwit. Byli mistrze znakomici, co błyszczeli także i na innych polach artystycznej pracy, szczególniej wielostronny Hernandez i Berruguete. Właśnie ten ostatni, przy pomocy swego ucznia Kacpra de Fordesillas, wyrzeźbił tak misternie dzieje Chrystusa, dzieje apostolskie na tych stallach, które zdobiły niegdyś chór kościelny w klasztorze św. Benedykta w Valladolidzie. Poprawność rysunku, miękkość dłuta, wydatność figur i staranie subtelne w wykończeniu świadczą o niepospolitym talencie Berruguete'go. Podziwiać go trzeba i w odmiennym rodzaju monumentalnych figur, naturalnej wielkości. W innych salach, gdzie się głównie snycerskie mieszczą okazy, jaśnieją postaci Berruguette'go, jak np. świętego Brunona, niezwykle wierną charakterystyką twa-

rzy, układem ciała i ufałdowaniem zwierzchniej sukni.

Głębokie religijne wrażenie sprawia widok wypukłej rzeźby Hernandez'a, który wzniósł się do ugrupowania kilku postaci. Chrzest Chrystusa przedstawia nam wymownie, i plastycznie wyrzeźbioną chwilę nad Jordanu brzegiem. Ale podziw nasz, który w hołdzie składamy przed talentem Hernandez'a, przechodzi w zachwyt, gdy stajemy przed dziełem dłuta Juana de Juni: „Złożenie Chrystusa do grobu." Chrystus Pan spoczywa już w grobie, otoczony gronem żałosnych niewiast. Głęboko wzrusza widok tej sceny. Mistrz boski w spokoju anielskim, ziemska powłoka Jego nosi ślady męczeńskiej śmierci. Wyciąga ku Niemu błagalne ręce jedna niewiasta, tam pochylona klęczy druga, znów inna zamyślona rozpamiętywa łzawo ciężką chwilę. Religijny nastrój panuje w tem ugrupowaniu postaci. Nie widać przesady, szukania efektu, owszem prostota układu uderza, ale uderza nieopisaną wymową twarzy, oczu, ruchu i postawy. W pięknym kościele umieszczona ta rzeźba, we właściwem widziana oddaleniu, zaiste przyczyniać się musiała nie mało do podniesienia ducha tych, co tu przed ołtarz przybywali na chwilę lub na godziny skruszonej modlitwy.

Nie pamiętamy, aby nam się zdarzyło gdziekolwiek widzieć tyle artystycznych okazów religijnego snycerstwa, jak w muzeum w Valladolidzie. Możnaby tu całe godziny spędzić, arkusze zapisać, przedstawiając wiele innych, podobnych,

również pięknych utworów tych samych Hernandez'a, Beruguet'a i Jana de Juni. Gdyby tak stanąć przed tą wielką rzeźbą, co przedstawia dwóch łotrów na krzyżu, Chrystusa już zdjętego z krzyża, albo ową scenę w wypukłej rzeźbie drzewnej, kiedy Marya Panna szkaplerz różańcowy w ręce św. Szczepana składa! Ileżby tu słów religijnego zachwytu mogło popłynąć z głębi duszy, podziwu dla mistrzowskiej ręki... Ale wiem, że nie jeden czytelnik przekłada świeckie rzeczy, wiadomości ze świata, z polityki, z dziejów, nawet z nauki, nad szczegóły z dziedziny artyzmu, historyi sztuki.

Więc .. kiedy sale te porzucimy, przebiegniemy także spiesznie i długą od frontu pomieszczoną bibliotekę miejską, gdzie w artystycznie piętrzących się szafach, na półkach otwartych spoczywają stare i nowe księgi mądrości ludzkiej. Są tu w szafach także cenne rękopisy łacińskie, greckie, teologiczne i świeckie, prawne i historyczne.

Ale, rzeknie czytelnik, cóż nas to ziemian obchodzić może, nas, którzy się na tych starych pismach nie znamy?

W mieście i z miasta o czemże jednak pisać? Uniwersytet, kościoły, muzea, biblioteki, stare domy.

Teatr wreszcie. A więc o teatrze. Teatr był wieczorem pełen, miejsc brakło. Jednak udało nam się wysłuchać dwóch czy trzech komedyj, osnutych na tle życia miejscowego. Bylibyśmy i na czwartej zostali, ale nas już wypłoszyła dziwnie fałszująca tony orkiestra teatralna. Grano bardzo

dobrze poważniejszą komedyę. W drugiej, błahej, p. n. El espiritu amante, szarżowano ku uciesze górnej publiczności. Piękny język kastylski dźwięcznie rozlegał się po obszernej i wysokiej, kilkopiętrowej sali. Nie słychać było w ustach artystów tego syczącego *s*, które przechodząc w polskie *sz*, nie mile brzmi w wymowie prowincyonalnej w Estremadurze, po części w Andaluzyi, a nawet w Madrycie, kiedy zamiast: los enemigos de nos padres, wymawiają: losz enemigosz de nosz padresz... Zapał w oklaskiwaniu artystów był prawdziwie południowy, również gorący jak atmosfera teatralna. Grzmot z dłoni pochodzący nie ustawał... albo ustawał na chwilę, żeby z większym jeszcze rozledz się hukiem...

Po blasku olśniewającym teatru wydał mi się wkrótce omnibus, co nas wiózł na dworzec kolei, prawdziwem więzieniem. Dogorywająca lampka rzucała na dwa długie szeregi podróżników słabe światło, przyćmione zakopconą szybą. Trudno tam było rozpoznać dokładniej oblicza całego zgromadzenia, tem więcej, żeśmy, w samym kątku zacieśnieni, okiem ogarnąć nie mogli wesołej, rozmownej rzeszy. Tylko cię ucho prowadzić mogło na drogę podróżnych studyów, tylko te głosy mogły cię objaśnić, kto razem z nami porzucał archeologiczno-naukowy Valladolid. Tam jednak nie dosłyszałeś an rozmowy o literaturze, polityce, ani sporów artystycznych.

— Nicht besondere Geschäfte — ozwał się głos naprzeciwko do jakiegoś podróżnika, głos syna

północnej Germanii, zapewne jakiego modrookiego i białowłosego kupca.

— Ja — dodał drugi w tym samym języku — nur keine Geschäfte in Spanien.

Po długim już na półwyspie Pirenejskim pobycie, doleciały nas po raz pierwszy dźwięki mowy naszych groźnych tam nad Wartą i nad Wisłą sąsiadów. Żałowałem mocno, że słabe światło lampki nie pozwoliło przypatrzeć się bliżej tym, żałośnie śpiewającym kupcom z północnych Niemiec. Ich głos tylko, ich rozmowa cały klucz stanowiły do zrozumienia stanu ich duszy. Jeden smutnym odzywał się tonem, drugi jeremiadę powtarzał. Jeden z Westfalii prawdopodobnie przybył do Valladolidu, jako reprezentant fabryki maszyn do szycia i nie mógł dać sobie rady ze współzawodnictwem Anglików i Francuzów; drugi, o ile z dosłyszanej rozmowy wnosić należało, ścigał sądownie swego dłużnika za niezapłacony weksel, za towary wełniane, wyroby bawełniane i płócienne.

W dyalekcie Wirtemberczyka, czy Badeńczyka, ktoś zarzekał się, że już nigdy z Hiszpanią stosunków mieć nie będzie. Byle tylko choć połowę wycofał ze swej należności. Cztery lata trwa już proces. „Bei uns in Preussen — tak mówił dalej swym żałosnym tonem Badeńczyk, co już pod Prusy się podszył i wcielił swe księstwo do królestwa Fryderyków — u nas w Prusiech we cztery dni taką sprawę czystą załatwią. Pozew, stawienie się strony, przyznanie, wyrok, egzekucya. Aber hier das dauert in die Ewigkeit.“

Kto miał słuszność, ścigający czy prześladowany, któż to tam rozstrzygnie? ale to tylko pewna, że i z ust innych, nietylko samych Niemców, nieco zgorzkniałych z powodu współzawodnictwa Francuzów, słyszeć się dawały i gdzieindziej podobne skargi. Bo procedura hiszpańska, to także rozdział bardzo obszerny, a gdybym wpadł na ten przedmiot suchego wykładu, tobym mógł pisać bardzo wiele i wnetbym odstręczył czytelników.

Więc o Francuzach jeszcze słówko, bo Francuzi górą... w omnibusie. Gwarzą wesoło, dowcipnie, czasem się głos poważniejszy odezwie, ale umilknie wkrótce, aby się dostroić do lekkiej, ogólnej rozmowy. Z tych wymownych słów, rzuconych przez jednego i drugiego sąsiada, wnosić było można że Francuzi bardzo tanio i w znacznych ilościach zakupili wina w Kastylii, które pójdą do Bordeaux, do Tuluzy, Marsylii i Lyonu. Tak wnioskuję z dyalektów, które w głosach mówiących Francuzów odróżnić może wprawniejsze nieco ucho.

I w tej licznej rzeszy podróżników ani jednego artysty, ani jednej duszy, któraby z Valladolidu skarby wynosiła dla badań na polu sztuki, nauki... Bo Valladolid, trzeba tu dodać dla objaśnienia, stanowi wielkie ognisko handlu na całą rozległą prowincyę, której jest stołecznym grodem. Wprawdzie nie liczy więcej nad 50 tysięcy ludności, ale dostarcza wszystkiego dla kilkunastu miast, dokąd kolej nie sięga i wygodniejsze nie prowadzą drogi.

Tak się czułem szczęśliwym znów w ciasnym kąciku wagonu, kiedym się wydostał z pośród gwar-

nej rzeszy kupieckiej, która na dworcu rozbiegła się w różne strony! Każdy szukał mniej licznego otoczenia na długie nocne godziny uciążliwej podróży. Spojrzałem na nowych towarzyszów wędrówki, których zastałem w jakimś oddziale, przez los mi wskazanym. Spali oni, jak mówi poeta, snem nieprzespanym.

Bandoleros hiszpańscy nie odbiorą nam ani życia, ani tych notatek z Simanki, które w tym tłomoczku tuż obok spoczywają, i które może w pogodniejszą porę los przyjazny pozwoli obrócić na skromny pożytek nauki, ku powiększeniu liczby... książek nie czytanych.

V.

Rzut oka na Hiszpanię. — Literatura podróżnicza.

Hiszpania! jakież czarodziejskie słowo, jakże uroczo brzmi ten wyraz! Ileż przecudnych obrazów nasuwa nam wyobraźnia, gdy się myślą za Pyrenee przenosimy. Tam świat nowy, tam ludzie inni. Jak owa Atlantyda — bajeczna wyspa starożytnych — wydaje nam się kraj ów krainą wiecznej szczęśliwości. Jak z imieniem klasycznej Italii — łączy się pojęcie o prześlicznym błękicie nieba, tak i okolice nad Tagiem i Gwadalkwiwirem budzą w nas wspomnienia gajów hesperyjskich rozkosznego życia, edenu ziemskiego. Złote słońce jaskrawsze niż u nas roztacza blaski. Sądzimy, że w dolinach Hiszpanii, nad brzegami jej rzek wieczna panuje wiosna; mniemamy, że jej szczyty gór wieńczą niebotyczne lasy cyprysów, że rozległe jej błonia uśmiechają się młodzieńczym życiem. Czegóż bo nie wytworzy bujna fantazya, kiedy na lotnych swych skrzydłach wzbije się w krainę... prawie nieznaną!

To, co jest nieznanem, co jest dalekiem, co w tajemniczą owinięte jest szatę — lśni dla nas zawsze niezwykłym urokiem.

Tam het — daleko na południe — musi być inaczej niż u nas. Jakież to olbrzymie gór łańcuchy dzielą nasze równiny od owych przestrzeni, jakże tam blizko już do skwarnego równika, jakże wielkie i okiem nieobjęte morza wód ciepłych oblewają brzegi owych krajów. Więc też powstają w wyobraźni naszej bajeczne zamki — prawdziwe châteaux d'Espagne, opromienione barwami tęczy, tonące w nieskończonym lazurze wśród morza złotych promieni. Jak fata morgana w ułudnem świetle ukazują się nam zdala — i kraj nie znany i ludzie nie widziani.

Jest wiele rzeczy, które usprawiedliwiają, nawet przy bliższej znajomości Hiszpanii — ten zachwyt niemy i ten czar, jaki rzuca na naszą wyobraźnię kraina z za gór pyrenejskich. Zrozumieć i pojąć łatwo to tęskne w duszy uczucie, to gorące pragnienie poznania ziemi, wprawdzie odległej, ale ciekawej a ważnej na polu życia wszechdziejowego.

Już w epoce pierwotnego brzasku cywilizacyi europejskiej, ukazuje się na widnokręgu Hiszpania w czarownym blasku czynów heroicznych swych pierwotnych mieszkańców. Już w młodych latach naszego kształcenia się, kiedy umysł nie jest w stanie zrozumieć znaczenia wszechdziejowych wypadków i tylko lgnie do zdarzeń zewnętrznych, świetnych, wielkich a bohaterskich, już nam osiadają

w myśli na zawsze wybitne postacie górskich pasterzy, pierwotnej Luzytanii, którzy z taką wytrwałością bronią progów domowych i odpierają najście legionów rzymskich, chciwych panowania orłów z nad Tybru. Musiały jednak być wielkie tych ludów zasoby moralne i znaczne także zapasy sił fizycznych, skoro te pasterskie plemiona — Celtów i Iberów, pomieszane już z soba — choć zrazu tak odmiennie różne były od siebie, przez tyle lat mogły skuteczny stawiać opór i Kartagińczykom, i Rzymianom. Jakżeż to wielkie a lwie serce mieli ci, co bronili murów Numancyi w obec przewagi Scypiona, owej Numancyi, o której położeniu wieść przepadła, jak kamień stoczony w głębiny morza. Tylko echo pozostało.

I budzi się chęć i słuszne pragnienie poznania tej krainy, która tak długo między dwiema współzawodniczkami na morzu Śródziemnem była jabłkiem sporu a kością niezgody. Czyżby ta ziemia takie wielkie kryła w sobie skarby, czyżby rozkoszniejszym była rajem niż ogrody nad Aufidem lub brzegi Sorrentu albo Neapolu? Jak tam na wiek przed Chrystusem wyglądała kraina dzikich pasterzy, ojczyzna Viriata, tego dokładniej określić nie potrafimy. Zniknął z oblicza bogaty Sagunt, piaski zamuliły przystań w Kartaginie... i długo zapewnie po dawnemu rosła trawa na górzystych pochyłościach, gdzie trzody kóz i owiec pasał po dawnemu mieszkaniec półwyspu iberyjskiego.

Upłynęło kilka wieków, w ciągu których utrwa-

liło się panowanie Rzymian. Niktby teraz nie poznał tej krainy, gdyby jej stan kwitnący chciał porównać z ową dzikością pierwszych czasów. W wielu miejscach nadbrzeżne błonia zamieniły się w istotnie hesperyjskie ogrody, nadmorskie miasta wzrosły w zamożność i siłę, a w głębi — wewnątrz uśmiechają się doliny lub płaskowzgórza szeregami rojnych grodów. I znów Hiszpania pobudza niezmiernie naszą ciekawość. Długie lat dziesiątki prowadzili tu Rzymianie swe wielkie dzieło cywilizacyi i tyle wspaniałych po dziś dzień pozostawili pomników. Kiedy się rozglądamy w dziejach Rzymu imperatorskiego, kiedy wewnętrzne jego badamy stosunki, co chwila o hiszpańską potrącamy prowincyę. Historycy nam wychwalają bogactwa miast, w których kwitnie przemysł i handel, poeci sławią rozkoszne ogrody Betyki, retorzy wielbią mówców i uczonych z nad Targu i Gwadalkwiwiru. Wspaniałe, zdumiewające zabytki budownictwa rzymskiego wyniosły kraj cały na wysoki stopień uspołecznienia. Takie grody, jak Elbora, Emerita, Segovia, Italika i inne walczyły o lepsze ze światowładnym a majestatycznym Rzymem, pod względem wspaniałych świątyń, olbrzymich akweduktów, bogatych i rozległych term, przepysznych pałaców, imponujących amfiteatrów.

I wielkość rzymskiej cywilizacyi, jej potęgę, jej trwałość podziwiamy w Hiszpanii, potęgę i trwałość tak wielką, że mowa rzymska tylko za Pyreneami, tak daleko od ogniska wielkiego imperyum zachowała się po dziś dzień — względnie w kształ-

cie najczystszym, w dźwiękach kastylijskiego języka.

Jasne niebo Hiszpanii pomroczyło się na długie lata, kiedy drużyny Swewów, Alanów, Wizygotów i Wandalów osiadły w dawnych municypiach rzymskich i panowanie swe germańskie czyli gockie narzuciły miejscowej ludności. I nie tyle to zdarzenie, lubo nie bez wagi będące, choć mniej pocieszające w dziejach iberyjskiego półwyspu uwagę naszą pochłania — ile tryumf kościoła rzymskiego, który tu niebawem odniósł nad Aryanami zupełne zwycięstwo. Ale zaledwie wzeszła tu zorza życia więcej ucywilizowanego, aliści niebawem cała kraina padła ofiarą najazdu ludów szczepu semickiego — Arabów.

I znów przez długie wieki Hiszpania przedstawia nowy całkiem, a wielce ciekawy widok. Saraceni narzucają podbitej ludności swą wiarę, w miejsce kościołów ukazują się meczety mahometańskie i cały wschód bizantyjski, arabski, egipski przenosi się na rozległe równiny Andaluzyi, w wąwozy gór środkowej Hiszpanii, sięga nawet na wyniosłość podgórza pyrenejskiego. Wytwarza się nowa cywilizacya arabska, w której i Żydzi czynny przyjmują udział, krzewią się nauki, sztuki, kunszty i rzemiosła. Blask tej świetności akademii i szkół arabskich bije, jak ognista łuna, na kraje środkowej Europy, tonące w pomroce średniowiecznego nieuctwa.

Przeciwko szerzącej się wierze Mahometa walczy długie wieki chrześcijaństwo i przelewa krwi

potoki na polach Kastylii. Toczy się tam walka na śmierć i życie, a toczą ten bój zawzięty nietylko królowie, ale całe legiony dzielnych rycerzy — Cydów, Ferdynandów, Gonzalów i innych. I wśród tych twardych warunków życia wyrabia się dzielny i wytrwały charakter Kastylijczyków, którzy powoli, lecz coraz naprzód posuwają się zdobywczo ku słupom Herkulesa i wreszcie łamią mury ostatniej twierdzy Maurów — królewską, wspaniałą Granadę.

Całe wieki średnie w Hiszpanii niemal wyłącznie do Arabów należą. Ta oryginalna, ta świetna ich cywilizacya podziw w nas wzbudza i pochłania uwagę. Długie lata, po złamaniu ich politycznej potęgi, korzystali Hiszpanie z owoców zaszczepionych na różnych polach pracy społecznej, przez pracowitych i umiejętnych Maurów, Berberów lub inne szczepy północno-afrykańskie. Dziś jeszcze, pomimo takiego wielkiego przeciągu czasu, praca Maurów obfity plon wydaje.

I kiedy czytamy dzieje tych władców w Korduwie, Sewilii, Walencyi, Granadzie, jakaś nas chęć nie powstrzymana bierze poznać te ogromne sieci irrygacyjne, za których pomocą Arabowie zamienili nadmorskie strony Walencyi w istny ogród Hiszpanii. Jakżeż nie zapragnąć podziwiać meczet w Korduwie — jeden z najpiękniejszych pomników budownictwa w ogóle — ósmy cud świata — zdaniem Arabów owoczesnych! Jakżeż nie chcieć poznać owe wielkie, prastare gaje oliwne, które dziś pono

jeszcze od czasu posadzenia przez Maurów w XI lub XII wieku rodzą liczne owoce. Czyjejże wyobraźni nie podbiją, nie zniewolą sobie Alkazary, Alhambry, te wspaniałe przybytki kalifów, owiane wonią róż i myrtów, tchnące czystą poezyą wschodu.

Z pnia cywilizacyi arabskiej wyrastały w biegu czasu świeże gałązki.. także arabskie — maurytańskie w istocie, z odmiennemi tylko pozorami: Mudejaryzm (wym. mudecharyzm), jako mieszanina stylu arabskiego z żywiołami gotyckiemi lub odrodzenia, dziś jeszcze kwitnące.

Wśród długich walk krzyża z półksiężycem wzmogła się monarchia i pod osłoną jej siły, jej potęgi złączyła się niemal w jedno ciało Hiszpania dawniej rozdrobniona lub w jarzmie niewoli jęcząca. I kiedy gdzieindziej, po za Pyreneami panowało w społeczeństwach rozbicie, a korona królewska straciła blask swój wobec znaczenia przemożnych panów feudalnych, Kastylia i Aragonia, razem połączone, stworzyły potęgę w ręku silnego monarchy.

I niebawem wytrwały, rycerski, przedsiębiorczy duch Kastylijski święcił dni swojej wielkiej sławy. Zdobycze na półwyspie były skończone — więc szukać ich poczęto na morzu i po za granicami sąsiedniego oceanu. Nastała doba wielkości. Znakomici żeglarze w ślad za Kolumbem odkrywali ziemie i zdobywali je dla nowej cywilizacy hiszpańskiej. Wraz z conquistadorami przeszły na grunt nowej Ameryki instytucye municypalne, samo-

rząd miejski, które, zapuściwszy korzenie, zakwitły później bujnym kwiatem ducha demokracyi—równości obywatelskiej.

W księdze dziejów powszechnych jeden to z rozdziałów najwspanialszych — i jeden z najtrwalszych tytułów, jaki mieć może duch hiszpański do nieśmiertelności.

Światowładne znaczenie zdobyła sobie Hiszpania, kiedy w Europie władzę jej monarchy Karola V-go uznawały — nietylko półwysep pyrenejski, ale Niderlandy, Sycylia, Sardynia, Neapol i ziemie rakuskie, które aż pod Kraków sięgały. A w państwie Filipa, jego następcy, słońce nie zachodziło, według wyrażenia Szylera.

Do nieznanej potęgi wzbił się język kastylijski, zająwszy w całej ówczesnej Europie wszechwładne stanowisko. W dyplomacyi wyparł z pozycyi klasyczną łacinę, na dworach stał się językiem rozmów towarzyskich.

Bogactwa spływały z Hiszpanii. Dwór Karola w Valladolid, ówczesnej stolicy, przewyższał wszystkie inne pod względem świetności, wytwornych obyczajów i gustownego ubrania. Kwitnęła poezya, kształciła się literatura. Jej wiek złoty zajaśniał szeregiem nieśmiertelnych pisarzy na polu literatury pięknej.

Monarchia wszechświatowa atoli, która sprowadziła tak wielką dobę rozkwitu dla Hiszpanii, zgotowała jej niebawem grób i zgon przedwczesny. Wojny religijne wyczerpały wkrótce jej siły, pobu-

dziły uczucie wyłączności, stworzyły nietolerancyę, Prześladowanie innowierców podkopało całą budowę państwa i społeczeństwa. Wypędzono potomków dawnych Maurów, którzy pracowali pilnie około źródeł bogactwa narodowego. Już od początku XVII-go wieku słabnie nasza uwaga i zmniejsza się zajęcie, z jakiem się przerzuca kartki dziejów półwyspu pyrenejskiego.

Na ciemne tło politycznego i moralnego upadku, rzuca jaśniejsze światło odbłysk geniuszów. którzy jeszcze tworzą dzieła nieśmiertelne w sferze piękna artystycznego wtedy, gdy już na polu życia politycznego panuje najzupełniejsze omdlenie i martwota.

I kiedy się spotykamy z nazwiskami Calderona — a zwłaszcza gdy nam się nasuwa boski Murillo, światowy Velazquez i natchniony Zurbaran, taka nas ogarnia chęć, taka żądza poznania tego kraju i zbadania jego ducha, gdzie powstały kreacye niebiańskie Niepokalanych Dziewic, ekstazy św. Antonich i Franciszków, apoteozy św. Tomaszów...

I znów po długich i długich latach tak powabnie przedstawiają się owe góry Hiszpaniii, kiedy się w nich rozlegać począł męski głos obudzonego z uśpienia narodu na widok najezdniczych orłów francuzkich. Tyle gorącego współczucia budzi się w sercu, kiedy czytasz o owych dowodach poświęcenia bez granic dla ocalenia niezależności narodowej i politycznej.

Więc nie sąż usprawiedliwione pragnienia, aby osobiście zwiedzić te dalekie kraje, które tak często w dziejach były widownią wiekopomnych zdarzeń i z któremi tak ścisłym węzłem wiąże się pasmo historyi cywilizacyi europejskiej. A że świat za Pyreneami tak mało jest znany, taką pokryty jest tajemniczą zasłoną, więc urok tem większy, powab silniejszy.

A jednak góry nas przedzielają wzajemnie, góry, któreby jeszcze dziś uważać należało za nieprzebyte, jak w owych czasach Anibala. Bo choć Ludwik XIV-ty wyrzekł owe pamiętne słowa: il n'y a plus de Pyrénées — i ta wielka zapora, te szranki ustąpić musiały przed Burbonami, nawet ponownie, niezbyt dawno, przy wybraniu na tron Alfonsa XII — jednak ta wielka ściana, co odgradza Francyę i Hiszpanię istnieje po dziś dzień mimo koleje żelazne i tworzy mur graniczny dla jednej i drugiej strony niemal nie przebyty.

Pięknie i obrazowo w jednem miejscu powiada Tacyt o Germanach, że wzajemnie od Sarmatów i Daków oddziela ich — strach, obawa zobopólna.

To samo poniekąd powiedziećby dziś można o Francyi i Hiszpanii, że wzajemna niechęć stanowi przeszkodę do bliższej znajomości.

Rozumieją to Hiszpanie dobrze, ile tracą na tem zaściankowem trzymaniu się zdala od wielkich ognisk nowoczesnej cywilizacyi. Nie o to jednak rzecz idzie. Francuzi sami mało znają swych

sąsiadów zapyrenejskich. Skąd ta obojętność, czem sobie objaśnić ten brak zainteresowania się krajem powinowatym co do cywilizacyi, języka, pochodzenia?

W literaturze podróżniczej francuzkiej niemasz istotnie dzieł, a przynajmniej jest ich bardzo mało, któreby ułatwić mogły dobre i wszechstronne poznanie Hiszpanii. Podróżował niegdyś Dumas, już bardzo dawno temu, i dał w swych opisach tak lekki zarys i tak niedokładny kraju i ludności, że widzimy Hiszpanią jak przez mgłę najgęstszą. Zresztą, jak Dumas podróżował, jak umiał zbierać wiadomości i czynić spostrzeżenia, wiemy o tem wszyscy bardzo dobrze. Wszak Dumas stworzył nawet swój właściwy rodzaj podróżniczej literatury i licznych znalazł naśladowców.

Teofil Gautier pisał nierównie dokładniej. Badał zabytki sztuki i dał opisy piękne, nieraz porywające. Ale już kilkadziesiąt lat upłynęło od owego czasu. Niedawno ukazało się jego dzieło „Voyage en Espagne“ — drugie czy trzecie — niezmienione oczywiście wydanie, któreby świadczyć mogło, że dotychczas nikt nie wyprzedził autora i że dzieło jego po dziś dzień wartość swą zachowało. Pomniki sztuki istotnie zachowały aż po obecną chwilę swe kształty, swe znaczenie i stanowisko. Twory nieśmiertelnego ducha nie starzeją się, to prawda, ale posuwają się naprzód badania nad niemi. Nauka starożytnicza, historya wyświecają mnóstwo szczegółów, które do lepszego zrozumienia dzieł sztuki przyczynić się mogą. Brak

jednak w podróży Gautiera informacyi z życia naukowego, społecznego. Jest tam tylko zawsze turysta, który ma na widoku niemal wyłącznie rzeczy sztuki pięknej.

A życie narodu, życie społeczne? Ono pozostało obcem dla francuzkiego podróżnika. On tętna ruchu nie znalazł, nie wymierzył siły jego natężenia, on nie zajrzał głębiej w ukryte prądy rozwoju organicznego. Czyż zresztą mogły się były otworzyć przed nim bramy tego przybytku, skoro doń klucza nie posiadał? Sam nieraz wyznaje, że nie znał języka hiszpańskiego, że nie umiał się z mieszkańcami porozumieć. Kto tego nie posiada klucza, tego środka zbliżenia się do ludu, do społeczności, ten zawsze tylko skazany będzie na przypatrywanie się zewnętrznej stronie, ale do duszy nie przeniknie i wzrokiem swym nie sięgnie do treści, do istoty życia narodowego.

Hiszpanie w ogóle nie są zadowoleni z tych opisów, które o kraju ich, o nich samych podają francuzcy pisarze. Znając siebie i swoją ziemię, twierdzą, że nie są w nich odmalowani wiernie i dokładnie.

— Jak to dobrze — mówi do mnie mój życzliwy, serdeczny znajomy Hiszpan, pan M. — że panu nieobcym jest nasz język. Poznasz nas lepiej, niż owi Francuzi, co nas czernią, lekceważą, i ztąd też ocenić nas nie potrafią. Es un pueblo ligero! To naród lekki, a dumny, a zarozumiały!

Znakomity podróżnik włoski Edmund de Amicis wielką wyrządził przysługę Hiszpanom swem dziełem o Hiszpanii, dziełem, które w prędkim czasie doczekało się przekładu we wszystkich niemal krajach Europy. Hiszpanie sami skwapliwie wzięli się do przełożenia tej podróży, która, jak zwierciadło pochlebiające, pozwoliła Hiszpanom przejrzeć się w całej piękności wdziękom swego kraju i swojego ludu. Amicis posiada znakomity dar opowiadania, świetną, bogatą wyobraźnię — i okazał istotnie wiele serca, wiele sympatyi dla Hiszpanów. Czyżby tylko dlatego, że na tronie madryckim osiadł był wtedy Amadeusz, i że między Włochami a Hiszpanią tworzył się węzeł ściślejszej przyjaźni? Wątpię, choć ta okoliczność zapewnie bez wpływu nie pozostała na usposobienie podróżnika. Nieraz zabarwione są poglądy włoskiego turysty widocznie tą współplemienną, współdynastyczną sympatyą. W ogóle jednak Amicis jest entuzyastą, nieco poetą, wpadającym w zachwyt, którego dusza wymaga zawsze barwnych obrazów, lśniących kolorami tęczy. Jest on malarzem, który się lubuje w jaskrawym kolorycie — i nie potrafi rzeczy prostych i powszednich przedstawiać w ich kształcie prozaicznym, codziennym, w ich barwie pospolitej, szarej.

Cokolwiekbądź — choć i głębokością poglądów, i szerszem na rzeczy patrzeniem nie odznacza się Amicis, wszelako dzieło jego pod względem swej wartości, nie mówiąc już o szacie

zewnętrznej, trzyma niewątpliwie pierwsze miejsce w literaturze podróżniczej.

Niemcy niezbyt chętnie odwiedzają półwysep pyrenejski, choć nie brak istotnie między nimi ludzi, którzy się oddają badaniu języka i literatury hiszpańskiej, i którzy więcej, niż ktokolwiek z innej narodowości, umieją przedstawić obraz życia i rozwoju współczesnej doby na półwyspie iberyjskim.

W polskiej literaturze posiadamy „Podróż po Hiszpanii," opisaną przez Dr. J. Stellę Sawickiego, wydaną w 1876 r. we Lwowie. Podróż jednak sama odnosi się do czasów bardzo dawnych, sięga, jeśli nas nie mylą pewne wskazówki, roku 1840 — i wiele przedstawia braków — pod względem formy, a więcej jeszcze pod względem treści. Wspomnienia z podróży po Hiszpanii... Triplina były książką swego czasu bardzo czytaną. Dawne to jednak dzieje. Różnica dziś wielka. Hiszpania owej epoki, kiedy Triplin podróżował, niepodobna do tej, którą dziś zastaje turysta. Zresztą informacye historyczne, objaśnienia artystyczne czerpane były wtedy ze źródeł drugorzędnych i przedstawiały — jak przedstawiają i dziś, słaby, niedokładny, a nieraz spaczony obraz rzeczywistości.

Anglicy bardzo pilnie studyują Hiszpanią. Ich obserwacye odznaczają się niezwykłą ścisłością. Cechuje ich przytem bezstronność sądu, trzeźwość zapatrywań. Przewodnik angielski Murraya

zawiera w sobie w dwóch tomach niezmierną ilość szczegółów, zwłaszcza pod względem archeologicznym — i celuje w tej mierze przed innemi, choćby nawet nowszą pracą francuza Germonda de Lavigne, który wprawdzie z wielu dawniejszych dzieł korzystał, jednak nie potrafił odmalować prawdziwego stanu Hiszpanii — pod każdym niemal względem. Z książki jego przeziera nieznajomość kraju, nieznajomość stosunków z własnego widzenia, opieranie się tylko na tem, co inni spostrzegali lub widzieli.

A przedewszystkiem ci, co o Hiszpanii pisali, zamało szukali objaśnień w samej literaturze hiszpańskiej, zamało troszczyli się o to, co Hiszpanie sami o swoim kraju, o swoich zabytkach, o swojem życiu, o swoich obyczajach do wiadomości podali. A bądź co bądź, może własne spostrzeżenia mniejszą niż cudzoziemców odznaczają się bezstronnością, ale za to, któż lepiej nad krajowca zbada szczegóły, pozna bogactwa i odczuje ducha narodowego w życiu codziennem, w pieśniach i podaniach ludu. Mają też Hiszpanie dość bogatą literaturę, poświęconą opisom kraju pod wielorakiemi względami. Nie brak im zaś mianowicie dzieł, które wyświęcają historyczną stronę ich ziemi, opisują pomniki sztuki, zabytki przeszłości. Nieprzebranym skarbem staje się dla starożytnika ośmiotomowe dzieło *Bellezas de Espanà*—jak niemniej wspaniałe *Museo espanol, de antiguedades* — wydawane w dalszym ciągu i dziś jeszcze, które pod względem bogactwa treści artystycznej, piękne-

go wykonania rysunków należy do najcenniejszych dzieł nie tylko hiszpańskiej, ale w ogóle europejskiej literatury.

Znajomość jednak samej literatury nie wystarcza, aby poznać kraj dokładnie, ocenić naród i zrozumieć dzieje jego bądź dawniejsze, bądź współczesne. Sprawdza się wszędzie i zawsze wyrzeczenie poety niemieckiego:

Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichter Lande gehen.

Dowodnie się o prawdzie tych słów przekonać można, przeglądając rozdział w znakomitem dziele Buckle'a, poświęcony dziejom cywilizacyi hiszpańskiej. Nieznajomość kraju, jego warunków fizycznych, nieznajomość narodu, jego różnorodnych żywiołów doprowadziły głębokiego historyozofa angielskiego do wniosków błędnych, które mu wykazują dziejopisarze półwyspu iberyjskiego, lepiej obeznani z warunkami rozwoju historycznego swojego narodu.

Najbujniejsza wyobraźnia nie jest w stanie odtworzyć sobie rzeczywistości tak dokładnie, jak ją widzi oko podróżnika, który umie i kraj badać i ludzi poznawać i wpatrywać się w tajemne nurty życia społecznego. Każdy w miarę swego przygotowania dopatrzy się rzeczy, które uszły uwagi innego podróżnika, albo też w dziełach poprzedników nie dość wyraźnie uwydatnione lub zanadto plastycznie przedstawione zostały.

Więc jeszcze zawsze istnieją Pyrenee, choć dla Ludwika XIV-go istnieć przestały, i stanowią po dziś dzień nietylko w ścisłem i dosłownem znaczeniu olbrzymie pasmo gór, oddzielających Hiszpanią od Francyi, ale zarazem i w przenośnem znaczeniu wysoką, nieprzebytą tamę, która półwysep iberyjski odgranicza od pozostałego lądu Europy. Po za Pyreneami świat inny, świat nieznany, istna terra incognita.

II.

Rzut oka na Hiszpanię pod względem geograficznym.—Brzegi morskie.—Wewnętrzny taras górski.—Wpływ tych stosunków na cywilizacyę hiszpańską. — Kastylia stara, jej ziemia i mieszkańcy.

W rzeczy samej z drugiej strony Pyreneów, to już kraj odmienny — to już inny, aniżeli w górzystych stronach południowej Francyi. I ztąd też słusznie mówią geografowie, że Afryka już się od Pyreneów zaczyna i że cieśnina Gibraltar, ta wązka przegroda wód, stanowi raczej tylko sąsiedzką miedzę, niżeli wielką ścianę graniczną między dwiema częściami świata. Pod wielu względami takie blizkie zachodzi powinowactwo między półwyspem iberyjskim a północną Afryką, że można te dwie znaczne przestrzenie ziemi brać za rodzone siostry.

Góry Atlas i Sierra Nevada — to tak, jak gdyby gałęzie, które z jednego pnia wyrosły. Całe oblicze Hiszpanii, jej wyniosłość, jej rozległe płaskowzgórza, które w pośrodku kraju osiadły, przypo-

minają nam wnętrze zamkniętej w sobie, niedostępnej Afryki. Wód wielki czuć się daje niedostatek na półwyspie iberyjskim, tak samo, jak w Afryce. Ku zachodnim brzegom, ku brzegom oceanu Atlantyckiego niosą obfitsze nieco wody takie rzeki, jak Duero i Tag; ale ku wschodowi zaledwie tylko Ebro dłuższem płynie korytem. Więc mało posiada półwysep przyrodzonych środków do łączenia swojej masy górzystej środkowej z zewnętrznemi brzegami swego lądu. A lubo od strony wschodniej, od strony morza Śródziemnego tu i owdzie brzeg morski dogodne przedstawia przystanie, jednak inna okoliczność nie pozwala korzystać w należyty sposób z tej dogodności, dla połączeń i dla dróg handlowych, którą sama natura stworzyła: jest nią ukształtowanie wyniosłości górskich.

Trzebaby posiadać niepospolity talent wymownego Castelara, aby w jasny a zajmujący sposób przedstawić te stosunki łańcuchów gór do płaszczyzn lub dolin. Trzebaby umieć, jak on, obrazowo uwydatniać te wielkie różnice, jakie w wewnętrznem upostaciowaniu Hiszpanii spostrzegać się dają. Kiedy Castelar mówi lub pisze o pięknościach swego kraju, o niebotycznych górach piętrzących się na jego powierzchni, o wązkich dolinach, wśród których kryje się prastary zwyczaj dawnego plemienia, lub o rozkosznych płaszczyznach, przez które snuje się w krętem łożysku rzeka o głębokich nurtach, to tak plastycznie na jaw występuje cały kraj, który dotąd w twym umyśle tonął, jak obraz we mgle

jesiennej, tak jasno kreślą ci się w wyobraźni te odnogi przeróżnych wyniosłości górskich, że rozglądasz się w nich, jak we własnym ogrodzie, który znasz od lat dziecinnych.

Ale współzawodnictwo — niepodobne. Więc tylko w kilku nieudolnych rysach pragnę skreślić obraz zewnętrzny kraju, a rysy te pociągnąć śmiałą, pospieszną ręką, aby je wydatniejszemi uczynić. Wyobraźmy sobie, na półwyspie iberyjskim jeszcze jeden półwysep o tych samych zupełnie kształtach i konturach, tylko szczuplejszy — spoczywający na pierwotnym, jakby piramida, niby drugie piętro. Przypuśćmy na chwilę, że w ramach półwyspu ukazał się i wyrósł z pośrodka drugi półwysep—niby taras, a zostawił po brzegach wszędzie wolną, nie zajętą podstawę pierwotną. Taką jest w ogólnych rysach Hiszpania. Ten górny jej taras, położony na szerokim fundamencie, różną odznacza się wyniosłością.

W stronę zachodnią, ku brzegom oceanu, górskie ściany tarasu zwolna i stopniowo się zniżają, we wschodnim zaś kierunku, nad brzegiem morza Śródziemnego, taras sterczy ostrą krawędzią i spuszcza się ku wodom morskim gwałtownie, jak ściana spadzista, jak stroma pochyłość góry. Więc ten kształt masy górskiej, ten charakter wewnętrznej wyniosłości, piętrzącej się w środku Hiszpanii, tak stanowczo wpłynął na jej warunki rozwoju materyalnego, że życiu dziejowemu nadał właściwy kierunek. Trzeba się przypatrzeć bliżej tym nad-

brzeżnym, łagodnie spływającym ścianom górskim i skałom, sterczącym na wschodniej stronie jak nieprzebyte od morza zapory, żeby odrazu cały kierunek cywilizacyi hiszpańskiej zrozumieć.

Więc cóż się stało na owych brzegach wschodnich, które się ku Włochom zwracają? Tu i owdzie wygodna spotyka się przystań, która żaglowym statkom przytułek dać może, ale górskie strome ściany tak blizko przypierają do morza, że nie tylko żeglarzowi zasłaniają widoki, lecz odrazu zamykają mu drogę do dalszej lądowej wycieczki lub podróży. Ztąd też poszło, że lubo od dawnych czasów handel tu się nadmorski rozwinął, jeszcze za czasów rzymskich, nigdy atoli do rozkwitu dojść nie mógł, za mało był bowiem podsycany z głębi kraju. Gdzieindziej, jak we Francyi, w północnych Niemczech, ujścia rzek szerokich dają możność zapuszczania się dalej od brzegów wewnątrz krainy — przeto takie miasta: jak Bordeaux, Hamburg, Lubeka, powstały jako ogniska handlu morskiego. Nie tylko żaglowe statki zawinąć mogły, ale były one nadto bezpieczniejsze od wszelkich napadów korsarzy, niżeli na otwartym brzegu, łatwo dostępnym dla każdego od strony morza. Tylko jedna Barcelona wzmogła się tak znacznie, że pochłonęła w sobie, przyciągnęła do siebie cały ruch żeglowny wschodniego brzegu Hiszpanii; Walencya zaś i Kartagena drugorzędne lub jeszcze dalsze zajmują miejsca.

Inny widok przedstawia nam się od strony zachodnio-południowej. Ku oceanowi Atlantyckiemu zwolna spuszcza się taras górski, tworząc dość szerokie pasmo nadmorskie, które sprzyja rozwojowi przemysłu i handlu. Cały brzeg Portugalii stanowi ten właśnie szeroki stopień, po którym się pochyla górska krawędź, więc też z głębi Hiszpanii, z jej wyniosłości wszystkie niemal rzeki niosą do oceanu Atlantyckiego swe nurty. I Minho (Minio), i Duero, i Tag kąpią swe wody w głębiach Atlantyku. I Gwadalkwiwir podobnież zdąża ku południowi, do tego zbiornika wód morskich tocząc swoje ciemnomodre fale. Natura więc sama wskazała już kierunek całego rozwoju wewnętrznego. Co się kryje w głębi rozległej Hiszpanii, może wyjść na jaw głównie przez wskazane ujścia rzek ku zachodowi i południowi, przez owe bramy, przez które podobnież z zewnątrz przybysz obcy może się przedostać do wnętrza—do serca górzystej krainy. Cały zatem półwysep iberyjski ma twarz zwróconą ku Ameryce, jako ku części świata, do której dążyć powinien jego handel. To też Portugalia cała, która mimo swe nieznaczne obszary, jednak wielką posiada dogodność, mając w granicach swoich ujścia wszystkich najważniejszych rzek hiszpańskich, była dawniej, jak dziś po części jakby przedmieściem Ameryki południowej, a głównie Brazylii, owej Brazylii, co niegdyś jej podwładne stanowiła państwo, a dziś samodzielny prowadzi żywot, wybiwszy się na wolność.

Jakżeż odmienny widok przedstawia Hiszpania na całej przestrzeni wewnętrznej, a szczególniej w granicach swego rozległego, górzystego tarasu.

Przedewszystkiem zauważyć należy, że ten taras tak jest obszerny, że niemal trzy piąte całego lądu pyrenejskiego zajmuje. Stanowi on pod względem jeograficznym niejako jedną całość—i tę jedność nierozerwalną zachował prawie w ciągu długich wieków rozwoju dziejowego. Cała ta górzysta wyniosłość stanowiła obszerną arenę życia historycznego jednego głównie szczepu — szczepu kastylijskiego, który odegrał najważniejszą rolę w dziejach Hiszpanii. Pierwiastkowo zajmowali ci, co kastylijskim mówili językiem, część północną górskiego tarasu — i ta prowincya, niby kolebka przyszłej wielkości, nazywała się starą Kastylią (Castilla vieja). Później rozszerzyli Kastylijczycy swe panowanie, podbili południową czyli środkową część górskiej wyniosłości i dali jej miano swej pierwotnej ojczyzny, nazwawszy ją Kastylią nową (Castilla nueva). Wreszcie dotarli aż do ostatnich granic wewnętrznego tarasu i nazwali Manchą (Manczą) tę ostatnią zdobycz terytoryalną. Kastylia stara, Kastylia nowa i Mancza stanowią poniekąd pewną całość pod względem stopniowego wzrastania siły i potęgi hiszpańskiej.

W znaczeniu jeograficznem jeszcze wyraźniej na jaw występuje ta jedność przestrzeni, które zajmują tylko co wymienione trzy prowincye, sięgające od łańcucha północnego gór kantabryjskich aż na

południe do pasma Sierra Morena. Jestto jedna wielka pustynia, jeden rozległy step ponury, bezbarwny, jednostajnością swej zewnętrznej postaci przypominający nieprzejrzane okiem stepy Ameryki południowej. Obie Kastylie i Mancza stanowią serce Hiszpanii — w nich się zrodziła wielkość państwa Ferdynanda i Izabelli, w nich urosła i zmężniała sława owej monarchii Filipa, w której, według wyrażenia poety, słońce nie zachodziło.

I to serce Hiszpanii taką wielką przedstawia pustynię, taki step niezmierzony?—zapyta ze zdumieniem czytelnik.—Więc ta złotopromienna Hiszpania o swym stropie lazurowym, ta ojczyzna tylu sławionych, czarnookich piękności, miałażby być niczem innem jeno pustkowiem, jeno jałową czy kamienistą ziemią? I jam się pytał również, gdym przeróżne czytał opisy środkowej Hiszpanii; ale nigdy wyobraźnia moja nie sięgała tak daleko, aby chciała i mogła sobie przedstawić rzeczywistość tak powszednią, tak nagą, tak obraną ze wszelkiego uroku, a tak smutną, tak straszną!

I teraz dopiero, gdy patrzę na te obszerne, granitowe ściany, na te bezleśne, kamieniste pola, na te dzikie skały, na ten istny cmentarz natury, teraz pojmuję, widzę i wierzę.

Północną część górskiego tarasu stanowią wyniosłe płaszczyzny, gdzieniegdzie celujące niezwykłą żyznością, ale miejscami znów ciągną się wzdłuż i wszerz rozległe wydmy piaszczyste. Tu i owdzie

w różnych kierunkach przerzynają krainę górzyste odnogi, które od kantabryjskiego łańcucha ku południowi się zwracają, albo od wschodnich gór z Nawary powierzchnię czynią nierówną. Jestto Kastylia stara.

Środkiem wielkiego górzystego tarasu wewnętrznej Hiszpanii ciągnie się długie, wielkie i wyniosłe bardzo pasmo gór, które oddziela niejako, niby graniczna miedza, Starą Kastylię od Kastylii Nowej. Niedaleko Madrytu jedno pasmo górskie idzie łukiem od południa ku północy, drugie ramię w zachodnim dąży kierunku i krawędzie swoje opiera o granice Portugalii. Wschodnia odnoga nosi nazwę Sierra Guadarrama, zachodnia zaś zwie się Gredos i Gata.

Trzecia prowincya, południowa część górskiego tarasu czyli Mancza, mniej wyraźnie się od Nowej Kastylii oddziela. Stanowi ona poniekąd dalszy jej ciąg i sięga aż do górzystej ściany Sierra Morena.

Cały ten pas wyniosłej ziemi jednostajnym odznacza się charakterem. Żyzniejsze smugi gleby stanowią tylko wyjątek, jałową, kamienistą powierzchnię spotyka się na każdym kroku. Lasów nigdzie nie dojrzysz. Gołe pola, nagie skały, obdarte góry świecą niepojętem ubóstwem roślinności. Przebiegnij przestrzenie całe, nie spotkasz stawu, jeziora, górskiego nawet potoku. Czyliż istotnie takiej krainy nie należy nazwać pustynią?

Co za smutny widok okolicy, którą przebywasz pieszo, na mułach czy w wagonie drogi żelaznej, wiodącej do Madrytu. Pojąć nie możesz tego, co widzisz. Zrazu oczom nie wierzysz, powoli jednak uznać musisz za rzeczywistość, co ci nasuwa smutny, ponury krajobraz. Z podziwem spoglądałem na Kastylię starą. Zwiedziłem jej gród stołeczny Burgos. Poznałem świetną niegdyś stolicę Karola V go i Filipa II-go — Valladolid. Zbadałem przyległe okolice, a zatem pod świeżem wrażeniem, z własnego widzenia, kreślę obrazy tej sławnej kastylijskiej ziemi. Co za rozczarowanie!

Jakżeż poważnie, jak surowo wygląda oblicze rycerskiej Kastylii! Już jesień rozpostarła tu swe panowanie, już się pola nie zielenią bujnym plonem. Wszędzie przed nami, gdzie tylko oko sięgnie, roztacza się jednostajny, niczem nie ubarwiony widok. Czerwonawe pola, obnażone, jakby ciało ze skóry obdarte, szare smugi jałowego piasku i skaliste ściany poorane, poszarpane od tych potoków dżdżu, który po nich spływa, wszystko to sprawia dziwnie pognębiające wrażenie. Niewysłowiony smutek ogarnia cię na widok tego ubóstwa ziemi, tej nędzy, która z tych szarych pól przeziera, bo i na wiosnę nie uśmiechnie się tu natura młodzieńczym wdziękiem. Wprawdzie tu i owdzie pola się zazielenią i ukażą gdzieniegdzie oazy winnych sadów, ale szare skały sterczą po dawnemu i czerwonawych pól smugi, leżące odłogiem, świecą swą zwykłą nagością. Jakaż wielka tęsknota budzi się

w duszy do wesołych gajów, do zielonych wieńców drzew, które w innych stronach, czy w innych krajach tak piękną stanowią ozdobę ziemi, tak przecudnie ubierają krajobraz.

W Kastylii oko podróżnika nie jest w stanie ogarnąć jednostajnej, niczem nie urozmaiconej płaszczyzny i nuży się prędko. Szuka daremnie ciemnej drzew gęstwiny, aby spocząć i wytchnąć na tych szczegółach, które gdzieindziej ożywiają okolicę; tu zaś powierzchnia dalekich przestrzeni zlewa się niemal w jedną barwę z widnokręgiem i sprawia wrażenie bezdusznej pustyni. Lasy w Kastylii, w starej i nowej, oraz w Manczy należą do wielkich rzadkości. Spotykałem tu i owdzie niedawno zagajone pola, które wyglądają raczej, jak sztuczne ogródki podmiejskie, niż prawdziwe bory. Rosną w nich sosny nadmorskie — te same, któremi zasiane są znane w południowej Francyi za miastem Bordeaux— landy, ale rosną tak rzadko, w takich od siebie wielkich odstępach i mają tak mało gałęzi, igłami pokrytych, że istotnie nie wiele co różnią się gaje od zwykłych ogródków.

Wieśniak kastylijski drzew nie lubi. Nie nauczył się ich szanować, kochać i pielęgnować, jak wieśniacy innych cywilizowanych krajów. Wydano już na początku bieżącego stulecia polecenie, aby każdy wieśniak na gruntach gminnych pięć drzewek posadził rok rocznie, ale dotychczas nigdzie jeszcze, mimo upłynionych lat tylu, nie widać skutków tego zbawiennego przepisu.

Widziałem wsie w Kastylii, gdzie ani jeden wieśniak nie miał ani ogródka ani drzewka owocowego lub dzikiego. Czasem gdzieś nad strumykiem zabłąka się samotna płacząca wierzba. Czy kraje te nigdy nie znały powabu ciemnych i cienistych lasów i zawsze obywały się bez drzewa, pytałem w duchu, patrząc na łyse góry i łyse jak głowa starca pól powierzchnie?

Bynajmniej. Ziemia Kastylii, która stanowiła niegdyś dno obszernego jeziora — i trzeciorzędowe dźwiga na sobie pokłady, zdolna jest niewątpliwie podtrzymać wegetacyę drzewną. Wszakże za czasów Rzymian nieprzebyte bory tamowały im zrazu postępy podboju i uspołecznienia krajowców. Mauzastali tu także niezmierzone lasy. Wytępiono je później w ciągu kilku następnych wieków, po odzyskaniu Kastylii Nowej i zdobyciu jej na Maurach. Wyniszczyć więc lasy łatwo, ale jakżeż trudno na nowo kraj zadrzewić! Czy przykład Kastylii nie powinien być dla nas przestrogą i nauką?

W obec tego braku lasów, drzewo wszelkie jest niezmiernie drogie, używa się też go jak najmniej. Wszystkie chaty wieśniacze lepią się z gliny, narożniki stawia się z kamieni, podłogę daje się ceglaną, schodki kamienne — a z drzewa robi się to, czego żadnym innym materyałom zastąpić niepodobna, więc krokwie, więc drzwi, okna i t. d. Wozów używa się mało. Wszystko muły i osły noszą i przewożą. Choć utrzymanie osła jest dość drogie, mniej jednak kosztuje juczne zwierzę, niż kupienie wozu i utrzymanie pociągowego konia.

Jeśli więc do szczegółów skreślonego wyżej obrazu bezleśnej i pustej krainy, dodamy jeszcze i ten rys charakterystyczny, że skupione razem domki wiejskie, ulepione z gliny niepalonej, szarej, nie wiele się różnią od ponurego tła ziemi, na której jak grzyby wyrosły, utworzymy sobie łatwo pojęcie, co za posępny, grobowy i pustynny widok przedstawia Hiszpania—a przynajmniej cała jej część środkowa, od łańcucha gór kantabryjskich aż do ponurych szczytów na południe — Sierra Morena.

Wprawdzie niebo lazurowe ożywia nieco to jednostajnie posępne oblicze kastylijskiej natury, ale szczerze mówiąc niema żadnego powodu wielbić i sławić słodycz i łagodność tutejszego powietrza i przeciwnie, można się słusznie skarżyć na ostrość klimatu. Wysokie wyniesienie całego górskiego tarasu sprawia, że zimą panują tu dokuczliwe zimna, śnieg wcześnie pokrywa wyniosłości, a latem skwary afrykańskie wysuszają glebę. Wśród tych gwałtownych zmian i przeskoków, wśród tych ostateczności—zimna, suszy i skwaru, bujniejsza roślinność staje się prawie niepodobieństwem. To też na pochyłych ścianach gór, albo na skalistych wyniosłościach krzewi się tylko wrzos o krzewie różowawym, albo sterczą: tymianek, lawenda, rozmaryn o nizkich łodygach.

Z ubóstwem natury zdaje się być w zgodzie i niewielkie ożywienie, jakie w powietrzu panuje. Cisza zalega dokoła, nie przerwie jej śpiew ptasząt, świergot skrzydlatych mieszkańców pól zielonych, ani głos ptaków wędrownych. Mówi przysłowie

nawet ludowe, że kiedy skowronek przez Kastylią leci, niesie ziarnka zboża w dziobku na posiłek.

I jak wszędzie, tak i w starej Kastylii ludzie odpowiadają najzupełniej naturze—matce swej, na łonie której powstali i żywot swój pędzą. Ponieważ skąpą ręką niebo tu darów swych udziela, więc i nieliczna jest ludność, która się wśród tego pustkowia żywi. Są gdzieniegdzie miejsca, mające na milę kwadratową średnio nie więcej, jak 300 mieszkańców. W ogóle zaś cała górska wyniosłość środkowej Hiszpanii, dla swej gleby nieurodzajnej i przestrzeni stepowych, należy do najmniej zaludnionych części półwyspu iberyjskiego.

Byłoż kiedykolwiek inaczej?

Niewątpliwie pamiętają obie Kastylie i Mancza czasy lepsze, pomyślniejsze, dobę większej zamożności. Zubożenie już pod koniec wieków średnich się objawiło — po odzyskaniu całej krainy od Maurów, kiedy powstały wielkie fortuny magnatów feodalnych, wasalów świeckich i duchownych, które powstać i utrzymać się drobnemu posiadaczowi nie pozwoliły. Wypędzono później Maurów, co sprowadziło w ludniejszych miastach upadek rzemiosł. Wcześniej jeszcze, w epoce odkryć wielkich i podboju w Ameryce, ludność co śmielsza, co więcej przedsiębiercza porzucała setkami rodzinne niwy, przenosząc się do złotodajnej Ameryki. Dziś to wyludnienie tak się rzuca w oczy, że podróżnik w Kastylii odrazu spostrzeże ubóstwo i pod względem ludzi, i pod względem zasobów i źródeł przyrodzonych. Ruina ogólna ekonomiczna widoczną jest na każdym kroku.

Wśród ciężkiej walki z naturą, wśród zaciętej walki z Arabami o rodzimą ziemię, wyrobił się charakter ludu pod względem fizycznym i pod względem moralnym.

W układzie ciała, w rysach twarzy widać mozół życia. Nie wypieściła tu delikatną ręką natura ani oblicza o wydatnych kościach i ostrych konturach, ani szczególniejszym blaskiem nie opatrzyła wzroku kobiet. Ale wśród walki z potrzebami życia, wśród bojów staczanych o wiarę i własną ziemię, wyrobił się wielki hart duszy, przywiązanie do kraju, poczucie swej godności, duma kastylijska, powaga, złączona z pewną ociężałością.

Nowa Kastylia, w pośrodku której dziś się rozlega stołeczny gród Hiszpanii, przedstawia pod względem opuszczenia jeszcze straszniejszy widok. Rzućmy nań okiem choć pobieżnie z okna wagonu, bo ani czasu, ani chęci nie było zapuszczać się daleko w niedostępne wertepy lub bezludne knieje, aby przypatrywać się obliczu posępnej, ubogiej natury.

III.

Krajobraz Kastylii o wczesnym ranku. — Miasto Avila. — Woda i czekolada. — Święta Teresa. — Droga przez góry. — Widok Guadarramy i pustyni w Nowej Kastylii, Eskurialu. — Co to jest rzeka Manzanares?

Noc zazdrosna o piękności natury kastylijskiej, noc ciemna, wrześniowa, czarna jak sumienie grzesznika, pokryła okolicę całą nieprzejrzanym płaszczem i może na szczęście uwolniła nas na kilka godzin od smutnych rozmyślań, budzących się w duszy na widok strasznego w przyrodzie opuszczenia. Z Valladolid zmierzamy ku stolicy Hiszpanii. Jej cudne pałace, jej królewskie zamki, ożywione postaciami światowładnych królów, stają tak posągowo w pamięci, że mimo znużenia, duch przyjść nie może do równowagi. Ciekawość podróżnika, który pierwszy raz przebywa nieznane sobie okolice, nie zna granic. Może właśnie — mówiłem do siebie — już się pustkowie skończyło, może się już piaszczyste wertepy zamieniły w zielone błonia, może już nareszcie zaczęła się prawdziwa, a ta

rozkoszna Hiszpania — a tymczasem przez ciemną nocy zasłonę nie dojrzysz ani wsi rolnych, ani gęstych lasów, ani błonia uśmiechniętego wieńcami gajów i kwiatów.

Wśród snu gorączkowego budzę się co chwila i wyglądam, azali się już nie ukazują na niebie promienne zorze, azali już niebawem Feb nie zatoczy swego złotego rydwanu? Daremna jednak nadzieja! Czas płynie leniwo, choć i wozy nasze nie mkną zbyt pospiesznie. Snać droga wznosi się ku górze.

Nareszcie powoli posępne cienie nocy ustępują, i z po za szarego zmroku coraz wyraźniej występuje oblicze natury. Wprawdzie dalekie horyzonty toną jeszcze w jakiejś mgle nieprzeniknionej, ale już wzrok nasz ogarnia najbliższe widoki. I cóż za złudzenie! Zamiast wymarzonych ogrodów, pól umajonych kwieciem, znów straszna, bezludna pustynia. Mgły ustępują, wznoszą się ku niebu, odsłaniają odleglejsze krajobrazy, ale wszędzie i zawsze ta sama pustynia, bez życia, bez tchnienia, z wyrazem grobowej bladości.

Już światło dzienne oblało dokoła cały horyzont, na który to w prawo, to w lewo rzucamy spojrzeniem — tylko jasnego oblicza słońca nie widać; dekoracye natury zostają te same, niezmienne, biedne, bez barwy, monotonne.

Dreszcz zimny przebiegł po ciele, chłód przejmujący coraz dotkliwiej czuć się dawał. Towarzysze nasi podróżni, Hiszpanie po większej części, bo

któżby ich nie poznał na pierwszy rzut oka, otulili się, jakby rzymscy senatorowie, w swoje szerokie płaszcze, z szczególniejszą troskliwością kryjąc usta za fałdzistemi ich zwojami. To też głuche panowało w podróżnem gronie milczenie, odpowiadając najzupełniej cmentarnej ciszy, jaka była w całej rozlana naturze.

Hiszpanio!—zawołałem w duchu—więc gdzież się podziało twe skwarne słońce, gdzie twe sławione powaby nieba i ziemi?

I byłbym dalej zadawał sobie podobne pytania, które się rodzą mimowoli w duszy zawiedzionego podróżnika, tracącego w drodze życia jedną ułudę za drugą, gdyby nie głos konduktora, który oznajmił pożądany przystanek — Avila.

Ledwie się pociąg zatrzymał, już się i inne rozległy głosy, a głosy różne, a każdy inny. „Quien quiere agual“ — słyszę najwyraźniej. Więc się zrywam. Wychodzę. Kastylijskie niewiasty, z dzbanami w ręku, z dzbanami glinianemi, które przypominają rzymskie kształty, częstują o tej wczesnej porze, kiedy zimno na wskroś przejmuje—zdrojową wodą!

Jeszcze silniejsze przejęły nas dreszcze na sam odgłos chłodnego napoju i mimowoli przypomniały się kraje z pod bieguna północnego. Żeby zatrzeć w sobie niemiłe wrażenie i stwierdzić, że raczej w południowej jesteśmy stronie, w krainie tyle chwalonej czekolady, puściliśmy się czemprędzej ku sali

restauracyjnej. Na stołach rzędami stały drobne białe filiżaneczki, napełnione gęstą czekoladą. Innego niemasz napoju, aby się ogrzać w rannej porze. Prawowici Hiszpanie już się w oka mgnieniu do stołów przysiedli — i zaczęli swój posiłek... od zimnej wody.

Woda jest tu przysmakiem. Tak jej mało w całej Kastylii, tak tu brak krynic, cystern lub studni, że woda niekiedy do zbytków należy. Rozumiem więc, dlaczego z taką skwapliwością sprzedają tu wodę owe niewiasty z dzbankami i dlaczego ją jeszcze chciwiej piją podróżnicy Hiszpanie, nawet podczas tego przejmującego, jesiennego zimna. Nie jest to widocznie jednak kryształowa, kryniczna woda, kiedy przy każdej szklance, która stoi przy filiżance czekolady, leży długi, biały, przezroczysty kruchy sucharek, z cukru i białka upieczony. Że cudzoziemiec niejeden, nie obeznany z przeznaczeniem sucharka, zacznie nim przegryzać, popijając czekoladę, więcej niż pewno. Tymczasem owe śnieżne *azucarillos* służą jako odczynnik dla oczyszczenia wody. Każdy kładzie swój sucharek do szklanki i pije wodę dopiero po rozpuszczeniu się tej białkowo-cukrowej masy...

Z okien wagonu spojrzałem jeszcze na miasto. Gdyby czasu starczyło, byłbym pobiegł podziwiać jeden z piękniejszych pomników gotyckiego budownictwa — wielką, rozległą katedrę, która prawdziwą ozdobę Avili, biskupiej siedziby, stanowi. Trzeba

było wszakże poprzestać tylko na pobieżnym rzucie oka. Ale i to spojrzenie pośpieszne nie zatarte w pamięci pozostawiło ślady. W Avili przyszła na świat święta Teresa, w Avili spędziła ona na rozpamiętywaniach dwadzieścia kilka lat życia w klasztorze Karmelitanek. Jest to prawdziwa ozdoba literatury duchownej, czyli religijnej w Hiszpanii w XVI-wieku. Któż nie słyszał o jej dziełach, natchnionych taką głęboką kontemplacyą? Któż poznał ducha Hiszpanii, kto zrozumiał nastrój umysłów w czasie wojen religijnych — jeśli nie zbadał dzieł św. Teresy i nie wtajemniczył się w ten mistyczny świat zaziemski, oddany, bądź co bądź, z wielką potęgą pióra i wyobraźni w jej „Twierdzy wewnętrznej" (El castillo interior)? Zdaje mi się, że pojmuję lepiej ten żywot twardy i surowy, ten umysł ascetyczny, to lubowanie się św. Teresy w obrazach z życia zagrobowego od chwili, kiedym na własne oczy widział, choćby zdaleka, rodzinne jej miasto, tę posępną naturę, wśród której po dziś dzień sterczą mury, klasztory i kościoły Avili.

Avila jest to ostatnia większa mieścina w starej Kastylii, po za jej granitowemi polami zaczyna się długie pasmo gór, gór najwyższych w środkowej Hiszpanii i dobrze znanych wszystkim podróżnikom. Właśnie w miejscu, gdzie przebiega kolej żelazna, istnieje między łańcuchem górzystym wklęsłość dość znaczna, z której skorzystano, aby tędy poprowadzić drogę do Madrytu i ominąć wyniosłe górskie szczyty. Z lewej strony — w kierunku ku stolicy,

wznosi dumnie ku niebu swe nagie czoło Guadarrama, a z prawej ciągną się ku granicy portugalskiej góry Gredos i Gata, o szerokich i rozgałęzionych odnogach. Formacya tych gór granitowa — więc skalista.

Droga pnie się coraz wyżej z wielkim wysiłkiem. W jednem miejscu dosięga największej wysokości, która z górą 2,4000 stóp wynosi. Jest to jeden, bodaj czy nie najwyższy punkt, który w Europie ujarzmić potrafiła inżenierya i oddać na usługi sile parowej i komunikacyi kolejowej. To znaczne wyniesienie się nad morze objaśni łatwo przyczynę obniżonej temperatury i ostrość powietrza w jesiennej porze. Budownictwo przy prowadzeniu w tych górskich okolicach toru żelaznego pokonało niezmierne trudności. Droga wije się często na ścianach pochyłych skał, po sztucznych nasypach i wałach, to znów prowadzi po przez długie i liczne tunele. Ale krajobraz się nie zmienia — pustynia po dawnemu roztacza przed naszemi oczyma swą grozę.

Kiedy tak w prawo i w lewo rzucam ciekawe spojrzenia i mimowoli podziwienia ukryć na twarzy nie mogę, spostrzegł to jeden z towarzyszów podróży, poznał w osobie mojej cudzoziemca i rzekł jakby na pociechę:

— Si Usted quiere tener una idea verdadera de nuestro pais (jeśli pan chce mieć prawdziwe o naszym kraju pojęcie)—mówił do nas Hiszpan— niech się pan tak chciwie nie wpatruje. Cała ta okolica—to wyjątek, tak tylko dla kontrastu przez

naturę upośledzona. Niebawem piękny Madryt zobaczymy.

— Aleć już dwie godziny, panie — i ustawicznie ta straszna przed nami knieja. Co za rozczarowanie! — odpowiedziałem otwarcie.

Hiszpan czuł się w obowiązku bronić rodzinnej ziemi. Zdawało mu się, że nie natura rumienić się winna, ale on się wstydzić powinien.

— To tylko w tych stronach — mówił nasz towarzysz dalej — przedstawia się tak niekorzystnie górska kraina; ale tam, za temi górami!

— Więc to Guadarrama przed nami? — zapytałem ciekawie.

— Tak jest, Guadarrama — brzmiała odpowiedź.—Codzień z ulic Madrytu widzieć pan będziesz te podobłoczne szczyty.

Miał Hiszpan słuszność, nazywając podobłocznemi wierzchołki Guadarramy. Właśnie się przesuwają chmury mgły to gęstej, to rzadkiej. Jedne obłoki niżej wieszają się na skalistych spadzistościach gór, inne znów wyżej niby wieniec zimowy osiadają na szczycie, a tam dalej w dolinie, ku której się w prędkim biegu spuszcza kolej, rozlewa się jasne światło poranku jesiennego.

— To dobroczyńca Madrytu — dodał znów mój towarzysz.—Guadarrama — to ojciec stołecznego naszego grodu.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony.

— Z granitu Guadarramy powstało miasto, z granitu i kamienice miejskie, i pałace, i ulice. Gdyby nie Guadarrama, nie byłoby Madrytu.

I pomyślałem sobie: wszystko na świecie da się usprawiedliwić. Tak mnie jednak przykuwał do okna widok pustyni, żem i oka oderwać nie chciał i chęci nie miałem wypowiadać przed Hiszpanem zdziwienia swego wobec tej cmentarnej okolicy.

Cóż za bogactwo kształtów, co za różnorodność form kamiennych, które się przed oczyma co chwila przesuwają! Wszystko dokoła, jakby zasiane głazami. Cała powierzchnia, jak daleko tylko wzrok siegnie, najeżona nieskończoną ilością skał. Mniemasz, że to istna burza na ziemi, która się nagle zamieniła w rozhukane fale morskie. Tu sterczą głazy, kamień na kamieniu, jakby pomniki grobowe cyklopów, tytanów raczej. Tam znów obok spoczywają olbrzymie płyty, niby stoły niezmierzone dla całych legionów, a tuż przy drodze, którą przebywamy w wagonie, pole usiane mniejszemi głazami, jakby po strasznym przewrocie w naturze leżały szczątki rozbitych gór i skał strzaskanych.

I nigdzie drzewa, nigdzie chaty ludzkiej nie dojrzysz. Nigdzie drogi nie widać. Tylko jeden wielki smutek rozlany po obliczu całej tej martwej przyrody.

Głucho i pusto jak na cmentarzu. Mógłbym z poetą hiszpańskim Becquerem zawołać:

Dios mio, que solos
Se queden los muertos!
(Boże mój—toć tu sami
Spoczywają umarli!)

— Co za straszna pustynia—rzekłem wreszcie, jakby ku większemu utrapieniu mego towarzysza, który się rumienił, zamiast wraz ze mną obwiniać surową naturę.

— Tam dalej w górach, gdzie się ciągnie pasmo Gredos i Gata, niemasz tego pustkowia — mówił znów Hiszpan, odrywając rozmową swą wzrok mój zatopiony w tych grobowych widokach.— Tam dalej przecudna przyroda! Rozkoszne gaje, zielone błonia. Wszak tam Karol V-ty osiadł w klasztorze św. Justa, aby dokonać dni swego żywota na łonie rozkosznej natury.

— Aleć to w Estremadurze! — dodałem — nie w Kastylii.

— Istotnie — rzekł, potwierdzając mą uwagę Hiszpan. — Ztąd jednak tak niedaleko — tam, na prawo.

— Czy droga jaka w tamte strony prowadzi?— zapytałem ciekawie.

— Prawdę mówiąc, ztąd drogi niemasz żadnej, trzebaby góry obejść i od innej strony puścić się ku tej powabniejszej części Kastylii lub Estremadury.

Więc tylko jedynie tor kolei żelaznej wskazuje tu kierunek, w jakim dziś przez te knieje przedostać się można. Tam nieco dalej ku Guadarramie jest istotnie dość wygodna droga dla wozów. Zbudować ją kazał Ferdynand VI-ty, podobno w początkach bieżącego stulecia. Tak był dumnym ze swego dzieła, że umieścił na jednym ze szczytów posąg lwa z napisem: „Król zwyciężył góry."

Były zaiste trudności do pokonania nie małe i dziś również wielkie by się przedstawiły, gdyby tę pustynię na pożytek ludzi obrócić wypadło.

Ale obecnie — to tiempos posados dla Hiszpanii. Dziś złoto nie płynie z Ameryki tak obficie, jak niegdyś płynęło w epoce Filipów, Kolumbów, Kortezów i Pizarów. Dawniej potężni władcy mogli swym przywidzeniom czynić zadość, dziś nie starczy pieniędzy na zrobienie rzeczy koniecznych i nieodzownych. Dawniej monarchowie hiszpańscy budowali przecudne w pustyni pałace, później nie stać było na ozdobniejszą świątynię w stolicy.

Świadczy o tem Eskurial.

Właśnie się zbliżamy do sławnego tego miejsca pobytu Filipa II-go. Wszak jego pałac Hiszpanie ósmym cudem świata nazywają. Z niedowierzaniem spoglądam na niewielki domek murowany, który nam się ukazuje na stacyi. Nieco zielonych drzew i krzewów dodaje wesołości temu krajobrazowi, na którym się maluje smutek i opuszczenie. Wszystko, na co spoglądam, wydaje się niepozornem. Wysiadam, aby się przekonać, czy nie zachodzi jaka pomyłka.

— Es aqui Escorial? — pytam w niepewności spotkanego urzędnika kolejowego.

— Si, Senor — brzmiała odpowiedź.

Wątpliwości więc ustąpiły, ale natomiast zaczęło się zdziwienie. Spoglądam raz jeszcze. Na stacyi głucho. Nikt nie wysiada. Za stacyą ukazuje się kilka domków—a dalej jeszcze ku górze jakieś szare masy rozległych zabudowań osiadły wśród również szarych, granitowych ścian Guadarramy.

Jużeśmy tyle doznali rozczarowania, już tyle, ponurych dziś przesunęło się przed nami widoków że odeszła nas chęć przypatrywania się bliżej tym klasztornym murom i temu opuszczeniu grobowemu. Więc zawróciwszy czemprędzej do wagonu, postanowiliśmy zatrzymać się dopiero u kresu naszej podróży, w samej stolicy Hiszpanii.

Jeszcze nas dzieli dwugodzinna przestrzeń od grodu królewskiego, od Madrytu. I znów te same bez zmiany widoki. Nic nie zapowiada blizkości wielkiego miasta. Owszem coraz straszniej. Granitowe skały mkną jedna za drugą, jałowe przestrzenie snują się bez końca. Później ukazują się tu i owdzie jakieś osamotnione karłowate dęby. Powoli nikną głazy, piaszczyste widnieją wydmy, nareszcie gdzieniegdzie zielone wieńce podmiejskich ogrodów rozweselają ponure tło obrazu.

Więc do serca wstąpiła otucha i żywsza radość zajęła miejsce dotychczasowego uczucia smutku i rozczarowania. Ale przedwcześnie. Jeszcze nie jedno czekało nas rozczarowanie.

Nim się zatoczyły koła naszych wagonów pod ciemny i brudny dach stacyi stołecznej, przebywamy znakomitą rzekę, tyle głośny Manzanares, co do której, jak dobrze pamiętam z lat młodszych naszej nauki, powstawały spory i wątpliwości, nie rozjaśniona przez ówczesne podręczniki jeograficzne: czy to rzeka, czy to kanał?

Jest i rzeka, jest i kanał tego nazwiska. Ale to, co nam się przedstawiło przy wjeździe do Madrytu, nie było ani jednem, ani drugiem. Zamiast głębokich nurtów rwącej rzeki, ujrzeliśmy szerokie piaszczyste łożysko — jako miejsce dla potoku, ale pozbawione wody. Tylko niby struga z wylanej szklanki wody, sączył się brudnawy płyn, który urzędownie w książkach i podręcznikach figuruje jako rzeka Manzanares.

Obok wspaniałej, a przynajmniej wielkiej stolicy — taki strumyk płynącej wody, która niekiedy latem wysycha do szczętu, taki strumyk niepozorny, a jednak jedyny w całej tej okolicy — wydaje się istotnie dość śmiesznym — zwłaszcza, gdy nosi imię rzeki. To też oddawna juz madryczanie, również jak cudzoziemcy, zaostrzali swój dowcip na tym pretensyonalnym strumyku, w rozmaity sposób przedstawiając jego znaczenie, ubóstwo wód jego lub śmieszne jego kaprysy.

Tirso de Molina skreślił hierarchiczne stanowisko Manzanaresu w systemacie wodnym, nazwawszy go wicehrabią rzek a księciem strumyków. Niemniej dowcipnie wyraził się on o Manzanaresie, że tylko podczas zimy ma bieg wody, i w tym

względzie nasladuje uniwersytety w Salamance i w Alkali, gdzie podobnież tylko w zimowej porze odbywa się bieg nauk.

Kiedy Aleksander Dumas bawił w Madrycie, stanąwszy nad brzegiem wyschniętej rzeki, zażądał szklanki wody od roznosiciela czyli *aguadora*, a gdy połowę z niej wypił, oddając resztę, rzekł do sprzedającego: „Przyjacielu, tem — co zostało, poczęstuj spragnioną rzekę."

Niemiecki ambasador Rhebiner chwalił dogodność Manzanaresu przed innemi rzekami, twierdząc, że jest jedyną z tego względu, iż można na niej żeglować na koniu i w powozie.

Istotnie niewielka z tej rzeki pociecha. Chyba tylko ta korzyść, że zamiast, coby miała miastu wodę przynosić, przynosi same tylko złośliwe uwagi i dowcipy.

A jednak podobno dawniej było inaczej. Podobno przed kilku wiekami, kiedy lasy pokrywały dziś nagą okolicę, obfitsze wody płynęły tem szerokiem łożyskiem. Z wycięciem lasów, wyschły i źródła. Dziś głównie śniegi na wiosnę, kiedy topnieją na Guadarramie, zwilżają suche dno koryta rzecznego.

IV.

MADRYT.

Puerta del Sol.—La manilla.—Typy madryckie.—Dzieje Madrytu.—Kościoły.—Inkwizycya.

Z okien mego pokoju przy ulicy *calle de Alcalà* roztacza się wspaniały widok. Z wysokości drugiego piętra ogarniam okiem szeroki rozległy plac, zamknięty szeregiem wysokich domów, ściśle do siebie przystających, przedzielonych gdzieniegdzie ulicami, które niby rzeki wpadające do morza, swe ujście mają na placu. Toć to sławna Puerta del Sol! Któż o niej nie słyszał? Chciwie rozgląda się w tym nowym dla mnie widoku. Ileż to już razy przed przyjazdem do Madrytu przenosiłem się myślą na to pamiętne miejsce, które po tylekroć w dziejach było świadkiem ważnych zdarzeń politycznych. Jakżeż barwnie w mej wyobraźni przedstawiał się ów plac obszerny, stanowiący środek miasta, który tak poetyczne, tak powabne nosi miano: „bramy

słońca." Czegóż bo sobie nie wystawi fantazya, kiedy się przenosi pod południowe niebo tyle sławionej i tak uroczej Hiszpanii, i tworzy sobie obraz jej stołecznego grodu, jej placu głównego, który był widownią dawniej i w ostatnich jeszcze latach najważniejszych wypadków politycznych, i który jest jej największem ogniskiem, jej sercem, jej głową!

„Puerta del Sol!" zawołałem w duchu, patrząc na jej kilkopiętrowe kamienice, jednostajne jak pustynia wokół Madrytu, a podobne do siebie, jak rodzone siostry. Z tego samego placu rozlegały się krwawe wyroki śmierci, kiedy najezdcy Francuzi chcieli łamać opór przywiązanych do swej ojczyzny synów Hiszpanii. Ileż to razy ze szczytu mównic rozchodził się tu głos, zwiastujący zmiany rządu. Ileż to razy na ten plac wkraczały wojska zwycięzkie, wchodzili królowie, aby odzyskać straconą koronę. Jak często rozchodziło się ztąd hasło po kraju, wzywające do przewrotów. Jak często ogłaszano tu konstytucye, republiki... i rewolucye.

Rozumiem teraz znaczenie polityczne Puerty del Sol, kiedy na ten obszerny, czworoboczny plac spoglądam i widzę zdala, jak tam wre i kipi życie, jak tam fale ludu płyną, jak się tam przesuwają rojne tłumy. Z jedenastu przyległych najgłówniejszych ulic przypływa ta wzbierająca ciągle fala i do jedenastu ulic znów się przelewa wszystko, co przez

Puertę del Sol zdąża w przeróżnych kierunkach miasta.

Z wysokości mego balkonu widok ten, rozległy a ożywiony, przedstawia niemało powabu. Ciągle się rusza ta fala ludu, to się zwiększa, to znów niby bałwan morski opada. Raz przypływ, to znów odpływ. Życie pulsuje. Znać tu serce, dokąd krew zdąża i zkąd się po całem mieście rozchodzi. Od strony słonecznej mniej ruchu, ale za to gdzie cienisty szlak, tam rojno jak na odpuście a czarno zupełnie jak w mrowisku.

Wiedziony ciekawością pobiegłbym spiesznie przyjrzeć się obliczu stołecznego grodu, ale upał dnia wrześniowego trzyma mnie, jak więźnia w zamknięciu. Ogniste słońce, mimo porę jesienną, piecze, jak nigdy u nas w najgorętszy dzień lipcowy. W godzinach rannych, kiedyśmy przebywali górzyste knieje i stepy Nowej Kastylii, przejmowało nas do szpiku kości jesienne zimno, a tegoż samego dnia w przedpołudniowej porze skwar afrykański dotkliwie czuć się dawał.

Nad wszystko podziwiam błękit nieba. Co za lazur przecudowny! Jakież czyste przezrocze! Jakież głębiny niezmierzone roztaczają się na stropie niebieskim! Zdaje nam się, że się rozlało nad nami najpiękniejsze włoskie jezioro o błękitnej barwie swych wód kryształowych. Czy modrooka bogini ateńska mogła powabniejszym świecić blaskiem nad to przezrocze powietrze, przez które płynie poważnie złocista kula niebieska. Jest jakiś nie-

wysłowiony urok tej przecudnej pogody rozlanego nad nami eteru. Ileż to w tem życia, ile wesołości! Zdaje ci się, że nawet załzawiona źrenica zaczęłaby tu pogodniej na ten świat cały patrzeć.

To też zapewnie i ten blask słońca, i ten głęboki lazur w takiem uroczem świetle, ukazują zdala obraz ruchliwej Puerty de Sol. O! bo oświecenie malowidła jakżeż koniecznem, jak niezbędnem jest dla wywołania silniejszego wrażenia.

Wiemy o tem dobrze. Wiedzą o tem i artyści, zapatrując się na naturę, gdzie takie bogactwo, gdzie taka rozmaitość światłocienia. Noc księżycowa i lazur nieba, przeglądającego się w srebrzystych promieniach! Ileż w tem uroku! Takim powabem uśmiecha się istotnie niebo Hiszpanii.

Kiedym zeszedł z wysokości balkonu, z którego ogarniałem całość obrazu, jaki przedstawiała zdziwionemu oku memu Puerta del Sol, kiedy porzuciłem stanowisko, z którego piękna rozwijała się perspektywa, i kiedy bliżej zacząłem się przypatrywać szczegółom ze zwykłego poziomu pieszego przechodnia, zniknęły ułudy zmalały powaby, a tęczowe barwy zamieniły się na szarą powierzchnię codziennej rzeczywistości.

I znów rozczarowanie, i znów o jedno złudzenie mniej w naszych marzeniach o pięknej Hiszpanii.

Powabnie brzmi nazwa — Puerta del Sol. Więc sądzisz, że jak słońce jest gwiazd królową, tak i ta brama będzie największą gwiazdą, pierwszorzędnem słońcem w świecie budownictwa, sztuki plastycznej... Tymczasem przedewszystkiem zauważyć trzeba, że tu niemasz żadnej zgoła bramy ani w rodzaju tej, która się wznosi na polach elizejskich w Paryżu, ani bramy brandeburskiej, która w Berlinie zamyka ulicę „Pod lipami.“ Puerta jest tylko wspomnieniem czczem bez treści — a dodany doń wyraz — słońce, oznaczał swego czasu położenie bramy w kierunku, gdzie się wschód słońca znajduje.

Dziś więc jest zwyczajnym placem, dość rozległym, z którego rozchodzi się jak z głównego ogniska jedenaście promieni ulic. Wszystkie domy, czteropiętrowe kamienice, tak są do siebie podobne, że zlewają się jakby w jedną całość monotonną, niczem nie urozmaiconą. Budynki są nowe, proste, a zwykłe, bez żadnej ornamentyki. Szeregi okien, szeregi balkonow. Wszystkie ściany, jak gdyby za zmową właścicieli, żółtą pociągnięte barwą, od której jaskrawo odbijają tu i owdzie nazewnątrz wywieszone zielone żaluzye.

Całość nie sprawia żadnego wrażenia. Ani nie zwabi twego wzroku jaka świątynia o wspaniałych wieżach, ani twej uwagi nie uwięzi jaki pałac o bogatych ozdobach. Chyba tylko ten wodotrysk o wysokim słupie kryształowej wody uderzy wyobraźnię.

To też dla prawdziwego madryczanina powab Puerty del Sol spoczywa nie w architektonicznej okazałości, ale w tem mianowicie, że tu jest niby forum rzymskie, ognisko miasta, serce Madrytu. Tu się wszyscy spotykają umyślnie lub przypadkiem, tu o każdej porze dnia gorączkowy ruch panuje, a w poobiedniej godzinie, wieczorem lub podczas letniej albo jesiennej nocy wylegają na plac tłumy nieprzeliczone.

Najpiękniejsze tu się mieszczą kawiarnie, a w nich wre i kipi nieustannie. Pod wieczór już miejsca w nich niemal dostać nie można. Madryczanie chętnie czas spędzają przy filiżance kawy. Pamiętne też to schadzki! Ile to pomysłów politycznych tu dojrzało, ilu tu mówców pierwsze odbywało popisy.

Krzyżujące się na placu linie tramwajów sprowadzają ustawicznie jedną falę przechodniów za drugą, ze wszystkich stron miasta. Bogate sklepy, wystawne i okazałe magazyny pociągają również czeredy ciekawych i kupujących. Wieczorem snopy światła elektrycznego, które się zlewa ze światłem ognisk gazowych w licznych magazynach, dodają jeszcze więcej powabu dla spacerujących.

A spacerujących nigdy nie brak. Czas snać tu nie jest drogim, kiedy go tyle mają na zbyciu. Nie pamiętamy takiego miasta, gdzieby było tyle na ulicach ożywienia, raczej tyle tego spokojnego krok za krokiem falowania.

Na cudzoziemcu sprawia w istocie widok tego ruchu silne wrażenie, a potęguje je jeszcze urok

nowości — twarzy, typów, które się tu na każdym kroku spotyka. Wpadają w oko piękne twarze męzkie, ogorzałe, o czarnych włosach i czarnym wąsie. Jakkolwiek to gród stołeczny i paryzkie mody wstęp tu mają, jednak płaszcz hiszpański krótki ale fałdzisty, przypominający togę, jeszcze nie stracił swego obywatelstwa. Uderzają niemniej w oczy postacie kobiet nadobnych. Czarny strój przeważa wszędzie, mimo upały, mimo gorącą porę roku. Powiewne na głowach mantyle, spadające w lekkich fałdach na ramiona—stanowią wielką ozdobę, ubierają twarz w sposób nader ujmujący. Zapewnie i sztuki potrzeba do tego niemało, aby tyle gracyi nadać tej lekkiej, czarnej koronce, tak lekkiej, że łagodny podmuch powietrza igra nią, jak zefir listkiem drzewa. Jakkolwiek już *mantilla* wyłamuje się powoli z pod siły tradycyi, jednak jest ona po dziś dzień jeszcze najpospolitszem ubraniem głowy nawet wielkoświatowej pani. A ponieważ Hiszpanki wiedzą, że im tyle wdzięku dodają przy hebanowych włosach czarne powiewne mantyle, więc nie rade się pozbywają tej ozdoby narodowej. Cudzoziemiec, który po raz pierwszy widzi postacie, przesuwające się przed sobą, mniema, że patrzy na roje mniszek światowych, które czarny swój strój klasztorny zachowały, ale w tył głowy odrzuciły zasłonę na wolę wiatru. I w rzeczy samej jest coś eterycznego w tem ubraniu głowy, co sprawia, że Hiszpanki wydają się nieoswojonemu oku jakby istoty skrzydlate. Teraz też pojmuję, dlaczego stawały mi ciągle na myśli jakieś znajome twarze. Dopiero, gdym

kilka ujrzał obrazów Murilla, zdałem sobie sprawę z tego związku, jaki się utworzył w głowie mej między mantylą powiewną a welonem, w jakim się ukazują nieraz jego Dziewice na obrazach w stylu zwanym *va poroso*.

Jeśli czytelnikom wydam się zbyt drobiazgowym, wspominając obszerniej o błahej ozdobie głów madryczanek, przytoczę na usprawiedliwienie tę okoliczność, że prawo, kodeks cywilny bynajmniej mantyli nie kładą tak nizko, jakby się zdawać mogło. Owszem, w oczach prawa mantyla jest rzeczą nietykalną: komornik może zabrać wszystko na zaspokojenie wierzytelności... krom mantyli.

Mówiąc o tych powiewnych postaciach, zdobnych w czarne skrzydła koronkowych woalów, nie można pominąć milczeniem i innych przedmiotów, które z podmuchem lekkiego zefiru związek mają. Czy podobna wyobrazić sobie Hiszpankę bez wachlarza? Już w Burgos zajął mnie widok modlących się kobiet w katedrze, które, bez wyjątku wszystkie, trzymały w ręku wachlarze, chłodząc się niemi ustawicznie. I tu także na każdym kroku spostrzegasz ów nieodstępny *abanico*. Wszystko, co żyje, a nosi mantylę, używa wachlarza — dzieci, panienki, panie, staruszki, ku charki i niewiasty, które na ulicach sprzedają gazety.

Gdyby ktoś wątpił, azali się znajduje w gorącym klimacie, niech spojrzy na te tłumy niewiast,

z których każda w ręku trzyma wachlarz szeroki, niby liść platanu, i od siebie odpędza, jakby natrętną muchę, fale gorącego powietrza. Kto raz tylko tu się znalazł w tym piekielnym piecu i doświadczył palącej siły tutejszych promieni, ten prędko zrozumie potrzebę i usprawiedliwi wynalazek wachlarzy. Wszak na Wschodzie, gdzie upały tyleż co i tu dokuczają, wachlarz jest w powszechnem użyciu. Podobno nawet Chińczycy tak są wprawni, że w czasie bitwy walczą jedną ręką, a drugą się chłodzą, trzymając w niej wachlarz. Mówiono mi także, czemu jednak wierzyć nie chcę, iż twierdzą Chińczycy, że człowiek powinienby się rodzić z wachlarzem. Jest w tem mniemaniu nieco słuszności, pomyślałem sobie, bo kiedym siedział raz przy obiedzie wśród piekielnego upału, a pot kroplisty spływał po mem czole, domyślny służący przyniósł mi ku ochłodzie wachlarz ogromny, tak wielki, jak dłoń wielkoluda — i ofiarował mi go do chwilowego użytku tak, jak się gościowi podaje z obowiązku sól, chleb, wodę.

Wdzięk, z jakim Hiszpanki używają wachlarza, jest im tylko właściwy. Jest to trzecia ręka, jak już raz powiedziałem, trzecie oko, trzecie ucho — drugie usta. Podobno całą oktawę gestów obejmuje wachlarz i bywa niekiedy wymowniejszym od słów głośnych. Oceniając to znaczenie wachlarza, Ludwik XVIII-ty napisał kiedyś na jednym z piękniejszych w tym rodzaju okazów trafny czterowiersz:

Dans le temps des chaleurs extrêmes,
Heureux d'amuser vos loisirs,
Je saurai près des vous amener les zéphyrs:
Les amours y viendront d'eux-mêmes.

Była to w każdym razie pełna rycerskości pochwała dla wachlarza. Napisał te słowa król salonowy. Inaczej się miała rzecz z królową szwedzką Krystyną. Razu jednego udały się do niej dworskie panie z zapytaniem, czyby im nie należało używać wachlarza. „Jesteście i tak, moje panie, dość wietrzne bez wachlarza.“ Zapewnie miała królowa na myśli te straszne zimne boreasze, które w Szwecyi przez tyle miesięcy studzą kraj i ludzi — a wtedy istotnie używanie wachlarza byłoby tylko śmiesznem naśladownictwem. Ale gdyby była do Madrytu przyjechała w tej właśnie porze, kiedy tu teraz jeszcze taki skwar jak w pustyni arabskiej panuje, byłaby niewątpliwie pobłażliwszą względem prośby swych pań dworskich.

Bo też istotnie ciepła tu nie brak, a zdaje się, że we wnętrzu Etny i Wezuwiusza goręcej być nie może. Więc nic dziwnego, że na Puerta del Sol nietylko widać mantyle powiewne i ruchliwe wachlarze, ale co chwila także spotykamy *aguadorów* wędrownych, albo stale osiadłych. Jedni z chłodnym swym napojem przebiegają place i ulice, częstując nim natrętnie przechodniów, inni na małym stoliku urządzają wystawę szklanek i wody. Wprawdzie nie tłoczą się do tych źródeł mokrej ochłody ludzie z wykwintniejszą powierzchownością, ale je-

dnak średni stan, robotnicy, radzi korzystają z tej sposobności, aby zaspokoić pragnienie, które się tu budzi ustawicznie przy suchości powietrza, jak w gardle nałogowego pijaka. „Quien quiere agua," woła przytłumionym głosem co chwila aguador i ze swego rzymsko-etruskiego dzbana nalewa szklanicę płynu kryształowego, zimnej wody, o którą tu z powodu braku studzien tak trudno, zwłaszcza dla biedniejszego człowieka.

Potrzebaby dodać jeszcze kilka rysów, aby uzupełnić niemi obraz Puerty del Sol, jej ruchu i ukazujących się na niej typowych postaci. Cudzoziemiec, choć nie jest wtajemniczony w życie madryckie, spostrzeże odrazu, uchwyci i zapamięta to wszystko, co mu się wyda niezwykłem, wychodzącem po za miarę powszednich widoków. W powietrzu rozlega się ustawicznie głos chłopców, kobiet i starców sprzedających gazety. Szczególniej pod wieczór po wyjściu dzienników prawdziwie zgiełk jarmarczny powstaje. Przeszedłszy kilka razy po jednej i drugiej stronie Puerty del Sol, możesz zapamiętać na zawsze nazwiska, jeśli nie wszystkich gazet madryckich, to przynajmniej tych, które sprzedają. Brzmią mi ciągle w uszach te przeróżne tony, które się co chwila wydobywały z piersi przekupniów: „la Epoca, el Liberal, la Corespondencia ilustrada, el Dia, el Globo, la Politica, el Correo." Jedne nazwy wymawiano krótko, pośpiesznie, inne brzmiały tonem przeciągłym, jakby się niemi ucho i usta pieściły. Szczególniejszych względów doznają la Corespondencia, el Correo, el Liberal, dzienniczki

mniejsze, bardzo rozpowszechnione, w rodzaju naszych Kuryerów.

A pomiędzy te głosy wpadają znów inne, które ofiarują przechodniom bilety loteryjne. Dla nieoswojonego cudzoziemca jest to istna plaga. Co chwila podbiega do ciebie, czy to chłopiec, czy dziewczyna i wrażają ci bilet na loteryę od rana do późnej nocy. Tak tu loterya jest na porządku dziennym, jak gdzieindziej np. podczas lata woda sodowa. Co kilka kroków sklepy czyli kantory loteryi. Potrzeba być cudzoziemcem, który za dzień lub dwa wyjedzie, nie doczekawszy się ciągnienia, żeby się oprzeć tym natrętnym zachętom. Ten gwar, te głosy, te krzyki, sprawiają wrażenie, jak gdyby tu codzień wielkie było ciągnienie i wielki codzień los wygrywano.

Wśród tłumu osób przesuwających się przed oczyma na Puerta del Sol, trudno pochwycić ogólniejsze rysy, aby sobie utworzyć pojęcie o madrytczaninie typowym. Zdaje się, że mieszkańcy tutejszej stolicy takiego typu oddzielnego nie stanowią. Inaczej się ma rzecz z prowincyałami, z ludem prostym, który przybywa z różnych prowincyj do Madrytu. Od razu poznasz wieśniaka z Andaluzyi o arabskiej śniadej cerze twarzy, w stroju narodowym, w wielkim kapeluszu hiszpańskim, krótkim szpencerku, z szerokim czerwonym pasem na biodrach. Poznasz Aragończyka, który ma głowę przewiązaną czerwoną lub kolorową chustą, zamiast czapki lub kapelusza. W ogóle snują się tu usta-

wicznie malownicze postacie, pełne wyrazu pod względem rysów twarzy i barwnego ubioru. Szczególniej w oko wpadają wiejskie zaprzęgi, ładowne wozy, które oto właśnie przez Puertę del Sol ciągną. Na dwóch olbrzymich kołach utrzymuje się cały ciężar wozu, do którego założono dziewięć czy dziesięć mułów—ale wzdłuż. Jeden muł ciągnie za drugim i tworzy się przez to sznur dziwnie długi. Sprawia to istotnie piękny efekt, a piękniejszy zapewnie we właściwej perspektywie, na szerokich gościńcach, wśród pustego pola lub bezdusznej pustyni..

* * *

Dziwna rzecz! Jednak tylko na pozór, bo zupełnie naturalna, prawdziwa a bardzo charakterystyczna. Gdzieindziej, gdy przybędziesz do jakiego miasta, spieszysz czemprędzej, aby poznać katedrę, zwiedzić zamek, obejrzeć ruiny, zbadać wspaniałe pomniki przeszłości, tymczasem w Madrycie wprost przeciwnie. Wybiegniesz na ten plac, dokąd cię prowadzi płynąca ustawicznie fala ludu, przesuniesz się po ulicach Puerty del Sol, przyjrzysz się jej obliczu, pochwycisz rysy ruchliwych jej mieszkańców i kiedy w tem ognisku czas pewien przebędziesz, zdaje ci się, żeś już to życie poznał i wtajemniczył się w świat wielkomiejski, w ruch stołecznego grodu Hiszpanii.

Czyżby Puerta del Sol była istotnie alfą i omegą Madrytu? Czyżby za tym wielkim placem, na którym roztacza się tylko widownia szarej, powszedniej rzeczywistości, już nic więcej nie istniało godniejszego uwagi? Nie byłożby tu sławnych pomników sztuki, budownictwa: katedr, alkazarów lub świetnych pałaców?

Odpowiedzmy natychmiast i śmiało. Prawie, że nie. A powód tego bardzo jasny: Madryt jest miastem nowoczesnem. Nie ma za sobą świetnej historyi. Madryt jest jak dorobkowicz, nie może się poszczycić antenatami i omszałą przeszłością. Był miastem nieznacznem, maluczkiem, kiedy gdzieindziej królowie wznosili wspaniałe świątynie lub możni panowie budowali warowne zamki. Za panowania Arabów, Madryt był niewielką osadą, która leżała w granicach saraceńskiego podboju. Zdaje się nawet, że synom pustyni zawdzięcza Madryt swój początek. Podobno zasłaniał on główne ich miasto—Toledo, o kilka mil ztąd odległe. Miał zamek warowny, zwany z arabska alcassare'm. Kiedy Kastylijczycy zaczęli powoli z północy odzyskiwać straconą ziemię, posunęli się w końcu XI stulecia tak daleko, że zwycięzki król Leonu, Alfons VI, odebrał Madryt Arabom. Odtąd miasto ulegało już chrześcijańskim władcom, którzy sprzyjając rozwojowi handlu i rękodzieł, wielokrotnie nadawali mieszkańcom rozliczne swobody i przywileje. Ponieważ Madryt leżał na głównej drodze, która prowadziła do Manczy i Estremadury, dwóch

prowincyj wcielonych z biegiem czasu do Królestwa Kastylii, odbywały się tu przeto po kilkakroć sejmy koronne, czyli walne zgromadzenia kortezów. Ale te i inne zdarzenia żadnego nie miały wpływu na podniesienie blasku lub świetności mieściny. Było tam wprawdzie kilka klasztorów, trochę ciasnych a brudnych ulic, zabudowanych na sposób arabski, i jakieś stare zamczysko. Zatrzymywał się niekiedy w Madrycie Karol V, w drodze do południowej Hiszpanii, lecz i taki pobyt chwilowy na stan miasta nie oddziałał. Lata całe przechodziły, żadnego w rocznikach dziejów Madrytu po sobie nie zostawiwszy śladu. Chyba do głośniejszych zdarzeń to policzyć wypada, że tu rok niemal swego życia spędził, jako jeniec, ów rycerski król Franciszek I-szy, wzięty do niewoli w bitwie pod Pawią.

Dwór ożywiony, ludny i wystawny Karola V i syna jego Filipa II przebywał głównie w Valladolid. Tam też pozostały po dziś dzień piękne pomniki bogatej przeszłości. Ale Valladolid musiało wkrótce ustąpić pierwszeństwa nędznej mieścinie nad Manzanaresem, gdzie kaprys Filipa II stworzył nową stolicę monarchii hiszpańskiej. W 1591 roku został Madryt grodem królewskim. Od tego czasu coraz częściej tu przyjeżdżał Filip II z poblizkiego Eskurialu, gdzie stanął świeżo wielki, rozległy pałac. W Madrycie osiedlily się wyższe instancye sądowe, różne trybunały i tak powoli podnosiło się znaczenie nowej stolicy.

Ale nie sprzyjały jej czasy, nie sprzyjały okoliczności. Jeśli w XV-ym wieku chwalono „los buenos aires i cielos" (miłe powietrze i niebo) Madrytu, to niebawem po rozszerzeniu się grodu zmieniły się warunki położenia. Pod nowe budowle, które szybko powstawały, wycięto sąsiednie lasy. Kiedy drzew nie stało, wyschła ziemia, wyschły źródła, osłabła roślinność i powoli zielona niegdy okolica zamieniła się na jałową pustynię, na którą dziś przechodzień czy wędrowiec rzuca zdumione spojrzenie. Trudno zaiste powiedzieć, co skłoniło Filipa, że tu dwór swój przeniósł i stolicę monarchii założył. Wszak go tu nie sprowadziły powaby natury, która, choćby nawet była wtedy nieco odmienną od dzisiejszej, nigdy uroczą być nie mogła.

Były to zaiste widoki polityczne, pobudki natury czysto osobistej, które do takiego kroku doprowadziły. Miał król obok, niedaleko, tyle sławne Toledo, które w swych murach mieściło przecudne pomniki budownictwa gotyckiego, sztuki bizantyjskiej, architektury arabskiej, ale dumny Filip snadź nie chciał chodzić w pożyczanym stroju. Nie chciał, aby jego sławę zaćmiewały wspomnienia świetnych czasów królów gockich, którzy w Toledo mieli swą stolicę, aby wspomnienia kalifów maurytańskich, którzy tam także we wspaniałych królowali zamkach, stawały obok wrażeń, jakie sprawiał widok władcy nowej monarchii, obejmującej dwa światy. Państwo Filipa było dziełem jego polityki, zabiegów, owocem jego wojen, a było czemś nowem, świetnem i wielkiem, więc też według zdania du-

mnego monarchy potrzebowało mieć nową, swoją własną stolicę. Chyba tylko w ten sposób da się objaśnić wybór tak niepozornego miejsca i przeniesienie tronu z dawnej siedziby kastylijskiej—z Valladolid do Madrytu.

Były i inne być może pobudki. Jeżeli grał jakąkolwiek rolę wzgląd na środkowe położenie stolicy, to przyznać trzeba, że miejsce było jak najtrafniej obrane. Wyliczenia matematyczne stwierdzają, że istotnie Madryt leży w samym środku półwyspu pyrenejskiego. Że pod względem administracyjnym takie położenie wielce jest dogodnem, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Mieszkańcy północnych prowincyj, Galicyi, Nawary, Katalonii, mają tak daleko do swej stolicy, jak ci, którzy mieszkają w stronach południowych w Murcyi, w Andaluzyi i Estremadurze. Linie kolei żelaznych wskazują wyraźnie, że dotychczas Madryt przedstawia główne ognisko w ogólnej sieci toru żelaznego.

Jeżeli nic więcej nie wpłynęło na obranie Madrytu rezydencyą królewską, krom osobistych pobudek Filipa i względu na dogodność administracyjną, to tem samem już zapadł wyrok w sprawie dalszej pomyślności, dalszego rozwoju tego miasta. Madryt zaczął być miejscem pobytu dworu, ogniskiem władzy i rządu, i po dziś dzień pozostał też tylko rezydencyą i stolicą, miastem urzędników, głową zarządu cywilnego oraz wojskowego, i niczem więcej.

Warunki klimatyczne, przykre, niedogodne, ostrość powietrza w porze zimowej, brak wody i lasów sprawiły, że bogata arystokracya stroniła od miasta, które wśród stepu jest założone, a handel i przemysł nie mogły również głębiej zapuścić tu swych korzeni. Jeżeli zaś magnaci przybywali do dworu, albo przez dłuższy czas w mieście gościli, to budowali zamki i pałace w epoce, kiedy architektura, zwłaszcza w Hiszpanii, wyzuła się ze wszelkiego smaku i przestała tworzyć wiekopomne dzieła sztuki. Wiek XVII i XVIII nietylko na półwyspie apenińskim i za Alpami, ale zarazem i w krajach Filipów, przedstawia dobę upadku, dobę jałową, wyrodzenia się smaku, skoszlawienia pojęć o pięknie estetycznem.

W XVIII wieku podobno na dworze królewskim powstało o Madrycie pochlebne wyrzeczenie, które powtarzano i później także, ale dziś zapewnie nikt wiary nie da słowom takim, jak: *de Madrid al cielo y en el cielo un ventanillo para ver a Madrid*, czyli: z Madrytu dostać się do nieba, a na niebie mieć okienko, aby spoglądać na Madryt. Dziś sami mieszkańcy oceniają trafnie i sprawiedliwie brak wszelkiego powabu swej stolicy pod względem zewnętrznym.

Przypatrzmy się kościołom, przebiegnijmy świątynie. Jako pomniki budownictwa, jako muzea sztuki religijnej, malarstwa lub rzeźby, wszystkie kościoły madryckie nie przedstawiają nic godnego uwagi.

Gorąca wiara mało i słabo wyraziła się w kształtach budownictwa religijnego. W porównaniu z tem, co się widziało w Burgos, w Valladolid, co jest u Avila, w Salamance, a co powstało w wiekach średnich lub w epoce odrodzenia, wszystko wydaje się tu blade, bez wyrazu, bez charakteru, skarłowaciałe. To epigony owych wielkich ideałów.

Z Puerta del Sol, gdzie serce miasta, biegnę w jedną i w drugą stronę i daremnie szukam kościoła. Zupełnie jak w Berlinie, jak w protestanckiem mieście. Sklepy, magazyny, hotele, kawiarnie... kościołów nigdzie. Nareszcie na jednej z główniejszych ulic, które z Puerty del Sol wychodzą, na *calle de la Montera*, spostrzegam schowany między domami kościół *San Luis*. Kościół parafialny, niewielki, ciemny... nowożytny. Odszukałem przypadkowo później inny, *Descalzas* z XVI wieku, ale również ubogi i prosty.

Pociągnął mnie zrazu ku sobie *San Cayetano* niemałym wdziękiem ośmiu wspaniałych kolumn granitowych, na których się wspiera przedsionek dość rozległy, ale wnętrze kościoła mimo pewne bogactwa i niektóre pomniki sztuki, przedstawia wzór zepsutego smaku. W początkach XVIII w. stawiał ten kościół niejaki Churriguera, budowniczy hiszpański, obrany ze wszelkiego poczucia piękna estetycznego. A podobno budował wiele i nietylko w Madrycie; wszędzie zaś i zawsze dawał dowody swojej niezdarnej ręki. Więc dziś nazwisko jego stało się

mianem pospolitem. Churrigeryzmem nazywają teraz wszelkie budownictwo z końca XVII-go wieku, oraz całego XVIII-go, kiedy tworzono owe dzieła dziwaczne, pretensyonalne, w rodzaju francuzkiego baroku.

Kiedym poznał już większą niemal część kościołów madryckich, przekonałem się, że chociaż nie wszystkie zawdzięczają owemu sławnemu Churriguerze swój początek, jednak tak ogólnie noszą na sobie cechy jednej i tej samej wyrodzonej sztuki, że je za dzieła Churrigery lub jego uczniów i naśladowców uważać można. Zwykle szczyt gmachu kończy się wysoką kopułą, zkąd światło spływa na cały kościół; ale ponieważ w bocznych ścianach niemasz okien, światło więc górne nie jest dostateczne, i dlatego też tak ponuro, jak więzienie, wygląda cała świątynia. Gdyby przynajmniej brak światła wynagradzała wielka przestrzeń, potęga wymiarów, to wśród tego półcienia możeby się uwydatniła surowa powaga. Gdzieniegdzie i lepszy spostrzedz można pendzel w tym lub owym ołtarzu, ale to tylko wśród jasnego dnia i przy pomocy szkła delikatnego. Bogactwo ornamentyki w drzewie, złoconych ramach zasłania zupełnie wszelkie wydatniejsze płótno. Front także nie celuje smakiem. Ani tam wdzięku, ani prostoty, ani symetryi. Jedna lub dwie wieże kwadratowe mieszczą w sobie głośne dzwony, w które wiele bardzo przed nabożeństwem dzwonią.

Wspomnę tylko jeszcze o dwóch kościołach,

które wśród tego ubóstwa ogólnego zasługują na uwagę, ale bynajmniej nie pod względem artystycznym. Bazylika Atocha (wym. Atocza), tak często w swoim czasie wspominana w gazetach, z powodu wyjścia królowej Krystyny pierwszy raz po słabości, zastępuje poniekąd kościół katedralny. Oddawna już istnieje zwyczaj, że królowie, po powrocie czy z dalekiej wyprawy, czy też przy pierwszym wjeździe swym do stolicy, zanim uroczyście wejdą do pałacu, wstępują do tej bazyliki. I królowa pierwszy raz, kiedy po powiciu księżniczki asturyjskiej Mercedes, wyszła na świat, udała się do Atochy. Atocha zaś jest najpospolitszym kościołem, jak dwadzieścia innych w Madrycie, ale posiada obraz *dela Nuestra Señora*, obraz legendowy, malowany, jak niesie podanie przez św. Łukasza i Nikodema, a przyniesiony z Antyochii, jakoby przez jednego z apostołów. Obraz przez długi czas mieścił się według legendy w pustelni, zbudowanej na owych łąkach, gdzie rosła trawa zwana atocza, zkąd później przeniesiono go do Madrytu. Jest tu kilka pomników znakomitszych ludzi. Spoczywają w tym kościele zwłoki: Castańosa, Palafoxa, Kończy i Pryma. Grobowiec Pryma odznacza się wielką powagą i jest dziełem znakomitego artysty Placyda Zuloagi. Z żelaza i bronzu zrobiony jest grobowiec, a na nim statua leżąca sławnego generała. Niemało wspomnień historycznych budzą chorągwie wojskowe, rozwieszone na ścianach, około wielkiego ołtarza i na chórze. Dla starożytnika wiele tu wskazówek, cie-

kawych napisów, ale tych nie myślimy tykać. Powiem raczej pod koniec, że jedynie jeszcze w innej świątyni — w kościele *San Andres*, pewien przepych architektoniczny uderza uwagę wędrowca.

W kościele tym spoczywają relikwie św. Izydora, zwanego Oraczem, patrona Madrytu. Znane są powszechnie legendy o tym pracowitym i pobożnym wieśniaku, za którego aniołowie święci niwę orali. Przypisuje mu podanie odkrycie wielu studni, które w jałowej, kamienistej Kastylii były prawdziwem dobrodziejstwem. W pięćset lat po jego śmierci (1172 r.) stanęła kaplica wspaniała ku czci kanonizowanego św. Izydora. Kaplica z dwóch naw się składa: jedna kwadratowa, druga ośmiościenna. Przeważa w jednej i drugiej styl klasyczny, przypominający czasy Herery i katedry w Valladolid oraz w Eskurialu. Ściany wykładane marmurem bogatym, podobnież marmurowe wznoszą się kolumny i pilastry, zdobne w piękne podstawy i kapitele. Cztery wielkie obrazy pendzla Rizzi'ego i Carrenia, przedstawiające legendową treść z życia świętego Izydora — mieszczą się w pierwszej nawie i harmonizują z poważnym nastrojem kaplicy.

Jakżeż często przenoszę się teraz myślą pod wspaniałe stropy gotyckiej katedry w Burgos, jak mi ustawicznie staje na widoku przed oczyma duszy portał San Pablo kościoła w Valladolid; tu daremnie szukam arcydzieł budownictwa religijnego. Trzeba iść do miast średniowiecz-

nych, jak Salamanka, Alcala, Toledo i inne, które powstały i zakwitły w epoce gorącej a szczerej wiary, aby tam podziwiać niebotyczne wysmukłe wieże, strzeliste kolumny, lekkie łuki, bujną ornamentykę szczegółów, bogactwo rzeźby.

Madryt, pomyślałem sobie w duchu, będzie miał inne osobliwości, będzie miał ludność pobożną, która zapełni w niedzielę te świątynie, choć im brak wdzięku architektonicznego, choć w nich daremnie szukasz dzieł sztuki religijnej. Wszakże kościołki wiejskie, chociaż proste i ubogie, nie stoją przecież pustkami? A bogobojna i pobożna Hiszpania, zapewnie w stolicy więcej niż gdzieindziej, tłumami uczęszcza do kościołów?

W dni powszednie zalega klasztorna cisza. Nic dziwnego. Ale w święta? Zwiedziłem już pierwszej niedzieli kilka kościołów i wyjść z podziwienia nie mogłem, widząc wszędzie tylko garstkę pobożnych. W następną to samo spostrzeżenie byłem zmuszony uczynić. Chcąc prawdę zbadać i powierzchownie o rzeczy nie pisać, zwiedziłem prawie wszystkie kościoły w porze nabożeństwa i powszechnie stwierdziłem tę okoliczność, że w najciaśniejszych nawet było przestrono. Jakże często myślę teraz o Warszawie! Dwa miasta o jednakiej liczbie mieszkańców, choć Madryt nierównie więcej liczy katolików, nie mając w swych murach żadnych innych wy-

znań; a jednak jakaż między niemi różnica niepojęta, jakaż przepaść dzieli dwa miasta katolickie pod względem obyczaju religijnego! Tu niegdyś taka surowość wiary, a dziś jakby zupełna obojętność.

Przenoszę się myślą pod niebo rodzinnego miasta i widzę te tłumy snujące się po ulicach w dzień świąteczny. Kościoły objąć nie mogą pobożnych, na placach lud się modli. Falą niepowstrzymaną płynie Warszawa, gdy z kościołów dąży latem do uprzywilejowanego w tej porze ogrodu Saskiego; tu zaś jakaż wielka, jakaż gwałtowna różnica! W kościołach bardzo mało pobożnych, a spacerujących nie brak nigdzie, a zwłaszcza na Puerta del Sol. A przytem także— dziwny obyczaj, który tu nie razi. W przedsionku kościoła, tuż obok drzwi głównych i bocznych, siedzą na ławkach różnego wieku mężczyźni i palą swe *cigarritos*, niekiedy wśród ożywionej rozmowy. Od czasu do czasu ukazuje się jaki inny pobożny, który w kościele zatęsknił do dymu tytuniowego, wychodzi do przedsionka na krótkie wytchnienie, wydobywa z kieszeni papier i tytoń i zwija papierosa, niebawem otaczając się obłokiem dymu. Oczywiście dym kłębami wpada do kościoła.

Istotnie, pomyślałem w duchu, co kraj to obyczaj, a jednak, jakżeż tu dawniej inaczej być musiało. Właśnie przechodzę przez plac nieco większy od Placu Zielonego w Warszawie, wracając z jednego z kościołów do domu. Jestto Plaza Ma-

yor, pamiętna w dziejach Madrytu. Zielony skwer pokrywa dziś to miejsce, na którem zapewnie dawniej trawa nie rosła. Tu, na tym placu, odbywały się często wielkie sceny religijne i procesye za Filipa III, któremu Plaza Mayor swój początek zawdzięcza. Tu uroczyście obchodzono kanonizacyę św. Izydora, św. Franciszka Ksawerego, św. Ignacego Lojoli, św. Teresy, tu różne odbywały się igrzyska publiczne.

V.

Walki byków. — Corrida de toros.

Szczęśliwy traf zdarzył, żem po dłuższym pobycie w stolicy Hiszpanii doczekał się także wielkiej uroczystości narodowej, igrzysk w cyrku, walki byków. Poświęcę kilka słów opisu tym zabawom, które tyle budzą ciekawości w każdym cudzoziemcu, że nie wspomnę tu o samych Hiszpanach, i które stanowią tak charakterystyczną cechę tutejszego narodu. W poprzednim rozdziale wspomniałem o czasach wielkiej religijności, dziś przejdę bezpośrednio do walki byków, a czyniąc to, nie czynię żadnego gwałtownego przeskoku. Owszem, przechodzę w naturalnym porządku do najbliższej rzeczy. Te dwa bowiem przedmioty w Hiszpanii bardzo blizko się stykają i łączą nietylko pod tym względem, że religijność i zamiłowanie do igrzysk cyrkowych należą od niepamiętnych czasów do cech narodowych Hiszpanów, ale w istocie i dziś jeszcze odpusty i walki byków odbywają się gdzieniegdzie jednocześnie w jednym i tym samym dniu.

Właśnie w przeszłym tygodniu była w Saragosie wielka uroczystość kościelna, na którą zewsząd zebrały się liczne kompanie pielgrzymów, a w poobiedniej porze odbyły się świetne i krwawe igrzyska, którym się chciwie przypatrywały zapewnie te same rojne tłumy pątników. I tu także na rogach ulic sążniste afisze rozlepione obwieszczały *urbi et orbi*, że z powodu odpustu będą urządzone wspaniałe zapasy z dzikiemi bykami. Czy wiele ztąd osób podążyło, nie wiem; ale to wiem, żem czytał w tutejszych dziennikach wiadomości telegraficzne o czynach wielkiej odwagi i zręczności, której dali dowody bohaterowie dnia Lagartijo (wym. Lagarticho) i inni.

Więc lubo rażącem się wydać może, żem niedawno wspominał o kościołach, a dziś piszę o cyrkach, jednak tu właśnie *les extrêmes se touchent*. Od tygodnia i tu już są zapowiedziane *fiestas de toros*, po kilkomiesięcznej przerwie wśród skwarnego lata. Gdyby nie wyjazd do Portugalii na czas pewien, gdyby nie powrót do Madrytu po kilku tygodniach nieobecności, byłbym porzucił stolicę Hiszpanii, nie poznawszy tego, co tak dosadnie maluje charakter, oraz usposobienie tutejszego ludu i taką wybitną stanowi cechę życia, zwyczajów... i powiedzmy otwarcie, cywilizacyi całego narodu.

Jak tu się oprzeć pokusie tak powszechnej i nie pójść na igrzyska? Wzywa mnie tam nietylko obowiązek publicysty, nietylko pobudza mnie zwykła ciekawość turysty, ale niepomiernie

zachęca wzgląd na korzyść naukową. Jakto, naukową? Co może mieć z nauką wspólnego *corrida de toros*? To mianowicie, odpowiadam, że tu znajdę żywą illustracyę dziejów rzymskich, że tu łatwiej zrozumieć ów krzyk tak donośny, owo wołanie tak poważne rzymskiego ludu: *panem et circenses!*

Więc gdym się długo wahał i zastanawiał nad tem, azali się godzi iść z tym tłumem kilkunastotysięcznym na krwawe widowiska, ustąpiły wszelkie skrupuły... w obec wymagania nauki. Zdawało mi się, że słyszę głos, który mi szepcze do ucha: niedość znać amfiteatry rzymskie w Pompei, Pola, Merydzie i Italice, trzeba jeszcze wyrobić sobie pojęcie z dzisiejszych igrzysk o życiu, jakie panowało niegdyś na arenie między gladyatorami rzymskimi. A obecnie jedyna sposobność. Więc... ostatecznie stanęło mocne i nieodmienne postanowienie.

Już od tygodnia olbrzymie afisze zwiastują miastu wielką uroczystość, która się znów zacznie w porze jesiennej po kilkomiesięcznej przerwie, sprowadzonej przez letnie skwary. Ani się można docisnąć do tych wielkich ogłoszeń, przed któremi tłumnie gromadzi się publiczność wszelkiego stanu, płci i wieku, chciwa wiadomości dokładniejszych nie o dniu i o cenie, bo to dla prawdziwego *aficionado* (miłośnika zapalonego) jest rzeczą drugorzędną, ale o nazwie byków, ich pochodzeniu, o nazwisku bohatera krwawego widowiska. Zdaleka uderza każdego przechodnia napis: *Plaza de toros... Corrida*

de toros... Nazwisk już nie dojrzy, ale przejdźmy się tylko po ulicy i pochwyćmy te słowa, które brzmią w powietrzu, a łatwo się przekonamy, że wszyscy ustawicznie powtarzają na najrozmaitsze tony: Franscuelo, Lagartijo, Pastor i t. p.

Jeszcze większy niż przed afiszami ścisk na ulicy Alcala, gdzie się mieści biuro sprzedaży biletów. Już od kilku dni, po szerokim trotuarze tej najszerszej w Madrycie ulicy, przetłoczyć się niepodobna. Jedni kupują *tabloncillos* (bilety), inni już je odprzedają za cenę bajecznie podwyższoną w stosunku do tej, za którą je nabyli. W powietrzu rozlegają się przeróżne głosy: *sol, sol y sombra, sombra*, czyli słońce, cień i słońce, co ma oznaczać bilety miejsc wystawionych na słońce, lub w cieniu się znajdujących. Biedniejszy robotnik oczywiście pomyśli o słonecznym bilecie, bo będzie tańszy, a choć tam głowa się przepali, mniejsza o to, byle tylko być na igrzyskach.

Usłużny nasz *concierge* (którego niekiedy także *portero* nazywają), Turek rodowity, co się tu do Madrytu zabłąkał dziwnym zbiegiem okoliczności, uspokoił nasze obawy co do miejsc dogodnych w cyrku. Jakoż stawił się na słowie i dostarczył jeszcze w przededniu widowiska żądane *tabloncillos*.

Od samego już rana panował ruch ożywiony na *Puerta del Sol*, tudzież na pierwszorzędnej ulicy *Alcalà*. Była to niedziela. Ale nie święto, nie uro-

czystość kościelna sprowadza to ożywienie. Właśnie po obiedzie o wpół do trzeciej są zapowiedziane walki byków. Więc w południowej porze jeszcze uwijają się przekupnie, co odprzedają bilety, jeszcze snują się szeregi tych kunktatorów, co się w ostatniej niemal godzinie zgodzili pójść do cyrku i zapłacić za bilet dziesięć razy więcej nad cenę zwyczajną. Na główny plac miasta ściąga zewsząd publiczność, aby ztąd w omnibusach puścić się na igrzyska, które się dość daleko za bramą miejską odbywają.

Sam wyjazd za miasto już jest poniekąd uroczystością. Jest uwerturą krwawej opery, jest częścią integralną przyjemności, której dnia tego Hiszpan doznaje. Pieszo udaje się tylko najbiedniejszy. Ktokolwiek więcej ma grosza w kieszeni, niż bilet kosztuje, siada do omnibusu. A omnibus, a dorożki, a powozy, a konie ustrojone świątecznie. Muły ubrane, jakby na gody wiejskie, dzwonki i dzwoneczki pokrywają bez liku ich uprząż wystawną. Grzywy koni i mułów ubrane w różnokolorowe wstęgi. Karmazynowe płaty sukna zawieszone na chomątach. Woźnice również uroczyście występują.

Letnie, przewiewne omnibusy co chwila napełniają się ludem. Ani się spostrzeżesz, jak już z miejsca rusza wóz, który mknie przed tobą lotem strzały, jak rydwan na wyścigach. Pędzą omnibusy jeden za drugim. Każdemu pilno, aby na czas zajechał. Każdy konduktor dwa albo trzy razy zawrócić myśli, aby korzystać ze sposobnej pory za-

robku. Więc ztąd ten pośpiech, ten gwałt, ta wrzawa już na dwie godziny przed rozpoczęciem widowiska. Daremnie byś szukał wtedy tłumów wracających z kościoła. Już wszyscy - od rana niecierpliwie czekają chwili, kiedy się w kole znajomych puszczą w drogę za miasto na igrzyska. Szeregi balkonów na ulicy Alcala napełnione widzami. Panie wachlarzami żegnają znajomych, żałują, że same dla braku biletów uczestniczyć w uroczystości nie mogą.

Między omnibusami wszczynają się wyścigi, wyprzedza je co chwila o wartkich kołach prywatny powóz, który unoszą dzielne andaluzyjskie konie. Gdzieniegdzie ukaże się jeszcze na wynędzniałym rumaku jaki *picador*, który spieszy do cyrku, aby się nie spóźnić do orszaku ogólnego. Po obu stronach ulic toczy się fala ludu próżniaczego, chciwego widowisk. Dokąd ci ludzie dążą? Do cyrku się nie dostaną. Biletów nie mają. Ale tem nie mniej ciągną tłumnie, niby legiony wojska. Nie będą wprawdzie widzieli samej areny, nie ujrzą byka żadnego, ale po za murami cyrku usłyszą przynajmniej grzmot oklasków, który ich zelektryzuje, jakby sami udział przyjmowali w walce. Zobaczą wracających *toreros*, dowiedzą się zresztą natychmiast o tem, co zaszło na arenie, jak się byki potykały, czy podtrzymały sławę swych hodowców, czy Frascuelo, czy Lagartijo dał dowody większej zręczności.

Więc łatwo sobie wyobrazić, jaki widok przedstawia główna ulica Alcala, która z Puerty prowa-

dzi w prostym kierunku ku *Plaza de Toros*. Przewieść w omnibusach co najmniej 10 tysięcy ludu w ciągu dwóch godzin, na to potrzeba pośpiechu niemało. A gdy drugie tyle pieszo towarzyszy tym wyścigom za miasto, nie trudno pojąć, ile życia, ruchu i wrzawy. Tętent koni, huk pojazdów, gwar falującej ludności, tysiące oczu w oknach i na balkonach, wszystko to podnosi uroczystość chwili i wprawia Hiszpana w stan świątecznego upojenia.

Jesteśmy już na końcu ulicy Alcala, mijamy piękną bramę w stylu klasycznym, która zamyka długą ulicę miejską, i wydostajemy się za miasto. Droga jeszcze daleka. Czas jednak prędko mija. Mkną przed oczyma czarne tłumy ludu, migają się domy przedmiejskie, ogrody. Powoli wjeżdżamy na rozległą płaszczyznę: tu właśnie Plaza de toros.

Dawniej podobne cyrki bywały w samem mieście, ale dziś udoskonalono sztukę gladyatorską. Wszystko się musi odbywać *lege artis*, według zasad kunsztu. Ponieważ byki mają być tak pilnie strzeżone, aby przed wystąpieniem na arenę postaci ludzkiej nie widziały, przeto niepodobnaby było pędzić ich do miasta. Zwykle cyrki zbudowane są niedaleko stacyi drogi żelaznej, tam oczywiście gdzie istnieje kolej żelazna, aby przywiezione w zamkniętych wagonach byki jak najkrótszą miały drogę do przebycia, w nocy, do ciemnej stajni cyrkowej. Wzgląd na bezpieczeństwo ludzi sprawia

także, że do miasta nie przypędzają tych dzikich zwierząt.

Front cyrku zapowiada gmach wielki i okazały, pełen wdzięku i motywów architektonicznych z dawnej przeszłości. Styl arabski z rzymskim i bizantyjskim mięsza się w tych kształtach zewnętrznych i zlewa się w harmonijną całość. Lekkie kolumny żelazne podpierają całą budowlę dwupiętrową. Krużganek czyli korytarz biegnie dokoła, służąc za wejście do areny. Szerokie okna arabskie, o arabskich łukach, przejrzyste i przewiewne, bez szkła żadnego, wiele przyczyniają się do ożywienia i urozmaicenia zewnętrznej powierzchowności gmachu. Wejście zewsząd łatwe i dogodne. Cały cyrk podzielony jest na sekcye.

Wchodzimy od strony *sombra*, czyli cienistej. Pochmurne niebo, zapowiadające deszcz jesienny, zbytecznem czyni ubieganie się o miejsca niesłoneczne. Bilet nasz wskazuje nam siedzenie w krzesłach, które tu nazywają *grados*. Za czasów rzymskich była ta sama nazwa. Kilkoma rzędami biegną w około cyrku te miejsca, osłonięte z wierzchu szerokim dachem. Z tyłu do ścian cyrku przypierają w kilku szeregach loże. Niżej ku arenie opuszczają się stopniowo siedzenia, które nad sobą żadnego nie mają dachu. Widzowie są tu narażeni na słońce palące, na kurz z areny się podnoszący. Od samej zaś areny oddziela ich wysoka najprzód baryera, potem korytarz szeroki, a wreszcie

ostatnie wysokie szranki, zwane po hiszpańsku *las tablas*.

Już się powoli cyrk napełnia. Fala ludu płynie ustawicznie. Poniżej nas, gdzie są tańsze miejsca, już dawno wszystkie zajęte. Z przeciwnej strony przedstawia nam wnętrze cyrku jedną, wielką czarną masę. Gołem okiem nikt nie odróżni głowy od głowy. Tylko w prawo i w lewo rzucam ciekawe spojrzenia, aby z dwunastotysięcznego tłumu pochwycić, co jest ciekawszem, co więcej charakterystycznem. Wśród różnobarwnej rzeszy malowniczo się wyróżniają ubiory ludu prowincyonalnego: widzisz Andaluzów w krótkich spencerkach a wielkich kapeluszach, spostrzegasz w tęczowe barwy ubranego wieśniaka z Walencyi, Aragończyków, którzy głowę przewiązali chustką i zdają się być kobietami, to znów zauważysz Kastylijczyków w błękitnych bluzach a ponsowych kamizelkach. I niewiast także nie brak. Między ludem odróżnisz postacie kobiet, które z dziećmi przy piersiach przybyły. Czyż więc niesłusznie Hiszpan o sobie mówi, że z mlekiem matki wyssał zamiłowanie do igrzysk?

W lożach nie brak złotej młodzieży, arystokracyi rodowej i pieniężnej. Oszklona wielka galerya, panująca nad areną na wysokości drugiego piętra, naprzeciwko głównej bramy, za którą trzymają w zamknięciu dzikie byki, przeznaczona jest dla króla i dworu. Jeszcze jest pustą. Gwar wszędzie panuje, głośne prowadzą się rozmowy. Po stopniach niższych około areny przesuwa się zręcznie aguador,

częstujący zimnym lub gorącym napojem *aguadriente*, (t. j. agua ardiente), to znów za nami tłoczy się przekupień i ofiaruje *cigarritos* lub *naranjas* (wym. *naranchas*) czyli pomarańcze. Ci i owi kupują i w zręczny sposób załatwiają sprzedaż i kupno. Publiczność rzuca nieraz z dalekich krzeseł pieniądze, które przekupień chwyta i wzamian rzuca nadzwyczaj trafnie swój towar. Na ustach wszystkich niemal bohaterowie dnia: mają się popisywać Lagartijo, Currito, Pastor. Szczególniej pierwszy oddawna jest ulubieńcem publiczności. Dochodzą nas głosy aficionados, t. j. znawców i amatorów, że dzisiejsza pierwsza *corrida* do najświetniejszych w tym sezonie należeć będzie. Szczególniej dlatego, że byki, sprowadzone na to przedstawienie, pochodzą ze znanej dobrze *ganaderii* (hodowli), która ma już ustaloną sławę.

— A gdzież są teraz byki przed rozpoczęciem walki?—znpytałem ciekawie mego sąsiada, który kilka dni przedtem mówił mi, a poznaliśmy się przy wspólnym stole hotelowym, że tyle razy w życiu swem widział igrzyska, iż już stracił wszelkie do nich zamiłowanie. Jednak w ostatniej niemal chwili uległ pokusie nieprzepartej i szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł się tuż obok nas w krzesłach. Z najbliższego więc źródła mogliśmy czerpać wszelkie objaśnienia, które okazały się niezbędnemi dla cudzoziemca, mało wtajemniczonego w zakulisowe sceny i dzieje.

— Czy widzi pan — odrzekł uprzejmie mój sąsiad — tę wielką naprzeciwko nas lożę, pod którą

w całym łuku koła zrobione jest szerokie wycięcie jakby droga? Czy widzi pan bramę wielką, która się pod lożą znajduje?

Otóż w tej loży — ciągnął dalej nasz sąsiad, nie czekając odpowiedzi na swe proste zapytanie, siedzi *alcalde*, burmistrz albo zwierzchnik jaki z jego ramienia tu przysłany, który od owej bramy klucz posiada. Przed rozpoczęciem widowiska rzuci on klucz na arenę, na znak, że można rozpocząć walkę i otworzyć bramę stajni, w której się byk znajduje.

Hodowla byków, tak nas wtajemniczał głęboki znawca tauromachii, jest sztuką wielką w gospodarstwie wiejskiem. Są w Andaluzyi gospodarstwa już umyślnie po temu urządzone, gdzie w lasach hodują stada owych byków, zdala od świata. Kilku tylko ludzi, którzy używają do pomocy wołów ad hoc przeznaczonych, strzeże w ciągu paru lat i dogląda byków aż do chwili, kiedy zakupione przez przedsiębiorcę pójść mają na arenę, na śmierć niechybną.

— Jakto? — zapytałem. — Przedsiębiorca prywatny? Więc nie miasto, nie rząd? Sądziłem, że jak w Rzymie, państwo zajmuje się z urzędu, dostarczając ludowi circenses.

— Bynajmniej — rzecze mój sąsiad. — Rząd się do tej sprawy nie miesza. Impressario jest tu czynnym tak samo, jak przy zbieraniu śpiewaków do opery. Sam wszystko na swoją bierze odpowiedzialność, na swój rachunek. Miasto buduje swój

cyrk, odnajmuje, a impressario sprowadza ludzi i zwierzęta. Nie sądź pan, aby ta sprawa była łatwa, bezpieczna i pewna, jako przedsięwzięcie. Potrzeba, aby byki były dzikie, gwałtowne i dobrą broń miały (*bien armados*) czyli rogi. Prowadzi się je lub wiezie tylko nocą, aby się podczas dnia nie oswajały z widokiem ludzi lub koni. Tam, za tą bramą są ciemne stajnie, gdzie się byki mieszczą w klatkach, każdy oddzielnie, w tym samym porządku, jak mają być na arenę wypuszczone. Zwykle sprowadzają je przedsiębiorcy na dzień lub dwa przed walką, aby czekając dłużej, nie straciły swej leśnej dzikości, nie zniecierpliwiły się, aby nie ostygł ich ogień wściekłości i nie osłabła siła ich zwierzęcego rozpasania. Biada, jeśli zaskoczy przedstawienie czy walkę deszcz ulewny, kilkodniowy, który przeszkodzi zabawie. Powstaje wtedy między publicznością obawa, azali byki po kilku dniach zamknięcia jeszcze dość miały dzikiej fantazyi i zapału. Zbiegowisko mniej bywa wtedy liczne i impressario może ponieść ciężkie straty. Jeden byk płaci się po 1,500 do 2 tysięcy franków.

— Gdybyśmy — tak ciągnął dalej nasz sąsiad—należeli do aficionados i gdybym się był wcześniej z panem porozumiał, bylibyśmy przed walką poszli obejrzeć to wszystko, co kryje się za kulisami. Zapewne tu pod nami są stajnie dla koni, które tam czekają na swych jeźdźców, jak i dla tych, które poranione w walce, w tymczasowym szpitalu spędzać będą smutne dni i ostateczne swego żywota. Tam są i łóżka dla rannych ludzi — tam się też

chirurg znajduje, aby pierwszą nieść pomoc nieszczęśliwym ofiarom.

— Podobno i ksiądz tam czeka z Wiatykiem, aby w razie śmiertelnego ciosu dysponować na śmierć gladyatora? — zapytałem sąsiada.

— Zdaje się — odrzecze mi mój cicerone przygodny — że dawniej tak bywało, dziś jednak więcej zręczności, mniej obawy o życie, więc...

Wtem rozległy się dźwięki głośnych trąb, przerywając nam rozmowę. Już dano pierwszy znak, zwiastujący blizkie zagajenie igrzyska. Już też i król Alfons przybył do loży w licznem otoczeniu, prowadząc swych gości, przybyłych tu w odwiedziny książąt bawarskich. Oczy wszystkich i uwaga tak są zajęte wyglądaniem tej chwili, kiedy z loży alkalda spadnie klucz dla otworzenia *torila*, t. j. bramy, po za którą byk się znajduje, że nikt nie dostrzegł ukazania się króla.

Dano znak. Wrzasnęły trąby. Z bocznej bramy wyjeżdża na arenę *cuadrilla*, cały orszak gladyatorski. Piękny, prawdziwie teatralny widok, pełen efektu. Zwracają się ku loży królewskiej, oddając nizki pokłon. Na czele orszaku jedzie konno, na karych andaluzyjskich rumakach, dwóch *alguazilów* policyi miejskiej, w stosowanych kapeluszach, z francuzka ubranych po napoleońsku: w palonych butach, białych spodniach, czarnych frakach o czerwonych wyłogach. Kapelusze ich czarne, pokryte dziś z powodu gorąca białą zasłoną, która spada jak welon na ramiona.

Za niemi kroczą majestatycznie krokiem miarowym i zgodnym gladyatorowie. Idą szeregiem po dwóch, w niewielkich od siebie odstępach. Podziwiam i wzrost pokaźny, i żwawość w ruchach, którą im ułatwia lekki ich ubiór różnobarwny. Na obu ramionach zarzucone karmazynowe togi, podbite jaskrawo-żółtym atłasem. Lewy róg togi niosą ułożony w fałdy na lewej ręce. Przechodząc opodal loży królewskiej, oddają ukłon głęboki. Zdawało mi się, że widzę przed sobą gladyatorów rzymskich, którzy mówią: Ave, Caesar, morituri te salutant! Są to także nowocześni gladyatorowie; tak samo jak i rzymscy bywają narażeni na niebezpieczeństwo, ale nie walczą z bykiem, tylko drażnią dzikie zwierzę tym płaszczem, tą togą purpurową, rzucając mu ją w oczy. Są to tak zwani *capeadores*..

Za nimi, na koniach różnej maści, posuwają się *picadores* w wojskowym ordynku. Wyglądają niby błędni rycerze, à la don Quichote. Ich wiatronogie rumaki przedstawiają istny obraz nędzy i rozpaczy końskiej. Wychudłe, wymęczone szkapy dźwigają na swych grzbietach ciężkie siodła, a na nich rycerzy, którzy mimowoli uśmiech na usta wywołują. Ich strój, na wpół arlekiński, na wpół średniowieczny, rycerski, sprawia teatralne wrażenie. Na całem ciele noszą oni blachy, puklerze, nagolenniki, naramienniki, aby się zabezpieczyć od uderzenia rogów wściekłego i rozjuszonego byka. Cały ten jednak rynsztunek ukryty jest przed wzro

kiem widza pod powłoką grubych łosiowych spodni i łosiowego kaftana. Krótki spancerek, ubrany w świecące wielkie guzy, szamerowany różnokolorowym haftem i wielki kapelusz o maleńkiej głowie a szerokich skrzydłach, dopełniają obrazu tego teatralno-cyrkowego stroju. W prawym ręku dzierży każdy pikador drzewce długie, zakończone krótkiemi, żelaznemi ostrzami. Jedyna to broń, którą się ów rycerz błędny potyka z nacierającym nań bykiem.

Jak niegdyś za szlachetnym Don Kiszotem podążał nieodstępny jego towarzysz Szanszo Pansa, towarzysz jego czynów rycerskich, giermek a pachołek, tak za pikadorami postępują zwolna długim szeregiem całe zastępy *chulos* (wym. czulos) w pięknej barwie, w krótkich spencerkach. Są to towarzysze albo pachołkowie, którzy podczas walki z bykiem nie odstępują pikadora, mają go ciągle na oku. Jeśli go byk z siodła wysadzi, albo o ziemię powali, biegną na jego pomoc, podnoszą, a w danym razie na swych barkach unoszą z pola bitwy. Pikador w swym ciężkim rynsztunku, kiedy z rumaka się zwali, to tak, jak rycerz średniowieczny zakuty w żelazną zbroję — z miejsca sam powstać nie może i bez pomocy giermka nie dosiędzie znów konia.

W liczbie pachołków dostrzeżesz także młodych, zręcznych wyrostków, zwanych *banderilleros*, którzy niosą w ręku długie, żelazne strzały *banderillas*, aby niemi w danym razie podrażnić skórę nie dość wściekłego byka.

A później znów po za temi drabami odsłania się inny widok. Kilka koni andaluzyjskich, karych jak smoła, ognistych jak piekło, ubranych w świąteczną uprząż, pełną barw tęczowych, prowadzą w dalszym ciągu orszaku na arenę. I one także, te piękne rumaki, dzielniejsze od tych wiatronogich, na których jadą pikadorowie, mają pewien udział w całym dramacie. One spełnią rolę koni żałobnego rydwanu, one pociągną powalonego byka na miejsce... jakby wiecznego spoczynku.

Majestatyczna cisza panuje w cyrku podczas powolnego wjazdu na scenę całego orszaku. Tylko ją przerywa od czasu do czasu rżenie rumaków andaluzyjskich. Ale powoli szmer słyszeć się daje między tłumami widzów, skoro u końca orszaku ukazują się postacie prawdziwych bohaterów dnia. Są to właściwi gladyatorowie, walecznicy, którzy potykać się będą z dzikiem zwierzęciem. Zwą się oni *espada*.

Już cały orszak wypłynął na rozległą arenę i konnica i piechota zajęła swe miejsca, wszystko w porządku teatralnym, efektownym, a teraz zwolna przez scenę kroczą czterej bohaterowie. Przechodzą około loży królewskiej, nizki oddając pokłon w głębokiem milczeniu. Nie brzmią na ich ustach słowa rzymskich zapaśników: Ave, Caesar, ave! ale za to tłumy coraz się więcej poruszają. Już się rozlegają oklaski, już uderza w dłonie tysiączna tłuszcza, uradowana, że widzi po długiem rozłączeniu swych ulubieńców: jest tu Lagartijo, Currito, Pastor i inni.

Ku nim zwracają się chciwe spojrzenia wszystkich. Oni są przedmiotem podziwu, zachwytu ba— nawet zazdrości w sercach wielu i wielu tysięcy widzów.

Widokiem ich bogatego, prawdziwie królewskiego stroju pasą się oczy niejednego biedaka, który zamiast złotogłowiu, aksamitu i atłasu, zgrzebnem płótnem lub grubem suknem okrywa swe ciało.

Każdy espada lśni złotem i srebrem, jak wielki grand hiszpański lub wysoki dostojnik królewskiego dworu. Czarne czyżemki osłaniają jego stopy. Aż do kolan sięgają białośnieżne jedwabne pończochy. Tu je przewiązuje piękna, misternie ułożona kokarda. Obcisłe aksamitne spodnie sięgają do bioder, które obejmuje lity pas. Złote i srebrne hafty zdobią aksamit. Krótki spencerek albo kaftanik, wyszywany również złotem, kosztuje niewątpliwie kilka tysięcy franków. Z po za tego bogatego kaftana widać biały gors *almilli*, nie mający kołnierzyka. Głowę pokrywa czarny, lekki kapelusik. Krótko strzyżone włosy, w jednem tylko miejscu tylnej części głowy bujnym kończą się warkoczem, splecionym jak u Chińczyków. W lewym ręku niesie espada *muletę* czyli laskę, wzdłuż której przytwierdzona jest niewielka chusta ponsowa, w prawym trzyma broń swoją — szpadę, od której nazwę swą bierze torero.

Jak mu tu nie zazdrościć, choćby się nawet nie chciało mieć tych sukni bogatych? Jak mu nie za-

zdrościć wielkiego mienia? Bo to, co espada ma na sobie, to tylko część jego bogactwa. Zarobek jego jest wielki. Przedsiębiorca płaci mu kilkanaście tysięcy franków za jedno tylko przedstawienie, a jeśli niekiedy espada ma swój własny orszak, swoich pikadorów, swoje konie, swoich chulos i szaty dla nich, wtedy otrzymuje za jedno wystąpienie kilkadziesiąt tysięcy franków. Znakomity espada, to wielka karyera. Nie jeden młodzieniec marzy we śnie o tem, jakieby nań zaszczyty spłynęły, gdyby go los obdarzył talentem espady. Espada—to więcej niż znakomity tenor, niż sławny wirtuoz, lub wielki artysta dramatyczny. Espada ma niekiedy znaczną fortunę, dopóki jej w karty nie przegra lub w hulaszczem nie strwoni życiu. Mieszka wspaniale, ma swoje konie, opływa w dostatki i zaszczyty. Młodzież złota wita się po bratersku z espadą, szczyci się jego znajomością, rozmawia z nim o sztuce potykania się z bykiem, podejmuje u siebie... A espada, po większej części z gminu wychodząc, wyrasta na arenie, na tej niwie zapasów krwawych, wśród grona młodych giermków lub pikadorów.

Więc się skończyła już uwertura. Cały orszak stanął w ordynku na arenie. Zasunięto baryery. Za chwilę rozpoczną się zapasy. Uciszył się tłum, gwar umilkł i nastąpiła cisza złowieszcza, jak przed burzą. Dreszcz zimny przebiegł mi po ciele. Serce żywiej uderzyło. Krew popłynęła szybciej w żyłach. Zdejmuje nas trwoga nieznanego jeszcze

widoku. Z loży alkada spada na arenę wielki klucz na złoconym sznurku, który podnoszą giermkowie, aby niebawem otworzyć bramy piekielne i wypuścić wściekłe zwierzę.

— Jeśli nie zniosę widoku śmierci lub innej krwawej sceny — rzekłem w tej chwili do mego sąsiada z lewej strony, doktora H., który nam towarzyszył w tej do cyrku wycieczce — dajcież mi natychmiast pomoc lekarską.

— Bądź pan spokojny — dodał mój drugi sąsiad Hiszpan — oswoisz się z widokiem, a teraz nie rozpraszaj zbytecznie uwagi na niepotrzebne kobiece obawy. Oto już się zaczyna...

Nagle wypadł na arenę w gwałtownym pędzie dumny zwierz, wychowaniec lasów południowej Hiszpanii, rogate dziecko gorącej Andaluzyi. Kasztanowaty byk, rosły, łeb dźwiga do góry, uzbrojony w dwa potężne rogi. Lśnią zdala piekielnym ogniem dzikości czarne wielkie, oczy. Zwą go *Cortijero*. Grzmot oklasków spadł na rogatego zapaśnika, który w połowie areny zatrzymał się jak wryty. Olśniony po raz pierwszy widokiem kilkotysięcznego tłumu, ogłuszony hukiem klaszczących dłoni, stanął przerażony.

Konie pikadorów mimowoli drgnęły, niespokojnie cofając się ku baryerze. Kilka sekund upływa w niecierpliwem wyczekiwaniu. Czyżby nieprzyjaciele swe siły mierzyli? Czyżby byk układał sobie w swej głowie rogatej plan krwawej walki?

Stoi nieruchomo, kopytami tylko porusza ziemię, niecierpliwie rzucając ją w tył siebie. Podbiegają ku niemu capeadores i rzucają mu w oczy czerwone, karmazynowe płaszcze. Jeden z prawej, ten z lewej, ów wprost biegnie ku niemu. Ponsowy kolor drażni oczy byka. Więc też bez żadnego namysłu, osłupiałe aż do tej chwili zwierzę sunie jak strzała, nachyla głowę ku ziemi, aby na rogi wziąć przeciwnika. Zręczny capeador jednak dobiega do baryery i w zwinnym skoku przesadza wysoką ścianę, u której byk w swym biegu się zatrzymuje.

Podbiegają inni capeadores ze swemi purpurowemi kapami i znów w odwrotną stronę kierują uwagę byka. Gonitwa się powtarza. Przejmuje nas co chwila obawa, azali się jeden lub drugi z torreadorów nie dostanie na rogi. Jeden krok, jedna chwila, a śmierć niechybna go czeka.

— Nie obawiaj się pan o nich, rzecze mi ku pocieszeniu sąsiad Hiszpan. Dbają oni o swoje życie i daremnie narażać go nie będą, zwłaszcza, że ten pierwszy byk Cortijego nic nie wart. Źle się zapowiada dzisiejsze igrzysko. Toć to nie bestya, ale jagnię! Ten krzywdy nikomu nie zrobi.

— Dlaczegoż się pan tak lekceważąco odzywa o byku? — zapytałem ciekawie.

— Bo to jakieś popychadło, to nie byk prawdziwy. Już widzę, że będzie fiasco. Nie

ma ognia wściekłości, rybia krew. To rzecz nudna!

Nie odrywam jednak oczu od byka na arenie. Drażnią ustawicznie wzrok jego, ale zwierze rogate nie następuje, nie zaczepia, nie napada, tylko się broni i co chwila cofa się, zajmując pozycyę odporną. Na konie nie naciera, pikadorowie siedzą spokojnie na swych rumakach, podjeżdżają: byk się zbliża, ale gdy drzewce ujrzy, ustępuje, jakby ofiarowanej sobie walki przyjąć nie chciał.

Powstaje szmer w tłumie, słychać sykanie, świst się powiększa, coraz głośniejsze dochodzą nas sarkania. Oburza się rzesza, miota obelgi przeciwko bykowi, nareszcie wzbiera coraz więcej niezadowolenie, jak górski potok podczas nawałnicy, i w końcu wylewa się wielkim świstem, który płynie z tysiąca ust zawiedzionych widzów. Byk wyświstany, zelżony, sponiewierany, ale oznaki niezadowolenia nie wpływają na rogate zwierzę. „Fuego, fuego!“ — „ognia, ognia“ wrzasnął zniecierpliwiony tłum kilkotysięczny.

Wybiegli w oka mgnieniu dwaj zwinni banderilleros. Jeden z nich poskoczył do byka, niosąc w ręku dwie rury żelazne, w haczyki zakończone, a ubrane we wstęgi i różnokolorowe papiery. Stanął przed dzikiem zwierzęciem, które nachyliło głowy, żeby nieprzyjaciela wziąć na rogi; ale zręczny chłopiec podskoczył do góry, w oka mgnieniu przesunął pomiędzy rogami dwie strzały, zahaczył

je na karku byka i odskoczył w tył, spiesznie uciekając przed swym przeciwnikiem. Zręczność takiego banderillero przechodzi wszelki opis, wszelką pochwałę. Cała sprawa zawieszenia na karku byka tych petard, tych rurek żelaznych, odbywa się w jednej sekundzie i oczywiście trwać nie może dłużej jak światło błyskawicy. Tylko jedna sekunda. Byk nachyla głowę, żeby przeciwnika wziąć na rogi — w tejże sekundzie trzeba zahaczyć strzały i odskoczyć tak hyżo, żeby umknąć przed pogonią rogatego zwierza.

Ledwie zawisły rurki żelazne na szyi byka, rozległ się z nich trzask, jak huk kilku fuzyj, zapłonął ogień, ogarnął szerć na karku, spłonęły włosy, nowy huk się rozległ z drugiej petardy. Skóra się popryszczyła, krew broczyć zaczęła.

Ucichł świst niezadowolonego tłumu. Byk ukarany za swą łagodność. Dano mu ostrogę krwawą, palącą. Pobudka poskutkowała. Byk z bólu wydał ryk przeraźliwy, kopytami wyrzucał ziemię gniewliwie z pod nóg i zapienił się ze złości. Zapewnie wpadnie na konie, co stoją u baryery, dźwigając na grzbietach owych rycerzy błędnych — pikadorów.

Ale nie! Byk zniósł jak stoik ciężką, nieludzką karę, pogonił raz i drugi za purpurowym płaszczem, który mu w oczy rzucił ten lub ów capeador, i znów kontemplacyjnie rzucał okiem to w prawo, to w lewo.

Oceniając zniecierpliwienie tłumu, widząc zawód na obliczach publiczności, wystąpił niebawem Lagartijo, espada, w kosztownej, błękitnej barwie, lśniącej, jak promienie złotego słońca na lazurze pogodnego nieba, i postanowił koniec położyć tej scenie gorszącej. W ręku jego tylko szpada, nie dłuższa nad łokieć, cienka jak rożenek. To cała jego broń przeciwko olbrzymowi. Byk pieni się, ryczy z bólu. Staje przed nim espada, spogląda mu w oczy, mierzy go wzrokiem. W lewym ręku trzyma muletę. Byk broń nastawia, espada purpurową chustą drażni i myli wzrok jego i sam w zręcznym skoku uchyla się na bok. Byk głowę zwraca w prawo, espada zwinnie przerzuca się na lewo, a zawsze w odległości tak bliskiej, tak niebezpiecznej, że jeden cal, jeden krok chybiony, a żywot skończony, śmierć niechybna.

Ciężka to chwila, widok męczący, tak, jak przykrym jest widok wogóle człowieka, który na jawne niebezpieczeństwo swe życie naraża. Wzajemne badania się, byka i espady, trwa kilka, niekiedy kilkanaście minut. Espada mierzy wzrokiem swego przeciwnika, jego ruchy, jego temperament. W chwili groźnej, lewą ręką rzuca mu w oczy purpurową chustę. Nareszcie upatruje chwilę, podnosi spadę, byk uchyla głowy, aby rogi utopić w brzuchu przeciwnika, tymczasem espada uprzedza zamierzony cios śmiertelny i w jednem oka mgnieniu zagłębia swój miecz aż po rękojeść w karku zwierza pomiędzy łopatkami.

Działanie ciosu jest tak gwałtowne, tak piorunujące, że espada, lubo pozbawiony broni, z gołą ręką spokojnie spogląda w zamglone oczy przeciwnika. Już z nich śmierć straszna przeziera. Siła złamana, rogi stępione. Już ich nie skieruje ku niemu kark obezwładniony. Jeszcze jedna sekunda. Byk pada na przednie kolana. Trzyma się jeszcze chwiejnie na tylnych. Majestatyczna pozycya! Zręczność gladyatora odnosi zwycięstwo i tryumf. Dumny swój kark ugina dzikie zwierzę. Już krew pyskiem się broczy. Jeszcze jedno tchnienie. Słabną tylne nogi. Ciężaru ciała utrzymać nie mogą. Byk się wywraca. Konwulsyjne drgnienia zapowiadają zbliżającą się śmierć. Zapasy skończone.

Rozlega się gwałtowny oklask, jak huk burzy, jak trzask tysiąca drzew łamiących się w lesie dziewiczym, podczas strasznej nawałnicy. Okrzyki napełniają powietrze. Lagartijo oddaje ukłon nizki loży królewskiej, a później zwraca się do tłumu, który gorącym, przeciągłym, głośnym oklaskiem, składa bohaterowi na arenie podziękowania, hołdy.

Odetchnąłem swobodniej. Ołowiana atmosfera obawy, wzruszenia, mniej dotkliwie me piersi tłoczyła. Lżej na sercu się zrobiło. Zabrzmiały trąby, puzony. Rozległy się dźwięki żałobnego marszu. Odsunięto baryery. Wpadły na arenę cztery kare konie, żeby oddać przysługę powalonemu o ziemię rogatemu zwierzęciu. Powoduje niemi na długich lejcach dwóch pachołków w barwach. Konie

rżą głośno. Słychać ich głosy wśród dźwięków żałobnego grania. Zakładają orczyki za nogi byka, zaprzęgają konie. Rozlega się trzask z bicza i czwórka rumaków ciągnie przez arenę martwego bohatera, który nazajutrz stanie się łupem głodnych żołądków w szpitalach miejskich Madrytu.

Akt pierwszy igrzyska skończony. Mamy jeszcze pięć przed sobą. Pięć byków w stajni cyrkowej czeka, żeby ostatecznie uledz temu samemu losowi, co pierwszy Cortijero, i dostarczyć materyału do zabawy jeszcze na całe trzy godziny.

Pozwolimy sobie umniejszyć czytelnikowi trudu i nie damy mu szczegółowego opisu wszystkich następnych pięciu aktów. Nie będziemy opowiadali, jak się popisywał byk Rabituerio, jak się odznaczył Cosario, co zrobił Barbero, czem zasłynął Beleto, czego dokazał Cisquero, jak zdobył sobie laury espada Currito. Gdybym pisał korespondencye do hiszpańskiej gazety, nie mógłbym się oczywiście dopuścić takiego lekceważenia. Ale dla naszych czytelników obojętnem jest zapewne, czy się tak lub inaczej jeden lub drugi byk popisał, więc pomijając szczegóły, nakreślę tylko kilka wydatniejszych rysów z dalszej walki podczas igrzyska. Pierwszy akt się nie udał, przynajmniej nie zadowolił tłumnych widzów, nie może przeto za wzorowy, za typowy się uważać. Dopiero następne byki były wściekłemi, jak straszne dzikie bestye. Ryczały, jak lwy w pustyni. Z nozdrzy ich, jak z paszczęki

smoka, zionął ogień szału. Walczyły swą krzywą bronią tak zręcznie, tak zwinnie, a tak namiętnie, jak istny gladyator rzymski. Wtedy zapał całej rzeszy nie znał granic. Śmiech, radość, zachwyt na widok krwi, rannych koni, powalonych o ziemię pikadorów ogłuszał powietrze, napełniał serce, poruszał duszę Hiszpana.

Więc tylko kilka wydatniejszych jeszcze przedstawię rysów, które mi się zebrać udało z pojedyńczych spostrzeżeń.

Ucichła muzyka i przebrzmiały tony żałobnego marsza, którym pożegnano powalonego o ziemię byka. Oczy tłumu zwrócone ku bramie, z której, jak kamień z procy, wypadnie dziki zapaśnik. Niecierpliwi nie są wystawieni na długą próbę. Po upływie kilku chwil otwierają się szerokie wrota i na arenę wypada jasno-gniady byk, który od pierwszej chwili objawia swój temperament gorący. Witają go grzmiące oklaski, ale huk i trzask go nie ogłusza, widok ludzi nie razi. Nie stanął na środku areny, aby wokoło spokojnie rzucić spojrzeniem i zmierzyć nieprzyjaciół, ocenić ich siły. On, jak koń stepowy, ruszył z kopyta i w szalonym pędzie mknie ku baryerze przeciwległej, gdzie szeregiem stanęli na swych rumakach pikadorowie. Pędzi na nich jak błyskawica. Z prawej i lewej strony rzucili swe płaszcze purpurowe giermkowie, aby odwrócić i rozproszyć uwagę rogatego najezdnika. Ale byk trzyma się widocznie zasady: kto na placu, ten nieprzyjaciel. Wpada wprost na konia. Pikador uderzył drzewcem mię-

dzy rogi byka, lecz ten lekki cios nie powstrzymał gwałtownego natarcia. W jednej chwili utopił rogi swoje w jelitach konia, szarpnął niemi raz, drugi, uniósł rumaka wraz z jeźdźcem do góry. Pikador zwalił się całym ciężarem na ziemię, przygnieciony przez upadającego konia. Podbiegli natychmiast capeadores ze swemi purpurowemi płaszczami. Rzucają je w oczy, drażnią byka. Byk na jaskrawy kolor nie zwraca uwagi. Konia nie odstępuje. Uderza go w biodro, raz, drugi. Pieni się i ryczy. Chce rozznieść na kawałki już nieżyjącego przeciwnika. Tymczasem przywalony pikador wydaje straszne jęki, z pod konia wydobyć go nie można, bo giermkowie przystępu nie mają. Grozi im niebezpieczeństwo. Byk wpadnie, rozszarpie, stratuje.

Zrozumieli inni pikadorowie naturę groźnego przeciwnika. Widocznie byk ten głównie koni nienawidzi. Niczem go od powalonej już ofiary nie odciągnie, tylko gdy koniem nadjedzie. Trzeba mu na ofiarę przynieść innego rumaka. Podjeżdża więc ku niemu dwóch, trzech pikadorów. Byk na nich się rzuca.

Więc, gdy się tu nowy wywiązuje pojedynek, giermkowie wydobywają owego pierwszego rycerza, który szczęśliwie wydostaje się na wierzch, niewielki szwank poniosłszy na głowie i rękach. Wynoszą go spiesznie z areny, żeby opatrzeć jak najprędzej ciężkie rany. Byk staczа walkę z nowymi przeciwnikami. Uderzony między rogi przez zręcznego pikadora, odskoczył w tył, zapienił się, nachylił gło-

wy ku ziemi, ogonem rzucił ku górze, jak Herkules maczugą, i znów pod konia. Rozpruł jednemu pierś, uderzył na drugiego z boku, rozpruł brzuch rumaka, jak gdyby dwa wielkie noże miał na rogach. Wypadły jelita. Koń z bólu piekielnego ruszył jak szalony z miejsca, unosząc na sobie pikadora, który daremnie na miejscu chciał utrzymać bieguna. Pędzi przez arenę nieszczęśliwe zwierzę, a za nim ciągną się jego własne jelita krwią zbroczone, tarzając się w piasku. Na kilkanaście łokci snuje się krwawe pasmo trzewiów. Tylna noga plącze się w tym kłębie zwiniętych jelit, koń wierzga i pada nareszcie wśród drgań konwulsyjnych. Pikador zręcznie się z siodła wydobywa i w spiesznej ucieczce szuka ocalenia.

Widok to straszny, okropny, oburzający! Pióro nie jest w stanie oddać całej zgrozy tego ohydnego igrzyska. Zamknąłem oczy na chwilę. Zimny pot na czoło wystąpił. Chciałem wybiedz z cyrku, porzucić arenę, nigdy tu nie wracać, ale wśród tego tłumu, wśród ścisku odwrót niemożliwy. Krew strumieniami się broczy. Ogniem radości zapaliły się oczy wszystkich. Igrzysko budzi szalone zajęcie. Namiętność zaczyna wzrastać. Byk dziki, gwałtowny, wściekły zbiera huczne oklaski. Na słowa pochwalne niema czasu, tylko dłonie namiętnie wyrażają to, co się w sercu dzieje.

Scena rozwija się dalej. Byk zapala się własną złością. Ukryli się capeadorowie. Purpurowych płaszczy nie pokazują. Siła przeciwnika piekielna. Walka nie ustaje na chwilę. Inne konie, co stały

na boku przy baryerze, drżą ze strachu. Z oczu byka bije łuna, blask jego namiętności. Wpada na konia. Pikador uderza drzewcem, ale niezręcznie. Byk topi jeden róg we wnętrznościach rumaka. Odbiega na środek areny i goni znów jak widmo nocne dwóch capeadorów, którzy mu przerwali na chwilę to szarpanie powalonego konia. Szczęściem, że dobiegli do baryery: płaszcze pogubili, ale zręcznie przesadziwszy szranki, uratowali swe życie. Tymczasem koniowi z rozprutego brzucha wypadły jelita. Giermkowie podbiegli — wnętrzności znów włożyli, pakułami zatkawszy otwór wielkości małej dłoni.

Byk pochwycił na rogi jeden ze zgubionych płaszczy i począł biegać po arenie, jak gdyby się bawił tą chorągiewką przygodną. Nie było czasu uprzątnąć pomordowanych koni. Byk taką pałał wściekłością, że jeszcze puścił się na bezbronnych przeciwników i szarpał ich wnętrzności.

Ośm koni z rzędu przyprawił o śmierć jeden byk szalony. Nie pamiętano dawno takiej zażartości dzikiej bestyi. Zadowolenie było powszechne. Podziwiali wszyscy moi sąsiedzi i głośno chwalili niepospolitą siłę rogów i karku tego zwierzęcia niestrudzonego. Jeśli na dwa rogi wziął rumaka i dobrze je osadził w jego wnętrznościach, to podnosił konia i rycerza na łokieć od ziemi. Większego nieszczęścia jakoś się nie przytrafiło, krom silnego potłuczenia dwóch pikadorów, których upadający koń przytłoczył do drewnianej baryery.

Jeden poranił sobie głowę, drugi rękę podobno zwichnął.

Nikt nie domagał się ognia. Nikt nie krzyczał: „fuego, fuego.“ Sztucznych środków do podburzenia bestyi nie potrzeba było zupełnie. Naturalna jego dzikość wystarczała. Ale trzeba było koniec położyć temu bezkarnemu pastwieniu się nad nieszczęsnemi rumakami.

Wystąpił ze swą szpadą Currito, trzymając w lewym ręku ponsową muletę czyli chorągiewkę. Drżałem o życie tego człowieka. Po tych szaleństwach byka, czy można było spokojnie i bez obawy patrzeć na gladyatora, którego całą broń wobec tej strasznej, rozjuszonej bestyi, stanowił rożenek stalowy?

Podziwiam zarazem odwagę espady. Staje on na jeden krok przed bykiem, którego rogi zbroczone we krwi lśnią jakąś piekielną barwą. Spotykają się oczy dwóch przeciwników. Wzrok byka pali się ogniem namiętności, wzrok espady spokojny, zimny a przenikliwy. Nim sunie naprzód, nim zwróci swe rogi ku przeciwnikowi, trzeba z jego spojrzenia odgadnąć kierunek ruchu. Trzeba z oczu wyczytać myśli i zamiar rogatego zapaśnika. W tem tkwi część tajemnicy, na tem polega sztuka zręczności.

Więc wzrok orli jest konieczny, niezbędny, wzrok śmiały a silny, niestrudzony. Jedno mrugnienie okiem, a życie stracone. A znów dalej —

zwinność w ruchach nieodzowna. Oko dopatrzyło, dokąd się zwrócą rogi byka. Nie dość na tem. Trzeba jednym błyskawicznym skokiem w prawo lub lewo odwrócić od siebie cios stanowczy, uderzenie śmiertelne. Trzeba w oczy rzucić mu muletę i rozproszyć jego uwagę. Kilkanaście minut trwa to studyowanie byka i jego taktyki. Nareszcie espada upatruje chwilę. Udaje, że pozwoli wziąć się na rogi. Byk nachyla głowy, z zamachem chce uderzyć, a tu zwinny przeciwnik godzi w jego kark, aby swą szpadę utopić. Chybił. Szpada utkwiła, ale nie we właściwem miejscu, zaledwie ugrzęzła na kilka cali. Espada stracił swą broń. Syknęła publiczność. Świst straszny rozległ się po arenie.

Byk zdołał wyrzucić szpadę, płytko utkwioną w karku i z całą swobodą puścił się w pogoń za swym przeciwnikiem. Wystąpił w oka mgnieniu, jak deus ex machina, ulubieniec tłumów — Lagartijo i bez żadnych przygotowań, stanąwszy przed bykiem, poprawił cios swego poprzednika. Rogaty zapaśnik legł odrazu na ziemię i ostatnie wydał tchnienie.

Tryumf Lagartijo był wielki. On cudu dokazał. Nie namyślał się długo. Nie badał swego rozjuszonego przeciwnika. Wyciągnął rękę uzbrojoną w wązką szpadę i odrazu utopił ją w karku byka. A to miejsce śmiertelne, w które ugodzić należy, tak niewielkie, że się nawet z piętą Achilesa nie da porównać. Jakie więc oko potrzebne, jaka wprawa, jaka pewność w zadaniu ciosu, ażeby o jeden cal nie chybić!

To też tłumy, umiejące ocenić wielką trudność, niepomierną zręczność, niezwykłe niebezpieczeństwo, nagrodziły espadę grzmotem przeciągłych oklasków. Frenetyczny zapał ogarnął wkrótce kilkotysięczną rzeszę.

Posypał się grad papierosów i cygar na bohatera cyrkowego. Hiszpan traci równowagę umysłu w chwili, gdy jest świadkiem takiej sceny tryumfu gladyatora nad dzikim bykiem. Chce swe uznanie wyrazić. Nie ma bukietów. Zresztą to nie teatr. Jakżeby te kwiaty tu dziwnie wyglądały na arenie krwią zbroczonej. Więc rzuca cygara, które espada przyjmuje chętnie. Ale gdy już wszystkie pociski powyrzuca ze swego kołczana, a zapał trwa lub jeszcze się wzmaga, chciałby w nim przyjąć udział, manifestować swe uczucia. Chwyta za kapelusz jeden, drugi, trzeci. Chwytają szeregi, wszystkie ławy. Lecą więc te sombrero, jak czarne kruki i spadają na scenę. A Aragończyk, który kapelusza nie ma, tylko chustą przewiązał swą głowę? Czemże on biedny wypowie swe uznanie? Oklaski już przebrzmiały. Dłonią nastarczyć nie można. Więc gdy inni miotają swe kapelusze, on zdejmuje swój spancerek wśród tej gorącej, namiętnej owacyi, i rzuca go na środek areny. Jakże wtedy krążą ustawicznie w powietrzu, to chusta, to kapelusz, to kaftan, to kamizelka! Kilka minut trwa ta scena pełna ognia, szału, uniesienia, do jakiego zdolna jest natura południowego mieszkańca.

Wylały się upusty wezbranych uczuć, przebrzmiało głośne echo oklasków, przebrzmiała burza okrzyków, wypadły piorunujące pociski zapału elektrycznego i powoli wracać zaczyna równowaga. Gorączka minęła. Ten i ów się opamiętał. Cygar lub cigarritos, które rzucił, nie żałuje. Nie żal mu dłoni zbolałych od namiętnych uderzeń, ale żal mu kapelusza, żal spancerka. Więc giermkowie z areny znów w odwrotną stronę puszczają znalezione przedmioty, przerzucając je ku poszkodowanym właścicielom. Niezawsze według adresu wróci zguba. Mniejsza strata. Ten lub ów kapelusz — wszystko jedno. Ale uznanie było, ale zmanifestowały się uczucia, przyjęło się udział w owacyi. Oto jest *vox populi*.

Sceny powtarzały się jedna za drugą sześć razy. Sześć byków z kolei wypuszczano. Sześć też trupem legło. Zabitych koni było czternaście. Kilka rannych rumaków wyprowadzono z areny, żeby zadać im ostatni cios śmiertelny i uwolnić ich od bolesnego dalszego żywota... inwalidów.

Igrzyska trwały trzy godziny. Zadowolenie było powszechne. Zadowolenie nasze również niemałe z tego, że się nareszcie skończyła ta straszna dla nas męczarnia. Z całą falą tłumu wypłynęliśmy przed plac cyrkowy. Świeże powietrze wieczoru jesiennego pokrzepiło nasz umysł. Ale do równowagi nie tak łatwo wrócić było można. Wzruszenie w ciągu kilku godzin wstrząsało całem naszem jestestwem duchowem, moralnem. To były istne

tortury. Wrażenia zapisywały się w pamięci krwią, śmiercią, rozbestwieniem, widokiem poniżenia godności ludzkiej. W duchu pytałem: czyliż należało unosić się ciekawością do tego stopnia, żeby być niemym świadkiem barbarzyńskich igrzysk, które obrażają uczucie ludzkości w człowieku, gdyby nawet nie znał szlachetniejszych poruszeń serca?

Wróciliśmy do domu, aby zasiąść w sali hotelu naszego do wspólnego obiadu, do okrągłego stołu, jak mówią Hiszpanie, a później za świeżej pamięci przenieść na papier różnorodne wrażenia dnia ubiegłego i skreślić całkowity obraz widzianego właśnie igrzyska.

Ze zwyczaju zasiedliśmy do stołu, a raczej dlatego, żeby z sąsiadem naszym prowadzić w tym przedmiocie dalszą rozmowę, zasięgnąć jeszcze nieco objaśnień i wypić już do dna ten kielich goryczy.

Wzruszenie było zbyt wielkie, wstrząśnienie całego systematu nerwowego zbyt silne, aby się nawet po tylu godzinach wzbudziło uczucie głodu; tymczasem mój sąsiad doznał skutku wprost przeciwnego. Wrócił z krwawego igrzyska, jak myśliwy po całodziennem polowaniu, który z zaostrzonym apetytem wilczy głód swój zaspakaja przy obfitej i wesołej wieczerzy. My zaś, pozostawszy tylko niemym świadkiem, raczej biernym uczestnikiem, znaleźliśmy więcej wolnego czasu, aby rozważać zaszłe tylko co wypadki i uszeregować sobie wrażenia.

— Przyznać trzeba, rzecze do nas sąsiad nasz, przerywając filozoficzne rozpamiętywania, w jakie nas pogrążyły tylko co widziane igrzyska, że się dobrze zapowiada sezon wyścigów cyrkowych. Dzisiejsza *corrida* należy do najświetniejszych. Pierwszy byk wprawdzie nie dopisał, ale inne podtrzymały jak najlepiej sławę swej *ganaderii*. A Lagartijo i Pastor byli jak zawsze mistrzami! Jeżeli pan tu dłużej między nami pobędzie, to za tydzień znów pan pójdzie. Jestem tego pewien. To tylko początki trudne. Todos los principios son dificiles. Oswoisz się, jak się wszyscy oswajają cudzoziemcy.

— Nunca (nigdy), Señor mio — odparłem stanowczo. Nigdy nie przestanę się oburzać na to zezwierzęcenie ludzi. Wszakże to jedyna szkoła do tępienia wszelkich, szlachetniejszych uczuć w człowieku.

— A odwaga, a zręczność, a bohaterstwo, a tryumf nad dziką bestyą! Wszak i to coś warto— rzecze mi w odpowiedzi sąsiad.

— Nie, panie, niczem nie okupi się tych strat, jakie ponosi całe społeczeństwo hiszpańskie, znajdując upodobanie w takich widowiskach, które są zabytkiem wieków barbarzyńskich i pierwotnej jeszcze, mało rozwiniętej cywilizacyi. W całej Europie humanitaryzm, uczucie ludzkości postąpiły już tak daleko, że nietylko ludzie nie dręczą się wzajemnie, nie pastwią rozmyślnie, ale nawet otaczają i zwierzęta domowe swą pieczołowitą opieką. A tu

ten widok koni rozszarpanych, z których wypadają jelita! Ta radość, ta uciecha, te oklaski na widok byka, który napada na bezbronnego konia, brzuch mu rozpruwa, a pikador spina ostrogami nieszczęśliwe zwierzę, szarpane bólem śmiertelnym i opierającego się znagla, zniewala do wystawiania się na nowe, straszne niebezpieczeństwo! Giermkowie smagają biczem wynędzniałe stworzenie, zawiązują mu oczy, aby rozwścieczony byk ostatecznie wziął je na rogi. A jakżeż tu patrzeć obojętnie na te rany, na tę krew broczącą się strumieniem, na te jelita, które niepowołani owi weterynarze wtłaczają do wnętrza konia, skazanego oczywiście na straszne męczarnie! A ta gawiedź, a ta tłuszcza, ten motłoch wydaje głośne okrzyki radości.

— I dziwi was — mówiłem do sąsiada, który spokojnie zajadał jedno za drugiem danie długiego obiadu — dziwi nas potem, że się mnożą bezustannie opryszki, że wzrasta liczba krwawych zbrodni, podstępnych morderstw, że co lat kilka...

— A Włosi? — pyta mój przeciwnik, przerywając na chwilę lakonicznem zapytaniem kazanie moje moralne — wszak igrzysk nie mają, a mają bandytów tyleż co i Hiszpanie.

— Tam inne są przyczyny — rzekłem. — Tu zaś zaprzeczyć temu trudno, iżby krwawe widowiska takich za sobą nie prowadziły następstw. Wprawdzie dzielnie się bije żołnierz, ale pohopność

do bratobójczej walki, zaciętość i zawziętość nie ztąd-li pochodzą, że od lat najmłodszych każdy wieśniak, każdy mieszczanin, każdy Hiszpan oswaja się z widokiem krwi, męczarni, śmierci? I czyż to w podobny sposób można dziką i grubą naturę człowieka uprawić pod zasiew szlachetniejszej nauki, wyższego uspołecznienia, delikatniejszych uczuć ludzkości?

— Ostatecznie przyznaję panu słuszność—odpowie mi sąsiad. — Nie ma w tem nic chwalebnego, godnego naśladowania, ale jest to instytucya narodowa, uświęcona wiekami. Jest to cyrk, jak wiele innych, gdzie popisuje się zręczność człowieka, dochodząca do mistrzowstwa, kiedy jedno trafne pchnięcie cieńkiej szpady wystarcza, aby powalić o ziemię rozjuszonego byka. Chodzimy... tak — przez zwyczaj.

Wątek naszej dysputy wysnuł się wraz z końcem obiadu.

Wieczorem, może w niespełna dwie godziny po igrzyskach, przyniesiono nam dzienniki, gdzie się mieściły szczegółowe opisy tylko co odbytej walki, z wymienieniem nazwy każdego byka, jego maści, postawy, rogów, temperamentu i t. d. Opowiadanie było spokojne, systematyczne, analiza zimna, sąd wytrawny, zapatrywanie trzeźwe. A wszystko to w dwie godziny po widowisku! Oczywiście sprawozdawca cyrkowy żadnym takim nie uległ wrażeniom, które nam, nie oswojonym ze wstrętnym widokiem, wytrąciły z ręki na dni kilka pióro sprawozdawcze.

Siedząc przy oknie otwartem i szukając ochłody wśród świeżej fali jesiennego powietrza, słyszę ustawicznie z ulicy dochodzące mnie głosy przekupniów wieczornych gazet, którzy na najrozmaitsze tony wołają „corrida de toros," zwiastując przechodniom wszystkim tym, co byli lub nie byli na widowisku, że znajdą szczegółowe opisy w egzemplarzach tylko co wydanych dzienników.

Ścisłość kronikarska zniewala nas tu nadmienić, że są jednakże w Hiszpanii ludzie, którzy nie podzielają zamiłowania powszechnego do popisów cyrkowych, którzy trafnie oceniają całą szkodliwość podobnych zabaw barbarzyńskich. Traf zdarzył, żeśmy w dni kilka po owej walce byków spotkali w towarzystwie jednego z najgorliwszych, jednego z najczynniejszych przeciwników tauromachii; jest nim margrabia San-Carlos, który w licznych artykułach, ulotnych pismach krzewi propagandę zniesienia tych igrzysk, a nawet zabronienia ich zupełnego.

Wspólność zapatrywań zbliżyła nas do siebie. Nie było między nami żadnej różnicy pod względem surowego sądu o tej zabawie, niegodnej cywilizowanego społeczeństwa.

— Czy widzi pan już skutki swych usiłowań szlachetnych? — zapytałem ciekawie margrabiego.

— Trudno powiedzieć, o ile zabiegi moje przynoszą owoce jakie. To tylko pewna, że

zamiłowanie powoli słabnie w społeczeństwie naszem.

— Nie podzielam bynajmniej zapatrywań margrabiego—rzecze mi na stronie inny Hiszpan, snadź obojętniejszy w tej sprawie.—Nie sądzę, aby głośno i ustawicznie zwalczając niewłaściwość igrzysk, dochodziło się do celu. Zapewniam pana, że im więcej się powstaje, im więcej się pisze, tem żarliwiej uczęszczają widzowie na wyścigi byków. Niejeden myśli sobie w duchu: trzeba użyć jeszcze w tym roku, bo coś słychać ciągle, że niebawem mają zupełnie ustać zapasy. I zamiast, żeby się zmniejszyć miała liczba, zawsze cyrki wszędzie są przepełnione.

Nie wszczynałem rozprawy nad tem, co jest właściwem, jakie środki byłyby najlepsze dla zapobieżenia złemu. Przyznałem tylko chętnie szlachetnemu margrabiemu, że postęp już jest widoczny, bom istotnie zauważył, że lubo w cyrku nie brak było kobiet z najlepszego towarzystwa, jednak stosunek był tak nieznaczny, że nie wiem, czy się więcej jak pięć niewiast na sto mężczyzn znajdowało.

Portugalia, która niegdyś współzawodniczyła na tem polu z Hiszpanią i miewała również świetne tauromachie, jakżeż daleko już posunęła się naprzód! Wprawdzie w Lizbonie i w innych większych miastach jeszcze się walki byków odbywają, ale odmienny zupełnie przedstawiają widok. Tam one straciły już w znacznej części swój barbarzyński charakter. Byki bowiem mają zupełnie stępione

rogi za pomocą wielkich kul drewnianych lub metalowych, skutkiem czego zabawa cała jest niewinną farsą ku uciesze gawiedzi, motłochu. Był nawet czas, kiedy w Portugalii za rządów królowej Maryi Gloryi, zmarłej w 1853 roku, wszelkie tauromachie były wzbronione. Później znów je wskrzeszono, ale któż nie widzi, że są one dziś w stanie powolnego upadku i z czasem zupełnie ustaną na zawsze.

Czyliżby i Hiszpania za tym przykładem pójść nie powinna? Jeśli tu twierdzą, że zamknięcie cyrków sprowadziłoby krwawą rewolucyę, to powolne przejście do zapasów niekrwawych możeby więcej znalazło względu u namiętnych miłośników igrzysk.

Że w ogóle trudności są wielkie, żeby wykorzenić stary zwyczaj, nałogi wyrosłe w ciągu wieków, któż temu zaprzeczy? Ale jakżeż nie mają się krzewić igrzyska, zamiłowanie do nich, kiedy przykład z góry idzie. Dawniej nawet głównie królowie przyczyniali się do podnoszenia świetności i blasku igrzysk cyrkowych. W wiekach średnich sami brali w nich czynny udział, występując jako gladyatorowie do walki z bykami. Ferdynand VII, król Hiszpanii, zmarły w 1833 roku, należał niewątpliwie do najżarliwszych zwolenników tauromachii. Zwinąwszy uniwersytety w swoim kraju, założył w Sewilli szkołę wyższą do wykładu sztuki potykania się z dzikiemi bykami, uposażywszy ją wspaniale. Główny przewodnik w tym szlachetnym kunszcie pobierał rocznie 13 tysięcy realów (dziś tyle co 8 tysięcy zł.)»

pomocnik jego 8 tysięcy, a każdy z 10 uczniów miał stypendyum roczne, wynoszące 2,000 realów. Oczywiście szkoła ta dziś już nie istnieje, tem niemniej są uczniowie, są i mistrze. Takie nauki krzewią się zawsze najbujniej.

Myślałem często o Rzymie, o owych wołaniach tłumu: *panem, circenses!* o imperatorach, którzy tak skwapliwie widowiskami karmili uliczny a niespokojny motłoch. Myślałem i o czasach nowszych... i nie żałowałem, żem raz widział to, co się nazywa *corrida de toros*. Dla mnie była to wielka nauka.

Tak mało zmieniły się czasy od owej epoki imperatorów rzymskich. I dziś także na ustach bezmyślnego tłumu... *circēnses!*

VI.

Zbiory sztuk pięknych. — Malarstwo hiszpańskie XVII w. — Murillo i Velazquez.—Religijność i naturalizm.—Charakterystyka Velazqueza.—Jego arcydzieła.

Więc nic więcej w Madrycie nad pustą okolicę, nad bezludny step w około, nic więcej nad niepozorne kościoły a najzwyczajniejsze gmachy, nad widok obojętności religijnej a namiętnego zamiłowania do krwawych igrzysk? Co za ponure tło tego obrazu!—powie zapewne w duchu czytelnik. Jakież tam posępne, szare, bezbarwne życie! Tylko lazur nieba, co świeci pogodą i błyszczy niezrównanym blaskiem, co uśmiecha się nieznanym nam wdziękiem, i te postacie czarnookich Hiszpanek o powiewnych, poetycznych mantylach — a zresztą nic więcej?

Nie byłożby nic w Madrycie, coby oderwać mogło wzrok od powszedniej rzeczywistości, coby duszę napoić mogło wrażeniami idealnego piękna? Nie masz-że tam wśród pustkowia żadnej oazy? Cóż więc może turystę skłonić do długiego pobytu w stolicy Hiszpanii?

Byłbym niesprawiedliwym względem grodu Filipów, pisząc tylko o tem, co niejako ujemną stanowi stronę, nie wspomniawszy o tych rzeczach, które Madryt stawiają na równi z Rzymem, Florencyą, Paryżem, Dreznem, Monachium. Już oddawna w zbiorach naukowych, w zbiorach sztuk pięknych piję tę ożywczą rosę wśród zwykłej prozy życia codziennego. I gdyby nie kastalskie krynice niewyczerpanych rozkoszy artystycznych, już dawno byłbym porzucił brzegi Manzanaresu, byłbym się przeniósł pod cudownie piękne niebo południowej Hiszpanii, gdzie w ogrodach króluję palmy i złotym rumieńcem płoną pomarańcze i cytryny.

Już w pierwszych dniach pobytu nieprzeparta chęć widzenia arcydzieł malarstwa, które tak wysoko wyniosły sztukę hiszpańską w XVII wieku, otwarła nam podwoje do tych przybytków, gdzie jaśnieją imiona wielkich i nieśmiertelnych artystów. I odtąd już stale dzień za dniem z każdej wolniejszej korzystaliśmy chwili, aby poznawać, podziwiać i badać bogactwa nie zmierzone, które po raz pierwszy zdziwione oglądało oko. Tyle tu pereł, tyle dzieł znakomitych, takie imiona, takie gwiazdy pierwszorzędne, że tygodnie całe, miesiące nie wystarczą, żeby ogarnąć wszystko, zdać sobie sprawę i wtajemniczyć się nieco w ten świat artyzmu narodowego, który tak mało znamy, tak mało zna wogóle... nawet i historya sztuki, historya malarstwa.

Zdawało nam się zawsze profanacyą przybytku

to pośpieszne zwiedzanie turystów, którzy w ciągu pięciu lub sześciu godzin, biegnąc od obrazu do obrazu, są w stanie zaledwie stwierdzić... jedną okoliczność, że obraz wisi istotnie pod numerem wskazanym w katalogu. Galerya jest jak biblioteka. Nikt z niej nie wyniesie żadnej korzyści, kto tytuły książek przejrzy. Trzeba księgę otworzyć, zgłębić jej treść, przestudyować od początku do końca, wtedy się i myśl autora odgadnie i słuszniej wartość jego oceni.

Zbiory w Madrycie, galerye obrazów, to istne biblioteki. Komu z przyjezdnych turystów starczy czasu, żeby poznał do głębi ten świat sztuki, tak mało jeszcze znany po za granicami Hiszpanii? Kto zdoła zbadać tych mistrzów wielkich i ich dzieła różnorodne? Kto ogarnie rozległe pole sztuki malarskiej w ciągu kilku tygodni, zwłaszcza gdy sam wyłącznie nie poświęcał się badaniom w tym kierunku?

A jest się czem tu poić, unosić, zachwycać. Naprzeciwko mieszkania naszego Academia de San Fernando. Niewielki wprawdzie zbiór, ale płótna pierwszorzędnych mistrzów. Co za szczęśliwy kraj! Murilla kilka mniejszych utworów wisi w przechodnim korytarzu. Codzień wybiegamy z domu na krótszy czas, na pół godzinki lub godzinę, żeby zwolna poznawać i oceniać arcydzieła. Sprawy innego rodzaju wzywają nas do gmachu ministeryum oświaty. Tam istna galerya. Wszystkie ściany w sieniach, w kancelaryach, zasłonięte wielkiemi płótnami. Co chwila spotyka twoje oko: to Mazo,

to Peredę, to Cano, to Leonardo. Prawdziwie *embarras de richesse.* W ministeryum wojny podobnież. W salach prezydyum ministeryalnego również arcydzieła. Prywatnych galeryj kilka. A jeszcze jedno... właściwie największe, najpierwsze: *Museo del Prado*, albo niekiedy nazywane po prostu *Museo de pinturas.*

Takich bogactw, jakie tu są zgromadzone, nie posiada ani Luwr, ani Florencya, Rzym, Neapol i inne przybytki, poświęcone malarstwu. Pod tym względem zdania znawców są niepodzielne, jednogłośne. Dawno ma Madryt ustaloną sławę, a dodajmy od siebie, słuszną i sprawiedliwą.

Od wielu i wielu już lat zgasła gwiazda wielkości Hiszpanii. Rozsypało się w gruzy potężne niegdyś mocarstwo. Rzadko gdzie pozostały pomniki, któreby świadczyły o blasku tylu wielowładnych mocarzy, jakimi byli Karol V i Filip II. Ale jeśli gdzie, to tu jeszcze, w tej wspaniałej galeryi, ukazuje się ta przeszłość, promieniejąca sławą, złotem, przepychem. Imiona wielkich mistrzów pendzla, spotykane na każdym kroku, żywo przypominają czasy, kiedy koronie Karola V ulegał świat nowy i stary, a w Europie bogate Niderlandy, rojna rzesza niemiecka, świetne Włochy i rycerska Hiszpania.

Bujnie kwitnąca Italia w XVI wieku, w dziedzinie barwnej sztuki, odżyła tu w galeryi, jak gdyby na własnej klasycznej niwie. Rafael Sanzio, natchniony, nieśmiertelny, króluje tu w swych arcydziełach,

którym cały świat hołd oddaje. Tycyan lśni takim przecudnym kolorytem i taką piękną przedstawia tu całość swych płócien, że zdaje ci się na chwilę, iż się znajdujesz w rodzinnym jego grodzie nad Adryatykiem. Ale ma tu Wenecya obok najcelniejszego — Tycyana, i innych swych przedstawicieli. Na ścianach ukazują się ciągle jeden za drugim Veronese i Tintoretto. Jeżeli del Sarto słynie jako słodki, łagodny kolorysta o niezmiernie delikatnym pędzlu, to w Madrycie występują na jaw w całym blasku te właściwości jego palety. Ktoby chciał stwierdzić płodną rękę Łukasza Giordano z neapolitańskiej szkoły, niech tu przejrzy 60-siąt jego obrazów.

Bawił jakiś czas w Madrycie potężny a śmiały Rubens i tyle po sobie zostawił tu pamiątek, że Paryż i Drezno mogą zazdrośnie spoglądać na całe pasmo arcydzieł mistrza flamandzkiego. Towarzyszą mu Van Dyck, Teniers i Breugel w nieskończonej ilości. Jeżeli ktoś pragnie zachwycać się przecudnym blaskiem zachodzącego słońca, oświecającego spokojną naturę, co układa się do snu, musi tu przestudyować Claude Lorraina, który rozdzielił między Luwr a Madryt swoje nieocenione skarby.

A szkoła hiszpańska? O niej wieleby pisać trzeba było. Gdzie boski Murillo jaśnieje w całym szeregu swych „Niepokalanie Poczętych Dziewic," gdzie Velazquez jedynie w całej pełni swego wielo-

stronnego występuje talentu, gdzie Zurbaran i groźny Ribera świetnie uzupełniają bogatą koronę prawdziwych pereł malarstwa, tam tomy nie wystarczyłyby na przedstawienie tych wszystkich piękności.

Istotnie, blask arcydzieł narodowej sztuki hiszpańskiej olśniewa. Snują się one tu bez liku, a każde inne, a każde nowe, nieznane. Już oko oswoiło się z tem, co ma Berlin, Wiedeń, Wenecya, Florencya, Paryż; już Rafael, Tycyan, Rubens są pospolitsi wobec Murilla, Velazqueza, Zurbarana. A nowszy Goya, który tu oddzielną i wielką sam dla siebie posiada salę, czyż nie jest przedmiotem podziwu i zachwytu dla tych, co z za Pyreneów przybywają, gdzie Goya jest zagadką, tajemnicą? Któż wyliczy wszystkie gwiazdy świecące na jasnem niebie sztuki narodowej w XVII wieku, w Hiszpanii? Tu, z kwiatów, jakie zakwitły w Sewilii, Walencyi i Madrycie, złożył się najwspanialszy wieniec, który nie zblednie w obec barwnej i bujnej równianki talentów, jakiemi jaśnieją Włochy XVI-go wieku.

W pierwszej połowie XVI-go wieku najpiękniejsze dni chwały swojej święci malarstwo we Włoszech. Berło sztuki dzierżą wyłącznie mistrze w grodach italskich. Wiek następny należy całkowicie do Hiszpanii. Kiedy we Włoszech wyczerpały się źródła wielkiego natchnienia i wygasły ogniska świetnych talentów, nowa i jasna zorza weszła na niebie Hiszpanii. W szkołach włoskich zapanowała

maniera, napuszona forma, treść zmalała, zstąpiwszy z wyżyn idealizmu na ziemię powszedniej rzeczywistości; w Hiszpanii ożywcze źródło sztuki, wiara religia, obfitym wylało się strumieniem, znalazły się nowe przedmioty twórczości artystycznej w zakresie religijnym, w dziedzinie świeckiej. Horyzont się rozszerzył, środki zostały udoskonalone i znów zakwitły najrozkoszniejsze kwiaty, jak gdyby w drugiej wiośnie życia sztuki nadobnej. Z wielkiego zastępu artystów hiszpańskich dość tu wspomnieć kilka głośnych imion, które jaśnieją na czele szkół odmiennych, dość przytoczyć mistrza sewilskiego Murilla, madryckiego Velazqueza, że tu nie wymienimy Zurbarana, Ribery i nieco starszych: Roelasa, Pacheco, Ribaltę i innych.

Rozkwit sztuki w Hiszpanii jest zjawiskiem na pozór dziwnem, uderzającem. Ktoby mniemał, że ideały piękna artystycznego kwitną jednocześnie w czasie wiosennej t. j. młodzieńczej, pełnej siły i ognia politycznej wielkości narodu lub państwa, ten nietylko we Włoszech, ale i w Hiszpani wprost przeciwnie zniewolony będzie uczynić spostrzeżenie. Wiek XVII, wiek Filipa III, Filipa IV, Karola II, trzech ostatnich mocarzy z dynastyi krótkotrwałej habsbursko-rakuskiej, jest dobą upadku, epoką zgrzybiałej a przedwczesnej starości. Wielki wulkan życia wygasł zupełnie, tylko wystudzone zostało popielisko. Minął okres sławnych wojowników, conquistadorów, wyczerpały się bogactwa, ruina materyalna parzezierała coraz okropniej, jak z rozwalo-

nego zamczyska, a tymczasem zakwitła sztuka: w osobie Murilla wzbiła się do nieba, do wyżyn nadziemskiego ideału; w osobie Velazqueza wyraziła się z całą prawdą powszedniej rzeczywistości, trzeźwej wyobraźni nagiego realizmu.

Uderzającem wydaje się to zjawisko, ale tylko na pozór, przy pierwszym rzucie oka. Podobnież, jak sprzecznem się zdaje i niepojętem takie przeciwieństwo dwóch mistrzów, żyjących współcześnie, Murilla i Velazqueza. Głębsze badanie tych objawów w dziedzinie piękna artystycznego rozwiązuje to, co nam się pierwotnie wydało zagadką. Sztuka tworzy w cichym świecie swojego ideału, której szczęk broni i rozgłos sławy politycznej staje niekiedy na zawadzie, niekiedy zaś pomaga; ale istotnego związku między życiem na szerokiej widowni świata, a światem artystycznym niemasz. Jeśli Fidyasz tworzył swe nieśmiertelne dzieła, kiedy słońce wielkości Aten wzbiło się najwyżej, toć Praksyteles i jego szkoła znakomita należą do epoki upadłej potęgi ateńskiej.

Dwa zaś przeciwieństwa w Hiszpanii — najwyższa twórczość religijna, obok potężnego naturalizmu są podobnież wyrazem panujących w społeczeństwie kierunków, sił, pojęć, dążności, są wiernym obrazem tych prądów, które w łonie narodu nurtowały. Dwa światy zetknęły się z sobą — wystrzelił każdy, jak bujny kwiat agawy, i zstąpił świetnie jeden i drugi do grobu.

Murillo żył niemal ciągle w klasztorze, pracował dla kanoników katedralnych w Sewilli. Kościół w XVII wieku pracował z podwójną usilnością nad powetowaniem strat, spowodowanych reformacyą, ciosów zadanych przez wolnomyślny ruch humanistów i nauki świeckiej. Krzewiący się protestantyzm usposabiał do potęgowania uczucia religijnego, do głębszego zapuszczania się w świat pobożnych rozmyślań.

Velazquez stoi na wprost przeciwległym biegunie. On jest na wskroś świecki, światowy i dworski... a jednak mimo to kierunek religijny, nastrój umysłów, panowanie treści duchownej odbiło się na rodzaju jego twórczości...

Velazquez jak amphibium — występuje w podwójnej osobie: jest artystą, ale zarazem i dworzaninem, albo raczej jest dostojnikiem dworskim, dlatego że jako malarz służy na dworze. Więc otoczenie, więc życie, więc towarzystwo, wśród którego się obraca, wytykają drogę, wskazują kierunek, w jakim talent miał się rozwinąć. To też po większej części na treść pomysłów, treść artystycznej twórczości składa się to wszystko, co dwór stanowi: na czele król, królowe, infantki, marszałkowie, a później, karły, błazny, panie dworskie i służebne. Mistrzowstwo w wykonaniu, koloryt, perspektywa światła, układ i rysunek, zastosowane do przedmiotów powszedniego życia, wytworzyła tę cechę, tę zaletę naturalizmu w Velazquezie, którą zasłynął na wsze wieki. Lubo twórczy jego talent nie potrze-

bował zewnętrznej pobudki lub ślepego naśladownictwa, jednak pewne okoliczności, o ile się zdaje, nie były bez wpływu na wysoką sztukę władania paletą.

Przypadek zrządził, że Velazquez spotkał się na dworze madryckim z Rubensem, mistrzem szkoły flamandzkiej a śmiałym, potężnym władcą w świecie jasnych barw. Sam zaś Velazquez był, jak wiadomo, synem gorącej południowej Hiszpanii, przecudnej Sewilli, tej samej, co wydała Murilla, więc posiadał wyobraźnię i wrażliwość, do której usposabia kraina nad Gwadalkwiwirem, wiecznie wiosną kwitnąca. A później jeszcze dwukrotne do Włoch podróże spokrewniły mistrza hiszpańskiego z arcydziełami Tycyana, Tintoretta, Michała Anioła; Velazquez bowiem jeździł kosztem swojego dworu. Sam z urodzenia był biedny, tylko księciu Olivares zawdzięczał swoje stanowisko przy dworze. Dwudziestotrzyletni młodzian, żonaty z córką sewilskiego swego mistrza Pacheco, dostał się w 1622 r. do króla Filipa IV i odtąd stale w tej służbie pozostawał, przechodząc rozmaite stopnie godności dworskich; w końcu został *aposentador major*, niby podkomorzym, który towarzyszył królowi podczas wszelkiej podróży. Nawet w czasie jednej z nich, dokonał swego żywota, w 1660 roku.

Podobno nosił się król Filip z myślą założenia akademii w Madrycie, wysłał więc do Włoch swojego mistrza nadwornego, który i z pierwszej wycieczki i ponownie z drugiej, odbytej 1648—1651,

odniósł niepospolite korzyści. Tycyan wiele nań wpłynął, czyli studya nad szkołą wenecką; w Neapolu poznał się bliżej ze współziomkiem swoim Ribera, który hołdował naturalizmowi znanego w tym kierunku mistrza Caravaggio. Znawcy nawet Velazqueza wyraźnie zaznaczają w jego twórczości trzy stopnie, przedzielone jedną i drugą do Włoch wycieczką.

Któryś z głębokich znawców sztuki hiszpańskiej twierdził, że z liczby sześćdziesięciu czterech płócien Velazqueza, jakie posiada galerya madrycka, połowę za arcydzieła uważać należy.

Do pierwszej epoki twórczości Velazqueza należy obraz znany dawniej pod nazwą Bachusa, dziś zaś pod mianem „Los borrachos" (wym. boraczos) czyli pijaków. Przed samym wyjazdem swoim do Włoch, w 1629 r., sprzedał królowi to malowidło, aby zasilić kieszeń na daleką wycieczkę. Mamy więc utwór pod ręką samorodny, wyrosły na gruncie twórczości samodzielnej. Już sama treść płótna nie jest bez znaczenia; ma ona przedstawiać parodyę starożytnych bachanalii, ma jednocześnie zohydzić pijaństwo. Na beczce siedzi bożek winobrania. Wieńczy go bluszczem podchmielony towarzysz. Dwaj inni biesiadnicy spoczywają obok beczki w podnieconem usposobieniu, pięciu dalszych jeszcze wosoło pije nektar boski. Scena odbywa się pod gołem niebem, na zielonej murawie.

Czy aby potrzeba wielu słów, wielu objaśnień, zrozumieć ducha czasu, nastrój umysłów, warunki moralne, jednem słowem otoczenie, wśród jakiego powstają w wyobraźni artysty przedmioty kompozycyi i jej wykonanie?

Velazquez zohydza pijaństwo. Bachus siedzi na beczce na wpół przysłonięty, obok niego towarzysze — istni wieśniacy hiszpańscy; typy miejscowe, powszednie, takie, jakie były wtedy znane. Każdy widywał takie bractwo wesołych towarzyszy. W bezmyślnych oczach biesiadników, w ich spojrzeniu płytkiem, w ich uśmiechu zwierzęcej wesołości, w ich ruchach szorstkich, ostrych, któżby się dopatrzył jakiegoś powabu!

Naturalizm Velazqueza nie wpada jednak w karykaturę. Z lubością wpatrujesz się w obraz, jako w dzieło znakomitego artysty. Nie podzielasz tej wesołości, nie zazdrościsz tego stanu, nie chciałbyś się w tej grupie znajdować, a jednak styl komiczny cię pociąga, styl męzki, jędrny. O Tymantesie kiedyś pisał Pliniusz, że posiadł sztukę malowania charakterów męskich; powiedzieć to samo można o Velazquezie. Rysunek jego taką odznacza się wiernością, że sprawia wrażenie, jak gdyby artysta podpatrzył naturę. Koloryt nieco suchy, później nabrał życia, wyrazu, nie straciwszy nic na szlachetności. Powaga i surowość moralna przeziera z całego układu obrazu. Jeśliby w tym względzie przez jakie porównanie trzeba było tę siłę, jędrność uwydatnić, to możnaby Velazqueza po-

niekąd nazwać Szekspirem... pod względem moralnym.

Podczas swej pierwszej podróży puścił się Velazquez właściwie na pole mytologii, potrącił o te przecudne kwiaty świetnej fantazyi heleńskiej. I tu także wiernym pozostał swemu usposobieniu, duchowi wieku i swojej niechęci do idealizowania. Sam przedmiot o tem świadczy. Wielkie płótno przedstawia w naturalnej wielkości osoby, działające na scenie w sprawie niemal tragi-komicznej. Do kuźni wulkana wchodzi Apolon, świetny bożek Olympu. Wulkan, olśniony blaskiem, przerywa na chwilę swoją pracę przy kowadle, przy którem mu czterech pomaga cyklopów.

Ciała cyklopów wskazują, jak tam gorąco być musiało przy tej twardej robocie. Od ciężkich młotów wytężyły się muskuły rąk. Na twarzy odbił się mozół życia. I Wulkan także jest istnym kowalem, takim, jak podobnych w niejednej można zobaczyć kuźni. Koloryt obrazu ma już więcej życia, choć zawsze odpowiada surowemu nastrojowi całości.

Podobno jeszcze kilka razy traktował Velazquez przedmioty z heleńskiej mytologii. Wymalował Wenus, Psychę, ale niestety oba te płótna, które zdobiły zwierciadłową salę pałacu królewskiego, zginęły wśród płomieni pożaru w 1734 roku. Niepodobna dziś o nich wydawać sądu, ale z tego w ogóle, co Velazquez po sobie zostawił, łatwo wyprowadzić wniosek, jak i te mytologiczne

przedmioty pod jego pędzlem zostały przedstawione.

Życie rzeczywiste, proza codzienna, ludzie tak jak chodzą, jak ich widzimy—ku temu czuł Velazquez pociąg; na tej drodze talent jego znajdował ustawiczną pobudkę ze strony króla, któremu służył, którego łaski doznawał. Portretował Filipa IV-go, jego żony, jego dzieci, marszałków, ministrów i dwór cały. Dążył do ścisłości, szukał prawdy i potrafił ją uwydatniać w rysunku psychologicznym i w akcesoryach zewnętrznych.

Jest Velazquez na dworze Filipa, czem Van-Dyck na dworze angielskim Karola I; obaj celowali w portretowaniu. Van-Dyck jednak więcej ku szlachetnemu skłaniał się idealizowaniu; Velazquez malował wiernie. Postać żywcem uchwycona, szczególniej Filip IV na koniu, ale miękkości barw brak na płótnie Velazqueza. Jest zawsze trzeźwość; tylko w tych rumakach, na których pędzi czy Małgorzata Austryaczka, czy królowa Izabela, żona Filipa IV, czy książę Olivares, widać niby rysunek o śmielszym polocie i plastykę, wychodzącą po za ramy suchej rzeczywistości. Historyk wiele skorzystać może z tych portretów. W tych szatach złotych, haftowanych, w tych czarnych aksamitach, w tych płaszczach powiewnych, białych piórach czarnych kapeluszy, w tem uzbrojeniu rynsztunku, odbija się jak w zwierciedle życie, obyczaj, moda. Dwór ten występuje w całym

swym składzie: błazny, karły, karlice, służebne i t. d.

Oto jeden z tych bufonów, których zwali po hiszpańsku *hombre de placer* (ludźmi bawiącymi). Był to błazen Filipa IV-go, znany pod nazwą *Pabillos de Valladolid*. W naturalnej stoi wielkości przed nami, rozstawił nogi, płaszcz na lewem ramieniu, fałdy w lewem trzyma ręku, a prawicę swą wyciągnął, jak gdyby chciał, gestykulując, deklamować.

A ów Ezop, typ bakałarza, w siermiędze przepasanej na biodrach, z księgą w lewym ręku: twarz gruba, wycieńczona, stępione spojrzenie. Któż tu nie dopatrzy rzeczywistości? A ów idyota, z taką prawdą nakreślony? Czyż się te postacie nie zapisują głęboko we wrażeniu, na zawsze?

Tło portretów jest zwykle proste, jednostajne, jak gdyby pośpiesznym narzucone pędzlem. Artysta tylko płótno zasłonił, aby swą barwą naturalną nie świeciło. W kolorycie umie zachować miarę; daje oświetlenie łagodne, spokojne, pełne wdzięku i harmonii.

Rozległy talent Velazqueza nie zamknął się bynajmniej w granicach pojedyńczych portretów. Jakkolwiek jego Innocenty X, znajdujący się w galeryi Doria w Rzymie, i jego hrabia Olivares mogliby mu wiekopomną zapewnić sławę — stworzył Velazquez cały szereg innych dzieł, gdzie uwydatnił wielką siłę swego rysunku. Do najznakomitszych

jego utworów należy obraz zwany *Las lanzas*, czyli poddanie się miasta Bredy. Była ta warownia niderlandzka długi czas jabłkiem niezgody. Po kilkomiesięcznem oblężeniu, zdobył ją, na czele wojsk hiszpańskich jenerał Spinola. Wyszedł na jego spotkanie obrońca twierdzy Justyn hr. Nassauski, aby mu oddać klucze warowni, ale wspaniałomyślny jenerał odsuwa je na stronę i pochlebnemi słowy darzy bohaterskiego przeciwnika. Obu dowódcom towarzyszą zbrojni walecznicy, jasnowłosi Flamandczycy, czarnowłosi Hiszpani. Cały las dzid czyli lanc sterczy po nad głowami żołnierzy. Powiedział jeden ze znawców, że to nie malowidło — ale olśnienie wzroku.

Wielkiem uznaniem cieszył się obraz i cieszy się niem i dzisiaj jeszcze, który zwą Las Meninas (damy dworskie) albo La Familia. Filip IV, wraz ze swą małżonką Maryą Austryaczką, odbija się w wielkiem zwierciedle, które mieści się na ścianie, stanowiącej tło obrazu. Na czele zaś staje przed ojcem infantka Małgorzata Marya, otoczona dwiema służebnemi. W rogu prawym dwa karły się ukazują; jeden oparł swą nogę na dużym psie, na pół uśpionym.

Byłbym zapomniał o jednej perle, która błyszczy jasnym blaskiem w tym dyademie! Są to sławne i znakomite „Prządki," („Las Hilanderas") w fabryce dywanów, dokąd przybywają dla obejrzenia wyrobów trzy panie. Układ całego malowidła i siła

potężnego kolorytu sprawiają na umyśle widza niezatarte wrażenie.

Pod koniec życia swojego, wielostronny D. Diego Velazquez de Silva tknął się i świętych przedmiotów. Owocem twórczości w tym kierunku jest między innemi wielkie płótno, przedstawiające św. Antoniego opata, który odwiedza św. Pawła, pierwszego pustelnika. Św. Paweł, złożywszy dziękczynnie ręce i wznosząc oczy ku niebu, korzy się na widok kruka, który niesie bochenek chleba w dziobie, a św. Antoni ze zdumieniem spogląda na cud, który się przed nim dzieje. Zgroza pustyni bezludnej, strasznej jak śmierć, głuchej jak głaz, przemawia wymownie do duszy, ale nie porusza jej widok obu Świętych, którzy maleją i giną niejako w obec ogromu otaczającej ich przyrody. Nie rozgrzewa tu Velazquez serca widzów; jakiś chłód wieje z obrazu: brak mu natchnienia religijnego.

Nierównie silniej chwyta za duszę „Chrystus na krzyżu." Martwe, ostygłe ciało tak od ciemnego tła odbija, że przejmuje nas dreszcz religijnego uczucia.

Wielki artysta, co stworzył szkołę madrycką, nie przekazał żadnemu ze swych uczniów tajemnicy własnych nieporównanych darów — tak osobistym, jemu właściwym, tak wyjątkowym był styl jego. Nikt nie potrafił, jak on, plastycznie rzucać na płótno figur, obdarzać ich tchnieniem poważnej szlachetności i wdzięcznej

naturalności, czem się właśnie wyróżniają jego utwory od dzieł wszystkich innych w tym rodzaju artystów. Nikt nie był w stanie, choćby najjaskrawsze kładł na paletę farby, zdobyć się na takie bogactwo tonów i na ten czarodziejski koloryt, który Velazquez wydobywał z pod swego pędzla, niekiedy za pomocą czterech barw jedynie.

VII.

Wytchnienie w parku. — El buen Retiro i inne. — Powrót do muzeum. — Posąg Murilla. — Naturalista XVI wieku Ribera. — Jego dzieła i ich charakter. — Zurbaran. — Murillo.

Wychodzimy z muzeum. Dokąd zwrócić swe kroki? Namysłu niepotrzeba długiego. Zaledwieśmy porzucili próg galeryi, już nas owiało miłe powietrze przyległych ogrodów i parków, już się rozlało przed nami istne morze zieloności przecudnych jodeł piramidalnych, rozłożystych kasztanów, bujnych akacyj, wierzb, laurów, cyprysów.

Muzeum samo graniczy z ogrodem botanicznym, a ogród botaniczny i muzeum ciągną się wzdłuż wielkich, pięciorzędowych alei, które stanowią jedyne i najpiękniejsze miejsce spaceru dla madryczan. Jeden cały bok miasta, na bardzo znacznej przestrzeni, oprawiony jest w taką rozkoszną ramę zieloną. Te długie aleje, dla pieszych oddzielne, osobne dla konnych, dla pojazdów, wyglądają jak rozległy park lub ogród. Dobrej potrzebaby godziny, żeby przebiedz od końca do końca to ulubione

miejsce przechadzek. Z powodu obszerności tych alei, zaszła nawet potrzeba nadania im nazw osobnych. Dwie krańcowe części noszą miana: jedna de las Delicias, druga de la Castellana, a środkowe obejmują działy, które się nazywają: Prado, Salon, Recoletos. Muzeum położone jest niejako w samym środku bujnej i bogatej oazy.

Jeżeli strudzony nasz umysł szuka spokojnego miejsca, żeby w samotności, zdala od zgiełku spacerujących, od wrzawy i turkotu pojazdów, wytchnąć, wypocząć i świeżych sił nabrać, przebiegnijmy czemprędzej Prado i Salon, i wstąpmy do parku przyległego, który jest niejako dalszym ciągiem cienistych alei Salonu.

Co za powabna nazwa, co za pokusa dla umysłu, który w ciszy parku, wśród orzeźwiającej woni drzew zielonych chce rozproszone zebrać wrażenia, wejść w siebie i być czas jakiś z sobą. El buen Retiro! Piękna ustroń! Tak się właśnie park nazywa, do którego zmierzamy. Gdyby to wieczorna była pora, zapewneby się tu roiły tłumy publiczności, dźwięczałyby tony wesołej muzyki koncertowej, gazowe płomienie współzawodniczyłyby z blaskiem gwiazd, księżyców i słońca; ale teraz, tej południowej lub popołudniowej porze, zalega wszędzie cisza grobowa. Samotne, sklepione, a ciemne niemal aleje, złożone z wiązów i kasztanów poważnych, sprawiają wrażenie jakby posępnych krużganków klasztornych. Łatwo tu wyszukać taką pustelniczą ustroń, łatwo pod osłoną zielonych konarów znaleść wytchnienie, wśród południowego skwaru

jesiennego, lub dać miły wypoczynek oku na łagodnem tle liści drzewnych, albo na kobiercu sąsiednich trawników. Często tu biegnę z muzeum i zawsze spojrzenie moje pada na te zielone ściany, na te stropy nieprzejrzyste, przez które gdzieniegdzie, miejscami tylko, ukazują się jakby odłamy niebieskiego lazuru.

Kto przenosi nad samotność ożywienie, ruch, życie, jak ono pulsuje w tych aleach, gdzie się kończą większe ulice: jak Alcala, San Geronimo i in., niech idzie do Salonu lub Prado. Tu o pewnej porze dnia, pod wieczór lub wieczorem roi się, jak w ulu. Istne mrowisko, niby główna alea Saskiego ogrodu w niedzielę w południowej godzinie. Wszystko, co ma najpiękniejszego Madryt, tu przybywa: mantyllowe postacie, złota młodzież, konna kawalerya, pojazdowi bogacze. Prawdziwy „lasek buloński" albo, jeśli chcecie, alea Ujazdowska. Do najpowabniejszych osób należą tu, oprócz żywych bogiń, i boginie kamienne. Z liczby kilku wodotrysków, rozrzuconych tu i owdzie na całej przestrzeni alei, do najpiękniejszych należą dwie: Cybeli i Neptuna.

Obie sprawiają nadzwyczaj miłe wrażenie. Są to dzieła obmyślane i wykonane z wielkim smakiem artystycznym. Pod względem okazałości i teatralnego efektu, niemasz innych w ogóle pomników rzeźby lub dzieł z bronzu albo kamienia nadobniejszych nad Cybelę i Neptuna.

Na wielkim wozie siedzi majestatycznie na tronie bogini lasów i pól, jako matka przyrody, Cybele, ciągniona przez dwa lwy. Z przodu wozu wspaniałym łukiem tryskają strumienie kryształowej wody, sięgające daleko po za lwy, tak, iż groźne zwierzęta pustyń afrykańskich ciągną rydwan bogini niejako pod różnobarwną tęczą fantastycznej kaskady. Zielony trawnik, bujne krzewy otaczają całą fontannę, zamkniętą niewielkiem żelaznem okoleniem. Biały marmur żywego pomnika wśród żywych strumieni wody, na zielonem tle drzew otaczających, nadzwyczaj upiększa, ożywia całą aleę.

Niemniej piękną dekoracyę stanowi wodotrysk Neptuna, nieco dalej ku galeryi obrazów umieszczony. Na rydwanie o dwu kołach, który przedstawia wywiniętą nazewnątrz konchę morską o misternych bardzo fałdach, stoi bożek morskiego królestwa w naturalnej wielkości. Prawe ramię otoczyły kłęby i zwoje żmii, w lewym ręku trzyma Neptun godło swojej władzy — trójzębną laskę. Rydwan ciągną dwa wiatronogie rumaki, które widać w połowie tylko, jak gdyby z toni wodnej wydostawały się na wierzch fal morskich. Przed niemi rzucają się w górę i znów spadają do przyległego kolistego zbiornika strumienie wody. Jest to efektowne, pełne gracyi, lekkości, i oko z lubością wpatruje się w miły kontrast białego marmuru, który tak pięknie odbija od gęstwiny liści i drzew zielonych.

Można tu godzinami całemi patrzeć na fale spacerujących, na kalejdoskop, zmieniający się co chwila, twarzy, postaci, ubiorów. Ale wróćmy po tem wytchnieniu chwilowem do przybytku sztuki. Zbliżamy się znów do progów tej świątyni malarstwa, do tego panteonu wielkości artystycznych całego świata. Nim otworzymy jej podwoje, przesunąć się musimy obok pomnika jednego z największych mistrzów, jakich zna w ogóle historya malarstwa, obok posągu Murilla. Na wielkim, wyniosłym piedestale bronzowym wznosi się posąg Murilla naturalnej wielkości. Genialny malarz jest tu przedstawiony w kwiecie swego wieku, kiedy talent jego stanął u najwyższego szczytu. Jego czoło, jeszcze dość młode, świeci pogodą wielkiego natchnienia. Nie widać tu śladu tych trosk późniejszych, które, jak wiadomo, zasępiły wesołe jego spojrzenie i niby mgła osiadły na jasnem obliczu mistrza. Z całego pomnika przeziera prostota. Na jednej stronie piedestału ukazuje się skromny napis: „Murillo," na tle palety malarskiej, ujętej w dwie gałązki lauru. Piękne i miłe wrażenie sprawia ten posąg bronzowy. Tak właściwie stoi on tu na swem miejscu! Takiem jest żywem przypomnieniem dla tych, co mają przestąpić progi świątyni malarstwa. Czemu Velazquez nie doczekał się dotąd podobnego dowodu czci i pamięci? Velazquez, który lubo nie stanął na tym samym szczeblu, co Murillo, jednak w Madrycie był niewątpliwie królem naturalistów, stworzył szkołę i zapisał niezatartemi zgłoskami swe imię w rocznikach sztuki? Może i na niego czas przyjdzie. A ileż to

lat czekał Murillo na spiżowy hołd ze strony swego narodu!

Wstępujemy do przybytku ze słodkiem mianem sewilańskiego mistrza na ustach. Chcemy stanąć przed jego płótnem, tem lub innem arcydziełem, żeby pokłon oddać natchnionemu artyście. Od niego właściwie zacząć należało wędrówkę naszą w galeryi. A jednak i teraz jeszcze wstrzymamy nasze kroki. Zachowajmy Murilla na sam koniec, upieśćmy się jego pięknemi utworami, gdy przejdziemy już po drabinie niższych mistrzów, aby na ostatnim stanąwszy szczeblu, z Murillem w podobłoczne wzbić się strefy — ideału religijnego.

Pozostańmy jeszcze na ziemi, w szkole naturalistów hiszpańskich. Oto przed nami Ribera i Zurbaran. Obaj są dziećmi XVII-go stulecia, są niemal rówieśnikami Velazqueza i Murilla.

Wprawdzie ktoś zauważyć może, że Ribera nie należy do hiszpańskiej szkoły, że jest uczniem neapolitańskiego mistrza Caravaggio, że w Neapolu mieszkał, pracował i pod pięknem niebem włoskiem żywota dokonał. Ale z tem wszystkiem możemy go słusznie policzyć do rzędu tych, którzy sztukę hiszpańską XVII-go wieku podnieśli i ozdobą Hiszpanii być nie przestali. Ribera pochodził z Walencyi, był Hiszpanem, skoro go sami Włosi nazywali Spagnoletto. A postawę miał niewielką, drobną, więc go też ochrzcili takim pieszczotliwym przydomkiem.

Ribera wprawdzie nie porzucał Neapolu, raz w nim osiadłszy na stałe, cieszył się jednak ciągłą protekcyą dworu madryckiego bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przez wice-królów mianowanych w Neapolu z ramienia monarchów hiszpańskich, pracował dla wielu klasztorów na półwyspie pyrenejskim. Ribera więc jest synem Hiszpanii, jej sławą i ozdobą.

Wraz z Velazquezem i Zurbaranem stanowią trójkę w szkole naturalistów. Velazquez stanął niejako samodzielniej, w Riberze dostrzegać się daje silny wpływ szkoły włoskiej. Dużo jest między nimi wspólności. Velazquez i Ribera są nieraz podobni do siebie w swych utworach, a jednak obaj są tak indywidualni, że niepotrzeba zbyt głębokich studyów, aby na pierwszy rzut oka odróżnić jednego od drugiego.

Jeśli Velazquez żyje na dworze wśród otoczenia królów, dworzan, złotego haftu, klejnotów i strojów dworskich, które potrafił oddawać na płótnie z taką prawdą szczerą a głęboką, to Ribera w innem obraca się otoczeniu. Nie tyle sam osobiście — ile jego utwory. Ribera niemal po większej części odtwarza świat zgrozy, męki, cierpień, świat ascetyzmu, wielkich wysiłków ciała i ducha. Kiedy Velazquez przedstawia życie na płótnie, tak jak się ono uzewnętrznia w tej lub innej postaci, pojętej żywo, prawdziwie, schwytane na gorącym uczynku, Ribera nie zna tej równowagi trzeźwego umysłu i nie kocha się w tej średniej postaci, w tem średniem wyrażeniu typów dnia powszedniego. Jeśli Velazquez

przypomina niekiedy Szekspira pod względem swego usposobienia, i swego humoru — to Ribera przywodzi mimowoli na pamięć greckiego tragika Eschylosa.

Ribera jest nawskróś tragicznym, a w swej tragice nadludzkim, wzruszającym aż do głębi serca, przenikającym aż do szpiku kości. Ma styl wielki, podniosły, przemawia grozą straszną, jak bohaterowie w chwilach ciężkiej walki wewnętrznej. Zwykle uosabia tę grozę w postaci jednego męczennika, anachorety lub ascetyka. Nie rozprasza uwagi swojej i widza, ale ją w jednem skupia miejscu. I wtedy wykracza z obrębu powszedniości, wstępuje w progi życia wyjątkowego tych charakterów, tych wielkich ludzi, którzy się poświęcają dla wyższej idei, znosząc spokojnie męki i katusze zadawane ciału.

Jaką straszną grozą tchnie jedno z płócien, najwydatniejszych pod względem kolorytu: Prometeusz przykuty do skały na szczycie Kaukazu. Żelazne pierścienie trzymają ręce na uwięzi i nogi również spętane. Tylko twarz pochylona, włosy spadające ku ziemi i wyraz męczarni, uwydatniony w obliczu, świadczą o niewysłowionym bólu, jaki sprawia sęp, szarpiący wnętrzności z lewego boku. Wszystko to w rozmiarach kolosalnych. Dłonie jak u wielkoluda olbrzymie, może nawet nieco za wielkie w stosunku do całego ciała. Treść sama przez się wzrusza do głębi — przeraża, może wreszcie nawet odraża, ale koloryt zniewala oko i przykuwa je do płótna, do obrazu. Ciemne, niamal czarne, lśniące tło sprawia,

że ciało nagiego Prometeusza jeszcze silniej uderza, jeszcze wyraźniej występuje i wśród kontrastu światłocienia uwagę kieruje ku wysiłkom, jakie czyni zuchwały bohater, co światło z nieba na ziemię sprowadził.

Ixion bajeczny, skazany podobnież na straszne męki, wstrząsa nasze jestestwo widokiem swych cierpień.

Najszerzej roztacza się talent grozy dramatycznej Ribery w świecie męczeństwa chrześcijańskiego. Czy to będzie Święty, którego na męki i katusze skazują poganie, prowadzą oprawcy, czy to będzie surowy ascetyk, który sam poddaje dobrowolnie ciało swe umartwieniom, Ribera doprowadza wyrażenie bólu, tryumfu do ostatecznej granicy. Całe szeregi Świętych, a zawsze oddzielnie, przedstawiają nam jego płótna, to św. Sebastyana, to św. Pawła, św. Bartłomieja, Augustyna, Hieronima i innych.

Zawsze i wszędzie Ribera na czarnam tle rozwija swoje pomysły. Ponure, pełne grozy jest otoczenie, a postać sama przeraża, przejmuje nagością ciała wyschłego, wymęczonego, krwią blizny lub wyrazem nadchodzącej śmierci. Św. Paweł, pierwszy pustelnik, modli się w swej pieczarze, ma czaszkę ludzką przed sobą, w którą się wpatruje, jako w obraz swój najbliższy. Wychudłe ciało, oczy zapadłe, powłoka cielesna, zupełnie niemal zniszczona, przedstawia straszny obraz nędzy. A na innem płótnie — głowa starca, już pozbawiona wło-

sów, siwa a poważna broda, zmarszczki na twarzy jak krwawe bruzdy, piersi obnażone, świecące niemal nagością kości — są to rysy z życia nadziemskiego, z życia, które wychodzi po za granice powszednie, codzienne, i dlatego może mniej sprawiają wrażenia. Ratuje je głównie efektowny światłocień.

Znakomity rysunek Ribery wprawia widza w podziw niezmierny. Głowy i brody starców celują mistrzowskiem wykończeniem. Jest w nich zawsze taka wybitna indywidualność, taki charakter wyraźny, że zdaje nam się, iż to jedna z tych głów, które znamy, któreśmy widzieli wczoraj... dziś, w przytułku starców, w szpitalu lub pod kościołem. Już to, co dotyczy postawy ludzkiej, składowych jej części, przyznać trzeba, że Ribera dał dowody w każdem prawie płótnie, jakim był znakomitym znawcą anatomii.

Szczytem jego męczeńskich kompozycyj jest niewątpliwie śmierć św. Bartłomieja, albo raczej przygotowanie do katuszy. Obraz wielki, wymiary naturalne. Wrażenie potężne. Wyjątkowo tło jaśniejsze, niemal zupełnie jasne, jak spojrzenie pogodne bohatera chrześcijańskiego.

Oddajmy hołd rysunkowi, uwielbiajmy koloryt — uznajmy prawdę wziętą ze scen wyjątkowych życia, wielkich, podniosłych, tragicznych, a uczyniwszy, co słuszność i sprawiedliwość nakazuje — zapytajmy siebie samych: czy Ribera podniesie, rozgrzeje, porwie? Czy widz uczuje się lepszym,

szlachetniejszym, czy się potrafi wzbić na ten wysoki stopień, aby zazdrościć męczennikom siły moralnej?

Wątpię. Zgroza pozostaje zgrozą. Zimny podziw—podziwem. Serce jednak nie zabije, dusza nie wzniesie się ku modlitwie, nie zatęskni ku tym ideałom, którym brak jasnej, promiennej aureoli tryumfu już odniesionego, a zasłoniętego przed wzrokiem widza męczeństwa.

Są jeszcze w galeryi inne płótna, które nam przedstawiają Riberę mniej surowym, ascetycznym, groźnym. Ale w ogóle znajdujemy ich bardzo mało. Sen Jakóba jest istotnie obrazem, który chwyta za serce miłą harmonią światła i linij, lecz również tchnie chłodem. Podobno do najudatniejszych dzieł religijnych Ribery należy obraz Niepokalanego Poczęcia, obraz, który się znajduje w Salamance w klasztorze zakonnic reguły św. Augustyna. Ma to być jeden z obrazów podnioślejszych, natchniony, owiany ciepłem religijnem, ogrzany miłością ludzką, chrześcijańską, współzawodniczący z mistycznym Murillem.

Inny obraz podobnej treści posiada w Madrycie kościół św. Izabelli, należący również do mniszek tejże reguły, obraz, w którym więcej niż w energicznem światłocieniu Caravaggia, panuje miłe, łagodne powietrze, światło rozlane, srebrzyste Correggia. Podanie niesie, że Ribera brał wzór do Najświętszej Panny z córki swej Maryi-Róży, która zakrwawiła ojcu ostatnie lata życia.

Jakkolwiek więc Ribera tworzył znakomite dzieła natchnione wyższą miłością religijną, jakkolwiek niekiedy miłą, przyjemną pogodę duszy wylewał na swe płótno, jednak ponure przedmioty dramatyczne, groza, bóle i męki, wysiłki, mozoły życia były zawsze, o ile się zdaje, najulubieńszym kształtem jego artystycznych pomysłów.

Od Ribery do Zurbarana krok niewielki. Wprawdzie oddziela ich miejsce: jeden pracował w Neapolu, drugi w Sewilii, obaj atoli są synami jednej i tej samej krainy, dziećmi tego samego wieku, wyobrazicielami podobnych dążności, są nadto spokrewnieni między sobą duchem. Jak Ribera żyje w świecie idei męczeńskiej, katuszy, ascetyzmu, tak i Zurbaran trzyma się życia surowego, życia oddanego pokucie, modlitwie, rozpamiętywaniom. Obaj stoją na gruncie rzeczywistości. Prawda życiowa bije jaskrawo z ich płócien. W galeryi właściwie jeden tylko obraz Zurbarana, przedstawiający widzenie św. Piotra Nolasco, może dać pojęcie o jego talencie. Wzmiankowany zakonnik, w białej sukni klasztornej, założyciel nowej reguły hiszpańskiej de la Merced, klęcząc, widzi we śnie anioła, który prawą ręką wskazuje Świętemu Jeruzalem niebieskie, wychylające się z po za obłoków. W akademii zaś de San Fernando znajdują się jeszcze cztery płótna, które przedstawiają zakonników Kartuzów. Są to istne portrety, tak wybornie, tak znakomicie w nich się odbija życie wśród postów, modlitwy i umartwień ciała. Tło jest poważne, odpowiada

nastrojowi malowidła. Technika w fałdowaniu sukni zakonnej jest szczytem doskonałości. Prawdziwe złudzenie optyczne. Możnaby przypuścić, że Zurbaran siebie samego przedstawił w postaci jednego z tych wychudłych, bladych, znikomych, jak cień mnichów, którzy już nawpół królują w niebie, a tu na ziemi tylko jeszcze na sobie mają nędzną powłokę ciała. Jednak wiadomo nam, że Zurbaran znał tylko o tyle klauzurę, o ile sam dobrowolnie spędzał w celach klasztornych czas, poświęcony pracy malarskiej dla różnych zakonów.

Najjaśniejszą gwiazdą na niebie malarstwa hiszpańskiego jest Murillo.

Słusznie ktoś powiedział, że Murillo byłby tyle głośnym, tyle sławionym i wielbionym, jak Rafael, gdyby więcej był znanym. Jakto? — zapyta zdumiony czytelnik — a w którymże zakątku Europy nie rozległo się echem donośnem imię wielkiego artysty? w którejże stolicy, w której galeryi niemasz utworów jego pędzla?

Niewątpliwie, Murillo jest znany, choćby nawet w tysiącznych kopiach, które rozchodzą się po całym świecie katolickim. Ale największe jego arcydzieła pozostały aż dotąd albo w rodzinnem jego mieście, w rozkosznej Sewilli, albo w stołecznym grodzie Hiszpanii, w Madrycie. A bądź co bądź, takich mistrzów pędzla, takich kolorystów żaden naśladowca nie będzie umiał oddać w tych delikatnych odcieniach światła, tonów, które właściwe są tylko genialnym artystom.

Sewilla posiada największe bogactwo religijnych obrazów Murilla. Po Sewilli idzie Madryt. Jest ich tu około sześćdziesięciu. Kiedym poznał pierwsze dwa arcydzieła tego mistrza w Akademii de San Fernando, uczułem radość niewysłowioną, żem mógł raz w życiu widzieć, podziwiać i wielbić Murilla. A już szczęście niemal wydało mi się bez granic, kiedy w galeryi roztoczył się przed zdumionem okiem cały blask świetnego talentu, cała siła wysokiego natchnienia i cała głębia niezmierzonego uczucia religijnego w nieskończonym szeregu również mistrzowskich utworów.

Murillo (wym. Murilio) ma wiele wspólnego z mistrzami swojego wieku i swojego kraju. I on także jak Velazquez, Ribera i Zurbaran trzymał się gruntu rzeczywistości i poniekąd należy do szkoły naturalistów; ale jakżeż wysoko wzbił się po nad wszystkich razem, jak szczęśliwie połączywszy ich oddzielne właściwości, zajaśniał jeszcze swojemi indywidualnemi.

Żaden z jego współziomków nie był tak bogato wyposażony przez naturę jak Murillo, żaden na tylu polach i nieraz tak różnych nie pracował, jak on z takiem powodzeniem. A obok tej różnorodności przedmiotów biblijnych, świętych i świeckich, jaka obfitość, jaka płodność! Chyba pod względem bujnego plonu, jaki pozostawił po sobie Murillo, można go porównać tylko z również płodnym umysłem, jakim był w innej dziedzinie Lope de Vega. Nazywają Murilla niekiedy *pintor del cielo* albo *pintor de las Concepciones*, malarzem niebios, a przede-

wszystkiem malarzem Niepokalanie Poczętej Dziewicy. Istotnie otwierał on nieraz podobłoczne niebo i uchylał zasłony świata wiecznej szczęśliwości, malował Przenajświętszą Pannę w właściwy sobie a natchniony sposób. Murillo ogarnął tak szerokie dziedziny w swej twórczości artystycznej, że objął niemal cały świat religijny. Przynajmniej to jest pewnem, że się w jego wielostronnych pracach odbił nastrój powszechny w dziedzinie religijnej, dążności, usposobienia czasu, wieku i społeczeństwa. On malarstwo religijne wyprowadził na inne tory i otworzył szersze dla niego horyzonty. On podniósł człowieka, naturę ludzką, pojął ją wyżej, uzacnił, uszlachetnił i nimbem świętości otoczył. Jego Święci, jego zakonnicy, którzy na skrzydłach gorącej modlitwy wzbijają się pod niebo, a w ich ramionach spływa Chrystus Dziecię, lub ukazuje się w gloryi niebieskiej Przenajświętsza Panna, nie sąż tego oczywistym dowodem?

W Madrycie niemasz wszystkich arcydzieł mistrza. Trudno o całym zakresie jego działalności artystycznej sąd wydawać. Można do ogólnych dojść wniosków tylko z tego, co się tu widziało. W Sewilli dopowiemy reszty.

W akademii San Fernando są dwie perły w rzędzie kilkunastu innych płócien, które w pomienionym wyżej charakterze utworów Murilla stanowią najwymowniejsze objaśnienie.

Jeden z tych utworów składa się z dwóch płócien: *Vision del patricio romano* i *Presentacion al papa*

Stanowią one całość, do siebie należną, obok siebie też wiszą, tak jak niegdyś były umieszczone w kościele, dla którego je malował Murillo. Artysta rzucił na płótno piękną poetyczną legendę o zbudowaniu kościoła S-ta Maria Maggiore w Rzymie. Patrycyusz rzymski Liboryusz pogrążony we śnie, w pełnym i bogatym swym stroju; u stóp patrycyusza żona podobnież w miłym wypoczynku szuka pokrzepienia sił swoich. Noc ciemna rozpościera swe skrzydła, a sen głęboki, spokojny rozlał się w około— nawet ten mały piesek u stóp żony patrycyusza uległ ciszy nocnej. W górze, z przeciwległej strony obrazu, ukazuje się Matka Boska z Chrystusem na ręku. Oboje małżonkowie mają to senne, nocne widzenie.

Drugi wielki obraz, obok zawieszony, tłumaczy, jakie było to widzenie. Na głównem tle malowidła ukazuje się na tronie sędziwy papież, przed którym Liboryusz wraz z żoną opowiada swe widzenie i zanosi prośbę o pozwolenie zbudowania kościoła na cześć Przenajświętszej Panny. Tymczasem już w dali, w drugiej stronie obrazu, na wzgórzu stanął wspaniały kościół i tłumy ludu dążą na modlitwę procesyonalnie. W obłokach ukazuje się postać Najświętszej Matki z Chrystusem na ręku.

Układ barw i światłocieni sprawiają w jednym i drugim obrazie istnie czarowne wrażenie. Niewysłowiony urok zawarł się w tym kolorycie mistrzowskim, w tych delikatnych, subtelnych pociągnięciach

pędzla. Co za potęga w oddaniu nocy, posuniętem do niepojętego złudzenia! Posępne cienie nocnego zmroku rozpostarły się w około i sen głęboki w swe słodkie objęcia ujął patrycyusza, żonę i małego pieska. Zniknęły jasne barwy światła dziennego, cisza i spokój królują, jakaś błogość rozlana w około. Nic oka nie razi, żaden szczegół nie zdradza efektu istnie szczęśliwego snu i panującej dokoła nocy. I z po za gęstego zmroku czarnych godzin pewnie by widać nie było błogiego wyrazu małżonków marzących o rzeczach świętych, o rzeczach wzniosłych, gdyby nie ta przecudna, łagodna, niebieska jasność, która z po za obłoków gloryi przebija, kiedy na wysokościach ukazuje się postać Przenajświętszej Matki z Chrystusem na ręku. Tam w górze, gdzie króluje niebios Królowa, roztacza się ta złotopromienna pogoda, która nie świeci jaskrawem światłem słońca, ale tym łagodnym blaskiem porannej zorzy, przedświtu, który wyprzedza na czas jakiś ukazanie się wielkiej gwiazdy dziennej na niebie. Tam, w górze, ukazuje się Przeczysta Marya w białych szatach, otulona w błękitną, powiewną chustę, która odbija w sobie jakby nieskalany lazur przestworów niebieskich. To przeciwieństwo dwóch światów, ten kontrast ciemnej nocy, ponurych, posępnych cieniów, w których tonie jedna część obrazu, a z drugiej strony ta łagodna jasność, której promienie spływają na twarz uśpionego patrycyusza i jego żony, uwydatniają prawdę w tak wymowny sposób, że się widz wstrzymać nie może od głośnego słowa swego zachwytu. W duszy budzi się

to samo błogie uczucie szczęśliwości, której doznaje patrycyusz, który widzi we śnie Królowę niebios, i mniemasz, że ten sam nastrój religijny podnosi cię do sfer nadziemskich. Zdaje mi się, że Murilla nikt nie prześcignął, nikt nie dorównał w tej potędze uwydatniania z takim niewysłowionym czarem kontrastów światła i cieniów, ziemskiego zmroku z jasnością niebiańską. On też jeden jest tak szczęśliwy, że umie w cudowny sposób łączyć żywioły: ziemski z zaziemskim, że potrafi przedmioty ze świata codziennego, rzeczywistego otoczyć powietrzem idealizmu i tchnąć w nie podniosłego ducha. Ileż poetycznego uroku jest w tej Przenajświętszej postaci Matki naszego Zbawiciela, która w obłokach ukazuje się istocie ziemskiej, aby ją podnieść, uszlachetnić, pobudzić do wzniosłych uczuć; ile w tem anielskiej łagodności, porywającej słodyczy, której pióro nie odda, a którą ocenić tylko potrafi oko widza, nie obojętnego na piękno religijne.

I drugi obraz, drugie płótno posiada, lubo w nieco mniejszym stopniu, tę potęgę czarowną kolorytu, tę siłę niepojętą, która za serce chwyta, oko zniewala i duszę podbija. Do podniesienia uroku artystycznego jeszcze jedna przyczynia się okoliczność, że oba obrazy są przedstawione na płótnie w półkolistym kształcie, odznaczonym niby ramy sztuczne, choć ramy prawdziwe są zwykłe, prostokątne.

Na tym samym stopniu mistrzowstwa pod względem kolorytu stoi inny obraz Murilla, znany

pod nazwą *Santa Isabel curando al tinoso;* ale co do treści, jej wystawienia, ugrupowania osób i perspektywy, wznosi się niewątpliwie o jeden szczebel wyżej. Miłosierdzie chrześcijańskie, zdolne do najszczytniejszych poświęceń, stanowi treść, osnowę. Królewna węgierska, nie zaś królowa, jak ją błędnie tu nazywają, św. Elżbieta, córka Andrzeja, a żona Ludwika landgrafa hesko-turyńskiego, opatruje trędowatych. Jest ona córką tego wieku, kiedy tyle niewiast z królewskich rodów poświęciło się dobrowolnemu ubóstwu, licznym czynom miłosierdzia i zajaśniało światłem świętości: św. Jadwiga szlązka, św. Kinga węgierska, św. Salomea z rodu Piastów i inne. O św. Elżbiecie pozostało wiele pięknych wspomnień, o jej poświęceniu dla ubogich i chorych, o jej tkliwem sercu i zaparciu się prawdziwie chrześcijańskiem. Murillo przedstawia scenę, kiedy się landgrafini Elżbieta znajduje w gronie nieszczęśliwych trędowatych. Otoczyło ją kilku w łachmanach starców, kobiet opuszczonych: jednemu z chłopców obmywa królewna głowę skrwawioną. I tu także dwa spotykają się światy, które tak od siebie odbijają silnie: świat nieszczęść, zaniedbania, łachmany, choroby, nagość ciała, a z drugiej strony blask istnie królewski, anielski, ale nie ten blask światowy, nie ten przepych zewnętrzny, którego unikała św. Elżbieta, lecz jej królewska szlachetna dusza, jej wzniosłe poświęcenie. Ten pierwszy świat, który na przedniem miejscu się ukazuje, występuje z całą prawdą smutnej rzeczywistości. I byłby on

groźny, wstrętny, odpychający, gdyby nań nie padał przecudny promień jasnej duszy wzniosłego poświęcenia, które z oczu Świętej przeziera. Ribera byłby na ciałach starców uwydatnił piętna i ślady trądu. Murillo umiał biedę i nędzę wystawić w taki sposób nie odrażający, że więcej widz podziwia poświęcenie królewny, jej dobroć niewysłowioną, jej anielską duszę, niż się przejmuje zgrozą przykrej rzeczywistości. Ribera byłby skruszył serca widzów obrazem cierpień, strasznego opuszczenia, byłby podziałał, jak działa sztylet utkwiony w piersi, a Murillo wyprowadził na jaw łachmany i ślady choroby nie dla tego, żeby wywołać zgrozę, przerażać, skruszyć, ale przeciwnie, żeby podnieść, uszlachetnić duszę człowieka, zachęcić do czynów podobnych, żeby opromienić świętą jasnością wielkie czyny miłosierdzia chrześcijańskiego. Ribera wprowadza do duszy widza jakiś niepokój, zakłóca jej harmonię i niekiedy tylko wskazuje tryumf idei, aby duszę uspokoić; Murillo porusza, ale i godzi, Murillo tchnie słodyczą, łagodnością, i miłość między ludźmi kładzie jako podstawę czynów, jako spójnię jedyną między nimi.

W akademii San Fernando, z pomiędzy kilku płócien, dwa wzmiankowane głównie zwracają na siebie uwagę; w galeryi zaś nieprzebrane bogactwo, blask olśniewający. Prawdziwy kłopot dla widza, który zrazu porwany pięknością pierwszego z brzegu arcydzieła, nie wie, czy ma dalej iść podziwiać i wielbić, czy też rozpływać się w zachwycie nad tem, co ma bezpośrednio przed sobą. Trudno po

szczególe zdawać sprawę o wszystkich. Jest tu około pięćdziesięciu płócien, na których czele jaśnieje imię Murilla. Niemal wszystkie pod względem swej treści należą do zakresu religijnego. Obrazy świeckie, które przedstawiają ulicznków, żebraków, wieśniaków, prządki, rozproszone są po świecie i w różnych europejskich znajdują się muzeach; tu zaś panują niemal wyłącznie przedmioty święte: pustelnicy, apostołowie, męczennicy, sceny z życia domowego Przenajświętszej Rodziny i Niepokalanie Poczęła Dziewica.

Zasłynął Murillo jako niezrównany artysta w oddawaniu obrazu pożycia rodzinnego, w oddawaniu tych scen domowych, rodzicielskich św. Józefa i Matki Boskiej, oraz niewinnego chłopczyny boskiego, Jezusa. Kilka malowideł w tym przedmiocie porywające sprawia wrażenie. Mistrzowstwo rysunku, układu i wyrazu przebyło tu próbę znakomitą. Przedmiot wzięty z życia powszedniego przedstawia chwilę, która sama przez się nie jest ani świętą, ani wzniosłą. Weźmy obraz znany pod nazwą *Sacra Familia del Pajarito*—Dziecię-Chrystus, bawiące się z maleńkim pieskiem ku wielkiej uciesze św. Józefa i Matki Boskiej. Albo inny podobny wizerunek, przytaczany zwykle pod mianem: *Los ninos de la concha*... Chrystus jako chłopczyk czerpie wodę ze źródła i podaje ją w miseczce św. Janowi, podobnież chłopczynie. Baranek obok na pierwszym planie podnosi głowę i patrzy z lubem zdziwieniem na tę idyliczną scenę. Jakże to trudno przedmiot powszedni utrzymać na wysokości nastroju religijnego, a jak

łatwo sprofanować osoby święte w otoczeniu życia codziennego! Murillo potrafił tak zwycięzko zapanować nad trudnością, rzeczywistość otoczył takim nimbem, rozlał tyle świętości, że uczucia religijnego nie obraził, nie dotknął. Przeciwnie, łagodnym swym pędzlem tak umiał je upieścić, tak potrafił żywioł duchowy, niebiański połączyć z ziemskim i taką błogość tchnąć w swe obrazy ze scen domowych Przenajświętszej Rodziny lub młodzieńczego życia Chrystusa, że wpatrujesz się w nie długo i długo oczu oderwać nie możesz.

Ale stańmy nareszcie przed Niepokalanem Poczęciem. Nigdzie uczucie religijne Murilla nie wzbiło się tak wysoko, jak w przedstawieniu tej wielkiej tajemnicy. Śmiały lot fantazyi o skrzydłach orlich sięgnął aż pod niebiosa. Najświętsza Panna, stojąc na półksiężycu w podobłocznych sferach, otoczona gronem cherubinów, wznosi ku niebu, skąd spływa blask złotych promieni, swe oczy pełne słodyczy, szczęścia i niebiańskiej lubości. *La Inmaculada* natchnęła artystę genialną myślą wystawienia niewysłowionej tajemnicy w sposób dotychczas niewidziany. Nigdy w postaci ludzkiej nikt nie potrafił uwydatnić tak delikatnie, tak subtelnie przeczystej duszy, niewinnej i świętej, wolnej od ułomności pierworodnej, z którą na świat przychodzi każde ludzkie jestestwo; nigdy nikt nie zdołał tak odzwierciedlić serca niepokalanego, które nie zna żadnej zmazy, żadnej plamy — jak Murillo, któremu też nadano wyłącznie miano malarza *de las concepciones*. Jakże eterycznie wygląda Przeczysta Dziewica, jak

przecudnie przeziera duchowość przez lekką powłokę ciała, które w swych idealnych kształtach odbija idealnie piękną duszę. A cherubinów główki, które otaczają Niepokalanie Poczętą, jakżeż misternie malują nam świat dziecięcej niewinności i prostoty, jakżeż harmonizują z podniosłym tonem kompozycyi! Cały świat katolicki zna te wielkie i niepożyte przez czas i wieki kreacye. Pozostaną one na zawsze jako najwyższy, najszczytniejszy wyraz ideałów religijnych, jakie tylko zrodzić się mogą w duszy, ożywionej głęboką wiarą a podniesionej uczuciem czci i uwielbienia dla świętości.

VIII.

Ostatni przedstawiciele świetnego malarstwa w XVII go wieku. — Mazo i Coello.—Ich charakterystyka. — Upadek sztuki w XVIII-go wieku. — Nowa zorza odrodzenia w utworach Goyi. — Jego płótna i właściwość jego pędzla. — Rosales i Fortuny. — Współczesna sztuka. — Arcydzieła sztuki europejskiej w galeryi.

Tak bujnie pokryła się plonem niwa artystyczna Hiszpanii w XVII-ym i takie bogate żniwo wydało owo stulecie, że Velazquez, Ribera, Zurbaran i Murillo bynajmniej nie są jedynymi przedstawicielami ożywionej działalności w dziedzinie piękna malarskiego. Obok nich, wraz z nimi albo tuż po nich ukazują się jeszcze zastępy *minorum gentium* artystów, którzy utworami swej palety zapełniają kościoły, klasztory i zamki całej Hiszpanii. Są ich płótna także w galeryi, nie brak ich w zbiorach prywatnych; ściany salonów ministeryalnych, korytarze i przedpokoje pokryte są niemi. Różna bywa ich wartość. Naśladowano mistrzów nie w jednaki sposób i nie zawsze dość szczęśliwie. Velazquez i Murillo stworzyli bezwątpienia szeregi uczniów, ale ża-

den z nich nie odziedziczył całej spuścizny wielkich zdolności swych poprzedników.

Z grona mnogich naśladowców lub rówieśników, którzy ukazują się prawie jednocześnie z pierwszorzędnemi gwiazdami, wyróżnimy tu jeszcze dwóch tylko, co się przyczynić mogą do scharakteryzowania sztuki hiszpańskiej w XVII wieku. Jest to Mazo i Coello. Pierwszy z nich ukazuje się w bardzo licznych swych utworach niemal najlepszych. Można go tu łatwo przestudyować i dać rys jego działalności, jego talentu. Mazo jest zięciem Velazqueza, jest jego uczniem i zarazem naśladowcą. Po swoim mistrzu wziął w spadku piękny, czysty i staranny rysunek i mocną intonacyę. W oddzielnym jednak rodzaju uwydatnił właściwość swojego pędzla. Mazo jest głównie pejzażystą i uprawia tę niwę, która leżała jeszcze odłogiem. Cały szereg jego płócien przedstawia różne krajobrazy — górzyste nadmorskie okolice, na których rozwija się jakaś scena mitologiczna. Nie brak pięknego kolorytu, ale styl cały zimny przypomina nieco pseudoklasyczne kompozycye Dugheta i innych jego naśladowców.

Prawdziwym popisem pędzla stało się jedno płótno, stojące wyżej po nad wszystkie inne tegoż artysty: jest to widok miasta Saragosy (Vista de Zaragoza). Obraz był malowany na zamówienie syna królewskiego Filipa IV—Baltazara, który wskazał artyście nawet miejsce, skąd miał być zdjęty widok grodu starego nad Ebrem. Była to sala zawalonego klasztoru św. Łazarza z drugiej strony

rzeki. Artysta przecudnie wywiązał się z polecenia. Przedstawił nam brzeg krętej rzeki, ożywiony licznem gronem ludzi różnego wieku i stanu, ugrupowany w ujmujący, urozmaicony sposób: piękne panie, zalotna młodzież, rycerscy żołnierze, poważni księża — na jednym boku przekupka sprzedająca owoce — tam dalej rumak w uprzęży, obok giermek. Nad brzegiem — na drugim planie — czekają niecierpliwi, co się przeprawić mają przez rzekę w łódkach i gondolach. A tam dalej ukazuje się na wzgórzach miasto, rozwijające przed okiem widza przecudną panoramę swych pomników, dzwonnic, gmachów publicznych i prywatnych. Oba brzegi rzeki łączą dwa mosty: jeden drewniany, po którym przechodzą osoby, drugi nie dokończony na arkadach kamiennych. Grupy figur rzucone są na płótno z wielkim wdziękiem — panuje w nich rozmaitość ubiorów, barw, ruchów, życie, wesołość. Historyk każdy ze szczególniejszem zajęciem wpatruje się w szczegóły, które składają się na ujmującą całość.

Klaudyusz Coello staje już teraz na samym schyłku XVII-go wieku, jako świetny epilog wielkiej szkoły hiszpańskiej. On pieśń łabędzią wyśpiewał, z nim na długie lata malarstwo w Hiszpanii zstąpiło do grobu. Galerya posiada dwa tylko znaczniejsze obrazy jego pędzla: są to przedmioty mistyczno-alegoryczne. Matka Boska trzyma Dziecię, któremu wierni hołd oddają. Tron otaczają św. Jan z barankiem, trzy cnoty teologiczne, święta Elżbieta, święty Piotr i Paweł, archanioł Michał.

Sławę jednak dzielnego kolorysty, który Rubensowi nie ustępował, zjednało mu głównie wielkie płótno znajdujące się w zakrystyi klasztoru eskurialskiego, znane pod nazwą Świętej hostyi czyli *Santa Forma*. Przedstawia ono wnętrze tejże zakrystyi i procesyę uroczystą, podczas której niesiono świętą hostyę, sponiewieraną za czasów cesarza niemieckiego Rudolfa II-go przez heretyków, a ofiarowaną przez niego Filipowi II-mu hiszpańskiemu. W uroczystej tej procesyi przyjmuje udział przeor klasztoru, zakonnicy, król i jego rodzina, oraz niezliczone tłumy pobożnych. Wiele osób jest portretowanych z wielką ścisłością historyczną. Co się tyczy tego obrazu, kilka dochowało się opowieści charakterystycznych. Wiadomo, że Karol II zamówił tej treści płótno u Coella dla wspaniałej zakrystyi, którą swoim nakładem wystawić kazał. Zniecierpliwiony długiem czekaniem zwraca się do artysty, przykrą mu robiąc wymówkę: „Gdybym był obraz zamówił u Jordana, byłby już dziesięć takich wymalował.“ — „Nie wątpię, N. Panie, odpowie Coello z uczuciem pewności siebie samego, ale mój jeden wart będzie więcej, jak wszystkie dziesięć Jordana.“

Gdyby nawet podanie to nie było wiarogodnem, świadczy ono w każdym razie, jak umiano cenić pędzel Coella. Jest to istotnie ostatnie słowo malarstwa hiszpańskiego w XVII-ym, naturalistycznego i mistycznego, ostatni świetniejszy utwór, ostatni znakomitszy objaw, epilog, zamykający godnie piękną działalność poprzednich czasów oraz mistrzów.

Umarł podobno Coello z bólu serca, kiedy Karol II-gi zawezwał z Włoch szarlatańskiego Jordana i jemu poruczył malowanie ścian i stropów w klasztorze w Eskurialu, pominąwszy sumiennego i zdolnego artystę swego, który nadwornym był malarzem. Tym sposobem Karol II wzgardził sztuką i duchem hiszpańskim w osobie Coella, ten sam król i monarcha, na którym wygasł dom rakusko-habsburski w Hiszpanii i pod którego berłem zaćmiła się gwiazda wielkości tego kraju.

Coello — jak twierdzi głęboki znawca dziejów sztuki hiszpańskiej, Madrazo — Coello był kolorystą dzielnym, jak Rubens, ale nie posiadał jednej tajemnicy, która pozostała wyłączną własnością Murilla, nie potrafił *ukrywać palety;* jego skala tonów jest tak bogata, barwy jego tak harmonijne, wykonanie tak energiczne, swobodne i silne, a jednocześnie rysunek tak czysty, że istotnie Coello godnie uzupełnia plejadę mistrzów pędzla, którzy uświetnili swemi nazwiskami dzieje sztuki hiszpańskiej w XVII-ym wieku.

W następnem stuleciu monarchowie z domu Burbonów starali się wszelkiemi sposobami podźwignąć artyzm narodowy z upadku, ale daremne były ich usiłowania. Wyczerpały się wszelkie zasoby ducha i geniuszu rodzimego, tylko słabem światłem tlało życie artystyczne. Smak się zepsuł, zapanował eklektyzm, wyrodził się rysunek, maniera stała się wybitnym charakterem wszystkich współczesnych utworów pędzla. Zapominano o wzorach mistrzów

ubiegłego stulecia. Twórczość zwracała się ku przedmiotom odrębnym i wychodziły też na jaw prace, które były niejako odbiciem nietylko upadku smaku i sztuki w Hiszpanii, ale zarazem i w całym pozapyrenejskim świecie. Żeby wyprowadzić sztukę z manowców, na jakich się błąkała, potrzeba było wysiłków olbrzymich; nie skutkowały zabiegi Hovassa, Amiconi'ego, Vanloa, Giacuinta i innych, którzy, przybywając z zagranicy na wezwanie królów, szerzyli lepsze pojęcia o sztuce.

Karol III, dbały o rozwój sztuki w swojem państwie, ożywił działalność akademii w Madrycie, kiedy na jej czele stanął Mengs, powołany z zagranicy; głośny swego czasu Mengs, którego sława brzmiała we wszystkich zakątkach Europy, nietylko w Niemczech, jako w rodzinnym kraju, nietylko w Rzymie i całych Włoszech. Mengs wpłynął na poprawienie rysunku, uszlachetnienie smaku, ale ostatecznie i jego siew staranny nie zazielenił się bujnym plonem. Jeden z lepszych jego uczniów Bayen nie może sobie rościć prawa do głośniejszej sławy.

Zorza odrodzenia sztuki hiszpańskiej wzeszła w innych stronach, w osobie aragończyka, Franciszka Góyi y Lucientes. Dopiero Goya, który żył i pracował na schyłku przeszłego wieku, a należy jeszcze w znacznej części do bieżącego, stanowi nową epokę sztuki hiszpańskiej. Jest to talent tak wybitny, tak samodzielny, tak różny od tych powszednich mierności, wykształconych w jednej szkole, tak przywykłych do pewnej reguły, że widz,

który z za Pyreneów przybywa i dopiero po raz pierwszy jego utwory spotyka, spogląda na nie z podziwem słusznym, sprawiedliwym. Goya, urodzony w Aragonii około minionego stulecia, kształcił się pierwiastkowo w Saragosie. Jakiś mnich podobno zwrócił uwagę na jego talent malarski, spostrzegłszy osła wymalowanego węglem ręką Goyi. Po pierwszych postępach odesłany do Madrytu, tęsknił do wielkiego ogniska życia artystycznego, do Rzymu. Chłopiec był biedny. Pieniędzy nie miał. Puścił się o własnych środkach. Z jakąś podróżną trupą torerów odbył podróż do Włoch, gdzie w prędkim czasie znalazł właściwe dla siebie zajęcie. Po powrocie do Madrytu zaczął rysować oryginały, jak mawiano wtedy, czyli wzory dla fabryki gobelinów, którą Karol III założył. Tu Goya dał się poznać Mengsowi. Mengs stał na czele tego zakładu: uznał jego talent, który w prędkim czasie rozwinął się świetnie w najróżnorodniejszych rodzajach. Jako freskista był Goya bardzo poszukiwany i zostawił ślady swojej pracy w Saragosie, w Valladolidzie, w Toledzie, oraz w wspaniałych kościołach wielu innych miast. Zostawszy malarzem nadwornym, portretował królów i książąt. Swój niezależny, oryginalny charakter w tem uwydatnił między innemi, że nie lubił pochlebiać pędzlem. Podobno książę Wellington zamówił pewnego razu portret swój u Goyi. Kiedy wizerunek już niemal był skończony, a książę był niezupełnie zadowolony z portretu i jakąś przyostrą wypowiedział uwagę, Goya tak

się uniósł gniewem i dumą, że zerwał płótno i rzucił je na głowę Wellingtonowi.

Jakkolwiek Goya uprawiał rozmaite rodzaje sztuki, najwięcej jednak uwydatnił swój talent w oddawaniu scen życia codziennego, zwyczajów ludowych, typów wiejskich i miejskich, zacząwszy od cyganki czarownicy, policyanta, skończywszy na żołnierzach i księżach. Wieśniacy także występują, ich chaty i karczmy; tam widać ich stroje narodowe, ich tańce i zabawy. Na płótnach tegoż Goyi widać torerów, którzy walczą z bykami, mamki wiejskie, lwice różnego rodzaju, dworzan, jednem słowem cała stara Hiszpania, ginąca z przed oczu historyka XVIII-go wieku, w całej pełni swego życia oryginalnego, charakterystycznego.

Od niedawnego czasu przybyła w galeryi oddzielna na piętrze sala, poświęcona wyłącznie wielkim wzorom, odrysowanym przez Goyę dla owej wzmiankowanej fabryki gobelinów de San Barbara. Przez długie lata prace te tak cenne, tak znakomite, nie były znane światu. Spoczywały one spokojnie w podziemiach pałacu królewskiego w Madrycie, dopóki na jaw nie wyszły, dzięki starannym poszukiwaniom inspektora sztuk pięknych pana Villaamil, który z ramienia rządu rewolucyjnego był delegowany do spisania inwentarza wszystkich przedmiotów artystycznych, przechowywanych na dworze byłej królowej Izabelli. Znalazł ku zdziwieniu wszystkich te przecudne wzory wielkiego artysty, skazane na takie straszne zaniedbanie. Od lat kilku wysta-

wione w sali, noszącej miano Goyi, stanowią nieprzebrane źródło artystycznych rozkoszy. Wszystko, co tu jest zgromadzone, a całe ściany pokryte wielkiemi malowidłami, daje odrazu pojęcie o niezmiernej wartości pędzla Goyi. Tu właśnie się ukazuje cała owa stara Htszpania, jej życie powszednie, jej zwyczaje, jej lud w swych ubiorach efektownych, teatralnych, co dziś już starł wiek postępowy i co zniszczyła moda wielkoświatowa. Nieocenione zabytki dla przyszłego dziejopisa!

Gdzieindziej spotkasz odmienny znów rodzaj, w którym Goya celował. Są to obrazy, wodnemi malowane farbami, przedstawiające również typy ludowe. Naprzykład w Akademii de San Fernando: Dom obłąkanych, Walki byków, Auto-da-fé, Procesya w Wielki piątek, a przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę wielki obraz odpoczywającej tanecznicy. W galeryi zaś do najcelniejszych utworów pędzla Goyi należy sławny obraz: *El dos de Mayo* — czyli scena rozstrzelania przez wojsko Murata dzielnych miłośników ojczyzny, Hiszpanów, którzy w 1808 r. opór stawili armii Napoleona. Niemniej także godnem jest uwagi płótno, na którem wyobraził Goya całą rodzinę króla Karola IV-go.

Dość widzieć kilka utworów tego artysty, choćby pod niemi żadnego nie było podpisu, żeby odrazu ocenić jednę właściwość Goyi, która się rzuca w oczy: oryginalność. Nie będziesz wiedział, kto

przeniósł na płótno tę lub ową scenę, ale dowiesz się, że to artysta samodzielny, nie należący do żadnej szkoły, mający swój własny, samoistny rodzaj rysunku i kolorytu, swój sposób patrzenia na rzeczy. Goya jest, jak Velazquez, naturalistą, lecz nie chodzi on utartemi drogami, wydeptanemi przez mistrzów. Życie i jego przeróżne objawy ocenia on nie tak jak inni, ale spogląda na nie okiem ironii. Jest wesoły, śmieje się, ale śmiechem satyry. Nicuje rzeczy, nadaje im kształty karykatury, niekiedy jak Hogart. Nie lubuje się harmonią, ale owszem wyciąga na wierzch brzydotę fizyczną, kalectwo moralne. Prawda, cnota, szlachectwo, ujdą jego uwagi, nigdy jednak niepostrzeżenie nie przejdą wady, skrzywienie moralne lub śmieszności natury ludzkiej.

Jak sama osnowa w wizerunkach Goyi świadczy o niepospolitej oryginalności umysłu artysty, tak też i strona zewnętrzna, wykonanie i właściwości techniczne, stanowią coś odrębnego, niepospolitego, czego u innych nie spotyka się malarzy. Rysunek Goyi nie odznacza się wprawdzie konieczną, niezbędną poprawnością. Brak niekiedy wykończenia, staranności. Velazquez miał pewniejszą rękę i bieglejszym był niewątpliwie w rysunku skróconym; ale Goya celuje jako niepospolity kolorysta. Nie walczy on o lepsze z Rubensem, albo w ogóle z paletą różnobarwną, nie jest on mistrzem w używaniu bogatych farb, jaskrawych kolorów. Goya jest skończonym artystą w używaniu bardzo niewielu

kolorów, trzech lub czterech. Za pomocą białego i czarnego, żółtego i karminowego wywołuje najcudowniejsze efekta. On wyprowadzi całą skalę tonów jednej barwy i przez właściwe cieniowanie, stopniowanie sprawi potężne wrażenie. Szary kolor ugrupuje tak zręcznie, tak zestawi biały ze srebrzystem, przejdzie w szarawy i tak grę jednej barwy roztoczy przed oczyma widza, że mimowoli podziwiasz kolorystę, który ze swej, ubogiej palety wydobywa harmonijne tony.

Goya umarł w 1823 roku. Od jego śmierci akademia w Madrycie pracowicie krzewiła zasady sztuki malarskiej. Głośniejszych jednak imion nie spotykamy wcześniej, jak w ostatnich dopiero latach, kiedy się znów obudził żwawszy ruch na polu sztuk pięknych i ukazały się nazwiska Rosalesa, Fortuny'ego, Pradilli i innych. Rosales w młodym bardzo wieku rozpoczął swój zawód sławy artystycznej i w młodym wieku, mając zaledwie lat 36, przeszedł do wieczności. Rosales przypomniał znów Europie na licznych wystawach świetne czasy XVII wieku, kwitnienia sztuki malarskiej w Hiszpanii. Wstąpił on na nowe tory, wprowadziwszy w zakres swej twórczości artystycznej malarstwo historyczne. Z wielu jego obrazów, rozproszonych po świecie, znajdziesz w galeryi jeden tylko — ale istotnie najświetniejszy błysk jego talentu: jest to testament królowej Izabelli katolickiej, wielkich rozmiarów płótno, wielka kompozycya historyczna.

Fortuny jest bezwątpienia gwiazdą pierwszego rzędu, jest chlubą Hiszpanii lat ostatnich. I on także zgasł przedwcześnie, jak Rosales. Któż nie podziwiał na wystawach powszechnych jego arcydzieł, jego pejzażów południowej natury o cudownym stropie niebieskim, bujnej roślinności, ze zwaliskami dawnej cywilizacyi. Przez osnowę swych obrazów, Fortuny utrzymywał związek ze swoim krajem rodzinnym, bo sam, mieszkając stale niemal w Rzymie, częścią w Paryżu, był niejako oderwanym od gruntu ojczystego. Ztąd też tak dziwnie się złożyło, że muzeum madryckie nie posiada ani jednego płótna swego genialnego artysty, którego utwory rozproszyły się po salonach i zbiorach Europy. Nikt podobno w Madrycie nie ma żadnej próby jego pędzla, ba — w całej nawet Hiszpanii jakoby trudno było odszukać śladów działalności znakomitego Fortuny.

Najnowsza nieustająca wystawa obrazów hiszpańskich artystów w galeryi narodowej, świadczy o ożywionym ruchu na tem polu i o coraz więcej mnożących się talentach. Na ostatniej wystawie paryzkiej dał się poznać świetnie Placencia, wystawiwszy wielkie płótno z dziejów rzymskich — Lukrecyę, niedawno zaś uzyskał na wystawie paryzkiej nagrodę Francisco Pradilla za obraz podobnież treści historycznej: Don Juana przy zwłokach Filipa pięknego, w 1506 roku. Malarstwo, jak widać, wchodzi i w Hiszpanii na nowe drogi, wskrzeszając za

pomocą linij i barw minione lepsze czasy, choć nie brak bynajmniej i mnogich naśladowców Goyi, którzy ze szczególniejszem upodobaniem zwracają się ku życiu ludowemu, ku studyom z natury, ku kopiowaniu nagiej rzeczywistości i trzymają się tradycyonalnej szkoły naturalistycznej, jak Velazquez i Goya.

Wprawdzie w galeryi w Madrycie przedstawiciele narodowej sztuki, kwitnącej w osobach Murilla, Velazqueza, Zurbarana, Ribery, Goyi zwracają przedewszystkiem na siebie uwagę cudzoziemca, który rad korzysta ze sposobności, aby się wtajemniczyć w świat nieznanej mu twórczości geniuszów hiszpańskich, ale tem niemniej po za tym obrębem przedstawia jeszcze niewyczerpane źródło rozkoszy artystycznych w arcydziełach sztuki europejskiej, powszechnej. I pod tym względem Madryt nie ustępuje innym zbiorom w stolicach Europy, owszem, w wielu razach je przewyższa.

Wejdźmy do salonu, który nosi imię królowej Izabelli. Wielka eliptyczna sala poświęcona wyłącznie arcydziełom malarstwa europejskiego. Myśl oryginalna i szczęśliwa! Zebrać, o ile się dało, najszczytniejsze utwory wszelkich wieków i wszelkich narodowości i dać możność porównawczego ich badania na miejscu. Co krok — to dzieło mistrzowskie; co obraz, to najprzedniejsze płótno tej lub owej szkoły. Najcudowniejsze kwiaty wśród rozkosznej wiosny południowych krajów nie mogły-

by się złożyć na wspanialszą równiankę, jak te przeróżne malowidła. Nie potrzeba dalekich sal przebiegać, nie potrzeba utrudzać pamięci i uwagi: dość uczynić krok naprzód, rzucić okiem w prawo lub lewo, żeby na miejscu całemi godzinami podziwiać boskiego Rafaela i niebiańskiego Murilla, barwnego Rubensa, miękkiego Tycyana lub słodkiego del Sarto, porównywać Velazqueza z Van-Dyckiem, Tintoreta z Veronesem, zachwycać się pejzażystami, stawiać obok Salvatora Rosy i Poussina — Klaudyusza Lotaryńczyka.

Szczęśliwe muzeum, które połączyło w swym gmachu tyle kosztownych pereł z epoki najbujniejszego rozkwitu malarstwa we Włoszech, w pierwszej połowie XVI-go wieku. Rafael Santi jaśnieje tu jak gwiazda pierwszego rzędu w całym szeregu swych tworów, które mu nieśmiertelność zapewniły w rocznikach ludzkości. Kilka płócien przedstawia „Świętą Rodzinę," w różnym układzie osób, tchnących tym szlachetnym, podniosłym spokojem, który do religijnej usposabia kontemplacyi — jedno zaś przejmuje do głębi uczucia grozą ciężkiej i strasznej chwili upadającego pod krzyżem Chrystusa. Jest to ów głośny obraz *El Pasmo de Sicilia*, przeznaczony pierwiastkowo dla kościoła Panny Maryi *dello Spasimo* w Palermo, na wyspie Sycylii.

Każde z płócien Rafaela zasługiwałoby na szczegółową wzmiankę: piękna jest słynna *Virgen del Pez*, przecudna „Święta Rodzina" zwana *del*

Cordero albo *del Lagarto*. W pośpiesznym przeglądzie wielu i wielu arcydzieł, uwydatnić należy ów obraz Rafaela, który od czasu króla Filipa IV-go, co powiedział o nim: *he aqni la perla de mis cuadros* (oto perła mych obrazów) nosi słusznie i sprawiedliwie tak uroczą nazwę.

Kiedy w nieprzejrzanym rzędzie jednego za drugiem płócien, biegnę od Tycyana, do Tycyana, to zdaje mi się, żem nie w Madrycie, ale w rodzinnem jego mieście, w bogatej i wspaniałej Wenecyi. Tylko tu i owdzie osnowa tych świetnych malowideł przypomina mi, że się w stołecznym grodzie Hiszpanii znajduję. Tu Karol V-ty w całym swym rynsztunku rycerskim na koniu, tam Filip II-gi, a dalej owa walka morska około Lepanto. To znów te nieocenione sceny mitologiczne.

Tintoreto i Veronese tak tu bogato rozwinęli powaby swych talentów, że jednego i drugiego przestudyować można tylko wtedy, gdy się ich pozna nie w samym li pałacu dożów w Wenecyi, ale i w Madrycie. Jeżeli szkoła florencka nie ma najlepszych utworów swego przedstawiciela Leonarda de Vinci, to za to jej drugi koryfeusz Andrea del Sarto błyszczy jak brylant najczystszej wody w swem arcydziele — portrecie swej żony Lukrecyi. Bolońskich mistrzów, przywódców szkoły parmeńskiej, Guido Reni, Corregia, Guerchina zalecają tu ich własne płótna w zadzi-

wiający sposób, a niebrak także tych, co w Neapolu stworzyli odrębną grupę malarzy, zabłysnąwszy na kartach roczników sztuki: Ricci, Falcone, Rosa i Łukasz Giordano.

Gdyby muzeum madryckie z obcych malarzy nie posiadało nic więcej nad Rubensa, jużby się do najbogatszych zbiorów w Europie zaliczyć mogło, taka tu niezmierna obfitość płócien największego kolorysty flamandzkiego; sześćdziesiąt kilka obrazów, zgromadzonych w jednem miejscu, przedstawia nadzwyczaj piękny materyał do studyów estetycznych. Blask palety Rubensa olśniewa istotnie, kiedy spoglądasz na te dramatyczne, z takiem życiem przedstawione sceny, jak św. Jerzy pokonywający smoka, Mojżesz pokazujący węża miedzianego i inne. A co za karnacya w tych obrazach, gdzie mistrz flamandzki maluje nimfy lub gracye!

Van-Dyka tu po raz pierwszy podziwiałem w religijnym utworze, pełnym namaszczenia świętego— w Koronacyi cierniowej Chrystusa. W szkole francuzkiej zachwycam się Poussinem i Klaudyuszem Lorrainem.

Po tak długiej i nużącej wędrówce, należy się dać oku wytchnienie, myśli wypoczynek, a ciału spokój. Jakżeż nęci ku sobie ten rozkoszny krajobraz, oddany delikatnym, poetycznym pędzlem Lorraina. Nad całym pejzażem unosi się lekkie przezroczyste powietrze, jak gdyby zapraszało do oddychania. Zachodzące słońce rumianym blaskiem oświeca ziemię, majestatyczne drzewa w liść bogate, które przechylają swe konary ku zwierciadlanej po-

wierzchni wolno płynącej wody. W całej naturze panuje głęboki spokój, nastrój poważny, niewesoły ale i niesmutny. Wszystko ułożyło się do tej harmonii poetycznej, która z obrazu płynie, jak balsam do duszy widza, przywracając równowagę uczuciom, rozkołysanym silnemi wrażeniami, jakich się doznało wśród oglądania tylu dzieł mistrzów nieśmiertelnych...

IX.

Stan umysłowości w Hiszpanii. — Brak geniuszów w naukach ścisłych dawniej i obecnie. — Przyczyny tego zjawiska. — Uzdolnienie Hiszpana. — Wymowa. - Uniwersytet. — Muzeum antropologiczne — Wykształcenie kobiet. — Biblioteki.

Tylko nieśmiertelne dzieła sztuki, tylko bogactwo artystyczne, stanowią w Madrycie niewyczerpaną krynicę rozkoszy estetycznych. W tem tkwi najsilniejszy powab, cały urok czarodziejski. Po za tem pięknem, nie posiada miasto nic, coby ogólniejsze, wszechludzkie miało znaczenie, coby turystę dłużej przykuć do siebie mogło, nad chwilę, nad czas zaspokojenia ciekawości, pobudzonej wielu odrębnościami szczegółów życia codziennego, społecznego, wreszcie politycznego. To też podróżnicy zwykle pospiesznie rzucają okiem na wszystkie inne po za galeryą obrazów, albo po za areną krwawych zapasów, zjawiska ruchu i życia, wynosząc o nich pojęcia słabe, niedokładne, a nieraz błędne i skrzywione.

Już dłuższy nas tu czas zatrzymują poszukiwania w zbiorach naukowych, w bibliotekach i archiwach. To usprawiedliwia poniekąd kilkotygodniowy w Madrycie pobyt i ułatwia nam zarazem podanie kilku wybitniejszych rysów ze stosunków, o których tak rzadko dokładniejszą gdzieś znaleźć można wiadomość. Im bliżej poznajemy tutejszy ruch naukowy i literacki, im więcej zawiązujemy osobistych stosunków z przedstawicielami umysłowości w stolicy Hiszpanii, tem coraz jaśniejszy kreśli nam się w pojęciu naszem obraz, tem głębszy sąd powstaje o stanie nauki, badań, uzdolnienia, dążności w zakresie nauki, piśmiennictwa. Uprzedzenia upadają z jednej strony, to znów w czarniejszych barwach malują się stosunki, któreśmy poprzednio w powabniejszem widzieli świetle.

Czy istnieje dziś nauka w Hiszpanii, a w szczególności w Madrycie, nauka w duchu nowoczesnym, europejska, na stopniu współczesnego rozwoju? Tak siebie pytałem nieraz, i czytelnik podobne zadaje sobie pytania. Tak rzadko doleci nas z za Pyreneów wieść o jakiemś większem w naukach ścisłych odkryciu lub jakiemś znakomitszem dziele naukowem, że usprawiedliwionem wydać się musi każde powątpiewanie w tym względzie. Jest-że Madryt, Salamanka, Sewilla lub inne z miast na półwyspie ogniskiem ruchu żywszego, któryby się łączył z ogólnym pochodem rozwijającej się myśli ludzkiej, dociekań umiejętnych?

Istotnie nietrudno dać odpowiedź przeczącą. Umysłowość Hiszpanii współczesnej tak nieznaczne

wobec innych narodów przodujących w oświacie zdaje się zajmować miejsce, że okoliczność ta na pierwszym kroku uderza każdego, co się choć pobieżnie zastanawia nad udziałem narodu hiszpańskiego w ogólnej pracy, wśród której tak wybitne zajął stanowisko pobratymczy szczep romański—Francuzi, i do której garną się coraz żarliwiej z tejże rodziny romańskiej przedstawiciele na półwyspie apenińskim—Włosi. Nie mamy tu na myśli piękna artystycznego; już była mowa o Valazquezie, Murillu, Goyi i innych talentach, geniuszach, które błyszczą na kartach sztuki europejskiej. Nie zwracamy się tu myślą ku dziedzinom ideałów poetycznych, piękna w zakresie twórczości piśmienniczej, boby nam tu przytoczyć wypadało niezapomniane w rocznikach literatury powszechnej imiona Cervantesa, Calderona, Tirso de Moliny, Lope de Vegi i innych. Idzie tu o ścisłą, badawczą naukę, o nazwiska jak Galileusz, Kopernik, Laplace, Lineusz, Cuvier, Humboldt i całe szeregi im podobnych!.

Trudność tu wielka dla Hiszpana, któryby z dziejów swej umysłowości chciał odwrócić i pokazać te karty, gdzie się zapisały na zawsze odkrycia i prace tak głośne i wielkie, jak mężów tylko co wymienionych. Roczniki nauki arabskiej, żydowskiej, która niegdyś kwitnęła w wiekach średnich na półwyspie, zachowały pamięć wielu arabów i żydów uczonych. Byli tam astronomowie, matematycy, byli lekarze, co badali nieznane tajemnice objawów życia, skuteczność uzdrawiającą roślin i położyli w istocie wielkie na polu umiejętności ówczesnej zasługi. Ale kiedy skończyło się panowanie Maurów, kiedy wygasły te

ogniska naukowe, rozniecone przez obcych z innego szczepu ludzi, Hiszpanie zdobywcy, twórcy innego porządku politycznego, sami nie wytknęli nowych kierunków w nauce, owszem zaniedbali poprzednio już uprawiane przez mędrców w Kordubie, Sewilli, Granadzie pole, które następnie zarosło dzikim chwastem. Cała ich działalność pod koniec wieków średnich utonęła w odzyskaniu niezależności politycznej, stworzeniu samoistnego państwa. A kiedy cel ten osiągnięto, puszczono się w dalszym ciągu na drogę zdobyczy i rozszerzono granice ciasnej pierwotnie Hiszpanii aż po za dalekie brzegi Oceanu.

Ideały zdobywcze zapełniły głowę i serce, wznieciły życie, zapaliły namiętności... ale ten wulkan zgorzał sam do szczętu, spopielił się i zalał wszystko lawą na długie czasy. Dziś się dopiero z pod tej zastygłej powłoki zaczyna ukazywać tu i owdzie kiełkująca roślinność. Więc ideały polityczne, religijne, pochłonęły całą żywotność narodu w XVI wieku, w następnem stuleciu ideały artystyczne w dziedzinie piękna malarskiego i poetyckiego wyciągnęły z gleby życia wszystkie żywotne soki — i już później nie starczyło sił na oderwane myślenie, na pracę w dziedzinie ścisłej nauki. Wiek XVIII upłynął na jałowem przeżuwaniu puścizny poprzednich czasów a obecne stulecie, zacząwszy się od walki za niepodległość narodową, aż po dzień dzisiejszy, zapełnione jest szeregiem krzyżujących się ustawicznie usiłowań ku uporządkowaniu i przekształcaniu stosunków wewnętrznych, politycznych.

Gdy się okiem ogarnie ten nieustanny wir przewrotów, zmian, przeobrażeń, który nam przedstawia

półwysep pyrenejski pod względem politycznym, w ciągu kilkudziesięciu lat ostatnich, łatwo przyjść do błędnego, zdaniem naszem, wniosku, gdyby się przypuszczało, że ten zemęt głównie, ten brak spokoju, ten brak ustalonych stosunków politycznych, czyni niemal niemożliwą żywszą działalność naukową i skuteczną pracę w dziedzinie badań umiejętnych. Ten nierząd, który niegdy i Polskę XVII i XVIII wieku trzymał w takiem obezwładnieniu umysłowem, nie jest jednak, o ile sądzić możemy, jedyną przyczyną zastoju, który oddawna spostrzegać się daje co do naukowej uprawy na półwyspie pyrenejskim. Zapewnie anarchia, zamęt, wiele się przyczyniają do wyjałowienia umysłów. Sam jednak ten objaw upadku inteligencyi należy sobie objaśnić jeszcze dokładniej i prawdziwiej, sięgając głębiej w rzecz samę. Usposabia po temu przeszłość, która przedstawia poniekąd zupełną dezertę, ale wpłynęły i wpływają jeszcze ciągle warunki naturalne, gleby, klimatu, temperamentu. Nie są to bynajmniej przeszkody niezwyciężone, owszem łamie je usilność pracy, lecz obecnie łączą się one z innemi ku wytwarzaniu tego stanu omdlenia umysłowości w Hiszpanii.

Nie dostrzegam tu bynajmniej braku wyższego uzdolnienia. Przeciwnie, coraz częściej uważam, że Hiszpan wyposażony jest bogato przez naturę i posiada dary cenne, wysokie, które dobrze uprawione i użyte, mogą na polu naukowości wydać obfite owoce. Ale te zdolności uwydatniają się poniekąd w jednym zbyt wyłącznym kierunku: jest wielka wrażliwość i niezmierna żywość fantazyi, która nie-

ukrócona, nie ujęta w karby, niezasilona właściwym posiłkiem, wystrzeli tylko bujnym kwiatem czczym, płonnym, bez ziarna, bez nasienia.

Podziwiam łatwość słowa, płynną wymowę, świetną, błyszczącą i przekonywającą. Z tym mówczym talentem każdy Hiszpan, że tak powiem, na świat przychodzi. Jest on wielomówny, gaduła, jest hableur, jak mówią Francuzi, wziąwszy to słowo od Hiszpanów, u których *hablare* wogóle mówić znaczy. Jego wielomówność płynie może z potrzeby wyzewnętrznienia się, łączenia się z innymi za pomocą żywego słowa. Cokolwiekbądź, czy to jest potrzeba serca, czy skutek fantazyi żywej, mowa Hiszpana jest pełna energii, wylania, ale jest zarazem piękną, powabną, nadobną.

Kiedy Hiszpan młody marzy o jakim zawodzie, myśli o tem, żeby zostać adwokatem, występować przed kratkami, bronić spraw, mówić, być mówcą sądowym — albo być posłem, deputowanym, mówić w kortezach. Są też wymowni obrońcy, jest niemało dzielnych i zręcznych mówców w zgromadzeniu narodowem, prawodawczem. Na katedrze profesorskiej także rozlegają się złotouste dźwięki, miodopłynne słowa. A komu los nie dopisze, komu okoliczności przyjaźniejsze nie pozwolą zostać adwokatem, stanąć na mównicy w kortezach lub zajaśnić na katedrze w auli uniwersyteckiej, ten... ten zostanie dobrym aktorem i będzie zbierał oklaski od tłumów, które się gromadzą na sceniczne widowiska nawet w najdrobniejszych mieścinach. I dobrych

aktorów niebrak w całej Hiszpanii, a zwłaszcza w samym Madrycie. Ludność lubi teatr — i chętnie słucha wprawnych artystów. Tak więc ujścia szuka i ujście znajduje talent narodowy, wrodzony... ostatecznie na deskach teatralnych.

Wspominało się o wymowie... chodźmy więc do tych świątyń, gdzie występują jej namaszczeni kapłani; poznajmy te areny, na których kwitnie swada oratorska i gdzie płyną potoki porywającej wymowy, a więc wejdźmy między mury stołecznej wszechnicy i w tym przybytku nauk przysłuchajmy się dźwiękom żywego słowa. Wprawdzie uniwersytet więcej naukową być powinien instytucyą, aniżeli oratorską, ale wybór, który tu czynimy, miejsce, jakie tu wskazujemy wszechnicy, nie jest dowolne, przypadkowe.

Uniwersytet madrycki, jak i inne prowincyonalne, ucierpiał wiele w ciągu lat ostatnich. Zaszły w nich zmiany gwałtowne, pod wpływem przekształceń rozmaitych, najwięcej z powodu ograniczenia swobody wykładu. Władze ministeryum, narzuciły profesorom pewne na ich usta wędzidła, więzy. Zażądano podpisania deklaracyi, że w wykładach swych, nauczający z katedry trzymać się będą pewnych zapatrywań z góry określonych, narzuconych.

Wielu z profesorów nie chciało przyjąć podobnego ograniczenia albo poddania się pod nienaukową zupełnie kuratelę i woleli raczej opuścić uniwersytet, zejść z katedry, aniżeli służyć pod sztan-

darem idei, których bynajmniej nie wyznawali. Tylko pewnej garstce uczonych, którzy się oddawali naukom tak mało mającym do czynienia ze sprawami politycznemi, jak matematyka, udało się pogodzić wymagania władzy z obowiązkami sumienia... i ci pozostali. Inni porzucili swą alma mater, nie przyjąwszy przepisów, które skrępowałyby zupełnie ich swobodę; rozstawszy się ze swą metropolią, postanowili—jak nieraz z rodzinnego gniazda wypędzeni mieszkańcy, założyć oddzielną, samoistną kolonię.

Tej okoliczności zawdzięcza swój początek uniwersytet inny, drugi, prywatny obok rządowego, mianujący się instytucyą swobodnego wykładu: *de la libera ensenanza*, dokąd się schronili wygnańcy z wszechnicy publicznej. Pozbawiony wszelkich zasiłków rządowych, skazany na pomoc tylko prywatną, na środki ograniczone, które płyną z opłat słuchaczy, uniwersytet ten oczywiście istnieje, żyje i rozwija się wśród ciężkich warunków. Z tem wszystkiem istnieje, a samo to zdarzenie już jest godnem uwagi. Istnieje zaś dzięki swym siłom naukowym, do których, mimo różne przeszkody, garnie się młodzież akademicka.

Wolny uniwersytet nie daje żadnych praw, żadnych stopni, daje tylko naukę, której władza nie przyjmuje. Trzeba uzyskać dla niej stempel rządowy, składając egzamina w uniwersytecie rządowym. A te egzamina są połączone z pewnemi trudnościami dla tych, co przybywają z owej wolnomyślnej

instytucyi. Ci więc, co uczęszczają w niej na wykłady, czynią to zapewnie, ulegając urokowi, jaki sprawia większa wiedza, głębsza nauka, wyższy talent nauczający.

Współzawodnictwo uniwersytetu wolnego ze wszechnicą rządową jest bardzo utrudnione. A jednak — *epur si muove*... choć w ciasnych granicach tych umiejętności, które — jak nauki prawne, społeczne, historyczne, języki i t. p. nie potrzebują kosztownych przyrządów i pomocy. Pisemko dwutygodniowe, wydawane przez profesorów tej instytucyi, ożywione bardzo, podające metodyczne prace w duchu nauki europejskiej, może także służyć jako nowy dowód zacnych i szlachetnych usiłowań. Jeszcze przed niedawnym czasem na jednej z katedr tego uniwersytetu zasiadał nasz rodak, pan Leonard, który wykładał literaturę polską. Miał przed półtora laty publiczny odczyt o Kraszewskim. Włada wybornie językiem hiszpańskim aż do złudzenia. Niktby go nie posądził o pochodzenie obce. Zbieg mniej przyjaznych dla niego okoliczności zmusił do opuszczenia tego stanowiska i szukania na innem polu środków życia. W pierwszych dniach naszego tu pobytu, korzystaliśmy z życzliwych wskazówek i usłużności naszego ziomka. W prędkim jednak czasie powołanie pana Leonarda do Nicaraguy, na stanowisko dyrektora liceum, pozbawiło nas sympatycznego towarzystwa w przechadzkach po obcym nam zrazu Madrycie.

Los catedráticos w uniwersytecie rządowym, jak zwykle nazywają profesorów na wszechnicach, uka-

zują się na katedrze w czarnych togach. Wykład trwa półtory godziny. I tu, jak w Valladolidzie, słyszałem z mównicy piękną i płynną wymowę. Profesor Moraito głosił rzecz z historyi powszechnej. Treścią jego wykładu były dzieje Chin. Od tego państwa zaczął *el catedràtico* swoje lekcye. Właśnie od dwóch czy trzech tygodni zaczęło się tu półrocze zimowe akademickie. Profesorowie mówią z pamięci, nie posługując się żadnemi notatkami. Lekcya nie jest odczytem, ale istotnym, rzetelnym wykładem, wykładem żywym, mieszczącym w sobie to, co pomieścić może i utrzymać pamięć profesora. Zapewnie przy wykładzie statystyki, matematyki lub innych gałęzi nauk służą ku pomocy piśmienne wskazówki. Słyszane jednak przez nas wykłady odbywały się bez notatek, których odczytywanie nudne i oschłe, w niemieckich uniwersytetach, niekiedy stanowi osnowę całej lekcyi.

Wykład ustny, pamięciowy posiada wielkie zalety. *Vox viva*, żywe słowo, potoczyste, płynące z przekonania, oddziaływa na słuchacza, pobudza jego uwagę. Studenci słuchają pilnie. Profesor mówi gładko. Pan Moraito w ciągu całogodzinnego wykładu czyli raczej półtoragodzinnego, ani razu się nie zatrzymał, nie zająknął, nie powtórzył. Głosił słowa swej nauki z całą swobodą—nie dlatego—jak nam mówił, iżby się wyuczył na pamięć, ale że mu to z łatwością przychodzi, jak każdemu Hiszpanowi. Była więc w wykładzie intonacya, cieniowanie, było ożywienie.

Może ten sposób wykładu, używany zresztą w Sorbonie i wogóle we Francyi, w wyższych instytucyach naukowych, pod względem zewnętrznym tak korzystnie się przedstawia — ale z drugiej strony zaprzeczyć trudno, że usposabia do pewnej lekkości i powierzchowności. Z katedry płyną piękne słowa, płyną swobodnie, wyrażając myśli w mniej zwartym szeregu, rozprowadzone wodą retoryki. Dlatego studenci tylko słuchają, żadnych dla pamięci nie robiąc notatek. Nawet ławki są ustawione amfiteatralnie, przed niemi żadnych niemasz stolików. Do egzaminu przygotowuje się młodzież z książek programowych t. j. takich, które są przez władzę naukową zalecone lub zatwierdzone (libros de texto).

Ciekawość prowadzi nas do drugiego jeszcze audytoryum, podobnież na wykład historyi. Na katedrze ukazuje się pan Menendez Pelayo.

— Nie poznałeś pan jeszcze profesora Pelayo — pytał nas jeden z życzliwych nam Hiszpanów, wielki wielbiciel sławy swego narodu.

— Nie jeszcze — odrzekłem nieco zakłopotany.— Alem już przecież poznał najznakomitszych przedstawicieli nauki historycznej.

— To źle byłeś pan poinformowany. Dziś pan Pelayo prym trzyma między innymi, a niebawem będzie to wielkość europejska. To cud prawdziwy! To zjawisko niepojęte!

— Jakto? — pytałem ze zdziwieniem. — Więc to mówca taki znakomity, miałżeby być wyższym nad Castelara?

— *Si Senor, un milagro* — rzecze mi Hiszpan — ale cud jako erudycya, jako pamięć. Trzeba koniecznie, abyś pan poznał naszą sławę, naszą chlubę... Toć w Madrycie we wszystkich kółkach literackich, we wszystkich salonach tylko o nim mówią.

— Ależ są i inni erudyci — odparłem. — Jużem widział i panów Cayetano Rosell i Zaragosa, i innych mężów głębokiej wiedzy. Zkądże więc ta wyższość?

— To cud — powtarza mi Hiszpan. — Mire Usted (widzisz pan) studnia niewyczerpana — zaledwie lat 23 lub cztery.

— I już profesorem, takim głośnym, takim wielkim?

— Tylko wyjątkowo — cudownie. Kortezy w przeszłym roku zwolniły rygor prawa, przepisu na korzyść pana Paleyo — dodał w dalszym ciągu, objaśniając mnie Hiszpan.— Wstąpił na katedrę, mając zaledwie dwudziesty rok życia.

— Czemże zasłynął? — jakże się dał poznać?

— Jeszcze na ławie uniwersyteckiej napisał: „Estudios Poeticos," których już drugie ukazało się wydanie. Zna autorów klasycznych na pamięć: Greków i Rzymian zarówno. Włada wszystkiemi

językami nowoczesnemi. Ma pamięć tak objętą, że raz przeczytaną kronikę powtórzy dosłownie. Niedawno wydał wielkie dzieło o herezyach hiszpańskich. Poprzednio napisał wielkie studyum o Arnaldzie de Vilanova, znakomitym hiszpańskim filozofie i fizyku.

Mój Hiszpan nie przesadzał. Istotnie trzeba było podziwiać nie potęgę wymowy, bo ta nam się nie tyle świetną, owszem słabą nawet wydała, ile niezmierną pamięć. Pan Pelayo istotnie może się obyć na katedrze bez notatek, a wykład jego nic nie traci na gruntowności, tak łatwo przychodzi mu przytaczać dzieła, całe z nich ustępy, źródła, tytuły ich, wydania i inne szczegóły bibliograficzne.

Akademia historyi wybiera nawet w tych dniach młodego profesora na swego członka i ofiaruje mu krzesło w swem zgromadzeniu.

Czy nie zawcześnie?

Pamięć jest istotnie wielkim darem, znakomitą dla mówcy pomocą, ale gdy zbyt wybuja, przygnębi inne zdolności i zamienia głowę na wielki magazyn, tamujący niekiedy swobodniejsze krążenie nagromadzonych kapitałów.

Pan Pelayo wykłada historyę literatury hiszpańskiej oraz dzieje Hiszpani w wiekach średnich. W ogóle przemagają tu wykłady i słuchanie — mniej zaś dostrzegać się daje usiłowań ku przygotowaniu młodych sił do metodycznego badania dziejów ojczystych. Wprawdzie istnieje na wydziale

prawnym *Escuela superior de diplomatica*, kierowana przez profesora de la Rada y Delgado, instytucya nadzwyczaj pomocna dla tych, co się poświęcać pragną badaniom źródłowym, dając możność poznawania się z metodą krytyczną, ale wykłady te zwrócone są więcej ku praktycznemu celowi. Notaryusze i adwokaci *in spe* uczą się tu czytać i rozumieć dawne akta, nadania, przywileje. Dlatego też z powodu braku kierunku umiejętnego w wykładach historyi, dzisiejsze prace w dziedzinie dziejopisarskiej są rozstrzelone, podejmowane bez planu i niedość krytyczne.

Wróćmy do wymowy. I na innych katedrach nietylko historycznych widzieć nam się zdarzyło, jeśli nie talenta oratorskie, to ludzi biegłych w wymowie profesorskiej. Odwiedzaliśmy kilka razy wykłady paleontologii Juana de Vilanova; wstrzymując się od sądu co do treści, jako rzeczy będącej po za zakresem naszych wiadomości dokładniejszych, możemy tylko nadmienić, że i w tym razie profesor bez żadnej pomocy notatek wykładał rzecz swoją nadzwyczaj płynnie, gładko, z prawdziwą werwą. A mówił o historyi nauki, objaśniał jej dzieje w ostatnich lat dziesiątkach, przytaczał dzieła, nazwiska autorów, słuchacze zaś zapisywali te wszystkie szczegóły... tylko w księdze swej pamięci.

Stołeczny uniwersytet ma tę wyższość nad prowincyonalnemi, nad wszechnicą w Valladolidzie, że tu wykład odbywa się nie w sposobie sokratesowym, ale w rodzaju nieprzerwanego wy-

kładu bez żadnych egzaminów lub kontrolowania słuchaczy.

Nie skończyłbym tak prędko, gdybym czytelnikowi wszystkie szczegóły mej pielgrzymki naukowej chciał opowiedzieć. Jakżeż to łatwo nadużyć cierpliwości, gdy się wpadnie na swój temat, gdy się mówić zacznie o rzeczach, które do osobistej profesyi należą. Tak chętnie się przypuszcza, że co nas zajmuje, wszystkich ciekawić powinno, a znużony czytelnik słusznie zapyta, czyż to jedyne pole wymowy, wszechnica, katedra profesorska? A teatr, a sądy, a kortezy?...

Więc porzućmy spiesznie uniwersytet i puśćmy się w inne strony miasta, w inne strony działalności i pracy naukowej. Oto właśnie odbieramy zaproszenie do Muzeum antropologicznego, na zagajenie kursów anatomii.

Zrazu się waham — czy pójść, lub nie pójść?

— Nie jestem lekarzem, przyrodnikiem... odpowiadam zacnemu memu przyjacielowi, profesorowi Vilanova, który z niezwykłą uprzejmością zaznajamiał mnie ze wszystkiem, co pod względem naukowym w Madrycie na uwagę zasługuje, i teraz właśnie nalega, by zwiedzić muzeum antropologiczne.

— Nietylko rzecz ciekawa jako muzeum — rzecze mi czcigodny profesor — nietylko pan zobaczy preparaty anatomiczne, ale zarazem mnó-

stwo ważnych okazów archeologicznych. Przedewszystkiem jednak najciekawsza — jest sama osobistość.

— Dyrektora muzeum? — zapytam ciekawie.

— Tak, istotnie; nie tyle jednak dyrektora, ile raczej samego właściciela.

— Byłażby to więc instytucya prywatna?

— Niewątpliwie — staraniem jednego człowieka stworzona, utrzymana i rozwijana — instytucya wielka, zasobna, jedyna w swoim rodzaju — dodał prof. Vilanova.

Trudno się było dalej opierać. Poruszono stronę ciekawości nie tyle archeologa, antropologa — ile wogóle człowieka wrażliwego na wszelką wiadomość o czynach poświęcenia dla dobra nauki, kraju, ludzkości.

— Więc zapewnie jaki światły książę, jaki magnat, wasz grand hiszpański? — brzmiało niebawem niecierpliwe me pytanie na takie zalecenie muzeum antropologicznego.

— Bynajmniej. Jest to don Pedro Velasco.

— Bankier, kupiec?

— I to nie. Lekarz, jeden z najwięcej wziętych tu w mieście, cieszący się wielkiem uznaniem, mąż pracy niepospolitej i niezwykłego serca. Zebrał w ciągu swej długoletniej praktyki znaczną fortunę i część z niej poświęca na cele ogólno-ludzkie, naukowe.

— Więc jedźmy, aby być na wstępnem dziś zagajeniu wykładów w muzeum. Droga dość da-

leka. Muzeum niemal za miastem, gdzie owe cieniste aleje.

W ciągu drogi dowiaduję się, że muzeum zbudowano niedawno, pięć lat temu, nakładem wyłącznie doktora Velasco.

Stajemy właśnie przed wielkim, wspaniałym gmachem, który budową swą przypomina świątynie greckie. Powagą i spokojem tchną te wysokie ściany i ten wielki dach sklepiony, pokrywający przybytek nauk. Po kamiennych schodkach wznosimy się w górę do przedsionka lub perestylu, który tworzą cztery wyniosłe jońskiego porządku kolumny. Na nich spoczywa u góry trójgraniasty fronton kamienny, na którym jaśnieje napis z portyku świątyni delfickiej: *Nosce te ipsum* (Znaj siebie samego) a nad napisem głowa Minerwy, otoczonej symbolami wiedzy medycznej, zwojami wężów, ziół i t. p.

Wchodzimy do wielkiej sali, mającej obszerności 6000 stóp. Światło spływa z góry ze szczytu. Na około ścian wznoszą się szeregiem jedna szafa oszklona za drugą, po bokach przy wejściu mieszczą się schodki żelazne, które prowadzą na galeryę, ciągnącą się w rodzaju dwóch łuków półkolistych.

Czcigodny gospodarz don Pedro Velasco, wita nas z niezwykłą uprzejmością i ani nam chwilki nie daje czasu, aby się bliżej przypatrzeć muzeum. W sali liczna zgromadziła się publiczność: przedstawiciele nauki wogóle, nauk przyrodzonych po

szczególe, lekarze wojskowi, świat dyplomatyczny, literaci i t. d. Tu znakomity Emilio Castelar się ukazał, Becerra, Acosta i inni. Przybyli także dwaj z ambasady chińskiej przedstawiciele państwa niebieskiego panowie, Li-Shu-Techang i Woo-Li-Fang.

Don Pedro Velasco już nie młody człowiek o siwiejącej głowie, na swej spokojnej twarzy nosi wyraźny obraz serca szlachetnego i zacnej duszy. Zagaił posiedzenie przemówieniem o Servecie.

Michał Servet stanowi chlubę Hiszpanów. Jeden to z nielicznych mężów, którzy się naukom ścisłym poświęcali. Właściwie Servet tylko z pochodzenia był Hiszpanem, urodziwszy się w małej wiosce w Aragonii, spędziwszy zaś cały swój wiek na pracy naukowej we Francyi i w Niemczech. Pierwotnie zajmował się prawem, później oddał się teologii, wreszcie medycynie. Za swoje teologiczne rozprawy, tchnące herezyą, przypłacił życiem w Genewie, podobno nawet za poduszczeniem Kalwina. Spalono go żywcem na stosie w 1553 r. Imię w medycynie zjednał sobie Servet obserwacyami co do krążenia krwi. Jego w tym względzie uwagi doprowadziły później do wyjaśnienia tego obiegu krwi z serca do płuc, który się małem krążeniem nazywa. Tę jego zasługę, to jego w medycynie znaczenie uwydatnił w swej mowie Velasco, rozwinąwszy ją na tle jego czynnego i wielce urozmaiconego życia. Przemówienie było gorące, przyjęte z entuzyazmem.

Po zagajeniu wykładów, Velasco oświadczył, że kurs anatomii pod kierunkiem pana Telles niebawem się rozpocznie. Trzeba bowiem dodać, że muzeum nie jest li zbiorem suchym, naukowym, anatomicznym i antropologicznym; jest ono zarazem instytucyą, gdzie się wykłady naukowe odbywają. Słuchacze dobrowolni z miasta, ktokolwiek chce i może, płacą bardzo niewiele, kilkanaście złotych na półrocze i otrzymują za to kilka godzin tygodniowo wykładu anatomii. Publiczność korzysta chętnie i dość licznie z tego przystępnego źródła wiedzy naukowej. Jak samo muzeum, tak i kierownik jego, asystent i wykładający utrzymywani są kosztem doktora Velasco. Właśnie po letniej przerwie wakacyjnej rozpoczną się wykłady, dla których niesłychanie ważną pomocą stają się te bogate zbiory, jakie nam łaskawie uprzejmy gospodarz pokazywać raczył po skończonej uroczystości.

Anatomia człowieka, oraz anatomia porównawcza przedstawia tu nadzwyczaj obfity i systematycznie zgromadzony materyał: są tu wzory, atlasy, przyrządy z papieru, gipsu i preparaty anatomiczne. Ale wogóle wszystkie gałęzie nauk przyrodzonych w przeróżnych okazach przedstawiają się bardzo ciekawie. Jest zbiór zoofitów, roślin morskich, mollusków kopalnych i t. p. Zasługuje także na uwagę dział antropologiczny, a szczególniej nader liczne okazy kraniologiczne. Prócz tego przyglądaliśmy się nie bez zajęcia wielu przedmiotom archeologicznym, przeddziejowym i historycznym. Po za główną salą mieszczą się mniejsze komnaty: w jed-

nej znajduje się biblioteka podręczna, w drugiej urządzona jest mała pracownia chemiczna, gdzie spotkasz przyrząd do światła Drumonta i t. p.

Byłem wdzięczny nieskończenie mojemu przewodnikowi, szanownemu prof. Vilanova, że mi dał możność poznania się z takim dobroczyńcą, jak dr. Velasco. Zawsze to taka, przyjemność, taka rozkosz prawdziwa spotkać się z ludźmi, którzy mimo wiek swój zachowali gorące uczucia dla tego wszystkiego, co w życiu jest zacnem, szlachetnem, wielkiem. A gdy wspomnę, że dr. Velasco sam zapracował ten grosz, który dla dobra powszechnego poświęca, a zapracował ciężko, jeszcze wyżej cenię jego szlachetne pobudki.

Jakżeż to łatwo wydać sąd o mieście, jego mieszkańcach, kiedy się poprzestanie tylko na zwiedzeniu hotelu, restauracyi, cyrku lub teatru. A jakżeż łatwo się pomylić!

Nie jedna to instytucya, która w Madrycie zawdzięcza swój początek i rozwój dobrej woli jednego człowieka lub grona kilku ludzi. Dzięki uprzejmości profesora Vilanova poznaliśmy inny zakład niemniej ważny, jak muzeum antropologiczne, nawet w skutkach swych donioślejszy. Jest to instytut wyższego wykształcenia kobiet.

Dziesięć lat temu utworzyło się za pobudką rektora uniwersytetu don Fernando de Castro prywatne stowarzyszenie, które położyło sobie za cel pomagać wyższemu wykształceniu kobiety.

Przyjęło ono nazwę: *Asociacion para la libera ensenanza de la mujer.* Pierwiastkowo powstała szkoła dla wyższych nauczycielek — *escuela de institutrices*, następnie w przeszłym roku rozwinęła się dalsza działalność towarzystwa. Utworzono oddział handlowy — *escuela de comercio.*

Jedna tu okoliczność zasługuje przedewszystkiem na uwagę. Do stowarzyszenia należą głównie profesorowie uniwersytetu i innych zakładów, którzy bezpłatnie udzielają wszystkich lekcyj. Ich ofiarnością stoi instytucya i powoli coraz pomyślniej się rozwija. Opłata za prawo uczęszczania na kursa jest bardzo nieznaczna, chodziło bowiem o to, aby uprzystępnić naukę dla mniej zamożnych kobiet. Dochody przeto z tego źródła wystarczają zaledwie na najważniejsze potrzeby i pomocy przy wykładzie, na najem lokalu, oświetlenie i t. d. Na czele zakładu stoi poważna matrona, ceniona tu dla swej chlubnej działalności jako ochmistrzyni pensyonatu prywatnego, dona Ramona Aparicio. Jej najbliższą przyboczną radę stanowi kilka pań poświęcających się nauczaniu, a dalszą ogólną radę tworzą wszyscy profesorowie razem.

W szkole nauczycielek wykładane są nauki historyczne, literatury, języki, tudzież nauki przyrodzone. Można albo jednej poświęcać się gałęzi, albo połączyć obie. W takim razie w pierwszym roku uczęszcza się na wykłady z nauk przyrodzonych, a następnie na lekcye historyi, literatury, estetyki i t. d. Kurs trwa od października lub listopada do końca maja, oczywiście tylko w godzi-

nach wieczornych, kiedy i profesorowie są wolniejsi i uczennice więcej mają czasu po swych zajęciach całodziennych.

W oddziale handlowym wykład trwa podobnież w ciągu dwu lat na dwu kursach i obejmuje w pierwszym roku naukę języków: angielskiego i francuzkiego, obok arytmetyki i kaligrafii, a w drugim korespondencyę handlową, towaroznawstwo, wiadomości z prawa handlowego i inne.

Najwięcej zwrócono starania ku rozwinięciu oddziału, w którym się kształcą kobiety na nauczycielki. Brak dobrych nauczycielek, jak słyszałem, oddawna czuć się daje w Hiszpanii. Sprowadzano, jak i u nas, cudzoziemki, głównie z Francyi, które kierowały i kierują wychowaniem i wykształceniem domowem w zamożniejszych domach. Sami najlepiej wiemy, jakie smutne następstwa prowadzi za sobą ten środek. Hiszpanie od lat kilku wziąwszy się do pracy wewnętrznej, na niedogodność sprowadzania cudzoziemek zwrócili od razu uwagę. Ta prywatna jednak szkoła, która stoi ofiarnością nielicznego grona osób, oczywiście nie zaradzi złemu w całym kraju; zawsze atoli uznać trzeba szlachetne usiłowanie, zacne pobudki. Może z czasem przykład podziała i na sfery rządzące. Co rok wychodzi z zakładu od 10-ciu do 15-tu uczennic ze stopniem *maestra superior*. Znajdują one pomieszczenie albo w domach, albo na pensyach prywatnych, niekiedy także i w średnich szkołach rządowych.

W ciągu kilku ostatnich tygodni odbywały się w zakładzie egzamina ostateczne. Na przedmioty z historyi powszechnej, hiszpańskiej, z literatury hiszpańskiej, oraz literatury i sztuk pięknych, otrzymałem zaszczytne ze strony dyrekcyi zaproszenie, z którego też skorzystać nieomieszkałem. Egzamin odbywał się w wieczornej porze w zakładzie, wobec dość licznie zgromadzonej publiczności. Była to kontrola jawna, która miała zaświadczyć o postępach uczennic w naukach. Ośm czy dziewięć kandydatek stanęło do ostatecznej próby. Dwugodzinny egzamin ze wzmiankowanych wyżej przedmiotów dał nam możność ocenienia zakresu i sposobu wykładania nauki dla kobiet.

Ze szczególniejszą przyjemnością przysłuchiwaliśmy się odpowiedziom z dziejów powszechnych oraz z historyi Hiszpanii. Historyę powszechną wykładał prof. Manuel Pedrayo. Zakres samego przedmiotu nie wydał nam się zbyt rozległym. Trzy części historyi były wyłożone tak, jak u nas w wyższych klasach pensyonatów żeńskich, ale w odpowiedziach uczennic znać było, na co mianowicie zwrócono baczniejszą uwagę. Otóż opowiadanie samo zdarzeń chronologicznie ze sobą powiązanych było na drugim planie, głównie starano się zarysować całą grupę wypadków, określić stopień ich znaczenia, rolę ich w dziejach całego narodu lub okresu. Może niekiedy takie objaśnienie wypadków wyprowadzić uczniów lub uczennice na płytkie fale czczych rozumowań, zwłaszcza, jeśli niemasz szerokiej podstawy, gruntownej znajomości samych zda-

rzeń w pewnym zakresie; jednak zachęca ono i pobudza do głębszego zastanawiania się nad losami społeczeństwa lub narodu. Z dziejów rzymskich zapytane uczennice o losy rzeczypospolitej, umiały trafnie określić charakter wewnętrznego rozwoju instytucyj walki toczonej przez plebeuszów przeciwko patrycyuszom i t. d.

Historya Hiszpanii nie była dość szczegółowo traktowana, jakby przystało na dzieje narodowe. Nadto i tu zauważyć można było ten brak, który i w naszych szkołach i gdzieindziej wykładom historyi odejmuje wiele wartości i powabu, a mianowicie, że dzieje nie są doprowadzone do ostatnich czasów. Jest to wada ważna, istotna. Najbliższe lata, które z bieżącą chwilą tylu węzłami przyczynowemi są powiązane, pozostają zupełnie w ukryciu, zaniedbane, wtedy gdy na nie również baczną zwrócićby należało uwagę, jak na zawiązki państwa lub pierwsze dzieje narodu. Jednak w tym zakresie, w jakim została wyłożoną historya Hiszpanii, dobrze się odbiła w odpowiedziach uczennic. Wogóle uderzała bardzo mile jedna okoliczność: gładkie, potoczyste i piękne wysłowienie, łatwość słowa. Widocznie i kobiety posiadają ten wrodzony mówczy talent, który przy starannej uprawie ze strony przewodnika czy nauczyciela rozwija się według zasad logiki i estetyki i podwójnie przyjemnym staje się w ustach kobiety. Odpowiedzi niewyuczone oczywiście na pamięć, bośmy nieraz sami za pośrednictwem nauczyciela zadawali pytania, płynęły tak swobodnie i z takim wdziękiem, że podno-

siły nadobność i powab kastylijskiego języka. Zapewnie na to umiejętne władanie rodzinną mową wpływa i ta okoliczność, że Hiszpanie i Hiszpanki tak kochają swój język, jak każdy naród swoją macierzyńską mowę kochać powinien. A przedewszystkiem, choć Hiszpankom łatwo przychodzi język francuzki z powodu wielkiego obu języków podobieństwa, i choć płynnie nim nieraz mówią, nigdy jednak nie dadzą pierwszeństwa innemu przed swoim własnym. Mówić między sobą po francuzku, jak się to u nas dzieje w wielu domach, byłoby uważane za grzech śmiertelny, za obrazę honoru narodowego.

Możeby z tego istnienia szkoły nauczycielek wnosić poniekąd należało, że wykształcenie kobiety nie sięgnęło jeszcze wysoko, że nawet w stolicy mało jest rozpowszechniona między Hiszpankami wyższa wiedza. Można w tym względzie być pobłażliwym, można im darować tę mniej staranną uprawę umysłów — jeśli pod względem moralnym stoją na wysokości — swego zadania. A skoro kobieta strzeże obyczaju narodowego i mowę ojczystą tak uszanować umie, jak się o tem powiedziało, skoro potrafi pielęgnować cnoty rodzinne, być jak Westalka kapłanką u nieskalanego ogniska domowego, jeszcze nie poczytamy jej za skazę, skoro nie posiądzie całej mądrości książkowej świata tego.

Jestże istotnie kobieta w Hiszpanii tem, czem niewiasta w każdym narodzie być powinna?

Odpowiedź tu trudna, zwłaszcza dla obcego, który zaledwo kilka razy rzucił okiem na świat rodzinnego życia w Hiszpanii, na świat tak zwykle z natury swej niedostępny dla wzroku przybysza, cudzoziemca.

Czemże jest w rzeczy samej kobieta w Hiszpanii? — pytałem w duchu i pytałem daremnie.

Kto inny, lepiej od nas znający Hiszpanią i jej życie rodzinne, bo Hiszpan rodowity, dał nam odpowiedź w tej mierze. Czy trafną, słuszną? nie nasza rzecz sądzić. Dał ją nam nie kto inny — tylko sam Emilio Castelar. Tak, przygodnie wśród rozmowy ze znakomitym mężem o tę sprawę potrąciłem.

— Niemasz — mówił ze szlachetnym do nas zapałem Castelar — niemasz, jak życie rodzinne w Hiszpanii, którego prawdziwą kapłanką jest nasza kobieta. Przekonałbyś się pan o tem, gdybyś tu dłużej między nami pomieszkał. Uroda naszych kobiet wraża w umysł cudzoziemców to przekonanie, że z tą krasą wiosenną i naturą południową łaczy się nieodzownie lekkość i płochość. Nigdzie jednak życie rodzinne nie jest tak czyste i moralność nigdzie tak wielka, jak w naszych domach.

Jeśli tak jest istotnie, jak twierdzi znakomity Castelar, chętnie darujemy kobietom winę za mniej wysoką naukę, za mniej głęboką erudycyę.

Oddział handlowy w zakładzie, o którym była mowa, przygotowuje do zawodu praktycznego.

Że kobieta może w pewnym zakresie tych zajęć pracować z korzyścią, któżby temu chciał przeczyć. Zdaje się, że nawet bez wielkich trudności praca jej znajduje w tej mierze zastosowanie. Już kilka razy zdarzyło nam się widzieć kasyerki i buchalterki na kolejach, w zakładach prywatnych. Więc, i tu powoli otwierają się szranki dla produkcyi pracy kobiet, która strzeże je od nędzy, biedy, albo bezmyślnego i niemoralnego trawienia czasu na niczem.

Z tego świata naukowego, z zakresu wykształcenia mamy jeszcze do podania kilka rysów charakterystycznych. Już to, co się wyżej przytoczyło zdaniem naszem lepiej maluje stan umysłowy społeczeństwa, stan nauki, niż długie rozprawy lub rozpamiętywania, albo uwagi ogólne, nie oparte na gruncie rzeczywistości. Jeśli to nie będzie nadużyciem cierpliwości czytelnika, jeszcze z nim na chwilę pragniemy wstąpić do innych przybytków, gdzie krzewi się oświata i umysł posilną znajduje strawę. Mam tu na myśli biblioteki, a przedewszystkiem nie te, gdzie spoczywają pyłem pokryte pergaminy, gdzie badacze ślęczą nad wielkiemi foliantami, ale mniejsze krynice, nieustannie tryskające wodą świeżej wiedzy.

Od lat już wielu istnieje tu w Madrycie prywatne stowarzyszenie literacko-naukowe, noszące tytuł *el Ateneo;* jest to rodzaj klubu albo resursy, właściwie zaś kółko literacko-biblioteczne. Resur-

są—jak u nas istnieją owe nieszczęśliwe instytucye, gdzie się w karty grywa po całych nocach—nie jest bynajmniej Ateneum madryckie. Niemasz też przy niem żadnej restauracyi; tylko kawy i herbaty można dostać na posiłek przy pracy naukowej, lub przy rozrywce umysłowej.

Ateneum ma przedewszystkiem cechę stowarzyszenia w szlachetniejszem znaczeniu. Należą tu profesorowie, literaci, inteligencya w ogóle, mężowie stanu, adwokaci i t. p. Opłata roczna wynosi około 12 rubli. Jedna najobszerniejsza sala poświęcona jest na gazety, pisma codzienne, polityczne. Znalazłem tu niesłychanie bogaty zbiór dzienników we wszystkich językach romańskich, niemieckie, angielskie. Miejscowe hiszpańskie są w tak wielkiej liczbie, że się tu dopiero nabiera pojęcia o bardzo znacznym ruchu piśmienniczo-dziennikarskim w Hiszpanii. Druga przyległa sala obejmuje pisma tygodniowe, illustrowane, miesięczne, oraz wszelkie specyalne ze wszelkich gałęzi pracy ludzkiej.

Między temi salami, gdzie się mieszczą czytelnie, a innemi, które służą do prac poważniejszych, ciągną się saloniki, długie korytarze, poświęcone dla towarzyskich stosunków. Na wygodnych sofach, zbytkownie urządzonych meblach, krzesłach i t. d., w większych lub mniejszych grupach, tu i owdzie rozrzuconych, siedzą ci, którzy ze znajomymi się spotkawszy, żywo rozprawiają o wypadkach dnia z dziedziny nauki lub literatury, najczęściej zaś z pola polityki bieżącej.

Szczególniej zasługują na uwagę dwie wielkie sale, gdzie przy wygodnych stołach można oddać się czytaniu książek poważniejszych lub nawet pracy literackiej, naukowej. A książek tych nie brak tu bynajmniej; jest ich około 20 tysięcy. Biblioteka Ateneum należy do najzasobniejszych w mieście; przytem jest utrzymywana w wielkim porządku, przez dwóch bibliotekarzy, którzy codzień na zmianę pełnią swe obowiązki ku wygodzie członków, wydając im natychmiast na żądanie potrzebne książki. Wielki drukowany katalog ułatwia poszukiwania. Nowo przybywające książki zapisują się w dodatkach, dołączonych do katalogu.

W jednej sali stojące przy ścianach rozległe i otwarte szafy, mieszczą w sobie książki podręczne, encyklopedye, słowniki, atlasy, a wszędzie panuje bardzo trafny i staranny wybór. Nawet w publicznej bibliotece narodowej nie znalazłem dziesiątej części tych książek, z jakich w ciągu mego kilkotygodniowego pobytu korzystam w Ateneum, dzięki niezwykłej uprzejmości zarządu, który mi gościnne otworzył podwoje tej wzorowej instytucyi. W ogólnym zbiorze książek przeważa oczywiście literatura narodowa, hiszpańska, ale nie mniej bogatą jest biblioteka pod względem dzieł zagranicznych. Znakomitsze utwory angielskie i niemieckie, nie mówię już o francuzkich, znajdują się tu we wszystkich gałęziach wiedzy i pracy umysłowej ludzkiej. Nie brak również i beletrystyki. Powieść, poezya, dramat dość licznie ukazują się tu na półkach.

W sali jednej i drugiej, które są poświęcone dla pracy poważniejszej, panuje grobowa cisza, choć u stołu siedzi niekiedy dwadzieścia i trzydzieści osób. Wszelkie dogodności znajdzie każdy członek pod ręką: pióra, ołówki, atrament, papier listowy i zwyczajny w najrozmaitszych formatach, koperty i t. d. Są literaci, są uczeni, profesorowie, którzy przychodzą tu na cały wieczór i tu piszą swe artykuły, tu osnuwają pomysły do swych prac literackich lub naukowych, tu je urzeczywistniają, przelewając w części lub w całości i w ostatecznym kształcie swe myśli na papier.

— Czy nie dogodniej panu w domu pracować? — pytam jednego z członków Ateneum, który tu stale co wieczór przybywa i tu pisuje swe artykuły treści naukowej do dzienników.

— Nie, Senor mio — odpowie zapytany. — Tu mi idzie praca łatwiej, żwawiej. Ten blask wieczorny, to otoczenie, ten tłum ludzi czytających, pracujących, pobudza mnie, ożywia. Gdybym był poetą, tobym tu tylko mógł czerpać natchnienie. Zresztą mam pod ręką tyle książek, których w domu nie posiadam, a gdy pragnę po kilku godzinach odetchnąć, idę do sal następnych, spotykam znajomych, rozpoczynam rozmowę... i przerywam, gdy mi do pracy znów wypada wrócić.

— Przyznaję, że pewne dogodności przedstawia taka biblioteka... dla ludzi niefamilijnych — ale dla ojców rodzin, którzyby tu codzień na kilka godzin przybywali...

— To i dla nich są pewne dogodności — rzecze mi zapalony wielbiciel Ateneum. — Przez całą porę zimową i wiosenną mamy co tydzień jeden lub dwa odczyty w przyległej wielkiej sali. Mogę ją panu pokazać.

— Więc na te odczyty przybywa także płeć piękna?

— Tak jest — doda mi Hiszpan. — Wstęp bezpłatny. Członkowie rozdają bilety wejścia swoim żonom, córkom, znajomym. Konferencye albo odczyty są bardzo uczęszczane. Więc widzisz pan, że nie sami tylko panowie korzystają z naszego Ateneum.

Sala, do którejśmy weszli, prowadząc powyższą rozmowę, przedstawia się bardzo pięknie. Posiada cały szereg wygodnych krzeseł, co najmniej dla trzystu osób. W głębi jej mieszczą się dwie katedry: jedna dla przewodniczącego instytucyi, druga, niżej będąca — dla prelegenta. Odczyty zwykle obejmują jakiś większy dział nauki, przedmioty żywotniejsze z literatury, historyi. Nie są jak u nas oderwane, ale ciągną się w pewnym szeregu trzech, czterech, pięciu lub sześciu odczytów. Ponieważ zaś trwają w przeciągu kilku miesięcy, jest więc i rozmaitość między niemi.

Dla Ateneum madryckiego powziąłem szczery szacunek. Z zazdrością patrzę na instytucyę, której brak tak dotkliwie czuć się daje w Warszawie, a która jednak pomyślnie się rozwija na gruncie tak mało jeszcze przygotowanym do głębszej pracy na-

ukowej. W każdym razie — to objaw pocieszający, to usiłowanie zacne, szlachetne, świadczące dobrze o zrozumieniu potrzeb umysłowych.

W tym kierunku miałbym jeszcze coś do przytoczenia. Niech mi kilka słów wolno będzie powiedzieć o innej a podobnej instytucyi, choćbym miał nawet ściągnąć na siebie niezadowolenie znużonego już czytelnika. Ale dla nauki, dla przykładu... Mądrej głowie... Nawet w Madrycie można się przypatrzeć rzeczom pożytecznym i czegoś się nauczyć.

Istnieje tu resursa kupiecka, kropla w kroplę to samo, co w Warszawie: stowarzyszenie kupców dla rozrywki wspólnej. *El circeulo de la Union Mercantil* posiada bardzo obszerne salony, gdzie wieczorem po całodziennej pracy rozlega się wesoła rozmowa, albo huk kul bilardowych lub zielenią się stoliki. Są sale przeznaczone dla gazet, gdzie nie brak również czytelników. Ale jedna okoliczność zasługuje na uwagę: resursa posiada także salę na odczyty i urządza je przez całą porę zimową i wiosenną dla swych członków. Ponieważ w kole stowarzyszonych możeby się nie znalazła odpowiednia liczba chętnych lub zdolnych prelegentów, zarząd resursy albo uprasza z innych sfer osoby do wystąpienia na katedrze, albo za odpowiedniem wynagrodzeniem powołuje do siebie odpowiednich prelegentów.

Co tydzień odbywa się odczyt, niekiedy bywa ich więcej. Lubo stowarzyszenie kupieckie jest

kółkiem zamkniętem, jednak z całą łatwością uzyskałem pozwolenie przysłuchania się pierwszej prelekcyi urządzonej na zagajenie sezonu zimowego. Byłem zbudowany, widząc salę obszerną, zapełnioną szczelnie w godzinie wieczornej, kiedy się odczyt odbywał. Wszyscy członkowie porzucili swoje szachy, bilardy, stoliki zielone, aby wysłuchać przemówienia, które miał profesor Pedrayo, ten sam, z którymeśmy się już osobiście poznali, podczas egzaminu z historyi powszechnej w szkole nauczycielek.

Pan Pedrayo, zasiadłszy przy stoliku nieco podwyższonym, w towarzystwie dwu starszych członków zarządu, zaczął mówić „O znaczeniu opinii publicznej"; mówił niemal półtory godziny z niesłychaną łatwością, swobodą, może nieco ze zbyt wielkim pośpiechem. Dodać winienem, że przemawiał z pamięci, bez żadnych notatek.

— U nas inaczej mówić nie można — rzecze mi jeden z kupców a sąsiad mój w sali — kiedym chwalił płynną wymowę profesora Pedrayo.

Istotnie do żywej wyobraźni południowej przemówić tylko może żywe słowo. Wszystko tu jest ruchem, życiem. Fantazya mówcy tak jest czynną, tak silną, że mu bez przerwy nasuwa obrazy, porównania, myśli, które on w lot chwyta i oddaje w sposób barwny i wdzięczny.

A przemawiał mówca nadto do uczucia, do przekonania. Argumentował dobitnie, dowodził wszechstronnie. Nie było tu wprawdzie tego spo-

koju klasycznego, którym tchną drukowane mowy, ale bo też przemawiał do zgromadzenia żywego. Mniej mu nieraz o wykończenie artystyczne frazesu chodziło, ile o uwydatnienie swej myśli, wyłożenie jej jasne, o wrażenie jej w umysł słuchacza. Publiczność także brała udział żywy w wykładzie. Mówca i słuchacze byli jakby w ciągłej wymianie swych myśli i uwag. Czuć było żywy związek między katedrą a salą. Jakiś prąd elektryczny przebiegał z ust prelegenta do duszy słuchaczów. Kiedy mówca mówił dobrze, przekonywająco, kiedy poruszył serca, umysły i jakim zwrotem retorycznym odwoływał się do słuchaczy, zaraz odgłos znajdował. Zaraz mu potakiwali gestem, głową i głośnem słowem. Bueno! bueno! powtarzały kilkudziesięciu, może kilkuset słuchaczów usta. I jeszcze raz „bueno" — a głośno, a żwawo, a z coraz większą gorączką. Wtedy zapał mówcy się podnosi — on czuje, że trafia do przekonania, że się podoba. Więc go to zachęca, dodaje mu otuchy; już w głosie jego czuć żywszą intonacyę, pewność siebie, zadowolenie, radość. I ta wymiana wzajemna oddziaływa zarówno na mówcę, bo ten spostrzega, że porywa słuchaczy, jak na publiczność, która się cieszy, widząc prelegenta promieniejącego wobec oznak jej uznania.

Po skończonym odczycie jedni jeszcze pozostali, aby z prelegentem zacząć dyskusyę w przedmiocie przezeń poruszonym, inni znów do swych zabaw i rozrywek wrócili. Ten objaw — tak trafnego zrozumienia potrzeb umysłowych ze strony

stowarzyszenia kupieckiego czyli resursy, bardzo mi się podobał. Resursa składa się po większej części z ludzi zamożnych, ma zresztą z rocznych wniosków fundusze znaczne; robi więc dobrze, chwalebnie, dając nieraz mniej zamożnym a zdolnym literatom lub nauczycielom sposobność zyskania lepszego wynagrodzenia, niż za artykuły lub lekcye prywatne. A członkowie sami, którzy przybywają w tak licznem gronie słuchać odczytu, albo raczej przemówienia, czyliż nie dają o sobie pięknego świadectwa, iż potrafią połączyć przyjemne z pożytecznem — *utile cum dulci*... U nas zdaje się jest inaczej. Resursy — o ile wiem, służą podobno za miejsce ulegalizowane do gry w karty.

Połączmy teraz rozrzucone tu i owdzie rysy w syntezę. W różnych kierunkach spostrzegać się dają piękne i zacne usiłowania ku zdobywaniu wiedzy, ku szerzeniu oświaty. Nauka wprawdzie żywi się głównie zdobyczami zagranicznemi, zresztą po tylu wiekach zaniedbania, nie tak łatwo zaszczepić na wyjałowiałym gruncie krzew tak delikatny i subtelny, jak nauka, potrzebująca długiej i starannej uprawy. Ale od strony sąsiednich lub blizkich narodów wieje wiatr poczucia potrzeby wyższej oświaty. Prywatne usiłowania ku podźwignieniu podupadłej umysłowości tu i owdzie spostrzegać się dają. Nie wystarczą one jednak dla skutecznego oddziaływania, skoro samo państwo, władze naczelne, rządowe, ręki swej nie przyłożą i środków materyalnych w wielkiej ilości nie dostarczą. Czas ten, o ile się zdaje, jeszcze nie nadszedł. Jeszcze

wielki dług publiczny, jak zmora dusi w Hiszpanii swobodne tchnienie. Zamęt, sprowadzony przewrotami lat ostatnich, nie tak prędko się skończy, nie tak prędko też zapanuje ład i porządek wewnątrz. Wojsko pochłania znaczną część funduszów publicznych i staje się nieznośnem dla Hiszpanii ciężarem. Wskutek tego cierpią inne organa życia narodowego, oświata — a w ślad za nią moralność.

To liczenie się z groszem, ta oszczędność rządu, ta skąpa ręka, a przynajmniej te szczupłe fundusze — to wszystko przeziera widocznie, z takiej naprzykład instytucyi, jaką być powinna biblioteka publiczna, biblioteka w stołecznym grodzie — jedynie przystępne źródło dla pracowników naukowych, literatów i wogóle dla kształcącej się publiczności.

Biblioteka publiczna, zwana tu narodową, z pozoru swego przedstawia się bardzo niekorzystnie. Wszędzie widać ubóstwo, zaniedbanie. Wewnątrz na oko wygląda lepiej, pokaźniej, szczególniej w sali rękopisów i inkunabułów. Złożona z książek po większej części klasztornych, mało zasilana w nowszych czasach nowemi nabytkami, nie dostarcza pomocy potrzebnej i koniecznej dla tych, co stojąc na wysokości nauki europejskiej, dalej ją uprawiać zamierzają. Brak nowszej literatury zagranicznej bardzo dotkliwie czuć się tu daje. Oczywiście dział literatury i historyi hiszpańskiej jest lepiej obsadzony. Jedna wielka sala poświęcona jest dla czytelników, chcących korzystać z biblioteki.

Sławę jej ratuje niesłychane bogactwo pod względem rękopisów. Nie brak tu pergaminowych zwojów i ksiąg greckich, rzymskich, szczególniej zaś hebrajskich i arabskich z epoki kwitnienia nauki średniowiecznej Hiszpanii. Nieprzebrane jednak źródło otwiera się tu dla historyka. Niemasz jednej prowincyi, jednego miasta, jednego panowania z dziejów Hiszpanii, do którychby tu nie znalazł bardzo obfitych materyałów. Nie mniej wielkie zasoby spotka tu badacz, któryby się dziejami cywilizacyi, dziejami literatury chciał zająć.

Z niemniejszym pożytkiem przeglądaliśmy dział inkunabułów, czyli książek *del primero siglo de imprenta* — z pierwszego wieku wynalezienia druku. Znaleźliśmy tu kilka rzadkich egzemplarzy z końca XV-go stulecia, drukowanych w Sewilli przez drukarza Polaka. Jednym z pierwszych, bodaj czy nie najpierwszych drukarzy w Hiszpanii — a któż nie zna ich doniosłości w każdym kraju w epoce wynalezienia druku — był Polak Stanisław. Druki jego należą do najcenniejszych w Hiszpanii. Posiada biblioteka madrycka kilka podobnych białych kruków. W Sewilii będzie ich więcej. Przyjrzymy się wszystkim, aby dać kiedyś o nich dokładniejszą wiadomość. Może nam przybędzie więcej szczegółów do życia i działalności tej ciekawej postaci.

Ścisłość wymaga, abyśmy dodali, że prócz biblioteki narodowej istnieje jeszcze cały szereg innych, mniej lub więcej przystępnych dla publiczności. Są to zbiory, służące wyłącznie pewnej insty-

tucyi. Jest dość bogata biblioteka dworska, uniwersytecka, jest oddzielny księgozbiór fakultetu medycznego, akademii historyi i t. d. Ku wielkiej szkodzie nauki, biblioteki te rozstrzelone, dla pewnych kół stanowią dogodności, dla ogółu atoli zawsze dotkliwie czuć się daje brak jednej wielkiej, zasobniejszej.

X.

Castelar, jako mówca, literat i mąż stanu.—Literatura współczesna. — Teatr.

Pisaliśmy o wymowie.

Nie wymieniliśmy najważniejszego nazwiska. Mógłby nam ktoś słusznie zarzucić, że w biały dzień milczymy o słońcu, rozwodząc się wiele nad gwiazdami drugiego rzędu.

Co prawda, nie nasza w tem wina.

W Madrycie nie tak łatwo zapomnieć nazwisko, które brzmi ustawicznie na ustach w kółkach literackich, towarzyskich, które powtarza niemal codzień ta lub inna gazeta.

Wyjdź na ulicę, spójrz w okna księgarskie. W liczbie nowości wystawionych na pokaz spotka twój wzrok niewątpliwie albo jakiś świeży utwór, albo dawniejszy w odnowionej szacie z nazwiskiem na czele, które brzmi tak powabnie, jaśnieje tak świetnie.

Weź pismo peryodyczne albo illustracyę, a pewnie spostrzeżesz na samym wstępie to samo wdzię-

czne pióro, to poetyczne słowo, tę barwną paletę jednego z najświetniejszych, jednego z najwięcej utalentowanych w Hiszpanii literatów.

Wstąp do gmachu posiedzeń sejmowych, gdzie obradują kortezy, czyli członkowie izby poselskiej. Wprawdzie to czas feryjny, życie nie wre i nie kipi — wszędzie zaległy pustki. Rzucasz więc tylko okiem na wspaniałą salę, na miejsca, gdzie siaduje ta lub inna grupa parlamentarna. Przewodnik, który cię oprowadza, nie zapomni wskazać stolika, krzesła, gdzie zasiada deputat, znany z Barcelony; nie zapomni, przechodząc około mównicy, dodać, że tu z tego miejsca roztacza blaski swej świetnej wymowy znakomity mówca sejmowy, trybun niepospolity.

W akademii hiszpańskiej jeszcze ciągle przypominają ci wielką uroczystość, która się odbyła przed kilkoma miesiącami, kiedy krzesło akademickie ofiarowano sławnemu niegdyś profesorowi, dziś pracującemu na szerszej widowni życia politycznego.

Któżby w Madrycie, choć kilka dni posiedziawszy, mógł o Castelarze zapomnieć?

Od pierwszej chwili mego tu przyjazdu pałałem gorąco chęcią poznania tej świetnej gwiazdy, tego poety, powieściopisarza, historyka, filozofa, ministra i dyktatora.

— Pan znasz Castelara? — pytam ciekawie mego zacnego przyjaciela Hiszpana.

— Któżby go nie znał — odpowie zapytany.

Pytam przy sposobności drugiego, pytam profesorów, literatów, mężów stanu. Od każdego otrzymuję tę samą odpowiedź.

Moja niecierpliwość wzrasta, ciekawość się zaostrza. Ale Castelara nie masz w mieście, jeszcze nie wrócił ze swej wakacyjnej wycieczki, ze swego letniego *otium*.

Więc jak pisać o mówcy, którego głosu nawet nigdy się nie słyszało, którego się nigdy na oczy nie widziało? A polegać znów na cudzem zdaniu, powtarzać, co inni mówią o nim, jakiż to grunt chwiejny, a źródło mętne...

Pytam jednego — jak wygląda Castelar, jaką ma postawę, jakie wrażenie sprawia na widzu, wyniosły-li, majestatyczny, okazały?

Przeciwnie — tak odpowiada nam zapytany— pozory żadne, postawa żadna i w towarzyskiej rozmowie żadnej wskazówki, żeby to być mógł świetny mówca.

Inny znów twierdzi, że właśnie postawa ujmująca, oko błyszczące, twarz natchniona, piękność prawdziwa.

Komu tu wierzyć wśród tych sprzecznych zdań i sądów?

Chyba czekać, aż go sami ujrzymy. Ale czy go usłyszymy na mównicy?

Wątpię. Kortezy odroczone na kilka miesięcy. Zbiorą się zaledwie w końcu grudnia. Wprawdzie nie zbraknie Castelarowi materyału do wypowiedzeani świetnej mowy w imieniu stronnictwa, którego

jest hetmanem; ale czekać aż do owej chwili nam niepodobna. Już wtedy wracać wypadnie do rodzinnych penatów. Chociaż umyślnie tu przybyć, aby posłuchać Castelara, to rzecz w Hiszpanii dość powszechna. Z prowincyi przyjeżdżają ludzie do Madrytu podczas posiedzeń kortezów i tygodnie całe czekają, żeby przysłuchać się raz mowie wielbionego oratora.

Jego złotousta swada ma ustaloną reputacyę. Jak Orfeusz dźwiękami lutni swej sprawiał, że za nim szły głazy, skały i góry, tak i Castelar umie być podobnym czarodziejem. Jego sława oratorska przypomina mi głośne imię, jakiego pod koniec życia swego używał Liwiusz, który powabem opowieści potrafił oczarować spółczesnych do tego stopnia, że z dalekiej Hiszpanii wybrał się umyślnie do Rzymu jeden z wielbicieli jego talentu, aby go raz w życiu widziec.

Kiedy Castelar mówi w kortezach, o tem naprzód wie już całe miasto. Dostać się wtedy na galeryę—uważane jest za szczyt szczęścia. Kortezy—to nie teatr, gdzieby się tysiące słuchaczów pomieścić mogły. Mowa trwa godzinę, półtory lub dwie. Kiedy przed kilkoma miesiącami przemawiał w akademii po raz pierwszy, mówił bez odpoczynku dwie z górą godziny.

Castellar jestto prawdziwie natchniony mówca. Mówi z pamięci, bez przygotowania, albo na temat, wprzód tylko głębiej obmyślany. Upaja on słuchaczy słodyczą swojego głosu, a więcej jeszcze skończoną poezyą treści, osnowy. Każde

zdanie, które z ust jego wypłynie, całe szeregi zdań — noszą na sobie w ogóle i w szczególe piętno artystycznego piękna. Jedna wielka harmonia panuje w całości, jak i w pojedyńczych częściach. Nigdzie nie czuć sztuki, maniery; owszem, wszędzie przebija swoboda, naturalność. A jakaż niepożyta siła fantazyi, niewyczerpane źródło najwspanialszych obrazów, trafnych porównań i świetnych przenośni. Wytworny smak, miara prawdziwie klasyczna trzymają bujną wyobraźnię na wodzy i nie pozwalają jej zaćmić swym blaskiem jasności logicznego dowodzenia.

Jego mowa — dodał mi w końcu przyjaciel mój Hiszpan, unosząc się nad uznanym zresztą powszechnie talentem krasomówcy hiszpańskiego, jest jedną wielką melodyą, najcudowniejszą muzyką naszego dźwięcznego, śpiewnego języka, kryształową kaskadą najpiękniejszych porównań, skończonym artyzmem, szczytem doskonałości.

Tem więcej żałuję, że go nie usłyszę na mównicy. Więc żeby uspokoić trawiącą gorączkę poznania krasomówcy hiszpańskiego, przeglądam chciwie jego prace dawniejsze i najnowsze. Właśnie ukazała się w druku jego mowa, wypowiedziana przy wstępie do akademii, wraz z przerobionem studyum dawniejszem o Lukanie. Są także oddzielnie wydane jego *Discursos parlamentarios.* Przeglądając te utwory, stwierdzam na każdej stronnicy prawdziwość pochwał, które mu pełną ręką sypie krytyka.

Przekłady francuzkie, które nam się dawniej czytać zdarzało, nie oddają dość wiernie piękności, jakie się ukrywają w samym oryginale, w majestatycznej powadze, w harmonijnej dźwięczności kastylijskiej mowy.

Castelar jako literat ma już ustaloną reputacyę. Talent mówczy stanowi niewątpliwie najwybitniejszą cechę jego zdolności. Na niwie zaś piśmienniczej najświetniej zalecają go przedewszystkiem prace literackie, jego podróże: *Recuerdos de Italia* i świeżo wydane *Viaje à Paris,* jego utwory literackie w illustracyi hiszpańskiej, tudzież w piśmie tygodniowem, do którego dziś najwięcej pisuje — *America,* wychodzącem w Madrycie. Wszędzie przebija blask świetnego talentu, pociąga artystyczna forma, czaruje urok poezyi w prozie, zniewala miodopłynny tok nadobnego słowa.

Castelar ma atoli nietylko barwną paletę i wysokie poczucie piękna artystycznego, bo ten koloryt świetny, ta ogłada zewnętrzna, ta bogata szata powierzchowna, nie mogłyby wystarczyć dla wywołania trwałego, potężnego efektu, gdyby nie treść głęboka, którą tak powabnie sama forma wyraża. A tej treści obfitej dostarcza rozległa wiedza, wszechstronna nauka, nabyta w ciągu długich lat pracy spokojnej, w czasie dalekich po za granicami kraju podróży i wskutek tak świetnej niedawno karyery politycznej.

W 25-ym roku życia swojego (1857 r.) został profesorem przy uniwersytecie madryckim i zaczął

wykładać literaturę i filozofię. Dziewięć lat trwał ten zawód, pełen sławy, świetności, okres podrastania zdolności, rozwijania się talentu mówczego i szerokiego kształcenia się na polu filozofii, historyi, okres zgłębiania systematów Kanta i Hegla, badania dziejów powszechnych i budowania własnego gmachu przekonań politycznych, czysto demokratycznych.

Profesor literat został niebawem publicystą, założywszy dziennik w 1864 roku, redagowany wraz z Carrasconem, noszący tytuł wyraźny i programat jasny: „La Democracia." Castelar ściągnął na siebie podejrzenie, że należał do agitacyi przeciw-burbońskiej. Kiedy w 1865 roku minister Narvaez stanął na czele silnej reakcyi i krwawego odwetu przeciwko ruchom swobodniej myślących, zmuszony był Castelar wśród zawziętych wyroków, jakie dotykały ważniejszych i wybitniejszych przywódców, ratować się ucieczką do Francyi, dokąd go niebawem dosięgnął wyrok śmierci nań wydany. Gdy w dwa lata później wybuchła rewolucya w Madrycie, wygnaniec wrócił spiesznie do kraju i rozwinął wtedy niesłychaną, gorączkową czynność, jako mówca, jako trybun ludowy. Wraz z wzbierającą falą wpływu republikańskiego, wypłynął Castelar na widownię polityczną. Szczytem jego karyery stał się rok 1873, kiedy po zrzeczeniu się tronu przez Amadeusza i po proklamowaniu rzeczypospolitej, objął tekę ministeryum spraw zagranicznych i na tem wysokiem stanowisku starał się przekonywać mocarstwa europejskie, jak nowa rzeczpospolita hiszpańska,

sterowana jego ręką, zmierza do spokojnej przystani, żeby jak okręt burzą strzaskany, naprawiać nawę państwa, ustalić w niej ład i porządek wewnętrzny. Zerwały się jednak niebawem inne wichry — stronnictwo radykalne pchało gwałtownie łódź państwa ku skałom. Castelar złożył na chwilę władzę, którą pochwycili w swe dłonie radykaliści Pi y Margall i Salmeron. Ale i ci nowi sternicy poprowadzić nie umieli skołatanej łodzi. Stanął więc znów Castelar u steru ministeryalnego z dyktatorską władzą. Po kilku miesiącach (1874 w styczniu) ustąpił Castelar z widowni, pozostawiając kraj wśród strasznego zamętu. W rok później przywrócono władzę monarchiczną. Król Altons XII ty wkroczył do Madrytu. Były prezydent rzeczypospolitej, który jeszcze na chwilę ukazał się na katedrze w uniwersytecie madryckim, wykładając historyę w ciągu kilku miesięcy, podał się do uwolnienia i niebawem wyjechał do Paryża. W następnym roku przyjął mandat od wyborców miasta Barcelony, powrócił do kraju i odtąd stale zasiadał w kortezach, wybierany ponownie i kilkakrotnie przez głosujących.

Castelar, jak Cyncynat, zamknął się w zaciszu życia prywatnego i oddał się cały pracy literackiej, naukowej i dziennikarskiej. Nie ma zamiaru porzucić zaścianku domowego i na szerszą wystąpić widownię.

W zaciszu czterech ścian znajdzie mąż stanu więcej czasu do uzupełnienia swych studyów naukowo-historycznych, które różnemi czasy ogłaszał — jak np. *Estudios historicos sobre la edad*

media, Historia del movimiento republicano en Europa (2 t. Madr. 1875) i inne.

Zdarzyła się nareszcie dawno oczekiwana sposobność poznania Castelara podczas uroczystości otwarcia kursów w muzeum antropologicznem. Następnie korzystaliśmy z niesłychanej, uprzejmej i nad wszelki wyraz obowiązującej gościnności znakomitego mówcy i profesora w jego domu przy calle Serrano. Erudycya historyczna Castelara, jego znajomość historyi nietylko narodowej, ale i dziejów powszechnych stanowiła dla nas niewyczerpane źródło nauczających informacyj. Nie obce mu też są i nasze w ogóle dzieje i podobieństwo instytucyi dawnej Polski do urządzeń politycznych w Hiszpanii.

Sam gospodarz jest dziwnie ujmujący. Rozmowa z nim się nie kończy, wątek się nie wysnuwa. Życie tryska z całego toku, z każdego słowa. Rzekłbyś, że to młodzieniec o tak żywem usposobieniu, o tak bystrej sile kombinowania. Nieodrodny syn południa. Już dobiega 50-ciu lat życia (urodzony w 1834 roku), a umysł, a wrażliwość, jak z epoki najjędrniejszego, najsilniejszego rozwoju.

W Kadyksie się urodził, tam młodość spędził pod gorącem niebem poetycznej Andaluzyi. Z tych czarnych jego, błyszczących oczu bije blask świetnej fantazyi, którą tak podsyca przecudnie piękna natura południowej Hiszpanii. Śniada cera twarzy o kruczych włosach wyraźnie wskazuje pewne

powinowactwo z cerą arabską i w ogóle z rasą semicką. Rysy twarzy okrągłej, ozdobionej męzkim wąsem, rysy twarzy prawidłowe, jakby rzymskie, stanowią szczęśliwą kombinacyę dwóch sprzecznych elementów.

— Natura nas hojnie uposażyła — rzecze raz do nas Castelar wśród rozmowy o obecnem stanowisku umysłowości w Hiszpaniii — umieściła nas na szerokim gościńcu, przez który wędrowały przeróżne szczepy cywilizacyjne i każdy z nich lepszą cząstkę tu zostawił. Po Celtyberach została miłość ojczyzny, po Rzymianach odwaga, po Germańskich drużynach organizacya polityczna, po Arabach zmysł do poezyi, po Żydach zdolności kupieckie... Rzadko który naród w Europie tyle obcych pierwiastków i tak szczęśliwie do swej krwi przymieszał.

— Zgadzam się na to, odpowiem memu szanownemu gospodarzowi, tak było istotnie. Mam żywy przykład tej szczęśliwej kombinacyi przed sobą i rozumiem, z jakiego źródła płynie u pana harmonijny potok fantazyi, bogactwo obrazów, uczucie piękna, które u Arabów tak wysoko było rozwinięte — ale samo krasomówstwo, potoczystość słowa i tę niesłychaną łatwość słowa — po kim to pan odziedziczyłeś?

— Ciepłe powietrze, łagodny klimat, towarzyskość nasza, nasze wylanie usposabia nas wszystkich ku temu, rzecze Castelar, nie chcąc się przyznać w swej skromności, że on jeden takim potężnym włada talentem.

W towarzyskiej rozmowie jednak anibyś przypuścił, że masz przed sobą znakomitego krasomówcę. Nawet niezbyt silny, choć męzki głos wydobywający się z piersi ciała o średnim wzroście, nie zapowiada tych piorunów, jakie się kryją w duszy tego gromowładnego Jowisza sejmowej wymowy. Ale w potocznej rozmowie odbija się najwyraźniej jedna właściwość wybitna, we wszystkich utworach przezierająca — uczucie piękna artystycznego, uczucie gorącej miłości kraju.

Pierwszy raz nam się zdarzyło słyszeć Hiszpana, mówiącego z takim zapałem o pięknościach swej ojczyzny, o zaletach swego narodu, mówiącego z taką wiarą w świetną jego przyszłość. Nie sądzę, aby umyślnie cudzoziemcowi jedną tylko wystawiano stronę obrazu. Wiem, że Castelar jedynie okiem zachwytu spogląda na swój kraj rodzinny i nieraz puszcza zbyt swobodnie wodze uczuciu — więc też może tym sposobem dadzą się objaśnić i te liczne błędy, popełnione na drodze życia politycznego i działalności publicznej.

Ale polityki nie dotykaliśmy wcale, a przynajmniej bardzo mało. Zdaje się, o ile słyszeć się dało, że już Castelar nieco trzeźwiej patrzy na sprawy, dla których się jeszcze nie dawno tak zapalał.

— Pisuje pan korespondencye do Warszawy?— pyta nas razu jednego Castelar.

— Owszem, nawet dość szczegółowe — kraj dla nas ciekawy, odpowiem gospodarzowi.

— I prócz Kastylii, prócz Madrytu, nie widział pan nic innego?

— Prócz stepów Kastylii i stolicy bez charakteru, nic innego.

— Czy sądzisz pan, pyta nas w dalszym ciągu Castelar, że można z tej Arabia deserta coś zajmującego napisać? Sądzisz pan, że ktokolwiek czyta z zaciekawieniem te korespondencye czy listy? Zadanie zaiste trudne. Z tego, coś pan dotychczas widział, wyniesiesz najbłędniejsze pojęcie o Hiszpanii. Hiszpanii gdzieindziej szukać należy, pod pięknem niebem Andaluzyi, w historycznych grodach w Toledo, w Sewilli, w Granadzie, na rozkosznych błoniach Walencyi, na ruinach Saguntu, nad brzegami morza Śródziemnego.

Może Castelar miał słuszność. Przynajmniej słowa jego dały mi wiele do myślenia. Czyżby już nareszcie nie należało porzucić stołecznego grodu, nie należałoby się przenieść tam, gdzie w polu myrt się zieleni, gdzie się granat rumieni, gdzie pomarańcza kwitnie i palma swe powiewne roztacza wachlarze.

Pod wpływem tych rozpamiętywań uczynimy to niebawem, choć wątek nasz nie wysnuł się jeszcze bynajmniej do końca i jeszcze nie jeden moglibyśmy rozdział poświęcić odmalowaniu tutejszej społeczności, instytucyj naukowych, a przedewszystkiem przeróżnym kształtom, objawom i prądom życia politycznego.

Temat to bardzo rozległy i nauczający. Jest on nawet na porządku dziennym. Wiele tu nad

nim rozprawiają. Dała głównie do tego powód głośna sprawa zabitego w Valladolidzie Francuza Lande'a. Jego artykuł o wewnętrznym stanie Hiszpanii współczesnej napsuł tu krwi niemało. Lande poprzednio już znał i badał Hiszpanię. Teraz na podstawie świeżo tu ogłoszonej broszury nakreślili obraz, przedstawiający stan wewnętrzny Hiszpanii— jej stronnictwa polityczne, administracyę, sądownictwo, finanse, a wszystko to powleczone barwami bardzo ponuremi. Ktoby uwierzył, że wszystko w takim znajduje się stopniu dezorganizacyi, rozkładu demoralizacyi i zepsucia w sferach polityki i administracyi państwowej, musiałby zwątpić zupełnie o przyszłości Hiszpanii. Sądzić jednak o takich sprawach, wymagających długiej obserwacyi i pilnego badania, najmniej przystoi cudzoziemcowi, który w ciągu kilku tygodni, choćby najstaranniej zewsząd zbierał informacye, nie zdoła uchylić tajemniczej zasłony, pokrywającej zwykle dziedzinę spraw wewnętrznego zarządu. Turysta potrafi zaledwie pochwycić objawy życia zewnętrznego i tu także nadzwyczaj oględnie oceniać musi wypadki, aby ich nie przedstawiał w niewłaściwem świetle.

Stosuje się to przedewszystkiem do spraw życia politycznego. Takie tu teraz panuje zamieszanie, że wśród labiryntu gazet, dążności i kierunków, niesłychanie trudno się pomiarkować. Znać gorączkę w pismach peryodycznych. Lato skwarne minęło, nastąpiła jesień, wracają do miasta przywódcy różnych stronnictw i zaczyna się kampania gwałtowna.

Za dwa miesiące zwołane będą kortezy; już więc z tego powodu rozpoczyna lekka kawalerya opozycyi podjazdową walkę. Z gazet dojść, czego pragnie to lub owo stronnictwo lub odcień partyi, nadzwyczaj trudno, choćby dlatego, że tych gazet niesłychane mnóstwo. Już dwa tygodnie z rzędu w wolnej chwili przeglądam w Ateneum dziennik za dziennikiem i jeszcze nie ogarnąłem całości i charakteru jej nie przeniknąłem. Zresztą sprawy te wszystkie tak są efemeryczne, tak należą do historyi jednego lub drugiego dnia ubiegłego, że utrwalić ich dzieje na papierze, kiedy niebawem inne wypadki mogą je nawskroś odmienić i nadać im inną barwę, nie uważamy za potrzebne i konieczne. Lepiej się z tego zadania wywiążą dzienniki lub korespondencye polityczne.

To tylko tu nadmienimy, przechodząc do spraw literatury bieżącej, że dziennikarstwo, bardzo rozszerzone, pochłania najlepsze siły literackie. Polityka kwitnie — rzekłbym raczej: politykomania. Jest to rzecz prosta i naturalna w państwie konstytucyjnem; ale wszystko to znachodzi się w stanie wrzenia. Kierunki rozstrzelone, grupy drobne, kółka nieliczne o indywidualności silnej, o upartej odrębności. Ten indywidualizm panuje i góruje w dziennikarstwie, w publicystyce. Liberalne, demokratyczne pisma są w Madrycie bardzo rozpowszechnione, dużo czytane — ale z tego trudno brać miarę, o ile te kierunki wyobrażają większe lub mniejsze ugrupowania społeczne całego kraju. *El Liberal, la Correspondencia* podobno mają z górą 20 ty-

sięcy prenumeratorów. Są to pisma mniejsze, tańsze, ulotne. *El Dia*, obszerniejszy z odcieniem konserwatywnym, ma nie więcej, o ile wiemy, jak 6 tysięcy abonentów.

Kilkadziesiąt dzienników politycznych z różnemi odcieniami pochłania wszelkie siły literackie. Pisze się codzień dużo, ale bez wartości większej. Ciekawość codzienna jest, jak Moloch, nienasycona. Temu bóstwu, chciwemu sławy, trzeba ustawicznie przynosić na ofiary hekatomby. Ztąd też na pisanie staranniejsze, na utwory o szerszym zakroju brak czasu. Felieton pochłania wiele powieści i noweli. Dostarcza ich niemało literatura francuzka.

Już to w ogóle przekładów, przeróbek i naśladownictwa jest tu aż nadto. Zola cieszy się wielkiem powodzeniem. Zaledwie ukaże się jego powieść, zaraz pospiesznie tłumaczą ją na język hiszpański. Nawet przygotowuje się tanie wydanie jego powieści z illustracyami, jak gdyby to były utwory godne ołówka wielkiego artysty. Dumasa „Kobiety, które zabijają“ także w lot pochwycone ukazały się w przekładzie hiszpańskim. Jednem słowem poczytność tych utworów o rozhukanej fantazyi, a brudnych i cynicznych obrazach, jest wielka.

Czy w oryginale literatura hiszpańska nie dostarcza podobnych w dostatecznej ilości? odpowiedzieć na to pytanie trudno. Trzebaby się więcej wtajemniczyć w ten świat mizernych produkcyj, na co czasu poświęcać szkoda, żeby zbyteczną w tym względzie ciekawość zaspokoić. Zdaje się, że przy-

kład, powodzenie świetne koryfeuszów tej szkoły, przywódców tej falangi działa wszędzie zgubnie w tym kierunku i wywołuje mniej lub więcej nieudolne naśladownictwo.

W ogóle powieść, jak wszędzie, tak i w literaturze hiszpańskiej, jest ulubioną formą, w której ogół czytający szuka na tej drodze rozwiązania tych różnych zagadnień społecznych, których dostarcza w takiej obfitości — na pozór tak jednostajne, a jednak tak różne ciągle życie ludzkie, tocząc się wśród zmiennych ustawicznie warunków.

Nowelę i powieść uprawiają dziś głównie: Fernandez y Gonzalez, Galdos, Trueba, Valera, dona Maria del Pilar Sinues i inni. Pierwszy z nich jest nadzwyczaj płodny i przypomina pod tym względem Kraszewskiego, choć nie posiada talentu, jakim obdarzony jest Nestor naszej literatury. Fernandez y Gonzales tworzy z niesłychaną łatwością, wydając rocznie po kilkanaście tomów powieści, które idą na ofiarę tej trawiącej gorączki ogółu — będącego istnym Molochem...

Perez Galdos stoi niewątpliwie na czele całej falangi pisarzy powieściowych. Jest to bez zaprzeczenia talent najwybitniejszy. Ateneum warszawskie ukończyło druk przekładu jednej z najlepszych jego powieści pod nazwą „Gloria." *Marianeta* należy do tego samego rodzaju powieści. I tu także występują w całym blasku zdolności Galdosa — zdolności w malowaniu z porywającą obrazowością scen życia codziennego, wiejskiego,

natury swego kraju; ale szwankują one nieraz pod względem rysunku psychologicznego. Marianela grzeszy nienaturalnością. Jest to biedna, nieszczęśliwa dziewczyna wiejska, wyrosła dziko wśród natury sielskiej, brzydka jak grzech śmiertelny, ale obdarzona nadzwyczaj bystrym spostrzegawczym i subtelnym umysłem. Na drodze życia spotyka ona trafem również biednego, opuszczonego chłopca wiejskiego, niewidomego, któremu służy za przewodniczkę. Niewidomy zaczyna poznawać świat za pomocą swej Antygony; on okiem Marianeli patrzy na świat i piękności jego. Uczucie budzi się w sercu nieszczęśliwego chłopca, który powoli wzrok odzyskuje, wtedy gdy Marianela przedstawia zamiast siebie, w uczuciu swej brzydoty, inną o ładniejszej twarzy dziewczynę. Osnowa taka nie jest wolna od zarzutów nienaturalności, ale wykonanie samo przedstawia nieporównane zalety pióra Galdosa pod względem kreślenia scen z życia wiejskiego. Podobne obrazy przesuwają się nam przed oczami w jego noweli „Un Voluntario Carlista“ tudzież w jego „Episodios Nacionales.“ Krytyka zarzuca Galdosowi przedewszystkiem brak zdolności do kreślenia charakterów i typów podnioślejszych.

Wielkiego i głośnego imienia używa świetny pod względem stylu, głęboki pod względem swych sądów, krytyczno-literackich Juan Valera, umysł wyższy, zdolność pierwszego rzędu, autor znakomitej w oczach wielu krytyków powieści „Pepita Iiménez,“ która z powodu swej treści słusznie przy-

padłaby mniej do smaku naszemu ogółowi czytającemu. Jako studyum psychologiczne powieści Valery stoją nierównie wyżej od utworów Galdosa; pod względem tendencyi może mniej są sympatyczne, ale forma ich i styl posiadają trwałe zalety.

Wielu innych dziś piszących autorów nie wymieniamy. Przytoczeni wyżej wystarczą do zrozumienia charakteru współczesnej działalności Hiszpanów na tem polu. Z niesłychanem zajęciem czytałem tu wyszłe niedawno w powtórnem wydaniu nowele Gustawa Becqera, przedwcześnie zgasłego poety i nowelisty. Każdy obrazek to prawdziwa perła, to cenny brylant, błyszczący tęczową barwą przecudnej myśli i nieskończenie pięknego słowa. Przez wszystkie nowele Becquera przechodzi, jak czerwona nić, smutek nieopisany, nieujęty, jakby przeczucie wczesnego zgonu. Elegijny nastrój przeważa w tych niewielkich kompozycyach, pełnych rzewności dziwnie ujmującej. A każdy utwór to skończone pod względem artystycznym dzieło, jak rzeźba Benvenuta Cellini.

Dramat i komedya znajdują tu obszerne dla siebie pole w teatrach, których nie brak; jest ich ośm czy dziewięć, do których nadzwyczaj chętnie chodzi publiczność. Klasycznej komedyi daremnie tu wprawdzie szukam, bo Calderon i Lope de Vega nie odpowiadają już usposobieniu obecnej chwili — ale współczesnych pierwszorzędnych lub niedawno zgasłych dramaturgów daje teatr najpierwszy pod względem doboru artystów, zwany *Teatro espanol*, gdzie nam się widzieć udało znakomitą komedyę

Zorilli y Moral, pod tytułem: D. Juan Tenorio. Ukazują się tu również inne utwory nowszej szkoły komedyopisarkiej. Hartzenbuscha (Amantes de Teruel), Ventury de la Vega (El hombre de mundo), Escosury (La corte del Buen Retiro). Niemniejszem powodzeniem cieszy się *Teatro de la comedia*, dający podobnież rzeczy wytworniejsze.

Pod względem urządzenia wystawy zewnętrznej świetnie przedstawia się *Teatro de Apolo* i *Teatro de la Zarzuela*. Ostatni głównie uprawia ten rodzaj lżejszej komedyi, melodramatu, który tak ulubiony jest w Hiszpanii, i od którego teatr swą nazwę otrzymał. Jest jeszcze cały szereg innych mniejszych teatrów. Między niemi wyróżnia się *Salon Eslava*, noszący nazwę znakomitego muzyka i kompozytora hiszpańskiego. Istnieje w tych teatrzykach urządzenie osobliwe, a jednak bardzo praktyczne. Na każdy akt — a po większej części przedstawienie składa się z jednoaktowych utworów — można oddzielnie kupować bilety.

Co godzina ściśle, zacząwszy od 7-ej wieczorem, zaczyna się inna sztuka, tak, iż jeszcze o godzinie 10-ej lub 11-ej mniej czasowi ludzie, jak kupcy, magazynierzy, mogą znaleźć w teatrze rozrywkę. Mniej zamożne rodziny, które ulegają także ogólnej gorączce teatralnej, tak się urządzają, że mąż z żoną i dziećmi przychodzi na jeden akt. Rodzina się więc nie rozłącza, a jednak zadość uczyni swoim potrzebom artystycznym, albo znajdzie rozrywkę godziwą, w której tak powszechnie tu smakują.

Dzięki temu zamiłowaniu, dzięki również wrodzonym darom natury i zdolnościom naukowym, wszystkie sceny, szczególniej w stolicy, mają prawdziwy dobór i wybór artystów dramatycznych. Łatwość słowa, żywość charakteru, intonacya głosu, sprawiają, że każdy nowowstępujący do zawodu teatralnego, przynosi z sobą zalety, które przy starannej uprawie mogą się złożyć na dość zadawalającą całość. W grze artystów, w dramacie, jak i w komedyi, zauważyć było można staranne studya, nieporównanie więcej jednak zdolności przebijało się w rolach komicznych, ludowych. Zapewniali mnie znawcy, że typy niektóre wiejskie, jakie nam się widzieć zdarzyło na deskach teatralnych, należały do skończonych pod każdym względem. Oczywiście sąd miejscowych, którzy najlepiej potrafią porównać kreacye sceniczne z życiowemi, jest w tym razie decydującym. Jednak nawet na pierwszorzędnych scenach artyści nie są tu wolni od pewnej skłonności do przesady, do zbytniego akcentowania roli: płynąć się to zdaje z wrodzonego żywego temperamentu, który nie umie się trzymać ściśle w szrankach, postawionych przez naukę, szkołę, przez refleksyą.

Z nowości dramatycznych nie mam nic do zanotowania. Jeszcze nie nadeszła właściwa pora przedstawiania świeżo wyszłych utworów. Wogóle jednak i ta gałęź literatury kwitnie, dzięki wielu okolicznościom. Jest tu tradycya szkoły, ale przedewszystkiem jest tyle teatrów i zawsze uczęszczanych, dla nich potrzeba chleba powszedniego.

Nie brak bynajmniej tych codziennych, rzemieślniczych robót, ale są także dramaturgowie wyższego rzędu. Echegeray i Ayala oddawna używają zasłużonej sławy. Sięgnął teraz po palmę młody autor Cano, który wstępnym bojem zdobył sobie względy publiczności. Jego dramat, noszący tytuł *La opinion publica*, nabrał wkrótce wielkiego rozgłosu. Jest on w rodzaju francuzkich dramatów ze szkoły realistycznej, pełen efektów silnych, nieraz za silnych, ale okupuje swe błędy niepospolicie pięknem wierszowaniem. Dramat historyczny z czasów bardzo odległych, bo z epoki Wizygotów, dramat pod nazwą *Theudis* przez Sanchez de Castro, upadł na scenie w prędkim czasie, lecz powodzenia doznał utwór dramatyczny Sellesa, pod nazwą *El nudo Gordiano*. Daremnie przytaczałbym dalej jeszcze nazwiska Rubiego, Selgasa i innych, bo te nazwy jak czczy dym ulecą i nie utkwią w pamięci czytelnika, jeśli ich się nie powiąże z dokładniejszym rozbiorem ich utworów. Tu jednak zatrzymać się nam już wypada.

Za kilka dni porzucamy stołeczny gród Hiszpanii, aby po za murami Madrytu poznać prawdziwą Hiszpanię, jak nam mówił Castelar. Jakakolwiek tam będzie natura, jakiekolwiek pamiątki historyczne i osobliwości, to tylko wiem, że jak wszędzie, tak i tu, stolica jest największem ogniskiem życia w całym kraju pod względem naukowym, artystycznym i literackim. Stolica jest wzorem dla prowincyi, jest miarą uspołecznienia całego narodu. Z tego

też względu, w szeregu rozdziałów poprzednich staraniem było naszem uwydatnić te wszystkie strony życia, ruchu, cywilizacyi, które zasługiwały na szczególniejszą uwagę. Wiele się rzeczy przesunęło przed oczyma, o których nie dało się tu żadnej wzmianki, jako o rzeczach powszednich, nie różnych od tych, na jakie sami u siebie, w rodzinnym kraju, wzrokiem własnym patrzymy.

Zresztą kilkotygodniowy w stolicy pobyt nie wystarcza, żeby nawskróś przeniknąć jej życie i wtajemniczyć się w szczegóły spraw codziennych. Na to potrzeba miesięcy całych, żeby pochwycić charakter życia społecznego, życia towarzyskiego. Zadanie atoli w tym względzie bardzo ułatwia gościnność i towarzyskość Hiszpanów. Przyjmują cudzoziemca, tylko nie Francuzów, bardzo chętnie do swego domu. Kartka rekomendacyjna, bilet wizytowy od znajomego jest dostatecznym. Dzięki niesłychanej uprzejmości profesora Vilanova i innych, dawniej nieznanych mi osób, co chwila nowe robię znajomości.

— Czy znasz pan—pyta się mój zacny przyjaciel—pana N., historyka, uczonego, literata, lub inną jaką znakomitość?

— Nie miałem jeszcze przyjemności... odpowiadam.

— Racz przeto przyjąć ode mnie ten list, ten bilecik polecający...

Bilet brzmi jak zwykle: *el dador de esta taricta* (oddawca niniejszego) ale poprzedza te słowa skrócenie takie *B. S. M.*, czyli *beso sus manos*, całuję

rączki pana. Jest to tak utarta formuła, a przytem tak powszechna, że bez niej żadnej karteczki, bileciku napisać nie można.

Z takiem poleceniem w ręku poznałem tu niezliczoną liczbę dostojników, profesorów, artystów, literatów, doznając wszędzie niezwykłej uprzejmości. Jako osobliwość przy przyjmowaniu gości, przytoczę jedną okoliczność, która mnie zawsze raziła i z którą jeszcze się oswoić nie umiem.

Wchodzę do salonu, podawszy naprzód gospodarzowi mój bilet wraz z poleceniem. Gospodarz wychodzi—wita i odzywa się w te słowa:

— *Ponga Usted su sombrero.*

Gospodarz prosi, abym nakrył głowę. Wzdragam się. Nie wiem, co to ma znaczyć. Gospodarz nalega. Jeszcze się waham. Nareszcie ustępuję natarczywym prośbom i kładę kapelusz na głowę.

Widocznie ma to być dowód uprzejmości ze strony gospodarza. Nie sądzę, aby to był zwyczaj żydowsko-talmudyczny, boć przecież w całej Hiszpanii żydów bardzo mało, prócz kilkunastu kupców i bankierów.

W innym domu spotyka mnie ten sam zaszczyt. Ośmielony nareszcie, pytam pewnego razu gościnnego Hiszpana, dlaczego mam w kapeluszu siedzieć, kiedy sam gospodarz głowy swej nie nakrywa.

— Wchodzi pan ze dworu, spocony, może zgrzany, w mieszkaniu zaś chłodno, łatwo się zaziębić. Katar, reumatyzm i t. d.

Po tem wyjaśnieniu dopiero zrozumiałem skwapliwość, z jaką mnie do włożenia na głowę kapelusza zachęcano. Ta okoliczność sprawia, że i w Ateneum, owej resursie literacko-naukowej wszyscy niemal siedzą i pracują przy stołach kilka godzin w kapeluszach.

Wstęp do bibliotek i archiwów utorował mi list okólny pana Lasala, ministra oświaty, który mnie najgoręcej polecił wszelkim władzom od niego zależnym. Dotychczas spotykałem na polu mych poszukiwań same tylko ułatwienia, niezależnie od rekomendacyi ministeryalnej. Nie mogę zamilczeć o jednej usłudze, którą mi wyświadczył mój serdeczny przyjaciel Hiszpan, pan Marchante, a wyświadczył po części z tego powodu, jak twierdził, że się mienił nawpół naszym rodakiem, będąc od lat kilku ożenionym z warszawianką.

Rękopis w bibliotece narodowej, którego sobie kopię zamówiłem, wymagał starannego porównania z oryginałem. Dla tej sprawy musiałbym jeszcze przynajmniej ze trzy tygodnie dłużej posiedzieć w Madrycie, a tu czas nagli. Jeszcze taką daleką przed sobą mam podróż. Kopiście dowierzać trudno, bo rękopis jest nieczytelny, a nadto w języku włoskim, którego przepisujący nie zna.

Pan Marchante, dzielny lingwista, wyprowadził mnie z kłopotu; ofiarował się zastąpić mnie w tej zmudnej pracy. Ofiary tej przyjąć nie chciałem, wiedząc, jak mało czasu ma mój przyjaciel po zajęciach obowiązkowych w ministeryum oświaty.

— Uczyń tę łaskę dla mnie—rzecze ostatecznie przyjaciel Hiszpan — powierz mi tę pracę, którą przedsiębierzesz na korzyść waszej historyi. Niech choć drobną tą przysługą stwierdzę mą gorącą miłość dla waszej ziemi, z którą mnie przez żonę połączyły serdeczne węzły...

Te rzewne, tkliwe i szlachetne słowa zwalczyły wszelkie z mej strony skrupuły. Przystałem ostatecznie.

Czyż ten rys charakteru nie starczy za wiele innych?

Bóg zapłać wam za wasze serca!

X.

ESKURIAL.

Biblioteka. — Spotkanie z księdzem Rożańskim. — Kościół. — Panteon. — Klasztor. — Pałac królewski.

Głuche milczenie, jak w przededniu tworzenia, panowało na długich korytarzach bezludnego klasztoru. Głośnem tylko echem odbijały się o malowane ściany i o kolorowe stropy kroki podróżnika, który jak w labiryncie błąkał się w nieskończonym szeregu krużganków, korytarzy, zmierzając ku jednej z cel klasztornych. Uczucie trwogi, jak gość nieproszony, cisnęło się do duszy na widok tego pustkowia, w pośrodku tej grobowej ciszy i tej grozy więziennej. Na krużgankach otwartych strumienie światła spływały z nieba październikowego, powleczonego sinemi chmurami. Wewnątrz klasztoru było posępniej. Szare cienie spoczęły na obliczu ścian rozległych. Przez wielkie

jednak okna tu i owdzie zaglądał jasny dzień. Więc nie były to ani czarne skrzydła nocy, ani brak światła, które niekiedy wśród nieznanego pustkowia przejmują trwogą, ściskają serce. Nie, bynajmniej.

Ale inne wrażenia jak kamień tłoczyły duszę i swobodniej odetchnąć nie pozwalały. Była to ta wielkość otoczenia, maluczkość zaś swojej własnej osoby. Okiem nieprzejrzane korytarze, olbrzymie schody, a samotność przedewszystkiem leśna, pustelnicza przemawiały najsilniej wrażeniem opuszczenia.

Byliśmy w klasztorze Eskurialskim. U progu wprawdzie, u bramy klasztornej jakiś przewodnik natrętny ofiarował swe usługi, niby Ariadna Tezeuszowi — ale jego postawa, jego pozór nie wzbudzały wielkiego zaufania. Może lepiej, pomyślałem w duchu, błąkać się samemu, niż oddać się w opiekę nieznanemu człowiekowi, który, kto wie, gdzie zaprowadzić może.

Miałem poprzednio już ustne zkądinąd objaśnienia, jak zmierzać do celu mej podróży: najprzód prosto — potem na lewo, potem po schodach, znów w prawo, lewo, prosto, aż nareszcie stanąć u kraty. Z początku drogowskaz wystarczał. Niebawem jednak, wśród krzyżujących się linii, poplątał się cały porządek. Dzięki tylko jakiemuś słudze klasztornemu, który się przypadkiem nawinął, wydostałem się na właściwą drogę, która poprowadziła do zamierzonej mety.

Obecnie oddany swej pracy wśród stosów ksiąg i rękopisów, nieuporządkowanych jeszcze należycie, poświęca także czas wolny naukowym poszukiwaniom w zakresie historyi. Właśnie przygotował do druku dzieło bardzo pożyteczne, którego wzór już się ukazał w Madrycie. Jest to dzieło pod nazwą *Paleografia escolar*, która mieścić w sobie będzie więcej niż sto wyjątków z różnych rękopisów sposobem fotolitograficznym, a to celem zaznajomienia ogółu hiszpańskiego ze skarbami, które przechowuje biblioteka w Eskurialu. Trzeba dodać, że ksiądz Rożański włada hiszpańskim językiem tak dzielnie, jak swoim rodowitym, którego wcale nie zapomniał; tylko nieco sobie przyswoił akcent kastylijski i intonacyę, z jaką mówią Hiszpanie. Daje często dowody swej wprawy w hiszpański język, ogłaszając różne prace naukowo-literackie.

Niedawno właśnie wydał, także w przekładzie z języka polskiego, dziełko profesora Liskego o podróżnikach polskich w Hiszpanii i Portugalii w XV i XVI wiekach. Z hiszpańskiego zaś ogłosił w przekładzie polskim Listy Ronquilla, dotyczące dziejów elekcyi Michała Wiśniowieckiego. Przesyła także korespondencye z ruchu piśmienniczego w Hiszpanii do Kuryera Poznańskiego. Pożyteczna działalność naszego czcigodnego ziomka może z czasem wyjść na wielki pożytek dla naszej literatury i historyi.

Aniśmy się spostrzegli, że na pogawędce przy stosach książek upłynęło sporo czasu, a Eskurialu

właściwie jeszcześmy nie widzieli. Jednodniowy jednak pobyt, który nam z obliczenia naszego wypadł, trzeba było jak najlepiej zużytkować. W tej chwili, kiedyśmy żywą z naszym rodakiem rozmowę prowadzili, zdawało nam się, że się w niej streścił cały Eskurial, że ciekawość moja jako turysty, już całkowicie była niemal zaspokojoną. Ale wreszcie obowiązek sprawozdawcy zniewalał, aby porzucić ciasne kąty bibliotecznej sali i szczupły zakres rozmowy indywidualnej.

Zaczęliśmy zwiedzać Eskurial. I znów oto biblioteka. Za przewodnictwem księdza Rożańskiego, zeszliśmy do właściwej sali, która w sobie kilkanaście tysięcy książek mieści. Niemasz tam nic nadzwyczajnego. Zawiązek tego księgozbioru sięga czasów Filipa II.

Późniejsze zaniedbanie sprawiło, że biblioteka, posiadając wiele cennych rzeczy z XVI i XVII — jest zupełnie ubogą pod względem rzeczy nowszych. Owszem, nawet rażący brak dostrzegać się daje jakichkolwiekbądź dzieł literatury zagranicznej.

— A są też tu polskie dzieła?—zapytałem ciekawie bibliotekarza. Może się znajdą jakie wydania XVI wieku lub późniejsze? Może Sarbiewski, może Długosz, Kromer i inni kronikarze?

— O ile poznałem — odpowie zapytany — a któżby lepiej mógł być poinformowany nad bibliotekarza — nic podobnego nie zdarzyło mi się spotkać.

— Dziwna rzecz! — zawołałem.

— Ale nie — doda bibliotekarz — owszem, przypominam sobie. Jest jedna, jedyna książczyna.

— Czy mogę ją zobaczyć? Czy mogę się przypatrzeć temu wędrownemu zabytkowi, który może mieści na okładce dzieje swej dalekiej pielgrzymki?

I czyniąc zadość ciekawości, wydobywa szanowny rodak książeczkę niewielką.

Czytam jej tytuł:

„Pieśni nabożne na święta uroczyste w Krakowie. Druk Wosińskiego, 1627.“

Poczynają się pieśni adwentem.

— To jedyny — rzecze mi ksiądz Rożański — ślad naszej literatury w Eskurialu. Spotkałem tę książkę przed rokiem czy dwoma laty, tułającą się pomiędzy wielu drugorzędnemi, obdartą. Wydobyłem ją z jej zaniedbania, kazałem dać oprawę odpowiednią i chowam tu jako miłą pamiątkę.

Kto ją tu przyniósł, kto na niej pieśni nabożne odśpiewywał — tego dowiedzieć się nie można było.

Korzystając z uprzejmości naszego ziomka, udaliśmy się z tej zwykłej, codziennej, że tak powiem sali bibliotecznej, do innej przyległej, która w sobie mieści skarby, klejnoty, której wspaniałe zewnętrzne urządzenie odpowiada bogactwu zawartych w niej kosztownych pomników nauki i sztuki.

Przepych, wielkość, ozdoby uderzają na pierwszym zaraz kroku, kiedy próg przestąpisz. Wielka, długa sala z rzęsistem oświetleniem dziennem lśni tęczowemi barwami złota, marmuru i świeżych malowideł na ścianach. Stropy i ściany pokryte freskami pędzla Carducci'ego. Malowidła przedstawiają różne ustępy z mytologii greckiej. Ich świeżość jest tak zadziwiająca, ich blask tak żywy, że sprawiają złudzenie niewysłowione. Ani chcesz wierzyć, żeby trzysta już blizko lat trzymały się na ścianach barwy tak jaskrawe, tak świeże, jak kwiaty ogrodów wiosennych.

Miejscami tylko zniszczenie przeziera, zniszczenie sprawione wskutek pożaru klasztoru i nieostrożnego gaszenia ognia.

Ogromne szafy, przy ścianach ustawione, przerywają tu i owdzie jednostajność barw i malowideł freskowych. W szafach mieszczą się najcenniejsze zbiory książek i rękopisów. Ich strona zewnętrzna, bogata rzeźba odpowiada zupełnie ogólnemu nastrojowi sali.

W takiej samej zgodzie i środkowe stoły, witryny, przeznaczone na przechowywanie skarbów sztuki piśmiennej wieków średnich, tudzież skarbów sztuki drukarskiej z końca XV i następnego stulecia. Złocone brzegi ksiąg różnego kształtu przeglądają z za szkieł, lub kratek szaf. Oryginalny system układania książek uderza tu każdego. Książki wszystkie są grzbietem odwrócone w głąb szafy, ukazują się zaś oczom zwiedzającego ze strony od-

wrotnej, t. j. brzegu środkowego. Brzeg środkowy jest mocno złocony i dopiero na tej złoconej powierzchni wypisany jest tytuł książki oraz jej numer porządkowy czy biblioteczny.

Pod względem rękopisów jest tu bogactwo niezmierne, choć podobno już znacznie dawniej nie mało poginęło tych skarbów. Dziś liczba cennych rzeczy wynosi do dwóch tysięcy. Największą ilość stanowią rękopisy arabskie; mają one niepospolitą wartość naukową. Pewna część jest już znana—inne, nieobjęte katalogiem szczegółowym, nie są przez uczonych dostatecznie zbadane. Jeszcze z czasem nie jedno się tu utworzy obfite źródło, które roztoczy niemało światła w dziedzinie dziejów politycznych Hiszpanii—ba, całej Europy; wiadomą bowiem rzeczą, jakie piękne dzieła podróżnicze pozostawiła po sobie literatura arabska w kalifatach hiszpańskich. A ile na tem skorzysta jeszcze historya nauk — matematycznych, medycznych, przyrodniczych, które takiej doznawały starannej uprawy w uniwersytetach arabskich w Kordowie, Granadzie i innych.

Zdumiewającą jest tu niemniej liczba rękopisów greckich, których liczą około 500. Podobnież niepospolitą wartość mają manuskrypta hebrajskie. W rzędzie tych cennych pomników znajdują się takie, które zniewalają sobie oko i uwagę każdego turysty, choćby mniej biegłego w sprawach, odnoszących się do owych ksiąg cudzoziemskich i zawartych w nich wiadomości. Są to arcydzieła sztuk

miniaturowej, sztuki piśmiennej wieków średnich. Jest tu kilka istnie olśniewających blaskiem ornamentyki rękopisów.

Szczególniej zwraca na siebie uwagę księga, nosząca tytuł: *Los cuatros evangelios.* Pochodzi ona z połowy XI-go wieku, wykonana z polecenia cesarza niemieckiego Henryka III-go. Zwą ją także *codice de oro*, rękopismem złotym, gdyż wszystkie cztery ewangelie są illustrowane najpiękniejszemi miniaturami, a pisane czyli nakładane złotem. Wprawia nas w podziw również brewiarz czyli modlitewnik cesarza Karola V-go, podobnaż książka do nabożeństwa królowej Izabelli katoliczki, Izabelli cesarzowej i innych. Są to owe dzieła mnichów, dzieła nietylko sztuki miniaturowej, ale zarazem podziwienia godnej cierpliwości i wytrwania. Jedna książka, pisana drobnem pismem a starannem, może pochłonęła kilkanaście lat życia, a może całe życie jednego człowieka, jednego zakonnika.

Nie bawmy jednak zbyt długo w przybytku nauki, który w obec ogromu całości tylko bardzo drobną cząstkę stanowi. Mamy do zwiedzenia jeszcze kościół, klasztor i sam pałac eskurialski, a wszystko to razem może więcej wzbudzić w czytelniku ciekawości, niż pergaminy, miniatury, rzadkie księgi, białe kruki drukarstwa europejskiego.

Wstąpmy do kościoła, który tyle w sobie mieści pamiątek historycznych i poniekąd jest dla Hisz-

pana tem, czem dla nas Wawel. Tu znajdują się groby wielkich królów Hiszpanii, tu przedewszystkiem ów Filip II-gi czerpał natchnienie religijne, tu umacniał się w swej wierze i stąd rozsyłał rozkazy, broniące katolicyzmu w rozległych prowincyach swego potężnego państwa. On też, jak wiadomo — jest twórcą Eskurialu Jemu zawdzięcza też kościół, klasztor i pałac swój początek.

Kościół, do którego zdążamy po przeróżnych korytarzach i wchodzimy przez boczne drzwi od zakrystyi, imponuje swą wielkością i surową powagą. Jest to wielki czworobok w stylu klasycznym, noszący na sobie wyraźne piętno wieku, w którym powstał, mistrza Herery, który plan jego nakreślił.

Cztery olbrzymie kwadratowe kolumny, wznoszące się w środku, dzielą kościół na trzy nawy. Na słupach wznoszą się łuki ogromne, a na nich w górze wspaniała spoczywa kopuła. Szary granit żółtawego koloru, szary marmur posadzki, kształty kolumn, cały porządek architektoniczny tego kościoła przypomina nam żywo podobnąż świątynię w Valladolidzie, którą także na planie ten sam Herera nakreślił.

Rozmiary są wielkie, powaga istnie klasyczna, co więcej, nawet przygnębiająca. Dziwny, surowy nastrój przebija w tych ścianach i kolumnach. Wszystko tchnie grozą, wielkością. Niemasz nic, coby podniosło, wzruszyło duszę, coby skrzydła przypinało.

myśli do wzbicia się pod niebiosa. Może dawniej, kiedy tu się zgromadzały całe chóry i zastępy zakonników, kiedy dworzan świetne orszaki zapełniały te ogromne i puste dziś przestrzenie, nie znać było tak wyraźnie tej suchej wielkości, takiej zimnej, mrożącej, która obecnie uderza przychodnia.

Brak obfitszego światła, które spływa tylko niemal z wyniosłej kopuły i które niedostatecznie oświeca boczne nawy, przyczynia się zapewnie także nie mało do tej poważnej, klasycznej grozy, jaką tchną ściany świątyni i jej olbrzymie cztery środkowe kolumny.

W kaplicach, których tu miary i liczby niema — a jest podobno 40-ci ołtarzy, panują również posępne zmroku cienie, gdzieniegdzie tylko rozpraszające się pod wpływem kolorowego szkła, przyjmującego promienie od zachodu słońca. Z tego też powodu i ku niemałemu podróżnika zmartwieniu giną przed badawczem okiem barwy malowideł, umieszczonych w ołtarzach. Są tu płótna artystów pierwszorzędnych, jak Velazqueza — są i drugorzędnych, jak Gomeza, Navarreta i innych, ale wartości ich artystycznej ocenić niepodobna.

Korzystniej pod względem oświetlenia są umieszczone freski Jordana czyli Łukasza Giordano, którego z Włoch powołano za panowania Karola II-go. Przedstawiają one kilka ustępów z dziejów życia

Najświętszej Panny i Zbawiciela: podróż Izraelitów wśród puszczy, zwycięztwo ich nad Amalekitami, wreszcie Sąd ostateczny.

Szczytem artyzmu pod wielu względami jest *capilla moyor*, gdzie się mieści wielki ołtarz. Rozmiary niepospolite, wspaniałe, szerokie stopnie prowadzą do ołtarza, całe półkole górnej ściany pokryte nieskończoną ilością ornamentów, wśród których bronz, marmury, kamienie wszelkiego rodzaju i złoto współzawodniczą co krok, co łokieć, co ca. Posągi wielkości nadnaturalnej, oratorya królewskie są arcydziełami takich mistrzów, jak Peregrino, Tibaldi, Zucara. Posągi wyszły z pod dłuta Leoniego, ojca i syna.

Wspaniałe posągi zajmują dwa rozległe łuki, które się roztaczają nad oratoryami. Tworzą one dwie wielkie grupy rozmiarów nadnaturalnych.

Z lewej strony ołtarza jedną grupę stanowią: Karol V w zbroi, pokryty płaszczem cesarskim, obok niego Izabella, matka Filipa II, za niemi infantka Marya, a dalej jeszcze siostry cesarza, klęczące ze złożonemi do modlitwy rękami. Z prawej strony podobnież w zbroi rycerskiej Filip II — po prawym jego ręku królowa Anna, czwarta jego żona, za nim królowa Izabella, trzecia jego małżonka i kilka innych jeszcze osób.

Pod wielkim ołtarzem w podziemiach znachodzą się groby królewskie; jest to znany Panteon hiszpański. Żeby się tam dostać, trzeba kościół porzucić — wyjść na korytarz i z przewodnikiem

spuszczać się do tych ciemnych miejsc wiecznego spoczynku władców wielkiej niegdyś monarchii hiszpańskiej.

Wielkie marmurowe schody prowadzą do podziemia. Chłód, który wieje od tych kamieni, powaga, w którą się ubiera prosty, nieozdobny marmur, zwiastują ci, przychodniu, że się zbliżasz do przybytku, gdzie panuje śmierć. Przejmuje cię grozą, smutek osiada na sercu, milczenie spocznie na ustach i tylko z Dantem powtarzasz sobie w duchu: *lasciate ogni speranza, voi ch'entrate,* stanąwszy przed drzwiami, po za któremi kryją się sarkofagi.

Drzwi się uchylają. Ciemność więzienna panuje. Promień słońca tu nigdy nie dochodzi. Przewodnik zapala światło i oczom zdumionego ukazuje się ośmiokątna, ośmiościenna a niezbyt wysoka kaplica. Jedną ścianę zajmują drzwi wchodowe. U ściany przeciwległej wznosi się ołtarz. Pozostałe ściany mieszczą w sobie zwłoki królów lub przeznaczone są na przechowanie następnych jeszcze, przyszłych monarchów Hiszpanii. Panteon sprawia silne wrażenie, głębokie, niezatarte, niezapomniane.

Jak Panteon, mieszczący w sobie zwłoki Napoleona w Paryżu w domu Inwalidów, powagą swą wprawia w nieopisaną zadumę każdego wędrowca, tak i Panteon eskurialski ma w sobie tyle spokoju, tchnie takim nastrojem grobowym, że odrazu podbija sobie myśl przychodnia, kruszy jego serce i oderwawszy marzenie od świata rzeczywiste-

go, od świata walki, biedy i nędzy, przeniesie je ku tym dziedzinom, gdzie panuje spokój wieczny i cisza niczem nie zamącona. Wszystko tu jest czarnym marmurem, posępnym porfirem albo brunatnym jaspisem. Rzekłbyś, że ta podziemna kaplica jest jakby w skale marmurowej wykutą katakumbą — bo wszystko jest z kamienia, a z tego kamienia zimnego, żałobnego. Sam ołtarz jest tak poważny, tak ze wszelkiej ozdoby obrany, że i on żałobną tchnie powagą, którą podnosi w ołtarzu stojący krucyfiks.

Tu w pewne dni pamiątkowe, kiedy rodzina królewska przybywa z Madrytu, odbywa się żałobne nabożeństwo za dusze władców, którzy w tej niewielkiej kaplicy, w tym panteonie spoczywają, jak stare akta zdeponowane w archiwum.

Objaśniam w tej chwili porównanie moje, które mi się nasunęło na widok grobów. Każda ściana z liczby sześciu stanowiących wraz z drzwiami i ołtarzem ośmiościenny panteon, podzielona jest na cztery nisze, niby półki, niby szufladki. Wewnątrz mieszczą się zwłoki.

Niszę zamyka marmurowa czarna tablica, która mieści krótki złoty napis, wskazujący, kto tam się kryje w tym zimnym, skromnym a niezbyt szerokim grobie. Królowie spoczywają po lewej stronie, królowe zaś, które umarły bez potomstwa, są umieszczone po prawej; są tu więc prochy Karola V-go, Filipa II-go, Filipa III-go, Filipa IV-go, Izabelli, Małgorzaty i innych. Są jeszcze ściany niezajęte.

Mają one z czasem przyjąć do siebie przyszłych monarchów Hiszpanii.

Przejmujące zimno podziemia, zgroza śmierci, przezierająca z katakumb, takie przykre wywołały w duszy uczucia, żem spiesznie dążył do światła, do świata, do życia, aby odetchnąć swobodniej.

Ale możnaż w ogóle w Eskurialu odetchnąć lekko, ze swobodą, możnaż się uśmiechnąć żywiej i serdeczniej, kiedy tu wszystko nosi na sobie piętno ponurej myśli? Chyba tylko zakrystya i chór, gdzie na ścianach mieszczą się arcydzieła mistrzów pędzla, o barwach żywych, jasnych i wesołych, dadzą nam sposobność wytchnienia. Chyba tam tylko możemy otrząść z siebie uczucia, osiadające, jak mgła, na duszy wśród dni smutku i pognębienia.

W zakrystyi jest właśnie owo wielkie płótno Santa Forma, o którem pisałem w poprzednim liście, kreśląc pobieżnie dzieje sztuki hiszpańskiej, sztuki, która w XVII ym wieku — pod koniec, śpiew łabędzi odśpiewała. Wymarł ród wielkich mistrzów wraz z Klaudyuszem Coello, którego piękne płótno, przedstawiające procesyę ze świętą hostyą, rozciąga się tu na ścianach zakrystyi.

W chórze, który nam się przedstawia w kształcie długiej a wązkiej sali, dobrze oświeconej, który dla zakonników służył do odprawiania modłów klasztornych, uderza przedewszystkiem, prócz pięknie rzeźbionych stali, czyli krzeseł dla modlących się zakonników, zbiór cennych dzieł sztuki malar-

skiej. Są tu utwory pendzla surowego Ribery, Velazqueza, są włoskie obrazy Tiziana, Tintoretta i innych.

Trzeba bowiem dodać, że Eskurial był pierwotnie przeznaczony na ogromny klasztor Hieronimitów; w tym też celu został zbudowany. Około 200 zakonników przebywało tu niegdyś jednocześnie. Dziś — i od lat kilkudziesięciu, od czasów zniesienia zakonów w Hiszpanii, cele klasztorne stoją pustkami. Grobowe milczenie panuje na tych długich korytarzach, gdzie dawniej rozlegało się echo zakonników, zmierzających do chóru na modlitwę. Ciągną się dziś całe szeregi drzwi — jedne za drugiemi, zamknięte, głuche, milczące, jak i dawniej, kiedy się po za niemi ukrywało dobrowolne ubóstwo, abnegacya i ascetyzm.

Ale dawniej przynajmniej jak widma ukazywały się postacie wybladłych mnichów i ożywiały nieco grobowe osamotnienie. Dziś w tym labiryncie krużganków, korytarzy, istnych ulic wymarłego miasta, króluje jakby duch puszczy. Tylko jaśniejszy promień pada na to posępne klasztoru oblicze, gdzie barwne freski Giordana roztaczają dziś jeszcze tęczowe blaski.

Po tej długiej, męczącej pielgrzymce, już chciałem się wydostać z tego zamknięcia więziennego, żeby się napawać słońcem choćby jesiennem, usłyszeć głos przyjazny ziomka, który dobrze obeznany, z całym Eskurialem, na usilne prośby nasze nie towarzyszył nam w podróży pieszej. Ale trzeba było aż do dna wypić kielich goryczy.

Już tylko jedno pozostało do zwiedzenia miejsce, może najciekawsze ze wszystkiego, co się dotychczas widziało.

— Trzeba obejrzeć pałac — rzecze do nas przewodnik — gdzie Filip II-gi mieszkał.

— Słusznie — dodałem, przyjmując propozycyę. — Wszakże to on — pomyślałem w duchu — ten wielki władca, któremu Eskurial, klasztor, kościół, panteon winien swój początek, ten wielki i możny monarcha, któremu podlegały państwa w dwóch częściach świata. Jakżeby pominąć jego królewską siedzibę, jakże nie pójść podziwiać blask złota, połysk marmurów, świeżą barwę malowideł, misterną rzeźbę, dłuto artystów? Tam zapewnie spłynęły bogactwa Ameryki; kość słoniowa z Afryki idzie o lepsze pod względem białości z kararyjskim marmurem, cedry Libanu pokrywają w artystycznej rzeźbie rozległe stropy pałacu.

Trzeba tam iść. Ostatni wysiłek. Ale czeka nas sowita nagroda, miły po pracy wypoczynek.

Więc za przewodnikiem pniemy się znów po schodach. Jedna sień, druga, trzecia, następna, wreszcie jakaś wielka alkowa. Snać opuszczony dziś przedsionek.

— Tu proszę się zatrzymać — rzekł przewodnik.

— Zapewnie — myślę w duchu — każe nam się przygotować do oglądania blasku, świetności.

— *Aqui es la habitacion del rey Felipe* — doda poważnie przewodnik.

— Jakto? — tam za drzwiami — więc proszę nas prowadzić.

— No — senor — aqui. (Nie — panie — tu).

Zdumienie nasze nie znało granic. Oto znajdujemy się w podłużnej sali, na której białych, prostych, nagich ścianach igra światło dnia bożego, światło płynące z jedynego tu okna. Kilka krzeseł zwyczajnych, stół prosty — nic więcej, a wszystko, jak było swojego czasu za dumnego Filipa. Nic nie przybyło, nic nie ubyło. Tu była sala posłuchania. Tu się zgromadzali dostojnicy wielkiej monarchii, tu czekali posłowie mocarstw zagranicznych na rozkazy potężnego władcy.

A król sam, albo ukazywał się osobiście, żeby przyjmować tłumnie hołdy od zgromadzonych, albo wołał oddzielnie dostojników lub posłów do swoich komnat.

A kto się doń udawał, przez te drzwi oto jedyne tam w głębi sali — spostrzegał po lewej stronie ciemną niszę, niby alkowę. Tam dziś jeszcze stoi łóżko proste, tapczanem pokryte, na którym spoczywał światowładny monarcha. Udając się na prawo, spostrzegamy drugą ponurą alkowę. Istna cela mnicha. Ściany gołe, białe, wapnem pobielone. Dwa krzesła najprostsze w kształcie litery X, stół dębowy, na którym król pisywał — oto niemal wszystko, co było i pozostało. Tu Filip pracował, tu przyjmował posłów, tu się modlił, tu uchyliwszy

okna — które się mieści w ścianie wielkiego ołtarza — mógł niewidziany przez nikogo, spoglądać na zakonników i słuchać nabożeństwa, śpiewu i modłów.

Tu w tej celi samotnej, prostej jak mieszkanie biednego zakonnika, dni całe spędzał Filip II-gi. Kiedy go podagra przykuwała do miejsca, opierał chorą nogę o jedno z dwóch krzeseł, przysuwał się do ściany wielkiego ołtarza i nie ruszając się ze swej posępnej komnaty, na modlitwie czas spędzał, religijnym oddawał się rozmyślaniom. I oto cały blask królewski! Oto znikomość rzeczy ludzkich! Co za kontrast wielki, wspaniały!

Ten potężny król, ten pan licznych prowincyj, którego skroń zdobiło kilkanaście koron, ten możny władca, który z granitu i marmuru wzniósł taki olbrzymi klasztor i wspaniały panteon, dla siebie nie potrzebował więcej nad dwie proste, wapnem pobielone alkowy. Ojciec — Karol V, dokonał żywota w Estremadurze w klasztorze wśród ubóstwa i prostoty; syn podobnież poprzestawał na skromnej celi biednego pustelnika.

I są ludzie, myślałem w duchu, którzy wierzą, że na tych najwyższych stopniach społecznych panuje tylko zadowolenie z rozkoszy ziemskich i szczęście wśród bogactw i zbytku!

Następcy Filipa inaczej się urządzili. Pałac, obok zbudowany, zamieniony został na wspaniałe, pyszne i wielce bogate miejsce letniego pobytu. Wiek miniony najwięcej dorzucił do ozdobienia

komnat królewskich. I dziś tu jeszcze przebywa dwór i czas niejaki spędza. Zbyteczne są słowa, zbyteczne kreślenie przepychu, jaki w tych komnatach spotyka wędrowiec. Mniej więcej to samo, co się gdzieindziej widzieć zdarza w pałacach królewskich. Ale gobelinów pominąć się nie godzi. Tu Goya króluje w całej pełni swego oryginalnego talentu. Nie są to stare, jakieś weneckie lub niderlandzkie gobeliny — bynajmniej. Są to raczej wyroby miejscowe, madryckie z końca minionego, z początku obecnego stulecia. Dostarczył do nich rysunku sam Goya, albo wzięto za wzór jego malowidła na płótnie, których taka znaczna liczba przechowuje się w muzeum madryckiem. I tu także przeważają obrazy i sceny z życia codziennego. Cała stara Hiszpania na schyłku przeszłego wieku wytępuje tu na jaw z całą pełnią swej właściwości w życiu ludowem, powszedniem, ze wszystkiemi typami, z całą swą oryginalnością. Śmiały, zuchwały niekiedy koloryt, w niezwiędłej jeszcze dochowany świeżości, sprawia istotnie urocze wrażenie. Wśród tego weselszego otoczenia życie nabiera więcej powabu. Na chwilę zapomina przechodzień, że niedawno przesuwał się wśród grona cieniów nocnych, że wędrował wśród grodu umarłych.

Rzeczywistość nie ubłagana jednak znów się nam narzuca. Trzeba królewskie porzucić pokoje i znów błądzić po labiryncie korytarzy, krużganków. Wydostajemy się na jeden dziedziniec. Jestto niby *patio*, zamknięty z czterech stron. Poważny, ponury i posępny. Te ściany jednostajne bez żadnych ozdób,

okna równomierne, proste, ciągnące się w nieskończonym szeregu. Wychodzimy na drugi dziedziniec, aby wydostać się z tego grodu umarłych. A tu jeszcze jeden wielki kwadrat, albo równoległobok z ogromnych gmachów zamyka tylko co przebyte przestrzenie klasztoru. Jest to już ostatni wielki bok całego zabudowania.

I znów widok ten sam ponury, więzienny. Gmach jednostajny trzy czy czteropiętrowy, monotonny jak pustynia okoliczna, wśród której wznosi się Eskurial. Tylko szeregi okien, podobnych do siebie, jak dwa szare dni jesienne, przerywają tu nużącą jednostajność. A trzeba dodać, że cały pozór Eskurialu zupełnie grób przypomina. Granit, z którego zbudowano te gmachy, jest koloru gliniastego ziemnego — tak, iż całość niemal niczem nie różni się od szarawej, skalistej powierzchni nagiej i ubogiej w roślinność okolicy. Zdaje ci się, że to olbrzymie z niewypalonej gliny obeliski i piramidy—te wieże wysokie, te kopuły, te budynki—niby szpitale, niby koszary.

Oryginalna bo też była myśl twórcy tych olbrzymich gmachów. Eskurial winien swój początek pobożnemu ślubowi króla Filipa, który podczas zdobywania w 1565 r., jak wiadomo, miasta Saint-Quentin, zmuszonym był zburzyć kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Pragnąc wynagrodzić krzywdę, którą odczuwało głęboko sumienie religijnego monarchy, uczynił Filip ślub pobożny, że pod wezwaniem tegoż świętego inny każe zbudować kościół.

Tak powstał Eskurial. Żeby i na zewnątrz uwydatnić związek między samym gmachem klasztornym a św. Wawrzyńcem, któremu kościół poświęcony został, polecił król budowniczym, a był nim zrazu Juan Baptista a później Herera, aby kościół, klasztor i pałac przedstawiały w ustawieniu pewne podobieństwo do krat żelaznych, na jakich św. Wawrzyniec poniósł śmierć męczeńską. Więc też stanęły gmachy w takim po sobie porządku, że najzupełniej naśladują w obrębie wielkiego równoległoboku kraty — albo linie równoległe, poprzecinane innemi poprzecznemi liniami czyli gmachami. Cztery wysokie wieże, umieszczone w rogach czworoboku naśladują — niby nóżki czyli podstawki owych krat żelaznych męczeńskich.

Cała zaś powaga tego stylu prostego, spartańskiego, albo raczej doryckiego najzupełniej odpowiada poważnej, ascetycznej myśli — świętego Wawrzyńca, w imię którego stanął Eskurial, tudzież owego króla, mnicha, hypokondryka, który w nim swój żywot spędził.

Już zbliżał się powoli zmrok jesiennego dnia październikowego, kiedym porzucał Eskurial i żegnał się w klasztorze z rodakiem, szanownym księdzem Rożańskim. Błogie uczucie prawdziwego zadowolenia, że wśród tego pustkowia, tej samotności, można było rodzinnem, tak dawno niesłyszanem słowem pieścić ucho i głaskać duszę, sprawiało, żem nawet jaśniejsze rzucał spojrzenia na szare, ponure tło otaczającej mnie rzeczywistości. Posępny szczyt niebotycznej Guadaramy wydał mi się mniej złowie-

szczym, nieruchome olbrzymie masy granitu, którem się cała okolica najeżyła, przedstawiały się mniej groźnie. Puściłem się pieszo ze wzgórza z Eskurialu górnego ku Eskurialowi dolnemu, gdzie się znajduje dworzec kolei.

Rzucałem od czasu do czasu spojrzenie po za siebie. Powoli znikały nieliczne domki wioski — bo Eskurial jest niewielką wioszczyną, ale na widnokręgu, jak piramida w pustyni egipskiej, uwydatnia się olbrzymi klasztor, nad którym z tyłu roztaczał jak upiór swe straszne skrzydła ponury łańcuch gór Guadarama.

XI.

Alcala de Henares.

Podążam do miasta, do którego zagląda turysta. Gdyby nie kolej żelazna, która tędy do Aragonii przechodzi, droga do Madrytu zarosłaby trawą i chwastem. Ciekawi wędrowcy pewnieby tu ścieżki nie wydeptali. Ale jak wspomnę *los tempos pasados*, owe minione czasy, kiedy uczona Alcala liczyła z górą jedenaście tysięcy studentów, jakżeż sobie inaczej wyobrażam prastarą kolebkę nauki hiszpańskiej!

— Cóż za ciekawość — zapyta czytelnik słusznie zdziwiony — prowadzi cię, wędrowcze nasz, do tego zaścianka, do którego żaden nie zbacza podróżny?

Jestem w kłopocie, co na to pytanie odpowiedzieć, tak odwykłem od usprawiedliwiania w czasie podróży wszelakich mych wycieczek. Nawet władze policyjne tak są tu względne i tak mało cie-

kawe, że dotąd nikt jeszcze nie zapytał o jakikolwiek dowód legitymacyjny. W żadnym hotelu nie miałem dotychczas sposobności pod rubryką — w jakim celu przybywa podróżny — zapisać stereotypową odpowiedź — w interesie familijnym.

Na ciekawe pytanie czytelnika — mimo szczerość i otwartość, nie mogę wszakże inaczej odpowiedzieć — jeno, że jadę do Alcali w interesie familijnym.

Tak jest — udaję się tam w interesie familijnym.

Więc tam chyba jaki familiant mieszka?

Właściwie nie familiant — ale rodak — odpowiem otwarcie.

Szczęśliwy turysta — rzeknie w duchu czytelnik — jakżeż to on potrafił wyszukiwać za Pyreneami swoich ziomków.

Jużem w Madrycie szukał śladów mojego rodaka, i to i owo pomyślnym wypadkiem się znalazło — ale chciałem dotrzeć do samego źródła. W Madrycie się dowiedziałem, że mój rodak, któremu było na imię Stanisław, mieszkał czas jakiś w Sewilli, a następnie przeniósł się do uczonej Alcali.

Miałem go odszukać w bibliotece, między najdawniejszemi księgami, wśród wiekowych warstw kurzu i pleśni.

Oryginalny to rodak. Rzadko go kto widział nietylko w Sewilli, ale i w Alcali. Nikomu na oczy się nie pokazywał. Przynajmniej z żyjących nikt

go nie pamięta. Bo też to są już bardzo dawne czasy. Rodak nasz już nie żyje, a żył blizko czterysta lat temu. W końcu XV-go stulecia mieszkał w Sewilii i miał tam drukarnię, na początku zaś XVI-go wieku założył w Alcali nową drukarnię i tu kilka rzadkich dzieł na świat wydał. W Madrycie ani jednego nie widziałem egzemplarza — sądziłem, że Alcala posiada choć jednego białego kruka; przypuszczałem, że tam jaśniejsze spłynie światło na rodaka naszego, który jako jeden z pierwszych drukarzy w Hiszpanii, takie wybitne zajął miejsce w dziejach oświaty na półwyspie pyrenejskim, a o którym, prócz kilku notatek bibliograficznych, mało dochowało się wiadomości.

Prawdę mówiąc, nie ten jedynie wszakże, nie ten był wyłączny cel naszej do Alcali wycieczki. Posiada bowiem miasto wiele rzeczy i pamiątek godnych uwagi — do najciekawszych zaś dla nas należy — wielkie archiwum historyczne, pod względem bogactw, drugie po owem w Simancas, w starej Kastylii.

O wczesnym bardzo ranku wyruszyliśmy koleją z Madrytu. Listopadowe, przejmujące zimno daje się we znaki. Po dniach rozkosznej, jesiennej pogody, po dniach skwaru afrykańskiego, już ostry wiatr północny zaczyna zwiastować zbliżającą się zimę. Szczyt Guadaramy pokrył się śniegiem, a do tego szczytu tak blizko, że widać go z niektórych ulic Madrytu. To sąsiedztwo, tak niedalekie, sprawia, że klimat stolicy Hiszpanii niewiele się różni od stanu powietrza w tej porze nad Wisłą. A wiatr to

mroźny. Boreasz ten do szpiku kości przejmuje. Serce nie zgasi — powiada tutejsze przysłowie — ale człowieka zabije.

Czy to nagłe zimno jesienne po dniach jesiennego ciepła, czy też wczesna godzina poranna była tego przyczyną — ale na dworcu kolei panowała pustka, wyludnienie. Ckliwo robiło się na sercu, kiedy szukając oddziału, gdzieby się znajdowała jakaś dusza żyjąca, żadnego towarzysza podróży znaleźć nie mogłem. Jacyś tylko wieśniacy, jacyś robotnicy, jakby ze stron okolicznych wracali do swych stron rodzinnych. Może ta samotność, to szare a niedawno tak piękne błękitne niebo, ten wiatr jesienny sprawiły, że cała okolica, którąśmy przebywali aż do Alcali — wydała mi się pustą, smętną i dziwnie ubogą. Na rozległej płaszczyźnie, gdzieniegdzie wzdętej niewielkiemi pagórkami, ciągnął się step bezduszny. Miejscami tylko ukazywały się chaty biedne, stojące samotnie w polu; miejscami tylko zielenił się słabo smug ozimego zboża. Wszędzie na niwach panowała jesień naga, warstwa, obrana ze swych wdzięków, w jakie się stroi obfitem żniwem uśmiechnięte lato. Zresztą i ta okolica nie stanowi wyjątku, jest ona niemal dalszym ciągiem kamienistej, nieurodzajnej, jałowej gleby, która się rzuca w oczy podróżnikowi, kiedy od północy, od Eskurialu przybywa do Madrytu.

Z niedowierzaniem spojrzałem na Alcalę, kiedy się pociąg zatrzymał i kiedy wysiąść należało. Tyle

czytałem o uczonym grodzie, tak promienną wydała mi się sława tych Aten Hiszpanii, tej głośnej kolebki znakomitego Cervantesa, żem oczom swym wierzyć nie chciał, kiedym ujrzał przed sobą rzeczywisty cel mojej wycieczki. Tam w dali nieco — doliną snuje się Henares: dwa rzędy drzewek nadbrzeżnych, gdzieniegdzie pokrytych zieloną koroną, widocznie bieg jego wskazują. A na tle krajobrazu wznoszą się szare masy wzgórz, ciągnące się nieprzerwanym łańcuchem. Zapewne to są owe pagórki Zulema, na których niegdyś za rzymskich czasów kwitnęła osada Complutum. Z za domków miejskich, kryjących się w gęstwinie sadów i ogrodów, sterczą dachy czerwone, ukazują się wieże kościołów, krzyże, kopuły i t. d.

Dochodziła godzina dziewiąta z rana. Czyż o tak wcześnie w Alcali, że się ludzie jeszcze ze snu nie obudzili? — pytałem sam siebie, spojrzawszy w około na pustki, które uderzały w oczy na dworcu i na ulicy prowadzącej do miasta. Jakby mak siał.

Puszczam się czemprędzej w drogę boczną długą aleją, którą zdobią jeszcze zielone na wpół akacye, topole i do której przylegają gdzieniegdzie większe sady i ogrody.

Wiem, że innej drogi do miasta niemasz, boć to jedyna ścieżka wydeptana. A jednak niepokój w duszy powstaje, przejmuje nas jakaś trwoga. Nareszcie nawija się jakiś żebrak. Widzę zdaleka, jak ku mnie kroczy. Przecież zapytawszy się dowiem, gdzie obecnie jestem.

— *Digame Usted* — rzekłem — *por donde se va.* (Którędy się idzie, proszę powiedzieć).

Alem zapytania nie skończył. Zachwiałem się. Żebrak się zbliżył, kosztur naprzód wyciągnąwszy. Zapytanie zrozumiał. Chciał mnie nawet objaśnić. Nieszczęśliwy! Pozbawiony wzroku, pozbawiony przewodnika szedł sam o kiju tylko, utartą ścieżką pomiędzy drzewami i zapewnie śpieszył do dworca kolei, aby tam do przyjeżdżających wyciągnąć rękę po jałmużnę, po datek pieniężny na utrzymanie długiego i głodnego dnia.

— Idź pan ciągle prosto — odpowie jednak niewidomy, później weź się na prawo przy ostatnim ogrodzie. Dojdziesz pan tak do samego miasta.

I puściłem się już śmielej i odważniej. Przyspieszam kroku po mokrej, błotnistej drodze i niemal już biegnę, aby się raz wydostać z tego pustkowia leśnego na rynek, między ludzi, gdzie życie tętni, albo przynajmniej gdzie pies szczeka lub osieł ryczy.

Ale i tam na rynku, dokąd się nareszcie dostałem, czekał mnie przykry zawód. Stare czasy przezierały z tych murów wysokich, które w kształcie czy kościołów czy zamków przylegały do rozległego placu; przeglądała także starożytność z tych licznych niewielkich domków, które się tu w okół przysiadły, pochylone, pogarbione, jak starzec pod koniec swego żywota. Te omszałe ich czoła, oblicza poorane bruzdami wszystko niszczącego czasu,

ten ich kolor sinawy, żółtawy, jak zgrzybiała twarz nędzarza, tak zgodnie wtórowały ciszy, jaka zaległa dokoła, samotności klasztornej i opuszczeniu, które rozpostarło tu swe smutne panowanie.

Na całym rynku nie dostrzegam ani jednej ludzkiej istoty, do którejby się zwrócić można było z zapytaniem: kędy prowadzi droga do archiwum?

Było głucho, jak w grobie. Czyżby istotnie ludzie jeszcze ze snu słodkiego nie powstali, czyliżby jeszcze nie otworzyli oczu na świat boży? Jakżeż, myślałem sobie w duchu, wpadłszy w głębszą zadumę wśród tego leśnego pustkowia, wśród tego głuchego milczenia — było tu inaczej przed dwustu lub trzystu laty, kiedy się w Alcali roiło jak w ulu, kiedy na ulicach snuły się tłumy buńczucznej młodzieży akademickiej! Był bowiem czas, kiedy Alcala należała do najpierwszych w Hiszpanii uniwersytetów, posiadała taką sławę, jak Salamanka, niekiedy nawet, jak w początkach XVI-go wieku, biła łuną jaśniejszą nad wszystkie inne wszechnice. Bywało tu z górą jedenaście tysięcy studentów, a profesorów bez liku, a ludności wogóle także kilkadziesiąt tysięcy, gdy dziś zaledwie dziewięć tysięcy głów naliczy. Nie było też jeszcze wtedy Madrytu, przynajmniej stołecznego grodu. Madryt był maleńką, niepozorną mieściną, która nie mogłaby nawet iść o lepsze z najlichszem przedmieściem Alcali.

Przyjeżdżał do tego grodu, zwabiony sławą jego uczoności, Franciszek, koronowany jeniec Karola

V-go, kiedy bawił w Madrycie, pędząc tam dni smutnej niewoli.

Zagłębiony w mych dumach nad przeszłością, która się już w przepaść wieków stoczyła, zapomniałem o rzeczywistości. Wodząc błędnem okiem po szczytach kilku kościołów, po czerwonawych ścianach jakichś opuszczonych gmachów, anim spostrzegł, jak się kilka cieniów obok mnie przesunęło. Wieśniacy zdążali do miasta. Oto muł objuczony się ukazał, za nim mały osiełek dźwiga także na grzbiecie w sakwach jakieś ciężary. Kastylijczycy w biednych, obdartych ubraniach kroczą za niemi.

Nieporównany Cervantes stanął przedemną w duchu jak posąg Komandora.

Wszakżeż tu nieśmiertelny twórca don Quijota przyszedł na świat, wszak on tu w Alcali ujrzał światło dzienne, on, który unieśmiertelnił swem piórem, dowcipem te postaci błędnych rycerzy i te postaci flegmatycznych, kościstych mułów.

I gdyby nie Cervantes, który mi osiadł kamieniem w mej wyobraźni, byłbym odwrócił się do przechodzących wieśniaków z zapytaniem:

— Przyjaciele — powiedzcie, gdzie tu jest archiwum?

Oczywiście, pytanie pozostałoby bez odpowiedzi. Wywołałoby tylko zdziwienie, jakie wywołał nieraz Sanczo Pansa, towarzysz onego sławnego rycerza z Manczy.

Ale przynajmniej muły i wieśniacy wybili mnie

z tych sennych rozpamiętywań. Puściłem się w drogę. Ruszyłem z miejsca — ale dokąd? Sam nie wiem.

Może iść za mułami? Może one dążą tam, gdzie jest ruch, gdzie się ludzie znajdą. Zawracamy na prawo. Jakaś długa przed nami ciągnie się ulica. Mam żywcem przed oczyma wiek XVI-ty w tym nieskończonym szeregu domków, przystających do siebie szczelnie, jak dwie płaszczyzny — a wysuwających naprzód ku ulicy sklepione arkady. Po jednej i drugiej stronie ciągną się podsienia ciemnawe, słabo oświecone światłem dziennem, które się przedziera pomiędzy dość gęsto ustawionemi kolumnami albo słupami.

Środkiem ulicy kroczą naprzód muły. Dla przechodniów wygodniejsza droga pod arkadami, gdzie ukazują się sklepiki jeden za drugim. Zimne, piwniczne z nich bucha powietrze. Światło boże do nich tylko zagląda z ulicy, przedostawszy się przez wązkie otwory między kolumnami.

Wchodzę do jednego z nich, pytam, gdzie tu jest w mieście *el archivo general* (archiwum główne?)

Pytania nie zrozumiano. Więc i odpowiedzi otrzymać nie mogłem.

Spotykam żołnierza. *Digame Usted — onde esta el archivo?* — pytam ponownie.

Cóż żołnierz temu winien, że mieszkając może już kilka lat w Alcali, nigdy nie słyszał o archiwum. Co może dzielnego piechura kastylijskiego

obchodzić archiwum. Więc nowy zawód, nowe zakłopotanie.

Nareszcie spostrzegam dystrybucyę — *estanco*, jak tu zwykle nazywają sklepiki, gdzie monopolizowana sprzedaż tytuniu się odbywa. Tam nareszcie zasięgnąłem języka. Każdy właściciel *estanco*, to niby Figaro sewilski; wie wszystko, zajmuje się wszystkiem. Do dystrybucyi schodzą się na gawędy polityczne, sąsiedzi, klijenci i t. d.

Tu mi wreszcie powiedziano: Idź pan ciągle prosto tą ulicą — *Calle Mayor* — weź się później na prawo, ujrzysz gmach wielki. Tam ci resztę powiedzą.

Spełniłem, co mi polecono. Poszedłem za daną wskazówką. Stanąłem po dłuższej wędrówce na niewielkim placu, który zamykał ulicę i graniczył już z pustem polem. Na placu wznosił się gmach wielki, rozległy, okazały. Jedna jego część miała pozór pięknego pałacu odświeżonego. Jeszcze się przy nim krzątał tu i owdzie robotnik, jakby kominiarz, ociosujący wielkie głazy, które miały zapewnie posłużyć ku ozdobie niewykończonego jeszcze wewnątrz gmachu. Druga część zabudowania opuszczona, ciemna, o czarnych ścianach, jakby mchem pokrytych, o brudnych oknach, czyli raczej szybach niby ołowianego koloru. Albo to stary klasztor, albo stare zamczysko. Wszelkie pozory przemawiają za tem, że tu nakoniec do celu mej podróży przybędę. Czyż mogło być nawet inaczej? Czyż nawet wątpić się na chwilę godziło?

Gdyby nawet jaka niepewność powstała w tym względzie, wszak przy głównych drzwiach wchodowych stoi żołnierz na warcie, który zapewnie strzeże skarbów, ukrytych w tym przybytku pamiątek minionego czasu.

— Czy tu jest archiwum? — pytam, choćby tylko dla przyzwoitości, tem samem prosząc o pozwolenie wejścia do gmachu.

— Tak jest — odpowie żołnierz.

— Na dole, czy na piętrze?

— Wszędzie, tu i tam — rzecze zapytany.

Oczywiście, pomyślałem w duchu. Rzecz naturalna, archiwum wielkie, potrzebuje rozległego pomieszczenia.

Na dole przebiegłem śpiesznie jeden główny i dwa boczne korytarze. Snać dawny klasztor. Jedna celka zakonna za drugą. Gdzieniegdzie na ścianach jeszcze dawne malowidła święte. Ale głucho i pusto, jak w grodzie umarłych. Wszędzie drzwi szczelnie zamknięte. Nigdzie żadnego napisu. Po wygodnych, szerokich schodach dostaję się na pierwsze piętro. I tu również, jak w mieście zadżumionych. Nigdzie żywej istoty. I znów trzy korytarze przebiegłem — wszędzie drzwi zamknięte. Nareszcie ogromny pies zdala się ukazuje, nieprzyjazną względem mnie przybierając postawę.

Rozległo się głośne szczekanie. Zatrzymałem się w obec nieprzyjaciela, nie uważając za właściwe obcesowo nań nacierać. Byłem bezbronny. Nareszcie uchylają się drzwi jednej z celek maleń-

kich, ukazuje się w nich stara niewiasta, zapewnie żona stróża, i ze zdumieniem ujrzawszy cudzoziemca — bo któżby go tu nie poznał — pyta: czego szukam.

— *El archivo general?*

Pies zaszczekał głośniej. Odpowiedzi dosłyszeć nie mogę, ale staruszka głową potrząsa i widocznie nie rozumie zapytania. Echo psa coraz mocniej szczekającego odbija się głośno o sklepienia korytarzy i czyni porozumienie się niemożliwem. Nareszcie domyślna staruszka, oswoiwszy się już nieco z widokiem cudzoziemca, wychodzi ze swego obronnego we drzwiach stanowiska i pyta ciekawie, o co chodzi.

— Archiwum — powtarza, zastanawiając się głębiej — tu archiwum żadnego niemasz. To trzeba panu iść na ratusz, tam mają archiwum. A ratusz mieści się niedaleko w rynku. Trzeba wrócić do miasta.

— Otóż to jest rozsądna odpowiedź, trafne objaśnienie — rzekłem w duchu. — Oczywiście archiwum jest w ratuszu. Trzebaż było domyśleć się tego odrazu. Schodzę więc na dół, odprowadzany przez głośnego psa, na którego dla bezpieczeństwa mego odzienia od czasu do czasu rzucam po za siebie badawcze spojrzenie.

Przeszedłem mimo żołnierza stojącego na warcie. Nie miałem do niego żalu, że mnie w błąd wprowadził. A zkądże on mógł wiedzieć, co jest archiwum i jakiego ja szukam archiwum? Jemu się zdało, że magazyn i archiwum jest jedno i to samo.

Głębiej się zastanowiwszy, czyż w rzeczy samej jest inaczej?

Trzeba było przeto pomyśleć o odwrocie. Szło mi niesporo. Utrudzenie półtoragodzinne już mi się dawało we znaki. Do miasta, do owego rynku, przy którym zapewnie stoi ratusz, daleko. Możeby odpocząć? Ale gdzie?

Chyba tuż niedaleko na tych olbrzymich głazach, które tam obok tego wielkiego pałacu ustawione rzędem czekają na swe artystyczne przeznaczenie.

Niebawem już rozkoszujemy się miłym, choć twardym wypoczynkiem. Badawcze rzucam spojrzenie na odnowione oblicze pałacu. Dwa skrzydła już skończone. Trzecie, które stanowi równoległe ramię z pierwszem skrzydłem, już także jest na ukończeniu. Tylko wewnątrz jeszcze ożywiona idzie robota. Słychać stukanie młotków, przez okno widać rusztowania dla sztukatora, lub dla mularza. Od czasu do czasu jakiś robotnik ukaże się na dworze, gdzie jeszcze panuje nieład. Oto jeden zbliża się z młotkiem i dłutem, aby przy kamieniach dokończyć roboty. Zapytajmy przez ciekawość, kto mieszka w tym pałacu.

— Powiedz mi — *hombre,* czyj to jest ten pałac?

— *El palaio del arzobispo* — brzmiała odpowiedź.

— Alboż tu mieszka arcybiskup?

— Nie, panie, ale się tak nazywa.

— Więc któż w nim mieszka, jeśli nie masz arcybiskupa?

— To teraz, panie, wielkie archiwum tutaj jest.

— Archiwum! — zawołałem ze zdziwieniem, zeskoczywszy z twardego, kamiennego krzesła. — Może magazyn, nie archiwum? — dodam z niedowierzaniem. — A widziałeś że, przyjacielu, kiedy to archiwum?

— Codzień je widuję, bo tam robotę mamy.

— A cóż tam jest w archiwum? Może skład mundurów, broni, zapasów, żywności?

— Nie, panie, same szafy i książki i papiery bez liku.

— A tegoć to ja szukam już przez cały ranek!

Przecież trudno było przypuszczać, że archiwum mieści się w takim wspaniałym pałacu, nad którego ozdobieniem prowadzą się jeszcze teraz ustawicznie roboty.

Udałem się na lewo do pierwszej wspaniałej oficyny za wskazówką robotnika. Przeszedłszy przez okazałą bramę, ujrzałem się w dziedzińcu kwadratowo zabudowanym nakształt owych arabskich *patio*. I tu jeszcze znać było trwające bez przerwy roboty stolarsko-kamieniarskie. Ujrzał nas jakiś sługa, wyszedł na spotkanie i nareszcie objaśnił, że tu się znajduje główne archiwum.

Uprzejmość niewysłowiona dyrektora archiwum pana Escudero de la Pena, tudzież kilku urzędników,

ułatwiła mi poznanie i zbadanie w prędkim czasie całej instytucyi i ukrytych w niej skarbów. Piśmienne zalecenie pana ministra Lasali otworzyło mi przystęp do ksiąg i papierów — koleżeństwo zaś utorowało drogę do serca, do przyjaznej i wylanej gościnności, zwłaszcza pana Escudero, który nam rad był, jak rodzonemu bratu.

Sam badacz zamiłowany, autor wielu prac historycznych, niegdyś profesor paleografii i dyplomatyki w uniwersytecie madryckim, czuł się szczęśliwym na widok człowieka, który z dalekich stron przybył i umiał ocenić rozległą wiedzę i gruntowne studya w zakresie archeologiczno-historycznym specyalisty, zamkniętego w murach tak mało znanego w Alcali archiwum.

Archiwum to jest pod względem ważności zawartych w nim skarbów, drugiem z rzędu w Hiszpanii. Pierwsze naczelne bowiem miejsce zajmuje Simancas w Kastylii. Ale pod względem urządzenia, przepychu, okazałości prześciga ono wszystko, co nam się dotychczas widzieć zdarzyło nietylko w Hiszpanii, lecz i w innych krajach Europy.

Archiwum w Alcala ma swoje dzieje, ale niezbyt obszerne i dalekie. Powstało ono w r. 1861, a poprzednio mieściło się w Madrycie. Obejmuje głównie epokę nowszą — Burbonów od początku XVIII wieku. Prócz tego obejmuje nieco wcześniejsze czasy, a mianowicie akta inkwizycyi dwóch trybunałów najwyższych w Toledo i Walencyi. Zakupiony przez rząd gmach po-arcybiskupi obrócono na archiwum.

Dawny pałac arcybiskupów toledańskich, którzy tu niekiedy swą rezydencyą urządzali, jak u nas arcybiskupi gnieźnieńscy w Uniejowie, bardzo się nadał do celu, jaki sobie zamierzono. W ciągu bieżącego stulecia pałac, rzadziej odwiedzany przez mniej zamożnych arcybiskupów, stracił wiele na swej świetności. Zaczął nawet grozić ruiną. Dawniej zaś przewyższał zapewnie wiele innych królewskich pałaców niezwykłym swym przepychem wewnętrznym.

Dziś pozostały w tych wielkich a niezliczonych salach wspaniałe sufity, wykładane całkowicie drzewem cedrowem, rzeźbionem w najcudowniejsze kwiaty i arabeski. Wątpić należy, czy się gdziekolwiek znajdzie archiwum, któreby posiadało takie zbytkowne ozdoby.

W 50-iu salach mieści się około 90 tysięcy aktów rożnej wielkości i rozmaitej treści. W tej liczbie znaczna część przypada na tak zwane *legajos,* czyli akta poselskie, albo relacye dyplomatyczne, które głównie obejmują wiek przeszły i teraźniejszy.

Urządzenie sal przepyszne, wygodne, nie pozostawia nic do życzenia. Światła nigdzie nie brak. Bezpieczeństwo najzupełniejsze. Niemal we wszystkich salach marmurowa posadzka. Po tem, com widział w Simancas, spoglądałem z prawdziwem zdumieniem na królewski zbytek. Był przed kilkoma laty ministrem hrabia Torreno, który miał szczególniejsze zamiłowanie do tych cennych pamiątek przeszłości; on to wyjednał znaczne sumy na zakupie-

nie gmachu i na przyprowadzenie go do tego stanu, w jakim się dziś już znajduje. A ta staranność istotnie przynosi zaszczyt Hiszpanji; zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy się najwięcej przeznacza pieniędzy na wojsko, tak mile wpada w oko macierzyńska opieka, roztaczana nad piśmiennemi skarbami przeszłości.

Poszukiwania, dotyczące rzeczy naszych, nie przyniosły obfitego plonu. Po zbiorach, które nam się udało zgromadzić w Simancas, już się wielkiego żniwa tu nie można było spodziewać. Ale nawet najskromniejsze nasze nadzieje nas zawiodły. Prócz kilkunastu listów Klemensa Branickiego, hetmana, w sprawach jego osobistych, niemal żadnych innych nie znaleźliśmy tu papierów. Poszukiwania zresztą wogóle są o tyle utrudnione, że praca około inwentarzy, katalogów i skorowidzów zaczęła się niedawno i przy niezbyt wielkich siłach (czterech urzędników) posuwa się zwolna.

Tuż do samego archiwum przylega wielka wspaniała sala, w której się niegdyś odbywały sobory duchowne całej Hiszpanii. Niemało tu zostało pamiątek. Dziś właśnie, dzięki troskliwości ministeryum dobrze zrozumianej, prowadzą się roboty restauracyjne, celem przywrócenia w sali całego charakteru starożytnego ze wszystkiemi szlakami, rzeźbą i malowidłami. Zgromadzone tu zostaną pamiątki historyczne, szczególniej XVI-go wieku, których tyle pozostało po znakomitym arcybiskupie i kardynale Ximenesie Cisneros. On to najwięcej przyczynił się do upiększenia pałacu, do

ozdobienia miasta i w ogóle do wyniesienia Alcali na szczebel sławnego, świetnego, uczonego grodu.

On to — ów sławny w dziejach Hiszpanii książę kościoła, statysta, prymas i rejent państwa, posągową stanowi postać. On to w Alcali założył uniwersytet, bogato go uposażył i stworzył świetne na długie lata ognisko naukowe.

Wspaniały jego grobowiec mieści się dziś w wielkim majestatycznym tumie, czyli w kolegiackim kościele. Otworzyły się przed nami w poobiedniej godzinie drzwi tej świątyni, otworzyły się podwoje wielu innych gmachów w Alcali, dzięki uprzejmemu przewodnictwu pana Manuelo de Laredo.

Dyrektor archiwum, dotknięty cierpieniem, które go do miejsca przykuwa, lubo nam na każdym kroku świadczył gościnność niezwykłą, nie mógł, wbrew chęci, towarzyszyć nam w wycieczce naszej do miasta, do kościołów i gmachów godnych widzenia. Dał nam jednak sposobność poznania pana Laredo, architekta, do którego mieliśmy listy polecające od pana Tubino, członka akademii sztuk pięknych z Madrytu. Pan Laredo kieruje właśnie pracami restauracyjnemi w pałacu arcybiskupim — mieszka już od lat kilku w Alcali i zna jej piękności, jej pomniki, jak nikt lepiej znać ich nie może.

— Pod wodzą takiego znawcy naszego grodu— rzecze do nas pan Escudero de la Pena, oddając

nas w ręce pana Laredo — już się pan daremnie po Alcali błąkać nie będziesz.

Jako też istotnie w prędkim czasie poznaliśmy się z bogactwem architektonicznem tak opuszczonego dzisiaj grodu. Więc oto przed nami kolegiacki tum, na pozór niezbyt okazały, wewnątrz odsłaniający przed zdumionem okiem widza nieporównane piękności gotyckiego stylu, obok motywów XVI-go wieku, obok ozdób bujniejszych.

Burgos, Toledo i Alcala, zapewnie są to trzy miejsca, gdzie dochowały się te majestatyczne gotyki. I tu także, jak we wzmiankowanych świątyniach, chór umieszczony w środku kościoła psuje wrażenie wielkości, harmonii i wdzięku. Wprost wielkiego ołtarza mieści się wysoki na trzy łokcie sarkofag marmurowy kardynała Ximenesa, jedno z najpiękniejszych dzieł sztuki w Hiszpanii. Jest to utwór dłuta i ręki Dominika z Florencyi. Kardynał spoczywa w naturalnej wielkości w szatach pontyfikalnych.

Ściany sarkofagu pokryte są niesłychanie artystyczną rzeźbą: liście, aniołowie, gryfy, wszystko w smaku odrodzenia z rzadką starannością i dokładnością Kraty z bronzu, otaczające w czworobok cały sarkofag, odznaczają się także misternem wykończeniem w szczegółach.

Dawniej, kilka lat temu, grobowiec znajdował się w innem miejscu, zkąd go przeniesiono do tej świątyni. Kardynał spoczywał w kaplicy uniwersytetu przez siebie założonego. Jest to drugi z rzędu gmach w Alcali, zasługujący na uwagę.

Nosi on obecnie nazwę *colegio mayor de San Ildefonso* i przedstawia nazewnątrz niezbyt okazały, ale w pięknym stylu renesansu zbudowany, fronton. Wielkie zabudowanie mieści dziś w sobie szkołę kilkoklasową w rodzaju progimnazyum. Świetna przeszłość gmachu smutno się maluje na opuszczonych murach i ścianach. Dwa, po sobie jeden za drugim idące, dziedzińce, albo *patios*, zabudowane w czworobok z krużgankiem w około, świadczą, że w tych miejscach niegdyś roiły się nieprzeliczone tłumy młodzieży akademickiej. Dziś smutek tu jeno zalega.

W dawnej kaplicy uniwersyteckiej, gdzie przed kilkoma jeszcze laty mieścił się sarkofag kardynała Ximenesa, pozostało trochę pamiątek historycznych, kilka malowideł. Tu, zarówno jak i w sali uroczystych posiedzeń, tudzież na korytarzach tłoczą się do głowy tłumne wspomnienia, pełne siły życia i interesu dla tych, których obchodzą bliżej mury uniwersyteckie w ogóle i głoszona w nich nauka.

— Wątpię — rzecze do nas pod koniec naszej wędrówki pan Laredo — czy Alcala posiada jeszcze cokolwiekbądź, coby mogło wzbudzić pańską ciekawość, po za gmachem tego uniwersytetu? Dla nas miejscowych każdy domek, każda wieżyczka, każdy kamień, to miła, droga pamiątka. Dla cudzoziemca rzecz obojętna.

— Owszem, panie, mówię do towarzysza, korzystam z każdej sposobności, aby poznać pomniki

cywilizacyi waszej, przypatrzeć się fizyonomii miast, ulic dawnych. Prowadź mnie pan — jeśli łaska, pod arkady, w ciasne uliczki, może tam zobaczymy wiek XVI, lub XV-ty.

I spełnił uprzejmy nasz przewodnik prośbę naszą. I błądziliśmy jeszcze długo po ulicach Alcali, wpatrując się w oblicza opuszczonych klasztorów, w jej domki mchem pokryte, w różnokształtne drzwi i okna — aż zmrok wieczorny położył kres naszej wędrówce.

O późnej godzinie wieczornej zmierzaliśmy znów tą samą co rano aleją ku stacyi drogi żelaznej, aby wrócić do Madrytu. Czarna noc listopadowa pokryła wszystko gęstym, nieprzeniknionym cieniem. Gdybym miał tak, jak rano, po przybyciu do Alcali, samotnie wracać z miasta na dworzec kolei wśród tej ciemnej nocy, byłbym wolał chyba w mieście pozostać, aż do dnia jasnego.

Ale niezwykła uprzejmość Hiszpanów ustrzegła mnie od wszelkiego szwanku wśród tej niebezpiecznej z miasta wędrówki. Wsparty na ramionach towarzyszów, którzy mnie doprowadzić postanowili aż do miejsca odjazdu, szczęśliwie wydostałem się na bezpieczną drogę.

Wychylając się z wagonu, który miał mnie niebawem powieść do Madrytu, pytałem życzliwych, przyjaznych i uprzejmych Hiszpanów, towarzyszów mych wycieczek i przewodników w Alcali, czyby mi nie dali sposobności wywzajemnienia się im kiedy w Warszawie?

— *Con mucho gusto* (z przyjemnością) — odpowie jeden i drugi — gdyby nie te mrozy, nie te śniegi i lody, po których my chodzić nie umiemy.

Już pociąg zwolna ruszał z miejsca i już czasu nie było zachwalać piękności gorącego naszego lipca lub skwarnego sierpnia, kiedy śniegów i lodów na ulicach niemasz. Więc zamiast do widzenia, pożegnalne na zawsze przesłałem im słowa:

— Zostańcie panowie z Bogiem!

XII.

TOLEDO.

Przeszłość miasta. — Jego stan obecny. — Katedra. — San Juan de los Reyes. — Arabskie pomniki budownictwa.

Zbliżamy się do Toledo.

Dreszcz świętego uczucia przebiega na widok tej starożytności, na której wieki całe spoczęły. Kryjemy się w cieniu rozłożystych konarów prastarego dębu, lub niebotycznej lipy niemal ze czcią religijną, z uczuciem głębokiego poważania... *Uti antiqua robora veneremus*... powiada starożytny pisarz... jak czcimy prastare drzewa — tak też szanujemy te nieme pomniki odległych czasów, o których wiadomości żadnej niemasz, prócz tych właśnie głazów mchem porosłych, skruszonych rdzą wieków. Na widok tych wymownych świadków ubiegłych stuleci budzi się wspomnienie dalekiej, odległej przeszłości. Przeszłość ta, szronem przypruszona, siwizną pokryta, wywołuje w duszy uczucie powa-

żania, szacunku, jak głowa starca, lśniąca włosem srebrnym. A jeżeli ten starzec umie gawędzić, jeżeli potrafi opowiedzieć dzieje swojego życia, jeśli pamięcią jeszcze świeżą sięga lat swojej młodości, jakżeż go serdecznie witamy u siebie, w swoim domu w szarą godzinę jesiennego dnia, aby posłuchać opowieści „starego Bojana," aby zatopić się w tej przeszłości i w niej, jak w źródle ożywczej wody, skąpać myśl, znużoną wśród suchej, nużącej pielgrzymki życia codziennego, powszedniego.

Przeszłość Toledo — to wielka, nieskończenie wielka księga. Jeden z głębokich znawców tego grodu, który spędził tu lata całe nad badaniem pomników minionych stuleci, powiedział, że po dziewięciu miesiącach pobytu w Toledo, prawie się jeszcze nie zna zupełnie skarbów w niem ukrytych. Łatwo więc pojąć — co to za studnia nieprzebrana, co to za morze niezgłębione, co to za góra nieprzebyta.

Toledo nazywają tu niekiedy Rzymem hiszpańskim. Ci, którzy tak twierdzą, mają pod wielu względami najzupełniej słuszność. Nietylko sama strona zewnętrzna nasuwa to porównanie. Nietylko okolica, rzeka, pagórki przypominają nam odwieczny gród nad Tybrem. Wiele i wiele innych daleko istotniejszych rysów podobieństwa dopatrzeć można między temi dwoma miastami.

Toledo ma także daleką przeszłość, która tonie w pomroce wiadomości historycznych. Rzym miał podobno powstać za wolą Romulusa i Rema, a tymczasem miejscowe w Toledzie podanie prawi

o zamierzchłych, nieomal przedpotopowych, czasach. Kto tam sprawdzi wiarogodność takich bezzasadnych wieści. Ale to pewną jest rzeczą, że Toledo, kiedy Rzymianie na dwa wieki przed Chrystusem zaczęli podbijać półwysep pyrenejski, już stanowiło ognisko polityczne, było jeśli nie stołecznym grodem — to warownią, która broniła przez długi czas niezależności okolicznych mieszkańców, a następnie Rzymianom służyła za osłonę podczas ich długich dni panowania w Hiszpanii.

Już wtedy — jak powiada rzymski dziejopis Liwiusz — Toledo miało być miastem małem, ale warownem bardzo. Później przybyły, wraz z coraz gęstszem osiedlaniem się obywateli rzymskich, wszystkie zdobycze wspaniałej cywilizacyi rzymskiej: świątynie ozdobne, wygodne wodociągi, przepyszne bramy, zbytkowne amfiteatry. Powoli i chrześcijaństwo puszczać tu zaczęło zielone latorośle i do dziejów męczeństwa chrześcijan przybyła tu niejedna krwawa lubo aureolą świętości błyszcząca karta. W piątym wieku, kiedy już się chyliło do upadku panowanie Rzymian a chrześcijaństwo stało się religią ogólną całego państwa, odbył się tu synod kościelny, na którym już piętnastu zasiadało biskupów katolickich.

Później, kiedy się cała Hiszpania stała łupem najezdniczych drużyn germańskich, miasto zachowało swe dawne znaczenie miasta środkowego i warownego. Tu była rezydencya Wizygotów. Szczególniej wielki ich król, Wamba, pod koniec VII-go wieku przyczynił się niemało do upiększenia miasta.

Tu się odbywały często ogólne zgromadzenia państwa czyli sejmy walne, na które przybywało duchowieństwo i świeccy dostojnicy z całego państwa. Niebawem jednak niesnaski między Wizygotami sprowadziły wraz z Arabami ciężką na kraj cały klęskę. Po pamiętnej bitwie w 711 roku pod Xerez de la Frontera, mahometańscy synowie puszcz afrykańskich i pustyni arabskich stali się panami całego półwyspu.

Toledo zamieniło się wtedy całkowicie na miasto arabskie, w którem pozostał główny zarząd całego kalifatu, w którem prędko zakwitnęły sztuki piękne, przemysł, handel rozległy, a szczególniej nadobny kwiat poezyi wschodniej. Czterysta z górą lat trwało tu panowanie Saracenów, a i później jeszcze kilka wieków z rzędu mieszkała tu ludność arabska; więc głębokie ślady długiego pobytu Maurów tak się odcisnęły trwale, że pomimo niwelującą rękę Hiszpanów, którzy znów odzyskali Toledo, do dziś dnia pozostały one widocznemi. Kiedy patrzę na wspaniałe alkazary, na zębate blanki wież obronnych, na haremowe urządzenia domów, zdaje mi się, że jeszcze w całej swej typowości pozostało ciało po Arabach, tylko duch uleciał.

Znać tu na każdym kroku kilkowiekowy pobyt Arabów. Orientalizm przeziera tak widomie, jak gdybyśmy już byli na oazie palmowej wśród pustyni afrykańskiej, gdzie królują potomki sławnych Kalifów w białośnieżnych sukniach, o ogorzałych, smagłych twarzach, a czarnych jak węgiel oczach. Jakąż to sławę daleką i rozgłośną posiadać musiało

ówczesne Toledo nietylko w Hiszpanii, ale na całym zachodzie, gdzie podobnie ludnego i ożywionego nie było wtedy grodu. Rzym, trapiony ustawicznemi napadami sąsiednich Longobardów, podupadł na czas pewien.

Kiedy w początkach XI-go wieku zaczęli podrastać i mężnieć drobni królowie kilku maleńkich państewek w północnej Hiszpanii i kiedy złączonemi siłami zaczęli odpierać najazdy Saracenów, Toledo stało się wtedy, jako jedno z głównych ognisk środkowej Hiszpanii, przedmiotem zdobywczych zabiegów. Władcy kastylijscy stali na czele tego ruchu, a jednym z najgłośniejszych bohaterów chrześcijaństwa był ów rycerz Cyd Campeador. W środkowej Europie dopiero na schyłku XI-go wieku zaczęła się gotować pierwsza wyprawa krzyżowa przeciwko wschodowi mahometańskiemu. Alfons VI-ty stanął pod murami Toledo ze swymi rycerzami, wprawnymi do boju na śmierć i życie. Był w ich szeregach, a raczej hetmanił im Cyd sławny. Miasto, ściśnięte i obsaczone, musiało się poddać mimo swe warowne wieże i zamki zbrojne.

W dniu 20-ym maja 1081 r. odbył się uroczysty wjazd chrześcijan do miasta. Legenda opowiada, że kiedy Cyd wjeżdżał do Toledo na swoim dzielnym rumaku, który się zwał Babieka, koń się potknął i upadł na kolana. Uznano to za znak ważny, za wskazówkę do poszukiwań. Rozkopano to miejsce i znaleziono krucyfiks, zakopany podczas najazdu Arabów w VIII-ym wieku, i obok krucyfiksu gorejącą lampę.

Toledo ujrzało teraz w swych murach katolickiego monarchę, ale długo jeszcze trapione napadami Maurów z sąsiednich kalifatów Korduby i Granady, dopiero w XIII-ym wieku rozpoczęło dobę swego spokojniejszego rozwoju. Przebywali tu często królowie zwycięzkiej Kastylii i ztąd nieraz wyruszali z hufcami mężnych rycerzy na krwawy bój z fanatycznymi wyznawcami Mahometa. Ferdynand święty, znany jako zdobywca znacznych przestrzeni ziemi w południowej Hiszpanii, położył kamień węgielny pod wspaniałą świątynię katedralną, która dziś należy nietylko do najpiękniejszych pomników budownictwa w Hiszpanii, ale wogóle na całym świecie. Toledo uważane przez hidalgów (szlachtę) za kolebkę wolności — jaśniało dla nich zawsze wielkim urokiem.

Więc możne rodziny budowały swe wspaniałe pałace, aby znajdować się bliżej królewskiego dworu, który tu główną swą siedzibę założył. Jakiż blask niepomierny spłynął na Toledo, kiedy z pod murów Granady wracał Ferdynand katolicki z Izabellą, swą małżonką.

Runęła w 1477 roku ostatnia twierdza Maurów pod ciosami dzielnych rycerzy hiszpańskich i cały kraj oswobodzony został ostatecznie od gniotącego jarzma maurytańskiego w południowo-wschodnich prowincyach. Toledo jeszcze wyżej stanęło, bo było środkowym punktem rozległej a zjednoczonej Hiszpanii. Wracający z pod murów Granady królowie katoliccy uczynili ślub, iż na pamiątkę zwycięztwa wystawią kościół i klasztor. I stanął wtedy

przecudny gmach — San Juan de los reyes — prawdziwe cacko, istna perła w budownictwie gotyckiem.

Słońce blasku, wielkości Toledo, zaczęło się mieć ku zachodowi. Nowy władca, Karol V-ty, z nowego szczepu rakuskiego nie umiał się przywiązać do tych tradycyj, które serce każdego Hiszpana przykuwały do zamków i murów toledańskich. Bo też tu z łona mieszkańców Toleda wyszedł mąż, który stanął na czele rozległego związku tak zwanych *Comuneros*, co się uzbroił przeciw przybyszowi i władzy jego uznać nie chciał. Był to znakomity Juan Padilla, bohater historyczny, bohater legend i opowieści ludowych, który ostatecznie pod miecz katowski głowę swą położył.

Wprawdzie przebywał tu niekiedy Karol V-ty, ale bawiąc w Hiszpanii, przenosił nad ten gród inne miasto — mianowicie Valladolid. Syn zaś jego, Filip II, zbudowawszy tak wielką i potężną monarchię, nie chciał kryć się pod skrzydła królów kastylijskich, Alfonsów i Ferdynandów, owszem, chciał mieć osobną stolicę swego państwa, gdzieby wielkość minionych czasów, pamięć świetnych czynów dawniejszych królów nie ćmiła blasku osobistej potęgi i znaczenia.

I powstała wtedy w głowie światowładnego monarchy myśl nieszczęśliwa — utworzenia nowej stolicy w środku Hiszpanii, stolicy o ośm tylko mil odległej od starożytnego, wspaniałego Toledo.

Kiedy więc od roku 1563 już dwór zaczął stale przebywać w Madrycie, nad Toledem zawisło smu-

tne przeznaczenie. Wyrok zagłady, opuszczenia zabrzmiał niebawem. I niebawem spełniać się zaczęła straszna wola losu.

Wyludniło się miasto.

Niedawno jeszcze rojne tłumy przeciskały się przez ciasne uliczki miasta, w którem z górą dwakroć sto tysięcy dusz naliczyłeś. Powoli topniała liczba pod działaniem czasu, jak lód topnieje pod wpływem wiosennego ciepła. W świetnych alkazarach zaległy pustki, pałacom zaczęła grozić ruina, wyludniły się domy i po ulicach rozlegało się echo stóp kroczącego po samotnych ulicach przechodnia. Dziś zaledwie do 20 tysięcy dochodzi liczba tutejszych mieszkańców.

Kiedy się rozkoszuję przecudnym widokiem arabskich pomników budownictwa w Toledzie, uspokoić się nie mogę, że dopuszczono się takiego lekceważenia względem historycznego grodu, Obok Toledo — miasta tak pełnego charakteru, świadka takiej świetnej przeszłości—wybudować nowoczesny Madryt, jak koszary wyglądający obok wspaniałego zamku historycznego! Rozumiem, dlaczego Kraków, leżący niemal na zachodnio-południowym kresie, za czasów Jagielońskich, nie mógł utrzymać się następnie na stopniu stołecznego grodu, i musiał ustąpić pierwszeństwa Warszawie, która więcej dogodne, geograficzne względem całej rzeczypospolitej posiadała położenie. Ale Toledo—o ośm tylko mil odległe od dzisiejszej stolicy, zupełnie tak samo jak Madryt jest środkowym punktem półwyspu pyrenejskiego.

Gdyby więc bogactwa wielkiego Filipa były spłynęły do Toledo, jakąż przecudną oprawę stanowiłoby złoto Ameryki dla klejnotów budownictwa, które pozostawił tu po sobie porządek gotycki, styl maurytański! Ale co prawda, byłoby tu trochę ciasno, nie tak przestrono jak w Madrycie, w tych wązkich zaułkach arabskich. Z czasem byłoby się tu niewątpliwie miejsce znalazło.

Pierwszy rzut oka po przyjeździe na majestatyczne Toledo, jest uroczy, pełen czarowności i wdzięku. Wysiadamy z wagonu kolei w dolinie opodal miasta, które tam po za rzeką pozawieszało na nagich skałach swe dekoracye teatralne. Rzeka nas oddziela od Toledo. Niezbyt szeroki, zasilony górskiemi potokami, Tag niesie tu w dal swe czerwonawe wody, przerzynając okolicę dość ubogą, nieco sfalowaną niewielkiemi pagórkami. Nie zapominajmy, że jesteśmy jeszcze w Kastylii nowej, wśród pól jałowych, wśród skalistej formacyi. Natura nie uśmiecha się tu ani bogactwem plonu, ani zielonością wiosny. Skwarne lato wypali kamienistą ziemię, a chłodna jesień nie pobudzi roślinności.

W około więc okolica uboga, obdarta, najeżona skałami, niby twarz wynędzniałego żebraka, na której sterczą ostre kości.

Przed nami wznosi się wielka skalista masa, która wygląda jak w gładkiem polu olbrzymi głaz granitowy. Skała panuje nad całą okolicą. Jej boki nierówne sterczą gdzieniegdzie ostrym końcem, a szczyt, pokryty tysiącem przeróżnych gmachów, zlewających się w jakąś mieszaninę kształtów, łamie

się w oddali na horyzoncie dziwaczną, fantastyczną linią. Im więcej się do miasta zbliżamy, wznosząc się po dość stromo spadającej ku dolinie drodze, tem wyraźniej występują charakterystyczne rysy oblicza, jakie nam ukazuje Toledo.

Z lewej strony, opodal miasta, na nagiej skale stary opuszczony zamek, ponury jak więzienie, poszarpany jakby nazajutrz po zdobyciu go przez dzikie hordy barbarzyńców. Ale przedewszystkiem uderzają w oczy ząbkowane jego blanki, które się gdzieniegdzie dochowały jako pomniki budownictwa arabskiego. Tu, bliżej przed nami, na rzece jakieś mosty kamienne, warowne. Na nich również blanki zębione, a tam dalej wśród ciemnej gęstej masy linij i kształtów wieże, kopuły, jakby minarety meczetów.

Witaj, wschodzie mahometański! Witaj, Oryencie, nieznany dotychczas turyście! Dusza się śmieje, serce się raduje, oko pożera ciekawie niewidziane dotąd obrazy. Jesteśmy istotnie na Wschodzie— chociaż tylko w Hiszpanii. A to jak w owych opowieściach z „Tysiąca nocy i jednej." Tu alkazary, zamki bajeczne, a z niemi związane fantastyczne podania o królewnach, o rycerzach arabskich. Zdaje nam się, że nas już upaja czar poezyi wschodniej.

Przebywamy most, słynny most Alcantara, obejmujący dwa przepaściste brzegi Tagu, który płynie jak gdyby między dwiema paszczękami skał. Dwie wieże obronne o starożytnych arabskich kształtach nieco tylko odświeżone, bronią wejścia z jednej

i drugiej strony. A później dalej, po tej samej drodze, ukazuje się oczom zdumionego wędrowca majestatyczna del Sol, niby bastion wielkiej warowni, brama jakby zbrojne bramy gotyckie w średniowiecznych burgach, owe bramy, które gdzieniegdzie kolisty mur miejski przerywały.

Jej dwie silne, olbrzymie wieże łączy mur poprzeczny, pod którego sklepieniem, złamanem w podkowę, czyli łuk arabski, ciągnie się na długość kilkunastu kroków droga dla pieszych i dla wozów. Prześliczna to brama, która odrazu tak korzystnie uprzedza wędrowca dla architektury maurytańskiej.

Na szczytach biegnie szereg zębatych wieżyczek, poniżej o różnobarwnem tle łuki arabskie, przypominające półkola bizantyjskie; przystawki przy oknach, jak gdyby motywa gotyckie. A całość uśmiecha się miłym, poetycznym wdziękiem.

Chciałem wyskoczyć z omnibusu, który nas wiózł do miasta, chciałem rozkoszować się widokiem Puerty del Sol, pozostać tu chwil kilka. Ale uwaga woźnicy, że jeszcze nas czeka stroma, przykra, coraz wyżej po skale pnąca się droga, ochłodziła mój zapał wędrowny. Po dłuższem krążeniu po bitej drodze, łamiącej się w ostre kąty, wydostaliśmy się nareszcie na równiejszą płaszczyznę.

Jesteśmy w mieście. To właśnie główny plac, rozleglejszy w całem Toledo, a jednak niewiększy jak dziedziniec domu w Warszawie przy ludnej ulicy. Już nie mamy czasu rzucać spojrzenia po za

siebie, przed siebie. Wrażenia tłoczą się tłumnie. Więc tylko rzut oka ogólny, pośpieszny. To plac, dawniej Zocodover zwany. Nie wiem, co znaczy ten wyraz arabski, ale że jest arabski, nie wątpię ani na chwilę.

Stare domy przysiadły się w łamanej, nieforemnej linii. Głębokie podsienia wyglądają ponuro z pod starych belek i słupów. Na placu kilka drzewek. Zresztą biednie, ubogo, a przedewszystkiem ciasno.

— Czy tu na tym placu znajduje się *casa de huespedes de las hermanas Figueroa*? (dom zajezdny sióstr Figueora) — zapytałem woźnicy.

— Nie, panie—odrzekł obdarty przewodnik.— Tam dalej w samem mieście.

— Więc czemu mnie dalej nie powieziesz?

— Za żadne pieniądze — odpowie zapytany.

— A to dlaczego, *hombre*?

— Trzeba iść pieszo, zaniosę panu tłómoczek— woła w tej chwili natrętny posługacz, który się jak pijawka przypiął do naszego wozu.

— Czy może jaka procesya, jaki kondukt żałobny?

— Nie, panie, ale tam się nigdy żaden wóz nie przeciśnie.

— A daleko jeszcze?

— Spory kawał drogi.

— *Vamos* (idźmy) — rzekłem, nie namyślając się długo, będąc pobudzony niezmierną ciekawością.

Przewodnik nasz sunie naprzód. Idziemy za nim. Spuszczamy się na dół po pochyłej drodze. Ulica wązka, ciasna.. Co za ciasnota! A toż ulica Piwna w Warszawie wydaje mi się w porównaniu z tym wązkim pasem między domami, zbytkiem prawdziwym, szerokim szlakiem jak na stepie ukraińskim.

Spoglądam w górę. Widzę skrawek nieba, które ciekawie wpatruje się w szczelinę między wysokiemi kamienicami. U szczytu, jak dwie wysokie skały, zdają się te domy nachylać ku sobie swe dumne lecz wązkie czoła. A domy te dziwne, niekształtne, o nierównych oknach. Tam jedno kratami żelaznemi opasane okienko, tu wyżej dwa lub trzy — powykręcane, jak gdyby cieśla lub mularz ustawiał je po ciemku, nie za dnia. To balkoniki, to *miradores* (oszklone balkony), to znów ściany domów, jakby ślepe bez okien.

Ktoby miał czas po temu, żeby się w szczegółach rozglądać, kiedy pochyła uliczka do pośpieszniejszego znagla nas kroku.

— Ostrożnie — rzecze mi przewodnik — tu na prawo, do tej sieni.

— Jakto? już hotel?

Ledwom zapytanie zdołał wymówić, już mi rzeczywistość dała odpowiedź jasną i zrozumiałą.

Wieśniak z pod Toledo prowadził za sobą dwa osły objuczone. Napchane zbożem czy mąką sakwy nadały każdemu z tych zwierząt filozoficznych taką objętość balonową, że między sakwami osłów a przystawkami domów, wystawionym stołkiem, na któ-

rym sklepikarz umieścił na sprzedaż owoce, już dla przechodnia brakło miejsca. Mogliśmy być zgnieceni, jak ziarna zboża między kamieniami młyńskiemi. Więc wprawny nasz przewodnik, ujrzawszy z zakrętu uliczki poprzecznej wysuwającego się wieśniaka, a za nim łeb o dwu dużych uszach, odrazu zakomenderował „zwrot na lewo“ i schronił się z tłomokiem do ciemnej sieni pierwszego z rzędu domku. Nieomieszkaliśmy, jakby na komendę, wykonać tego samego ruchu, nimeśmy się doczekali odpowiedzi na przedwczesne pytanie co do szukanego domu zajezdnego.

Objuczone osły kroczyły tym razem leniwiej, niż zazwyczaj. Ta defilada improwizowana dała nam sposobność przypatrzenia się bliżej tym, niesłusznie lekceważonym przez bajkopisarzy, zwierzętom. Może to hiszpańskie osły mają taką inteligentną minę... dość, żem patrzał z szacunkiem na te czworonożne zwierzęta, powleczone szarą skórą.

Opuściliśmy obronne stanowisko. Brniemy dalej w tym labiryncie. Mrok jak w mglisty dzień jesienny zalega wązkie pasma, przeznaczone dla cyrkulacyi. Zimno, jak w podziemiach. Głucho, jak w grobie. Echo odbija się od domów. Odgłos naszych kroków po nierównych granitowych płytach rozlega się daleko.

Po kilku zakrętach ukazuje się plac szerszy. Oddychamy swobodniej. Zdaje nam się, żeśmy wybiegli z więzienia na świat Boży. Przesuwam się

mimo jakiejś sterczącej ściany. To jakiś gotyk, przecudna rzeźba kamienna. Podnoszę głowę... Jeszcze piękniej. A toć to wieża! Patrzę wyżej. Dojrzeć nie mogę szczytu niebotycznego. A to katedra przecież wspaniała!

I byłbym przeszedł, byłbym się raczej prześlizgnął, nie spostrzegłszy olbrzyma, który pławił w przestworach powietrza swą majestatyczną, jak piramida egipska, wieżę.

I jeszcze otwierają się przed nami przeróżne zaułki, ciemne jak paszczęki dzikiego zwierza. Spuszczamy się w dół na prawo, na lewo. Wreszcie stajemy przed wązkim, niepozornym domkiem, który za pomocą dwóch okienek na pierwszem piętrze spogląda na przechodzącą obok siebie uliczkę.

Żadnego znaku, żadnego napisu, żadnego życia. Stanęliśmy przede drzwiami wielkiemi, okutemi w żelazo. W pośrodku drzwi znajdowała się wielka żelazna głowa jakiegoś zwierza, które w pysku trzyma żelazny pierścień.

Przewodnik trzy razy uderzył owym pierścieniem o żelazną wypukłość — jak w onej opowieści o Ali-Babie i czterdziestu rozbójnikach, niby mówiąc: Sezamie, Sezamie, otwórz się!

— Czy ja się do domu zajezdnego dostanę, czy może do jaskini rozbójników?—pytałem się niespokojnie w duchu.

Drzwi się otwarły, zaskrzypiały wrzeciądze, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej. Otwarły

się wrota Sezamus, ale żadnej ludzkiej nie ujrzałem istoty.

Idę chwiejnie za mym przewodnikiem. Stajemy znów przed drzwiami i znów rozlega się trzykrotne uderzenie żelaza o żelazo.

I znów się drzwi otwierają — ale nie widać ludzkiej istoty. Nareszcie zdala rozlega się głos, wzywający nas uprzejmie, abyśmy wyżej się wznieśli z naszym tłomoczkiem.

Po wązkich schodkach, które wprost ode drzwi prowadziły, dostaliśmy się na pierwsze piętro. Uprzejma gospodyni, podeszłego wieku niewiasta, pani Figueroa, do której mieliśmy ustne od znajomego z Madrytu zalecenie, wychodzi właśnie na nasze spotkanie. Jej twarz dobroduszna, słodkie słowa, pełne niekłamanej uprzejmości, nieudana prostota, ujęły nas za serce, dodały otuchy, odwagi i rozwiały wkrótce wszelkie płonne, przedwczesne obawy.

Wskazano nam natychmiast szereg pokoików do wyboru. Późna jesienna pora sprawiła, że w hoteliku, dokąd wielu zajeżdża cudzoziemców w porze wiosennej i letniej, teraz już niemal pusto było. Wybór stawał się trudnym niezmiernie. Nareszcie w pierwszym czy drugim z brzegu kazaliśmy złożyć podróżny nasz tłomoczek. Wszędzie uderzał brak światła dziennego. W każdym pokoiku panował mniej lub więcej ponury zmrok przedwieczornej godziny jesiennej.

Oryginalny to sposób budowania arabski. Świała niewiele, okien bardzo mało. Cały dom jest

zwrócony ku sobie, wewnątrz patrzy w siebie, ż
tak powiem, jak głęboki myśliciel, który bada t
jemnice ducha, a na świat zewnętrzny nie spo
gląda. Front domu od uliczki niewielki, wązk
z powodu zaciśnienia całego miasta, więc te
od przodu bardzo mało okien, zaledwie dwa, trzy
cztery.

Pocóż miałoby ich być więcej? Wraz ze świa
tłem dziennem wpadałoby skwarne, piekące słońce
dokuczliwe w ciągu długich miesięcy gorącego lata
A wyglądać przez okna na ulicę lub w ciasną ul
czkę, któżby chciał być tyle ciekawym? Cóż zresztą
tam zobaczy! Każdy przechodzień jak widmo prze
suwa się chyłkiem pod ścianą, każdy śpieszy gwał
townie, gorączkowo. W domku więc arabskim fron
jest zwrócony ku dziedzińcowi, zkąd światło wpada
do okien, zkąd płynie strumień powietrza odżyw
czego. Najmniejszy domek przedstawia wewnątrz
mniej lub więcej prawidłowy kwadrat, szczelnie za
budowany.

Dziedziniec ten nazywa się *patio*. Na pierw
szem piętrze biegnie do koła krużganek albo gale
rya, która prowadzi do oddzielnych pokoików.

Dziedziniec czyli *patio* jest salonem, ogrodem
najpiękniejszą częścią całego domku, całego miesz
kania. Wyłożony kamieniem, marmurem, przedsta
wia obraz największego porządku. Krzewy pod
zwrotnikowe o bujnej roślinności zdobią jego brze
gi albo przecinają w poprzek, jak aleje w ogrodzie
W zamożniejszych domach w pośrodku bije stru
mień ożywczej fontanny, która skrapia dokoła st

jące krzewy. Podczas skwarnego lata — rozciąga się na wysokości piętra, między jednym a drugim brzegiem galeryi, jasny pokrowiec czyli *tentido*, osłaniający mieszkańców od promieni niebieskiej, ognistej kuli.

Tak niegdyś Arabowie spędzali tu godziny złotego wczasu, który im siódmy raj Mahometa przypominał. Mieszkanie samo powinno było być chłodne, mroczne, zasłonięte od blasku olśniewającego słońca. Każdy pokoik ma niewielkie okienko tylko od dziedzińca wązkiego, zabudowanego w kwadrat tak, że nadmiaru jasności nigdy tu niemasz.

Już późna i chłodna jesień obrała, strojne zwykle w kwiecistą zieloność, *patio* naszego zajazdu ze wszelkiej ozdoby. Pochowano do oszklonej galeryi krzewy i kwiaty, pozostawiwszy gdzieniegdzie doniczki bluszczu. Ta sama pora roku o zimnych porankach i chłodnych wieczorach zmuszała szukać miejsca dłuższego pobytu w komnatach na pół zamierzchłych, te zaś dla braku większego oświetlenia nie przedstawiały się powabnie. Ich więzienną ponurość łagodzą w pewnym stopniu ściany starannie wapnem pobielone. Tak mi całą swoją prostotą dawne dworki wiejskie przypominają! Sufit przerzynają ogromne belki, umieszczone nad naszą głową, jak grube pręty kraty męczeńskiej świętego Wawrzyńca.

Byłbym istotnie uległ złudzeniu na widok tego sielskiego ubóstwa, tych białych ścian, tych prostych stołków, gdybym nie był się obejrzał i szu-

kał „pieca niepolewanego." Tego zbytku jednak tu nie posiadają, choć zima bywa dokuczliwa.

Tylko jedna okoliczność przypomina, żeśmy już wstąpili w okres chłodniejszej pory roku. Ceglana czy kamienna podłoga znikła zupełnie z przed oczu pod osłoną ogromnego kobierca, plecionego ze słomy lub łyka drzewnego, który szczelnie ją pokrywa na całej jej przestrzeni. Jest to jedyna ozdoba w skromnym nad miarę pokoiku, jedyny zbytek, który się w oczy rzuca. Te maty różnobarwne, plecione na rozmaite wzory, te tapczany łykowe nazywają się *esteros*.

Przed nadejściem pory zimowej w pierwszych dniach listopada nietylko w Madrycie, ale w całej środkowej Hiszpanii, gdzie panuje mroźniejsze powietrze, zabezpieczają się mieszkańcy od zimna, kładąc na kamienne lub ceglane posadzki owe plecione *estero*. Na wiosnę, kiedy się zbliża cieplejsza pora, zdejmują znów (desestero) tapczany i maty, żeby odsłonić kamienną czy marmurową posadzkę, która chłód w mieszkaniu utrzymuje. Czynność ta, połączona oczywiście z przestawianiem i przesuwaniem mebli, wymaga dłuższego czasu, a powtarza się ona zarówno w domach prywatnych, jak we wszystkich zakładach naukowych, w biurach, ministeryach, muzeach, bibliotekach, galeryach, nawet we wszystkich kościołach.

W wilię Wszystkich Świętych przeczytałem urzędowe ogłoszenie Zarządu Biblioteki Narodowej, że instytucya ta z powodu *estero* będzie zamknięta dla czytającego ogółu w ciągu całego tygodnia.

Prywatne usilne starania, aby mi wolno było samemu pracować nad rękopismami w jakimś zakątku biblioteki, pozostały bez skutku.

Nastały więc dni bezrobocia w księgozbiorze. Niestety! w uniwersytecie, w galeryach podobneż święto w ciągu dni kilku. Nawet w kościele świętego Kajetana, któremu bliżej przypatrzeć się pragnąłem, zastałem takie czynne *estero*, żem niewiele skorzystał z tej artystycznej wycieczki.

Kiedy więc na cały niemal tydzień zamknęły się przede mną podwoje przybytków nauki i sztuk pięknych, postanowiłem przenieść się na ten czas do historycznego Toledo, przypuszczając, że tu domowe święto estero nie pozbawi mnie przecież możności przyjrzenia się choć z zewnątrz słynnym pomnikom tej bogatej, architektonicznej przeszłości.

Jakoż skromne nadzieje nasze nie doznały zawodu. Nawet w tym oto moim pokoiku, o pobielonych wapnem ścianach, już się na całej długości i szerokości rozłożył wzorzysty kobierzec łykowy— już „esterowanie“ nie spłoszy mnie z zacisza, nie zamąci mi spokoju. W Toledo, święto narodowe z powodu, że chyba tu są ludzie pracowitsi, nastąpiło nieco wcześniej niż w Madrycie.

Jeśli mnie estero nie wypędza na ulicę, to ciemność zmroku, jaka w pokoiku panuje, znagla do opuszczenia pustelniczego zamknięcia. Porzucamy nasz zajazd, naszą *casa de huespedes* i niecierpliwie biegniemy do miasta, aby zaspokoić czemprędzej ciekawość.

Zwróciłem się na lewo w uliczkę, która dość stromo wznosi się ku górze. Wybiegnę gdzie na wynioślejsze miejsce — tak myślę sobie w duchu — jednym rzutem oka ogarnę miasto i będę jak w domu. Uliczka pusta, głucha, jak na cmentarzu, opuszczona, jak stare zamczysko, istna siedziba sów i puszczyków. Na ponurych, niemal czarnych ścianach gdzieniegdzie tylko na wysokości widać okienka wązkie, maleńkie jak w więzieniach, drzwi również niewielkie, wązkie jak furtki klasztorne, a zatarasowane jak w obronnej twierdzy.

Zaledwiem kilkanaście w górę podniósł się kroków, zagina się uliczka w lewo, nie dłuższa jak jeden wązki domek i znów się pnie ku górze. A tam wyżej niewielki przesmyk, znów zakręt, znów ciemna uliczka pod arkadami, rzuconemi na wysokości pierwszego piętra między jednym a drugim domkiem. Zamiast bruku miejskiego, ukazuje się na uliczce, wygładzona pod stopami przechodniów, skała naturalna.

Dreszcz strachu mnie przejął. Zawracam śpiesznie, aby wrócić czemprędzej do katedry. Już w głowie się poplątało wśród tego labiryntu podobnych do siebie uliczek. Daremne jednak usiłowanie. Wpadłem jak ryba w matnię. Wydostać się trudno. Oto ślepy zaułek. Już się kończy. Przejścia niemasz. Zawracaj. Przechodnia żadnego, albo ukazuje się od czasu do czasu postać tak podejrzana, a tak biedna, obdarta, z takiem dzikiem spojrzeniem, że z obawy, czy to nie opryszek okoliczny, który przybył śmiało do miasta po zapasy

żywności dla towarzyszów rozbójników, boję się wyznać otwarcie, że od godziny jestem w mieście i szukam powrotu do mojej *casa de huespedes*. Nawija mi się wreszcie jakiś wyrostek, chłopak dziesięcioletni, nieźle ubrany, który jakimś błagalnym odezwał się głosem, wyciągnąwszy rękę po jałmużnę:

— *Un ochavito, senor.* (Trojaka, daj panie).

— Dam ci więcej trojaków, niż jednego — rzekłem do chłopca, który budził w nas silniejsze ku swej poczciwości zaufanie, ale poprowadź mnie do katedry.

Chłopiec spełnił natychmiast życzenie. Raz w prawo zawrócił, raz w lewo, to znów prosto, to pod górę, a zawsze przez ciasne uliczki, „dokąd promień słońca nigdy nie dochodził.“ Stanęliśmy nareszcie na obszerniejszym placu, gdzie się bawiła gromada chłopców, jakby rówieśników naszego przewodnika improwizowanego. Placyk nie był szerszy od salonu w zamożniejszych domach. Było tu widniej, niebo się rozwieszało nad głowami, jak brudny szmat nędzarza, ponure, posępne, iście listopadowe. Chłopcy przerwali zabawę na widok błąkającego się cudzoziemca i hurmem się na nas rzucili, jednozgodnie na różne tony wołając: *un ochavito*! Ani prośby, ani groźby nie pomogły. Orszak wrzaskliwy na krok od nas nie chciał odstąpić. Cała gawiedź za nami. Ich głosy poruszyły innych, którzy niebawem, jakby na znak umówiony, wypadali z ciasnych furtek opuszczonych domków i połączyli swe wrzaski z krzykliwą rzeszą.

Dostałem się istotnie z deszczu pod rynnę. Chłopak niecnota — mój przewodnik, oczywiście wyprowadził mnie umyślnie na to miejsce zabaw swoich rówieśników. Sądziłem, że rzuciwszy kilka miedziaków, uspokoję tę tłuszczę. Skutek mej dobroczynnej ofiary był wprost przeciwny, powiększyła się bowiem wrzawa, powstały zwady i posypały się skargi na drapieżność Miguela, Juana, Pedra i t. d. Zamiast zdążać wprost do katedry, zostałem mimowoli sędzią polubownym, jak jaki *kadi* arabski, sądzący sprawy na ulicy.

Otoczony, obsaczony gawiedzią może dwudziestu kilku chłopaków, nawet dość przyzwoicie ubranych, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Opędzając się, jak od kundlów wiejskich, wśród gwarnego domagania się ciągle nowych trojaków, czyniąc od czasu do czasu przymuszoną jałmużnę, dotarłem wreszcie do katedry, a ztąd już szczęśliwie sam do hoteliku odszukałem niedaleką drogę.

Był czas południowego śniadania. Gospodyni wzywa nas do wspólnego stołu. Nigdzie oddzielnych tu niemasz restauracyj. W niewielkim od ulicy pokoiku, lepiej oświeconym od naszej zamroczonej komnaty, siedzi już przy stole dwóch gości — zapewnie także ciekawi jak my przybysze ze stron dalekich. Jeszczem nie dostrzegł ich twarzy, nachylonych ze skupieniem ducha ku talerzom, kiedy mi się w oczy rzucają olbrzymie na ich głowach kapelusze. Snadź Hiszpanie, zachowujący tak ściśle — nawet przy jedzeniu — semicki zwyczaj nakrywania głowy.

— Więc — *buenos dias, senores* — rzeknę, zbliżając się do stołu.

— *Buenos dias*—brzmiała odpowiedź, ale odpowiedź lubo w języku hiszpańskim, tak dziwnym wymówiona głosem, żem odrazu zawahał się, czyli ci kapeluszowi goście mogą być potomkami Cydów lub don Quijotów.

Nimem zaczął pod wpływem silnego głodu połykać jakieś mięso, usmażone na oliwie miejscowej, rzuciłem badawcze spojrzenie na towarzyszów śniadania. Wzrok mój ciekawy spotkał się z niemniej ciekawem spojrzeniem owych quasi-Hiszpanów.

Obaj byli cudzoziemcami. Któżby nie poznał ryżobrodego Anglika o ściągłej, podłużnej twarzy? Któżby jednak poznał w drugim rodowitego Turka, gdyby nam był sam tego nie powiedział?

Anglik mówił tylko po angielsku, żadnego innego nie rozumiał języka. Turek mówił tylko swoim rodzinnym językiem i nieco po nowo-grecku, a bardzo słabo po francuzku.

Pohopniejszy też do rozmowy towarzyskiej Turek, odezwał się do nas w języku niby francuzkim, pytając się, o ile zrozumieć było można, azali jestem Hiszpanem.

— A gdyby tak było, czem mogę służyć? — odparłem w tym samym języku.

Mój interlokutor już z kilku słów więcej złożonego frazesu nie zrozumiał. Zakłopotany zwraca się w lewo, jakby do swego towarzysza podróży i zna-

kiem ręki wskazuje mu, aby go w dalszej ze mną rozmowie wyręczył.

— Pan jesteś Hiszpanem? — pyta milczący dotychczas Anglik, a pyta swym rodowitym językiem.

— A w takim razie, czem zdołam służyć?

— Jakież to szczęście, że się tu z panem porozumieć mogę. Bądź nam pan pomocą w Toledo, skoro jesteś miejscowym.

Anglik uporczywie brał nas za Hiszpana, Turek podobnież. Trzeba było aż sakramentalnych zaręczeń, aby ich przekonać o tem, że niesłusznie nas posądzali o pochodzenie hiszpańskie.

Rzecz wyjaśniła się niebawem. Anglik z Gibraltaru, a Turek ze Smyrny, spotkawszy się w Kadyksie, wybrali się w podróż po Hiszpanii i już szczęśliwie od dwóch tygodni zwiedzali ku wielkiemu swemu zadowoleniu sławniejsze grody i miasta. W Sewilli, w Kordubie znaleźli przewodników, którzy nieco po angielsku mówili. W Toledo doznali zawodu. Błąkali się więc sami po mieście.

Najśmieszniejszą była zawsze scena porozumiewania się Turka z Anglikiem. W pierwszej chwili wymiana myśli odbywała się na migi. Gdy zaszło jednak nieporozumienie z powodu niedokładności znaków, Anglik podniesionym głosem zaczynał po angielsku przemawiać do swego towarzysza, który podobnież podrażniony, odpowiadał w swoim rodowitym języku, tureckim. Oczywiście jeden drugiego nie rozumiał ani na jotę. Mimowoli wtedy przyjąć

na siebie musiałem rolę rozjemcy. Z Anglikiem szła sprawa łatwiej, z Turkiem dogadać się nie było podobieństwa. Uciekłem się wreszcie do staro-greckiego języka. Podobieństwo pewnych wyrazów do obecnego nowo-greckiego ułatwiło mi rolę pośrednika. To i owo zrozumieliśmy wzajemnie, ale znów Anglik nie pojmował.

Pod koniec śniadania, po długich deliberacyach, wyjaśniła się rzecz o tyle, że obaj cudzoziemcy wzywali mnie, trzeciego cudzoziemca, abyśmy zawarli przymierze zaczepno-odporne przeciwko napastnikom ulicznym.

— Już od dwóch dni bawimy w Toledzie — mówił do nas Anglik—i niewieleśmy co widzieli, tak nas tłumy chłopaków ciągle na ulicach prześladują. Może we trzech łatwiej się opędzimy.

Jakoż na znak zgody podałem rękę mym towarzyszom i stanął akt przymierza między mahometaninem, anglikaninem i katolikiem przeciwko krzykliwej żebraczej gawiedzi ulicznej.

Postanowiliśmy puścić się w labirynt uliczek, zaułków i zakrętów, aby oglądać osobliwości miasta i działać odpornie przeciwko napaściom niesfornej rzeszy.

Póki nieprzyjaciel nie ukazał się na placu, zgoda panowała między sprzymierzeńcami, ale zaledwieśmy kilka mniejszych przebyli uliczek, na placu Zocodover już z zaułków wyległy dzieciaki, wyrostki płci obojga i w oka mgnieniu opasały nas nieprzerwanym łańcuchem. Anglik stał się szczególniejszym

dla gawiedzi magnesem. Turek, który przeklinał po turecku, był przedmiotem podziwu, moja zaś rola janczarska nie bardzo mi do smaku przypadała. Co do celu wędrówki po mieście powstały także niebawem nieporozumienia. Turek znudzony wzdychał do wypoczynku. Anglik chciał zwiedzić za miastem fabrykę białej broni. Mnie wabiło miasto i jego uliczki.

Na tym samym więc placu Zocodover, który w tej chwili w oczach naszych był raczej placem *de la discordia*, rozwiązaliśmy przymierze, które trwało tak krótko. Każdy poszedł w swoję stronę, stosownie do swej woli. Jeszcze długo słyszałem krzyki chłopaków, wołających *un ochavito*, które towarzyszyły odgłosowi kroków Anglika, zmierzającego śmiało ku bramom miasta, aby odnaleźć ową fabrykę białej broni, noży, sztyletów i t. p.

Toledo pod względem układu swych ciasnych uliczek zapewnie jedynem jest na świecie miastem. Trudno dać dokładne pojęcie o tym labiryncie. Zdaje ci się, że to pszczoły pobudowały tu swe drobne komórki z wosku, że to mrówki wyżłobiły sobie na tej skalistej powierzchni te ciasne chodniki, po których się ruszają, śpiesząc do pracy około wspólnego dzieła.

Jakżeż odmienną przedstawia postać miasto europejskie nowoczesne: ile tam przestworu, światła i jaka zabijająca jednostajność! Tu wprawdzie ciasno, ciemno, ale jaka typowość, jaka wyrazistość! Od czasu do czasu ukaże się z po za żelaznych

krat bramy wchodowej niewielkie patio, pełne wschodniego wdzięku: na ścianach widnieją arabeskowe stiuki, proste kolumny kończą się w bujne arabskie kapitele i fantastyczny rysunek ornamentyki przemawia do wyobraźni całym czarem wybujałej poezyi wschodu. Świecka architektura uderza też głównie tym oryginalnym charakterem domków, uliczek, balkoników, drzwi i okienek więziennych.

Co innego budownictwo kościelne. Tu takie bogactwo, taki przepych, iż słusznie Toledo nosi miano Rzymu hiszpańskiego.

Katedra w Toledo! Widziałem już jeden z najwspanialszych gotyków, który znają dzieje sztuki ostrołukowej. Widziałem świątynię w Burgos i podziwiałem majestat kształtów. Rozkoszowałem się niebotycznemi wieżami, lasem wieżyczek, istnym ogrodem bujnej ornamentyki. W Toledańskiej katedrze inne uczucia poruszyły duszę. Zacieśniona wśród labiryntu uliczek i domów, świątynia nie imponuje nazewnątrz swemi wielkiemi rozmiarami: brak tu perspektywy, brak dla oka tego odleglejszego punktu, z którego mógłbyś ogarnąć jednym rzutem wielkość, ogrom, majestat.

Wejdźmy do wnętrza katedry. Tam kornie uderzymy czołem przed niezmierzoną powagą, wielkością, przed śmiałą i groźną potęgą kształtów. Katedra toledańska powstała w początkach XIII wieku. Długo trwała budowa, jak w ogóle wszędzie bardzo powoli wznosiły się owe wiekopomne tumy. Wewnątrz przekształcano to i owo w ciągu kilku stuleci, ale całość architektoniczna zachowała jaknaj-

ściślej w ogólnym i szczególnym swym rysunku charakter czystego porządku gotyckiego, gotyku z okresu pierwotnego rozwoju. W Hiszpanii jest to najcudowniejszy pomnik tak odległej ostrołukowej architektury, na świecie zaś w ogóle należy on do rzędu pierwszych a zdumiewających tworów myśli i ręki ludzkiej. Podobno plan narysował Hiszpan Pedro Perez i sam przez lat pięćdziesiąt kierował niepospolitą budową.

Majestatycznem jest wnętrze katedry z powodu olbrzymich jej rozmiarów. Imponuje główna, środkowa nawa, około której ciągną się po obu stronach po dwie — inne, tak iż cała świątynia dzieli się na pięć naw równoległych. Granice między niemi stanowią filary, istne kolosy granitowe. To nie są słupki lub kolumny o gibkiej kibici, bo każdy filar — to niby niezmierna wieża warownа, którejby i dziesięcioro ludzi oburącz objąć nie mogło. A jednak mimo kolosalność, mimo olbrzymie kształty, filary tchną lekkim wdziękiem, pną się swobodnie ku górze. Bo stropy wysokie, bo daleko wspinać się muszą filary, nim dosięgną sklepienia, gdzie się w ostrołukowe żebra rozpierzchną. Każdy filar jest wiązanką, z 16 słupów złożoną, jakby pęk strzał, albo pęk rózeg liktorskich przedstawiał. Pomimo więc ogromu, panuje w nich lekkość, jest w nich dziwna lotność i harmonia linij, harmonia tak czysta, tak zgodna, tak żadnym nie zamącona fałszywym szczegółem, że oko nie przestaje się lubować tą symetryą bez końca. Stańmy przy jednym filarze: rzućmy okiem przed siebie, w prawo lub w lewo.

Tu mknie przed nami jeden szereg kolumn, tam drugi, trzeci; a gdziekolwiek zwróci się spojrzenie, tam odmienna przedstawia się perspektywa wśród tego lasu 83-ch kolosalnych słupów granitowych.

Wznieśmy oczy w górę, ku stropom wysmukłym głównej nawy, której sklepienie dźwiga się majestatycznie po nad stropem każdej z czterech naw sąsiednich, obniżających się stopniowo; rzućmy okiem na różnobarwne okna, gdzie złoty promień dnia Bożego łamie się w tęczowe barwy, a nie przestaniemy podziwiać tego nieustannego, harmonijnego falowania linij i kształtów. Z powagą marmuru, ze spokojem majestatycznym granitu łączą się w całość estetyczaą wysmukłe łuki, nadobne koła, linie proste, strzeliste, pnące się zuchwale ku górze. Jest to istna muzyka architektoniczna, najzgodniejszy akord, który, jak dźwięki harmonii, wymownie przemawia do duszy, skruszonej widokiem Boskiego majestatu.

I tu także, jak i w Burgos, na tem jasnem niebie cudnych kształtów architektonicznych jedna ukazuje się plamka. W pośrodku nawy głównej, naprzeciwko wielkiego ołtarza, osiadł chór, zająwszy przestrzeń środkową między piątym a siódmym filarem. Cała perspektywa, którąby odsłoniła niewysłowioną wielkość, ogrom wnętrza, ginie zupełnie, przepada.

Oczywiście jest to fałszywy ton w harmonijnym układzie, w zgodnym pomyśle, osnutym w głowie

wielkiego artysty. Ten szczegół rażący, jeśli chór olbrzymich rozmiarów na takie miano szczegółu zasługuje, powstał, jak wiadomo, w późniejszym czasie, jest dodatkiem niewłaściwym, albo raczej przeróbką, która sięga XVI-go wieku.

W katedrze panuje uroczysta cisza. Nie rozglądam się w drobiazgach, nie badam szczegółów, tylko okiem całość ogarniam i z lubym spokojem poddaję się wrażeniu, które na umyśle mym sprawia majestat, milczenie klasztorne i głęboka, religijna powaga zadumanych murów. Lubo dzień cały od świtu do wieczora otworem stoją liczne drzwi boczne katedry, w poobiedniej porze rzadko jednak zajrzy tu pobożna ludzka istota lub ciekawy przesunie się wędrowiec.

A zresztą wśród ogromu przestrzeni ginie zupełnie, jak cień wśród zmroku, wszelka postać ludzka, echo stóp gubi się w przestworzu i majestatyczna cisza zalega świątynię od postawy aż do niebotycznych jej stropów.

Przez 750 okien wpada światło, czarownym blaskiem szmaragdów, rubinów, szafirów oblewając boczne nawy i gdzieniegdzie przedziera się do zamroczonego wnętrza katedry. Gra tego światła, które tak jaskrawo odbija od szarawej powierzchni granitowych słupów, zmrok na stronie przeciwległej, gdzie ściana katedry przypiera do klasztornych zabudowań, potęguje wrażenie, pod jakiem zostaje wędrowiec, oczarowany i tak już potęgą rozmiarów, ogromem przestrzeni, zuchwałą śmiałością inij.

O różnej porze dnia wpadałem na krótszy lub dłuższy czas do katedry i zawsze zatrzymywałem się, że tak powiem, na progu jej piękności, jej bogactw architektonicznych. Zdawało mi się świętokradzką rzeczą przebiegać od kaplicy do kaplicy, od ołtarza do ołtarza, pośpiesznie na wszystko rzucić okiem, odbyć powierzchowny przegląd i wróciwszy do domu, przy śniadaniu lub przy wieczerzy chwalić się przed Turkiem i Anglikiem, żem zdążył tyle a tyle w ciągu dnia zwiedzić kościołów. Wiem, jakie bogactwa kryją się w chórze, w wielkim ołtarzu, w zakrystyi, a jednak wolę tu przedewszystkiem nie poświęcić całości dla szczegółów, wolę się rozpływać w majestatycznym ogromie, w wielkiej harmonii linij i kształtów.

Niejedną błogą godzinę spędziłem w skupieniu ducha, wśród grobowego milczenia prastarych murów i klasztornej ciszy wielkiego przybytku Boskiego.

W pośrodku katedry, w pośrodku głównej nawy między piątym a siódmym filarem, jak już nadmieniłem wyżej, mieści się chór kapłański. Jest to dzieło XVI-go wieku z całem bogactwem rzeźby na drzewie, rzeźby tak wysoko rozwiniętej w Hiszpanii. W chórze, który miał dostarczyć miejsca dla arcybiskupa, biskupów i całej niezliczonej kapituły, mieszczą się w trzy rzędy, stopniowo podnoszące się ku górze, stalle, które zajmują trzy boki chóru. To właśnie stanowi podziwienia godne arcydzieło takich snycerzy, jak Alfonsa Berruguette i Filipa z Burgundyi.

Każde krzesło, albo raczej wszystkie razem rzędami spojone między sobą, przedstawiają w wypukłej rzeźbie misternie wykończone sceny z Pisma świętego, ze starego i nowego Testamentu. Na tylnem oparciu każdej stalli czyli krzesła, ukazuje się dzieło mistrza-snycerza, którego rylec podziwiać trzeba w każdym najdrobniejszym szczególe.

Rysunek tak jest poprawny, a wykończenie tak staranne, że na twarzach miniaturowych uwydatnił się wyraz, charakter, dusza działającej osoby. Skąpe światło, które w niedostatecznej mierze spływa z górnych części chóru, nie dosięgającego sklepień, odbiera wiele uroku tym utworom, któreśmy dokładniej przy blasku jarzącej świecy oglądali. W pośrodku chóru wznosi się majestatycznie tron arcybiskupi — o kilka kroków naprzód wysunięte są olbrzymie pulpity z bronzu, na których spoczywają starożytne wielkie mszały. Po bokach chóru dwoje organów stanowi uzupełnienie bogatej ornamentyki. O zewnętrznej stronie chóru, lśniącego całemi płytami polerowanego różnokolorowego marmuru w smaku włoskiego renesansu już nie mówię, bo mnie uderza, zniewala, podbija, bo uwagę moją całkowicie pochłania wielki ołtarz, nazywany tu zwykle *capilla mayor*.

Wielki ołtarz wypełnia przestrzeń głównej nawy między drugim a czwartym filarem. Jest on cały z drzewa modrzewiowego i należy niezaprzeczenie do najpiękniejszych dzieł późnego gotyku z końca XV-go, a początku XVI-go wieku. Widać tu

także już silny wpływ renesansu włoskiego. Ołtarz sięga samych szczytów sklepienia i pnie się tak wysoko, że pięć piętr stanowi. Każde piętro dzieli się na cztery kompartymenta. Wszystko to razem jest jedną wielką rzeźbą, lasem kolumn, słupków, szeregiem nieskończonym nisz, w których się mieszczą rzeźbione statuy, a wszystko to stopniowo się wznosi, piętrzy w harmonii zgodnej, jak skala tonów w muzyce. Złotem pokryty jest cały ołtarz, ale złotem ponurem, poważnem, stanowiącem niewysłowiony efekt ciemniejszego tła, na którem się wyróżniają niepospolitej wartości malowidła. Jest to tak czarujący widok, tak majestatyczny i tak jedyny, że nie zapomnę nigdy tych chwil, spędzonych przed wspaniałą kratą żelazną, która oddziela kaplicę wielkiego ołtarza od poprzecznej, tuż obok ciągnącej się nawy.

Kaplic tu nie brak, jest ich tu pewnie z górą kilkadziesiąt. Ciągną się one, jedna za drugą, wzdłuż obu naw bocznych, tudzież w tem półkolu, które zataczają nawy po za wielkim ołtarzem, gdzie się półkolistą załamują linią. Niektóre kaplice są tak wielkie, tak obszerne, że stanowią istotnie kościół w kościele.

Każda z nich zawiera w sobie coś arcyważnego, co zasługuje na uwagę przechodnia, każda ma swój charakter właściwy, tak, iż po zwiedzeniu ich, jeszcze umysł jest w stanie niemal wszystkie odróżnić według ich właściwości. W jednej spoczywają zwłoki królewskie, w innej znakomity jaki arcybi-

skup śpi snem wiecznym we wspaniałym sarkofagu. Tam sławny mąż stanu unieśmiertelnił swe imię złotemi literami na marmurze, to znów gdzieindziej jakie arcydzieło dłuta lub pędzla zwabi do siebie ciekawego wędrowca.

A co sztuki dotyczy — to istne muzeum, nieprzebrane bogactwo, pole do nieskończonych studyów. Jeszcze niejeden skarb niedość oceniony kryje się tu bądź w tych marmurowych sarkofagach, w tych płaskorzeźbach, bądź w utworach dłuta snycerskiego, rzeźby metalowej, lub innego kunsztu twardego. W niektórych kaplicach marmur i bronzy świetnie walczą o lepsze.

Przyjdzie czas, że roczniki sztuk pięknych zbogacą się niejednym przyczynkiem, którego dostarczy katedra toledańska.

Dopuściłbym się wielkiego uchybienia względem prastarego tumu, gdybym, pisząc o jego osobliwościach, o jednej zapomniał, która z tylu ciekawemi i ważnemi łączy się wspomnieniami historycznemi. Mówię tu o kaplicy arabskiej. Jakto? w katedrze katolickiej mahometańska kaplica?

Rzecz tak się miała: kiedy Saraceni w VIII wieku podbili Toledo, mimo swój osławiony fanatyzm religijny, tyle okazali tolerancyi względem chrześcijan, że pozwolili im zachować w sześciu kościołach parafialnych swoją wiarę i obrządki religijne. Obok więc nowych meczetów, których powstało niemało w ludnem mieście, pozostały kościoły, gdzie po dawnemu chrześcijanie się modlili.

Ale panujący język arabski w prędkim czasie wyparował zupełnie miejscową mowę; owi chrześcijanie wśród ciągłych stosunków z panującem plemieniem, odgrodzeni od swoich pobratymców, zapomnieli swego języka i przyswoili sobie mowę arabską. Arabowie zajęli się przekładem na język arabski Pisma świętego, ksiąg liturgicznych i dawny rytuał rzymsko-wizygocki ustąpił miejsca nowemu — arabskiemu. Chrześcijanie ci arabscy otrzymali nazwę Mozarabów, czyli Arabów mieszanych.

Kiedy po czterystu niemal latach panowania Saracenów, Toledo znów wróciło pod rządy króla katolickiego, zaczęła stolica apostolska czynić usilne starania, celem wprowadzenia rytuału rzymskiego. Alfons VI, któremu Toledo zawdzięcza zrzucenie jarzma mahometańskiego, czynną przyłożył do tej sprawy rękę, ale spotkał ze strony duchowieństwa mozarabskiego silny, nieprzełamany opór. Dawne tradycye, dawne nawyknienia wytworzyły takie gorące przywiązanie do języka arabskiego i do dawnego obrządku, że gorliwy król i legat papieski ustąpić musieli.

Długie lata istniał ten oddzielny mieszano-arabski rytuał katolicki w kilku kościołach toledańskich. Z wypędzeniem później Maurów ze środkowej Hiszpanii a następnie z Granady, powoli znajomość arabskiej mowy stawała się mniej dokładną, a w końcu niezrozumiałą. Wtedy ów wielki kardynał hiszpański Ximenes Cisneros, zbudowawszy kaplicę mozarabską w katedrza, zniewolił duchowieństwo owych chrześcijan mozarabskich, że kapłani ich odprawiali

jednocześnie z nabożeństwem w katedrze swoje msze w kaplicy, aby zapobiedz rozdwojeniu, które pozornie istniało w umysłach prostego ludu.

Później inkwizycya doprowadziła w krótkim czasie do zupełnej jednostajności. Wszelkie różnice, wszelkie osobliwości istnieć przestały. Dochowała się tylko żywo pamięć o tym mieszanym arabskim katolicyzmie w samej nazwie kaplicy; bo kaplica sama przez się niczem się nie różni od innych.

Na jednej ze ścian jej kwadratowych ukazuje się malowidło al-fresco gotyckie, godne widzenia nietylko pod względem swej treści, przedstawiającej walkę mieszkańców Toleda z Maurami, ale także i co do strony zewnętrznej, samego wykonania, które uderza w oczy żywą, jaskrawą siłą swych barw świeżych.

Obok katedry, do jej ściany bocznej przylegający klasztor, do którego się wchodzi wprost przez wielkie drzwi o kamiennej rzeźbie, stanowi nad wszelki wyraz piękne, urocze uzupełnienie wspaniałego przybytku Bożego. Jest to właściwie portyk albo krużganek kwadratowy, zawierający pomiędzy swemi zewnętrznemi kolumnami patio albo ogródek, czyli wirydarz, umajony naturalną zielenią pięknych drzew — cyprysów i akacyj. Sklepienia zaś i ściany wewnętrzne pokrywa malowidło al-fresco, wyobrażające żywot św. Eugeniusza, pierwszego w Toledzie głosiciela nauki chrześcijańskiej.

Powaga tego krużganku, szlachetne kształty portyku i piękne na ścianach wyobrażenia, miłe

światło, które wpada pomiędzy kolumny i takie łagodne stanowi przejście od zmroku samej świątyni, wszystko razem zgodnie wtóruje wielkości i majestatowi katedry.

Nazewnątrz, z powodu zacieśnionych przyległych uliczek, perspektywa ginie zupełnie dla oka. Tylko wieża, pnąca się ku górze od podstaw frontu, zwraca na siebie swym ogromem uwagę wędrowca. Nie widać tu tej misternej sztuki, tej obfitej ornamentyki, jaką podziwiać należy w Burgos, gdzie katedra najeżona lasem wież i wieżyczek, kończy się dwiema majestatycznemi wieżami, które się piramidalnie wznoszą ku przestworom. Tu tylko jedna jedyna pnie się ku górze wieża, ale imponuje ona swem olbrzymiem, że tak powiem, ciałem. Trzy wielkie części stanowią tę imponującą całość. Pierwsza czworoboczna masa wznosi się tak wysoko, że pięć piętr oddzielnych na niej odróżnić można, a każde piętro odznacza się niepomiernem bogactwem ozdób architektonicznych w kształcie gotyckich kolumn i słupków, łuków większych i mniejszych.

Piąte piętro jest nawskroś przezroczyste, z każdego boku niby dwa okna przeglądają. Tam się olbrzymie dzwony mieszczą. Jeden z nich stanowi przedmiot powszechnego podziwu. Jest tak podobno głośny, że go w Madrycie słychać, a objętości tak wielkiej, że jak powiadają, sześciu szewców i jeden krawiec mogą swobodnie pracować w jego wnętrzu.

Druga część wieży jest stopniowo szczuplejszą, wysmuklejszą, ośmiościenną i z każdej strony prześliczne posiada okno podwójne gotyckie.

Ostatnia zaś część kończy się strzałą, pełną wdzięku i lekkości.

Zwiedzanie miasta Toledo i jego osobliwości jest prawdziwą pielgrzymką świętą. Katedra stanowi wspaniały wstęp do nie skończonego szeregu pomników budownictwa kościelnego. Oprócz niej naliczyć można do trzydziestu kościołów i klasztorów, które mniej lub więcej ciekawe pod względem sztuki, przykuwają do siebie uwagę wędrowca, jako zabytki bogatej przeszłości, ślady bogobojnych wieków. Zaledwie dusza przestała się napawać wrażeniem piękna w katedrze, w najpiękniejszym przybytku Bożym w całej Hiszpanii, już ją inne porywają cuda architektury kościelnej.

Toledo jest tak bogobojne, że niemal o samych tylko przybytkach Bożych pisać można. Jeśli się nie mówi o katedrach, kolegiatach, tumach, to trzeba z konieczności potrącić o bóżnice, meczety arabskie. Istotnie, oryginalne to Toledo. Tyle pamiątek w murach jednego miasta! Synagoga jedna i druga należy do najdawniejszych w Europie, jedynych może pomników budownictwa żydowskiego, które się po dziś dzień mniej lub więcej w całości dochowały.

Zamożni żydzi różnych krajów, ceniący pamiątki swej przeszłości religijnej, przybywają do Toledo, jak katolicy do katedry św. Piotra w Rzymie, lub do przeróżnych bazylik rzymskich, aby widzieć, oglą-

dać i podziwiać pierwotny wzór swoich domów modlitwy.

Dziś, jak wogóle w Hiszpanii, tak i w szczególności w Toledo, niemasz prawie zupełnie Żydów, więc i synagoga jest tylko pomnikiem dawno minionych czasów i wieków średnich, kiedy Żydzi w Hiszpanii aż do czasu swego wypędzenia w 1492 roku, posiadając w swych rękach rozległy handel, posiadali niezmierne bogactwa, a wskutek tego i dogodniejsze położenie społeczne.

Na dworze króla don Pedra, który żył jednocześnie z naszym Kazimierzem Wielkim, był podskarbim nadwornym bogaty i sławny żyd Samuel Levi. Już to jego stanowisko wskazuje, jakiem znaczeniem cieszyli się w Hiszpanii żydzi owej epoki. Nietylko jednak pod względem bogactw materyalnych żydzi hiszpańscy wynieśli się nad poziom współczesnych, ale zakwitła między nimi poważna nauka, badania filozoficzne, a zwłaszcza nauka lekarska.

W Toledo była oddzielna część miasta, gdzie się roiły tłumy żydowskiej ludności. W tym też punkcie powstała synagoga, pomnik budownictwa, świadczący wymownie o znaczeniu i potędze ówczesnych Żydów. Początek jego sięga odległej starożytności. Kiedy rzucono tu podwaliny pod synagogę—dowiedzieć się nie mogłem; ale jeśli mnie nie mylą pewne znaki architektoniczne, odniósłbym powstanie jej do XI-go wieku, do okresu zatem panowania Arabów w Toledo.

Synagoga przechodziła w ciągu wieków różne koleje. Na początku XV-go stulecia zamienioną została na kościół katolicki pod wezwaniem Najświętszej Panny, otrzymawszy nazwę, dochowaną po dziś dzień — *Santa Maria la Blanca.* Później opuszczona, służyła za kaplicę albo pustelnię, aż nareszcie w końcu XVIII-go wieku doczekała się smutnego losu: zamieniono ją na koszary, a następnie na magazyn. Dopiero w nowszych czasach rozbudzony duch poszanowania pamiątek krajowych powstrzymał straszny wyrok spustoszenia, które zagrażało synagodze. Odrestaurowano więc to wszystko, co nadgryzł ząb czasu, co zniszczyła ręka nieokrzesanego żołnierza i dziś Santa Maria la Blanca przedstawia się w swym oryginalnym kształcie, jak skamieniałość, na której rwący potok czasu zagładził drobniejsze szczegóły lub osobliwości powierzchowne, ale nie naruszył podstaw zasady, zarysu głównego.

Z ciasnej uliczki wejście do synagogi, oraz jej powierzchowność niczem się nie odznaczająca, nie zapowiadają ciekawemu wędrowcu, że się przed nim niebawem otworzą podwoje domu modlitwy. Dopiero, gdy próg przestąpi, ogarnia go niewysłowione zdziwienie.

Ukazuje się las kolumn. Kolumny ciągną się poczwórnym rzędem, a w każdym szeregu niemasz ich więcej nad siedm. Świątynia więc z pięciu naw się składa. Ale kolumny ośmiościenne są przysiadłe, ciężkie, bardzo nizkie i dźwigają na sobie wielkie łuki arabskie w kształcie podkowy, albo raczej

w kształcie niedokończonego w czwartej części koła. Te przysiadłe więc kolumny, ten brak wysmukłych linij sprawia, że kolumny wydają się gęstym lasem drzew o pniach pękatych.

To pierwsze atoli wrażenie ustępuje prędko, kiedy wędrowiec posunie naprzód swe kroki. Symetrya kolumn to w prawo, to w lewo, układających się z szeregu poprzecznych słupów, potęguje efekt, rosnący jeszcze więcej na widok kapitelów bogatych. Słupy są nagie, proste. Ich podstawy również mało ozdobne i niewielkie. Ale głowy kolumn, czyli kapitele przedstawiają utwory nadzwyczaj misternej ręki.

Stiuki na każdej kolumnie czyli kapitelu są odmienne, różne; to liście, to girlandy, to gałązki, to znów między niemi szyszki sosen się ukazują — a wszystko dziurkowane, na wpół przezroczyste. Są to arabskie kapitele, przypominające dawny styl bizantyjski.

Same łuki zresztą oczywiście także z Bizancyum pochodzą, tylko je Arabowie przedłużyli, nadawszy im przez to więcej wdzięku, śmiałości. Ta zuchwała postawa tych łuków, tych sklepień stanowi szczęśliwą równowagę względem przysiadłych kolumn i tym sposobem podnosi powagę świątyni i dodaje jej wdzięku.

Prócz tego do jej ozdoby przyczynia się także niemało piękny fryz, średnio wypukły, który, niby wieniec z fantastycznych linij i arabesków, okala ściany głównej nawy na wysokości nad arkadami. Jestto prawdziwe arcydzieło, utwór nietylko artysty-

cznej ręki, ale zarazem dzieło niepojętej cierpliwości. Czystość i staranność w wykończeniu tych ozdób wprawia w podziw wędrowca. A wędrowiec ogląda i podziwia dziś tylko drobną część całości. Świetne barwy zniknęły z powierzchni misternego fryzu i gdzieniegdzie tylko dostrzegalne złocenia dają słabe pojęcie o olśniewającym blasku, jaki roztaczały niegdyś wykwintne ozdoby.

Czas wszystko niszczący i ręka ludzka starły z oblicza jej wnętrza niejeden rys charakterystyczny i dziś coraz trudniejszą staje się sprawa odbudowania sobie w myśli całego urządzenia wewnętrznego synagogi.

Żeby jednak o niektórych szczegółach nie zapomnieć, nadmienimy tu, że w ścianie ołtarza wielkiego, dziś obranego ze wszelkich ozdób, dochowały się niezmiernie cenne jako okazy sztuki ceramicznej, tak zwane *azulejos* czyli płyty porcelanowe lub fajansowe, wypalane i malowane różnokolorowo. Mianowicie wysokiej są wartości te sztuki, gdzie jeszcze złocenia się dochowały, które wraz z innemi jaskrawemi barwami stanowią przecudną grę kolorów. Płaski sufit drewniany, opuszczający się ku bocznym nawom, sprawia przykre wrażenie smutnej ruiny.

Opodal jest jeszcze inna synagoga, również zabytek dawnych czasów, z którym się wiąże wiele wspomnień historycznych i religijnych. Był to później kościół i zachował dziś swą nazwę katolicką: *Nuestra Senora del Transito.* Pod względem sztuki niewiele pozostało tu osobliwości. Są tylko widoczne

ślady bogatych ozdób. Stawiał ją w XIV tym wieku swoim nakładem sławny Samuel Levi, podskarbi króla don Pedra. Z jednej wielkiej nawy składa się cała synagoga. Sciany jej były wykładane misternym stiukiem, jakby najsubtelniejszą koronką. Około głównego ołtarza mur cały pokryty jest szeregiem napisów hebrajskich, zawierających pochwały na cześć Jehowy, don Pedra i Samuela Levi. Dziś, dzięki staraniom Akademii madryckiej, prowadzi się tu czynna restauracya celem uzupełnienia szczerb, jakie zadał stiukom czas nienawistny.

Wypada nam uczynić wzmiankę jeszcze o jednym kościele: oto *San Juan de los Reyes*. Niepodobna pominąć tej perły wśród mnogich ozdób kościelnego budownictwa, nie natrącić słówkiem o tym wdzięcznym klejnocie gotyckim, który pod względem swych wytwornych kształtów, swych wdzięków miłych, szlachetnych, ujmujących serce, należy bez zaprzeczenia do rzędu brylantów najczystszej wody. Gotyk XV-go wieku, pełen niesłychanej elegancyi, uśmiechający się czarem swych nadobnych linij, swych przecudnych ozdób, stanął tu na szczycie swego rozwoju.

Kościół, czyli raczej kościół i klasztor zawdzięczają swój początek pobożnym ślubom małżonków, królów Ferdynanda i Izabelli, którzy, po odniesionem w r. 1477 zwycięztwie nad Portugalczykami, ofiarowali Bogu ten przybytek, przeznaczony zarazem pierwotnie na miejsce wiecznego spoczynku dla obojga małżonków królewskich. Później zaszczyt przechowania zwłok Ferdynanda i Izabelli spłynął

na Granadę, kiedy ta ostatnia warownia Maurów uległa zwycięzkim orłom połączonej Kastylii i Aragonii.

Kościół i klasztor — San Juan de los reyes (obu królów) stanowi przedmiot naszego uwielbienia dla artysty, który osnuł i wykonał plan znakomicie. Budowniczym był podobno Hiszpan, Juan Guas. Nazewnątrz kościół nie przedstawia nic osobliwego. Chyba samo położenie jego, nad urwistym i dość wysokim brzegiem Tagu, zasługuje na uwydatnienie, jako szczegół godniejszy uwagi. Kościół niewielki, składa się z jednej obszerniejszej nawy, podzielonej na cztery sklepienia, które wspierają się na kolumach, spływających się ze ścianami bocznemi w jedną niemal powierzchnię. Dokoła kościoła, na wysokości kapitelów kolumn, biegnie fryz bogaty w róże czterolistne, przezroczyste, a pod nim napis gotyckiemi literami, zawierający w sobie wspomnienia historyczne co do fundacyi klasztoru.

Najpiękniejszą część w tej nadobnej całości stanowi transept czyli ta część kościoła, gdzie się ściany zaokrąglają dla utworzenia wielkiego ołtarza. Tu się gromadzą najbogatsze ozdoby i tu wrażenie piękna dochodzi do zenitu. Budowniczy użył tu wszystkich środków swej sztuki, aby wywołać to niezatarte nigdy wrażenie wdzięku. Kolumny pokryte są festonami i arabeskami — kapitele ozdobione całym szeregiem główek aniołów, a cztery łuki, które podtrzymują kopułę, usiane są gwiazdami bez liku. Tam, gdzie się nawa kończy a zaczyna właściwie transept, na dwóch kolumnach z prawej

i z lewej strony wznoszą się dwie trybuny o niepospolitej wielkości i elegancyi. Ściany boczne transseptu pokrywa bujna ornamentyka, dzieląca się na pięć kompartymentów. Każdy jakby się z dwóch okien składał, oddzielonych od siebie cieniutkiem zwojem strzał, czyli wypukle wystających słupków. Kończy się każda część kompartymentu w ostry łuk, który obejmuje swojemi ramionami, jakby dwie duże, chylące się ku ziemi lilie wśród trójlistnych róży. Przezroczysty fryz w kształcie długiego festonu oddziela pierwsze piętro od drugiego. W pięciu kompartymentach górnych ukazują się tarcze herbowne Kastylii i Aragonii. Dwa lwy ich strzegą. Wielka korona wznosi się nad niemi, z której, jakby z kosza kwiatów, wystają głowy orłów, ogarniających skrzydły swemi obie części tarczy.

Między kolumnami ukazują się misternie rzeźbione statuy Świętych Pańskich. Nad każdym z nich sterczą trzypiętrowe wieżyczki o przezroczystych okienkach i sięgają aż do górnego fryzu w kształcie napisu, który, jak wstęga, przepasuje czoło ścian wysokich. Prześliczne okno różnokolorowe podnosi jeszcze cały urok czarodziejski tego niewysłowionego wdzięku.

Krużganek klasztorny, patio czyli portyk, w kształcie kwadratu albo czworoboku opasuje niewielki, mieszczący się w środku ogródek. Z krużganku prowadziły niegdyś drzwi do różnych cel zakonnych. Dziś pustki tu zalegają. Jedna strona, je-

den bok krużganku już uległ silnemu zniszczeniu, tak, iż tylko w trzech pozostałych swobodnie może się przechadzać wędrowiec. Jeślim widział gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu takie przecudne ustronne miejsce, pełne poetycznego wdzięku — jeślim kiedykolwiek widział uosobioną w kamieniu elegancyę — to tylko jedynie w tym gotyckim krużganku klasztoru de San Juan de los Reyes. Zdaje mi się, że tu gotyk średniowieczny stanął zuchwale i szczęśliwie do współzawodnictwa w tem wszystkiem, co stworzyła najidealniejszego sztuka heleńska. Istotnie na widok tego krużganka powtórzyć mogę to, co Rzymianie nazywali *elegantia graeca*. Tylko oczywiście pod południowem, łagodnem niebem, gdzie rzadko padają deszcze, śniegi, gdzie zimno i mróz nie dosięgają wysokiego stopnia, mogą powstawać i utrzymywać się takie subtelne z kamienia kombinacye architektoniczne.

Wejdźmy do tego ogródka, który tyle wdzięku poetycznego nadaje całości. Późna jesień zapanowała tu wszechwładnie, a jednak zieleni się, choć posępną barwą, ogromne drzewo oliwne: dzikie róże, jeszcze nie zwarzone zimnem, wybladłe swe oblicze zwracają smętnie ku ziemi, na którą niebawem spadną ich listki powiewne. Malwy silniejszym kolorem barwią to jesienne tło obrazu, ale już z ich kielichów przeziera melancholijny listopad. To opuszczenie w naturze harmonizuje tak zgodnie z ruiną, która przegląda z za tych przezroczystych okien krużganku.

Każda galerya, każda strona krużganku wygląda na przyległy ogródek szeregiem okien gotyckich, ale okien przezroczystych. Każde okno z dwóch skrzydeł się składa. Przedziela je kolumna wysmukła, elegancka, jak dziewica w weselnym stroju. Zagina się ona w prawo i w lewo, w dwa ostre łuki, obejmujące swemi ramiony trójlistną przezroczystą różę, a nad temi dwoma łukami wspina się znów jeden większy łuk, ogarniający całe okno i mieszczący w sobie także trójlistną przezroczystą różę. Framugi okien składają się również z wysmukłych kolumn i słupków, pnących się ku górze z taką gracyą, jak gdyby nie z kamienia, ale z miękkiego wyrzeźbione były drzewa. Z tych przezroczystych okien przeglądają nadobne ściany krużganku, uśmiechnięte prawdziwym młodzieńczym, wiosennym wdziękiem.

Co chwila ukazuje się jakaś kolumna wypukła na ścianie. Strzela ona ku górze zwojem strzał, słupków, załamujących się w wieżyczki, w których się kryją rzeźbione figury Świętych. Wyżej znów kapitel, rozpływający się w bujny feston i znów kolumna, wieżyczka. A wszystko razem wydaje się, jak gdyby wieńce kamienne pokrywały ścianę. Wszędzie motywa tchną niesłychanie szlachetnym nastrojem. Czystość wykonania uderza na każdym kroku. Nieoceniona perła!

W piękną noc księżycową, kiedy spłyną z lazurowego nieba fale srebrnych promieni i oświecą zielone tło ogródka, ileżby tu znalazła uroku poetycka dusza, wśród ciszy nocnej, wśród samotności

klasztoru, wobec smutnej ruiny, która wyszczerbiła już niejedną kolumnę i powaliła o ziemię niejeden słup kamienny, co jeszcze niedawno dumne na wysokościach podnosił czoło!

Długi, ciemny i chłodem wiejący wieczór listopadowy zamknął nas w czterech ścianach nie krużganku poetycznego, ale prozaicznej komnaty zajezdnego domku.

W hoteliku już zaległy pustki. Turek i Anglik już nam nie ofiarowali ponownie zawarcia przymierza. Nazajutrz po owej pierwszej naszej wyprawie wspólnej zauważyłem ich nieobecność przy stole. Co się z nimi stać mogło? — pytam ciekawie gospodyni. Już wyjechali — brzmiała odpowiedź.

Snać prędko zbadali miasto i jego osobliwości. Anglik zapewnie obejrzał sławną fabrykę białej broni, tak wielką, tak czynną, że zaopatruje ona swemi wyrobami całe wojsko hiszpańskie. Turek niewątpliwie odpoczywał po utrudzeniu półgodzinnem i zapewnie nie miał nawet czasu zajrzeć do Alkazarów, które niegdyś tak zbytkowne obejmowały haremy współwyznawców jego — bogatych i potężnych kalifów hiszpańskich.

Spada na nas obowiązek uzupełnienia jeszcze wędrówki po krętych ścieżkach Toleda do wspaniałych pałaców tych przeróżnych władców, którzy w ciągu tylu wieków tu swoje królewskie miewali siedziby, a które z arabska tu powszechnie noszą nazwę alkazarów. Ale gdzie ich szukać, kiedy tak chwiejne, niepewne są pod tym względem wskazówki

i podania. Albo już w gruzach legły dawne zamki Gotów, albo alkazary Arabów zniknęły pod murami nowszych budynków. To podobno dawniejszy klasztor *Santa Cruz* stanął na fundamencie alkazaru arabskiego i tam prawdopodobnie szukać by należało śladu owych sławnych *palacios de Galiana*, które udzielny książę arabski Galafre zbudował dla swej córki Galiany. To znów gdzieindziej, a mianowicie pod murami klasztorów *de Santa Fé i de la Concepcion* mają się znajdować zwaliska innych alkazarów.

Gdyby się nam było wolno rządzić własnym domysłem w tej mierze, poszlibyśmy na brzeg Tagu i tam podziwialibyśmy warowne opuszczone ruiny jakiegoś zamku, który się wznosi na przeciwległym, wyniosłym, skalistym brzegu. Jeszcze ocalały dwie narożne baszty. Wielka murowana ściana, przez którą przezierają liczne otwory, jakby dzikich zwierząt paszczęki, zębione blanki na przeciwległej znów ścianie, wskazywać się zdają, że te obszerne nad Tagiem mury były warownem miejscem, które strzegło miasta, skarbów, życia i pięknych hurysek bogatych władców arabskich.

Siedząc na wielkiem urwisku skały, chylącej się gwałtownie ku nurtom płowego Tagu, z rozkoszą wpatruję się w malownicze ruiny zamku. Tak one zgodnie tworzą jednolitą całość z otaczającą skalistą powłoką ziemi, która tu bliżej do stóp ich się ściele, a tam dalej znów jak taraz się opuszcza i rozwija w płaszczyznę wzdętą na rozległej przestrzeni niewielkiemi wzgórzami. Surowe i posępne

jest ich oblicze—jak surową ta cała skała, ze szczytu której zamek dumnie ku nam spogląda.

Żeby oglądać prawdziwy Alkazar, przynajmniej pod względem ustalonej nazwy, trzeba z miejsca, gdzie podziwiamy ruiny na przeciwległym brzegu Tagu, posunąć się w górę o kilkaset kroków i stanąć na szczycie jednego z siedmiu pagórków skalistych, na których zbudowane jest Toledo. Wznosi się tam ogromny czworoboczny gmach, zdala przedstawiający się niby rozległe koszary, zbrojne w cztery narożne wielkie wieże czyli baszty. Obecny swój kształt zawdzięcza on Karolowi V-mu, który zbudować kazał w 1551 r. ten zamek, na miejscu dawniejszej, zapewnie bardzo prostej warowni. Kilkakrotne w przeszłych wiekach pożary, napady i rabunki nieprzyjacielskie przyprawiły go niemal o ruinę, od której ostatecznie uratowało go staranie najnowszych czasów. Wyznaczono przed kilkoma laty znaczny fundusz na odrestaurowanie wspaniałego gmachu, w którym się już obecnie mieści liczna szkoła wojskowa.

Z okien pierwszego piętra roztacza się dokoła majestatyczny widok. Zamek na górze panuje nad całem miastem i okolicą. Zdumionemu oku ukazał się tu jak na onych gipsowych plastycznych mapach Szwajcaryi nie objęty okiem labirynt wzgórz przeróżnych, poprzecinanych uliczkami, jak doliny w Alpach, przez które łączą się górskie strumienie, lub spływają kryształowe kaskady. A nad wzgórzami wszystkiemi, jak w pasmie alpejskiem, po nad gmachami wznosi, niby Jungfrau lub Mont-Blanc,

swą niebotyczną wieżę katedra, której pokorne hołdy składają kopuły i wieże kilkudziesięciu innych kościołów. Rzuciłem ztąd po raz ostatni pożegnalne spojrzenie na całe Toledo, z uczuciem błogiego zadowolenia, że widziałem Rzym hiszpański, z ubolewaniem, że dłużej zabawić w nim nie mogłem.

XIII.

KORDUBA.

Droga z Madrytu. — Krajobraz Andaluzyi. — Meczet i katedra w Kordubie.

Z Toledo znów powróciłem do Madrytu, aby ostatecznie pożegnać sławną stolicę nad sławnym Manzanaresem. Bezpośredniego połączenia drogą żelazną z Toledo, z linią prowadzącą do Andaluzyi niemasz, a przynajmniej z temi pociągami, któremi najdogodniej można w najkrótszym czasie przejechać ogromne przestrzenie biednej Kastylii Nowej, tudzież posępną, kamienistą prowincyę, tak często wspominaną przez Cervantesa — Manczę. Zimno listopadowe, przejmujące, dotkliwe i przykre, przykrzejsze jak u nas na północy, bo jeszcze niedawno temu dokuczały nam promienie palącego słońca, czyniło dłuższy pobyt w Madrycie nieprzyjemnym.

Tyle się słyszało o Andaluzyi, o tym czarownym ogrodzie Hesperyi, tylekroć nam powtarzano, że tam na tych bujnych błoniach, które przebiega Gwadalkwiwir, szukać należy prawdziwej Hiszpanii, owej cudnej, sławionej krainy, że z podwójną niecierpliwością czekałem chwili, kiedy, usiadłszy wieczorem w zakątku wagonu pospiesznego pociągu, obudzę się nad ranem wśród miłej wiosny stron południowych.

A przestrzeń, która dzieli Madryt od Korduby, ogromna. Zwyczajnym pociągiem drogi żelaznej wlec się trzeba całą dobę. Tylko trzy razy tygodniowo za nierównie wyższą cenę dostać się można nadzwyczajnym pociągiem. Jedna tylko niedogodność dla wędrowca, ciekawego widoku nieznanych stron: podróż trzeba odbywać w nocy, kiedy wszystko, jak w noc listopadową, ginie dla oka.

Droga do Andaluzyi prowadzi na długiej przestrzeni przez te same kraje, które przebiegaliśmy w wagonie, zmierzając we wrześniu do Lizbony, i któreśmy znów z powrotem do Madrytu ponownie oglądali. W myśli odświeżaliśmy sobie widoki, które wraziły się w pamięć. Step głuchy, kamienisty, nagi, pozbawiony roślinności, owiany tchnieniem śmierci. Zimno jeszcze dotkliwszem się stawało pod wpływem obrazów, jakie wywoływało w duszy świeże wspomnienie. Gorące rezerwoary wody, wstawiane podróżnikom pod nogi, nie były w stanie skutecznie oddziałać przeciwko zimnu, na które skarżyliśmy się wspólnie — ja — daremnie tęskniący do futra zimowego i mój towarzysz Hiszpan, któ-

ry zawiesistym końcem swego płaszcza starannie otulił szyję i twarz, jak gdyby przedewszystkiem dbał o koniec swego nosa.

Rzadko kiedy zatrzymywał się pociąg. Krótki przystanek nie dawał sposobności szukania jakiejś rozgrzewki. Tylko wspomnieniami historycznemi można było karmić... wyobraźnię. Przesunęliśmy się lotem strzały około *Argamasilli de Alba*, osiadłej samotnie wśród rozłożystej płaszczyzny monotonnej Manczy. Jak cienie nocne powstawały w myśli obrazy nieporównanego Cervantesa. Wszak to w tej wiosce żył i umarł znakomity rycerz, *el ingenioso hidalgo don Quijote*. W niedalekiej ztąd odległości stały podobno owe sławne wiatraki, z któremi się potykał błędny rycerz. Tak głęboko w umysłach prostego ludu osiadły postacie i wypadki, które w swej wyobraźni wysnuł Cervantes, że wiara w rzeczywiste istnienie don Kichota do dziś dnia nie osłabła.

Jeszcze się utrzymuje żywo podanie, że to w tej a nie w innej karczmie don Kichot przywdział na siebie zbroję rycerską, ślub uczynił i na szlachetną puścił się wyprawę; jeszcze są rodziny, które ród swój wywodzą, czy od onego bakałarza, czy cyrulika lub szlachcica z zielonej karczmy. Nierównie więcej zasługują na wiarę takie szczegóły, że się w tejże wsi dochował dom, w którym Cervantes był więziony za długi i w którym podobno osnuł pierwsze rozdziały swojej zajmującej powieści.

Przed kilkoma laty jeden z wydawców madryckich, Ribadeneira powziął oryginalny pomysł, założył bowiem drukarnię w tym domu i wydał na pamiątkę w prześlicznej edycyi — don Kichota, w edycyi, która stanowi słuszny przedmiot chluby drukarstwa hiszpańskiego.

Po za tą słynną wioską odsłania się znów prawdziwy obraz smutnej i biednej Manczy. Jak po jakim potopie leżą nieprzeliczone gruzy mniejszych lub większych kamieni, pokrywających szczelnie powłokę ziemi. Zdaje ci się, że widzisz przed sobą pole usiane głazami. Gdzieniegdzie skrzętna ręka rolnika obnażyła glebę, odsłoniwszy ją z pod tej kamiennej pokrywy. Biedny mieszkaniec tych stron opuszczonych, upośledzonych przez naturę, starannie w piramidalne pozbierał stosy te mrowiska kamieni i wydarł zazdrosnej przyrodzie kilka piędzi ziemi, żeby na niej trochę chlebodajnej posiać rośliny, a później skrapiać ją ustawicznie wodą, sprowadzaną ze stron dalekich, aby ocalić plon, ginący często pod wpływem długiego skwaru i nieprzerwanej suszy. Wieśniak pracuje tu istotnie w ciężkim pocie czoła na swe nędzne utrzymanie. Jego twarz wychudła, łachmany na ciele świadczą, że matka natura obchodzi się tu z nim po macoszemu. Susza prawdziwie afrykańska prześladuje tę kamienistą płaszczyznę. Nigdzie drzewka nie ujrzysz, tylko od czasu do czasu ukaże się agawa, strzelająca ku niebu wysoką łodygą.

I ta też roślina, która dziko tu rośnie, wyciąga chciwie ostatnie swe krople wilgoci, jakie

się tu i owdzie jeszcze z pod skórnej wody wydobywają.

Krajobraz się nie zmienia i po za miastem Manzanaresem, zawsze ta sama nużąca jednostajność. Tylko zdala ukazują się na krańcach widnokręgu, jak szare pasmo, zarysy gór Sierra Morena. Te niemiłe wspomnienia opuszczonej natury jeszcze więcej podnosiły uczucie zimna wewnętrznego. I gdyby nie Val de Penas, byłbym tę podróż do Andaluzyi, wiecznie wiosną kwitnącej, przypłacił zdrowiem.

Val de Penas jest ojczyzną wina czerwonego, które pod swą nazwą rodzimą tak jest rozpowszechnione w Hiszpanii, jak piwo bawarskie w Niemczech. Piją to łagodne wino, które podobno z burgundzkiej rozwinęło się macicy, zarówno w domach magnackich, jak i w chacie wyrobnika. Na stacyi za kilkanaście groszy podają chłopcy podróżnikom ten napój w dzbankach, podłużnego kształtu. Szlachetny trunek, zrazu zimny, zwilżył nasze podniebienie i podniósł temperaturę przeziębniętego ciała.

O północy opuszczaliśmy kamienistą płaszczyznę Manczy, zbliżając się powoli do progów Andaluzyi. Na jej pograniczu północnem rozsiadły się dumnie górskie ściany ponurego pasma Sierry Moreny. Trzeba nam je przebyć, aby wydostać się do doliny Gwadalkwiwiru. Po śmiałych łukach pnie się droga żelazna, prowadząc niekiedy do wnętrza skał i gór wydrążonych. Noc ciemna nie pozwala nam ocenić piękna sławionej powszechnie okolicy, obfitującej

w dzikie pejzaże. W kilku miejscach urwiska skaliste przybierają imponującą postać. Wąwóz *Despenaperros*, który prowadzi z nagiej Manczy do bogatej doliny Andaluzyi, należy do najpiękniejszych widoków, jakie przedstawia w ogóle groźna, surowa, dzika przyroda. Zębate skały, jakby umyślnie wyciosane ręką fantastycznego kamieniarza, spoglądają groźnie ku wązkiej ścieżce, która się wije między niemi. Obraz jakiegoś strasznego przewrotu natury przedstawia się na widok tego nieładu, tych głazów, piętrzących się niby wieże zburzonego zamczyska. Bo też te okolice bywały świadkami strasznych walk nie samej tylko natury i ludzi pomiędzy sobą. We wszystkich wojnach domowych, czy obcych, najezdniczych — ten wąwóz Despenaperros ważną zawsze odgrywał rolę. Kto go zajął, ten mógł się już uważać za pana Andaluzyi. Opodal też u stóp tych skalistych wyniosłości stoczono ową pamiętną w dziejach Hiszpanii krwawą bitwę z Saracenami, znaną pod nazwą rozprawy pod *Navas de Tolosa*, gdzie w r. 1212 hufce Kastylii, Aragonii i Nawary, rozpędziły niezliczoną moc nieprzyjacielskich zastępów, położywszy podobno trupem dwakroć sto tysięcy Muzułmanów.

O północy sen nas zmorzył, sen błogi i przyjemny. Okolica przepadła dla badawczego oka i dla ciekawego umysłu. Nad ranem zbliżaliśmy się do Korduby. Co za miła niespodzianka, jaka niepojęta zmiana! Już cienie nocne ustąpiły około 5-ej nad ranem i brzask dzienny odsłaniał oblicze ziemi, jeszcze na pół we śnie pogrążonej. Miejscami na

niebie przezierała szara powłoka, przez którą, jak z twarzy zakwefionej sułtanki, błękitne, lazurowe miejsca, niby oczy, przezierały.

Otworzę na chwilę okno wagonu, zamglone kroplami rosy. Ten lazur tak nęci, ta zieloność ogrodów tak wabi. Zobaczę, czy zimno listopadowego poranku bardzo zmroziło kwiaty, czy późna jesień zwarzyła liście i srebrnym szronem pokryła astry, malwy i inne przedzimowe ozdoby ogrodów? Nie powstrzymana pobudza mnie ciekawość, jednak zwolna, niewiele, ostrożnie uchylam okna, aby mnie nie owiało zimno wczesnego poranku, którego jeszcze nie ogrzała zorza wstającego słońca, aby mnie nie przebiegły dreszcze po ciele, wystudzonem w ciągu nocy mimo dzbanuszek czerwonego Val de Penas, mimo ogrzewane podnóżki.

Tymczasem zamiast powiewu ostrego, przejmującego powietrza, jakby strumień łagodnej fali zefiru spływa na piersi. Zapewnie to para wodna z gorących naszych podnóżków. Ale nie! Już dawno one ostygły. Więc zkądże to złudzenie? Coraz żwawiej płynie do nas strumień ożywczego wiatru. Śmielej uchylam okna. Pierś się podnosi, oddycha głębiej, swobodniej. Oblewa nas fala ciepła wiosennego. Świeżość rozbudzonej ze snu natury, rozkoszna woń ziół i kwiatów polnych spływa razem w strumień balsamicznego powietrza.

Od okna oderwać się nie mogę. Wychylam się coraz dalej. Chciwie piję ten słodki nektar, jakim mnie tu darzy gościnna ręka hojnej natury. Upajam się namiętnie, jak rozkoszą pierwszej miło-

ści. Już z przyspieszonego tętna, ze swobodnego oddechu piersi czuję, że to nie sen, nie złudzenie. To rzeczywistość, ale jakże urocza, jak luba, jak rozkoszna! Rzadko ją kiedy w życiu spotykamy tak czarowną, rzadko kiedy przebudzenie ze snu, z marzeń fantastycznych bywa tak piękne, tak miłe, tak pożądane.

W przededniu żegnałem Madryt, śnieżny szczyt Guadaramy, który mi się dumnie ukazywał w ulicach stolicy, przesyłając doń mroźne swoje tchnienie, wieczorem żegnałem pola kamienne Kastylii i Manczy, puste jak serce samoluba, obrane ze wszelkiej ozdoby, jak gdyby to była ziemia, na której spoczęło przekleństwo Boże; żegnałem późną jesień, wicher ostry, który tłukł się po nagich polach, zasypiałem wśród zimna dotkliwego, jakby już na progu śnieżnej zimy, a obudziłem się nazajutrz, owiany powiewem słodkiej i łagodnej wiosny. Nigdy takiego nie pamiętam gwałtownego przejścia, nigdy tak pożądanej zmiany i tak rozkosznego przebudzenia się ze snu. Myślałem, że się po raz drugi zaczyna, jeśli nie wiosna życia, która niepowrotnie mija, to przynajmniej wiosna ubiegłego roku.

Do podniesienia czarującej siły tej chwili przebudzenia się ze snu potrzeba było, prócz upajającej woni zefirów, aby roztoczył się przed nami cudny krajobraz nieznanej natury. Już też z za mroku porannego przezierała bogata przyroda rozkosznej i miłej Andaluzyi, już też wdzięczyła okolica krasą swojego młodzieńczego oblicza.

Po prawej stronie naszej drogi ciągnie się w głębi obrazu górzyste pasmo Sierry Moreny. Ciemna i ponura ta ściana, która już w nazwie *Morena* czyli czarnej, mieści określenie swego oblicza, jeszcze posępniejszą się wydała przy sinawej, ołowianej powłoce nieba. Zamyka ona widok łagodną, falistą linią, jak na płaszczyźnie mazowieckiej smuga czarnego boru opasuje horyzont. Jej ciemne czoło na niewysokich szczytach, tudzież na lekkich stokach, stanowią gęste lasy czarnych sosen. Od tego ponurego, nieprzezroczystego tła obrazu odbija mile jaśniejsza osnowa pól zielonych i kwitnących, olbrzymich majestatycznych krzewów.

Nad brzegami naszego toru żelaznego już ukazuje się wieloramienna agawa amerykańska wpośród gęstwiny dziko rosnącej opuncyi czyli kaktusów kolczastych, Piramidalnie pnie się ku górze wysoki jej pień, ubogi w zielone gałęzie, uwieńczony skromną u szczytu koroną. U stóp za to wije się istny las niebiesko-zielonawych liści, grubych jak deski, odwiniętych nazewnątrz, jak ściany więdnącego kielicha kwiatów.

Już mi agawa południowa przypomina niebo, choć jeszcze z nią się wiąże wspomnienie kamienistej i nieurodzajnej gleby Manczy albo Estremadury. Dopiero nieprzerwane pasmo kwitnących opuncyj nadaje już podzwrotnikową postać całej naturze. Jak dzikie zielsko, gęsto, jak w dziewiczych lasach Ameryki, ściele się swobodnie obronny krzew kaktusów o płaskich i dużych liściach, niby łapy cyklopów lub tytanów. Na ciemno-zielonem ich tle pięknie

maluje się żółty kwiat, jak jaskier wiosenny na bujnem błoniu. Chatki dróżników giną niemal dla oka wędrowca po za tą nieprzebytą ścianą kaktusów, tulących się do siebie tak troskliwie, jak dziecię, co się kryje w chwili niebezpieczeństwa pod opiekuńcze skrzydło ojca lub matki. Jak fryz artystyczny na ścianie greckiej świątyni, tak tu nad drogą biegnie i sunie nieskończonem pasmem jeden płot żywy za drugim utkany ręką natury z tych obronnych krzewów.

Już też coraz częściej mkną przed nami gaje oliwne. Zrazu zdawało mi się, że to wierzby nadbrzeżne, które się w Gwadalkwiwirze przeglądają. Ich pień niewysoki, gruby, ciemną pokryty korą, poszarpany jak u starej spróchniałej wierzby, przypominał mi żywo drzewa naszych stron nadwiślańskich. Ciemny liść, pokrywający szczelną zasłoną gałęzie drzewa, nadaje melancholijny wyraz obliczu natury.

Z pomiędzy drzew rosnących dość daleko od siebie, przeglądają smugi ponurej także zieloności, która już swe barwy straciła pod palącem garącem tylko co minionego lata.

Weselej uśmiechnął się krajobraz, kiedy niebawem zmieniły się dekoracye natury i lśniące jaśniejszym liściem pomarańczowe gaje, zamiast ponurych ogrodów oliwnych, się ukazały. Gdzieniegdzie już z po za ich gęstwiny przezierał jasno-żółty, nawpół dojrzały owoc. Bogactwo żyznej natury rzucało się

w oczy na każdym kroku. Wielkie orzechowe drzewa roztaczały w około swe majestatyczne konary, pod które tu i owdzie kryje się drobny, jak krzew wyglądający, migdał. Figi zwieszają ku ziemi swe szerokie liście.

A toć kraina mlekiem i miodem płynąca, ubłogosławiona, jak raj ziemski. Gdyby nie to wyludnienie, gdyby nie ten brak chatek wiejskich, dworków, pałaców, gdyby nie ten zupełny brak jakichkolwiek mieszkań ludzkich, mniemałbym, że się znajduję wśród wielkich podmiejskich ogrodów, jak nad brzegiem modrego Lemanu. Rzadko gdzie domek się ukaże. Oko błądzi daremnie po szerokiem morzu zieloności.

Raz oto na skalistym szczycie opodal drogi, wystąpiły groźnie na tło obrazu zwaliska jakiegoś zamku maurytańskiego, który tak spokojnie króluje na tych wysokościach, zadumany, pogrążony w marzeniu, jak starzec, rozpamiętywający dni swojej młodości. Panuje on nad całą równiną, która rozkłada się u stóp naszych, niby wzorzysty kobierzec.

Jakąż rażącą sprzeczność stanowią w tym krajobrazie: bujna natura, opływająca w dostatki, obok tej pustki, tego wyludnienia, tej śmierci, która, zdaje się, jak gdyby tu niedawno obfite odbyła żniwo. Głucho wszędzie jak w lesie.

Oto poetyczna ukazała się opodal palma. Złudzenie pustyni staje się jeszcze większem. Uśmiechnęła się dusza, serce żywiej bić zaczęło na widok

majestatycznej palmy, tej królowej gajów i oaz afrykańskich. Tam w polu w jakimś ogrodzie, zdaje się, że pomiędzy drzewami pomarańcz i wśród cyprysów wysmukłych sama jedna ona stoi o wyniosłej, jak smagła dziewoja, postawie, uwieńczona olbrzymią koroną, sterczącą po nad wszystkie sąsiednie z drzew i krzewów równianki.

Skąd się tu wzięła ta dumna córa Syryi? Ona tak tu osamotniona, jak sierota wiejska. Kto ją tu przeniósł z dalekich stron na obcą ziemię? Byłażby to może jedna z tych, które Abderaman przeszczepił na żyzny grunt Andaluzyi, ustaliwszy tu przed tysiącem z górą lat panowanie Saracenów?

Niebawem znów inna ukazała się już bliżej naszej drogi tuż przy jakimś dworku, a jeszcze piękniejsza, jeszsze więcej majestatyczna.

Spragniony od tak dawna widoku drzew po owej bezleśnej, skalistej Kastylii, czułem się jak wśród edenu ziemskiego. Teraz nareszcie, mówiłem sobie w duchu, ujrzałem kraj, o którym marzyłem tak dawno, a któregom szukał daremnie w całej środkowej Hiszpanii. Teraz zaczynam pojmować całą Hiszpanię, teraz jej krasy podziwiać zaczynam.

Gdybym nic więcej nie widział z przecudnej Andaluzyi, tylko jej okolice przy wjeździe do Korduby, jużbym umiał odpowiedzieć na pytanie poety, którego wiersz ustawicznie brzmiał na ustach moich:

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask zielone złoci drzewa,
Gdzie świeży bluszcz dawne ruiny stroi,
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?
Znasz-li ten kraj?

Po świetnych dekoracyach, które pozostawiała natura na szerokiej drodze, wiodącej do Korduby, miasto wydało nam się niby wioską biedną w porównaniu ze wspaniałem otoczeniem. Z dawnej świetności owej perły między miastami Andaluzyi pozostało niewątpliwie wiele, ale teraźniejszość jest tylko słabym odblaskiem sławy minionej.

Dziś, Korduba, pogrążona w głębokiej zadumie nad ruiną, świeci pustkami swych ulic i zaułków, ubóstwem swych pałaców. A kilkaset lat temu jakżeż tu było inaczej!

Podanie ludowe niesie, że onego czasu, kiedy Korduba była stolicą kalifatu, siedzibą uczonych Arabów, ogniskiem handlu, miejscem pielgrzymki dla wiernych synów Mahometa, liczyła wtedy w obrębie swych murów dwieście tysięcy domów, ośmdziesiąt tysięcy pałaców, dziewięćset łaźni, oraz tysiąc dwieście wsi podmiejskich! Z górą milion mieściło się tu ludności.

Cóż to za rozkoszne musiało być wtedy miasto na łonie takiej wdzięcznej, bogatej natury! Sześćset lat trwało tu panowanie Arabów — najszczęśliwsza era w dziejach Korduby. Im zawdzięcza miasto swój przepych, swoją sławę wiecznotrwałą. Arabowie pracowici, zręczne ludy Berberów

północnej Afryki, późniejsi Maurowie, zamienili całą Andaluzyę na ten rozkoszny ogród, jaki dziś jeszcze przedstawia cały kraj niemal. Oni palmę sprowadzili z Syryi, której słodki owoc służy i obecnie za pożywienie wieśniakom, oni te oliwne pozakładali gaje, które stanowią obecnie największe bogactwo Andaluzyi, oni tym ogrodom początek dali, w których zaprowadzili sztuczną irygacyę, czyli zwilżanie ziemi. W wielu miejscach po dziś dzień dochowały się ślady tej starannej uprawy ogrodów. Pola zazieleniły się, jak drzewne gaje, bujną kukurydzą, którą oni z Egiptu sprowadzili. Tu właśnie w Andaluzyi rozwinęło się szerokie pole tej cywilizacyi arabskiej, z której tyle skorzystała w okresie wieków średnich kultura europejska.

Ztąd szła nietylko znajomość staranniejszego uprawiania ziemi, samo miasto Korduba zwłaszcza stało się wielkiem ogniskiem industryi arabskiej. Jeśli gdzie kwitnął przemysł przed epoką w Europie wojen krzyżowych, to tu jedynie, nad brzegiem Gwadalkwiwiru. Doprowadzono tu niektóre gałęzie rękodzieł i fabryk do nieznanej przedtem i później nawet doskonałości. Kordubiańskie safiany były i u nas, w Polsce, znane.

Sławę europejską posiadały tkaniny arabskie wełniane, jedwabne, złotem lub srebrem wyszywane. A wyroby porcelanowe, ceramiczne w ogóle stanowią dziś jeszcze, po tylu set latach, przedmiot słusznego podziwu, zachwytu. Zwłaszcza owe *azulejos*, owa porcelana z malowidłami różnobarwnemi, tak lśniąca dziś jeszcze blaskiem kolorów tę-

czowych, jakby to były utwory dnia wczorajszego. Wyroby ze złota i srebra, owe filigrany, które się następnie dostały do Genui i Wenecyi, tu swój początek wzięły. Inkrustacye złotem i srebrem na żelazie i stali świadczą o niepojętej cierpliwości i zręczności tych, mało cenionych w Europie, prastarych nauczycieli.

Postępy przemysłu, rozwój budownictwa, zawdzięczać znów należy starannej uprawie nauk, które ścisły z niemi mają związek. Czyżby te wspaniałe pomniki architektory, zaliczane niekiedy do cudów świata, czyżby ta bogata, olśniewająca ornamentyka i te wyroby przemysłu mogły były powstać, gdyby się nie była potężnie rozwinęła matematyka i chemia? Skądże się brali ci wprawni architekci, ci zręczni kamieniarze, wreszcie ci uczeni geografowie, matematycy i lekarze?

Więc obok źródeł bogactwa materyalnego otworzyły się krynice wyższej wiedzy i Korduba stała się rozsadnikiem na całą Hiszpanię, na cały zachód Europy. Tysiące młodzieży arabskiej roiło się w uniwersytecie kordubiańskim, setki nauczycieli pracowało nad postępem nauki. Nie zapomniano także i o poezyi.

Jej cudny kwiat, przeszczepiony z nad brzegu Eufratu, z pod gorącego nieba Syryi, z nad brzegu Nilu, tu, wśród ogrodów dawnej Hesperyi, zakwitnął jeszcze pełniej, jeszcze wspanialej i blaskiem swych tęczowych barw, wonią swego kielicha, zniewalał sobie serca nietylko synów pustyni, ale i dawnych

mieszkańców, w krainie których brzmiały dźwięki miękkiego Tybulla, wytwornego Horacego.

Chrześcijanie sami upajali się czarem poezyi wschodniej. Już w IX-ym wieku, według wiarogodnych świadectw chrześcijańskiego pisarza Alwara, tak się rozpowszechnił język arabski, iż rzadko który chrześcijanin w Kordubie rozumiał po łacinie. Nikt nie czytał ksiąg Pisma Świętego, rzymscy poeci poszli w zapomnienie, wszyscy starali się pisać wytworną arabszczyzną. Szczególniej czytywano z wielkiem zajęciem historye, powieści i poezye arabskie. Jeśli tak było już w IX-ym wieku, w sto lat po podbiciu Korduby, o ileż pełniej i wyraźniej wystąpi obraz tego stanu w następnych wiekach, kiedy, jak wiadomo, coraz bujniej zielenił się plon cywilizacyi arabskiej.

Wybiegam czemprędzej na miasto, trawiony niezwykłą gorączką ciekawości. Chcę widzieć tę sławną siedzibę kalifów. Domyślam się, czem była dawniej i pojąć nie umiem, czem dziś być może. Z placu del Gran Capitan, z szerokiej bez drzew alei na skraju miasta położonej puściłem się w gęstwinę nieprzeliczonych uliczek, dążąc bez celu, gdzie oczy poniosą, byle widzieć oblicze Korduby. Na pierwszym zaraz kroku tchnienie śmierci mnie owiało. I zimny dreszcz mnie przebiegł, jakbym do katakumb zstępował.

Pobielane groby! — zawołałem w duchu na widok tych białośnieżnych domków, wyglądających zdala, niby namioty wojska w pustyni arabskiej. Szczególniejsza jednostajność, szczególniejsza po

włoka nowszych czasów. Wszędzie znać niwelującą rękę naszego wieku, kochającego się w tej jednostajności, która zabija wszelką indywidualność. Pod tą grubą powłoką bielidła wapiennego znikła wszelka odrębność, zatarła się fizyonomia domków i pałaców. Jak w pustyni, kiedy ruchomy piasek osiądzie w głębinach ornamentyki kamiennej i na pomnikach zagładzi ślady rzeźby artystycznej, tak i tu frontony, portały, kapitele, nisze, wieńce kamienne — wszystko pochowało się pod wapnem, aż do niepoznania.

Nietylko jednak spustoszenie artystyczne sprowadza ten zwyczaj bielenia domów wapnem, ale i pod względem zdrowia oczu, jakże niepraktycznem się wydaje. Latem, kiedy palące słońce jaskrawemi promieniami oświeci ulice, a białe ściany powiększą siłę odbijania się światła, jakże zabójczą stawać się musi dla wzroku ta olśniewająca jasność!

Pod wielu względami przypomina mi Korduba niedawno co widziane Toledo. Jest wszakże i wielka między niemi różnica. I tu także wązkie, ciasne uliczki, niewielkie domki; jednak więcej tu światła i słońca, niż w Toledo. Tu zresztą inne niebo, inna ziemia, nie skalista posadzka, nie to górzyste, nierówne położenie.

Dzięki gorącemu niebu, południowej naturze, której nie mrozi zimno Guadarramy, wszystko przybiera tu postać łagodniejszą, kształty rozwijają się w liniach więcej swobodnych, potoczystych; kamień, rzeźba uśmiechają się tu milszym daleko wdziękiem,

niż w surowym grodzie toledańskim nad brzegiem Tagu. Szczególniej uwydatnia się ta różnica pod względem wytworności, niezwykłej elegancyi patios w Kordubie. Od czasu do czasu spotykam, przechodząc ulicami, takie rozkoszne dziedzińce, że zatrzymawszy się przed niemi czas dłuższy, czuję rozkosz, jakiej się doznaje, używając złotego wczasu w tem ustroniu poetyckiem. Zamiast wielkich drzwi wchodowych, zamiast ciężkiej nieprzezroczystej bramy, oddziela dom od ulicy i broni swobodnego wejścia prześliczna drobna krata żelazna, misterny utwór arabskiej ręki, dłuta i młota arabskiego o złoconych w ogniu wierzchołkach słupków. Zapewnie to pomnik jeszcze XIII-go lub XIV wieku, bo i domek cały, mimo swoję powierzchowną świeżość i białą suknię, zdaje się sięgać dalekiej starożytności.

Po za kratami przezroczystemi ukazuje się w odległości kilku kroków rozkoszne patio, niewielkie, jak pokoik, ale poetyczne, jak w zaczarowanym zamku komnata królewny. W pośrodku niewielka fontanna wzbija swój słup przezroczystej wody, która, jak warkocze wierzby płaczącej, spada ku ziemi, zwilżając perlistą rosą zielony wieniec, dokoła rozstawiony z kwiatów i krzewów podzwrotnikowych.

Doniczkowa palma roztacza, jak wachlarz, swe przewiewne gałęzie, pod nią się podszywa szerokolistny banan amerykański, figowe krzewy w prawo i w lewo zwieszają swe wielkie zielone ozdoby łodyg, a bluszcz ciemny i gęsty okala wieniec, od-

dzielając jego brzegi od lśniącej czystością marmurowej, w szachownicę układanej posadzki.

Wprost fontanny ukazuje się w głębi samego patio na przeciwległej ścianie marmurowej nisza, nad którą roztacza się, niby omnibus, w trzy półkola załamany łuk arabski. W niszy mieści się artystyczna rzeźba, jakby klasyczny biust, może jaki antyk rzymski. Cóż to za wdzięk niewysłowiony całości! Jakież to rozkoszne *buen retiro*, luba ustroń dla poety.

Gdzieniegdzie spotykam tak miłe, nadobne oazy, przebiegając puste, bezludne i jednostajne uliczki miasta. Na domkach wszędzie niemal wycisnęło się piętno czasów arabskich: okienek mało, ściany gołe, wszystko zwrócone ku wewnętrznej stronie. Znaczniejszych zaś gmachów, prócz jednego najsławniejszego, pozostało z dawniejszej epoki bardzo małe.

Budownictwo religijne chrześcijańskie przedstawia się bardzo ubogo. Gdzieniegdzie jakiś piękniejszy portał uderzy w oczy. Kościoły wogóle biedne pod względem artystycznym.

Przed jednym domem zatrzyma się niewątpliwie ciekawy wędrowiec. Jest to jeszcze z rzymskich czasów pomnik, jak zapewniają starożytnicy, przerobiony przez Arabów, upstrzony nazewnątrz wielu dodatkami w stylu bizantyjskim. Nosi on nazwę *casa de don Geronimo Paez*. Szczególniej front pod względem rysunku i ozdób przypomina rzymskie pałace z czasu imperatorów. Ale wszystko, co pozostało po Rzymianach, ich pałace i mury i most

wspaniały na Gwadalkwiwirze; co przekazali Wizygoci, co nowsze stworzyły czasy, wszystko to blednie i ginie wobec najpiękniejszego pomnika architektury arabskiej — wobec tego ósmego cudu świata, jak nazywają niekiedy sławną mezquitę, czyli meczet w Kordubie.

Meczet ten słusznie jest po dziś dzień i pozostanie na wieki przedmiotem podziwu, zachwytu, pomnikiem, który świadczyć będzie zawsze o wielkiem znaczeniu wspaniałej niegdyś cywilizacyi arabskiej. Już tysiąc z górą lat urąga się ten gmach przecudny długim wiekom i stoi dziś, mimo przekształcenia niewłaściwe, w swej niepożytej okazałości, jak wiecznotrwałe piramidy w piaszczystych okolicach Nilu. Meczet powstał w pierwszem zaraz stuleciu założenia kalifatu w Kordubie. Był on świadkiem świetnych zawiązków panowania Arabów w Hiszpanii i zapowiedzią ich wielkości i znaczenia.

Kiedy Abderachman III-ci, wygnaniec z Azyi, ostatni potomek Omajadów, szczęśliwą prowadzony gwiazdą, przybył do Andaluzyi i tu, pomyślne stoczywszy boje z naczelnikami współplemiennych ludów, położył kamień węgielny pod budowę wielkiego państwa, postanowił zarazem w Kordubie stworzyć ognisko religijne dla całego zachodu mahometańskiego. Mekka była aż do jego czasu miejscem pielgrzymki ludów nawet z północno-zachodnich brzegów Afryki i z krajów południowej Hiszpanii, teraz zaś meczet w Kordubie miał ściągać ku sobie tłumy pobożnych z tych stron pątników.

Około roku 786 rozpoczęto budowę tej najwspanialszej perły wśród pomników architektury arabskiej na Zachodzie, perły, która pięknością zaćmiła nawet Mekkę i zawsze była przez długie wieki panowania Maurów w Hiszpanii przedmiotem ich chluby narodowej. Sam Abderachman miał dozór nad robotami, które szły tak pospiesznie, że pod jego panowaniem, po latach dwudziestu od chwili rozpoczęcia budowy, stanął całkowicie niemal meczet, jedna z największych świątyń na świecie. Hiszam, syn sławnego kalifa, doprowadził po latach dziesięciu dzieło ojca do końca. Wprawdzie następni władcy w ciągu stu lat jeszcze dokładali ręki swej do upiększenia meczetu, ale były to nieznaczne tylko uzupełnienia całości, która właściwie jest niemal wyłącznem dziełem starania jednego kalifa. Już ta okoliczność daje wymowne świadectwo o potędze kalifatu kordubańskiego, o wysokim stopniu ówczesnej cywilizacyi arabskiej.

Ileż to tysięcy rąk pracować tu musiało pod kierownictwem znakomitych mistrzów, jak niezmierne bogactwa posiadał władca, jaką potęgą rozporządzał, kiedy mógł cedry Libanu sprowadzać, tysiące kolumn z marmuru, porfiru, jaspisu i mozaiką artystyczną pokrywać posadzki rozległości o tysiącach łokci kwadratowych.

Zbliżmy się do meczetu, który się wznosi na niewielkiej pochyłości, zwieszającej się ku brzegom Gwadalkwiwiru. Nie uderzy nas strona zewnętrzna, postać powierzchowna, albo raczej uderzy swą prostotą, ubóstwem, zaniedbaniem. Jest to właściwość

arabskiej architektury. Arabowie nie kochają się w wielkości zewnętrznej. Dla nich szata, powłoka, jest rzeczą drugorzędną, obojętną. To też z niemałem zdziwieniem patrzy wędrowiec na czworoboczne ściany murowane, które okalają, jak mury warowne, samą świątynię. Stanowiły one pierwiastkowo rodzaj portyku przezroczystego, przez który prowadziło do wnętrza dwadzieścia drzwi spiżowych.

Później zamurowano bramy, dobudowano wieżę, przekształcono tu i owdzie pojedyńcze części, które z budownictwem arabskiem nie mają nic wspólnego.

Na miejscu, gdzie pierwiastkowo wznosił się minaret, zbudowano w XVI-ym wieku przy głównem wejściu do czworoboku, wysoką wieżę w stylu grecko-rzymskim, o pięciu olbrzymich piętrach, gdzie w jednem z nich umieszczono dzwony kościelne, kiedy w tym czasie w samym meczecie urządzono katedrę katolicką. Tylko zębione blanki na szczycie tych murów, tudzież kolumny o arabskich kapitelach zachowały wyraźnie charakter swoich czasów.

Przez bramę o arabskim łuku wchodzimy na obszerny dziedziniec czworoboczny. Trzy jego boki stanowi krużganek, czwartym jest sam meczet. Prześliczne patio odsłania się tu przed okiem zdumionego wędrowca. Cały ogród najrozkoszniejszych pomarańcz. Prastare drzewa o pniach wysokich, o wspaniałej koronie lśniących liści uginają się pod ciężarem swych złoconych jabłek. Bogata jesień

porozwieszała tu w gęstwinie zieleni swe czarowne owoce. Wśród tego wspaniałego otoczenia, które stworzyła zbytkowna natura południowego nieba, królują majestatycznie cztery olbrzymie palmy, wznosząc dumne swe wierzchołki wysoko po nad tłum sąsiednich pomarańcz. Pod drzewami na prawo i na lewo w tem *patio de los naranjeros* (dziedziniec pomarańcz) mieszczą się dwie cysterny, tryskające zdrojową wodą, która się rozlewa w dwóch wielkich rezerwoarach kamiennych. U tych zdrojów odbywały się obrządkowe lawacye mahometan przed wstąpieniem do świątyni.

Zajrzyjmy do jej wnętrza. Wchodzimy przez wielkie drzwi pod łukiem arabskim. Dawniej, kiedy meczet był często mahometańskim przybytkiem, wchodziło się do świątyni przez dziewiętnaście bram, które stały otworem i pozwalały wprost przed przestąpieniem progu topić wzrok w majestacie przezroczystego nawskroś gmachu. Dziś zapełniono murem poprzednie otwory i utworzono zbyt wielką ścianę z tego, co było dawniej, jakby bokiem portyku.

Wchodzimy do świątyni, w której panuje uroczysty zmrok wieczorny. Nieopisane uczucie podziwu ogarnia wędrowca od chwili, gdy rzuca pierwsze spojrzenie na wnętrze olbrzymiej świątyni. Dzieli się ona na 19 naw wzdłuż a na 36 wszerz, odgraniczonych od siebie kolumnami. Kolumn tych liczą dziś z górą ośmset, było ich zaś poprzednio dwa razy tyle. Ośmset kilkadziesiąt kolumn kamien-

nych, a każda niemal inna, a każda niemal ma swoje osobne dzieje!

Wyobrazić sobie trudno tę rozległą perspektywę najcudniejszego ogrodu kolumn. W prawo, w lewo, przed i za nami, gdziekolwiek wzrok się zwróci, wszędzie ta przejrzysta perspektywa, w której tonie ciekawe spojrzenie podróżnika.

Nad kolumnami piętrzą się łuki arabskie, zwykle po dwa, jeden na drugim. Są to po większej części arkady współśrodkowe, które się nadzwyczaj wiele przyczyniają do podniesienia czarownego uroku. Sprawiają one poniekąd wrażenie tęczy niebieskiej, bo oba łuki, jeden niższy, drugi wyższy, jak różnobarwne wstęgi są zawieszone. Każdy łuk sklepiony składa się z białej i czerwonej smugi. W odległej perspektywie te barwy, te koliste linie wywołują niewysłowiony efekt, którego pióro najbieglejsze oddać nie jest w stanie.

Można godzinami całemi wpatrywać się w ten labirynt kolumn. Jedne z marmuru, inne lśnią połyskiem porfiru, tamte z jaspisu, a wszystkie pochodzą z przeróżnych stron. Abderachman III-ci, ten, który meczet wystawić kazał, korzystał z bogactw architektonicznych swojej podbitej, rozległej krainy. Z dawnych świątyń rzymskich zabierano gotowe już słupy. I chrześcijańskie kościoły, bazyliki i kaplice musiały złożyć w dani meczetowi swoje ozdoby kamienne. Z dalekiego wschodu sprowadzano z portyków greckich artystycznie wykończone kolumny.

Kolumny lubo są wysmukłe, lekkie, wydają się jednak nizkiemi i zepsułyby niewątpliwie majestatyczne wrażenie, gdyby nie znakomity pomysł artysty, który nad kapitelami kolumn dał im czworograniaste podwyższenie, z którego jak z pnia drzewnego rozchodzą się—niby gałęzie i konary—arkady dwupiętrowe. Wyższa ztąd powstała elewacya, strop wzbił się więcej w górę i w ten sposób harmonia, symetrya uratowaną została.

Kiedy się tak wzrok zapuści w ten labirynt kolumn, meczet wydaje się istotnie jakby jakąś bajeczną skamieniałością, jakimś lasem palm skamieniałych, w którym kolumny przedstawiają pnie drzewa, a łuki naśladują uschłe konary olbrzymiej palmy. Kolumny odznaczają się niesłychaną rozmaitością ornamentyki kapitelowej. Prawie na każdej spotykamy inną odmianę, choć wszędzie przeważa prostota dorycka, właściwa stylowi arabskiemu w pierwszej epoce rozwoju, kiedy z bizantyńskich rozwijał się zasad.

Najpowszechniejszym kształtem kapitelu są kielichy kwiatów. Z jednego kielicha o ośmiu zagiętych liściach strzela drugi podobnyż, na którym się wspiera wystająca po nad wszystkie brzegi skośna ku środkowi podstawa dla wznoszącego się czwororamiennego łuku. Mniej nadobne wrażenie sprawia brak cokołów u kolumn, podstaw odpowiednich; ztąd się wydaje, że kolumny jakby tonęły, jakby się zapuszczały niby drzewa w ziemię. Pochodzi to z tego powodu, że pierwiastkowo właściwy poziom meczetu znajdował się poniżej dzisiejszej marmuro-

wej posadzki, którą położono po zniszczeniu już za czasów chrześcijańskich artystycznie wykonanej mozaiki. Jak podłoga zmieniła nieco harmonię, tak i obecny strop zamiast dawniejszego, zamiast przecudnej rzeźby na cedrowem drzewie, przyczynił się do osłabienia efektu.

Bujna fantazya wschodu, sztuka nieporównanego artysty, bogactwo kalifów, złożyły się tu na utworzenie arcydzieła, którego opis piękności przechodzi siły najzdolniejszego pióra. Przepych, elegancya, harmonia i symetrya, wszystko tu razem zgodnie panuje.

Marmurowe ściany pokryte są mozaiką, nad którą nic doskonalszego, nic więcej nadobnego nie stworzyła nigdy sztuka arabska. Wyjątki z Koranu, lśniące do koła blaskiem brylantów, a ułożone z kryształów, panują na poważnem tle arabesków z fantastycznych linij, z kwiatów. Nigdy linie nie mogły być właściwiej poprowadzone, nigdy barwy lepiej użyte. Złoto, kryształ i barwy tęczy rozlane są jak na wzorzystym kobiercu. Sztuka stanęła tu na swej wysokości. Po tym wysiłku tylko upaść mogła. Postęp dalszy był niemożliwy.

Pomimo zmian i przekształceń, cały meczet zachował główny swój zarys i nieskazitelny charakter, jako pomnik budownictwa religijnego Maurów.

Tak mnie olśniła wielkość meczetu, tak mi osiadła w pamięci nieporównana jego piękność i za-

pisała się takiem głębokiem wrażeniem, że już obojętnem okiem patrzę na wszystko, co się jeszcze w Kordubie z czasów dawno minionych pozostało. Nie chcę już rozpraszać uwagi na to, co się wobec sławnej „mezquity“ wydaje drobnem, maluczkiem, bladem i powszedniem. Uwiozę ze sobą wspomnienie świeże, nie zamącone przez inne mniej wspaniałe wrażenia....

XIV.

SEWILLA.

Wdzięki natury. — Postać zewnętrzna miasta. — Ślady przeszłości arabskiej. — Maurowie. — Maurytańskie pochodzenie Andaluzów. — Typy i charaktery. — Ubiór, śpiewy, tańce. — Stan ludności pod względem ekonomicznym. — Moi znajomi — Szkoła elementarna.

Od kilku godzin jestem w Sewilli, która przeszła wszelkie moje oczekiwanie. Nie mogę się dość nasycić pięknością, która mnie olśniewa, czaruje, upaja. W niepamięci utonęła Genua, Neapol, Lizbona, nad wszystkiemi wrażeniami króluje jedna jedyna Sewilla. Tyle mi dawniej o jej cudach prawiono, tak się już poprzednio oswoiła wyobraźnia z jej wdziękami, tyle kwiatów dorzuciła fantazya rozkołysana do tego poetycznego obrazu, żem się obawiał zrazu, azali nie doznam przykrego rozczarowania. Tymczasem widzę i przekonywam się, że rzeczywistość piękniejszą jest nad wszelkie spodziewanie.

Upaja mnie dziwna słodycz powietrza, miękkość delikatnego powiewu, który płynie z lazurowego nad nami nieba. Już się listopad chyli ku końcowi.

W powietrzu czuć balsamiczną woń kwiatów świeżo rozkwitłych. Na dachach przeciwległych domków widać istne ogrody wiszące, jak na Wschodzie. Całe smugi zielone, całe aleje, pomiędzy któremi możnaby się wygodnie przechadzać. Od czasu do czasu ożywi też te wysokie, zielone strony, jakaś powabna postać Andaluzki, która, stroniąc od gwarnego świata, szuka tu lubego wytchnienia. Zefir na swych skrzydłach niesie upajającą woń róż, myrtów i pomarańcz.

Nim zagasło światło dnia bożego, wybiegłem z zamknięcia ciasnego mieszkania i ciasnej, choć najwięcej ożywionej uliczki, chcąc głębiej i swobodniej odetchnąć tem czarownem powietrzem. Zaledwiem się przez dwie niedługie a wązkie przesunął uliczki, ujrzałem się na szerokim placu, otoczonym zewsząd nowożytnemi domami.

W pośrodku placu ukazały się aleje zielone, załamujące się w prawidłowy czworobok. Jakaż przecudna dekoracya! Gdzieniegdzie widać młode palmy, majestatycznie roztaczające swe zielone gałęzie, całym zaś szeregiem ciągną się nadobne drzewa pomarańczowe. Na wysokim pniu, sięgającym daleko po nad głowę przechodnia, osiadła gęsta z ciemno-zielonego liścia korona, ubrana obficie w dojrzewający złoty owoc. Rumiano-purpurowe jabłka lśnią połyskującym blaskiem złota, który cza-

rująco odbija od zielonej o żywej barwie powierzchni A szczodra jesień tak nie skąpiła swych darów, że drzewa zdają się uginać pod ciężarem tych setek złotych pomarańcz, które zdobią zielony wieniec każdego drzewa. Jakież to malownicze dekoracye, ileż tu poezyi wśród powszedniej rzeczywistości.

Dziedziniec hotelu, w którym mieszkamy, jest istnym ogrodem, ale tak bogatym w bujną roślinność, w fikusy, maniole, cytryny, banany, że sprawia na nas istotnie wrażenie czarujących gajów Hesperyi. Poznaję zwolna miasto i widzę, jak się ta ludność namiętnie kocha w zieloności ogrodów, w barwach podzwrotnikowych kwiatów. Szczodra natura umie tu pielęgnować to zamiłowanie człowieka, otaczając go tak zbytkownie wspaniałą roślinnością przez rok cały. Nigdy tu krzew żadnej nie potrzebuje osłony, zawsze mu sprzyja ciepłe niebo i może mu chyba zaszkodzić zbytkiem tego ciepła podczas długiego afrykańskiego lata.

Więc też w najciaśniejszych uliczkach, gdzie ścieśnione domki dwa, trzy okna zaledwie posiadają, ukazuje się wszędzie niemal rozkoszne patio, umajone wiosenną zielonością. A gdzie większa przestrzeń pozwala się ogrodom rozpanoszyć, jak na przedmieściach lub w podmiejskich pałacykach, tam istny raj ziemski.

Zima tu nigdy nie zagląda. Jej zimnego powiewu nie umiałaby znieść ani palma swobodnie pod gołem niebem rosnąca, ani pomarańcza i cytryna dojrzewająca na słońcu.

Więc wśród tego ciepła nigdy natura się nie starzeje, nigdy nie traci swej wiosennej krasy, zawsze się liściem zieleni, uśmiecha wesołym kwiatem, nigdy nie świeci pustkami, obnażonem drzewem, ubóstwem swych wdzięków.

To ciepłe niebo, ten nieskalany lazur, ten wiecznie niebieski strop nad nami, przezroczysty jak kryształ, głęboki jak dno morskie, te barwy drzew, ten aromat kwiatów, sprawiają, że jak w kalejdoskopie odbijają się w duszy wędrowca malowniczo, powabnie domy, domki gmachy, kościoły, alkazary i pałace Sewilli.

Kordubie przyświeca to samo gorące słońce i ten sam lazurowy roztacza się namiot nad dawną kalifów stolicą, ale jakaż jednak wielka między dwoma miastami Andaluzyi różnica.

W Kordubie życie ustało, duch uleciał, wspaniała tylko pozostała powłoka. Tu zaś przeszłość żyje, i z teraźniejszością splata się w bujne pasmo. Tam groby pobielane, a tutaj ruch, życie pulsujące wszędzie. Tam, jakby w klasztorze, tutaj jak na pełnej, otwartej widowni pracy i zabiegów świata tego.

Jak Toledo, Korduba, tak i Sewilla ma swój charakter maurytański. Ale Toledo nie ma tego nieba, tych barw kolorytu. Korduba nie ma tego życia, jakie wre i kipi w sercu Andaluzyi — w Sewilli. Jej domki wązkie w ciasnych uliczkach mają dla mnie niesłychanie wiele powabu. A ciasnych tych uliczek nie brak. Iście jak w ulu — jedna ko-

mórka za drugą, tylko każda inna o wybitnych rysach zewnętrznych, jak fizyonomia istoty ludzkiej, pełnej energii, charakteru.

Każdy domek inny, a jednak podobne do siebie. Okien niewiele, ale dużo balkoników. Tu i owdzie na pierwszem i na drugiem piętrze żalazna sterczy galerya. Domki niekiedy stoją tak blizko siebie, że zgodne sąsiadki mogłyby z okien ściskać się wzajemnie za ręce, mówiąc sobie zrana *buenos dias*. Tu i owdzie na początku uliczek ustawione zagrody drewniane wskazują, że się tylko pieszy pomiędzy niemi przesunąć może. Dla pojazdów miejsca tu niemasz. Kto w takiej ciasnej zamieszkał uliczce, ten tylko pieszo do domu przedostać się potrafi.

W dziwacznych zakrętach wiją się te uliczki, jak się nie umie nawet wić fantastyczny strumyk polny na zielonem błoniu. One same przez się stanowią zygzaki, prawdziwe arabeski, jak owe, które na ścianach meczetów lub alkazarów służą ku ozdobie murów. Z powodu szczupłości miejsca, wązkie domki pną się w górę. Trzy i cztery piętra wznoszą się ku niebu.

Gdzieniegdzie znów małe chatki, niby wiejskie domki, przysiadły się, że je ledwie znać od ziemi. Wszędzie przeważa architektura arabska albo ściślej mówiąc, styl mieszany, późniejszy tak zwany *mudejar*, w którym się łączą arabskie zasady z motywami gotyckiemi. Nawet w domach najnowszej konstrukcyi zachowaną jest moda miejscowa: zawsze

piękne patio, gibkie kolumny arabskie, śmiałe łuki maurytańskie. Nadaje to więc miastu taki pozór odmienny, a tak powabny dla oka wędrowca, przywykłego do tej nużącej jednostajności wielkich miast europejskich.

Z domków, z uliczek, z balkonów, ze stroju mieszkańców, z ich oczu, cery, języka, poezyi, sztuki, jednem słowem ze wszystkich szczegółów, które rzucają się w oczy, przeziera tak wyraźnie przeszłość arabska Sewilli. Jest to rys najwydatniejszy z jej typowej fizyonomii. Co było przed Arabami, przepadło bez śladu. Rzymskiego tu nic niemasz, choć Sewilla za panowania Rzymian Hispalis nazywana, dość ożywionem była miastem. Świetne czasy rzymskie przedstawiają nie w samej Sewilli, ale obok, w niedalekiej ztąd Italice skamieniałość, historyczną. Tam około jej ruin, jak bluszcz około dębu, wiją się wspomnienia Seneki, Adryana, Trajana i innych mężów Rzymu imperatorskiego.

Epoka Gotów czyli raczej Wandalów, od których bynajmniej, jak mylnie utrzymują, Andaluzya nie otrzymała swej nazwy, nie pozostawiła po sobie wyraźniejszych śladów. Tylko Arabowie, którzy tu na początku VIII-go wieku panowanie swe ugruntowali, nadali miastu i całej przyległej prowincyi charakter, który tę część Hiszpanii tak wyraźnie od innych prowincyi i pozostałej ludności wyróżnia. Trzymali oni 536 lat Andaluzyę w posłuszeństwie, kiedy po bitwie Navas de Tolosa w r. 1212 ich szyki złamane ustępować musiały powoli przed zwycięzkiemi hufcami kastylijskiego króla Alfonsa. W kil

kadziesiąt lat później, w r. 1248 Sewilla otworzyła swe bramy chrześcijańskiemu władcy Ferdynandowi świętemu, który w alkazarze, w pałacu maurytańskich książąt, królewskie dla siebie urządził komnaty.

Pod względem politycznym kraj należał do Kastylii, miał rządy kastylijskie, ale pod względem etnograficznym pozostał po dawnemu maurytańskim. Ludności wiejskiej, pracowitej, przywykłej do uprawiania ziemi, oliwki, nie wypędzono bynajmniej. Zatrzymano ją także w miastach, gdzie przemysł kwitnął dzięki zręcznym Maurom. Nawet w dobrach kościelnych zatrzymano rolników, czynszowników obcego plemienia, obcej wiary.

Następca Ferdynanda III-go, syn jego Alfons Mądry, założył nawet w Sewilli szkołę, poświęconą uczeniu języka arabskiego, który był powszechnie używany w handlu i w rozlicznych stosunkach życia codziennego, oraz posiadał zasobne piśmiennictwo w rzeczach powszechnego użytku i zastosowania. Musiało więc Maurów pozostać niemało, skoro jeszcze w tak licznej byli gromadzie, kiedy ich postanowiono w XVII-ym wieku wypędzić z Hiszpanii.

Pytam razu pewnego naturalistę, profesora Machado, który o Andaluzach nawet oddzielne pisał studyum — jak obecnie stoi pytanie w nauce co do pochodzenia mieszkańców kraju, co do stopnia mięszaniny różnych pierwiastków.

— *Nosotros Arabes somos* — odpowiada mi uczony naturalista. Jesteśmy, panie, Maurami my

tu wszyscy, mniej lub więcej ze krwi, z pochodzenia, zwyczajów, obyczajów, pieśni, podań i t. d. Mówimy po hiszpańsku, przerodziliśmy się w nowoczesnych Europejczyków, ale krew w nas płynie maurytańska.

Badania etnologiczne stwierdzają też najzupełniej to arabskie pochodzenie Andaluzów. Mowa obecna ludu wiejskiego jest odmiennem nieco narzeczem kastylijskiem, a więc mową, przeszczepioną z północnej i środkowej Hiszpanii. Ale narzecze to ludowe nosi na sobie widoczne ślady wpływu arabszczyzny, zawiera wiele wyrazów czysto arabskiego pochodzenia. Lud ma także odmienny nieco sposób wymawiania niektórych spółgłosek, opuszcza w wyrazach *s* końcowe, nie potrafi zaś wymawiać wargowej litery *v*, zamiast której *b* używa. Nie pamiętam, z jakiego wieku pochodzi wyrzeczenie łacińskie jednego z pisarzy, który o tej właściwości południowych mieszkańców Hiszpanii napisał: *Felices illas gentes, apud quas vivere—est bibere,* wyrażając dowcipnie myśl swoją w grze słów: żyć i pić.

W ogóle w wymawianiu andaluzkiem słyszeć się daje niesłychana miękkość i śpiewność. Melodya, poezya tryska z mowy powszedniej. Bo też miękkim, śpiewnym, poetycznym jest prawdziwy syn Andaluzyi, dziecię miękkiej, bogatej, rozkosznej natury. Wszystkie twarze typowe w mieście i na wsi są całkiem arabskie. Budowa ciała także przypomina postacie arabskie. We wdzięku kształtów, w łagodności linij, w czarnem oku, śniadej cerze, jednostajnej jak pustynia, pozbawionej ży-

cia, kolorów, przebija się obce pochodzenie, krew obca.

Malowniczy ubiór wiejski odpowiada zgodnie pięknej powierzchowności. Krótki kaftan, obcisłe do kolan spodnie, lekkie ciżemki albo sandały, świadczą o zwinności i gracyi ruchów. Pas karmazynowy, aksamitna barwna kamizelka, wielki czarny kapelusz o szerokich skrzydłach, nadają ubiorowi cechę teatralną, która mile jednak wpada w oko. Wiejska kobieta, miejska dziewoja umie sobie dodać wiele poetycznego wdzięku, kładąc między sploty kruczych włosów białe róże. Na wsiach przemagają jaskrawe barwy sukien: amarantowa sukienna spódniczka, na piersi zarzucona ponsowa chusteczka, a od tego żywego tła, jak dwie iskry błyskawiczne, odbijają czarne oczy.

W mieście przeważa — rzecz dziwna, w obec tych wielkich upałów i na łonie tej barwnej natury, czarny kolor ubrania Andaluzek. Wszystkie w czarnych sukniach. Włosy ubrane z niezwykłą starannością. Zdobi je świeża biała róża, która cały tu rok kwitnie w ogrodach. *Mantilla* na głowie, czarna, jak welon powiewny, opadająca na ramiona, stanowi zamiast kapelusza jedyne ubranie i przykrycie głowy. Rzadko gdzie na ulicy spotkać można odmienny, jaśniejszy strój kobiecy: będzie to pewnie cudzoziemka.

Zwyczaje, podania, pieśni, zabawy i tańce Andaluzów zachowały w sobie wiele charakreru wschodniego. Wszystko tchnie u nich poezyą, miłością, wdziękiem. Piękna, rozkoszna natura ze wszyst-

kiemi swemi czarami przegląda się w tworach bujnej fantazyi. Pieśni miłosne, serenady jeszcze do dziś dnia nie straciły swojej siły, ognia i rycerskiej ogłady nawet między ludem prostym. Zamiłowanie do pieśni, do muzyki i do lekkiego swobodnego życia jest wielkie. Gitara nie straciła tu bynajmniej swego obywatelstwa, owszem zawsze jeszcze wywiera swą magiczną na umysły ludu siłę. Dźwięki gitary czy mandoliny, bo różnego kształtu bywają te instrumenta, obudzić są w stanie prawdziwego Andaluza ze snu najgłębszego. Gitara jest jego towarzyszką nieodstępną w dniach smutku i wesela. Widziałem w mieście cieślę, który wieczorem wracał od roboty i niósł obok narzędzi swojego rzemiosła, gitarę. Zapewnie w chwilach wytchnienia słodził on sobie jej dźwiękami gorycz swojego zawodu.

Wieczorem na ulicach spotykam mnóstwo wędrownych lutnistów, którzy wśród tłumu spacerującej po ulicy *calle de las Sierpes* publiczności napełniają powietrze dźwiękami strun i swych melodyjnych głosów. Nietylko gawiedź uliczna, ale i lepiej ubrana część ludności zatrzymuje się chętnie, aby upieścić ucho harmonią pieśni narodowej. A pieśń ta niewątpliwie o miłosną uderzy strunę: popłyną głębokie, rzewne, tęskne tony, rzadko wpadając w wysokie, jaśniejsze lub weselsze. Dziwny smutek rozlany jest w tej pieśni, nieograniczona tęsknota serca odzywa się w tych nutach, przelewających się zwolna i łagodnie.

Najwięcej poezyi, najwięcej charakteru wschodniego dochowało się w tańcach narodowych. Tak są one charakterystyczne, że je bez wahania odrazu uważać można za arabskie, południowe. Andaluzka tańczy sama przy dźwięku towarzyszącej jej gitary. Ale słaby dźwięk strun lirycznego instrumentu służy tylko do przewodniczenia śpiewowi lutnisty. Zebrane w około towarzyszki klaszczą w ręce w takt, wywołując przez to głośną muzykę. Przed niemi tańczy wiejska dziewoja, wtórując tupaniem nóg zgodnym rytmom. Z niewypowiedzianym wdziękiem odbywa się to uderzenie o podłogę wśród powolnego toczenia się w około, posuwania się naprzód: sprawia ono wrażenie łabędzia, przesuwającego się niepostrzeżenie po zwierciadlanej wód powierzchni. Obie ręce są w ciągłym ruchu, służąc do wyrażania całej skali myśli i uczuć.

W tej symbolice odbija się cała gracya pięknej, o wysmukłej kibici Andaluzki. W łagodnie łamiących się liniach, płynących jak fale lekko rozkołysanego morza, przechodzi ręka od stanu do głowy, do czoła i odwrotnie, wyrażając subtelnie delikatną grę wzruszeń serca.

Przeciągły śpiew pełen zadumy, melancholii wtórzy zgodnym i dźwięcznym akordem tej liryce gestów i ruchów. Jest to taniec dla swej miękkości, czarującej poezyi i symbolki miłosnej przypadający właściwie więcej w udziale kobiecie niż mężczyznom. Gdzie niema liczniejszego grona klaszczących w takt towarzyszek, tam tanecznica sama za pomocą kastanietów wtóruje rytmom muzyki.

Śpiewność ludu, zamiłowanie do muzyki płynie ze źródła jego wesołego i lekkiego usposobienia. Rozbujała jego fantazya, która jest niczem innem, jeno odbiciem bogatej, rozkosznej natury, przeważa nad ścisłem, trzeźwem myśleniem. Zapewnie i klimat gorący, afrykańskie podczas długiego lata upały wpływają na osłabienie umysłu, przytępienie jego zdolności reflleksyjnych, pobudzenie zaś fantazyi nadmierne. Ztąd też nazywają Andaluza Gaskończykiem Hiszpanii, wpadającym w przesadę, w chełpliwość, wielomówność. Śpiewne i melodyjne usposobienie ludu łączy się z jego skłonnością ku zabawom, wesołemu i lekkiemu życiu, z zamiłowaniem próżniactwa.

Chociaż zastanawiając się nad tem pilniej, trudno jest powiedzieć, co stanowi przyczynę, co stanowi skutek. Wobec tych piekielnych upałów, które dochodzą latem w ciągu kilku miesięcy do 45 i 50 stopni Celsyusza, wszelka energia człowieka ustanie. Opanuje go niewątpliwie bezwładność, zobojętnienie do życia i jego potrzeb. W ciągu kilku godzin skwarnego dnia ani wieśniak, ani mieszkaniec miasta nie jest w stanie oddawać się pracy. Tylko odpoczynek, tylko apatya, bezczynność są możliwe. Z braku zamiłowania pracy, jak niemniej z wielu innych jeszcze źródeł, płynie dziwne ubóstwo tutejszego ludu. Tak tu natura hojnie wyposażyła człowieka, tyle mu darów użyczyła — daktyle rosną na palmach pod gołem niebem, pomarańcza rodzi setki złotych jabłek, orzechy, figi, oliwki rosną jak dzikie gruszki u nas w polu; zimy niemasz, nie potrzeba

myśleć o ciepłym przyodziewku, o ciepłym kominie lub gorącej strawie, winna macica daje piękny soczysty owoc, a jednak mimo te bogactwa natury, mimo takie hojne uposażenie, a niewielkie życia potrzeby, lud andaluzki nie używa dobrego bytu, przeciwnie cierpi nędzę i niedostatek.

W mieście ludnem, jak Sewilla, która ma z górą sto tysięcy mieszkańców, znać zbytek i zamożność ludneści obcej, która z różnych stron Hiszpanii przybywa tu na dłuższy pobyt, z powodu słodyczy powietrza jesiennego, ale miejscowi kupcy, przemysłowcy nie opływają bynajmniej w bogactwach. Stosunki ogólne polityczne, wewnętrzne, administracyjne, przyczyniają się wiele do tej ruiny ekonomicznej, w jakiej się cała prowincya Andaluzya znajduje.

Sewilla ma dogodne nad Gwadalkwiwirem położenie. Rzeka płynie niemal przez miasto, a jest o tyle głęboką, że statki parowe mogą wprost z Oceanu zawijać z Kadyksu i tu ładować towary. Dawniej nawet Sewilla ważną odgrywała rolę w dziejach handlu zamorskiego, transatlantyckiego. Dziś podobno zamulona rzeka, stopniowo coraz bardziej świecąca mieliznami piaskowemi, utrudnia żeglugę. Zresztą kolej żelazna, sięgająca głębiej wewnątrz kraju, pozbawiła dziś już Sewillę pierwszeństwa pod tym względem, jakie miała przed Kordubą i innemi odleglejszemi od morza miastami.

Od pierwszej chwili mego tu przyjazdu doznaję niezwykłej uprzejmości Sewillanów. Kilka listów polecających, któremi mnie obdarzyli przyjacielscy

Hiszpanie z Madrytu do swych znajomych, otworzyło mi podwoje profesorów, literatów, dziennikarzy, artystów. Ujmującą serdecznością zniewala mnie profesor uniwersytetu na katedrze nauk przyroddonych sr. don Antonio Machado, którego dom gościnny ściąga do siebie codzień liczne koło miłych i ujmujących ludzi. Gospodarz cieszy się wielkiem w mieście poważaniem. Zaufanie publiczne podczas trwania rzeczypospolitej powołało go na wysokie dostojeństwo gubernatora cywilnego całej prowincyi. Przez kilkanaście lat pełnił także obowiązki rektora tutejszego uniwersytetu — dziś zaś piastuje godność dziekana wydziału, a poświęca się głównie geologii i paleontologii.

Prace jego naukowe z zakresu specyalności, którą uprawia, zjednały mu imię w dalekich krajach zagranicznych. Żywe stosunki naukowe z uczonymi różnych stron są tego dowodem. Posiada on rozległą wiedzę i obszerne wiadomości. Podróżował długie lata po Ameryce, zwiedził Francyę, przebywał w Paryżu, poznał część Niemiec. Szczerość i otwartość, nacechowane niezwykłą szlachetnością, odznaczają jego charakter.

Już dawno w życiu nie spotkałem tak sympatycznej osoby. Co na ustach, to na sercu — mawia do mnie często mój czcigodny gospodarz, i codzień przekonywam się o prawdzie słów jego: „Taki jest nasz zwyczaj narodowy, andaluzki. Nie znamy wielkoświatowej obłudy.“

Istotnie gościnność ta, płynąca z nieudanej szczerosci, przypomina mi dawny zwyczaj i dawne

serca. Gospodarz mój słyszał o tych naszych zaletach narodowych i przyrównywa siebie i swoje usposobienie do właściwości polskiego charakteru. Wieczorem gromadzi się codzień liczne kółko dla żywej wymiany myśli i wrażeń dnia ubiegłego. Syn, don Antonio, uprawia niwę naukową. Jest on profesorem literatury w liceum i oddaje się badaniom etnologicznym, zbiera pieśni i podania ludu Andaluzyi, jest współredaktorem czasopisma *la Enciclopedia.* Spotykam tu lekarza z Wiednia pana Hausera, który od lat dziesięciu tu praktykuje. Ma już przygotowane dzieło, obszernie traktujące o hygienie Sewilli, opartej na obserwacyach meteorologicznych, statystycznych i t. d. Profesorowie uniwersytetu, artyści i literaci uzupełniają to kółko, które pośród ożywionej rozmowy przy czarnej kawie i cygarze spędza godziny wieczornego czasu.

W Sewilli któżby o boskim nie mówił Murillu któryżby wędrowiec nie dzielił swojego zachwytu z innymi, na widok tylu arcydzieł zgromadzonych w jednem mieście, gdzie wszystko ustawicznie przypomina imię wielkiego artysty, dziecię tejże właśnie Sewilli? Na ulicach spotykasz chłopczyków, których podniósł do ideału Murillo w aniołkach na swych obrazach Niepokalanego Poczęcia, te same okrągłe główki o kędzierzawych włosach, te same figlarne oczy, ta cera śniada, to wysokie czoło. Żebrak w ulicy spotkany, baba modląca się pod kościołem, przypomną ci typy, widziane na obrazach sewilań-

skiego mistrza. W każdym kościele stanie ci na myśli wielki artysta na widok jakiegoś jego arcydzieła.

W oknach wystaw wszędzie rozrzucone kopie. Na ścianach gabinetu, salonu mego czcigodnego gospodarza, wiszą artystycznie wykonane kopie obrazów Murilla. Sama pani domu poświęca wolne chwile rysunkom i malarstwu, i utworami pendzla, kopiującego dzieła Murilla, ozdabia komnaty swego mieszkania.

Więc o Murillu mówi się tu ciągle, ustawicznie o jego szkole, o jego uczniach, bo Murillo jest sławą Sewilli, jej chlubą.

Nie jestem ciekaw walki byków ani walki kogutów, choć jak wszędzie, tak i tu nie brak *oficionados*. Jest także wspaniała arena i wielki gmach murowany. Nie tęsknię do tych instytucyi narodowych, które już w Madrycie poznałem. Nie wzdycham do audytoryów uniwersytetu, bo mnie już wiele objaśniły prywatne z profesorami stosunki. Chciałem poznać najskromniejszy, najniższy przybytek nauki. chciałem zwiedzić szkołę elementarną i o oświacie ludu prostego dokładniejszego nabrać pojęcia.

Marzyłem o tem, żeby się dostać do wiejskiej szkółki, ale z Sewilli daleka by była droga do takiej wioski, którąby podobną posiadała instytucyę. Powszechna między ludnością wiejską bieda sprowadza nizki stan oświaty pierwiastkowej. Szkoły na prowincyi są w zaniedbaniu. Dopiero od niedawne-

go czasu zaczęła się większa staranność rządu i władz miejscowych około krzewienia nauki szkolnej. Brak jest odpowiednich nauczycieli, brak środków materyalnych.

Nauczyciel źle płatny, rodzice zbyt ubodzy, aby dziecko mogli odrywać od chlebodajnego w gospodarstwie zajęcia, albo od posyłania na zarobek dzienny. W mieście niewiele co lepiej, jest tu kilka szkół elementarnych, ale te się w opłakanym stanie znajdują.

Jedna tylko stanowi wyjątek, dokąd nas zaprowadził uczynny nad wszelki wyraz prof. Machado. Przyłączył się do nas i doktór Hauser. Obaj ci panowie, pobudzeni naszą ciekawością, postanowili odwiedzić szkółkę, w której sami poprzednio nigdy nie byli. W południowej porze udaliśmy się na jedną z odleglejszych ulic. Napis frontowy *Escuelai municipal* zwiastował nam, że wchodzimy do szkoły miejskiej, noszącej nazwę *Educacion de parvulos*.

Głównego nauczyciela, kierującego szkołą, nie zastaliśmy w miejscu. Pan Lopez miał właśnie godzinę wypoczynku, podczas której dozorowała dzieci nauczycielka, panna Carolina Gonzales. Nie odmówiono nam na prośby znanego pana Machado, byłego gubernatora, obejrzenia szkoły, owszem oświadczono nadzwyczaj uprzejmie chęć poinformowania pod każdym względem.

Szkoła liczy około dwustu dzieci. Jest to właściwie oddział niższy, w rodzaju ochronki dla dzieci płci obojga. Trzyletnie już nawet przycho-

dzą dzieciaczki i wcześnie rozpoczynają naukę. Wzorowe urządzenie szkółki i postępy, jakie tu w wykładzie poczyniono, sprawiają nadzwyczaj miłe wrażenie.

Sam lokal przedstawia się jak długa sala, niby wielka nawa kościelna, z jednej strony oświecona przez wielkie okna. W głębi sali, przypierając do jej węższej ściany, mieszczą się ławki, tylko do siedzenia. Ławki wznoszą się piętrami, coraz wyżej, stopień za stopniem, niby wielkie schody drewniane. Dzieci tak siedzą, że każdy szereg odsłania się całkowicie—widać je zupełnie, bo tam, gdzie się kończą głowy jednego rzędu, tam mieszczą się nogi wyższego i t. d. Więc najzupełniej widok amfiteatru przedstawiają te tarasowo piętrzące się ławki. Po prawej stronie siedzą chłopczyki, po lewej dziewczęta.

W głębi sali — tam, gdzie się u muru kończą ławki na ścianie, ukazuje się wielki obraz Niepokanie Poczętej, skopiowany wedle Murilla. Obok i dalej na ścianach przeróżne napisy większemi literami, sentencye moralne, mające się zapisywać w pamięci dzieci. Utkwił mi w głowie jeden z tych napisów: Kto przebacza swemu nieprzyjacielowi, czyniąc mu dobrze, jest jak kadzidło, co woń roztacza, kiedy pada na ogień, który je pożera.

Myśl piękna i porównanie estetyczne, obrazowe. Czy przystępne dla młodocianych główek? Chyba takie górne myśli pojmuje tu nawet młodzież od ziemi odrosła, obdarzona tą bujną, południową fantazyą.

Nauczycielka, stsnąwszy przed dziećmi z koszturem w jednym, z dzwonkiem w drugim ręku, dała znak uderzeniem laski w ziemię i wolnem poruszeniem dzwonka. Ani jednego nie usłyszałeś słowa. Rozpoczął się nadzwyczaj harmonijny śpiew chóralny przy dźwiękach dzwonka, którym nauczycielka takt wybijała.

Dzieci występują na salę. Dziewczynki jedną stroną przy ścianie, po drugiej chłopcy. Wyciąga się najprzód pierwsza linia, ustępując miejsca najbliższej ławie, która wężykowato spuszcza się na dół. Trzecia ławka przechodzi na drugą, czwarta na trzecią, piąta na czwartą i t. d. W chwili, gdy pierwsza ławka na środek sali się wysuwa, już cały amfiteatr jest w ruchu i naprzykład ostatnia, dziesiąta, ławka wężykowato spuszcza się na dziewiąty stopień, następnie na ósmy i t. d. Każda ławka ma swego hetmana albo dowódcę, który kroczy naprzód, a za nim gęsiego idą towarzysze — dziesięciu lub też dwunastu. Zanim ostatnia ławka dostanie się na poziom sali, musi odbyć cały szereg ewolucyi, pochód uroczysty po wszystkich stopniach aż do ostatniego.

Wzdłuż sali, po obu jej bokach, niedaleko ścian ciągną się na podłodze dwie dość szerokie, malowane, linie, które wskazują kierunek, w jakim ma się odbyć ten pochód uroczysty. Linia musi być prosta, wyciągnięta. Pasy czerwone, pomalowane na podłodze, ułatwiają dzieciom utrzymanie tego porządku. Sala jest tak długa, że po jednej i drugiej stronie

może stanąć po jednemu stu chłopców i sto dziewcząt.

Wśród wesołego i zgodnego śpiewu, przy dźwiękach dzwonka i uderzaniu w takt laską o podłogę odbywa się w największym porządku ten marsz tryumfalny. Był to widok istotnie budujący. Ani jednej fałszywej nuty, ani jednej chwili zamieszania. Wszystko zgodnie, w takt, jak wyćwiczone wojsko.

A te małe dzieciaczki, ledwie je znać od ziemi, to ledwie trzy, cztery ma lata, a śpiewają tak swobodnie a idą tak dumnie, tak buńczucznie, jakby ich ożywiał duch wielkiej armii. One postępują naprzód tak śmiało, noga wyciągnięta, postawa jak struna, głowa do góry, a melodyjna pieśń płynie tak ochoczo, tak wesoło, jak tylko wylewać się może z piersi niewinnych dziatek.

Ewolucya ta sprawia istotnie teatralny efekt. Służy ona za wprawę gimnastyczną, za ruch i spacer po godzinnem lub dwugodzinnem siedzeniu. Ma jeszcze i ten cel praktyczny, że wyprowadza na środek sali dla wspólnej nauki.

Na dany przez nauczycielkę znak uderzeniem dzwonka, stanęło w jednym długim szeregu to dzielnie wyćwiczone wojsko liliputów w kierunku linii pociągniętej na podłodze z jednej i drugiej strony sali. Dano nowy znak dzwonkiem bez użycia głosu i na ten znak, niby wodza naczelnego, znów nastąpił ruch i zwrot, wykonany spokojnie i zgodnie. Cały szereg męzki i żeński sformował się w kółko. Każda

ławka zawiązała się w swoje własne grono. I znów zapanowała symetrya. Na frontowej linii były odznaczone czerwoną farbą w odległościach równych obszerne koła. Na obwodzie koła stanęło dziewięć dzieciaczków. Pomiędzy nimi w środku samym zajął miejsce dziesiętnik, ich przywódca, hetman.

Zaintonowano pieśń, wykonano kilka ruchów na obwodzie koła, niby korowód wiejski, rozwinięto się znów w szeregi i otóż właśnie przed każdą dziesiątką była umieszczona tablica do pisania, do czytania i t. d. Hetman, czyli dziesiętnik, ujął w rękę laskę, niby buławę, i jako wprawniejszy zaczął ukazywać swym podwładnym litery, wyrazy czy liczby.

Wykonano odwrót na miejsca z tą samą precyzyą, w tym samym wzorowym porządku. Prawdziwie wzruszającym był widok tej zgodności wśród tych ćwiczeń militarnych. Ale to strona tylko zewnętrzna.

Może od czasu monarchii zapanował taki ład powierzchowny, taki pozór wojskowy, pomyślałem w duchu.

Szkoła, jakkolwiek otwartą została dopiero w 1877 roku, początek jednak swój zawdzięcza tylko uchwale, zapadłej w epoce rzeczypospolitej. Utrzymuje ją miasto ze swoich funduszów.

Sądziłem, że w szkółce tak licznej, gdzie się zbiera tyle drobiazgu, nauka początkowa zaczyna

się i kończy na czytaniu, pisaniu i pierwszych początkach arytmetyki. Tymczasem, dzięki staraniu wzorowego nauczyciela i niezmordowanej nauczycielki, szkoła przygotowuje swoich wychowańców znacznie wyżej.

— Czego się jeszcze uczą dzieci? — zapytałem ciekawie, kiedy mi powiedziano, że umieją więcej, niż czytać i pisać.

— Historyi świętej, religii, geografii powszechnej i narodowej — odparła nauczycielka.

I na prośby nasze zaczął się egzamen z tych przedmiotów, który się powiódł znakomicie.

Z geografii odpowiadały dzieci płynnie i jasno. Tłómaczyły, co jest obrót około słońca, cztery pory roku, zmiany księżyca. Słysząc używany często wyraz „równik", sądziłem, że rzeczy wszystkie są wyuczone na pamięć dla popisu. Tymczasem, za pozwoleniem nauczycielki, zacząłem sam zadawać pytania, które mnie przekonały, że szkoła jest istotnie prowadzona wzorowo i daje nadspodziewane rezultaty.

Wywołany do tablicy czy mapy geograficznej pięcioletni chłopczyna, tak biegle wymieniał z kolei wszystkie granice, prowincye Hiszpanii, jej góry, rzeki, przylądki i jej miasta, nawet najdrobniejsze, że uspokoić się nie mogłem na widok takich postępów w młodej generacyi hiszpańskiej.

— Chyba co do wieku tego ucznia — zauważyłem nauczycielce — zachodzi małe nieporo-

zumienie. Czyżby nie miał lat dziewięciu lub dziesięciu?

— W takim razie, — odpowie mi doktór tuż obok mnie stojący — gdyby miał tyle lat, jak pan utrzymujesz, jużby się tu w tym wspólnym nie mieścił oddziale.

I po wyjściu ze szkoły udzielił nam doktór Hauser wiele swych ciekawych spostrzeżeń, poczynionych w tym względzie w ciągu dziesięcioletniej praktyki.

Na południu wszystko rozwija się wcześnie. System nerwowy jest mocno podrażniony. Fantazya także rozkwita prędko. Czteroletnie dziewczynki czytają. Pięcioletni chłopczyna zna już dobrze geografię. Arytmetyka zaś podobno idzie bardzo ciężko.

Byłem niezmiernie zadowolony z mej wizyty szkolnej. Ciekawie badałem postacie tych młodych Hiszpanów. Skrofulicznych dzieci między uczniami bardzo wiele.

— Zkąd to pochodzi, doktorze — pytam mego towarzysza — na łonie tej bogatej natury, lśniącej tylu jaskrawemi barwami kwiatów i całą skalą przecudnych tonów południowego światła i nieba?

— Bieda, nędza w mieście, złe pożywienie, wilgoć w mieszkaniach—oto nieprzyjaciele, którzy tu podkopują zdrowie ludności. Przeczytasz pan książkę, którą już oddałem do druku, rzucisz okiem na tablice śmiertelności, a przekonasz się, że ta piękna

i urocza w twych oczach Sewilla wyda ci się zupełnie inną.

Jak słusznie więc mówi poeta, pomyślałem w duchu: „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.“

Cokolwiekbądź szkoda, że Sewilla więcej takich szkół nie posiada, że ich nie posiada setek, tysięcy cała Hiszpania. Z oświatą szerzącą się, szerzyłaby się zapewnie i moralność i mniejby było opryszków w tym rozkosznym edenie ziemskim.

XV.

Murillo, święty Antoni Padewski i inne arcydzieła w Sewilli. — Giralda i katedra. — Alkazar.

Cała Sewilla jest wielkiem, rozkosznem muzeum, jest ogromną księgą, w której wspaniale zapisały się dzieje sztuki powszechnej.

Każdy kościół jest tu istnem muzeum. Kwitnąca przez całe stulecie szkoła sewilska, w osobach takich mistrzów jak Castillo, Roclas, Pacheco, Zurbaran, Velazquez i Murillo, zostawiła tu wszędzie po sobie niezatarte ślady.

Jest jedna przed innemi kaplica, jest jedno przed innemi płótno, przed którem staję, przed którem się zatrzymuję, przed którem spędzam godziny. Jest to perła nad perłami, gwiazda pierwszorzędna, która zaznacza apogeum sztuki, talentu, geniuszu Murilla. Któż nie zna, choćby ze słyszenia, słynnego obrazu świętego Antoniego Padewskiego? Oddzielna dlań jest przeznaczona kaplica w katedrze

siódma z rzędu, zwana kaplicą *del bautisterio*, czyli chrzcielnicy. Ponieważ kościół stoi otworem dla bogobojnych od wczesnego ranka aż do zmierzchu wieczornego, niemasz więc nigdy żadnej przeszkody dla turysty, dla wędrowca, aby mógł o każdej porze stawać przed obrazem, zachwycać się arcydziełem, zatapiać wzrok w jego nieskończonych, niewysłowionych pięknościach.

Św. Antoni z Padwy klęczy w swej celi zakonnej, uniesiony ekstazą nadziemską. Wyciąga on ręce ku niebu, pałając nieograniczoną miłością ku Dzieciątku-Jezus, a Dziecię Chrystus, w nagrodę tej czystej miłości, tego podniosłego uwielbienia, zstępuje do celi zakonnika wśród grona aniołów i cherubinów.

Święty, na widok tej niepojętej łaski, wpada w stan radości, zadowolenia i rozkoszy, do jakiej tylko zdolna jest podnieść się natura ludzka; jego twarz, oczy, postawa, wszystko wyraża nieopisane uczucie zachwytu, uwielbienia na widok urzeczywistniających się gorących pragnień czystej i wzniosłej duszy zakonnika.

Przedmiot podobny nieraz już był traktowany przez wielkich mistrzów pendzla. Murillo jednak uwydatnił tu wszystkie właściwości swojego talentu, usposobienia, nastroju ducha, swojego wieku i swojego kraju. Na obrazie uwydatniły cię z całą wyrazistością różnic, zachodzących między niemi— dwa światy: niebieski i ziemski, a każdy pojęty i przedstawiony został w sposób tak charakterystyczny, że tylko Murillo zdolny był nadać im

tę wyrazistość. Głęboki nastrój religijny, czysta, nieograniczona wiara wieją z tego arcydzieła. Tylko ci, na dnie dusz których spoczęła spokojna, jasna, żadnem wątpieniem nie zaćmiona wiara, w których piersi wrzało gorące uczucie miłości i uwielbienia dla Zbawcy świata, mogli w chwilach natchnienia artystycznego podobnie czyste, wzniosłe i idealne tworzyć dzieła.

Święty Antoni nie jest według Murilla ascetykiem, jakimi byli pustelnicy, anachoreci, zakonnicy XII-go lub XIII-go wieku, których ideałem jest walka ustawiczna ducha z materyą, z ciałem, z pokusą świata.

Swięty Antoni już przebył tę walkę, już zwycięzką stoczył bitwę z namiętnościami ziemskiemi: on wzbił się w sfery wyższe, w świat czystszy, jaśniejszy, doskonalszy. Już dusza jego znajduje się w tej fazie swego religijnego podniesienia, że nie lęka się upadku, zmazy świeckiej, powrotu do nizkiej rzeczywistości. Żyje ona w sferze czystej rozkoszy niebieskiej, jaką daje skruszona modlitwa, miłość bez granic, uwielbienie nieskończone.

W chwilach gorącej ekstazy wznosi się dusza do wyżyn niebieskich i doznawać zaczyna tej rozkoszy niebiańskiej. Święty Antoni wzbijał się na skrzydłach wiary i czystej miłości w te podobłoczne krainy i oto we śnie ukazuje się w celi zakonnika Chrystus-Dziecię z całą gloryą jasnego nieba. Na tych wysokich jednak szczeblach ekstazy Boskiej, świat rzeczywisty zamienia się w idealny, a duch, odwrotnie, w ciało się obleka i oto, co było widze-

niem, przedstawia się jako istotne, prawdziwe zjawisko.

Dziecię Jezus zstępuje z nieba wśród lekkich obłoków, otoczone gronem herubinów i aniołków — płynie wśród fali powietrznej, wśród jasności niebieskiej. Ukazuje się zdala, jakby miał spłynąć w ramiona Świętego i lśni tym blaskiem nieskończonego, boskiego ideału, jakim go sobie wypieściła czysta, nieskalana, wiarą przejęta wyobraźnia zakonnika.

O ile się wzniósł ku górze świat ziemski, tak podobnież zstępuje ku ziemi świat niebiański, aby się nie spotkały, nie zlały w jedno, ale zbliżyły, o ile godną się okaże natura ludzka, stworzenie Boskie, dotychczas jeszcze pokryte swą ziemską powłoką.

Zdaje nam się, że Święty Antoni jest apoteozą człowieka—wyidealizowaniem natury ludzkiej, zdolnej do wielkich, niewysłowionych wzruszeń wśród ciągłej adoracyi niebiańskiej świętości, zdolnej do podniosłego nastroju, do oderwania się od ziemi i zatopienia w morzu kornej modlitwy, skruchy i uwielbienia.

Zakonnik jest tu już nawpół świętym, wolnym od więzów ziemskich życia rzeczywistego. Do tegowysokiego stanu wznosi się człowiek po stopniach modlitwy kontemplacyi i już za życia kosztuje słodyczy rozkoszy wyższych, nadziemskich, niebiańskich. Nie trzeba zapominać, że Murillo żyje w opoce odrodzenia się kościoła, zwła-

szcza w okresie nowego silniejszego polotu ducha katolicyzmu, zmężniałego pod wpływem ciosów przeciw niemu wymierzonych przez reformacyę. Zwłaszcza w Hiszpanii umysły zapaliły się ogniściej i Murillo właśnie w swych utworach, w swych Niepokalanie Poczętych jest wyrazem ogólnego nastroju. Jest on niejako odbiciem tego kierunku mistycznego w życiu zakonnem, klasztornem i w ogóle kościelnem tego kierunku, którego wyobrazicielką jest święta Teresa z Avili. W świętym Antonim z Padwy przedstawia Murillo wyższy stopień ascezy, ale ascezy już tryumfującej, wynagrodzonej, zaspokojonej urzeczywistnieniem najgorętszych pragnień. Niebo się otwiera, Bóg zstępuje i uszczęśliwia człowieka ukazaniem się swojem.

Idealizm wzbija się tu do wyżyn niedoścignionych, ale wyobraża go Murillo po swojemu, łącząc go wyraźnie z rzeczywistością. Realizm przeziera w niektórych szczegółach, jak w ogóle tak szczęśliwe u Murilla stanowi on połączenie. Widzenie świętego Autoniego nie jest nocnem niejako widzeniem, ale wydaje się jakby było na jawie, w rzeczywistości.

Cela zakonna, z której odsłania się rozległy widok krużganku klasztornego, kamienna posadzka ubogiej celi, prosty, drewniany klęcznik i inne szczegóły, wykonane z podziwienia godną dokładnością, wskazują, jak mistrz dalekim był od symbolizowania swej myśli. Nie opuszcza go tu grunt rzeczywistości, owszem artysta na nim się opiera. Święty za-

konnik przyklęknął, aby w chwili najwyższego wzbicia się duszy pod niebiosa otworzyć ramiona na przyjęcie Dziecięcia Jezus, które promieniejąc szczęściem, niewinnością, zstępuje z niebios ku ziemi. Tak więc dwa światy zbliżają się do siebie, spotykając się w dziedzinie, do której wznosi się człowiek uduchowiony wskutek swego życia świątobliwego.

Myśl artysty, jeśli istotnie była taką, jak ona się nam ukazuje na płotnie, uwydatnioną została w mistrzowski sposób. Wszystko się składa na harmonijną, wielką całość: kompozycya, jedność w niej i zgodność, rysunek, światło, światłocień, koloryt — każda z tych właściwości, każdy z tych przymiotów, stanowi niewyczerpany zdrój rozkoszy estetycznych.

Płótno jest wielkich rozmiarów, tak znacznych, że święty Antoni ukazuje się w naturalnej wielkości. Podziwiać trzeba, że artysta umiał tak znaczną przestrzeń zapełnić, ożywić i spożytkować dla swej głównej myśli. Jakkolwiek zakonnik zwraca na siebie uwagę widza, który wzrokiem swoim ogarnia arenę samego zdarzenia, jednak środkiem, ogniskiem kompozycyi jest Chrystus, ukazujący się w nieprzeliczonem gronie aniołów, cherubinów. Mimo ten cały nieskończony chór świętych niewiniątek, otaczających w gloryi Chrystusa, panuje lekkość w kompozycyi, płynąca z misternego układu pojedyńczych części. Grupy aniołków rozrzucone są to w górze obrazu, to z prawej, to z lewej strony Chrystusa, każda grupa ma swój odmienny charakter,

a jednak wszystkie one razem spływają jakby w jedną jedyną, nie zacierając bynajmniej głównej postaci — Dziecięcia Jezusa.

W rysunku znać również rękę niepospolitego mistrza. Kto potrafił z taką łatwością przedstawić cały orszak niebieski z całą rozmaitością ruchów, postawy, ten dał najwyższą próbę swoich zdolności. Szczególniej postać św. Antoniego jest wzorem piękności pod względem kształtu, szlachetnego układu, podniosłej gracyi, choć dodać trzeba, że daremnie szukalibyśmy tu tej czystości linij, tej sztuki rysunku, tej elegancyi, jaką celują mistrzowie sztuki we Florencyi i w Rzymie. Niemasz tu także tej idealnej nadobności kształtów ludzkich, tej nadobności, która raczej w krainie marzeń, niż w świecie rzeczywistości się spotyka. Rafael podniósł do najwyższego stopnia ideału formy ciała ludzkiego — i w ogóle wiek ów kochał się w tym nadziemskim, nadnaturalnym idealizmie. U Murilla czuć tchnienie realistyczne i wpływ tego kierunku, w jakim poszedł Velazquez, Ribera. Postać zakonnika nie jest więc wypieszczonym w fantazyi malarza obrazem, ale jest raczej rzeczywistością, z której przeziera prostota obok szlachetności.

Jeżeli gdzie podziwiać należy to, co u hiszpańskich malarzy nazywa się *el aire*, a raczej *el ambiente*, czyli powietrze, albo osłonę, otoczenie powietrzne, to przedewszystkiem tu, na obrazie świętego Antoniego. Przezroczystość w kompozycyi jest tak wielką, że mimo nieobliczony chór cherubinów,

ukazuje się po za niemi nieskończona głębia nieba. Chrystus, spływający w gloryi, zakonnik, klęczący w swej celi sprawiają wrażenie jakby wielkich, rozległych światów, po których faluje morze powietrza. Ta przezroczystość sprawia dziwne złudzenie lekkości.

Nad wszystkiemi jednak właściwościami, jakiemi celuje arcydzieło Murilla, wznosi się jedna wielka, niepojęta, która tajemnicę nie odgadnioną tego mistrza stanowi. Jest to światłocień, koloryt. Tylko jeden Murillo potrafi roztaczać takie czary oświetlenia, tylko on jeden posiada tę magię barw srebrnych, mrocznych, które w rozmaitych stopniach, intonacyach, są w stanie wyrazić dwa tak przeciwne światy — jak niebo i ziemię. Nad całym obrazem panuje ton przymglony, delikatno-ciemnawy, który tak harmonijnie zlewa się w skończoną całość z osnową obrazu i wtóruje głównej myśli całej kompozycyi. Podniosła ekstaza w modlitwie, nieokreślona, mistyczna, na pół ziemska, na pół niebieska, mogłaż była uwydatnić się lepiej, niż w tym zmroku celi klasztornej, gdzie tylko jest miejsce dla abnegacyi?

Na tym padole płaczu i nędzy zapanowałaby noc nieprzejrzana, gdyby nie blado-srebrzyste promienie gloryi niebieskiej, wśród której Chrystus spływa z nieba na ziemię ku bogobojnemu zakonnikowi.

Z nieba idzie wraz ze światłem, z jasnością, wszelka pociecha, wszelkie szczęście. Przez zesta-

wienie tych dwóch kontrastów wywołał artysta niewysłowiony efekt.

Dwieście z górą lat wywierał obraz Murilla swój wpływ czarowny. W 1656 roku wykończony na zamówienie kapituły, ukazał się w kaplicy w miejscu, gdzie aż do niedawnych czasów nieporuszony pozostawał. Aliści niecna ręka złoczyńcy targnęła się świętokradzko na dzieło mistrza. Gdybym był siedm właśnie lat temu przyjechał do Sewilli, byłoby mnie minęło szczęście podziwiania Murilla w najszczytniejszym jego utworze. Zapewnie znają czytelnicy wypadek, który się tu zdarzył, o którym wieść lotem błyskawicy przebiegła miasta i kraje nietylko Hiszpanii, ale całego cywilizowanego świata, gdziekolwiek piękno artystyczne ma swych czcicieli.

Pewnej nocy zakradł się do kaplicy, która jakkolwiek okratowana, stała jednak zawsze otworem, jakiś niecny złoczyńca, co w widokach zysku targnął się świętokradzką ręką na płótno arcy-mistrza, i wykrajał nożem całą figurę świętego Antoniego, mniej więcej w kierunku kąta prostego z wierzchołkiem ku górze. Nazajutrz już spostrzeżono kradzież barbarzyńską. Oburzenie w mieście nie znało granic. Przedsięwzięto wszelkie poszukiwania na miejscu i w całej Hiszpanii. Daremnie jednak. W ciągu kilku tygodni żadnego nie odszukano śladu. Czujność policyi, ostrzeżenia, rozesłane wszędzie, rozgłos, jaki powstał, przypuszczać kazały, że ostrożny złoczyńca nie wyprowadzi na jaw przedmiotu swojej kradzieży, a przeto droga relikwia zniszczeje.

Ubolewano nad niepowetowaną stratą. Wprawdzie część obrazu ocalała—ale pokaleczona całość straciła cały efekt, całą swą imponującą siłę, czar jednolitej kompozycyi. Zastąpić zaś Murilla, dopełnić czego brakowało, któżby z artystów się podjął, któżby zresztą podołał zadaniu?

Dlaczego zwycięzca nie wykrajał całego płótna, dlaczego targnął się tylko na jedną część? Takiemi pytaniami zaprzątały się umysły wszystkich w Sewilli w chwilach smutnej rozpaczy nad stratą arcydzieła. Objaśniano sobie bardzo trafnie, że tylko gruba ręka nieokrzesanego prostaka mogła się dopuścić takiej nierozumnej kradzieży; pocieszano się więc tem, że podobny prostak nie zdoła ujść przed czujnością policyi i, prędzej czy później, wpadnie w jej sidła. Oczywiście złoczyńca, który zapewnie słyszał ustawicznie o świętym Antonim Padewskim, tak był ograniczony, iż mniemał, że cała wartość obrazu zawiera się w osobie jednego tylko zakonnika. Trudno zaś przypuszczać, iżby chciał podobny obraz sprzedać jako całość odrębną, której wykrajany kawałek bynajmniej nie stanowił.

Aliści przychodzi radosna wiadomość ztamtąd, zkądby się jej nikt nie spodziewał — z Ameryki. Konsul z Nowego-Yorku daje znać w trzecim miesiącu kradzieży, że ślad już odszukany został. Do handlującego przedmiotami sztuki w mieście, niemca Schausa, zgłosił się jakiś nieznajomy człowiek, który za niewielką sumę chciał zbyć płótno z wyobrażeniem świętego Antoniego. Na szczęście ów niemiec wiedział o tem, co niedawno zaszło w Sewilli,

znał także z reprodukcyi obraz Murilla. Dał więc natychmiast znać konsulowi hiszpańskiemu — sprzedający atoli zdołał umknąć.

W parę tygodni potem już obraz wrócił do Sewilli, przyjęty processyonalnie z wielką radością wśród tysiącznego tłumu, który wyszedł na spotkanie nieocenionej relikwii. Przynajmniej z rąk niecnego złoczyńcy wydarto część arcydzieła—tak się pocieszano w smutku. Już teraz nie ubolewano nad stratą wycinku, ale nad stratą efektownej całości. Zwołano wielką radę artystów. Znalazły się słowa pociechy. Przybyli najznakomitsi członkowie akademii sztuk pięknych z Madrytu, Rivera i Gato de Lema. Wraz z niemi przybył także Salvator Martinez Cubells, artysta, który zjednał sobie wielką sławę poprzednio jako biegły i umiejętny restaurator. Postanowiono powierzyć tej wprawnej ręce zeszycie obrazu i odrestaurowanie go całkowite. W pół roku już dzieło było skończone i znów zawieszono obraz. Tłumy codzień przybywały do katedry, aby ocenić pracę restauratora, przekonać się, jak i o ile obraz ucierpiał wśród tych długich podróży i jak go znów przywrócił pan Cubells. Że artysta wywiązał się znakomicie ze swego zadania, niech świadczy ta okoliczność, iż wdzięczna kapituła ofiarowała mu medal; niech świadczy i ta inna, że tylko wprawne oko znawcy spostrzeże ślady delikatnego szwu, po owej linii, w jakiej złoczyńca pociągnął nożem, wycinając z obrazu postać św. Antoniego. Wyznają nam to miejscowi artyści, którzy znali dzieło przed restauracyą i tylko najsurowsi z nich sędziowie twier-

dzili, że koloryt poniekąd ucierpiał, nabrawszy nieco barwy jaśniejszej, żywszej, ale arcyutwór pozostał podziwienia godnem dziełem.

Ponieważ Sewilla była miejscem urodzenia Murilla i miastem, gdzie artysta najdłużej przebywał, dochowało się więc niemało tu pamiątek. Dla samej katedry pracował Murillo lata całe, w kaplicach, w zakrystyi, w sali kapitulnej znajdują się utwory jego pendzla. W jednej z kaplic zniewala oko widza obraz, znany pod nazwą Anioła Stróża, pełen prostoty podniosłej, w czarownem oświetleniu. W innych kościołach podobnież nie brak płócien, które noszą imię Murilla. Przed kilkudziesięciu laty po zwinięciu klasztorów utworzono wielkie muzeum w mieście, złożone po większej części z dzieł mistrzów szkoły sewilskiej.

Muzeum zajmuje dziś jedną wielką salę poklasztornego gmachu. Przed muzeum na placu wzosi się spiżowy, skromny pomnik Murilla. W zbiorze tym, który stanowi prawdziwy przybytek sztuki, mieści się znaczna bardzo liczba cennych utworów artystów sewilskich. Murillo reprezentowany jest w 44 płótnach. Niewszystkie są jednakiej wartości, ale w każdym razie takie bogactwo dzieł pendzla pierwszorzędnego talentu podnosi wysoko znaczenie muzeum. Dla znawców sztuki, dla tych, co ją badać pragną, poznawać i oceniać talent Murilla, niewyczerpana studnia.

Gdyby zebrać ze wszystkich kościołów w Sewilli, ze zbiorów prywatnych w jedno miejsce dzieła Murilla, jakieżby wspaniałe utworzyło się muzeum.

Już nie poprowadzimy dalej czytelnika wśród tej pielgrzymki do miejsc, gdzie w ołtarzach jaśnieje mistrz sewilski. Ale korzystajmy ze sposobności, żeby się w kaplicy de la Caredad poznać z innym malarzem, którego jeden obraz dziwnie charakterystyczny, oryginalny, nie przestaje tu dotąd wzbudzać podziwu w każdym, ktokolwiek przybędzie dla oglądania Murilla. Mówię tu o Juanie Valdes Leal.

Był to artysta tego samego wieku, co Murillo. Również płodny, jak sam mistrz sewilski, ale może za płodny, za pospieszny, jednak niemniej celował jako kolorysta. W muzeum jest kilkanaście jego płócien, tu zaś w kaplicy w bocznym ołtarzu jeden obraz, uderzający widza swą oryginalnością. Przed wzrokiem naszym ukazuje się podziemie jakiejś katedry, gdzie spoczywają szeregiem zwłoki zmarłych. W pierwszym rzędzie widać biskupa w infule z pastorałem, w szatach pontyfikalnych, tuż obok, ale w odwrotnym kierunku, spoczywa w trumnie jakiś rycerz z godłem swego zawodu — wielką dzidą w żelazo okutą, a dalej z trzeciej trumny wygląda, już wszelkich ozdób pozbawiona, czaszka. W głębi obrazu ukazuje się z za ciemnych obłoków ręka, która dzierży wagę sprawiedliwego oceniania życia z napisem u spodu każdej ważki: *ni mas, ni menos,* ani więcej, ani mniej.

Już sama treść daje pojęcie o strasznym efekcie, a dodać tu trzeba, że artysta traktował swój przedmiot tak realistycznie, że przy pierwszym rzucie oka już nas zimno grobowe do szpiku kości przej-

muje. Ten właśnie realizm stanowi tu najwybitniejszą cechę utworu. Efekt jest wielki. Sam Murillo rzekł razu pewnego, zbliżywszy się do obrazu: „Trzeba tu nos zawsze zatykać, bo zapach zgnilizny obraża powonienie." Takie jest istotnie złudzenie. Nadzwyczaj trafnie jest wyzyskana purpura biskupia dla ożywienia kolorytu i oświetlenia obrazu, tonącego całkowicie w zmroku strasznego podziemia.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek z większą siłą który artysta potrafił uwydatnić znikomość rzeczy ludzkich.

Należy się tu także wzmianka o Zurbaranie, o którym tak niesłusznie zapominają w rocznikach sztuki. Może dla tego, że historycy zbyt mało znają talent niepospolitego artysty, który ze wszech miar zasługuje na wydatne bardzo miejsce w szeregu mistrzów szkoły hiszpańskiej. Zurbaran jest niemal rówieśnikiem Murilla, umarł od niego o lat dwadzieścia wcześniej. Tu dopiero w Sewilli podziwiam talent Zurbarana w całej pełni. Europa zna go za mało. Hiszpania również, Madryckie muzeum posiada jeden czy dwa tylko obrazy. Tu jest ich kilkadziesiąt. Sama galerya księcia Montpensier liczy około dziesięciu płócien Zurbarana.

Jako kompozycya celuje przedewszystkiem wielki obraz, przedstawiający apoteozę świętego Tomasza z Akwinu, pełen życia, ożywiony licznem gronem wydatnych postaci. W górnej części wśród obłoków ukazuje się Chrystus z Najświętszą Matką, święty Paweł i święty Dominik — po bokach świę-

tego Tomasza, także wśród obłoków, widać czterech doktorów kościoła rzymskiego, u dołu zaś klęczy cesarz Karol V-ty, arcybiskup i inne osoby. Siła tego obrazu, jak i innych, po większej części polega na mistrzowskiem oświetleniu. Światłocień posiada tu niezwykłą czarowność, przypominając nam żywo potęgę pendzla Murilla. Szczególniej uwydatnia się ta właściwość w obrazach; przedstawiających Chrystusa Ukrzyżowanego. Ciemne tło z intonacyą silną, na niem zaś odbija się martwe ciało o blado-żółtawej barwie z całą skalą efektownego stopniowania tej jednej prostej barwy. W obrazach zaś, które snadź na zamówienie wykonywał bez wyższego natchnienia, czuć zimno, pewną sztywność, jak naprzykład w obrazie Matki Boskiej de las Cuevas, której płaszcz, roztoczony w prawo i w lewo, obejmuje szereg mnichów, jednym rzędem ustawionych. Artysta zapewnie był posłusznym poleceniu, jakie mu w tym względzie dało zgromadzenie zakonne. Surowe twarze mnichów, ich białe fałdziste suknie, realizm wogóle—dość zręcznie ratuje utwór, z którego wieje chłód, a przegląda jakieś skrępowanie, jakieś wymuszenie.

Dalej zasługuje tu na uwagę *Roelas,* jako mistrz Zurbarana. Wielkich rozmiarów płótno jego wyobrażające męczeństwo świętego Andrzeja, wykazuje dość wyraźnie wpływ włoski, ale celuje zarazem poprawnością rysunku, bogactwem i rozmaitością ugrupowania, wyrazistością figur i świetnym kolorytem. Są tu płótna i mniej znanych, jak Herrery, Pacheco, Castilla, Cano i innych.

Więcej, aniżeli dzieła sztuki malarskiej są znane i zbadane pomniki architektury w Sewilli. One nie kryją się jak płótna artystów w zamknięciu kaplic, klasztorów lub zbiorów prywatnych, same rzucają się w oczy, zapisują w pamięci niezatartym śladem. Kto może pominąć w Sewilli katedrę z jej niebotyczną wieżą, kiedy codzień po kilkakroć około niej przechodzi podczas wycieczek po mieście w różne strony? Imponująco wygląda ta znakomita Giralda.

Na miejscu, gdzie dziś stoi rozległa katedra, wznosił się meczet w IX i X wieku, później jeszcze przebudowany a następnie zupełnie zniszczony. Pozostała dziś tylko ta wspaniała wieża, jako pamiątka po Maurach. Podobno stawiał ją około 1000 roku słynny wynalazca algebry Guever czy Hever. Służyła ona jako minaret, z wysokości którego wzywano w Sewilli wiernych na modlitwę. Jest to czworograniasta wieża olbrzymiej wysokości, zbudowana z cegły, wznosząca się na kilkanaście piętr, zdobna w piękne okna, w przecudne arabeski. Na szczycie jej wznosi się na wielkiej kuli spiżowa postać, wyobrażająca Wiarę z labarum (chorągwią zwycięztwa chrześcijan) w ręku. Za każdym silniejszym wiatru powiewem obraca się ta figura, stąd od słowa hiszpańskiego *girare*, wieża nosi nazwę Giraldy. Piękne ozdoby, w kształcie stiuków arabskich, lekkie okna maurytańskie, ukazujące się na każdem piętrze, ubrane w balkoniki i wysmukła postawa nadają dużo nadobnego wdzięku olbrzymiej masie. Przez szczególniejszą zręczność umiał nawet architekt taką wy-

smukłą postać wykrzesać z tej olbrzymiej masy murów; podobno wieża zwęża się nieznacznie w miarę wznoszenia się ku górze, nie tracąc bynajmniej swoich kształtów symetrycznych.

Wieża przypiera szczelnie do wschodniego boku kościoła, stanowiąc z nim jedną wielką całość. Sewilska katedra należy w Hizspanii do najpiękniejszych pomników budownictwa gotyckiego. Powstała ona późno, już w końcu XV-go wieku na miejscu dawnego meczetu. Strona zewnętrzna nie przedstawia, prócz wzmiankowanej wieży, nic godniejszego bliższej uwagi. Chyba to przytoczyć wypada, że przy wejściu od strony północnej spotyka przechodzień wodotrysk starożytnego kształtu, przy którym Arabowie przed wejściem do meczetu czynili lawacye. Jeszcze inna pozostała po Maurach pamiątka — jest to wejście do katedry, nad którem dochował się w całej czystości śmiały łuk arabski.

Zdumienie ogarnia wędrowca, kiedy przestąpi próg świątyni. Wszystko tu jest olbrzymie, kolosalne. Katedra z pięciu naw się składa. Stropy ich zdają się niebios sięgać. Pod względem wyniosłości sklepienia, katedra sewilska prześcigła wszystkie gotyki. Jeden z francuzkich podróżników powiada, że kościół Panny Maryi w Paryżu mógłby się swobodnie przechadzać tu, w tej olbrzymiej katedrze Nie wiem, czy te śmiałe, wyniosłe słupy, wspierające sklepienia, można do prastarych, niebotycznych dębów przyrównać. Najwspanialsze drzewa wydałyby się tu drobną, wysmukłą trzciną.

W pośrodku głównej nawy rozsiadł się, zwyczajem hiszpańskim, rozległy chór kapitulny, który sam przez się jak olbrzymi kościół wygląda. Szeregi nadto kolumn, złożonych z 36-ciu wiązek oddzielnych słupów, 37 kaplic w około kościoła, tamują swobodniejszy przypływ światła. W katedrze więc roztacza się zmrok czarowny, potęgujący wrażenie, jakie na umyśle sprawiają harmonijne kształty, wdzięczne linie i lekkie łuki kolosalnego gmachu.

Zwiedzić katedrę, poznać jej szczegóły, ocenić jej bogactwa, opisać jej skarby—któżby temu podołał w ciasnych ramach?

Katedra stanowi istotnie wielką galeryę. Nie mówię już o kilku odmiennych porządkach architektonicznych, które spotykamy w obrębie gotyckiej świątyni, ale o skarbach malarstwa, rzeźby, snycerstwa. Więc najprzód owa perła najcudniejsza — święty Antoni Padewski — a oprócz tego cały szereg płócien tegoż samego mistrza, a każdy ma swoją wartość, ma swoje właściwości, które poznać i ocenić wypada, aby powziąć dokładne o Murillu pojęcie. Na dziesiątki liczą tu swoje prace inni mistrze pendzla szkoły sewilskiej: Campana, Cano, Valdes, Zurbaran, Vargas; również rzeźbiarze: jak Montanez, Roldan, Delgado. Każdy przedmiot zachęca do bliższego rozpatrzenia się w nim, czy to staniemy przed wielkim ołtarzem, który, rzeźbiony z drzewa cedrowego, jest nie ocenionym pomnikiem misternej ręki, czy choćby przed kratą żelazną, która chór oddziela od bocznej nawy, albo też

przed wielkim w chórze pulpitem, przed organami. Wszędzie znajdują się pamiątki, ślady bujnego rozkwitu sztuki.

Ktoby chciał kilka miesięcy przemieszkać w Sewilli, pewnieby umiał cały czas pożytecznie zapełnić. Nie zbrakłoby materyału. Nauka, sztuka, natura i ujmujące towarzystwo, mogłyby codzień kilkanaście zapełnić godzin.

Tuż obok katedry poważna Giełda nas do siebie zaprasza. Nie wabią nas tam wprawdzie kupieckie sprawy, bo *la Casa Lonja* dziś już giełdą być przestała; nie ciągnie nas ku sobie ciężki gmach, choć wspaniały jako budynek, ale niepohamowaną żądzę w nas budzi wielkie archiwum, które się obecnie tu mieści. O gmachu samym nadmienimy, że go stawiał, czy raczej plan narysował budowniczy Herrera, który więzienny Eskurial stworzył na papierze. I tu także architekt Karola V-go i Filipa II-go ujawnił swoje zamiłowanie do klasycyzmu, do kolosalnych kształtów, kwadratowych słupów i pełnych łuków. Pałac giełdy jest zbudowany w stylu toskańskim. Jest powaga pałacu, ale brak wdzięku. Sewilla była w XVI-ym wieku bogatem, handlowem miastem i do przystani sewilskiej zawijały z Ameryki okręty, wioząc złoto i bogactwa z nowego świata. Giełda była wtedy obszernym, wspaniałym pałacem, który odpowiadał znaczeniu ówczesnego stanu kupieckiego. Później Sewilla straciła swe znaczenie, giełda zbiedniała i sam gmach w końcu przeszłego stulecia otrzymał inne przeznaczenie. Na

dole mieszczą się sale trybunału, na pierwszem piętrze archiwum.

Patio czworoboczne jest portykiem o 24-ch kolumnach. Posadzka w kostki z marmuru układane. Po schodach marmurowych o ceglanej barwie zdążamy na pierwsze piętro, gdzie znów dokoła biegnie portyk w stylu jońskim. Czarny i biały marmur posadzki wraz z marmurem różowawym kolumn, sprawiają potężne i wspaniałe wrażenie.

Archiwum zawiera w sobie najcenniejsze materyały do dziejów Ameryki od czasu jej odkrycia aż do końca XVIII-go wieku, oraz niektórych wysp, aż po dzień dzisiejszy. Nosi ono nazwę *el archivo de Indias*. W 50-ciu tysięcach kartonów mieszczą się przeróżne dokumenty historyczne. Urządzenie wewnętrzne archiwum jest wspaniałe. Marmurowa posadzka, cedrowe szafy i półki i wspaniałe rzeźbione sufity przypominają raczej pałac niżeli miejsce, z którem zwykle się wiąże w umysłach ogółu pojęcie nieładu, stosów zapylonych papierów. Obfitość światła, przestronność, powietrze, sprawiają nadzwyczaj miłe wrażenie.

Niepospolita uprzejmość dyrektora archiwum, tudzież jego pomocnika, ułatwiła nam w prędkim czasie ogarnienie niezmierzonego ogromu materyału. Z prawdziwie koleżeńskiem uczuciem przyjmowano towarzysza, któremu nieobcą jest rzeczą zagłębiać się w stosy zbutwiałych papierów. Otworzono też wszystko, co dla zwykłego śmiertelnika zamkniętem pozostaje. Widziałem niezmierne bogactwo rzeczy, które się odnoszą do dziejów Meksyku, Gwatemali,

Limy, Chili, Peru i w ogóle Ameryki hiszpańskiej. Szczegółowe raporta gubernatorów wyświecają nieraz co do najdrobniejszych szczegółów dzieje kościelne i świeckie danego kraju lub danej epoki. Mapy geograficzne, plany miast, wykazy statystyczne składają się na ten obraz materyałów, czekających od tak dawna cierpliwie ręki umiejętnego badacza.

Jeszcze więcej ciekawości wzbudzają własnoręczne listy takich Kortezów, Pizuarów, Magellanów. Nie wspominam o Krzysztofie Kolumbie, którego imię i czyny spotyka się tu na każdej karcie z końca XV-go i z początku XVI-go wieku. W obec tych bogactw, które tak się w oczy rzucają, powtarzałem po kilkakroć moim gospodarzom, co mi chętnie jeden plik za drugim rozwiązywali: „I nie wódź nas na pokuszenie.“

— Jakto? — pyta nas ze zdumieniem dyrektor— sądzisz pan, że możnaby spożytkować te materyały?

— Nie wątpię na chwilę — odpowiadam — wziąłbym się chętnie sam do tej pracy, gdyby...

Gdyby nie Alkazar.

Oto obok *Lonjy* (Lonchy) piękny Alkazar i przecudne jego przyległe ogrody.

Tej pokusie nikt się nie oprze. Alkazaru imię rzuciło na mnie zrazu taki czar, żem chciał oglądać te cuda przed katedrą, Murillem. Ale zapał mój ostygł prędko, kiedym powziął wiadomość, że z dawnego, prawdziwego, maurytańskiego alkazaru pozo-

stało bardzo mało. Chyba część tych zewnętrznych murów zębionych, o blankach wyciętych w linie łamiące się pod kątem prostym, przypomni sobie wiek XIII-ty i panowanie Maurów, bo zresztą tylko wspomnienie zostało — to już pomnik królów chrześcijańskich — szczególniej don Pedra z XIV-go wieku i nowszych czasów, zwłaszcza XVI-go wieku, a nawet wieku nam współczesnego.

Z tem wszystkiem, choć to nie kalifów dzieło, Alkazar godzien jest widzenia.

Tu po raz pierwszy miałem sposobność poznania architektury maurytańskiej w całej jej okazałości. Wprawdzie nie jest to jeszcze Alhambra. Tam w Granadzie oryginał, tu kopia, naśladownictwo późniejsze, tem niemniej efekt czarowny. W fantastycznych powieściach Tysiąca i Jednej Nocy, mogliby ztąd brać wzór do opisywania zamków, królewien, sułtanek.

Komnata za komnatą — a wszędzie elegancya, przepych. Niektóre z nich są niby ogrody w pałacu. Oto *de las doncelas* — w kształcie krużganku. Dokoła biegną marmurowe kolumny, lekkie, wysmukłe jak lilie. Na nich wspierają się wyniosłe łuki arabskie, a każdy łuk zagina się lub zębi w 13 mniejszych łuczków. Z wierzchu galerya otacza krużganek. Ściany wewnętrzne i zewnętrzne krużganku pokryte są arabeskami ze stiuku. Oko gubi się w tym lesie dekoracyi, w tym labiryncie linij, zwojów, kwiatów. A wszystko takie świeże, a wszystko takie misterne. Niżej nieco najcudniejsze fajansowe

płyty, lśniące złotem, lazurem i innemi barwami, potęgują grę kolorów. Od marmurowej posadzki wieje chłód orzeźwiający. Zresztą wszystko jest tak urządzone, aby gorące słońce Andaluzyi nigdy nie dokuczyło rozpieszczonym władcom.

Powietrza wiele, sklepienia wysokie, dokoła marmury, w pośrodku fontanna, ztąd tryskały strumienie wonnej wody, której zapach zlewał się z upajającą wonią kwiatów, ustawionych tak gęsto, jak rosną krzewy i drzewa w dziewiczych lasach Ameryki.

Jak w kalejdoskopie zmieniają się czarowne widoki, to salony, to patio, to alkowy. Tu wielka sala *de embajadores*, gdzie posłów przyjmowano, tam dalej salon *de los reyes moros*, to znów *el trono del tributo*, tam dalej *patio de las muñecas*, a wszędzie lekkość młodzieńcza, wdzięk wiosenny, gracya kobieca, przepych królewski, poezya wschodnia.

Wieńcem tego wszystkiego są przyległe ogrody, gdzie palmy i cyprysy pamiętają królów maurytańskich i miłosne ich szepty z czarnookiemi sułtankami przy blado-srebrnym blasku księżyca. Nie wiem, czy raj mógł być piękniejszym, kiedy patrzę, jak pod tym stropem lazurowego nieba ściele się do stóp moich wzorzysty kobierzec z krzewów południowych, ze złotych drzew pomarańczowych, z mirtów rosnących gęsto, jak w dzikim lesie. Kryształowa woda rozlana w rozległych rezerwoarach, lśni połyskiem stalowego zwierciadła i roznosi z wonią kwia-

tów świeżość poranku majowego. Nad całym ogrodem panuje spokój sielskiego ustronia. Tak rzadko tu zajrzy wędrowiec... Jakież rozkoszne uczucie lubości kołysze ci duszę! Wołasz z poetą wśród niemego zachwytu:

„Rzeczywistość się pomału
W świat zamienia ideału,
W świat ze srebra i kryształu —
Daj mi teraz marzyć, daj.“

XVI.

Na ruinach Italiki.

Pragnąłem w Sewilli korzystać z blizkości Italiki i odwiedzić jej ruiny. Życzenie moje spełniło się niebawem. Gościnny mój gospodarz, profesor Machado, i syn jego, don Antonio, gdy powzięli wiadomość, że chcę się puścić do Italiki, odległej o milę drogi, a puścić sam, jak wędrowiec, choćby pieszo z koszturem pielgrzymim w ręku, powodowani uprzedzającą grzecznością, postanowili sami być mi przewodnikami i zawieść mnie do Italiki w liczniejszem gronie swych znajomych.

W niedzielę o godzinie 10-ej z rana ruszyliśmy z miasta w ogromnej przezroczystej karecie omnibusowej, ciągnionej przez ogniste rumaki andaluzkie. Moi towarzysze podróżni ukryć zdziwienia nie mogli na widok pledu podróżnego, który zabrałem z sobą na całodzienną wycieczkę w obawie, aby nie dokuczyło zimno wieczoru listopadowego. Poranek był ciepły, nie zapowiadał jednak bynajmniej tego

palącego południa, które nas na ruinach Italiki przywitało.

Przebywamy most na Gwadalkwiwirze, aby się dostać na lewą stronę rzeki. Przed nami ukazuje się ożywiona przystań, gdzie tłoczą się statki różnego rodzaju i maszty różnej wielkości, jak drzewa w gęstym lesie. Po nad niemi poważnie i dumnie panuje olbrzymia wieża złota, *torre del oro*, stojąca nad samym brzegiem Gwadalkwiwiru, w którego nurtach przeglądają się jej ośmiościenne, zębione na szczycie pierwszego piętra, mury. Z pierwszego, bardzo wysokiego, piętra wieży strzela szczuplejsza, wyniosła, także tegoż kształtu wieża, która dźwiga na sobie inną, jeszcze wysmuklejszą, zakończoną w kopułę, lśniącą żywemi na fajansie barwami. Oryginalna jej struktura, niby budowa wieży warownej, styl ciężki, bizantyjski, wyraźnie zaprzeczają podaniu, które przypisuje Rzymianom jej założenie. Daleko prawdopodobniejszą jest wiadomość, jakoby Arabowie zbudowali tę murowaną obronę, która stanowiła narożną wieżę w długim i wielkim zamku warownym, co się niegdyś rozciągał od samego Alkazaru aż do brzegów Gwadalkwiwiru. Że zaś wieża nosi nazwę złotej, więc objaśniano sobie, że w niej się mieściły wielkie skarby króla kastylijskiego don Pedra, później w niej miano podobno składać złoto i kosztowności, przywożone w epoce wielkich odkryć z Ameryki. Nad Tagiem około Lizbony sterczy nad wodą podobnież wielka warowna wieża belemska, tylko nierównie piękniejsza, bogatsza we wspaniałe ozdoby.

Tuż za mostem ciągnie się ludne przedmieście Triana, siedlisko klasy roboczej, ale zarazem i mniej pracowitych Cyganów. Hiszpanię południową obdarzył los hojnie tem wędrowno-złodziejskiem plemieniem. Nazywają ich tu Gitanos. Nie wiele co się różnią oni od cyganów węgierskich lub polskich. Ta sama twarz śniada, krucze, kędzierzawe włosy, niekiedy profil grecki, ten sam brak czystości, to samo, co i gdzieindziej, usposobienie do złodziejstwa.

— A jakiego są wyznania? — pytam jednego z mych towarzyszów podróży.

— Cygańskiej wiary — odpowie mi zapytany.

— Jak to rozumieć?

— Zmuszani przez policyą, chrzczą dzieci w kościołach katolickich, ale zresztą nie znają innych sakramentów. Do kościołów nie chodzą, żenią się między sobą, ślubów nie odbywają w kościele, żyją po obozowemu.

— A mówią?

— Po hiszpańsku, bo oczywiście ciągłe mają z nami stosunki. Między sobą używają jednak mowy własnej, w której odszukać można niemało śladów obcych języków.

Przebyliśmy przedmieście, wydostaliśmy się na szeroką, jednostajną drogę. Równina wielka odsłoniła się przed nami, z lewej tylko strony ujęta w górską ścianę. Monotonny widok przyległej okolicy nie przerywał nam rozmowy, którąśmy z powodu cyganów zawiązali. Ich pieśni, tańce i stroje chara-

kterystyczne dostarczały wątku do żywej między nami wymiany myśli. Wśród gwarnej gawędy aniśmy się spostrzegli, jak się ukazały, po godzinnej drodze, szczyty kościoła w Santi Ponce. Około chat wieśniaczych ukazały się bujne ogrody, pomarańczowe drzewa lśniły połyskującą zielonością i złoto-rumianym swym owocem, a kilka palm sterczało dumnie, jak ruiny wielkiego pałacu, w otoczeniu wiejskich chatek.

Z Santi-Ponce—pokrzepiwszy swe ciało na dalszą drogę wybornem winem *mansanilla*, którem nas w karczmie ugoszczono — puściliśmy się pieszo ścieżką wiejską ku ruinom Italiki. Tuż za wsią ukazały się rozległe gaje oliwne, które dziś rosną tam, gdzie niegdyś takie rojne panowało życie. *Nec locus, ubi Troja fuit.* Gdzie się podziały ulice, bramy, portyki, pytałem ciekawie profesora Machado, który z miejscowością od lat wielu obeznany, najłatwiej mógł moją ciekawość zaspokoić.

— Dlaczego zniknęła dawna Italika, dlaczego na gruzach jej nie wzniesiono Sewilli, odległej o półtorej mili drogi?

— Najprawdopodobniej — odpowie mi mój uczony cicerone — dawne miasto rzymskie, tuż nad rzeką położone, ucierpiało od wylewu Gwadalkwiwiru. Badania moje przekonały mnie, że łożysko się zmieniało, że wylewy gwałtowne sięgały aż do miasta i zapewnie zamieniały ulice na dno rozległego jeziora. Ta okoliczność niewątpliwie zmusiła mieszkańców do opuszczania powoli miasta, które

w II-im i III-im wieku ery chrześcijańskiej może znacznie więcej niż sto tysięcy ludności liczyło. Italika opustoszała powoli, a czas dokonał reszty zniszczenia.

A miasto było swego czasu świetne, bogate. Tu przyszli na świat dwaj najznakomitsi imperatorowie rzymscy, Trajan i Adryan. Śpiewa o pierwszym poeta Claudianus:

Tibi saecula debent
Trajanum...

Tu także ujrzał światło dzienne poeta Silius Italicus.

Naszą rozmowę antykwarsko-historyczną, przerywał żar słoneczny, który z nieba spływał na głowy. W Sewilli nawet w listopadzie mogą dokuczyć upały. Na szczęście jednak właśnie przed nami ukazała się w jakiejś górskiej, niezbyt wyniosłej ścianie wielka, sklepiona, ciemnawa jaskinia, dokąd schroniliśmy się spiesznie, szukając cienia i ochłody.

— Otóż nareszcie cel naszej podróży — dały się nagle słyszeć zewsząd radosne głosy.

— Jakto? — zapytałem ciekawie.

Zagadka się rozwiązała niebawem. Byliśmy właśnie na progu długiego podziemnego korytarza, który tam gdzieś daleko miał swe ujście. Sklepienia z ciosowego kamienia zasłaniały wszelkie światło słoneczne, tylko gdzieniegdzie z boków przezierał

dzień boży przez ogromne otwory ruin, zwalonych ścian, przedziurawionych murów. Byliśmy w podziemiach jednego z największych cyrków rzymskich, jakie się po dziś dzień zachowały. Wybiegłem czemprędzej, gdzie się korytarz kończył i oto przede mną rozwinął się obraz rozległej areny, opasanej dokoła wyniosłą tarasową ścianą, która stopniowo pięła się ku górze.

Widok cyrku wspaniały, imponujący. Wprawdzie kamienie mchem porosły, gdzieindziej zazieleniły się dawne siedzenia bujną trawą, wśród której złocą się, jak u nas na wiosnę, żółte kwiaty, niby jaskry lub wole oka; wprawdzie znać wszędzie ślady wichru spustoszenia, a jednak całość, mimo odległe wieki, zachowała się tak doskonale i występuje tak wyraźnie, że nie potrzeba mieć wyobraźni wschodniej, żeby z całą łatwością odtworzyć sobie chwilę wielkich igrzysk, któremi wzrok swój nasycali mieszkańcy Italiki.

Arena ma kształt eliptyczny i liczy w większej średnicy około 300 kroków długości. Opasuje ją w zgiętym łuku z jednej i drugiej strony ściana kamienna, po za którą, niby taras, wznoszą się, coraz głębiej i dalej ustępując, siedzenia dla widzów. Na czele areny, u końca średnicy, widać wzniesienie czyli podium, które stanowiło miejsce zachowane dla magistratur. W dwóch miejscach zaś ukazują się wielkie sklepione bramy, prowadzące do podziemnych korytarzy, które się ciągnęły pod całym niemal cyrkiem i służyły za przejście do miejsc zewnętrznych. Nazywano te bramy za czasów rzym-

skich *vomitoria*. Na górze zaś, gdzie dla widzów były siedzenia, znać jeszcze ślady kamiennych schodów i drzwi, przez które do cyrku płynęła ludność. Że 10 do 15 tysięcy widzów mogło się tu pomieścić, nie zdaje się być przesadzoną liczbą, ile, że ogrom cyrku jest istotnie imponujący.

W pośrodku areny, na jej platformie, uderza uwagę dość obszerne miejsce, odznaczone kamieniami ciosowemi w kształcie prostokąta, tak, iż kamienie stanowią, jakby tamę, brzeg wydatny, sterczący. Cel i przeznaczenie tej zagrody nie jest zupełnie jasny. Bo jeśli arena służyła za pole walki gladyatorów, to potrzeba było, o ile się zdaje, równej powierzchni, wolnej od wszelkich przeszkód. Otóż przypuszczenie powstało, azali nie zamieniano niekiedy areny na jezioro i nie dawano widowisk, które znane były pod nazwą *naumachij*, t. j. walk morskich na wodzie. Kilka podobnych cyrków istniało w Rzymie. Wodę sprowadzano sztucznie za pomocą wielkich sklepionych kanałów. Przeciwko temu przypuszczeniu walczy ta jednak okoliczność, że w podziemiach cyrku, czyli w tak zwanych *cavea*, znajdują się ogromne sklepione obory, zbudowane z nadzwyczaj trwałej cegły, w których trzymano dzikie bestye, nim je wypuszczono do walki na arenę. Oddzielne wejścia do tych stajen, komórkowate ich urządzenie wskazuje wyraźnie, że ten a nie inny był ich cel zbudowania.

Cegła tak jest silną, spoistą, że potrzeba było wielkiej mocy i częstego uderzania młotkiem, niemeśmy zdołali kawałek z niej utrącić. Ta trwałość

pomników, które wznieśli Rzymianie, czyliż nie wzbudza głębokiego dla ich cywilizacyi szacunku? I w obec tych wspaniałych ruin, które już z górą półtora tysiąca lat przetrwały, zapominamy na chwilę, że ta rozległa arena była polem smutnej walki niewolników między sobą, lub zapasów ich z dzikiemi bestyami, zapominamy, przebaczając Rzymianom ich zamiłowanie do krwawych, barbarzyńskich igrzysk, oddając hołd tej organizacyjnej działalności, która, burząc, tworzyła, a nie burzyła dla samego li burzenia.

Przez rozległe gaje oliwne, które nieopodal ciągną się na niewielkiej wyniosłości, puściliśmy się na dalsze poszukiwania ku ruinom term czyli kąpieli. Tyle jeszcze pozostało po nich wyraźnych śladów, że cały plan obszernego gmachu dobitnie kreśli nam się przed oczyma. Idziemy dalej — a tu w ogrodzie oliwnym ukazuje się wspaniała posadzka mozaikowa na bardzo znacznej przestrzeni, zapewnie resztki, pozostałe po pięknym pałacu cesarskim. W wielu miejscach najzupełniej dochował się barwny rysunek mozaiki. A wszystko to pod gołem niebem — oddane na łaskę nieba, niepogody i na łup chłopaków wiejskich, lub, co gorsza, turystów, którzy unoszą z sobą na pamiątkę cenne pomniki bogatej cywilizacyi. Gdyby choć dachem pokryto to miejsce i staranniejszą otoczono opieką tę mrówczą pracę rąk ludzkich!

Niewiele więcej pomników dochowało się na gruncie obecnej Italiki. Cyrk ocalał niemal całkowicie — może dlatego, że z mocnych jego skle-

pień nikt nie potrafił wydobyć wielkich głazów. Cokolwiek przedstawiało jakąś wartość pod względem sztuki, a choćby tylko pod względem materyalnym, stało się łupem następnych wieków. Marmury, posągi, kolumny, grobowce z dawnej Italiki zdobią dziś w Sewilli wiele gmachów publicznych i prywatnych. W muzeum prowincyonalnem, tam, gdzie się mieszczą obrazy Murilla, jest obszerny krużganek, zapełniony mnóstwem kamieni, statuami, posągami ze świątyń prawdopodobnie Italiki. Podobnież spotyka wędrowiec w prywatnym pałacu w Sewilli, zwanym pod nazwą *casa de Pilatos*, marmurowe kolumny o pięknych kapitelach, misterne rzeźby kamienne, posągi imperatorów, przewiezione przed stu lub więcej laty z Italiki. O bogactwie pod względem sztuki tego bogatego grodu rzymskiego świadczą nadto liczne słupy jaspisowe i marmurowe, któremi obwiedziono katedrę sewilską niemal dokoła, powiązawszy je łańcuchami żelaznemi. Wszystkie ozdobne kolumny pochodzą z Italiki.

Dziś tylko jeszcze pojawiają się na ruinach starego grodu monety rzymskie. Chłopaki wiejskie odgrzebują nieraz we wsi, na drodze lub w polu przeróżne pieniążki.

— Kupię sobie kilka jakich okazów — rzekłem do mych towarzyszów, słysząc, że nieraz piękne odnajdują tu i ze świeżym stemplem monety. — Ale pytanie, czy kto ma we wsi choć jeden egzemplarz.

Rzuciłem to zapytanie, w chwili, kiedyśmy się zbliżali do chat wieśniaczych przyległej wioski Santi-Ponce. Jeden z towarzyszów pospieszył do najbliższego domku, aby ciekawości naszej zadość uczynić. Nie upłynęło nawet pięciu minut, kiedy nam ze wszystkich prawie chat przynoszono dziesiątkami monety rzymskie miedziane i srebne różnych czasów i różnej wielkości, ofiarując je na sprzedaż.

— A znasz się pan dobrze na sfałszowanych monetach rzymskich? — pyta się jeden z profesorów.

— Jakto? ależ na ruinach Italiki?

— O, senior mio, nie pierwszy tu jesteś, co, kupić chcesz nieco monet rzymskich. Italika nie wystarczyłaby tym ciągłym wymaganiom. Tu prawie co tydzień wstępują Anglicy i wykupują dawne pieniążki. Więc...

— Więc jakim sposobem? — zapytałem zdumiony.

— Więc przemyślni włościanie z Santi-Ponce chodzą do miasta, sami kupują monety fabrykowane w Sewilli i tu je sprzedają za oryginalne, za znalezione na ruinach Italiki..

Handel nie przyszedł do skutku.

Pod wieczór wracaliśmy do miasta, oddychając żywiej i swobodniej orzeźwiającem powietrzem, które na schyłku dnia po kilkagodzinnym skwarze rozlało się po zielonych błoniach nad powolnym Gwadalkwiwirem. Zdala ukazywało się miasto

i niezliczone wieże jego kościołów, bram i pałaców. W morzu lazurowego nieba pławiła swój szczyt dumna Giralda. W majestatycznym spokoju tonęła Sewilla, okolona wieńcem palm, pomarańcz i cyprysów.

I kiedym ją później żegnał, zmierzając ku Granadzie, powtarzałem mimowoli za innemi: Kto nie widział Sewilli, ten cudownie pięknej nie widział rzeczy.

XVII.

GRANADA.

Złoty nimb sławy dziejowej otacza imię Granady i jej prowincyi. Z jej wspomnieniem wiążą się najpiękniejsze chwile rozwoju sztuki arabskiej, najbujniejszy rozkwit poezyi romantycznej Maurów, szczyt ich cywilizacyi. Nad Granadą unosi się jakaś poetyczna atmosfera, tragika upadku ostatniej twierdzy maurytańskiej, ostatniego władcy Boabdila, upiększona tylu cudnie miłemi legendami, opromieniona sławą zwycięzkich wojsk Ferdynanda i Izabelli. Z górą dwieście lat trwało tu jeszcze Maurów panowanie w tym dalekim zakątku, który się stał ostatnią ucieczką dumnych wyznawców Islamu po złamaniu ich powagi w Walencyi, w Kordubie, w Sewilli. Już w całej środkowej i południowej Hiszpanii ustąpił półksiężyc przed krzyżem, już z minaretów rozlegały się dźwięki dzwonów chrześcijańskich, kiedy Granada i przyległa jej okolica stała się siedliskiem i gniazdem nielicznych rycerzy mau-

rytańskich, którzy tu niezależne zbudowali królestwo.

Jeden z takich arabskich władców, Ebn-el-Ahmar, około 1238 roku, wśród ogólnego popłochu i zamieszania, wzbił się wysoko, przyszedł do władzy i zapanował nad kalifatem, jeśli tak nazwać można niewielkie królestwo czyli sułtanat granadzki. Górskie ściany olbrzymiej Sierra Nevady, strome, przepaściste nad brzegiem morza Śródziemnego wyniosłości Alpuhary, stały się dzielną zasłoną niezawisłości Maurów, którzy niezależnie od twierdz i warowni, jakiemi kraj pokryli, umieli bronić mężnie swojej ziemi i naigrawać się nieraz z waleczności hufców chrześcijańskich. Pierwszy władca był wielkim miłośnikiem zbytku, ale niemniej znakomitym rządcą swego kraju. Bogata i żyzna prowincya pod jego berłem zamieniła się w najrozkoszniejszy ogród. Ludność wzrastała w miastach, handel się ożywił, przemysł zakwitnął, pomyślność powszechna się wzmogła. Granada przybrała postać stołecznego grodu, zdobnego w pałace, podmiejskie wille. Na wyniosłym szczycie po za miastem, który przypiera do górskiej ściany łańcucha Sierry-Nevady, wzniósł król dla siebie zamek wspaniały, alkazar, przezwany Alhambrą, czyli zamkiem czerwonym. Któż nie słyszał o Alhambrze, która równie pięknej na świecie nie ma współzawodniczki. Pierwszy sułtan granadzki nie dokończył swego dzieła, prowadzili je dalej jego następcy z tej samej linii Nazrydów, mając po temu dość bogactw i dość złotego wczasu. Ale na Granadę przyszła ciężka chwi-

la, kiedy połączona Kastylia z Aragonią zwycięzkie swe sztandary coraz dalej ku południowi posuwać zaczęła. W królestwie maurytańskiem zapanowały niesnaski, kłótnie domowe, które podkopały jego siłę. Przedostatni król, Mulej-Hassan, dał dumną odpowiedź, kiedy do Granady przybył w 1478 roku poseł hiszpański, domagający się haraczu, płaconego przez poprzedniego sułtana. Dało to powód do wojny z królami katolickimi połączonej Kastylii i Aragonii. Zdobyta przez chrześcijan warowna Alhambra pozbawiła sułtana wielu skarbów, ale okropniejszą była niezgoda domowa, jakieś knowania potajemne, które zmusiły Mulej-Hassana, że tron porzucił, a sam udał się jakby na dobrowolne wygnanie do Malagi. Ujął władzę wtedy w słabe i niedoświadczone ręce syn jego, Mahomet Abdala, nazywany zwykle Boabdilem Małym, i ten przyprawił o zgubę swój tron i swoje królestwa. Hufce rycerzy hiszpańskich rozbiły swe namioty nieopodal Granady i przez kilka lat oblegały twierdzę Maurów. Sułtan był tak ścieśniony ze wszech stron, że nie miał żadnej drogi i środków ocalenia. Chrześcijanie trzymali się obronnie w mieście Santa-Fé, przez siebie zbudowanym w kształcie krzyża, i ztąd opasali warownię maurytańską, jakby żelaznym łańcuchem.

Nareszcie runęła ostatnia twierdza Maurów. Boabdil nie miał serca, aby dalej bronić swej niezależności. Złożył więc swą władzę w ręce Ferdynanda i Izabelli. W dniu 2 stycznia 1492 roku już na szczytach Alhambry ukazał się krzyż chrześcijański zamiast chorągwi Mahometa. Boabdil ze

smutkiem porzucał rozkoszną swą siedzibę, ze złamanem sercem oddawał od niej klucze zwycięzkim władcom chrześcijańskim. Wskazano mu jako miejsce pobytu niewielką posiadłość w górzystej okolicy Alpuhary. Na szczycie jednej z tych gór, gdy tam przybył, spełniwszy wolę zwycięzców, padł na ziemię i rzewnemi zalał się łzami, ubolewając nad utratą swojego królestwa. Miejsce to, dziś wskazywane przez przewodników, zwie się *el ultimo suspiro del Moro*, ostatniem westchnieniem Maura. W kilka lat później Boabdil, za niewielką sumę pieniędzy, daną mu przez króla, porzucił zupełnie swoją ustroń tułaczą i przeniósł się do Fezu, gdzie w 1516 roku w jednej bitwie stracił życie.

Z wyżyn szczytów, na których rozpościera się bogaty kobierzec słynnych ogrodów Generalife, rozwija się obraz Granady i przyległej okolicy, obraz uroczo-zachwycający, wyższy nad wszelki opis, po tylekroć opiewany przez poetów arabskich. Jeśli tak okiem rzuciwszy przed siebie, ujrzymy wielką przestrzeń dawnego królestwa Granady, najpiękniejszą część jego, istny ogród, nazywany zwykle la Vega. Vega jest płaskowzgórzem rozległem, dość wysoko wyniesionem po nad morze, ale względnie do otaczających ją łańcuchów gór wydaje się wielką doliną. Przezroczyste powietrze, wolne od wszelkich wyziewów wilgoci, odsłania nam widok bez granic. Niemasz tu tego modrego lazuru, w który, jakby w gazę, u nas krajobraz polski się kryje

w znacznem oddaleniu. Czystość eteru sprawia, że perspektywa się rozszerza i oko obejmuje bardzo dalekie horyzonty.

Za nami tuż wiszą szczyty Sierra Nevada. Wierzchołki jej to w ostry załamane koniec, to zygzakowatą płynące linią, wydają się tak bliskiemi, jakby tuż nad samym ogrodem panowały. Zdaje ci się, że tylko kilkanaście trzeba przebiedz kroków, aby już pogłaskać ręką czoła gór. Kontury nagich szczytów wyraźnie rysują się na błękitnem tle nieba. Jakiż to efekt niewysłowiony—smugi tu i owdzie białośnieżne wiecznego lodu, tam dalej czerwonawe porfirowe skały, lazur powietrza, a w koło ciebie, tuż obok, morze zieloności, błękitnawe lilie i czarne, przecudne perskie róże.

Z prawej strony ku północy i wschodowi zamykają widnokrąg podobnież pasma gór choć mniej wyniosłe, ale fantastyczne, śmiałe, dzikie, urozmaicone w kształtach. Taką jest Vega pod względem swych ram zewnętrznych. A obraz w tych ramach — to dolina istotnie ziemskiego raju. Nigdzie w całej Hiszpanii niemasz tyle co tu kastalskich zdrojów, alpejskich potoków, szumiących strumieni, które to pomiędzy skałami spływają po kamiennej drodze, to wiją się krętą linią między klombami krzewów lub szeregami poważnych wiązów, wysmukłych topoli. Nieraz przy blasku zachodzącego słońca błyśnie tak cała sieć tych srebrnych arteryi, przez które ożywcza przepływa woda, bo pracowici Maurowie poprzecinali Vegę tysiącem drobnych rowków i sztucznie zraszali uprawny swój ogród. Więc

też natura wywdzięcza się za pracę ludzką bujną zielenią. Bogactwo roślinności wszelkiego rodzaju jest tak wielkie, rozmaitość kształtów tak niezwykła, że Vegę śmiało zaliczyć można do miejsc, ubłogosławionych wyjątkowo przez niebo. Gorący klimat południa pozwala naturze roztaczać krasy flory afrykańskiej, a śniegi Nevady, ożywczy wiatr, kryształowe zdroje, spływające z górskich lodów, chłodzą żar nadmierny, pobudzają roślinność i pozwalają dwom strefom połączyć się w zgodną, a urozmaiconą niesłychanie całość. Więc, obok gajów pomarańczowych, morwowych, myrtów, laurów, granatów, aleosów, spotykasz wiązy o pniach dziwnie wyniosłych i wysmukłych, lipy rozłożyste i gibkie, niebotyczne topole.

Z po za gęstwiny winnych sadów, gdzie wiszą grona dojrzałego owocu, niby piramidy nachylające się ku ziemi, gdzie granat obrany ze swej powłoki rumieni się purpurą na słońcu, z poza tych gajów, które zdają się być miejscem wiecznego pobytu bogini Flory, wychylają się białe domki wiejskie, jak w ogrodach marmurowe posągi. Wszystko uśmiecha się wesołością, zadowoleniem, szczęściem. Pięknie o tych śnieżnych domkach powiada jakiś poeta arabski, że wyglądają jak perły na naszyjniku wśród szmaragdów.

Niewysłowiony czar rozlany jest w gęstwinie drzew niebotycznych. To las istny, ale dziewiczy las amerykański. Drzewa pną się do góry, na pochyłej ścianie górskiej, która od Alhambry spływa powoli ku miastu. Gdzieniegdzie przerywają ten las

głębokie parowy, przez które wije się droga dla pieszych i konnych. Tu i owdzie rozrzucone ławki zapraszają do odpoczynku, do głębszej zadumy, do której usposabia cisza głucha jak w pustyni. Niebotyczne wiązy w całem majestacie roztaczają swe bogate w liść konary. Takich wysmukłych drzew dotąd nigdzie nie widziałem. Ze zdumieniem spoglądam ku ich szczytom, które sięgają w niebo, jak wieże gotyckich kościołów.

To jest przygotowanie do Alhambry, wspaniały wstęp do cudów, jakie w niej ujrzy wędrowiec. Alhambra jest pałacem i warownią zarazem i na nierównym a wyniosłym szczycie góry ma rozrzucone swe gmachy, pałace, mury i wieże. Z jednej i drugiej strony biegnie mur warowny, z drugiej urwista góra tak stromo spada ku wąwozowi, że sama przez się najobronniejszą stanowi ścianę. Narożne baszty, wysokie wieże, zbrojne bramy, przerywają jednostajną linię murów zewnętrznych. Przestrzeń jest obszerna, rozległa. Małe miasto mogłoby się tu pomieścić. Z nie tajonem zaciekawieniem zbliżałem się ku bramom Alhambry. Miałem oglądać najwspanialszy pomnik budownictwa arabskiego z epoki królów granadzkich, gdzie elegancya kształtów, wdzięk linii, nieopisana rozmaitość ornamentyki i czystość stylu doszły do najwyższego szczytu. Miałem zobaczyć pałac, który stał się świątynią poezyi wschodniej. Miałem oglądać szczątki dawnej i ostatniej twierdzy maurytańskiej, dochowane jeszcze w tym stanie, że one jedynie dać mogą przybliżone pojęcie o tych warowniach, jakie nie-

gdyś istniały w Saragosie, w Toledzie, w Walencyi, w Sewilli.

Oto przed nami olbrzymia brama albo wieża *torre de justicia*, która, jak lew, strzeże wejścia do Alhambry. Śmiały łuk maurytański roztacza swe ramiona, stanowiąc sklepienie wielkich drzwi wchodowych. Napisy arabskie nad łukiem na kolumnach bocznych głównego wejścia zwiastują ci, wędrowcze, że stoisz już na progu świata wschodniego, na progu Islamu. Napis głosi, aby ta brama mogła być pożytkiem dla świętego zakonu mahometańskiego że ją zbudował sułtan Abul Agag Jusuf w r. 1347. Dziedziniec na który wchodzimy, przedstawia smutny widok opuszczenia. Ruina przeziera dokoła z otworów zniszczonych okien, z bram rozwalonych, wież zburzonych z rumowiska głazów, piętrzących się w nieładzie jeden na drugim. Ruiny tej nie sprowadziło ostatnie za Ferdynanda i Izabelli oblężenie, Bynajmniej. Największe spustoszenie sprawił tu Karol V-ty, który przyległe przy Alhambrze meczety, haremy, pałacyki zburzyć kazał do szczętu i ze zwalisk zbudować obok inny gmach w stylu odrodzenia. Czas wszystko niszczący także nadgryzł swym zębem niejeden dawny pomnik, tak, iż dziś ocalały tylko mniej lub więcej: Puerta del Vino, Torre de la Vela i inne. W XVIII-ym wieku zaniedbanie doszło do tego stopnia, że wynajmowano niektóre alkowy Alhambry biednym ludziom, szczególniej inwalidom. Wojska francuzkie w bieżącem stuleciu zamieniły komnaty królewskie na koszary, nie szczędząc ścian, podłóg i sufitów.

Dopiero w nowszych czasach troskliwiej zaopiekowano się tym jedynym zabytkiem architektury maurytańskiej. Za królowej Krystyny wymówiono mieszkania żebrakom i przeznaczono niewielką sumę pieniędzy na utrzymanie gmachu. Ale właściwie lepszy los Alhambry datuje od roku 1869, kiedy uchwalono w kortezach oddać Alhambrę na własność państwa, na własność publiczną. Akademia madrycka światłą radą wsparła usiłowania rządu. Dziś prowadzą się roboty bardzo czynne dla uzupełnienia szczerb, zrobionych przez czas lub ręce barbarzyńskie. Kieruje niemi konserwator pan Contreras, który się wtajemniczył od lat kilku w szczegóły bogatej całości.

Ale spieszmy do samej Alhambry. Wejdźmy wprost przez niepozorny portyk do jej wnętrza, zostawiając na boku przyległy obok wielki pałac Karola V-go. Oto *patio de los arrayanes* (sahat-ar-rajahim), dziedziniec myrtów. W pośrodku jeziorko kryształowej wody ciągnie się w kształcie prostokąta. Biała marmurowa posadzka wypełnia nietylko szerokie chodniki krużganku, ale wyściela brzegi jeziorka i samo dno jego. Nad brzegami zaś kryształowej wód powierzchni suną gęstym rzędem myrty, krzewy tak gęste, że stanowią prawdziwy mur, szeroki na łokieć lub półtora. Tu i owdzie ukazują się fontanny, z których tryska woda, spływająca do jeziorka.

Z dwóch przeciwległych stron węższych ramion prostokąta ciągną się dość głębokie galerye, oparte na lekkich marmurowych lub jaspisowych kolum-

nach. Z niewysłowionym wdziękiem lekkości wyrastają, jakby z ziemi zaczarowanej, te wiotkie słupy, zakończone w kapitele o ozdobach arabeskowych. Na nich wspierają się arkady maurytańskie w kształcie podkowy, stanowiąc w swem przedłużeniu całkowitą ścianę galeryi. Na ścianach ukazuje się cały przepych, całe bogactwo dekoracyjne. Jedna wielka koronka stiuków, jedna wielka sieć linij, kwiatów. Rzekłbyś, że to ręką boginek utkana jest ta misterna siatka, nieraz tak lekka, jakby skamieniała pajęczyna. Ściany portyku lśnią tym samym przepychem. Na dłuższej ścianie prostokątu, gdzie niema galeryi, kunsztowny fryz się ciągnie, zdobny w złote litery i słowa, powtarzające z Koranu uwielbienia dla Boga, „który stworzył zorzę poranną.“ Zdało mi się, że we śnie jestem i marzę, jak za najlepszych czasów młodości. Poezya wschodu, która tu kształty ciała przybrała, oblokła się w szaty rzeczywistości! W noc księżycową, kiedy się promienie złotych gwiazd łamały w kryształowej wodzie i szły o lepsze z błyskiem złotych napisów i z barwą misternych fajansów, zdobiących cokuły ścian — bo dodać trzeba, że ten salon nimf nie ma innego stropu, prócz wielkiego stropu lazurowego nieba, jakżeż uroczem wydać się musi to miejsce!

Pod odkrytą galeryą przechodzimy do przedsionka wspaniałej wieży *Comares*, której zębione szczyty pławią się w morzu górnego eteru, a ztąd wprost wstępujemy do wspaniałej sali *de embajadores*, czyli sala posłuchania. Wielkie jej rozmiary,

wspaniałe jej kształty stanowią nieomal wyjątek w architekturze maurytańskiej, która nie dorównała w tej mierze wzorom greckim i rzymskim. Ale nie tyle ta jej strona zasługuje na uwagę, ile raczej ornamentyka ścian. Zdaje ci się, że pokrywa je kobierzec najmisterniejszej ręki. Marmur rzeźbiony jest tak delikatnie, jak gdyby się pod ręką artysty na wosk zamienił. Trzy okna, po jednem w każdej ścianie, rzucają skąpe światło na te cuda dekoracyi maurytańskiej. Sufit z cedrowego drzewa jest jak najstaranniejsza mozaika. Jednostajność arabeskowych ozdób przerywają złote napisy z Koranu. Ponieważ nie wolno było żadnych postaci ludzi lub zwierząt wyobrażać na ścianach, użyto więc do dekoracyi linij, zygzaków i liści, zkąd powstały arabeski. Dodano zaś napisy z Koranu w literach, na których także artyści maurytańscy wycisnęli piętno swojego skończonego smaku estetycznego. Napisy te ukazują się to wzdłuż fryzu górnego, to zdobią okna, to wiją się wieńcem nad łukiem. Pamiętna to sala, w której się spełniły losy ostatniego królestwa maurytańskiego. Tu Boabdil sułtan żegnał się ze łzami w oczach ze swoim orszakiem dworskim, ze swemi wasalami, idąc na wygnanie. Kiedy Karol V-ty wstąpił po raz pierwszy do tej sali i wyjrzał oknem na cudowny widok, który oczarował wzrok jego, zawołał: „Biada temu, co to stracił! Gdybym ja był na jego miejscu, wolałbym raczej umrzeć w Alhambrze, jak żyć po za jej murami w górach Alpuhary!"

Nie rozpraszajmy jednak uwagi, bo potrzeba nam całego skupienia, całej świeżości, żeby poddać się całkowicie wrażeniu, jakie nas czeka tam, gdzie jaśnieje arcydzieło Alhambry i odczuć w całej pełni piękno, jakie złożyła ręka czarodziejska mistrza w salonie, czyli raczej dziedzińcu lwów *(patio de los leones)*. Gdyby nic innego nad ten krużganek, nad ten portyk nie było w Alhambrze, jużby jej sława słusznie przetrwała potomne wieki. W tych kolumnach, marmurach, arabeskach, rzeźbach, ucieleśniło się skończone piękno, jakby pod uderzeniem czarodziejskiej laski. To, co w opowieści Tysiąca i Jednej nocy jest zmyśleniem, tworem poetycznej fantazyi, tu — zamieniło się w rzeczywistość.

Salon lwów, sąsiadujący z dziedzińcem myrtów, przedstawia nam rozległy prostokąt, którego dłuższy bok liczy więcej niż 80 stóp długości. Dokoła biegną galerye kryte, wspierające się na 128 kolumnach, które grupują się symetrycznie, po trzy lub cztery kolumny. Ich rzeźbione kapitele zachowały gdzieniegdzie ślady barw i złota, któremi lśniły dawniej w całym blasku.

Biały marmur ściele się, jak śnieżny całun, u spodu galeryi i dziedzińca. Tą nieskalaną białością celują wszystkie kolumny, białe jak mleko, czyste jak alabaster, przezroczyste jak jaspis. Nad niemi rozpięły się łuki śmiałe, jak łuki tęczy na niebie, tonące w morzu koronek marmurowych i stiukowych. Z dwóch przeciwległych boków wysuwają się naprzód dwa portyki, zgodnie odpowiadające sobie

nawzajem, w tym samym harmonijnym układzie gibkich kolumn. Stanowią one nadzwyczaj szczęśliwe urozmaicenie tej prostej linii, w jaką się załamują galerye prostokątu. Zagięcie tej linii, na niejednostajnej nieco figurze, nadzwyczaj mile pieści oko. W pośrodku każdego portyku znajduje się wodotrysk z niewielkiem jeziorkiem o białośnieżnem dnie marmurowem.

Rzućmy teraz okiem na środek dziedzińca. Tu się wznosi wielki marmurowy wazon, wsparty za pomocą niewielkich kapitelów na dwunastu lwach, rozstawionych do koła, tak, iż przedniemi łapami stoją one na obwodzie, zwrócone twarzą ku galeryom. W samym wazonie mieści się inny, mniejszy wazon, o węższom obwodzie, z którego strzela ku górze, niby łodyga kwiatu, słupek marmurowy. Tędy wzbija się strumień fontanny wysoko w powietrze i spada tysiącami kropel tęczowej rosy na wazony i lwy, które podobnież wyrzucają ze swej paszczęki strumienie wody na marmurową posadzkę. Rzeźba lwów jest tak uderzająco nieartystyczną, że zrazu wędrowiec się waha, czy te niezgrabne zwierzęta za lwy, czy za fantastyczne twory ma uważać. Ich łapy podobne są do kołków, na jakich zwykle opierają snycerze wiejscy wyobrażenia psów drewnianych. Ich głowy i oczy wyglądają tak, jak na rysunkach dzieci, które próbują swych sił artystycznych. A jednak całość — lwy wraz z wazonami sprawiają czarowny efekt — tak one przystają do charakteru dziedzińca, tak licują z rysunkiem ogólnym. Patrzysz ze zdumieniem na te zwierzęta. Galerya i portyki

uniosły cię w świat daleki nad Eufrat, do stolicy, kalifów, do Bagdadu, a tu te lwy podnoszą jeszcze więcej złudzenie, przypominając ci pomniki wydobyte z pod ruin Ktezyfonu lub Persepolis. Dawniej, za dobrych czasów maurytańskich, tłumnie do koła fontanny środkowej na całej przestrzeni odsłoniętego patio tłoczyły się podzwrotnikowe krzewy o wspaniałych liściach i kwiaty o barwach tęczowych. Cały dziedziniec zamieniał się na czarujący ogród, z którego upajająca woń róż, jaśminu i fijołków napełniała powietrze.

Żeby pojąć całą piękność obrazu, który niegdyś pieścił wzrok maurytańskich, trzeba uzupełnić go sobie w myśli, trzeba mu dodać tę świeżą wiosenną krasę rozkwitłego ogrodu, zlewanego srebrną rosą tryskającej krystalicznej wody, trzeba w ruch wprawić te sploty spływających z wazonów krynic, w których igra tęczowy promień, trzeba wyobrazić sobie te marmury, kolumny, kapitele ściany, lśniące czystością lilii, świeżością poranku majowego, a pod galeryą lub w portyku szczęśliwego króla Maurów, któremu bard wędrowny śpiewa przy dźwięku gitary pieśń miłosną. Tak też upływało istotnie to życie królów Granady. Dla wielu te rajskie ustronia były miejscem odpoczynku po trudach wojennych, dla innych znów stanowiły jedynie pole życia rozpieszczonego, miękkiego, gdzie poezya wdzięk, harmonia kształtów, nęciły zmysły, aż do zupełnego upojenia się szczęśliwością w ziemskim edenie.

Nie będę się silił na oddanie oddzielne szczegółów i całości tylu jeszcze wspaniałych komnat „czerwonego zamku.“ Wspomnę tylko o rzeczy godnej uwagi w sali zwanej *de Justicia*. Na jej sklepieniach w trzech alkowach ukazują się barwne malowidła — rzecz jedyna w dziejach sztuki maurytańskiej. Nigdzie nie masz śladu, aby dopuszczono się złamania przepisu Koranu, który zabrania surowo wyobrażać jakiekolwiek postacie zwierząt lub ludzi. Tu tylko jedyny wyjątek. Prawdziwa zagadka. Obrazy są w wielu miejscach znacznie uszkodzone, nawet rysunku lub malowidła już odszukać niepodobna, ale na jednym z nich widać bardzo dobre odwzorowanie sali lwów, środkowej fontanny, a na dziedzińcu odbywa się jakaś zabawa rycerska. Drugi obraz przedstawia rodzaj sejmu sułtanów. Tak żywcem stają nam przed oczami postacie tych czarnookich władców o smagłej twarzy, o zmysłowych ustach koralowych, w białych powiewnych płaszczach arabskich. Na trzeciem malowidle widać scenę rycerską walki jakby o kobietę, strzeżoną przez lwa nieopodal. Obrazy te są wykonane, o ile się zdaje, na pargaminie, który następnie przyklejono do cedrowej na suficie tablicy. Byli niektórzy znawcy sztuki, co twierdzili, że te malowidła nie z maurytańskich, ale już z chrześcijańskich pochodzą czasów, a to dla tego, że jak się wyżej nadmieniło, nigdzie niemasz śladu malarstwa mahometańskiego. Zarzut ten jednak, wobec wszelkich wiarogodnych cech malowidła, nie jest uzasadniony. Rysunek i wykonanie przypominają nam żywo współczesne dzieła mistrzów

florenckich, tak, iż rodzi się przypuszczenie, że to ręka włoskich malarzy mogła tu być czynną, w epoce mianowicie, gdy już nadwątlona tradycya mahometańska, osłabiona siła Koranu, ułatwiała zapożyczanie się od świata chrześcijańskiego, z którym w tak bliskich pozostawało stosunkach królestwo Granady.

Pomińmy już salę Abenceragów, miejsce krwawego dramatu i sale *de los Hermanas* (Dwóch sióstr), przebiegnijmy spiesznie takie alkowy jak *banos reales* (wanny sułtańskie). Zatrzymajmy się na chwilę w komnatach sułtanki. Jedna alkowa zwie się Zwierciadłem królowej, druga *peinador*, inna znów nosi miano *tocador*. I tu zbytek, rozpieszczenie uderzają wzrok przechodnia. W komnacie, którąby z polska ochrzcić można imieniem gotowalni, spostrzegać się daje cały szereg dziurek w białej marmurowej posadzce. Tędy wonne kadzidła przedostawały się do budaru sułtanki z dolnej sali, gdzie umyślnie sypano na ogień wonności arabskie. A mamże zapomnieć o balkonach oszklonych, o galeryach zewnętrznych, z których odsłaniasię rozległy widok na przyległe ogrody Generalife?

Ogrody Generalife stanowią uzupełnienie Alhambry, choć droga do nich dość daleka, bo na przyległej rozwieszone są górze, którą od wyniosłości Alhambry przedziela głęboki parów. Nazwa arabska tej miejscowości oznacza letnie mieszkanie, wilę wiejską. Sułtanom granadzkim wydawała się Alhambra niekiedy za ciasną, za duszną, choć tonęła w morzu zieloności, wydawała im się zbyt uroczystą

może za gwarną; więc szukali podczas skwarnego lata sielskiej prostoty, głuszy leśnej, powiewu zefirów, szemrzących strumyków, kaskad górskich. I oto na przeciwległej górze, która jedną swą ścianą przypiera do olbrzymiego pasma Sierry Nevady, obrawszy sobie siedlisko letnie, zamienili je na pełen niewysłowionego uroku ogród, jedyny na świecie, z żadnym innym porównać się nie dający. Lekkość, wdzięk, poezya, które cechują architekturę maurytańską w epoce jej najwyższego rozkwitu, architekturę świecką, te same przymioty i właściwości uwydatniły się tu przy stworzeniu tego edenu ziemskiego. Na każdym kroku narzuca ci się uwaga, że wszystko tu istnieje, aby uszczęśliwić człowieka, umaić ścieżki jego życia, kwieciem je usłać, opromienić blaskiem słońca, orzeźwić rosą kryształową, upieścić oko, odurzyć zmysły i życie całe zamienić na złote marzenie.

Granada w obec Alhambry traci swoje znaczenie i stanowi dodatek, o którym wspominać szczegółowiej—po tylu świetnych obrazach i widokach—staje się rzeczą bardzo trudną. Tylko ciasne uliczki nad rzeką Darro, które należą do najdawniejszej części miasta, przedstawiają dla wędrowca pewien urok. Ich wązkie, ciemne domki, gdzieniegdzie stiuki i ornamentyka maurytańska, pobudzają ciekawość przechodnia. Zresztą nowsza dzielnica, przedstawiająca postać jednostajnych kamienic w monotonnym stylu tegoczesnym, obrana jest ze wszelkiego wdzięku i uroku. Gdyby nie katedra, gdyby nie

groby Ferdynanda i Izabelli, gdyby nie ten lub inny jeszcze szczegół, możnaby śmiało z zawiązanemi oczyma przejechać Granadę, aby z Alhambry unieść ostatnie wrażenie, niezamącone, nie osłabione żadnem innem, powszedniem, pospolitem. Bieda, zaniedbanie, opuszczenie, przeziera z brudnych ulic i domków, z postaci ludzi, co się po drodze uwijają. Daremnie byś tu szukał tego blasku, wdzięku, okazałości, do jakich przywykło twe oko w Sewilli, ludniejszej od Granady może nie więcej jak o 30 tysięcy (tu liczą 70 tys. mieszkańców). Wszędzie ślady zgrzybiałej starości, ruiny.

Rzućmy więc zasłonę na mury Granady, jej kościoły, klasztory, muzea, galerye, na jej uniwersytet. Wspomnijmy tylko słówkiem o wylanej serdeczności, z jaką nas powitał w swym domu don Manuel de Gongora, dziekan i profesor historyi powszechnej w uniwersytecie tutejszym.

Nieobcem nam było już dawniej nazwisko pana Gongory, jako autora bardzo cennej pracy, dotyczącej przedhistorycznych dziejów Andaluzyi, jako posiadacza znakomitego muzeum archeologicznego. Listy polecające z Sewilli otworzyły mi podwoje mieszkania i serca zacnego gospodarza. Na pierwszym zaraz wstępie po przywitaniu i po dowiedzeniu się skąd pochodzę, tyle nam gorących i serdecznych słów wypowiedział, tyle sympatycznych poruszył wspomnień, które się dochowały w rodzinie jego o rycerskiem, szlachetnem zachowaniu się pułków polskich, że szczerą wdzięczność żywię w sercu i zachowam w pamięci te słowa uznania, które nie

przebrzmiały, mimo długie już lata. Jakaż to potężna siła tradycyi, która z pokolenia do pokolenia przekazuje pamięć dobrych czynów.

Już byłem na wyjezdnem, kiedy mi czas wolniejszy od poznawania Alhambry, pozwolił zejść do miasta i nawiedzić szanownego kolegę z zajęć i z profesyi. Tak mi się później Granada piękną i miłą wydała, że zapominam o jej opuszczeniu i stawiam ją na równi z uroczym grodem nad Gwadalkwiwirem.

XIX.

WALENCYA i BARCELONA.

Podróż nasza ma się ku końcowi.

Korduba, Sewilla, Granada stanowią szczyt tego wszystkiego, czem jest właściwie Andaluzya. Po za temi sławnemi grodami znajdzie wędrowiec tylko słabe odbicie tych wszystkich piękności, tego powabu i czaru, jaki posiada natura rozkoszna nad brzegami Gwadalkwiwiru, Darro i Genilu. Nigdzie już nie spotka tych wielkich wspomnień dziejowych, które się wiją, jako świeży, niezwiędły wieniec, około Korduby, Italiki, Granady; nigdzie już podziwiać nie będzie tych przecudnych pomników architektury maurytańskiej, nie spotka po za Kordubą meczetu, po za Granadą Alhambry, po za Alkazarem sewilskim rozkoszniejszych ogrodów. Niemasz po za temi miastami prawdziwej Andaluzyi, a przynaj-

mniej niemasz jej tak powabnej, tak świetnej, tęczowej, opromienionej nazwiskami wielkich imion, jak: Ferdynandów, Kolumbów, Murillów i wielu innych.

Jeszcze tylko pospiesznym rzutem oka ogarnijmy wschodnie brzegi Hiszpanii, ciągnące się nad morzem Śródziemnem. Niemasz tu wielkich wspomnień historycznych, które się tak tłumnie tłoczą do duszy na jałowych, kamienistych polach Kastylii i Manczy, na kwiecistych błoniach Andaluzyi, niemasz tu tych wspaniałych pomników sztuki, jakie podziwia wędrowiec w Burgois, Valladolid, Eskurialu, Salamance... ale tem nie mniej cały pas nadbrzeżny, owe prowincye, jak Murcya, Walencya, Katalonia, przedstawiają pod innym względem zajmujący i ciekawy obraz.

Takie tu znów inne, odmienne odsłaniają się przed badawczem okiem podróżnika światy, takie urozmaicone widoki natury, takie inne postacie ludzi, odmienny język, różne zwyczaje, inna atmosfera duchowa, inny nastrój religijny, że po przyjrzeniu się tym prowincyom, poznaje się dopiero, jakie to pojęcie złożone ten jeden wyraz — Hiszpania — jaki to amalgamat typów, mowy, obyczajów, jaki to zbiór rażących kontrastów.

Cały pas nad brzegiem morza Śródziemnego przedstawia dość wysoką górską ścianę stromą, niekiedy przepaścistą, która stanowi jakby wielką zaporę, jakby twierdzę obronną, po za którą bezpieczniej i swobodniej rozwija się płaszczyzna. Brak

poprzecznych dolin, nachylających się ku morzu, sprowadza brak rzek żeglownych. Strome ściany górskie, spadające przepaściste, nie sprzyjają zagłębianiu się morza i tworzeniu wygodniejszych przystani. Nowa-Kartagena, Walencya, Tarragona i inne portowe miasta mają podrzędne znaczenie. Wyjątek tylko stanowi Barcelona. Pod względem malowniczym cały pas nadbrzeżny przedstawia nieskończony szereg przecudnych krajobrazów o charakterze nieco dzikim, zarysach ostrych, oświeconych światłem czarodziejskiem, jak w ogóle w podobne widoki obfitują nadmorskie okolice, najeżone szczytami górskiemi.

Wróćmy jednak w głąb kraju. Zacznijmy od Walencyi. Na kilka mil przed tem miastem zaczyna się wielka, żyzna, urodzajna równina, znana pod nazwą ogrodu Walencyi. Nic również wspanialszego, więcej zachwycającego nad te gaje pomarańczowe, nad te lasy z morw i nad te sady owocowe. Na przestrzeni kilku mil kwadratowych — jeden wielki, nieskończony ogród, gdzie każda piędź ziemi jest grzędą, przynoszącą człowiekowi bogate owoce. A ogród ten, co najwięcej zastanawia, stworzyła nie natura — ale zabiegłość i praca ludzka. Gdyby nie staranie człowieka, cała okolica, uśmiechająca się dziś bezustannie zielonym plonem, byłaby jałową ziemią. Brak jej wody, wilgoci, brak jej rzek znaczniejszych. Upały latem dochodzą w ciągu kilku miesięcy do stopnia skwarów afrykańskich. Deszcze rzadko padają. Wysychają więc źródła i Gwadal-

kwiwir, płynący niezbyt szerokiem korytem, uszczuplony przez ewaporacye, nie może w dostatecznej mierze zwilżać pól nadbrzeżnych. Zaprowadzono więc sztuczną irygacyę, która od tylu już wieków stanowi przedmiot podziwu wszystkich podróżników. Zdaje się, że Rzymianie zrobili pierwsi początek, ale właściwie dopiero Maurowie rozwinęli w taki zadziwiający sposób całą sieć wielkiej irygacyi. Zbiorniki i kanały, rozprowadzające wodę, utrzymywane po dziś dzień z wielką starannością, udoskonalone pod niektóremi względami, stanowią główne źródło życia, żywotności tej ziemi, przedstawiającej się jako wielki bujny ogród. Niektóre rzeczki górskie, zmierzające ku morzu, wstrzymane przez człowieka, kończą swój bieg na równinach Huerty. U zdrojów obfitszych, z łożyska strumieni, po ulewnych deszczach jesiennych, tworzą mieszkańcy zbiorniki wody, którą później, za pomocą kanalików, prowadzą w najodleglejsze miejsca. Tu do ostatniej kropli każdy gospodarz, a raczej ogrodnik użyje przypadającą nań część kosztownej wody. A woda jest istotnie najcenniejszą tu rzeczą przy uprawie ogrodów polnych, jak u nas nawóz. Gdzieniegdzie spostrzeżesz tak drobne kanaliki, jakby gałązki naczyń w organizmie zwierzęcem, przez które życiodajna krew przepływa.

Ta wielka wartość wody sprawia, że istnieje całe prawodawstwo irrygacyjne, od niepamiętnych czasów wydoskonalone, strzegące właśnie tego skarbu, strzegące prawidłowego, słusznego podziału, właściwego korzystania ze zbiorników, napełnionych

wodą. Każda gmina ma ściśle oznaczone godziny, kiedy może i powinna czerpać płyn życiodajny dla swoich ogrodów. Wielki dzwon katedry w Walencyi, nazywany *Micalet*, daje znak rozpoczęcia pracy irygacyjnej. Nad każdym kanałem oddzielny urzędnik ma dozór i opiekę. Istnieje także oddzielny trybunał wodny, rozstrzygający wszelkie sprawy dotyczące sporów irygacyjnych. Składa się on z ośmiu syndyków wybranych przez gminy, korzystające z ośmiu głównych kanałów. Trybunał odbywa swe posiedzenia pod gołem niebem u drzwi katedry w Walencyi. Jedyny sprzęt tego prześwietnego sądu stanowi wielka aksamitna sofa, której dostarcza kapituła wskutek dawnego bardzo zobowiązania. Raz na tydzień we czwartki w południe zagaja sąd swe posiedzenia. Strony same wprowadzają swe sprawy i zwykle poprzestają na orzeczeniu syndyków, poddając się chętnie rygorowi ogłoszonego wyroku.

Dzięki więc tej zabiegłości pracowitych Walencyan, pola ich wydają zdumiewające plony. Łodyga kukurydzy wzbija się w górę niekiedy na wysokość dziesięciu łokci, morwy dają trzy lub czterokrotne żniwo liści, dziesięć razy do roku koszą trawę na bujnych błoniach. Na grzędach niekiedy pięć razy zmieniają i rośliny i ogrodowizny. A cóż powiem o wspaniałych gajach pomarańczowych. Walencyanki — pomarańcze są znane w całej Europie ze swej słodyczy, z soczystości owocu.

Wspaniały, przecudny, niewymownie piękny widok tych złotych ogrodów pomarańczowych. Pę-

dzimy koleją jak błyskawica — a tu bez końca po jednej i drugiej stronie drogi zawsze to ciemne, lśniące tło liści, pokrywających od szczytu, aż do podstawy cały pień drzewny, a na gałęziach rozwieszone setkami purpurowe pomarańcze. Stajemy na stacyi — naokoło las i znowu gaje i znowu stacya wśród gęstwiny leśnej pomarańcz. Tu i owdzie tak blizko drogi żelaznej rozwieszają drzewa swe owoce, że śmiały podróżnik mógłby łatwo i bez kosztu ugasić pragnienie, sięgnąwszy ręką po nachyloną gałąź. Ale i to zbyteczne — bo na przystanku za bezcen kupić możesz całą gałąź z liśćmi i z owocem, ważącą kilkanaście funtów. Drzewa pomarańczowe pod Walencyą mają inny kształt od tych, które widziałem w Portugalii, tudzież w południowej Hiszpanii. Podobne są one tu więcej do naszych jodeł — mają formę piramidalną i konary ich spuszczają się aż do samej podstawy pnia, tak, iż tu przy ziemi roztacza drzewo swe ramiona zielone, na nich rozwiesza swe nadobne wielkie jabłka złote. Wielkość ich jest tak znaczna, że się równa niekiedy objętości główki dziecięcia. Francya mianowicie korzysta z tych darów ogrodów walencyańskich. Marsylia jest głównem miejscem, dokąd podążają z Walencyi naładowane okręty.

Na wielkiej, okiem nieprzejrzanej, równinie Huerty ukazują się także daktylowe palmy, pławiące swe dumne czoła w morzu rozlanego nad niemi lazuru. Towarzyszą im niekiedy cyprysy, pnące się daremnie, aby zrównać swoje szczyty piramidalne z wierzchołkami palm. A drzew figowych co nie-

miara! Zresztą cała płaszczyzna pokryta jakby jednym wielkim zielonym kobiercem. W początkach grudnia, kiedym przejeżdżał przez te szczęśliwe okolice, najpiękniejszą wiosenną zielonością uśmiechały się przeróżne ogrodowizny, a przyległe domki tonęły w kwiecistych wieńcach.

I pod względem etnograficznym przedstawia Walencya i przyległe jej okolice wielką różnicę. Typy tu inne, ubiór różny, mowa odmienna, aniżeli w Kastylii lub w Andaluzyi. Wieśniacy, przybywający do miasta w malowniczych bardzo strojach, jakżeż się różnią pod względem rysów twarzy od swych sąsiadów z zachodu i południa. Walencya z sąsiednim Saguntem miała przez długi czas ludność grecką, później rzymską, a wreszcie arabską. Zdaje się, jak gdyby w tych twarzach widać było ślady grecko-rzymskiego pochodzenia. Przynajmniej co do ubioru najwyraźniej znać wpływ heleńsko-arabski. Niekiedy przypomną ci Walencyanie istnych synów piaszczystej Afryki — Beduinów, to znów gotów jesteś dopatrywać się w nich podobieństwa do Greków homerowskich. Szeroki pas ponsowy niciany, a niekiedy jedwabny, przepasuje ich biodra— przytrzymując szerokie z białego płótna pantalony, ktore do kolan sięgają. Białe nagolenniki — jak knemidy heleńskie opasują nogę, tak, iż gołe kolano swobodnie się ukazuje. Sandały na wysokiej podeszwie, różnokolorowemi taśmami przywiązane, uzupełniają dolne ubranie wieśniaka. Na piersiach rozpięta kamizelka świeci się srebrnemi guzami, które od ponsowego tła aksamitu świetnie odbijają.

Wierzchnie ubranie składa się z wielkiego wełnianego szalu, niekiedy w rodzaju różnobarwnej derki. Ten pled obszerny pod ręką wieśniaka fantastycznego zamienia się na prawdziwie teatralno-grecką draperyę. Głowa, ogolona zupełnie, albo przynajmniej tak krótkie ma włosy, że łysina prawie prześwieca. Tej gołej głowy jednak nie dostrzeże oko przechodnia, bo ją pokrywa kolorowa chustka, niewielka, ściśle przystająca do powierzchni głowy, związana w tyle w supełek, z którego zwiesza się koniec, niby niewielki warkocz. Niekiedy na głowie ukaże się oprócz chustki i czarny kapelusz dość fantastyczny. Te wysokie czoła z powodu zgolonych włosów, te barwne stroje, te chustki ponsowe, śniada cera twarzy, sprawiały na nas wrażenie, jak gdyby Żuawów afrykańskich, albo owych Tatarów, których niekiedy na rycinach polskich z XVII-go wieku spotykamy.

Język ludowy nie jest już kastylijskim, ale stanowi oddzielne narzecze walencyańskie, które wyrosło z głównego pnia — z języka katalańskiego. Lubo w niem dużo spotyka się wyrazów arabskich, jednak narzecze to więcej, niżeli język sam katalański zbliża się do języka dawnych trubadurów. W ustnej mówie ma wiele miękkości, słodyczy i wdzięku. W mieście jednak wszyscy używają mowy kastylijskiej.

A miasto samo, że tu treściwie o niem wspomnimy, jest ruchliwem, fabrycznem, handlowem. Pod względem zaludnienia prawie trzecie zajmuje

miejsce w Hiszpanii. Byłoby nierównież bogatszem i świetniejszem, gdyby niezbyt wielka od przystani Grao odległość, która blisko godzinę drogi wynosi.

Posiada nad Gwadalkwiwirem, który niewiele co lepiej od wyschniętego Manzanaresu wygląda, wspaniałe, szerokie, cieniste aleje spacerowe, zdobne w drzewa podzwrotnikowe, krzewy afrykańskie; palmy się spotykają w bliskiem sąsiedztwie z wiązami i klonami, banany z bambusem rosną o miedzę, przedzielone wysmukłą topolą. Ma Walencya katedrę, ma uniwersytet, znakomitą bibliotekę.

Poznajmy jeszcze Barcelonę.

I tu już świat inny, pozór odmienny i język różny. Inni ludzie jak w Kastylii, w Estremadurze lub w Andaluzyi. Różnica tak wielka jak między dniem a nocą.

Barcelona jest najhandlowniejszem miastem Hiszpanii. Na całem wybrzeżu wschodniem posiada najdogodniejszą przystań. Z każdym dniem wzrasta ruch przemysłowy i szybko powiększa się ludność miasta. Dawniejsze przedmieścia zlały się teraz w jedną całość i Barcelona mieści w sobie z górą 340 tysięcy mieszkańców. Jeszcze tylko gdzieniegdzie dochowały się pomniki i pamiątki dawniejszych czasów, w kilku wązkich, ciasnych uliczkach, bo zresztą całe miasto już nowoczesną zupełnie przybrało postać o szerokich, przewiewnych ulicach, o wysokich domach tak monotonnych, tak jedno-

stajnie do siebie podobnych, że je tylko po przytwierdzonych na nich numerach rozpoznać można. Ozdobę miasta stanowią szerokie aleje spacerowe, zwane *Rombla*, niby pola Elizejskie w Paryżu, lub Lipy w Berlinie, wieczorem oblane morzem światła, które płynie z okien sklepowych wystaw tak świetnych jak w Wiedniu lub Paryżu. A nad temi stuletniemi wiązami rozpina się namiot niebieski o tak łagodnem wejrzeniu, o tak lazurowej powłoce, jak w Nicei lub Neapolu. W wieczór grudniowy szukaliśmy ochłody pod gęstym liściem drzew konarzystych, wiecznie zielonych, tchnących orzeźwiającą świeżością. W rannych godzinach zamienia się cała aleja na istny ogród kwiatowy. Ogrodniczki mają zwyczaj wystawiać tu do godziny 9-ej zrana kwiaty, wazony i najpiękniejsze bukiety na sprzedaż. Całym szeregiem ciągną się tak te ogrody improwizowane, wśród których przechadza się świat piękny, młody i próżniaczy.

Choć tego próżniactwa, tego *dolce farniente*, które tak uderza w Kastyli, w Andaluzyi, tej biedy, nędzy, opuszczenia, tu bynajmniej nie widać. Owszem mieszkańcy Barcelony, a raczej Katalończycy, nadzwyczaj korzystnie się wyróżniają pomiędzy współziomkami Hiszpanami. Jestto szczep niesłychanie pracowity, wytrwały, zabiegły. Nigdzie w Hiszpanii niemasz takich dzielnych, zaciętych w boju i wytrzymałych bojowników jak w Katalonii. Wieśniak kataloński wywalczył sobie, w ciężkim i długim boju z naturą, swą żyzną glebę, kamienistą ziemię zamienił na żyzne niwy, na pochyłościach

gór zaszczepił winną latorośl, w dolinach rozkrzewił gaje oliwne. Przysłowie powiada, że Katalończyk potrafi sobie w potrzebie chleb upiec z kamieni. Kiedy ziemia nie wystarczyła na utrzymanie mnożącej się ludności, wypadło się jąć innej pracy. I wtedy zakwitnął tu przemysł, rozwinęły się rękodzieła. Szczególniej prędko zagęściły się tu przędzalnie bawełny, jedwabiu, fabryki sukna. Od kilkudziesięciu lat Barcelona i przyległe przedmieścia tak czynne są na tem polu, że produktami swemi zasilają całą nieomal Hiszpanię. To istotnie hiszpański Lancashire. Odlewnie żelazne, fabryki przetworów chemicznych i inne o wielkich kominach zakłady, rzucają się podróżnikowi ustawicznie w oczy w mieście, po za miastem. Wyroby koronkowe dosięgły tu wysokiego stopnia delikatnego wykończenia.

Handel nie mniej pomyślnie się rozwija, dzięki zdolnościom ludności miejscowej. Katalończyk porzuca swą ziemię rodzinną, kiedy w niej nie znajduje utrzymania, albo kiedy w prowincjach sąsiednich nie uda mu się przedsiębiorstwo. W wielu miejscowościach Hiszpanii nazwa Katalończyk oznacza to samo, co kupiec, sklepikarz. Stosunki handlowe z Francyą i z Włochami ułatwiają mieszkańcom emigracyę, dają im możność wyuczenia się języków obcych i zarobkowania po za rodzinnym krajem.

Nie mniej charakterystyczną cechę tego szczepu stanowi jego język — kataloński, zupełnie od-

rębny od hiszpańskiego, kastylskiego. Od kilkunastu lat rozwinęło się tu takie silne poczucie odrębności językowej, samodzielności pod względem umysłowym, literackim, naukowym, że istotnie ze zdumieniem niemałem spoglądałem na tysiączne dowody żywotności tego języka, jako na zdarzenie nowe, świeże, a tak mało znane w innych bliższych i dalszych krajach Europy. Wprawdzie miała Katalonia zdawiendawna swe piśmiennictwo, swych pieśniarzy, trubadurów, ale zdawać się było mogło, że język kastylijski wraz z przewagą polityczną pognębił i samą mowę pobratymczego szczepu. Tymczasem język kataloński dziś się dobija równouprawnienia z wielką zawziętością.

Językiem tym mówi ludność czterech prowincyi: Barcelony, Tarragony, Lerydy i Gerony. Katalończycy tak są dumni i tak wiele trzymają o swoim języku, iż nie chcą go uważać za coś gorszego od kastylijskiego; owszem, są tego przekonania, że ich język jest starszy aniżeli język Kastylii, że jest więcej wyrobiony i więcej posiada warunków do zapanowania w całej Hiszpanii. W Barcelonie wszyscy i wszędzie mówią tylko — po katalońsku, choć w wyższych klasach rozpowszechniony jest niemniej język hiszpański.

Z niższą służbą, z dorożkarzami, z ludem wiejskim już po hiszpańsku nie podobna się było rozmówić. Ze wstydem musiałem się przeto przyznawać do zupełnej nieznajomości mowy miejscowej. W kilku wypadkach, gdzie potrzeba było katalońszczyzny

użyć, wyręczali nas i za pośrednika służyli dwaj przezacni panowie Befarull, dyrektor archiwum korony Aragońskiej, tudzież syn jego, również pracami naukowemi w archiwum zajęty, don Francisco.

W ciągu kilku dni naszego pobytu w Barcelonie tylę nam świadczyli wylanej gościnności, że pod tym względem Katalończycy dzielą ze wszystkimi Hiszpanami wysokie przymioty towarzyskości, jakie się gdzieindziej nierównie rzadziej spotykają.

W domu tych panów starsze i młodsze pokolenia mówią między sobą tylko po katalońsku. Dla cudzoziemca zrobiono wyjątek, używając wobec mnie języka kastylijskiego, czyli hiszpańskiego.

Coraz więcej się wzmaga literatura tego języka. Wychodzą pisma nietylko ludowe, ale wielkie dzienniki polityczne. Są również czasopisma naukowe, wydawane w tym języku. Jest teatr jeden, w którym na scenie słychać mowę katalońską. Już kilkakrotnie przedstawiano w kortezach wniosek, aby w szkołach elementarnych, w których się wykład odbywa w języku katalońskim łącznie z hiszpańskim, usunięto zupełnie kastylijski; ale dotychczas nie uświęcono jeszcze tego lekceważenia języka całego państwa, języka prawodawstwa, języka wreszcie urzędowego, który trzyma w skupieniu odrębne części całości. W szkołach średnich i wyższych językiem wykładowym pozostaje oczywiście nadal kastylijski, chociaż cała

usilność młodszych sił zwraca się ku temu, żeby wzmocniwszy piśmiennictwo naukowe, wywalczyć dla mowy katalońskiej równouprawnienie i w uniwersytecie.

Ta okoliczność objaśnia także i stanowisko polityczne, które Barcelona, jako punkt środkowy tej odrębności językowej, zajmuje wobec ciała prawodawczego w Madrycie, wobec polityki wewnętrznej. Separatyzm ma licznych wyznawców, centralizm obecny wielu przeciwników. Duch odrębności prowincyonalnej wzmaga się coraz bardziej.

Budzą się wspomnienia historyczne dawnych minionych wieków, umysły zapalają się miłością ku owym swobodom prowincyonalnym, ku owym instytucyom, które kwitnęły, nim je zgniotła ręka Karola I-go i Filipa II-go.

W zachodnim zakątku Hiszpanii podobneż odzywają się echa. I tam także coraz silniej rozwija się oddzielne piśmiennictwo w narzeczu Galegos, czyli galicyjskim, którym lud mówi w Corogni, Vigo, Orense i Lugo. Już powstały pisma peryodyczne, dzienniki illustrowane i coraz gorliwiej krzątają się młodzi pracownicy na tej świeżej niwie.

A tymczasem, kiedy mowa o Hiszpanii, to zwykle sobie wyobrażamy, że to jeden wielki kraj, jeden wielki naród, gdzie wszyscy jednym mówią językiem i do jednego zmierzają celu.

Rozmaitość jest tu wielka, a większe jeszcze rozstrzelenie. Bezpieczny za swemi górami naród,

bez obawy puszcza się na drogę politycznych doświadczeń.

Z Barcelony do Marsylii podążałem drogą żelazną nad pięknym brzegiem morskim.

Rzuciłem pożegnalne spojrzenie na strome ściany Pyreneów. Szczęśliwy naród! — rzekłem w duchu, przebiegając myślą dzieje kilkudziesięciu lat ostatnich Hiszpanii. Szczęśliwy, nie dlatego bynajmniej, że w takich żyje oddawna rozterkach, ale że ma taki wielki łańcuch ogromnych, nieprzebytych gór.

KONIEC.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
10205/1